

JOE HILL

STRAŽÁK



JOE HILL STRAŻAK

Z angielskiego przełożyła
ANNA DOBRZAŃSKA



Wydanie elektroniczne

Tego autora

UPIORY XX WIEKU
W WYSOKIEJ TRAWIE
NOS4A2
STRAŻAK

Tytuł oryginału:
THE FIREMAN

Copyright © Joe Hill 2016
Published by arrangement with HarperCollins Publishers

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2017

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: © Catherine Harvey (postać),
Filipchuk Oleg/Shutterstock (papier), fluke samed/Shutterstock
(płomienie)

Projekt graficzny okładki: Amanda Kain

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Katarzyna Meszka

ISBN 978-83-7985-402-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Dla Ethana Johna Kinga,
który płonie jasnym ogniem.
Tata Cię kocha.

Inspiracje:

J.K. Rowling, której historie pokazały mi, jak napisać tę książkę;

P.L. Travers, która miała potrzebne lekarstwo;

Julie Andrews, która podała mi łyżeczkę cukru, bym mógł je przełknąć;

Ray Bradbury, któremu ukradłem tytuł;

mój ojciec, któremu ukradłem całą resztę;

a także moja mama, która wprowadziła mnie w tajniki mykologii (i mitologii), które wykorzystałem w tej książce.

Choć *Draco incendia trichophyton* to czysty wymysł, moja mama powie wam, że niemal każdy element mojej fikcji znajdzie swój odpowiednik w przyrodzie.

Za oknem ulica płonie
w prawdziwym walcu śmierci...

– *Jungleland, Bruce Springsteen*

Choć spędzam swe dni pośród dymu i popiołu,
Na całym świecie nie ma szczęśliwszego człowieka.

– *Chim Chim Cher-ee, Robert and Richard Sherman
(Mary Poppins)*

Przyjemnie było palić.

– *451 stopni Fahernheita, Ray Bradbury*

PROLOG

Płonący

Harper Grayson widziała w telewizji, jak płoną ludzie -wszyscy widzieli, ale pierwszy raz zobaczyła, jak ktoś płonie naprawdę, na placu zabaw za szkołą.

W Bostonie i innych częściach Massachusetts szkoły zostały zamknięte, ale tu, w New Hampshire, wciąż jeszcze były otwarte. W New Hampshire zdarzały się przypadki, jednak było ich niewiele. Harper słyszała o sześciu pacjentach przetrzymywanych w bezpiecznym skrzydle Concord Hospital, nad którymi czuwał zespół lekarzy w kombinezonach ochronnych i pielęgniarki uzbrojone w gaśnice.

Harper przykładła zimny kompres do policzka Raymonda Bly'ego, pierwszoklasisty, który zarobił w twarz rakieta do badmintona. Każdej wiosny zdarzało się parę takich przypadków, że trener Keillor łamał rakiety do badmintona. Co roku powtarzał dzieciakom, żeby znosiły to jak mężczyźni, nawet wtedy, kiedy trzymały w garści własne zęby. Czasami miała ochotę być tam i patrzeć, jak dostaje rakieta w jaja, tylko po to, by powiedzieć mu, żeby sam znosił to po męsku.

Raymond nie płakał, gdy przyszedł, ale po tym, jak zobaczył się w lustrze, na chwilę stracił panowanie nad sobą, broda zaczęła mu się trząść, a mięśnie twarzy drgnęły nerwowo. Oko było sinoczarne, niemal całkowicie zamknięte przez opuchliznę, i Harper wiedziała, że ten widok jest dużo bardziej przerażający niż ból.

Chcąc odwrócić uwagę chłopca, sięgnęła do schowka ze słodyczami. Było to poobijane pudełko na lunch z przerdzewiałymi zawiasami i podobizną Mary Poppins, w którym mieściło się kilkadziesiąt minibatoników, a także przerośnięta rzodkiewka i ziemniak, zarezerwowane na najczarniejszą godzinę.

Zajrzała do środka, podczas gdy Raymond przyciskał kompres do

policzka.

- Hm - odezwała się. - Coś mi się wydaje, że mam tu jeszcze jednego twixa i chyba mogłabym go wykorzystać.

- Dostanę batonik? - spytał chłopiec stłumionym głosem.

- Dostaniesz coś lepszego. Mam tu wielką, pyszną rzodkiewkę i jeśli będziesz naprawdę grzeczny, pozwolę ci ją zjeść, a sama zjem twixa. - Pokazała mu wnętrze pudełka, żeby mógł przyjrzeć się rzodkiewce.

- Fuj. Nie chcę rzodkiewki.

- A co powiesz na wielkiego słodkiego ziemniaka? To prawdziwy rarytas.

- Fuj. Siłujmy się na rękę o to, kto dostanie twixa. Jestem w tym lepszy od mojego taty.

Harper zagwizdała trzy takty My Favorite Things, udając, że rozważa jego propozycję. Często pogwizdywała melodie z musicali z lat sześćdziesiątych i potajemnie marzyła o tym, że wtórują jej sójki błękitne i rudziki.

- Raymondzie Bly, nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś siłował się ze mną na rękę. Jestem bardzo wysportowana.

Udawała, że musi wyjrzeć przez okno, żeby to przemyśleć, i właśnie wtedy zobaczyła mężczyznę przecinającego plac zabaw.

Z miejsca, w którym stała, widziała drogę, kilkadziesiąt metrów asfaltu, tu i ówdzie upstrzonego kratkami do gry w klasy. Nieco dalej znajdował się plac zabaw z huśtawkami, zjeżdżalniami, ścianą wspinaczkową i rzędem stalowych rur, w które dzieciaki uderzały jak w gongi, tworząc własną muzykę (te rury Harper nazywała w duchu „ksylofonem potępionych”).

Trwała pierwsza godzina lekcyjna, jedyna pora dnia, kiedy za oknem gabinetu nie widziała gromady rozwrzeszczanych, biegających, śmiejących się i wpadających na siebie dzieci. Był tylko ten człowiek - facet w workowatej, zielonej kurtce wojskowej i luźnych, brązowych spodniach roboczych, z twarzą ukrytą pod daszkiem brudnej bejsbolówki. Przeciął na skos asfaltową drogę i znalazł się na tyłach budynku. Głowę miał spuszczoną i zataczał się, jakby nie potrafił iść prosto. Z początku Harp pomyślała, że jest pijany. Dopiero po chwili zobaczyła dym wydobywający się z rękawów. Gęsty, biały opar wylewał się spod kurtki, kłębił wokół rąk mężczyzny i unosił się zza kołnierza,

spowijając długie ciemne włosy mężczyzny.

Facet, potykając się, zszedł z chodnika prosto na plac zabaw. Zrobił trzy kroki, zatrzymał się i położył prawą rękę na drewnianym szczeblu drabinki. Nawet z tej odległości Harp widziała coś na wierzchu jego dłoni, ciemny pasek podobny do tatuażu, ale upstrzony plamkami złota, mieniącymi się jak drobinki kurzu w oślepiających promieniach słońca.

Widziała w wiadomościach doniesienia, ale w pierwszej chwili nie bardzo zdawała sobie sprawę, czego właściwie jest świadkiem. Słodczyce wypadły z pudełka i z grzechotem rozsypały się po podłodze. Ona jednak niczego nie słyszała; nie miała pojęcia, że pudełko przechyliło jej się w ręce, sypiąc naokoło minibatonikami i czekoladkami Hershey's Kisses. Raymond patrzył, jak ziemniak z plaśnięciem spada na podłogę i wtacza się pod szafkę.

Mężczyzna, który przed chwilą zataczał się jak pijany, zaczął zapadać się w sobie. Nagle wygiął się w łuk, konwulsyjnie odrzucił w tył głowę, a przód jego koszulki stanął w płomieniach. Harper zdążyła zerknąć na jego wymizerowaną, udręczoną twarz i chwilę później głowa nieznajomego zmieniła się w pochodnię. Lewą ręką próbował ugasić płomień na piersi, prawą nadal trzymał się drabinki. Palce prawej dłoni płonęły, osmalając sosnowe szczeble. Głowa mężczyzny coraz bardziej odchyłała się do tyłu, a gdy otworzył usta, żeby krzyknąć, z jego gardła dobył się czarny dym.

Widząc minę Harper, Raymond obejrzał się przez ramię w stronę okna. Pudełko upadło na podłogę, a Harp pospiesznie wyciągnęła rękę do chłopca. Jedną przytrzymała zimny kompres, a drugą położyła mu na karku, zmuszając go, by odwrócił się od okna.

- Nie patrz, kochanie - powiedziała, zdumiona spokojem w swoim głosie.

- Co to było? - spytał chłopiec.

Sięgnęła za siebie, na oślep, szukając sznurka żaluzji. Mężczyzna na placu zabaw upadł na kolana. Pochylił głowę jak pogrążony w modlitwie muzułmanin. Jęzory ognia zmieniły go w stertę płonących szmat i gęstego dymu, który rozwiewał się w rześkim kwietniowym powietrzu.

Roleta opadła z metalicznym szczękiem, zasłaniając wszystko poza

migotaniem złotego światła, które tańczyło szaleńczo na jej krawędziach.

Księga pierwsza

Nosicielstwo

KWIECIEŃ

1

Harper opuściła szkołę godzinę po tym, jak ostatnie dziecko poszło do domu, ale i tak wyszła wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj kończyła pracę o siedemnastej, bo czuwała nad bezpieczeństwem mniej więcej pięćdziesięciorga dzieci, które zostawały w szkole po lekcjach, podczas gdy ich rodzice pracowali. Dziś o piętnastej w budynku nie było żywej duszy.

Wyłączywszy światła w gabinecie pielęgniarki, stanęła przy oknie i kolejny raz wyjrzała na plac zabaw. Na chodniku, w miejscu, gdzie strażacy użyli węża wysokociśnieniowego, żeby zmyć szczątki zwęglonego ciała, pozostała czarna plama. Miała przeczucie, że nigdy więcej nie wróci do tego pokoju i nigdy więcej nie wyjrzy przez to okno. Nie myliła się. Tego wieczoru szkoły w całym stanie zostały zamknięte, a lokalne władze zapewniały, że zajęcia zostaną wznowione, gdy tylko kryzys zostanie opanowany. Tak się jednak nie stało - kryzysu nie opanowano.

Harper wyobrażała sobie, że będzie miała cały dom tylko dla siebie, ale kiedy wróciła, Jakob już tam był. Włączony telewizor grał cicho, a Jakob rozmawiał przez telefon. Sądząc po jego głosie - spokojnym, opanowanym, niemal leniwym - trudno było zgadnąć, że jest rozemocjonowany. Trzeba było go zobaczyć krążącego po pokoju, żeby zrozumieć, jak bardzo się denerwuje.

- Nie, nie widziałem tego na własne oczy. Johnny Deepenau pojechał tam jedną ze swoich ciężarówek i pomagał usuwać szczątki z drogi.

Zrobił zdjęcia komórką i przesłał je nam. Wygląda, jakby w środku wybuchła jakaś bomba. Jak po ataku terrorystycznym, jak... Zaczekaj. Właśnie weszła Harp. - Jakob opuścił telefon i przyłożył go do piersi. - Nie wracałaś przez centrum, prawda? Wiem, że nie. Zamknęli wszystkie drogi od North Church aż do biblioteki. W całym mieście roi się od gliniarzy i żołnierzy Gwardii Narodowej. Autobus stanął w płomieniach i uderzył w słup telefoniczny. Jechali nim Chińczycy zarażeni tym cholerstwem, pieprzoną smoczą łuską. - Odetchnął, pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że jacyś ludzie mieli czelność stanąć w płomieniach w centrum miasta w taki piękny dzień, odwrócił się i przyłożył telefon do ucha. - Nic jej nie jest. O niczym nie wiedziała. Jest już w domu i coś mi mówi, że czeka nas awantura, jeśli myśli, że w najbliższym czasie pozwolę jej wrócić do pracy.

Harper usiadła na skraju kanapy i spojrzała na telewizor. W lokalnych wiadomościach pokazywano materiał z wczorajszego meczu Celtic, jakby nic się nie wydarzyło. Isaiah Thomas stanął na palcach, odchylił się, zamachnął i wyrzucił piłkę prawie na połowę boiska. Wtedy nie mogli o tym wiedzieć, ale przyszły tydzień oznaczał koniec sezonu. Do lata większość zawodników Celtics nie żyła, a powodem śmierci był samozapłon lub samobójstwo.

Jakob krążył po pokoju w sznurkowych sandałach, ciemnych dżinsach i równie ciemnej bluzie.

- Co? Nie. Nikt nie przeżył - rzucił do telefonu. - I wiem, że zabrzmiało to brutalnie, ale cieszę się, że tak się stało. Przynajmniej nikt nas nie zarazi. - Słuchał przez chwilę, po czym roześmiał się i dodał: - Taa... kto zamawiał płonący półmisek?

Dotarł na koniec pokoju, do półki z książkami, odwrócił się i ruszył z powrotem. Po raz kolejny spojrzał na Harper i tym razem zobaczył coś, co go zmroziło.

- Hej, skarbie, nic ci nie jest? - zapytał.

Harper gapiła się na niego. Nie wiedziała, co powiedzieć. Było to zadziwiająco trudne pytanie, jedno z tych, które wymagały głębszego zastanowienia.

- Danny? Muszę kończyć. Chcę posiedzieć przez chwilę z Harp. Postąpiłaś słusznie, zabierając dzieciaki. - Urwał i po chwili dodał: - Tak, w porządku. Wyślę tobie i Gail zdjęcia, ale jakby co, nie macie ich

ode mnie. Trzymajcie się.

Zakończył rozmowę, odłożył telefon i spojrzał na Harper.

- O co chodzi? Dlaczego wróciłaś tak wcześnie?

- Pod szkołą był mężczyzna - zaczęła Harp i nagle kawałek czegoś, emocji, które przybrały realny kształt, utknął jej w gardle.

Jakob usiadł na kanapie i położył rękę na jej plecach.

- Dobrze - uspokoił ją. - Już dobrze.

Nacisk na tchawicę ustąpił i Harper odzyskała głos.

- Był na placu zabaw. Widziałam go przez okno. Zataczał się, jakby był pijany. Nagle upadł i zaczął się palić. Płonął jak słomiana kukła. Połowa dzieci to widziała. Niektóre z nich były w szoku. Całe popołudnie starałam się je uspokoić.

- Och, skarbie. Trzeba było mi powiedzieć. Nie wisiałbym tyle na telefonie.

Odwróciła się i przytuliła głowę do jego piersi, a on objął ją szczupłymi, umięśnionymi ramionami.

- W pewnym momencie na sali gimnastycznej było czterdzieścioro dzieci, kilku nauczycieli i dyrektor. Jedne płakały, inne się trzęsły, a jeszcze inne wymiotowały. Ja sama miałam ochotę płakać, trząść się i wymiotować.

- Ale tego nie zrobiłaś.

- Nie. Zamiast tego rozdałam sok w kartonach. Nowatorska metoda leczenia.

- Zrobiłaś, co mogłaś - odparł. - Dzięki tobie Bóg jeden wie, ile dzieciaków zniosło jakoś ten koszmaryny widok. Wiesz o tym, prawda? Zobaczysz, do końca życia zapamiętają, jak się nimi opiekowałaś. Na szczęście masz to już za sobą i jesteś ze mną w domu.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, otoczona wianuszkiem jego ramion, wdychając ten szczególny zapach - mieszanką wody kolońskiej o zapachu drzewa sandałowego i kawy.

- Kiedy to się stało? - Jakob wypuścił Harper z objęć i wbił w nią spojrzenie oczu koloru migdałów.

- Na pierwszej lekcji.

- Dochodzi piętnasta. Jadłaś lunch?

- Nieee.

- Kręci ci się w głowie?

- Aha.

- Zrobmy ci coś do jedzenia. Nie wiem, co jest w lodówce. Może coś zamówimy.

Kto zamawiał płonący półmisek? - pomyślała Harper i poczuła, że pokój kołysze się jak pokład statku. Opadła na poduchy kanapy.

- Może tylko wody - odparła.

- A co powiesz na wino?

- Jeszcze lepiej.

Jakob wstał i podszedł do stojącego na półce stelaża na butelki z winem. Przyglądając się kolejnym etykietom - które wino najlepiej komponuje się ze śmiertelną epidemią? - odezwał się:

- Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w krajach, gdzie zanieczyszczenie jest tak ogromne, że powietrze jest gęste jak zupa, a rzeki przypominają ściek. W Chinach. Rosji. Byłej Komunistycznej Republice Szambostanu.

- Rachel Maddow mówiła, że w samym Detroit było prawie sto przypadków. Opowiadała o tym wczoraj wieczorem.

- Właśnie o to mi chodzi. Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w paskudnych miejscach, w których nikt nie chciałby być: w Czarnobylu, Detroit. - Wyjął korek z butelki. - Nie rozumiem, po co ktoś z zarazonych miałby wsiadać do autobusu. Albo samolotu.

- Może bali się kwarantanny. Myśl o tym, że mogą cię trzymać z dala od najbliższych, dla wielu ludzi jest bardziej przerażająca niż sama choroba. Nikt nie chce umierać w samotności.

- Masz rację. Po co umierać samemu, kiedy można mieć towarzystwo? Nie ma większego dowodu miłości, niż zarazić najbliższych pieprzoną nieuleczalną chorobą. - Nalał do kieliszka złocistego wina, które przywodziło na myśl zamknięte w szkle, destylowane światło słoneczne. - Gdybym był chory, prędzej bym umarł, niż zaraził ciebie. Niż naraził cię na ryzyko. Myślę, że łatwiej byłoby odebrać sobie życie, wiedząc, że robię to, żeby chronić innych. Nie wyobrażam sobie czegoś bardziej nieodpowiedzialnego niż paradowanie po mieście z czymś takim. - Podając Harper kieliszek, pieczołliwie musnął jej palce. Potrafił dotykać czule, z wyrozumiałością; to było w nim najlepsze: zawsze wiedział, kiedy zatknąć jej za ucho zbłąkany kosmyk włosów albo pogłodzić ją po

karku. - Łatwo zarazić się czymś takim? Przenosi się jak grzybica stóp, prawda? Tak długo, jak myjesz ręce i nie chodzisz bosy po siłowni, nic ci nie będzie. Hej! Hej... Nie podchodziłaś do tego martwego faceta, prawda?

- Nie. - Harper nie zadała sobie trudu, żeby wetknąć nos do kieliszka i delektować się zapachem francuskiego bukietu, jak ją uczył. Kiedy miała dwadzieścia trzy lata, zaczęła z nim sypiać i była tak pijana miłością, jak nigdy nie będzie winem. Jednym haustem wypila swoje sauvignon blanc.

Jakob z westchnieniem opadł na poduchy i zamknął oczy.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Masz koszmarną potrzebę opiekowania się ludźmi, co w normalnych okolicznościach nie jest niczym złym, ale w niektórych sytuacjach musisz pomyśleć o...

Ale Harper go nie słuchała. Zamarła, pochyliła się do przodu i odstawiła kieliszek na stolik. W telewizji wiadomości sportowe zostały przerwane, a na ekranie pojawił się starszy mężczyzna w szarym garniturze, prezenter o nieśmiałych niebieskich oczach za szklami okularów dwuogniskowych. Pasek u dołu ekranu głosił: Z OSTATNIEJ CHWILI: SPACE NEEDLE PŁONIE.

- ...się do Seattle - mówił prowadzący. - Uprzedzamy, że materiał jest bardzo drastyczny i przygnębiający. Jeśli przed telewizorami znajdują się dzieci, prosimy, żeby go nie oglądały.

Zanim skończył, na ekranie pojawiły się zrobione z helikoptera zdjęcia wieży w Space Needle, która zdawała się dźgać bezchmurne, błękitne niebo. Wnętrze tarasu widokowego wypełniał czarny dym, który buchał przez okna, przesłaniając krążące wokół śmigłowce.

- Boże - jęknął Jakob.

Mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach wyskoczył z jednego z otwartych okien. Jego włosy płonęły, a ramiona rozpaczliwie młóciły powietrze. Chwilę później jego śladem poszła kobieta w ciemnej spódnicy. Skacząc, przycisnęła dłonie do ud, jakby bała się, że pęd powietrza zadrze materiał i cały świat zobaczy jej bieliznę.

Jakob wziął Harper za rękę. Splotła palce z jego palcami i ścisnęła je.

- Co się dzieje, do cholery? - spytał. - Co to, kurwa, jest?

MAJ-CZERWIEC

2

Według stacji FOX smoka uwolniło ISIS, wykorzystując zarodniki stworzone przez rosyjskich naukowców w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Zdaniem MSNBC wszystko wskazywało na to, że smocza łuska była dziełem inżynierów z Halliburton, wykradzionym przez członków chrześcijańskiej sekty, którzy sfiksowali na punkcie Apokalipsy świętego Jana. CNN przychyliło się do obu teorii.

Przez cały maj i czerwiec na każdym kanale toczyły się debaty, które nadawano w przerwach między transmisjami z kolejnych miejsc ogarniętych pożarami.

Kiedy Glenn Beck spłonął żywcem w trakcie swojego programu internetowego - na oczach ludzi, którzy widzieli, jak pod wpływem temperatury okulary wtapiają mu się w twarz - telewizyjni eksperci przestali dyskutować o tym, kto to zrobił, a skupili się na tym, jak się nie zarazić.

LIPIEC

3

Strażak sprawiał kłopoty.

- Proszę pana - odezwała się siostra Lean. - Proszę pana, nie może pan się wpychać. Zostanie pan zbadany, kiedy przyjdzie pańska kolej.

Strażak zerknął przez ramię na ogonek, który ciągnął się na całej długości korytarza i zakręcał za róg. Spojrzał na siostrę Lean. Miał brudną twarz, nosił tę samą żółtą gumową kurtkę co wszyscy strażacy i trzymał w ramionach dziecko, chłopca, który obejmował go za szyję.

- Nie wpycham się. Wychodzę z kolejki. - Mówił z akcentem, który zwracał uwagę. Nikt nie spodziewał się londyńskiego akcentu po strażaku z New Hampshire. - Chodzi o coś innego. Nie o łuskę. Mój synek potrzebuje lekarza. Natychmiast, nie za dwie godziny. To w końcu oddział ratunkowy. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie potrafi tego zrozumieć.

Harper szła wzdłuż kolejki, rozdając dzieciom lizaki i papierowe kubki z sokiem jabłkowym. Dla tych najbardziej nieszczęśliwych miała w jednej kieszeni rzodkiewkę, a w drugiej ziemniak.

Mocny brytyjski akcent zwrócił jej uwagę i podniósł ją na duchu. Kojarzył się jej ze śpiewającymi imbryczkami, szkołami magii i zdolnością dedukcji. Wiedziała, że nie najlepiej to o niej świadczy, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Uważała, że wszystkiemu winni są Brytyjczycy, którzy przez ostatnie sto lat uparcie promowali swoich detektywów, czarodziejów i nianie, tak więc musieli się liczyć z konsekwencjami.

Potrzebowała czegoś, co poprawi jej nastrój. Przez cały ranek wkładała do worków na zwłoki zwęglone, poczerńnięte ciała, wciąż jeszcze ciepłe i dymiące. Z powodu kurczących się zapasów worków musiała spakować do jednej torby ciała dwójki dzieci, co wcale nie było takie trudne. Dzieci spłonęły, tuląc się do siebie, by po śmierci zmienić się w spletaną kocią kołyskę osmalonych kości. Wyglądały jak rzeźba

inspirowana muzyką deathmetalową.

Harper nie była w domu od pięciu dni i spędzała osiemnaście godzin dziennie w gumowym kombinezonie zaprojektowanym z myślą o walce z wirusem ebola. Rękawiczki były tak ciasne, że aby je włożyć, musiała smarować ręce wazeliną. Cuchnęła jak prezerwatywa. Za każdym razem, gdy czuła ten zapach gumy i wazeliny, przypominała sobie szybkie numerki w akademiku.

Przeszła na początek kolejki i stanęła za plecami strażaka. To ona odpowiadała za komfort ludzi, którzy czekali na swoją kolej, nie siostra Lean. Poza tym nie chciała drażnić przełożonej. Pracowała w Portsmouth Hospital od trzech tygodni i prawdę mówiąc, trochę się jej bała. Jak wszystkie wolontariuszki.

- Proszę pana - powtórzyła siostra Lean głosem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie. - W tej kolejce są same nagłe przypadki. Ciągną się aż do holu. Przyjmujemy je w kolejności, w jakiej się tu zjawiają.

Strażak zerknął przez ramię na kolejkę, która rzeczywiście ciągnęła się korytarzem aż do poczekalni. Sto trzydzieści jeden osób (Harper liczyła), zmęczonych i naznaczonych smoczą łuską, spoglądało na niego z rozżaleniem.

- Oni mogą zaczekać. Ten chłopiec nie może - warknął mężczyzna, odwracając się do siostry Lean. - Może wyjaśnię to inaczej.

Pod prawą pachą trzymał zardzewiały żelazny pręt zakończony z obu stron hakami, kolcami i czymś podobnym do obucha siekiery. Gdy rozluźnił ramię, pręt wpadł prosto w jego otwartą dłoń, jednym końcem dotykając niemal brudnego linoleum. Mężczyzna potrząsnął nim, ale go nie podniósł.

- Albo przepuście mnie przez te drzwi, albo wezmę to i zacznę rozwalać wszystko dookoła. Począwszy od okien, a skończywszy na komputerach. Sprowadźcie lekarza albo mnie przepuście, ale nie myślcie sobie, że będę tak stał i czekał, aż ten dziewięciolatek umrze mi na rękach.

Albert Holmes szedł niespiesznie korytarzem, mijając dwuskrzydłowe drzwi do gabinetów. On również miał na sobie gumowy kombinezon. Jedyne, co wyróżniało Ala od reszty personelu medycznego, było to, że zamiast gumowego kaptura miał na głowie

czarny kask szturmowy z opuszczoną szklaną osłoną. Zachował też pas z odznaką oraz walkie-talkie na jednym biodrze i pałkę policyjną na drugim.

On i Harper nadeszli z przeciwnych kierunków.

- Wyjaśnijmy sobie coś - rzucił Al. - Posłuchaj, kolego, nie możesz tu wejść z tym... jak wy to nazywacie? Chuliganem? Strażacy muszą zostawiać swój sprzęt przed wejściem do szpitala.

- Proszę pana, jeśli pójdzie pan ze mną, chętnie porozmawiam z panem o dolegliwościach pańskiego syna - zaproponowała Harper.

- To nie jest mój syn, a ja nie jestem rozhisteryzowanym ojcem - odparł strażak. - Jestem człowiekiem z chorym dzieckiem i ciężkim żelaznym prętem. Jeśli ktoś nie zajmie się tym pierwszym, dostanie to drugie. Chcecie ze mną rozmawiać? Gdzie? Za tymi drzwiami, gdzie są lekarze, czy na końcu kolejki?

Wytrzymała jego spojrzenie, prosząc w duchu, by zachował spokój, i obiecując bezgłośnie, że w zamian za to będzie dla niego miła, wysłucha go i zajmie się chłopcem z należytą troską i cierpliwością. Starła się powiedzieć mu, że próbuje go chronić, bo jeśli się nie uspokoi, skończy z twarzą wciśniętą w podłogę, gazem pieprzowym w oczach i ciężkim buciorem na karku. Harper była wolontariuszką od niespełna miesiąca, zdążyła się jednak przyzwyczaić do widoku ochroniarzy dających wycisk niezdyscyplinowanym pacjentom.

- Proszę za mną. Dam małemu lody cytrynowe, a pan opowie mi, co mu jest...

- Na koniec kolejki. Tak myślałem. - Mężczyzna odwrócił się i zrobił krok w stronę dwuskrzydłych drzwi.

Stojąca mu na drodze siostra Lean wyglądała groźniej niż Albert Holmes. Była wyższa, miała obfity biust i posturę zawodnika blokującego.

- PROSZĘ PANA - przemówiła. - Jeszcze jeden krok i dziś po południu będziemy opatrywać pańskie siniaki i stłuczenia. - Omiotła zimnym, beznamiętnym spojrzeniem czekających. Jej kolejne słowa były skierowane do nich wszystkich. - W tej kolejce obowiązuje pewien porządek. Możemy utrzymać go po dobroci albo siłą, ale go utrzymamy. Czy wszyscy mnie rozumieją?

Wśród ludzi rozległy się niskie pomruki aprobaty.

- Przepraszam. - Po skroniach strażaka spływały krople potu. - Pani chyba nie rozumie. Ten chłopiec...

- Co z nim? Poza tym, że cierpi na to, co wszyscy? - warknęła siostra Lean.

Chłopiec był chyba najładniejszym dzieckiem, jakie Harper widziała w całym swoim życiu. Jego ciemne, kręcone włosy tworzyły uroczą plątaninę nad świetlistymi oczami koloru butelkowej zieleni. Miał na sobie szorty, więc każdy mógł zobaczyć znamiona na jego łydkach: czarne zakrętaszy podobne do tatuaży, delikatne i niemal ozdobne.

- Jeśli nie jest pan zarażony, nie powinien pan go trzymać - powiedziała siostra Lean bez śladu troski w głosie. - Jest pan zarażony?

- Tu nie chodzi o mnie - odparł strażak. Dopiero później

Harper uświadomiła sobie, że był to sprytny sposób, żeby wymigać się od odpowiedzi. - Zresztą on mnie nie dotyka.

Miał rację. Chłopiec, którego trzymał na rękach, miał odwróconą głowę i przywarł policzkiem do kurtki mężczyzny. Mimo to, jeśli strażak nie był chory, to albo nie obawiał się konsekwencji, co zakrawało na szaleństwo, albo po prostu był szaleńcem.

- Co mu jest?

- To coś z żołądkiem - odparł mężczyzna. - Coś jest nie tak z jego żołądkiem. Ledwie trzyma się na nogach...

- Strasznie tu gorąco - zauważyła siostra Lean. - Na pewno nie jest jedynym dzieckiem z bólem brzucha. Proszę wrócić na koniec kolejki i...

- Nie. Nie. Proszę - powiedział z naciskiem. - To dziecko niedawno straciło matkę. Była w budynku, który zawalił się kilka dni temu.

Siostra Lean przygarbiła się i na krótką chwilę z jej twarzy można było wyczytać ponure współczucie. Po raz pierwszy i jedyny zdawała się nie patrzeć na strażaka, ale na chłopca skulonego w jego ramionach.

- Ach - westchnęła. - To straszne. Posłuchaj, skarbie, to po prostu straszne. - Jeśli chłopiec ją słyszał, nie dał po sobie poznać. Tymczasem siostra Lean podniosła wzrok na strażaka, a na jej twarz wróciła zajadłość. - Coś takiego! Kto w dzisiejszych czasach nie chciałby cierpieć na ból brzucha?

- Chwileczkę. Proszę pozwolić mi dokończyć. Budynek zawalił się,

grzebiąc pod gruzami jego matkę, a on tam był...

- Są wykwalifikowani psychologowie, którzy z pewnością porozmawiają z nim o tym, co się wydarzyło, i może nawet podadzą mu coś gazowanego i słodkiego na niestrawność.

- Niestrawność? Czy pani mnie w ogóle słucha? Ten dzieciak nie potrzebuje coca-coli i uśmiechów, potrzebuje lekarza...

- I zostanie zbadany, kiedy przyjdzie jego kolej...

- Kiedy godzinę temu wziąłem go na ręce, krzyczał jak opętany. To chyba nie są oznaki niestrawności, ty niewrażliwa cipo?

- Hej - wtrącił się Albert Holmes. - Tylko bez takich...

Twarz siostry Lean zrobiła się pąsowa. Kobieta rozłożyła ramiona jak dzieciak udający samolot.

- ALBO WRÓCISZ Z CHŁOPCEM NA KONIEC KOLEJKI, ALBO TRAFISZ NA ODDZIAŁ Z TYM ŻELAZNYM PRĘTEM WETKNIĘTYM W SWÓJ WĄSKI, ANGIELSKI TYŁEK! ROZUMIESZ?

Harper wybuchłaby płaczem, gdyby siostra Lean wrzasnęła tak na nią. Jej głos przywodził na myśl ryk huraganu. Dzieci w kolejce zasłoniły uszy i ukryły twarze za nogami matek.

Tymczasem Anglik nawet nie drgnął - mierzył przełożoną pielęgniarek wściekłym wzrokiem. Harper potrzebowała chwili, by odnotować fakt, że chłopiec również się nie poruszył. Patrzył na nią rozmarzonym, nieobecnym wzrokiem. Podejrzewała, że zemdłał z gorąca, ale okazało się, że chodziło o coś więcej.

- Proszę pana - zwróciła się do strażaka. - Na pewno mogę jakoś pomóc. Możemy porozmawiać o dolegliwościach chłopca na końcu kolejki, a jeśli będzie wymagał natychmiastowej pomocy, sprowadzę lekarza. Jeżeli to rzeczywiście problemy żołądkowe, lepiej będzie się uspokoić i przestać krzyczeć. Porozmawiajmy na końcu korytarza. Proszę. Tylko pan i ja... Co pan na to?

Z twarzy mężczyzny zniknęła wszelka złość, a jego usta wykrzywił grymas, który mógł uchodzić za znużony uśmiech. Być może chłopiec rzeczywiście stracił matkę, ale w tamtej chwili dotarło do Harper, że mężczyzna w mundurze strażaka sam jest pogrążony w bólu. Wyczytała to w jego szklistym, umęczonym spojrzeniu człowieka, który doświadczył głębokiej straty.

- Pani też lubi Dire Straits? Jest pani za młoda. Ostatnim razem,

kiedy nagrali jakiś hit, bawiła się pani klockami.

- Nie nadażam - przyznała Harper.

- Ty i ja... co ty na to¹? Dire Straits? - Przekrzywił głowę i patrzył na nią z ciekawością.

Harper nie wiedziała, co powiedzieć, i nie była pewna, czy w ogóle jest o czym rozmawiać. Mężczyzna spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym dał za wygraną. Delikatnie uściśnął chłopca i ostrożnie postawił go na podłodze, jakby miał do czynienia z kruchym wazonem wypełnionym po brzegi wodą.

- Ma na imię Nick. Chce pani odprowadzić Nicka na koniec kolejki? - zwrócił się do Harper. - Podczas gdy ja dokończę rozmowę z tymi tu.

- Myślę, że obaj powinniście pójść ze mną - odparła Harper, ale wzięła chłopca za rękę. Gumowa rękawiczka zapiszczała cicho.

Widziała, że dzieciak nie czuje się najlepiej. Piegowata twarz wydawała się odlana z wosku i chłopiec chwiał się na nogach. Jego pulchne paluszki były niepokojąco gorące. Ale przecież wielu zakażonych miało gorączkę, no i skóra w miejscach dotkniętych zmianami była o dwa, trzy stopnie cieplejsza od reszty ciała. Z chwilą gdy strażak postawił chłopca na podłodze, ten wykrzywił usta i zgiął się wpół.

Mężczyzna kucnął przed nim i oparł halligan o ramię. Zaraz potem zrobił coś dziwnego: zacisnął pięści, pokazał je chłopcu i wykonał dziwaczny gest, jakby naśladował psa trącającego łapą powietrze. Chłopiec skrzywił się i wydał osobliwy, świszczący dźwięk. Harper nigdy nie słyszała czegoś takiego; brzmiał jak piszcząca zabawka.

Mężczyzna odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Harper, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Albert Holmes przyskoczył do niego i zacisnął palce na pręcie.

- Co pan wyprawia? - warknął strażak.

- Proszę pana... Proszę puścić tę broń.

Strażak szarpnął pręt, Al pociągnął halligan do siebie, tak że strażak stracił równowagę, i Al, wykorzystując moment nieuwagi przeciwnika, zacisnął ramię na jego gardle. Gumowe podeszwy strażackich butów zapiszczały na płytkach, gdy Anglik szukał oparcia, próbując utrzymać się na nogach.

Obrazy migwały przed oczami Harper, jakby obserwowała rozwój wydarzeń z nabierającą prędkości karuzeli. Próbowała zrozumieć, co właściwie wydarzyło się przed chwilą - nie tylko dziwne zachowanie strażaka, ale skupienie malujące się na twarzy chłopca, jakby próbował dźwignąć niewyobrażalny ciężar.

- Jesteś głuchy - zwróciła się do dziecka, choć tak naprawdę mówiła do siebie. Ponieważ chłopiec nie był w stanie jej usłyszeć.

W szkole pielęgniarstwie miała jeden dzień zajęć z języka migowego, z których nie zapamiętała nic a nic. A przynajmniej tak się jej wydawało. Nagle, bez zastanowienia, wskazała palcami na swoją pierś i zaczęła nimi przebierać, jakby wwierała się we własne ciało. Poklepała się po brzuchu. „Tu cię boli?”

Nick przytaknął niepewnie. Kiedy jednak dotknęła ręk, którymi kurczowo trzymał się za brzuch, cofnął się i rozpaczliwie pokręcił głową.

- Już dobrze - uspokoiła go. Mówiła wyraźnie i powoli, licząc, że chłopiec potrafi czytać z ruchów warg. Słyszała gdzieś, może na zajęciach z języka migowego, że nawet ludzie umiejący czytać z ruchów warg rozumieją zaledwie siedemdziesiąt procent tego, co widzą, a większość głuchoniemych w ogóle tego nie potrafi. - Będę ostrożna. - Uznała, że jedyne, co może zrobić, żeby zdobyć jego zaufanie, to uśmiechnąć się i patrzeć mu prosto w oczy.

Jeszcze raz wyciągnęła ręce, żeby zbadać mu brzuch, ale chłopiec zasłonił się i zrobił krok w tył. Nad jego górną wargą perlił się pot. Zaraz potem jęknął żałośnie. I wtedy już wiedziała. Wtedy była już pewna.

Al tymczasem zacisnął ramię na szyi strażaka, dusząc go i pozbawiając tchu. Kilka lat temu w Nowym Jorku podobny chwyt zabił Erica Garnera, mimo to - jak widać - nadal nie wyszedł z mody. W drugiej ręce trzymał halligan, przyciskając go do piersi strażaka.

Gdyby Harper była w stanie się skoncentrować, być może dostrzegłaby coś dziwnego w reakcji Anglika. Mężczyzna nie wypuścił bowiem halligana, ale też nie próbował wyswobodzić się z uścisku Alberta. Zamiast tego szarpał zębami czarną rękawiczkę lewej dłoni. Próbował ją w ten sposób zdjąć, kiedy Harper odezwała się czystym, dźwięcznym głosem, który sprawił, że obaj mężczyźni zamarli.

- Siostrze Lean! Będziemy potrzebować noszy na kółkach, żeby zabrać to dziecko na badanie tomograficzne. Powinniśmy być przygotowani do operacji. Może na pediatrii jest ktoś, kto się tym zajmie?

Przełożona spoglądała ponad ramieniem strażaka; jej twarz przypominała kamienną maskę, wzrok miała nieobecny.

- Jak się nazywasz? Jesteś jedną z tych nowych dziewczyn, tak?

- Tak, proszę pani. Jestem tu od trzech tygodni. Zgłosiłam się, kiedy ogłoszono, że potrzeba wolontariuszy. Harper. Harper Grayson.

- Siostrze Grayson, to nie jest czas ani miejsce...

- Właśnie że jest. Musi być. Ten chłopiec albo ma pęknięty wyrostek robaczkowy, albo ostre zapalenie wyrostka. Poza tym, czy mamy tu kogoś, kto zna język migowy? To dziecko jest głuche.

Strażak gapił się na nią, podobnie jak Al, który wlepił w nią wzrok ponad ramieniem Anglika. Jego uścisk zelżał i strażak mógł swobodnie oddychać. Lewą ręką rozmasował szyję - porzucił próby zdjęcia rękawiczki - i przyglądał się Harp z mieszaniną wdzięczności i ulgi. Wyglądał, jakby miał ochotę się roześmiać. Albo nagrodzić ją brawami.

Siostra Lean po raz kolejny oblała się rumieńcem, ale wyglądała na podenerwowaną.

- Nie można postawić diagnozy bez badania tomografem.

- Ja nie stawiam diagnozy - odparła Harper. - Ja... po prostu wiem. Byłam szkolną pielęgniarką i rok temu miałam w szkole podobny przypadek. Widzi pani, jak zwija się z bólu? - Marszcząc brwi, zerknęła na strażaka, jakby dopiero teraz zrozumiała, co próbował im powiedzieć. - Mówił pan, że chłopiec był z matką. Czy to znaczy, że był z nią, kiedy zawałił się budynek?

- Tak. Właśnie to próbowałam wam powiedzieć. Jego matka zginęła. Chłopca znaleźliśmy pogrzebanego pod gruzem. Kiedy go wyciągnęliśmy, był trochę poobijany, ale nie wyglądało to na nic poważnego. Nie jadł nic i do nikogo się nie odzywał, ale myśleliśmy, że to w wyniku szoku. Dziś rano obudził się zlany potem i nie mógł usiąść, tak go bolało.

- Jeśli gruz spadł mu na brzuch, mógł uszkodzić wyrostek robaczkowy. Kiedy ostatni raz się wypróżnił?

- Nie powiem, żebym prowadził rejestr wypróżnień. Myślę, że mógłbym go zapytać, gdyby ten pan zechciał mnie puścić.

Harper spojrzała na Alberta, a ten, wyraźnie skonsternowany, rozdziawił usta.

- No, już - zwróciła się do niego rozgniewana. - Puść go i pospieszcie się. - „Pospieszcie się” było ulubionym powiedzeniem Mary Poppins, a Harper od małego lubowała się w powiedzonkach Julie Andrews i używała ich na okrągło. Dzięki nim czuła, że panuje nad sytuacją, i przypominała sobie o tym, co było w niej najlepsze.

- Przepraszam - bąknął Al i nie tylko puścił strażaka, ale pomógł mu wstać, po czym zrobił krok w tył.

- Szczęściarzem ze mnie, że mnie pan puścił. - W głosie Anglika nie było gniewu ani żalu. - Jeszcze chwila i sam potrzebowałbym pomocy lekarza. - Przykucnął obok chłopca i znowu uśmiechnął się do Harper. - Niezła jesteś. Lubię cię. Pospieszcie się! - Powiedział to tak, jakby jego słowa naprawdę znaczyły „dobra robota!”.

Zaraz potem odwrócił się do Nicka, który kciukiem ocierał łzy z twarzy. Ręce strażaka zatańczyły, wykonując serię szybkich ruchów: zaciśnięte pięści, palec wycelowany w chłopca zamknięta dłoń i druga, otwarta, kreśląca jakieś wzory. Patrząc na niego, Harper myślała o mężczyźnie bawiącym się nożem motylkowym albo grającym na jakimś fantastycznym, ale niewidzialnym instrumencie.

Nick pokazał trzy palce i uszczypnął nimi powietrze, jak ktoś, kto próbuje złapać muchę w locie. Harper znała ten gest. Znała go większość ludzi. Oznaczał „nie”. Reszty nie rozumiała; palce chłopca, jego ręce i twarz, wszystko zdawało się poruszać.

- Mówi, że nie może zrobić kupy. Że próbował, ale za bardzo go boli. Nie wypróżnił się od wypadku.

Siostra Lean prychnęła, jakby chciała przypomnieć wszystkim, kto tu dowodzi.

- Dobrze więc. Obejrzymy pańskiego syna... No, już! Pospieszcie się! Albercie, poprosisz przez radio o nosze na kółkach?

- Już mówiłem... to nie jest mój syn - przypomniał strażak. - Ubiegałem się o rolę ojca, ale sztuka została odwołana.

- A więc nie jest pan rodziną - orzekła siostra Lean.

- Nie.

- To znaczy, że nie będzie pan mógł być przy badaniach. Cóż... przykro mi. - Po raz pierwszy usłyszeli w głosie przełożonej więcej

zmęczenia niż pewności. - Tylko członkowie rodziny.

- Będzie się bał. Nie będzie wiedział, co pani do niego mówi. Mnie rozumie. Potrafi ze mną rozmawiać.

- Cóż, znajdziemy kogoś, kto będzie się umiał z nim porozumieć - powiedziała siostra Lean. - Poza tym, kiedy przejdzie przez te drzwi, zostanie poddany kwarantannie. Jedyne osoby, które mogą tam wejść, albo mają smoczą łuskę, albo pracują dla mnie. W tej kwestii nie mogę zrobić żadnych wyjątków. Wspominał pan o matce. Czy chłopiec ma jakąś inną rodzinę?

- Ma... - zaczął strażak, zaraz jednak urwał, ściągnął brwi i pokręcił głową. - Nie. Nie ma nikogo. Nikogo, kto mógłby tu przyjść i zająć się nim.

- Rozumiem. Dziękuję... dziękuję, że przyprowadził go pan do nas, Od tej chwili pozostanie pod naszą opieką. Zajmiemy się nim.

- Proszę dać mi chwilę - poprosił i spojrzał na Nicka, który starał się powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Strażak zrobił gest, jakby mu salutował, i kolejny, jakby doił nieistniejącą krowę, a zaraz potem dotknął palcem piersi chłopca. Odpowiedź Nicka była zrozumiała. Pochylił się w stronę mężczyzny i pozwolił się przytulić: łagodnie, bardzo łagodnie.

- Lepiej, żeby pan tego nie robił - ostrzegła siostra Lean. - Chyba nie chce pan się zarazić.

Nie odpowiedział. Nie wypuszczał chłopca z objęć aż do chwili, gdy zza dwuskrzydłowych drzwi wyszła pielęgniarka pchająca przed sobą nosze na kółkach.

- Wpadnę, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. - Podniósł chłopca i ostrożnie posadził go na noszach.

- Kiedy rozpocznie kwarantannę, nie będzie pan mógł się z nim zobaczyć.

- Zapytam o niego w recepcji - odparł strażak. Posłał Albertowi i siostrze Lean sardoniczny uśmiech, skinął głową i odwrócił się do Harper. - Jestem pani dłużnikiem i proszę mi wierzyć, traktuję to bardzo poważnie. Następnym razem, gdy będzie pani potrzebowała kogoś do ugaszenia pożaru, mam nadzieję, że będę szczęśliwcem, który odbierze pani zgłoszenie.

Czterdzieści minut później chłopiec został uspijony, a chirurg

dziecięcy, doktor Knab, otworzył jego brzuch, żeby usunąć objęty stanem zapalnym wyrostek robaczkowy wielkości moreli. Kolejne trzy dni dzieciak spędził na sali pooperacyjnej. Czwartego dnia zniknął.

Pielęgniarki zarzekały się, że nie opuszczał pokoju. Okno było otwarte na oścież i na oddziale zaczęły krążyć plotki, że chłopiec wyskoczył. To jednak nie miało sensu... sala pooperacyjna znajdowała się na trzecim piętrze. Skacząc z okna, połamałby obie nogi.

- Może ktoś przyniósł drabinę? - zasugerował Albert Holmes, kiedy roztrząsano temat nad miskami amerykańskiej wersji chop suey w pokoju dla personelu.

- Nie ma takich drabin, które sięgałyby do trzeciego piętra - prychnęła siostra Lean pełnym goryczy, naburmuszonym głosem.

- Są, na wozach strażackich - odparł Al, wpychając do ust kawałek bułki.

4

W środku lata, kiedy możliwy do rozwiązania kryzys stał na krawędzi wymykającej się spod kontroli katastrofy, głuchy chłopiec nie był jedynym pacjentem, który zniknął z Portsmouth Hospital. Wśród zakażonych był jeszcze ktoś, kto uszedł z życiem, zanim cały świat - nie w przenośni, ale dosłownie - poszedł z dymem.

Przez cały miesiąc wiatr z północy nawiewał kłęby dymu z płonącego Maine, które niczym posępna, brązowa mgła osiadały nad wybrzeżem New Hampshire. Maine płonęło od granicy z Kanadą aż do Skowhegan - sto sześćdziesiąt kilometrów świerku srebrnego i pachnącej sosny. Nie było ucieczki przed tym smrodem: gryzącym, słodkawym odorem płonących drzew iglastych.

Harper czuła go, kiedy kładła się spać, by co noc śnić

o ogniskach na plaży i pieczeniu hot dogów ze swoim bratem Connorem. Czasami okazywało się, że na końcu kija zamiast kiełbasek nabite są ludzkie głowy. Od czasu do czasu budziła się z krzykiem. Bywało, że budziły ją krzyki innych. Pielęgniarki spały na zmianę w piwnicznym składziku i wszystkie śniły koszmary.

W szpitalu zakażonych podzielono na dwie grupy: „symptomatycznie normalnych” i „kopciuchów”. „Kopciuchy” dymiły od czasu do czasu, w każdej chwili gotowe stanąć w płomieniach. Smutki dymu unosiły się z ich włosów i nozdrzy, a z oczu płynęła woda. Ich skóra w miejscach zmian była tak gorąca, że potrafiła stopić lateksowe rękawiczki. Wypalała dziury w szpitalnych koszulach i osmaliała szpitalne łóżka. Kopciuchy bywały też niebezpieczne. Ze zrozumiałych względów cały czas byli na skraju hysterii. Pozostawało pytanie: czy panikowali, bo ich ciała kopcily, czy może kopcenie było efektem ubocznym tego, że ich umysły ogarnęła panika? Harper nie miała pewności. Wiedziała tylko, że trzeba się z nimi obchodzić jak z jajkiem. Gryźli i wrzeszczeli. Wpadali na genialne pomysły, że są nowymi Słońcami. Wierzyli, że są smokami, i wyskakiwali przez okna, żeby wzbić się w powietrze. Żyli w przekonaniu, że lekarze zatajają

przed nimi informacje o istnieniu antidotum, i próbowali brać ich jako zakładników. Tworzyli armie i religie, wybierali konsulów, planowali powstania, podburzali do zdrady i praktykowali herezję.

Pozostali pacjenci naznaczeni smoczą łuską byli fizycznie i emocjonalnie zdrowi, przynajmniej do czasu, gdy stawali w płomieniach. Byli przerażeni, nie mieli dokąd pójść i chcieli wierzyć, że ktoś wynajdzie lek, zanim ich czas dobiegnie końca. Wielu z nich przybywało do Portsmouth, bo już wówczas chodziły słuchy, że władze innych lokalnych szpitali wywożą chorych do obozu w Concord, miejsca, które kilka tygodni wcześniej odmówiło wstępu inspektorom Czerwonego Krzyża i postawiło przed bramą czołg.

Szpitalne oddziały pękały w szwach, a zainfekowanych przybywało z każdym dniem. Stołówka na pierwszym piętrze została przekształcona na salę sypialną dla najzdrowszych wśród zakażonych. To właśnie tam Harper spotkała Renee Gilmonton, jedyną Murzynkę spośród dwustu pacjentów. Renee twierdziła, że w New Hampshire łatwiej o łosia niż o czarnoskórego. Mówiła, że przyzwyczała się do tego, że ludzie gapią się na nią, jakby paliły jej się włosy; patrzyli tak na nią od lat.

Przejścia między łózkami polowymi, które zajmowały całą powierzchnię stołówki, tworzyły prawdziwy labirynt, z Renee Gilmonton w samym jego centrum. Była tam, zanim Harper pod koniec czerwca rozpoczęła pracę w szpitalu; była tam dłużej niż ktokolwiek inny napiętnowany smoczą łuską. Po czterdziestce, drobna, w okularach; w rządkach cienkich warkoczyków zaczesanych do tyłu miała pasemka siwizny. Renee nie przyszła sama: przyniosła z sobą miętę doniczkową o imieniu Daniel i zdjęcie swojego kota, Pana Truffaut. Kiedy nie miała z kim rozmawiać, mówiła do nich.

Rzadko jednak cierpiała na brak towarzystwa. Przed epidemią była profesjonalną uszczęśliwiaczką innych: organizowała cotygodniowe śniadania z naleśnikami dla dzieci z miejscowego sierocińca, uczyła angielskiego przestępców w więzieniu stanowym i prowadziła niezależną księgarnię, która, choć przynosiła same straty, była miejscem, gdzie odbywały się slamy poetyckie. Trudno pozbyć się starych nawyków. Niedługo po tym, jak trafiła do szpitala, zorganizowała dwa spotkania czytelnicze dla najmłodszych i założyła grupę miłośników książek dla starszych pacjentów. Miała tuzin

delikatnie osmalonych kopii *Mostu San Luis Rey*, które przechodziły z rąk do rąk.

- Dlaczego *Most San Luis Rey*? - spytała Harper.

- Po części dlatego, że jest to książka o niewytłumaczalnych tragediach, które nas dotykają - odparła Renee. - No i jest krótka. Pomyślałam, że ludzie woleliby książkę, którą zdążą przeczytać. Nikt nie chce zaczynać *Gry o tron*, wiedząc, że w każdej chwili może spłonąć. To przerażająco niesprawiedliwe, jeśli umierasz w trakcie dobrej historii, zanim dowiesz się, jak się skończyła. To znaczy, poniekąd każdy z nas umiera w trakcie dobrej opowieści. Swojej własnej historii. Historii naszych dzieci. Albo wnuków. Śmierć jest okrutna dla miłośników książek.

Na stołówce Renee była znana jako Pani Azbest, ponieważ nie gorączkowała, nie kociła, a kiedy ktoś zaczynał płonąć, gnała do niego i próbowała ugasić płomień, podczas gdy większość ludzi biegła w przeciwną stronę. Próby opanowania płomieni były niezgodne z zaleceniami lekarzy i Renee nieraz dostawała za to burę. Istniały dowody na to, że sam stres związany z widokiem płonącej osoby potrafił wywołać samozapłon. W Portsmouth Hospital reakcje łańcuchowe były na porządku dziennym.

Harper robiła, co mogła, żeby się nie przywiązywać do ludzi. Tylko tak była w stanie nadal pracować i dzień po dniu wypełniać swoje obowiązki. Gdyby za bardzo przywiązała się do któregoś z pacjentów, jego śmierć złamałaby jej serce. Zniszczyłaby to, co w niej najlepsze: dobroć, poczucie misji i wiarę, że dobroć okazywana innym jest częścią czegoś ważnego.

Kombinezon ochronny Tyvek nie był jedyną zbroją, którą zakładała, wychodząc do pracy. Jej kolejną warstwą był niewidoczny dla oka spokój profesjonalisty. Czasami udawała, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że bierze udział w immersyjnej symulacji, a osłona na twarz to ekran, na którym ogląda wirtualną rzeczywistość. Dobrym rozwiązaniem okazało się niezapamiętywanie imion i przenoszenie pacjentów z oddziału na oddział, dzięki czemu za każdym razem widziała inne twarze.

Mimo to pod koniec zmiany nadal zamykała się na pół godziny w kabinie damskiej toalety, żeby sobie popłakać. Ale nawet w takich

chwilach nigdy nie była sama. Wiele pielęgniarek wpisało wyplakiwanie się w spokoju do swojego codziennego grafiku. O dwudziestej pierwszej damska toaleta w piwnicy szpitala zamieniała się w wypełnione smutkiem betonowe pudełko, kryptę, w której rozbrzmiewały pochlipywania i drżące, urywane oddechy.

Harper polubiła Renee. Nie mogła nic na to poradzić. Może dlatego, że Renee robiła wszystko, na co ona nie mogła sobie pozwolić. Zapamiętywała imiona pacjentów i całymi dniami przywiązywała się do ludzi. Pozwalała zakażonym dzieciakom siadać sobie na kolanach i czytała im książki. No i martwiła się o pielęgniarki co najmniej tak samo, jak one martwiły się o nią.

- Nie zrobisz nic dobrego, jeśli pewnego dnia umrzesz z wyczerpania - powiedziała kiedyś do Harper.

Nawet jeśli nie umrę i tak nie zrobię nic dobrego, pomyślała Harp. Tak czy inaczej, nie robię dla nikogo niczego dobrego. Ale nie powiedziała tego na głos. Woliała zachować to dla siebie, a poza tym byłoby nie w porządku przelewać smutek i frustrację na kogoś, kto może nie dożyć następnego dnia.

Tyle że Renee zawsze dożywała następnego dnia. I kolejnego. I jeszcze jednego.

Nie próbowała ukrywać smocznej łuski pod rękawiczkami, szalikami ani bluzkami z długimi rękawami. Choroba utworzyła na jej szyi naszyjnik - urocze esy-floresy upstrzone drobinkami złota - i ozdobiła jej ręce bransoletami, które sięgały aż do łokci. Renee malowała paznokcie czarnym lakierem z drobinkami złotego brokatu, żeby pasowały do całości.

- Mogło być znacznie gorzej - powtarzała. - Mogliśmy zachorować na coś, co objawiałoby się ropiejącymi wrzodami albo upławami z miejsc intymnych. Mogła nas dopaść jedna z tych chorób, od których gnije ciało i odpada kawałkami. Nie ma niczego seksownego w świńskiej grypie. Idę o zakład, że to najbardziej seksowny patogen w dziejach ludzkości. Myślę, że dzięki niemu wyglądam jak tygrysica! Gruba, tandetnie ubrana tygrysica. Jak Kobieta-Kot w naprawdę kiepskiej formie.

- Kobieta-Kot nie miała chyba prążków - zauważyła Harper. Siedziała z Renee na łóżku polowym. - Kto się opiekuje tym

przystojniakiem? - Wskazała głową zdjęcie Pana Truffaut.

- Ulica - odparła Renee. - Wypuściłam go, zanim przyszedłam do szpitala.

- Przykro mi.

- Pożary wykurzyły myszy na ulice. Jestem pewna, że Pan Truffaut nieźle się na nich obłowi. Myślisz, że przeżyją, kiedy nas już nie będzie? Koty? Czy zabierzemy je z sobą?

- Koty przeżyją, podobnie jak my - zapewniła ją Harper, siląc się na optymizm. - Jesteśmy mądrzy. Coś wymyślimy.

Renee uśmiechnęła się tęsknie. Z jej oczu można było wyczytać rozbawienie i współczucie. Tęczówki w kolorze ziaren kawy upstrzone były drobinkami złota. Harper nie wiedziała, czy to przez smoczą łuskę, czy też ta kobieta zawsze miała takie oczy.

- Kto powiedział, że jesteśmy mądrzy? - spytała Murzynka z wesołością, która miała ukryć pogardę. - Nie potrafiliśmy nawet zapanować nad ogniem. Myśleliśmy, że tak jest, gdy tak naprawdę to ogień zapanował nad nami.

Jakby na potwierdzenie jej słów w drugim końcu stołówki rozległ się krzyk nastoletniej dziewczyny. Harper odwróciła się i zobaczyła sanitariuszy, którzy biegli ku niej z kocami gaśniczymi. Przewrócili ją na podłogę i próbowali ugasić pożar, ale spod koców buchnęły płomienie.

Renee ze smutkiem obserwowała rozwój wydarzeń.

- A dopiero zaczęła Klan niedźwiedzia jaskiniowego.

Harper rozglądała się za Renee za każdym razem, gdy obowiązki przywiodły ją do stołówki. Szukała jej, żeby porozmawiać o książkach. Potrzebowała tego: zwykłej, bezcelowej porannej rozmowy, pogaduszek o czymś innym niż świat, który stanął w ogniu. Uczyniła z tych rozmów część swojego dnia, choć od początku wiedziała, że popełnia błąd; miała świadomość, że gdy Murzynka umrze, ona również straci część siebie. Ale kiedy otrząśnie się po stracie, stanie się silniejszym człowiekiem. Tyle że wcale nie chciała być silniejsza. Chciała pozostać tą samą Harper Grayson, którą wzruszał widok starszych ludzi trzymających się za rękę.

Wiedziała, że pewnego dnia Renee odejdzie, i w końcu ten dzień nadszedł. Harper weszła do stołówki, pchając przed sobą wózek pełen

czystej pościeli, i zauważyła, że z łóżka Renee zniknęło prześcieradło, a rzeczy kobiety zostały zabrane. Widok nagiego materaca był dla niej niczym cios w brzuch. Porzuciła wózek, odwróciła się i wybiegła przez podwójne drzwi, minęła strażników, i gnała dalej korytarzem. Wiedziała, że rozpłacze się, zanim dotrze do toalet w piwnicach szpitala. Stała twarzą do ściany, przyłożyła dłoń do zimnego kamienia i dała upust rozpaczy. Ramiona jej drżały, a ona szlochała i szlochała, i szlochała.

Jeden ze strażników - przypadek chciał, że był to Albert Holmes - dotknął jej ramienia.

- Proszę pani? Boże drogi. Proszę pani? Co się stało?

Z początku nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Z trudem łąpała powietrze, a jej ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. W końcu się uspokoiła. Przeraziła go swoim zachowaniem. Albert był barczystym, piegowatym dzieciakiem, który niespełna dwa lata temu grał w szkolnej drużynie futbolowej. Widok zapłakanej kobiety był ponad jego siły.

- Gilmonton - wydusiła w końcu.

- Nie wiedziała pani? - spytał Al słabym, zdziwionym głosem.

Harper pokręciła głową.

- Odeszła - wyjaśnił chłopak. - Rano, jak gdyby nigdy nic, przeszła obok strażników i opuściła szpital.

Harper dyszała, bolało ją w piersi, łzy więzły w gardle. Pomyślała, że może teraz, kiedy trochę się uspokoiła, dobiegnie do łazienki, zamknie się w kabinie i...

- Co? Co powiedziałaś?

- Uciekła! - odparł Al. - Wymknęła się ze szpitala! Z tą swoją rośliną pod pachą.

- Renee Gilmonton opuściła szpital? - spytała z niedowierzaniem Harper. - I zabrała miętę? Ktoś ją wypuścił?

Al patrzył na nią zdumionym wzrokiem.

- Powinna pani zobaczyć nagrania z monitoringu. Świeciła!

Jak latarnia morska! Musi pani to zobaczyć. To niesamowite. Naprawdę nie-sa-mo-wi-te. Chłopaki, którzy akurat wtedy byli na służbie, uciekli. Myśleli, że zaraz eksploduje. Jak ludzka bomba atomowa. Ona sama bała się, że zaraz wybuchnie, i dlatego wybiegła

na zewnątrz. Wybiegła i już nie wróciła. Nikt nie wie, co się z nią stało. Nawet nie włożyła butów!

Harper miała ochotę sięgnąć pod osłonę i otrzeć z twarzy łzy, ale nie mogła. Żeby zetrzeć cokolwiek z twarzy, potrzebowałaby blisko pół godziny. Nie mogła zdjąć kombinezonu, dopóki nie wzięła pięciominutowego prysznica ze środkiem dezynfekującym. Zamrugła gwałtownie, żeby odzyskać ostrość widzenia.

- To nie ma sensu. Ludzie dotknięci smoczą łuską nie świecą.

- Ona świeciła - powiedział z naciskiem Al. - Tuż przed śniadaniem czytała dzieciakom i nagle dziewczynka, która siedziała jej na kolanach, zerwała się jak oparzona, bo pani Gilmonton zaczęła robić się coraz bardziej gorąca. Chwilę później ludzie zaczęli krzyczeć i rozbiegli się na wszystkie strony. Wyglądała jak pieprzona choinka bożonarodzeniowa. Przepraszam za wyrażenie. Na nagraniu jej oczy wyglądają jak śmiercionośne promienie! Przebiegła obok czterech strażników i wybiegła z części szpitala objętej kwarantanną. Wyglądała tak, że nikt nawet nie próbował jej zatrzymać. Ludzie schodzili jej z drogi. Gdybym tam był, jak nic narobiłbym w gacie.

Pięć minut później Harper wraz z czterema innymi pielęgniarkami oglądała w recepcji na końcu korytarza nagranie z monitoringu. Wszyscy w szpitalu je widzieli. Przed końcem dnia Harper obejrzała je co najmniej dwadzieścia razy.

Oko kamery skierowane było na wyłożony białymi płytkami, szeroki korytarz przed wejściem do stołówki. Drzwi strzegli ochroniarze w kombinezonach Tyvek i kaskach ochronnych z osłonami na twarz. Jeden z nich opierał się o ścianę, przerzucając leniwie kartki notatnika. Drugi siedział na plastikowym krześle, podrzucając policyjną pałkę.

Nagle drzwi otworzyły się z takim impetem, że ich skrzydła odbiły się od ścian i korytarz zalał blask, jakby ktoś skierował na niego światła reflektorów. W pierwszej chwili był tak intensywny, że czarno-biały obraz zniknął, zastąpiony szarawą poświatą. Zaraz potem czujniki światła kamery wyregulowały się odrobinę. Renee przypominała świetlistego ducha, rozedrganą jasność o klepsydrowatym kształcie kobiecego ciała. Rozjarzone, pokryte smoczą łuską wzory na jej ciele sprawiały, że Harper nie była w stanie zobaczyć twarzy. Oczy Murzynki rzeczywiście przywodziły na myśl promienie niebieskawobiałego

światła i wyglądały jak śmiertcionośne lasery z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych. Pod pachą trzymała doniczkę z miętą.

Siedzący na krześle ochroniarz odsunął się. Pałka policyjna uderzyła go w ramię i spadł z krzesła. Drugi strażnik wyrzucił notatnik w powietrze, jakby ten zmienił się nagle w jadowitego węża. Ziemia usunęła mu się spod nóg i całym ciężarem klapnął na podłogę.

Renee popatrzyła na nich obu, uniosła rękę, jakby chciała ich uspokoić, i ruszyła pospiesznie w stronę wyjścia.

- Powiedziała im: „Nie przejmujcie się mną, chłopcy. Wychodzę, żeby wybuchnąć na zewnątrz, tak by nikomu nie zrobić krzywdy” - poinformował Harper Albert Holmes.

Na doktorze Ryallu, szpitalnym patologu, nie zrobiło to wrażenia. Twierdził, że czytał o przypadkach, kiedy pacjenci w końcowym stadium choroby nie od razu ulegali samozapłonowi. Zapewniał każdego, kto go słuchał, że szczątki Renee Gilmonton zostaną znalezione kilkaset metrów od szpitala, jednak sanitariusze, którzy przeczesywali wysokie trawy na polu za szpitalnym parkingiem w poszukiwaniu zwęglonych kości, niczego nie znaleźli. Nie było też śladów, które wskazywałyby, dokąd udała się Renee: żadnych przypalonych zarośli ani gałązek. Zupełnie jakby wyparowała, a nie wybuchła, zabierając z sobą doniczkę z miętą.

W sierpniu szpital mieli odwiedzić przedstawiciele urzędu epidemiologicznego CDC w celu przeprowadzenia kontroli procedur związanych z kwarantanną. Doktor Ryall uparł się, że pokaże im nagranie z przypadkiem pacjentki Gilmonton. Był przekonany, że podzielą jego pogląd.

Jednak przedstawiciele CDC nigdy nie zobaczyli materiału, ponieważ z nadejściem sierpnia Portsmouth Hospital zmienił się w kopnące pogorzeliśko, a doktor Ryall nie żył, podobnie jak Albert Holmes, siostra Lean i przeszło pięciuset pacjentów.

5

Nie wiedziała, jak długo stała, patrząc na płonący Portsmouth Hospital. Słup gęstego, czarnego dymu wznosił się na trzysta metrów i kłębił wysoko nad nią, nad nimi wszystkimi, niczym czoło burzy zasnuwające niebo. Któryś z lekarzy zapytał: „Ktoś ma pianki, żeby je poopiekać?” i roześmiał się, ale jego żart nikogo nie rozbawił.

Zostali bez prądu pięć minut po tym, jak w całym szpitalu rozległo się irytujące wycie alarmu. Światła stroboskopowe pulsowały w ciemności, rozbijając czas na jaskrawe, zamarzniete odłamki. Harper wydostała się z tego labiryntu drgających cieni, trzymając ręce na ramionach idącej przed nią pielęgniarki, jednej z wielu w kolejce powłóczających nogami, cierpliwych ewakuantów. Powietrze na parterze było gęste od dymu i sadzy, prawdziwy pożar szalał jednak gdzieś nad ich głowami. Z początku wycie alarmu brzmiało przerażająco, ale z upływem czasu stało się nużące, zwłaszcza po trwającej czterdzieści pięć minut mozolnej próbie wydostania się ze szpitala. Harper nie miała pojęcia, jak wielkie są zniszczenia, aż do czasu, gdy wyszła z budynku i odwróciła się.

Ktoś powiedział, że powyżej pierwszego piętra nikt nie ocalał. Ktoś inny twierdził, że pożar wybuchł w stołówce; jeden z pacjentów zaczął płonąć, po nim drugi, trzeci i czwarty, zupełnie jak petardy. Spanikowany strażnik zaryglował drzwi, żeby nikt nie mógł się wydostać. Harper nigdy się nie dowiedziała, czy rzeczywiście tak było.

Niedługo potem na miejscu zjawili się żołnierze Gwardii Narodowej i zepchnęli tłum na drugi koniec parkingu. Straż pożarna z Portsmouth rzuciła do walki z żywiołem wszystkie swoje siły; strażacy z sześciu wozów dwoili się i troili, próbując ugasić pożar... choć wszyscy wiedzieli, że nic to nie da. Jęzory ognia wylewały się przez strzaskane okna. W deszczu czarnych popiołów strażacy uwijali się z obojętnością profesjonalistów, zalewając hektolitrami wody piec, w który zmienił się gmach szpitala. Na próżno.

Harper miała wrażenie, jakby otrzymała cios w głowę, straciła

przytomność i czekała, aż ciało złoży meldunek o kolejnych obrażeniach. Widok takiej ilości ognia i dymu sprawił, że nie była w stanie myśleć.

W pewnym momencie jej uwagę zwróciło coś dziwnego: jeden ze strażaków, nie wiedzieć czemu, stał wśród uciekinierów ze szpitala, podczas gdy tak naprawdę powinien uwijać się ze swoimi kolegami przy wozach strażackich. Zauważyła go tylko dlatego, że poczuła na sobie jego wzrok. Miał hełm, brudną żółtą kurtkę, a w jednej ręce trzymał narzędzie ratownicze - długi, żelazny pręt z jednej strony zakończony czymś na kształt łomu, a z drugiej obuchem siekiery. Mężczyzna wydał się jej znajomy. Był żyłastym, tyczkowanym człowiekiem w okularach, o ostrych rysach twarzy. Patrzył na nią ze smutkiem, gdy płatki popiołu tańczyły wokół nich niczym delikatny, czarny puch, osiadały na ramionach Harper i we włosach. Drobinka sadzy wpadła jej do nosa i Harper kichnęła.

Próbowała przypomnieć sobie, skąd zna tę smutną twarz. Badała swoje wspomnienia tak delikatnie, jak badałaby dziecięcą rękę, żeby zobaczyć, czy nie jest złamana. Tak, dziecko... Pomyślała, że poznała go dzięki dziecku. Tyle że coś tu nie pasowało. Uznała, że zachowuje się niepoważnie i najlepiej będzie, jeśli podejdzie do niego i zapyta, skąd się znajdują, ale kiedy zerknęła w jego stronę, mężczyzna zniknął.

Coś zawało się w budynku szpitala. Prawdopodobnie runęły szczątki dachu. Z okien najwyższego piętra buchnął czerwony dym, a dookoła posypały się fragmenty desek i kamienia. Żołnierz Gwardii Narodowej w niebieskich lateksowych rękawiczkach i z papierową maską na twarzy podniósł ręce nad głowę w geście poddania.

- Ludzie, musicie się przesunąć! Dla waszego dobra proszę, żebyście zrobili trzy kroki do tyłu. Na razie grzecznie proszę. Wierzcie mi, że nie chcielibyście, żebym zrobił się nieuprzejmy.

Harper zrobiła dwa kroki w tył i zachwiała się, czując, że kręci jej się w głowie i bardzo chce jej się pić. Marzyła o szklance zimnej wody, żeby przepłukać gardło, a jedynym rozsądnym miejscem, do którego mogła się udać, był dom. Nie miała samochodu - nie był jej potrzebny, skoro w ogóle nie opuszczała szpitala - więc odwróciła się gotowa iść pieszo.

Była już w połowie drogi do następnej przecznicy, kiedy

zorientowała się, że płacze. Nie wiedziała, czy są to łzy smutku, czy oczy łzawią jej od gęstego dymu. Popołudnie pachniało jak przyjęcie z grillem na letnim obozie, jak skwierczące na ogniu hot dogi. I nagle dotarło do niej, że zapach hot dogów jest w rzeczywistości odorem palonego mięsa. Ja śnię, pomyślała, to nie dzieje się naprawdę. Zaraz potem odwróciła się i zwymiotowała na trawę.

Na chodniku i na ulicy stały grupki ludzi, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Była mamą atrakcją w porównaniu z szalejącą pożogą. Zafascynowani płomieniami ludzie patrzyli z odrazą na ludzkie cierpienie. Harper otarła usta wierzchem dłoni i ruszyła w dalszą drogę.

Nie rozglądała się po twarzach zgromadzonych, więc Jakoba, który stał w tłumie, zauważyła, dopiero kiedy na niego wpadła.

Jego silne ramiona podtrzymały ją, gdy nogi ugięły się pod nią i mało brakowało, a osunęłaby się na ziemię.

- Dzięki Bogu, nic ci nie jest - wydyszał. - Boże... tak się bałem.

- Kocham cię - odparła, bo wydało jej się, że właśnie to należało powiedzieć, kiedy człowiek wydostał się z piekła, i tylko to ma znaczenie w chwilach takich jak ta.

- Zamknęli wszystkie drogi w promieniu półtora kilometra -szepnął.

- Tak się bałem. Przyjechałem rowerem. Jestem tu. Jestem przy tobie, kochanie.

Wyprowadził ją z tłumy w stronę słupa telefonicznego, o który oparł rower, ten sam, którym jeździł od czasów college'u: z dziesięcioma biegami i koszykiem na kierownicy. Jedną ręką prowadził rower, drugą obejmował Harper w talii. Oparła głowę na jego ramieniu. Szli pod prąd, tłum ruszył bowiem w stronę szpitala, w kierunku kolumny gęstego czarnego dymu i deszczu popiołów.

- Każdy dzień jest jak jedenasty września - odezwała się Harper. - Jak mamy żyć, kiedy każdy dzień naszego życia to jedenasty września?

- Będziemy żyć tak długo, jak się da.

Nie rozumiała, co miał na myśli, ale jego zapewnienie wystarczyło, żeby ją trochę uspokoić. Powiedział to z czułością, muskając palcami twarz Harper, i odgarnął jej włosy z oczu, a ona przywarła do niego całym ciałem. Otarł jej usta i policzek śnieżnobiałą chusteczką. Jakob zawsze miał przy sobie chusteczkę; było to stare - zdaniem Harper

urocze - przyzwyczajenie.

- Co robisz? - spytała.

- Ścieram ci z twarzy sadzę.

- Proszę - szepnęła. - Proszę.

Chwilę później przestał.

- Znacznie czyściej. I znacznie lepiej - ocenił i pocałował ją w policzek i usta. - Chociaż sam nie wiem, po co to zrobiłem.

Przez chwilę wyglądałaś jak mała dziewczynka z powieści Dickensa. Umorusana, ale urocza. Wynagrodzę ci to. Wrócimy do domu i trochę poświntuszmy. Co ty na to?

Roześmiała się. Jakob miał absurdalne poczucie humoru; w college'u występował jako mim w pantomimie. Potrafił też chodzić po linie - był zwinny w łóżku i równie dobrze radził sobie w życiu.

- W porządku - odparła.

- Choćby wszystko wokół nas miało spłonąć, będę trzymał cię w ramionach do samego końca - obiecał jej. - Nie uwolnisz się ode mnie.

Harp stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Wiedziała, że choć teraz się uśmiechał, on również płakał. Przytuliła głowę do jego piersi.

- Jestem taka zmęczona. Tym ciągłym strachem. I tym, że nie jestem w stanie pomóc ludziom.

Jakob ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Musisz dać sobie z tym spokój. Przestań myśleć, że twoim obowiązkiem jest naprawianie wszystkiego. Gaszenie wszystkich pożarów. - Dla podkreślenia wagi swoich słów spojrzał znacząco w stronę płonącego szpitala. - To nie ty masz ratować świat.

To, co mówił, było takie rozsądne i oczywiste, że z ulgi zakręciło się jej w głowie.

- Powinnaś zadbać o siebie - ciągnął. - Pozwól mi się sobą zaopiekować. Mamy tak mało czasu, żeby zatroszczyć się o siebie. Sprawimy, żeby był wyjątkowy. Żeby był pamiętny, i zaczniemy już dziś.

Czuła, że musi go znów pocałować. Jego wargi smakowały miętówkami i łzami. Odwzajemnił pocałunek ostrożnie i niepewnie, jak gdyby odkrywał ją po raz pierwszy, jakby pocałunek był dla niego zupełnie nowym doświadczeniem... eksperymentem. Kiedy na nią spojrzał, na jego twarzy malowała się powaga.

- To był ważny pocałunek - powiedział.

Powłócząc nogami, przeszli kolejne kilka metrów. Harper zamknęła oczy i przytuliła głowę do ramienia Jakoba. Po kilku krokach poczuła, że ramię, którym ją obejmował, tężeje. Półprzytomna dryfowała gdzieś między jawą a snem i potknęła się.

- Hej - usłyszała jego głos. - Koniec z tym. Posłuchaj. Musimy zawieźć cię do domu. Wskakuj. - Przerzucił nogę nad siodełkiem.

- Gdzie mam wskoczyć?

- Do koszyka.

- Nie możemy. Ja nie mogę.

- Możesz. Już to robiłaś. Zawiozę cię do domu.

- To prawie dwa kilometry.

- Całą drogę z górki. Wsiadaj.

Ostatni raz siedziała w koszyku na kierownicy roweru, kiedy wygłupiali się w college'u. Była wtedy chucherkiem - przy wzroście metr siedemdziesiąt ważyła pięćdziesiąt dwa kilogramy - i od tego czasu niewiele się zmieniło. Spojrzała na koszyk zawieszony na kierownicy i na drogę, która opadała łagodnie od szpitala i znikła za zakrętem.

- Zabijesz mnie - rzuciła.

- Nie. Nie dziś. Wskakuj.

Nie mogła mu się oprzeć. Z natury była skłonna do uległości i kompromisów. Przeszła na przód roweru, przerzuciła nogę nad kołem i usiadła w koszyku.

Chwilę później jechali, a rosnące przy drodze drzewa zdawały się płynąć w powietrzu. Z nieba niczym pióra spadały płatki popiołu i osiadały na włosach Harper i na daszku bejsbolówki Jakoba. Zanim się obejrzel, gnali wystarczająco szybko, żeby się zabić.

Szprychy furkotały. Kiedy odetchnęła, miała wrażenie, że ktoś wydarł jej powietrze z płuc.

Kiedy jedzie się na złamanie karku, można zapomnieć, że czas i przestrzeń są jednym i tym samym; widoczne kątem oka sosny i słupy telefoniczne zlewały się w rozmazaną smugę.

I nagle, w całym tym pośpiechu, czas rozciągnął się do tego stopnia, że sekunda, której potrzebowali, żeby przejechać sześć metrów, trwała dłużej niż inne sekundy. Harper czuła pęd powietrza w skroniach i w

dołku, dziękowała Bogu za Jakoba, za to, że wyrwała się ze szpitala, i za szaleńczą prędkość. Przez chwilę trzymała krawędź koszyka obiema rękami, ale słysząc szept szprych - podobne do monotonnej muzyki furkotanie - rozłożyła ręce i zamachała nimi niczym mewa szybująca na wietrze. Tymczasem świat gnał coraz szybciej, bez opamiętania.

6

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, Jakob prowadził ją korytarzem domu, a ona ziewała i ziewała jak dziecko, które już dawno powinno leżeć w łóżku. Czuła się jak pod wpływem środków uspokajających, rozbudzona, ale bezmyślna; nie wiedziała, co wydarzy się za chwilę, choć nietrudno było to przewidzieć. Jakob zaprowadził ją do sypialni, trzymając w dłoni jej drobną dziewczęcą rękę. Było jej dobrze. Czuła się zmęczona, a sypialnia wydawała się idealnym miejscem, żeby odpocząć. Pomógł jej zdjąć zielony fartuch pielęgniarki, a ona mu na to pozwalała. Miała na sobie jasnoróżową bieliznę w babcinym stylu, z majtkami, które sięgały do pępka. Je również ściągnął. Harper ziewnęła przeciągle i zakryła dłonią usta, na co on się roześmiał, bo właśnie nachylał się, żeby ją pocałować. Ona również się roześmiała. Śmiesznie było ziewnąć mu prosto w twarz.

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, przygotował dla niej kąpiel w głębokiej wannie na kutych żelaznych łapach, którą tak lubiła. Nie miała pojęcia, kiedy to zrobił, bo nie opuszczał jej ani na chwilę, a jednak kiedy weszła do łazienki, wanna była pełna. Światła były zgaszone, ale dookoła paliły się świece. Ucieszyła się na myśl o kąpieli, bo cuchnęła dymem, potem i szpitalem - ale przede wszystkim dymem - a skórę miała tłustą od popiołu, który mógł być przecież resztkami spalonych ciał.

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, Jakob obmywał jej plecy miękką myjką. Wyszorował jej szyję i uszy, a następnie zebrał włosy Harper na czubku głowy i zanurzył ją w wodzie. Wynurzyła się ze śmiechem. On także się śmiał i znowu zanurzył ją aż po szyję, a kiedy wystawiła głowę nad powierzchnię i otworzyła usta, żeby ziewnąć, pocałował ją. Następnie kazał jej wstać i namydlił całe jej ciało: piersi, plecy, szyję. Niespiesznymi, leniwymi ruchami umył wewnętrzną stronę jej ud, a gdy nie była w stanie dłużej znosić tych pieszczot, dał jej klapsa i kazał jej usiąść z powrotem.

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, Jakob powiedział:

- To takie tandetne, kiedy ludzie mówią „kocham cię”. To jak etykieta na buteleczce tabletek zawierających burzę hormonów i odrobinę lojalności. Nigdy nie lubiłem tego mówić. Wolę powiedzieć: „Jesteśmy razem, teraz i na wieki. Jesteś wszystkim, czego potrzeba mi do szczęścia. Dzięki tobie czuję, że wszystko jest jak należy”.

Wycisnął myjkę i strumień ciepłej wody spłynął jej po plecach. Harper zamknęła oczy, ale pod powiekami widziała czerwone światło świecy.

- Nie wiem, ile zostało nam czasu - ciągnął. - Może pięćdziesiąt lat. Może tydzień. Ale wiem, że wykorzystamy każdą sekundę bycia razem. Będziemy dzielić każdą chwilę i przeżywać wszystko razem. A ja swoim dotykiem i pocałunkami - dotknął jej i pocałował ją - udowodnię ci, że jesteś czymś najlepszym, co spotkało mnie w życiu. Wiem, że zabrzmiało to samolubnie, ale pragnę każdego skrawka twojego ciała i każdej minuty twojego życia. Nie ma już mojego życia. Tak jak nie ma twojego. Jest tylko nasze życie i zrobimy z nim to, na co będziemy mieć ochotę. Chcę, żeby każdy dzień był jak urodziny, i chcę kochać się z tobą każdej nocy. A kiedy nadejdzie nasz czas, sami zdecydujemy, jak odejść. Otworzymy butelkę szampana, którą kupiliśmy we Francji, będziemy słuchać ulubionej muzyki, pośmiejemy się, pożartujemy, weźmiemy pigułki szczęścia i pójdziemy spać. Odejdziemy z klasą, kiedy impreza dobiegnie końca, zamiast umierać, wrzeszcząc, jak ci smutni, zdesperowani ludzie, którzy ustawili się w kolejce do szpitala, żeby tam dokonać żywota.

Miała wrażenie, że kolejny raz słucha jego przysięgi małżeńskiej, słów równie romantycznych, słodkich i gorliwych. Podobały się jej.

Choć nie do końca. Było coś złego w nazywaniu ludzi, którzy przyszli do szpitala, „smutnymi” i „zdesperowanymi”. Było coś niemoralnego w wyśmiewaniu się z nich. Renee Gilmonton zorganizowała na oddziale godzinę czytania dla dzieci.

Ale Jakob miał dar przekonywania. Potrafił mówić o tym, jak bardzo chce jej dotykać i jak bardzo chce z nią być, i robił to z taką samą wprawą, z jaką jeździł na monocyklu albo chodził po linie. Był niski, krępy i umięśniony, miał prężny umysł, przez co kojarzył się Harper z umysłowym akrobatą. Czasami męczyły ją te jego intelektualne wygibasy; w takich chwilach miała wrażenie, że nie przeżywają

wszystkiego razem, czuła się jak jego publiczność, ktoś, kto oklaskuje jego ostatni skok przez płonącą obręcz egzystencjalizmu i fikołek na trampolinie nonkonformizmu. A jednak rozchyłała przed nim uda, bo jego ręce potrafiły robić rzeczy, których nie była w stanie znieść i które tak bardzo pragnęła poczuć. Poza tym wszystko, co mówił, znaczyło mniej więcej tyle, że jej pragnie i że bycie z nią czyni go szczęśliwym. Czuła, że musi go pocałować, więc obróciła się, przyciskając piersi do zimnej porcelany, i zatopiła palce w jego włosach, tak by nie mógł się odsunąć, dopóki ona nie nacieszy ust jego smakiem. Dopiero wtedy go puściła i ziewnęła, a on się roześmiał, i znowu wszystko było jak trzeba.

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, Harper wstała, a Jakob podał jej kieliszek czerwonego wina i otulił ją miękkim, ciepłym ręcznikiem. Pomógł jej wyjść z wanny i wyprowadził do przedpokoju, gdzie paliło się jeszcze więcej świec. Wytarł ją, zaprowadził do łóżka i tam, klęcząc, czekała, aż on się rozbierze i poczuje go w sobie, ale położył jej rękę na plecach i zmusił ją, żeby się położyła. Lubił, kiedy czekała; prawdę mówiąc, ona też to lubiła, podobało jej się, kiedy brał sprawy w swoje ręce. Nawilżył ją lubrykantem o zapachu truskawek. Leżał nagi obok niej; w skąpym świetle jego ciało wydawało się śniade i jeszcze bardziej umięśnione, a włosy na jego piersi czarniejsze i splątane.

Kiedy w końcu obrócił ją na bok i wszedł w nią, z ust Harper dobył się stłumiony jęk rozkoszy, bo wszystko wydarzyło się tak nagle, bo czuła, jak bardzo jest skupiony. Ledwie zaczął się poruszać, kiedy poczuł, że prezerwatywa się ześlizgnęła. Zamarł na chwilę i ściągnął brwi, ale Harper sięgnęła w tył, zdecydowanym gestem pozbyła się gumki, wbiła paznokcie w pośladek Jakoba i przyciągnęła go do siebie. Jej zielony, cuchnący dymem fartuch pielęgniarki leżał na podłodze. Już nigdy go nie włoży. We Francji płonęło dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych winnic, w Kalkucie spłonęło przeszło dwa miliony ludzi, a ona chciała jedynie poczuć go w sobie. Chciała widzieć jego twarz, kiedy szczytował. Pomyślała, że przed końcem roku i tak pewnie będą martwi, a przecież nigdy wcześniej nie robili tego w ten sposób.

Wieczorem, w dniu, kiedy spłonął szpital, kochali się w blasku świec, dając początek nowemu życiu.

SIERPIEŃ

7

Harper była pod prysznicem, gdy zobaczyła pręgę na wewnętrznej stronie lewego uda.

Od razu wiedziała, co to jest, i poczuła, jak kleszcze strachu za-ciskają się na jej żołądku. Wytarła jednak twarz i zbesztła się:

- Nie zaczynaj, młoda damo. To tylko przeklęty siniak.

To, na co patrzyła, nie wyglądało jednak jak siniak. Wyglądało jak smocza łuska: ciemny, niemal atramentowoczarny pasek, tu i ówdzie upstrzony drobinkami złota. Kiedy się pochyliła, zobaczyła kolejne znamię - tym razem na lewej łydce - i wyprostowała się gwałtownie. Zakryła usta rękami, chcąc zdusić żaloszny jęk, który brzmiał niczym szloch. Nie chciała, żeby Jakob ją usłyszał.

Wyszła spod prysznic, nie zakręciwszy wody. Teraz i tak nie miało to znaczenia. Nie marnowała przecież ciepłej wody. Ciepła woda się skończyła. Od dwóch dni nie mieli prądu. Poszła pod prysznic, żeby zmyć z siebie uczucie lepkości. Powietrze w domu było ciężkie i duszne, przez co czuła się, jakby cały dzień siedziała pod stertą koców.

Do głosu doszła ta część Harper, która przez pięć lat była pielęgniarzką - opanowane, niemal powściągliwe „ja”, zachowujące spokój nawet wtedy, gdy podłoga lepiała się od krwi, a pacjent wył z bólu. Opanowała szlochanie i próbowała się uspokoić. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli się wytrze i jeszcze raz obejrzy nogę. W końcu mógł to być tylko siniak. Od dziecka łatwo robiły jej się siniaki i nieraz odkrywała wielkie, ciemne stłuczenie na biodrze albo ramieniu, choć mogłaby przysiąc, że się nie uderzyła.

Dokładnie wytarła się ręcznikiem, oparła lewą nogę o wannę i obejrzała ją w lustrze. Poczuła pod powiekami piekące łzy. Wiedziała, na co patrzy. Na aktach zgonu wpisywano, że przyczyną śmierci był *Draco incendia trichophyton*, ale nawet minister zdrowia nazywał to „smoczą łuską”. Przynajmniej do czasu, aż sam spłonął żywcem.

Pręga na łydce przypominała delikatną smugę czerni - była ciemniejsza niż jakikolwiek siniak - z widocznymi tu i ówdzie jasnymi plamkami. Po bliższym zbadaniu doszła do wniosku, że znamię na udzie wygląda jak znak zapytania albo sierp. Chwilę później jej uwagę zwrócił niepokojący cień w okolicach obojczyka, a gdy odgarnęła włosy, zobaczyła kolejne ciemne znamię upstrzone migotliwymi drobkami smoczej łuski.

Starła się uspokoić oddech i opanować zawroty głowy, kiedy do łazienki wszedł Jakob.

- Hej, skarbie, muszę skoczyć do... - zaczął i urwał, patrząc na nią w lustrze.

Na widok jego twarzy Harper poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Postawiła stopę na podłodze i odwróciła się w jego stronę. Chciała, żeby objął ją i przytulił, wiedziała jednak, że nie powinien jej dotykać, zresztą sama by mu na to nie pozwoliła.

Jakob zatoczył się do tyłu i spojrzał na nią przerażonym, niewidzącym wzrokiem.

- Chryste, Harp. Koch-nie. - W jego ustach zabrzmiało to jak dwa słowa. - Masz to wszędzie. Na nogach. Na plecach.

- Nie - jęknęła bezsilnie. - Nie. Nie, nie, nie! - Robiło jej się niedobrze na samą myśl, że ma to na skórze w miejscach, których nie może zobaczyć.

- Zostań tam - rzucił, wyciągając rękę, choć nie zrobiła nawet kroku.
- Zostań w łazience.

- Jakob... Chcę zobaczyć, czy się nie zaraziłeś.

Gapił się na nią zdumiony, jakby nie rozumiał, co do niego mówi, a kiedy w końcu dotarło do niego znaczenie jej słów, w jego oczach nastąpiła subtelna zmiana. Przygarbił się. Mimo opalenizny wydawał się blady i wymizerowany, skórę miał poszarzałą, jakby długo przebywał na chłodzie.

- Po co? - spytał w końcu.

- Chcę zobaczyć, czy ty też to masz.

Pokręcił głową.

- Oczywiście, że tak. Skoro ty to masz, to ja też. Pieprzyliśmy się. Ubiegłej nocy. I dwa dni temu. Nawet jeśli teraz nic nie zobaczysz, zmiany pojawią się za kilka dni.

- Jakob... Chcę cię obejrzeć. Wczoraj nie widziałam na sobie żadnych pręg. Ani zanim się kochaliśmy, ani potem. Nie do końca wiadomo, jaką drogą przenosi się choroba, ale wielu lekarzy uważa, że dopóki na skórze nie wystąpią widoczne zmiany, ten ktoś nie zaraża.

- Było ciemno. Siedzieliśmy przy świecach. Nawet gdyby któreś z nas zauważyło zmiany na twojej skórze, pomyślałoby, że to cień - odparł. Mówił monotonnym, grobowym głosem. Przerazenie, które widziała na jego twarzy, było jak błyskawica; pojawiło się i zaraz potem znikło zastąpione czymś znacznie gorszym: obojętną rezygnacją.

- Zdejmij ubrania - powiedziała.

Zdjął koszulkę przez głowę i cisnął ją na podłogę. Bacznie obserwował Harper oczami, które w skąpo oświetlonym pomieszczeniu wydawały się niemal bursztynowe. Z rozłożonymi ramionami, skrzyżowanymi nogami i uniesioną brodą wyglądał jak Chrystus na krzyżu.

- Widzisz coś?

Pokręciła głową.

Odwrócił się, wciąż nie opuszczając rąk, i obejrzał się przez ramię.

- A na plecach?

- Nie. Zdejmij spodnie.

Znowu się odwrócił, ale posłusznie rozpiął dzinsy. Stali metr od siebie. Czują jakąś okrutną, erotyczną fascynację, gdy przyglądała się, jak powoli, niemal leniwie rozbiera się przed nią; jak rozpina pasek, opuszcza spodnie i zdejmuje bieliznę. Przez cały czas patrzył jej w oczy. Jego twarz przypominała maskę, nieruchomą i beznamiętną.

- Nic - uspokoiła go.

Jakob się odwrócił. Spoglądała w milczeniu na umięśnione, opalone uda, blade pośladki i widoczne nad nimi bliźniacze dołeczki.

- Nic - powtórzyła.

- Czemu nie zakręcasz prysznic? - zapytał.

Harper zakręciła wodę. Podniosła ręcznik i wróciła do wycierania włosów. Tak długo, jak skupiała się na tym, by uspokoić oddech, i tak długo, jak robiła to, co zawsze po prysznicu, czuła, że jest w stanie zapanować nad łzami cisnącymi się jej do oczu. Nad krzykiem, który uwiązał jej w gardle. Bała się, że jeśli zacznie krzyczeć, nie będzie mogła przestać.

Zrobiła z ręcznika turban na głowie i weszła do pogrążonej w mroku, dusznej sypialni.

Jakob przysiadł na skraju łóżka. Włożył spodnie, ale zmiętą koszulkę trzymał na kolanach. Stopy miał bosc. Zawsze kochała te stopy, opalone, kościste, niemal architektoniczne w swojej delikatnej, kanciastej budowie.

- Przykro mi, że zachorowałam - powiedziała i poczuła, że zaraz się rozpłaczę. - Przysięgam, wczoraj dokładnie się obejrzałam i niczego nie widziałam. Może ty nie zachorujesz. Może nic ci nie będzie.

Niemal zakrztusiła się ostatnim słowem. Gardło miała ściśnięte od szlochu, który wzbierał w płucach i próbował się wydostać. Przychodziły jej do głowy straszne rzeczy, ale nie potrafiła o nich nie myśleć.

Była martwa, podobnie jak on. Zaraziła ich oboje i przez nią spłoną jak inni. Wiedziała o tym i - sądząc po jego twarzy - on też o tym wiedział.

- Musiałś bawić się w pieprzoną Florence Nightingale! - rzucił wściekle.

- Przepraszam.

Chciała, żeby rozpłakał się razem z nią. Pragnęła wyczytać z jego twarzy jakiegokolwiek uczucie, wiedzieć, że Jakob walczy z tymi samymi emocjami co ona. Ale widziała jedynie pustkę, dziwne, sterylne spojrzenie i bezwładnie zwisające ręce.

- Popatrz na to z innej strony - odezwał się, zerkając na jej brzuch. - Przynajmniej nie będziemy musieli wymyślać imienia, jeśli się okaże, że to dziewczynka.

Poczuła się, jakby ją uderzył. Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok. Zamierzała znów przeprosić, ale to, co dobyło się z jej ust, było zduszonym, żalonym jękiem.

O dziecku dowiedzieli się tydzień temu. Jakob posłał jej słaby uśmiech, kiedy pokazała mu niewyraźny krzyżyk na teście ciążowym, ale kiedy zapytała go, co właściwie czuje, odparł: „Jakbym potrzebował trochę czasu, żeby to ogarnąć”.

Dzień później w Manchesterze w stanie New Hampshire spłonęła doszczętnie Verizon Arena, w której przebywało tysiąc dwustu uchodźców - nikt nie uszedł z życiem - i Jakob został oddelegowany

przez Urząd Robót Publicznych do uprzątnięcia gruzów i wyciągnięcia ciała z pogorzeliska. Nie było go trzynaście godzin dziennie, a kiedy wracał do domu umazany sadzą i milczący po tym, co tam zobaczył, rozmowy o dziecku wydawały się nie na miejscu. Gdy jednak zasypiał, tuląc się do niej, z ręką na jej brzuchu, miała nadzieję, że gdzieś jeszcze jest w nim radość i że nie do końca utracił sens życia.

W pośpiechu włożył koszulkę.

- Ubierz się, proszę - odezwał się. - Łatwiej będzie mi się skupić, jeśli nie będziesz naga.

Płacząc, podeszła do szafy. Czowała, że nie jest w stanie znieść beznamietności w jego głosie. Była gorsza niż świadomość, że zaraziła się i umrze.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień - temperatura w sypialni już przekroczyła dwadzieścia stopni, a niebawem zrobi się jeszcze cieplej - a ona przetrząsała szafę w poszukiwaniu letniej sukienki na ramiączkach. Wybrała białą, prostą, w której czuła się świeżo i czysto, a właśnie tego było jej potrzeba. Dopiero po chwili dotarło do niej, że jeśli ją włoży, Jakob będzie widział czarne znamię na łydce, a chciała mu oszczędzić tego widoku. Szorty też nie wchodziły w grę. Znalazła znoszony, stary szlafrok w żółtawym kolorze taniej margaryny.

- Musisz iść - powiedziała, stojąc do niego plecami. - Musisz wynieść się z domu, jak najdalej ode mnie.

- Myślę, że na to jest już za późno.

- Nie wiemy, czy jesteś nosicielem. - Zawiązała szlafrok, ale się nie odwróciła. - Dopóki nie będziemy pewni, musimy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Powinieneś spakować kilka rzeczy i wynieść się z domu.

- Dotykałaś wszystkich ubrań. Prałaś je w zlewie. I rozwieszałaś na sznurku nad wanną. Składałaś i chowałaś do szafek.

- Więc idź gdzieś i kup nowe ubrania. Może Target będzie jeszcze otwarty.

- Jasne. Może skoro już tam będę, zarazę smoczą łuską jakąś miłą kasjerkę.

- Mówiłam ci. Nie wiadomo, czy można zarazić się od kogoś, kto nie ma zmian na skórze.

- Właśnie. Nie wiadomo. Nic nie wiadomo. Ci, którzy się tym

zajmują, głównie wiedzą. Gdyby wiedzieli, jaką drogą przenosi się choroba, nie byłibyśmy w tej sytuacji, prawda, skarbie?

Nie podobał jej się kpiarski, ironiczny ton, z jakim wypowiedział ostatnie słowo. Graniczył z pogardą.

- Byłam ostrożna. Naprawdę ostrożna - odparła.

Przypomniała sobie - z niemal bolesnym rozżaleniem - jak przez cały dzień gotowała się w kombinezonie ochronnym Tyvek, który lepił się do jej zaczerwienionej, spoconej skóry. Potrzebowała dwudziestu minut, żeby go włożyć, i kolejnych dwudziestu, żeby go zdjąć; najpierw jednak musiała wziąć pięciominutowy prysznic ze środkiem dezynfekującym. Pamiętała, jak cuchnęła gumą, środkiem dezynfekującym i potem. Nosila na sobie ten zapach przez dwa miesiące, odkąd zaczęła pracę w Portsmouth Hospital. Przez dwa miesiące cuchnęła industrialnym smrodem, a i tak się zaraziła. Teraz wszystko to wydawało się kiepskim żartem.

- Nie przejmuj się. W torbie na siłownię mam jakieś ciuchy, które mogę włożyć - powiedział. - Rzeczy, których nie dotykałaś.

- Dokąd pójdziesz?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? Widzisz, co narobiłaś?

- Przepraszam.

- Tak, to zdecydowanie zmienia postać rzeczy. Od razu mi lepiej, jak sobie pomyślę, że oboje spłonimy.

Skoro złość sprawia, że Jakob zapomina o strachu, to niech się złości, uznała Harper. Nie chciała, żeby coś mu się stało.

- Możesz przenocować w siedzibie Urzędu Robót Publicznych? - spytała. - Unikając kontaktu z innymi?

- Nie. Ale Johnny Deepenau nie żyje, a klucze do swojej małej, górnianej przyczepy zostawił w szafce. Mógłbym tam się zatrzymać. Pamiętasz Johnny'ego? Jeździł freightlinerem z numerem trzy.

- Nie wiedziałam, że był chory.

- Bo nie był. Rzucił się z mostu Piscataqua po tym, jak jego córka zachorowała i spłonęła.

Nie wiedziałam - powtórzyła.

- Pracowałaś. Byłaś w szpitalu. W ogóle nie wracałaś do domu. To nie jest coś, o czym pisze się w SMS-ach. - Jakob zamilkł. Spuścił głowę, a jego oczy utonęły w cieniu. - Poniekąd go podziwiam. Facet

zrozumiał, że widział już wszystko, co najlepsze w życiu, i uznał, że nie ma sensu czekać na całą gównianą resztę. Johnny Deepenau był pijącym budweisera, oglądającym futbol, głosującym na Donalda Trumpa zimnym draniem, który nigdy nie przeczytał niczego głębszego niż „Penthouse”, ale przynajmniej tyle wiedział. Chyba będę rzygał - powiedział tym samym matowym głosem i wstał.

Harper wyszła za nim do przedpokoju. Jakob nie poszedł do łazienki przylegającej do ich sypialni. Domyślała się, że jej używanie było teraz zakazane, skoro to ona korzystała z niej ostatnia. Wszedł do małej łazienki pod schodami, podczas gdy ona została w przedpokoju i starając się opanować łzy, słuchała, jak wymiotuje. Nie chciała się przy nim rozklejać, nie chciała obciążać go swoimi emocjami. Z drugiej strony pragnęła, żeby powiedział jej coś miłego, żeby wiedziała, że się o nią martwi.

Słyszając szum spuszczonej wody, cofnęła się od drzwi, żeby zrobić mu miejsce, i stanęła przy biurku, przy którym wieczorami pisał. Zastępcą kierownika Urzędu Robót Publicznych w Portsmouth został prawie przez przypadek; zamierzał być powieściopisarzem. Sześć lat temu rzucił college, żeby pisać, i od tamtej pory pracował nad książką. Miał sto trzydzieści stron, których nigdy nie pozwolił nikomu przeczytać, nawet Harper. Zatyłował powieść: *Orzac pustkowia*. Nigdy mu nie powiedziała, jak nienawidzi tego tytułu.

Chwilę później wyszedł z łazienki, ruszył w stronę pokoju i zatrzymał się w progu. Po drodze sięgnął po besjbolówkę z napisem *Freightliner*, którą nosił tak, jak hipsterzy z Brooklynu nosili czapeczki z logo producenta traktorów Johna Deere'a. To znaczy, jeśli w Brooklynie zostali jeszcze jacyś hipsterzy. I jeśli w ogóle kiedykolwiek to robili.

Widoczne pod daszkiem oczy były przekrwione i rozbiegane. Harper zastanawiała się, czy płakał w łazience. Na myśl o tym, że płakał nad nią, poczuła się trochę lepiej.

- Chcę, żebyś zaczęła - zwrócił się do niej.

Spojrzała na niego pytająco, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Kiedy będziemy mieć pewność, czy to mam? - spytał.

- Za osiem tygodni. Jeśli do końca października nie pojawią się żadne objawy, będzie to znaczyło, że jesteś zdrowy.

- W porządku. Osiem tygodni. To jakaś farsa! Oboje wiemy, że skoro

ty to masz, to ja też, ale zaczekamy. Jeśli się okaże, że oboje jesteśmy chorzy, zrobimy to tak, jak mówiliśmy. - Zamilkł na chwilę, wbił wzrok w podłogę i pokiwał głową. - Jeśli nic mi nie będzie, chcę, żebyś wiedziała, że będę przy tobie, kiedy to się stanie.

- Co zrobimy?

Spojrzał na nią, wyraźnie zdumiony jej zaskoczeniem.

- Zabijemy się. Chryste. Rozmawialiśmy o tym. O tym, co zrobimy, jeśli zachorujemy. Oboje uznaliśmy, że lepiej będzie, jak po prostu... zaśniemy. Zamiast czekać, aż spłoniemy.

Coś ścisnęło ją za gardło i nie wiedziała, czy będzie w stanie cokolwiek wydusić, po chwili jednak odzyskała głos.

- Ale przecież jestem w ciąży.

- W takim stanie nigdy nie urodzisz.

Zaskoczyła ją własna reakcja; pierwszy raz poczuła się urażona jego beznamietną pewnością siebie.

- Nie, mylisz się - odparła. - Nie jestem ekspertem, ale wiem o tej chorobie więcej niż ty. Są badania, dobre badania, które pokazują, że wirus nie jest w stanie pokonać bariery łożyskowej. Dociera do innych miejsc, do mózgu, płuc... wszędzie, tylko nie tam.

- Bzdura! Nie ma na to żadnych dowodów. Żadnych wiarygodnych badań. Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie to tłacza się kupa gruzu. Nikt nie zajmuje się już tym głównym. Era nauki dobiegła końca. Możemy jedynie uciekać i mieć nadzieję, że to cholerstwo samo się wypali, zanim ostatni człowiek spłonie na popiół. - Wybuchł suchym, pozbawionym humoru śmiechem.

- Wciąż trwają badania. W Belgii. I w Argentynie - powiedziała. - Ale dobrze, skoro nie chcesz mi wierzyć, to twoja sprawa. Musisz jednak wiedzieć, że w lipcu chora kobieta urodziła w szpitalu zdrowe dziecko. Na oddziale pediatrycznym odbyła się impreza. Zjedliśmy na wpół roztopione lody wiśniowe i na zmianę braliśmy dziecko na ręce. - Nie wspomniała, że personel medyczny spędził z noworodkiem znacznie więcej czasu niż jego matka. Lekarze nie pozwolili jej go dotknąć i wynieśli chłopca z pokoju, słuchając krzyków kobiety, która błagała, żeby przynieśli jej synka, bo chce jeszcze raz na niego spojrzeć.

Twarz Jakoba nie wyrażała żadnych emocji. Zacisnął usta w białą, wąską kreskę.

- I co z tego? - rzucił. - Ile czasu mają ci, którzy chorują? W najlepszym wypadku? Po tym, jak zauważą zmiany na skórze?

- Każdy przypadek jest inny. Są tacy, którzy zachorowali na samym początku i nadal żyją. Mogę przeżyć...

- Trzy miesiące? Cztery? Jaka jest średnia? Myślę, że dwa miesiące. Dowiedziałaś się o ciąży zaledwie dziesięć dni temu. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Wzięłaś coś, żeby się nami zająć?

- O co ci chodzi? - Nie nadążała za tokiem jego myśli.

- Załatwiłaś coś? Mówiłaś, że się tym zajmiesz. Że załatwisz to... to, co lekarz przepisał mi po leczeniu kanałowym.

- Vicodin?

- Jakby co, możemy to rozkruszyć, tak?

Pasek szlafroka rozwiązał się i wisiał smętnie, ale nie miała siły go poprawić i zapomniała, że chciała oszczędzić Jakobowi widoku swojego zakażonego ciała.

- Tak. To jeden z mniej bolesnych sposobów na odebranie sobie życia. Wystarczy rozgnieść dwadzieścia tabletek.

- A więc tak to zrobimy. Jeśli oboje zachorujemy.

- Ale ja nie mam vicodinu. Nie załatwiłam go.

- Dlaczego? Rozmawialiśmy o tym. Mówiłaś, że się tym zajmiesz. Powiedziałaś, że ukradniesz trochę ze szpitala, a jeśli zachorujemy, napijemy się wina, posłuchamy muzyki, weźmiemy prochy i odpłyniemy.

- Kompletnie o tym zapomniałam. Uciekając ze szpitala, myślałam tylko o tym, żeby nie spłonąć żywcem. - Chociaż, dodała w duchu, zważywszy na moją obecną sytuację, przed niczym nie uciekłam.

- Przywlokłaś do domu smoczą łuskę, ale nie pomyślałaś, żeby zabrać coś, dzięki czemu moglibyśmy z sobą skończyć. A jakby tego było mało, zaszłaś w ciążę. Chryste, Harper. Nieźle jak na jeden miesiąc. - Roześmiał się; było to krótkie chrapliwe szczeknięcie. Chwilę później dodał: - Może ja coś skołuję. Jakąś broń, jeśli będzie trzeba. Deepeneau miał pick-upa oklejonego nalepkami z NRA². Musiał mieć w domu jakąś broń.

- Jakob, ja nie zamierzam odbierać sobie życia - odparła. - To, o czym rozmawialiśmy, zanim zaszłam w ciążę, jest teraz bez znaczenia.

Jestem chora, ale spodziewam się dziecka, a to wszystko zmienia. Nie rozumiesz?

- Jezu, kurwa, Chryste! To nawet nie jest jeszcze dziecko. To skupisko bezmyślnych komórek. Poza tym znam cię. Gdyby się okazało, że dziecko ma jakąś wadę, zdecydowałabyś się na aborcję. Na litość boską, pracowałaś w przeklętej klinice. Codziennie mijałaś ludzi, którzy krzyczeli, że jesteś morderczynią, i nazywali cię dzieciobójczynią.

- To dziecko nie ma żadnej wady, a nawet gdyby miało... Nie... to nie znaczy, że...

- Upieczenie żywcem w łonie matki można chyba nazwać wadą. Nie sądzisz?

Udawał opanowanego, ale Harper widziała, że się trzęsie.

- Zaczekajmy - rzucił w końcu. - Dajmy temu trochę czasu i zobaczymy, czy ja też złapałem to cholerstwo. Może za osiem tygodni znowu będziemy myśleć podobnie. Może w pewnym momencie przestaniesz patrzeć na wszystko tak samolubnie.

Powiedziała mu, że powinien wynieść się z domu, choć tak naprawdę wcale nie chciała, żeby sobie szedł. Miała nadzieję, że z nią zostanie, że może przeniesie się do piwnicy. Przerazała ją myśl, że zostawi ją samą z chorobą; potrzebowała jego spokoju i opanowania, nawet jeśli nie mogła się do niego przytulić.

W ciągu ostatniej minuty coś się jednak zmieniło. Teraz była gotowa pozwolić mu odejść. Pomyślała, że tak będzie lepiej dla nich obojga, jeśli on wyjdzie, a ona zostanie sama w tym ciemnym, cichym domu - będzie mogła myśleć albo nie myśleć, siedzieć bez ruchu, płakać albo robić, co do niej należy - wolnym od jego przerażenia i obrzydzenia.

- Pojadę rowerem do pracy - oznajmił. - Wezmę klucze z szafki Johnny'ego Deepenau. Zadzwońię po południu.

- Nie martw się, jeśli nie odbiorę. Może odłożę słuchawkę, żebym mogła spać. - Roześmiała się gorzkim śmiechem bez cienia wesołości. - Może się obudzę i okaże się, że to był tylko zły sen.

- Tak. Miejmy nadzieję, skarbie. Ale jeśli to naprawdę zły sen, to śnimy go oboje. - Rozciągnął usta w przelotnym nerwowym uśmiechu i przez krótką chwilę znów był jej Jakiem, jej starym przyjacielem.

Był w drodze do drzwi, kiedy rzuciła za nim:

- Tylko nie mów nikomu.

Zastygł z ręką na klamce.

- Dobrze. Nie powiem.

- Nie pojedę do Concord. Słyszałam opowieści o tamtejszym szpitalu.

- Taa. Podobno to obóz śmierci.

- Nie wierzysz w to?

- Oczywiście, że wierzę. Każdy, kto tam trafia, jest zarażony tym gównem. Wszyscy tam umrą. Więc tak, to obóz śmierci.

Z definicji. - Otworzył drzwi na upalny, zadymiony dzień. - Nie posłałbym cię tam. Tkwimy w tym oboje. Nie oddam cię w łapy jakiegoś anonimowego urzędu. Sami sobie z tym poradzimy.

Harper pomyślała, że chciał, żeby zabrzmiało to pocieszająco, ale nie wiedzieć czemu, wcale nie poczuła się przez to lepiej.

Jakob zszedł po schodach, krętą ścieżką ruszył w stronę garażu i chwilę później straciła go z oczu. Zostawił otwarte drzwi, jakby spodziewał się, że wyjdzie za nim i będzie patrzyła, jak odjeżdża. Jakby tego od niej wymagał. I może rzeczywiście tak było. Zawiązała szlafrok, przecięła przedpokój i stanęła w drzwiach wyjściowych, gdy on tymczasem zarzucił rower na ramię i wyniósł go na podjazd. Patrzył pod nogi i nie odwrócił się.

Zadarła głowę i rozejrzała się. Brudnoszare niebo wisiało ciężko nad białą wieżyczką North Church. Przez całe lato nad Portsmouth unosił się dym. Czytała gdzieś, że dwanaście procent stanu New Hampshire płonie, ale nie wyobrażała sobie, żeby to była prawda. Oczywiście w porównaniu z Maine to i tak nieźle. Sytuacja w Maine była głównym tematem wszystkich lokalnych wiadomości. Pożar, który wybuchł w Kanadzie, dotarł w końcu do drogi I-95, skutecznie dzieląc stan na dwie części, płonące nieużytki o szerokości niemal stu sześćdziesięciu kilometrów. Żeby ugasić pożary, potrzebny był deszcz, ale ostatnie chmury niżowe dosłownie wyparowały w zetknięciu z upałem. Meteorolog ze stacji NPR twierdził, że deszcz skwierczy jak ślina na rozgrzanym palniku.

Tu i ówdzie były w niebo kłęby dymu, brązowe, brudne pętle unoszące się nad muzeum Strawberry Banke. Zawsze coś płonęło: dom, sklep, samochód, człowiek. Zadziwiająco, jak bardzo kopci ludzkie

ciało, kiedy stanie w płomieniach.

Z miejsca, w którym stała na szczycie schodów, widziała drogę do cmentarza South Street. Jedną z wyspanych żwirem cmentarnych alejek toczył się samochód. Kierowca jechał wolno, jakby próbował znaleźć miejsce na zatłoczonym parkingu. Szyba od strony pasażera była opuszczona, a z wnętrza pojazdu buchały płomienie, tak wysokie, że Harper nie była w stanie dostrzec osoby, która siedziała za kółkiem.

Patrzyła, jak samochód zjeżdża ze ścieżki w trawę i delikatnie zatrzymuje się na jednym z nagrobków. Nagle przypomniała sobie, że wyszła zobaczyć, jak Jakob odjeżdża do pracy. Przez chwilę szukała go wzrokiem, ale już go nie było.

WRZESIEŃ

8

Dwa dni później jej lewe ramię przypominało pięciolinię z zapisanymi na niej nutami. Subtelne czarne zawijasy oplatały przedramię, cienkie niczym pajęczna sieć z rozsypanymi na niej złotymi brzuszkami nut. Harper łapała się na tym, że co kilka minut mimowolnie podwija rękaw, żeby na nie popatrzeć. Przed końcem następnego tygodnia była pokryta smoczą łuską od nadgarstka aż po ramię.

Pewnego dnia podciągnęła koszulkę i przeglądając się w lustrze zamontowanym na wewnętrznej stronie drzwi szafy, zobaczyła czamozłoty pasek, który zdobił jej krzyż niczym delikatny tatuaż. Kiedy w końcu się uspokoiła, musiała przyznać, że jest w nim coś zadziwiająco pięknego.

Czasami rozbierała się do bielizny i w blasku świec oglądała nowe malunki na skórze. Spała niewiele i oględziny te zwykle odbywały się po północy. Tak jak jedni widzą czyjaś twarz w blasku pełgającej świecy, a inni dostrzegają postać w nierównej strukturze drewna, tak ona widziała w smoczej łusce na wpół ukończone obrazy.

O tej porze zwykle dzwonił Jakob z przyczepy nieżyjącego Johnny'ego Deepenau. On również cierpiał na bezsenność.

- Pomyślałem, że sprawdzę, co u ciebie - rzucił do słuchawki. - Że dowiem się, co dziś robiłaś.

- Krzątałam się po domu. Zjadłam resztkę makaronu. Robiłam wszystko, żeby nie zmienić się w kupkę popiołu. A co u ciebie?

- Gorąco. Strasznie tu gorąco. Zawsze.

- Otwórz okno. Na zewnątrz jest chłodno. Ja pootwierałam wszystkie, i dobrze mi.

- Ja też pootwierałem okna i umieram z gorąca. Czuję się, jakbym próbował zasnąć w nagrzanym piekarniku.

Nie podobała jej się złość, z jaką mówił o tym, że jest mu gorąco,

zupełnie jakby sfiksował na tym punkcie, jakby traktował upał jako osobistą zniewagę.

Próbowała odwrócić od tego jego uwagę, przemawiając do niego leniwym, niemal sennym tonem:

- Na wewnętrznej stronie lewego ramienia mam łuskę, która wygląda jak otwarty parasol. Parasol unoszący się na wietrze. Myślisz, że to, co powoduje chorobę, ma jakieś artystyczne zacięcie? Że reaguje na naszą podświadomość i próbuje ozdobić skórę obrazkami, które mogłyby się nam spodobać?

- Nie mam ochoty rozmawiać o tym cholerstwie, które masz na sobie. Na samą myśl o tym obrzydlistwie zaczynam się trząść.

- Bardzo jesteś miły. Dziękuję.

Usłyszała gniewne prychnięcie.

- Przepraszam. Nie... nie jestem zobojętniały.

Roześmiała się, zaskakując nie tylko jego, ale i siebie. Stary, dobry Jakob czasami używał takich mądrych, wyszukanych słów. *Zobojętniały*. Zanim rzucił college, jego przedmiotem kierunkowym była filozofia, i nadal miał zwyczaj przeczesywać swój zasób słownictwa w poszukiwaniu najwłaściwszego słowa, które w niewyjaśniony sposób zawsze okazywało się tym nieodpowiednim. Czasami poprawiał też jej pisownię.

Harper zastanawiała się bezmyślnie, dlaczego musiała zachorować, żeby zauważyć, że ich małżeństwo było chore.

- Przepraszam - zaczął znowu. - Naprawdę. Po prostu konam z gorąca. Trudno w takich okolicznościach być... troskliwym.

Nagły powiew wiatru przemknął przez pokój, chłodząc jej nagi brzuch. Nie miała pojęcia, jak mogło być mu gorąco, gdziekolwiek teraz był.

- Tak sobie myślałam, czy smocza łuska nie zaczęła rysować na mojej skórze parasolki Mary Poppins. Wiesz, ile razy oglądałam *Mary Poppins*?

- Smocza łuska nie reaguje na twoją podświadomość. To ty na nią reagujesz. Widzisz rzeczy, które chcesz widzieć.

- Brzmi sensownie - przyznała. - Ale wiesz co? Szpitalny ogrodnik miał na nogach smoczą łuskę, która wyglądała jak wytatuowane winorośle. Jeśli się dobrze przyjrzało, można było zobaczyć pojedyncze

liście i inne szczegóły. Wszyscy się zgadzali, że wygląda jak bluszcz. Zupełnie jakby choroba chciała w ten sposób upamiętnić jego pracę.

- Bo tak to wygląda. Jak plątanina ciernistych krzaków. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Raczej nie sądzę, żeby smocza łuska dotarła już do mojego mózgu, więc tak naprawdę nic o mnie nie wie. Potrzeba tygodni, żeby dowiedziała się, co siedzi mi w głowie. Wciąż jeszcze jesteśmy na etapie poznawania się.

- Chryste - jęknął Jakob. - Zaraz spłonę tu żywcem.

- Jeśli potrzebujesz współczucia, zadzwoniłeś do niewłaściwej osoby
- odparła.

Kilka nocy później nalala kieliszek czerwonego wina i przeczytała pierwszą stronę powieści Jakoba. Obiecała sobie, że jeśli okaże się dobra, przy okazji następnej rozmowy powie mu, że ją przejrzała i że bardzo jej się podoba. Przecież nie mógł się złościć, że złamała obietnicę i przeczytała rękopis bez jego zgody. Była w końcu śmiertelnie chora. Coś takiego zmienia postać rzeczy.

Po pierwszej stronie wiedziała już jednak, że nie należy spodziewać się żadnych fajerwerków, i odłożyła powieść, czując przy tym wyrzuty sumienia, jakby wyrządziła Jakobowi jakąś krzywdę.

Chwilę później, po drugim kieliszku wina - dwa kieliszki nie wyrządzą dziecku żadnej krzywdy - przeczytała kolejne trzydzieści stron. I na tym musiała skończyć. Nie mogła czytać dalej i wciąż go kochać. Zresztą i tak przeczytała o trzydzieści stron za dużo.

Bohaterem powieści był były student filozofii (J.), który miał niewdzięczną pracę w Urzędzie Robót Publicznych i tkwił w równie nieudanym małżeństwie z głupiutką, radosną blondynką, która nie potrafiła pisać, czytała powieści dla młodzieży - bo beletrystyka dla dorosłych przerastała jej możliwości intelektualne - i nie miała pojęcia o wewnętrznych mękach, jakie przeżywa jej mąż. Żeby zrekompensować sobie egzystencjalne rozczarowania, J. wdawał się w liczne romanse z kobietami, które Harper bez problemu rozpoznała (jedną z nich była nieżyjąca Cindy Pym, która skończyła jako gorąca przekąska dla trzech psów rasy corgi). Harper uznała, że romanse te były wytworami wyobraźni... choć kłamstwa, jakimi niewierny J. karmił żonę, o tym, gdzie był i co robił, podczas gdy tak naprawdę był z kimś innym w zupełnie innym miejscu, brzmiały dokładnie tak, jak rozmowy, które swego czasu odbyła z Jakobem.

A jednak szczegółowe relacje ze spotkań z innymi kobietami nie były w tym wszystkim najgorsze. Najgorsza była pogarda, z jaką główny bohater odnosił się do świata.

J. nienawidził kierowców ciężarówek, którzy pracowali w

Departamencie Robót Publicznych. Nienawidził ich nalanych twarzy, ich tłustych żon i spasionych bachorów. Nienawidził tego, że oszczędzali przez cały rok, żeby wykupić najgorsze miejsca na trybunach na mecz otwierający sezon futbolowy. Nienawidził euforii, z jaką wspominali mecz i jak gadali o nim tygodniami, jakby uczestniczyli w bitwie pod Termopilami.

Nienawidził wszystkich przyjaciółek żony - sam nie miał żadnych przyjaciół - za to, że nie znały łąciny, piły produkowane masowo piwo, zamiast tego z minibrowarów, i wychowywały kolejne pokolenie przekarmionych, nastawionych na konsumpcję i zabawę kretynów. To jednak nie powstrzymało go przed tym, żeby się z nimi pieprzyć.

Żony nie nienawidził; darzył ją uczuciem, jakie ludzie zwykle żywią do pobudliwych szczeniaków. Fakt, że natychmiast zgadzała się z każdą jego opinią i spostrzeżeniem, był dla niego równie zabawny co przygnębiający. Uważała za prawdziwą każdą krytyczną uwagę, która padała z jego ust. Wiedząc o tym, uczynił z tego swoistą grę. Jeśli przez cały tydzień dwoiła się i troiła, żeby zorganizować uroczystą kolację, wmawiał jej, że wypadła fatalnie - choć goście byli zachwyceni - a ona płakała, przyznawała mu rację i biegła do księgami po książki, z których dowie się, jak zorganizować przyjęcie z prawdziwego zdarzenia. Nie, nie nienawidził jej. Ale współczuł jej i sobie tego, że utknął z nią na dobre. Do tego była płaczliwa, co - jego zdaniem - świadczyło o tym, jak płytkie jest ich uczucie. Uważał, że kobieta, która wzrusza się na spocie reklamowym Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, nie będzie w stanie poradzić sobie z prawdziwymi problemami, z jakimi musi się mierzyć człowiek epoki prostactwa i skrajnej głupoty.

Oto co wyczytała na kartkach jego powieści - pełną szyderstw wściekłość i uzalanie się nad sobą - kiepsko zresztą napisanej. Akapity nie miały końca. Podobnie jak zdania. Czasami potrzebował trzydziestu słów, żeby znaleźć miejsce dla czasownika. Prawie na każdej stronie wtrącał zdanie po grecku, francusku lub niemiecku. W nielicznych przypadkach, kiedy była w stanie przetłumaczyć owe *bon moty*, miała wrażenie, że brzmiałyby równie dobrze, gdyby napisał je po angielsku.

Mimowolnie pomyślała o Sinobrodym. Zrobiła to; zajrzała do

zakazanego pokoju i zobaczyła to, czego nigdy nie powinna była zobaczyć. Za zamkniętymi drzwiami nie odkryła trupów, ale pogardę. Pomyślała, że łatwiej byłoby wybaczyć nienawiść. Kiedy kogoś nienawidzisz, wiesz przynajmniej, że zasługuje na twoją wściekłość.

Jakob nigdy nie mówił, o czym jest jego książka, choć czasami rzucał coś w stylu: „Piszę o koszmarze zwykłego życia” albo „To opowieść o człowieku, który jest rozbitkiem na oceanie własnych myśli”. Po seksie często rozmawiali o tym, jak zmieni się ich życie, kiedy książka się ukaze. Jakob miał nadzieję, że zarobi tyle, że będzie ich stać na *pied-a-terre* na Manhattanie (Harper nie wiedziała, czym *pied-a-terre* różni się od mieszkania, ale zakładała, że musi być jakaś różnica). Z przejęciem, niemal jednym tchem mówiła o tym, jak świetnie jej mąż poradzi sobie na antenie radia: dowcipny, mądry i nazbyt skromny; miała nadzieję, że zaproszą go do NPR³.

Rozmawiali o rzeczach, które chcieli kupić, i znanych ludziach, których chcieli poznać, i kiedy myślała o tym teraz, wszystko to wydawało się podłe, smutne i naiwne. Czuła się wystarczająco kiepsko ze świadomością, że żyła w przekonaniu o jego geniuszu, ale jeszcze bardziej bolało ją to, że on również był o tym przekonany, choć nic na to nie wskazywało.

Zdumiało ją też, że napisał coś tak okropnego i latami trzymał to na widoku. Ale przecież miał pewność, że Harper nie sięgnie po książkę, bo jej zabronił, a ona zawsze robiła to, co chciał. Jej poczucie własnej wartości opierało się na robieniu tego, co chciał, żeby robiła, i na tym, że była taka, jak chciał. Oczywiście w tej kwestii miał absolutną rację. Powieść nie byłaby tak straszna, gdyby nie to, że tkwiło w niej ziarno prawdy. Zaczęła czytać *Orząc pustkowie* tylko dlatego, że umierała.

Odłożyła kartki z powrotem na biurko i wyrównała je, układając w schludny biały stosik. Starannie ułożone ze stroną tytułową na wierzchu, wyglądały równie nieskazitelnie, jak świeżo pościelone łóżko w luksusowym hotelu. Harper wiedziała jednak, że w hotelowych łóżkach ludzie robią różne, niewyobrażalne rzeczy.

Po namyśle położyła na rękopisie paczkę zapalek, używając jej jako przycisku do papieru. Jeśli smocza łuska zacznie swędzieć i kopcić, chciała mieć je pod ręką. Skoro musiała spłonąć, zadba o to, żeby ta

pieprzona książka pierwsza poszła z dymem.

1

Kiedy zadzwonił następnym razem, dochodziła pierwsza w nocy. Harper nie spała, pracowała nad własną książką; książką, którą pisała dla swojego dziecka. Zaczynała się od słów: *Cześć! Tu twoja mama, w formie książki. Oto jak wyglądałam, zanim przybrałam tę formę.*

Pod zdaniem przykleiła swoje zdjęcie. Zrobił je jej ojciec, kiedy miała osiemnaście lat i pracowała jako instruktorka łucznictwa w miejskim parku rozrywki w Exeter. Dziewczyna na zdjęciu była tyczkowata, miała jasne włosy, odstające uszy, kościste, chłopięce kolana i zadrapania na wewnętrznej stronie ramion od ciężkiemu łuku. Mimo to była całkiem ładna. Słońce za plecami Harper zmieniało jej włosy w lśniącą aureolę. Jakob mawiał, że wygląda na tym zdjęciu jak nastoletni anioł.

Pod fotografią przykleiła wycięty z reklamy w magazynie srebrny znak zapytania i podpisała go: *Czy jesteśmy do siebie podobne? Albo podobni?*

Miała mnóstwo pomysłów na to, co powinno znaleźć się w książeczce. Przepisy. Instrukcje. Co najmniej jedna gra. Teksty jej ulubionych piosenek, które śpiewałaby maleństwu, gdyby tylko mogła: *Love Me Do, My Favorite Things, Raindrops Keep Fallin' on My Head.*

Żadnych dziewczyńskich dramatów. Jako szkolna pielęgniarka zawsze wzorowała się na Mary Poppins, stawiając na spokój i opanowanie, pewność siebie, chęć do zabawy i przekonanie, że każde, nawet najbardziej gorzkie lekarstwo smakuje lepiej, kiedy się je poda na łyżeczce cukru. Jeśli dzieciaki wierzyły, że lada chwila zacznie śpiewać, a z jej parasolki strzeli snop kolorowych iskier, nie miała nic przeciwko.

Taki też miał być charakter jej książki. Pytanie brzmiało: czego dziecko oczekuje od swojej matki? Według Harper odpowiedź brzmiała: plastrów na skaleczenia, kołysanki na dobranoc, serdeczności, czegoś słodkiego po szkole, pomocy w odrabianiu lekcji i

kogoś, do kogo w każdej chwili można się przytulić. Nie wpadła jeszcze na pomysł, co zrobić, żeby książka aż się prosiła o przytulenie, ale przyczepiła do wnętrza okładki kilka plastrów, a także cztery paczkowane waciki nasączone alkoholem. Czuła, że książka - *Podręczna mama* - zmierza w dobrym kierunku.

Kiedy zadzwonił telefon, siedziała przed telewizorem. W ich domu telewizor był zawsze włączony. Grał bez przerwy od sześciu miesięcy, poza nielicznymi chwilami, kiedy nie było prądu. Teraz też był włączony, chociaż Harper pracowała nad książką i właściwie nie zwracała na niego uwagi.

Zresztą i tak nie było czego oglądać. FOX wciąż nadawał, ale z Bostonu, nie z Nowego Jorku. NBC też, lecz z Orlando. W Atlantycie CNN nie przerwało transmisji, tylko że prezenterem wieczornych wiadomości był Jim Joe Carter, kaznodzieja z Kościoła baptystów, a jego doniesienia zawsze dotyczyły ludzi, którzy dzięki Jezusowi uniknęli choroby. Oprócz tego zostały już tylko HSB - informujące obywateli o wszelkich zagrożeniach - lokalne serwisy informacyjne i śnieg na ekranie. HSB nadawał z Quantico w stanie Wirginia. Waszyngton wciąż płonął. Podobnie jak Manhattan. Zmieniła kanał na FOX. Słyszac dzwonek telefonu, sięgnęła po słuchawkę. Wiedziała, że to Jakob, jeszcze zanim usłyszała jego głos. Oddychał dziwnie, jakby się dusił, i nic nie mówił, przynajmniej na początku.

- Jakob... Porozmawiaj ze mną. Powiedz coś.

- Masz włączony telewizor?

Odłożyła długopis.

- Co się stało?

Nie wiedziała, jak przebiegnie ich kolejna rozmowa. Bała się, że nie będzie umiała ukryć urazy. Jeśli Jakob wyczuje jej wrogość, będzie chciał wiedzieć, co się stało, a ona będzie zmuszona powiedzieć mu prawdę. Nigdy nie potrafiła niczego przed nim ukryć. A nie chciała rozmawiać o jego książce. Nawet nie chciała o niej myśleć. Była w ciąży, łatwopalny grzyb zaatakował jej skórę i niedawno dowiedziała się, że płonie Wenecja, więc już nigdy nie popłynie gondolą po kanałach. W obliczu tych wszystkich nieszczęść krytyka jego gównianej książki wydawała się ponad jej siły.

Ale on się roześmiał, chrapliwym śmiechem bez cienia wesołości,

który zaniepokoił ją i sprawił, że przynajmniej na chwilę zapomniała o tym, jak bardzo jest rozszalona. Histeria, pomyślała ze stoickim spokojem. Bóg jeden wiedział, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy widziała jej aż nadto.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką słyszałem, od sam już nie wiem kiedy - odparł. - Co się stało? Poza tym, że cały świat płonie? Poza tym, że pięćdziesiąt milionów ludzi zmienia się w ludzkie pochodnie? Oglądasz FOX?

- Tak. Co się stało, Jakob? Ty płaczesz. Czy coś się stało?

Nic dziwnego, że nią pogardzał. Wystarczyło dziesięć sekund, żeby znowu zaczęła się o niego martwić, a przecież jeszcze pięć minut temu wolałaby, żeby nie odzywał się do niej przez najbliższy miesiąc. Drażniła ją myśl, że nie potrafi być konsekwentna w swoim gniewie.

- Widzisz to?

Spojrzała na ekran, na drżący obraz łąki. Mężczyźni w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych i sięgających do łokci gumowych rękawicach uwijali się na drugim końcu łąki. Było ich kilku i mieli karabiny szturmowe Bushmaster. Wysoka pozółkła trawa falowała leniwie w lekkim deszczu. Za mężczyznami w płaszczach widać było linię drzew, a na lewo od nich nitkę autostrady. Zza wzniesienia wyłonił się samochód, który przemknął z ogromną prędkością, rozświetlając reflektorami zapadający zmrok.

- ...nagranie z telefonu komórkowego - mówił prezenter. - Ostrzegamy, że materiał jest drastyczny... - Była to zbędna uwaga. W ostatnim czasie niemal wszystko wydawało się drastyczne.

Z lasu wyprowadzano ludzi. Głównie dzieci, choć było wśród nich kilka kobiet. Niektóre dzieci były nagie. Jedna z kobiet również nie miała na sobie ubrań, choć przyciskała do piersi zmiętą sukienkę.

- Pokazują to przez całą noc - rzucił Jakob. Szlochając, starał się złapać oddech. - Telewizja kocha takie rzeczy. Popatrz. Popatrz na samochody.

Autostrada była widoczna jak na dłoni. Kolejny samochód wjechał na wzniesienie, a zaraz za nim nadjechał pick-up. Mijając pole, oba samochody zwolniły i chwilę później gwałtownie przyspieszyły.

Kobiety i dzieci, które wyszły spomiędzy drzew, zbiły się w ciasną grupkę. Dzieci płakały. Z daleka ich głosy brzmiały jak zawodzenie

jesiennego wiatru. Jedna z kobiet wzięła na ręce małego chłopca i przytuliła go do piersi. Patrząc na nią, Harper doznała krótkotrwałego, choć niezwykle intensywnego *deja vu*, niewytłumaczalnej pewności, że obserwuje samą siebie w pewnym momencie w przyszłości. Obserwowała własną śmierć.

Kobieta, która próbowała zakryć się sukienką, rzuciła się ku jednemu z mężczyzn w żółtych płaszczach. Z daleka jej nagie plecy wyglądały, jakby zostały rozcięte i pozszywane złotą nicią: smocza łuska. Upuściła sukienkę i zupełnie naga pochyliła się w stronę karabinu szturmowego.

- Nie możecie! - zawyła. - Puście nas! To jest Amery...

Pierwszy strzał mógł być przypadkowy. Harper nie była pewna. Ale przecież wyprowadzili tych ludzi na pole, żeby ich rozstrzelać, więc może błędem było myśleć, że śmierć którejkolwiek z tych osób jest dziełem przypadku. Bardziej odpowiednie wydawało się słowo „przedwczesna”. Lufa rozbłysła nagłym światłem. Naga kobieta zrobiła jeszcze krok, dwa, po czym osunęła się na ziemię i zniknęła w trawie.

Na krótką chwilę - wystarczającą, żeby zaczerpnąć powietrza - zapadła pełna zaskoczenie cisza. Zza wzniesienia wyłonił się kolejny samochód i tak jak poprzednie zaczął zwalniać.

Chwilę później karabiny zaterkotały jak fajerwerki z okazji Święta Niepodległości. Wyloty luf rozjarzyły się niczym flesze aparatów paparazzich, strzelających fotki George'owi Clooneyowi wysiadającemu z limuzyny. Ale przecież George Clooney nie żył; spłonął, wspierając misję humanitarną w Nowym Jorku.

Przejeżdżający samochód włókł się w ślimaczym tempie, a jego kierowca obserwował rozwój wydarzeń. Kobiety i dzieci padały na trawę przy wtórze terkotu karabinów i tłukącego o ziemię wrześniego deszczu. Samochód przyspieszył i odjechał.

Z masakry ocalała jedna osoba, mała dziewczynka, która wymknęła się niepostrzeżenie i niczym chochlik biegła przez pole w kierunku osoby, która z ukrycia nagrywała całe zdarzenie. Dziecko gnało przez łąkę jak cień chmury gonionej wiatrem. Harper patrzyła z przejęciem; ściskając w dłoniach książkę i wstrzymując oddech, powtarzała w myślach: Puście ją. Pozwólcie jej odejść. I nagle dziewczynka zgięła się w pół, upadła, potoczyła się do przodu i Harper uświadomiła sobie,

że to, na co patrzyła, wcale nie było człowiekiem. Po trawie sunęła sukienka, którą przyciskała do piersi naga kobieta, skrawek materiału, który przez chwilę tańczył na wietrze. Teraz jej taniec dobiegł końca.

Nagranie się skończyło. Prezenter w studio stał przy szerokoekranowym telewizorze, na którym kolejny raz je odtwarzano. Odwrócony plecami do ekranu, przemawiał gładkim, spokojnym głosem. Harper nie była w stanie rozróżnić poszczególnych słów. W słuchawce słyszała głos Jakoba, ale jego też nie rozumiała.

- Pomyślałeś, że wyglądała jak ja? - Próbowała przekrzyczeć obu mężczyznom.

Jakob wstrzymał oddech.

- O czym ty mówisz? - spytał w końcu.

- Kobieta, która trzymała tego małego chłopca. Pomyślałam, że wygląda jak ja.

- ...co może stać się z ludźmi, którzy zostali zarażeni i nie szukają... - mówił prezenter.

- Nie zauważyłem - odparł Jakob. Głos miał ściśnięty z emocji.

- Jakob, powiedz mi, co się dzieje.

- Jestem chory.

Poczuła zawroty głowy jak wtedy, kiedy za szybko wstawała, a przecież nawet się nie ruszyła. Skołowana, przysiadła na skraju kanapy.

- Masz pręgi?

- Mam gorączkę.

- Dobrze, ale czy masz jakieś zmiany na skórze?

- Na stopie. Myślałem, że to siniak. Wczoraj spadł mi na nogę worek z piaskiem i myślałem, że to od tego. - Głos mu drżał, jakby lada chwila miał się rozpłakać.

- Chryste, Jakob... Wyślij mi zdjęcie. Chcę to zobaczyć.

- Nie potrzebuję, żebyś to oglądała.

- Proszę. Zrób to dla mnie.

- Wiem, co to jest.

- Proszę, Jake.

- Wiem, co to jest, i mam gorączkę. Jest mi kurewsko gorąco. Mam trzydzieści osiem i trzy kreski. Gorąco mi i nie mogę spać. Za każdym razem śni mi się, że koce zaczynają się palić i wyskakują z łóżka. Też

masz takie sny?

Nie. Jej sny były dużo gorsze. Były tak straszne, że ostatnio postanowiła, że w ogóle nie będzie spać. Na jawie czuła się bezpieczniejsza.

- Po co dźwigałeś worki z piaskiem? - spytała nie dlatego, że ją to obchodziło, ale żeby porozmawiać z nim o czymś innym niż choroba.

- Musiałem wrócić do pracy. Musiałem zaryzykować. Zaryzykować, że zarazę innych ludzi. Zobacz, do czego mnie doprowadziłaś.

- O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

- Gdybym tak po prostu zniknął, zaczęliby się zastanawiać, co się ze mną stało. Mogliby przyjść do domu i znaleźliby ciebie. Ceną za twoje życie jest życie innych ludzi. Uczyniłaś ze mnie potencjalnego mordercę.

- Nie, Jakob, już o tym rozmawialiśmy. Dopóki nie masz na skórze smoczej łuski, nie zarazasz. Prawie wszyscy są tego samego zdania. Ale nawet wtedy można zarazić się tylko przez dotyk, więc nie sądzę, żebyś był seryjnym mordercą. Przynajmniej na razie. A więc co z tym workiem?

- Zwołali nas wszystkich na most Piscataqua, gdzie dowodziła Gwardia Narodowa. Kazali nam wybudować stanowisko strzeleckie, skąd mogliby strzelać do każdego zainfekowanego sukinsyna, który będzie próbował przedrzeć się przez punkt kontrolny. Czemu w ogóle rozmawiamy o pieprzonym moście?

- Chcę, żebyś wysłał mi zdjęcie tego, co masz na nodze -powtórzyła stanowczym głosem pielęgniarki.

- Mam to też chyba w głowie. Czasami czuję się tak, jakby ktoś wbijał mi igły w mózg. Jakbym miał pod czaszką setki maleńkich igiełek.

Słyszając to, ugryzła się w język. Pierwszy raz powiedział coś, co brzmiało nie jak słowa histeryka, lecz szaleńca.

Kiedy w końcu się odezwała, głos miała spokojny i pewny siebie.

- Nie, Jakob. Nie! Ta choroba rzeczywiście atakuje otoczkę mielinową w mózgu i nerwach, ale dopiero wtedy, gdy całe ciało pokryte jest smoczą łuską. W takim przypadku nie miałbyś wątpliwości...

- Wiem, kurwa. I wiem, do cholery, co mi zrobiłaś. Zabiłaś nas i nasze dziecko, żeby zadowolić swoje ego.

- O czym ty mówisz?

- Wiedziałaś, że praca w szpitalu jest niebezpieczna, ale chciałaś poczuć się ważna. Na tym polega twój problem, Harper. Masz potrzebę bycia przytulaną. Szukasz ludzi, którzy cierpią, żebyś mogła przykleić im plasterki i dostać w zamian odrobinę taniej czułości. Dlatego zostałam szkolną pielęgniarką. Łatwo wydusić buziaka od dziecka z podrapanym kolanem. Dzieciaki kochają każdego, kto da im lizaka i pocałuje ziaziu.

Słowa Jakoba - wściekłość, którą słyszała w jego głosie - zaparły jej dech w piersi. Nigdy wcześniej tak do niej nie mówił.

- Byli w rozpaczliwej sytuacji - próbowała się tłumaczyć. - Potrzebowali każdej pielęgniarki. Władze szpitala prosiły o pomoc nawet te emerytowane, niektóre miały po osiemdziesiąt pięć lat. Nie mogłam tak po prostu siedzieć w domu, oglądać w telewizji, jak umierają ludzie, i nic nie robić.

- Musimy coś postanowić - rzucił, niemal szlochając. - Do cholery, nie chcę tak po prostu spłonąć. Nie chcę błagać o życie, kiedy mnie osaczają i zarzną w szczerym polu jak jakieś zwierzę.

- Wysoka temperatura może wynikać z braku snu. Nie wiemy, czy jesteś chory. Czasami gorączka zwiastuje początek choroby, ale nie zawsze. W większości przypadków wcale tak nie jest. Ja nie miałam temperatury. A teraz wyślij mi zdjęcie stopy.

Usłyszała stukot, stłumiony łoskot, a zaraz potem kliknięcie i znajomy dźwięk aparatu w telefonie. W ciągu kolejnych piętnastu sekund słyszała jedynie ciężki, zdyszany oddech.

Chwilę później na ekranie telefonu pojawiło się zdjęcie nagiej stopy na dywanie w dziwne industrialne wzory. Grzbiet stopy przypominał jedną wielką krwawiącą ranę.

- Jake - zaczęła. - Co to jest?

- Próbowałem to zdrapać - odparł posepnie. - Odbiło mi. Tarłem to papierem ściernym.

- Masz na skórze jakieś inne zmiany?

- Wiem, jak to wyglądało, zanim potraktowałem to papierem.

- Tego się nie drapie, Jake. To jak tarcie zapałką o draskę. Zostaw to w spokoju. - Odsunęła telefon od ucha i jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. - Chcę zobaczyć inne znamiona, zanim uznasz, że to smocza

łuska. W początkowej fazie trudno odróżnić siniaka od prawdziwych zmian, ale jeśli nie będziesz z tym nic robił...

- Musimy podjąć decyzję - powtórzył.

- Jaką decyzję?

- Jak umrzemy. Jak to zrobimy.

W telewizji pokazywano mieszkańców Dalmacji, grupy kobiet i nastolatków, którzy przygotowali lunch i piekli ciasteczka dla oddziałów ochotniczej straży pożarnej.

- Nie zamierzam się zabijać - odparła Harper. - Jestem w ciąży. Zamierzam urodzić to dziecko. W marcu mogę mieć cesarkę.

- W marcu? Jest wrzesień. Do marca zostanie z ciebie popiół. Albo staniesz się celem dla Szwadronów Kremacyjnych. Chcesz umrzeć jak ci ludzie na polu?

- Nie - wyszeptała.

- Wiem, co mi zrobiłaś - ciągnął Jakob. Z trudem nabrał do płuc powietrza. - Wiem. Piecze mnie skóra na rękach i nogach. Podobało mi się to, że byłaś tak oddana swojej pracy, tak oddana społeczeństwu, chociaż robiłaś to po to, żeby zaspokoić swoje egoistyczne zachcianki. Musiałaś otaczać się płaczącymi dziećmi, bo ocieranie cudzych łez sprawia, że czujesz się dobrze. Nic nie jest bezinteresowne. Kiedy ludzie robią coś dla innych, tak naprawdę robią to z własnych egoistycznych pobudek. Ale ja mam dość patrzenia na to, jak sfiksowałaś na punkcie własnych potrzeb. Nie obchodzi cię nawet to, ile osób mogłaś zarazić. Liczy się tylko złudzenie, że możesz uratować jeszcze jedno dziecko.

Próbował ją sprowokować, zmusić do powiedzenia rzeczy, których nie chciała mówić. Postanowiła zmienić temat.

- Mówiłaś, że piecze cię skóra. Nie słyszałam o czymś takim. To nie są objawy...

- To nie są twoje objawy. Tylko moje. Nie rób z siebie pieprzonego lekarza. Cholerny dyplom pielęgniarki i trzy lata pracy w szkole podstawowej nie robią z ciebie pierdolonego doktora House'a. Takie jak ty ocierają prawdziwym lekarzom pot z czoła w trakcie operacji i strząsają im kutasy, kiedy skończą się odlewać.

- Może powinieneś wrócić do domu. Mogłabym cię zbadać, nie dotykając cię, i może dodałabym ci otuchy.

- Zaczekam - odparł. - Aż będę pewny. Dopiero wtedy wrócę do domu. A ty masz tam być. Bo obiecałaś.

- Jakob - zaczęła, ale się rozłączył.

PAZDZIERNIK

11

Kilka dni po ich ostatniej rozmowie, w gorący, gęsty od dymu poranek, znów wyłączono prąd, tym razem na dobre.

Do tego czasu Harper wyjadała już zawartość pokrytych kurzem ostatnich puszek z dna szafki, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. Nie wychodziła z domu od dnia, w którym odkryła na nodze pierwszą pręgę. Brakowało jej odwagi. Może mogłaby się zakryć - nie miała łuski na twarzy ani na rękach - ale na samą myśl, że mogłaby wpaść na kogoś w sklepie na rogu i przypadkiem skazać go na śmierć, serce podchodziło jej do gardła.

Zastanawiała się, czy będzie w stanie jeść tłuszcz roślinny Crisco, choć wiedziała, że niedługo nie będzie miała wyjścia. Zostawiła na czarnej godzinę trochę kakao w proszku, licząc, że dzięki temu będzie smakował jak czekoladowy pudding.

Przez chwilę nie pomyślała: idę. Nie podjęła żadnych radykalnych decyzji, nawet wtedy, gdy uświadomiła sobie, że wkrótce skończy się jej jedzenie i będzie zmuszona ryzykować.

Pewnego dnia zdjęła pranie ze sznura na tyłach domu i ułożyła je na łóżku obok *Podręcznej mamy*. Z początku wyglądało to jak sterta rzeczy, które odkładała: koszulki, para dżinsów, spodnie dresowe. Dopiero po chwili dotarło do niej, że są to ubrania, które zabrałaby z sobą, gdyby się gdzieś wybierała. Otworzyła komodę i zamiast układać rzeczy, zaczęła je wyjmować.

Nie myślała, dokąd pojedzie, nie miała planu i prawie w ogóle nie zaprzętała sobie tym głowy. Kierowało nią niejasne przeczucie, że lepiej będzie, jeśli spakuje swoją starą torbę podróżną na wypadek, gdyby musiała w pośpiechu opuścić dom. Zwykle snuła się bez celu niczym liść gnany z miejsca na miejsce niespokojnym jesiennym wiatrem. Włączyła radio, wściekle różowego boomboxa z Hello Kitty, który działał na bateriach Duracell, i składała ubrania, słuchając stacji

nadającej klasycznego rocka w stylu Toma Petty'ego i Boba Segera.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że muzyka ucichła, a DJ od jakiegoś czasu prowadzi na antenie monolog. Rozpoznała ten głos, schrypnięty, gardłowy bas należący do gościa z porannej audycji. A może facet był prezenterem w prawicowym radiu? Nie była pewna, tak jak nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa. Kiedy mówił o sobie - a robił to często - nazywał siebie Marlboro Manem z powodu wszystkich „palników”, z którymi się rozprawił. Oto jak nazywał zainfekowanych: palniki.

Tubalnym głosem dowcipkował, że były prezydent jest teraz czarniejszy niż kiedyś, bo spalił się na popiół. Opowiadał, że kiedy wychodzi z radia, dołącza do Szwadronu Kremacyjnego, wykurza palników z kryjówek i ich podpala. Harper siedziała na łóżku i z pełną odrazą fascynacją słuchała historii o tym, jak zmusił trzy młode dziewczyny, żeby zdjęły bluzki i udowodniły mu, że nie mają na piersiach smoczej łuski.

- Zdrowe, amerykańskie cycuszki, oto o co walczymy - perorował. - Taki zapis powinien pojawić się w konstytucji. Każdy człowiek ma prawo do życia, wolności i wolnych od zarazy cycków. Pamiętajcie, dziewczyny, jeśli pojawimy się w waszych drzwiach, bądźcie gotowe spełnić swój patriotyczny obowiązek i pokażcie nam wasze kochające wolność, zdrowe, dorodne zderzaki.

Ktoś załomotał do drzwi i Harper zerwała się na równe nogi, jakby Szwadron Kremacyjny próbował wdrzeć się do domu. Ten dźwięk zaniepokoił ją bardziej niż wrzask na ulicy czy syreny wozów strażackich. Codziennie słyszała, jak ludzie krzyczą, i nie było godziny, żeby nie słyszała wycia syren. Nie pamiętała jednak, kiedy ostatni raz ktoś zapukał do jej drzwi.

Na palcach przeszła przez korytarz i zerknęła przez wizjer. Na szczycie schodów stali Tygrysek Tony i Kapitan Ameryka, trzymając w dłoniach zmięte plastikowe torby. Za ich plecami na końcu podjazdu, tyłem do domu, siedział mężczyzna i palił papierosa. Znad jego głowy unosiła się smuzka dymu.

- Cukierek i psikus - usłyszała stłumiony dziewczęcy głos.

- Cukierek albo... - zaczęła Harper i urwała. - Przecież to nie Halloween.

- W tym roku zaczynamy wcześniej!

Zdenerwowało ją, że w świecie ogarniętym zarazą jakiś idiota każe dzieciom chodzić od drzwi do drzwi. Miała dość surowe wyobrażenie na temat rodzicielstwa i coś takiego nie mieściło jej się w głowie. Widok dzieci obudził w niej Mary Poppins i przez krótką chwilę miała ochotę dźgnąć ich opiekuna w oko parasolką.

Zdjęła z wieszaka wiatrówkę i włożyła ją, żeby zakryć esy-floresy, które smocza łuska namalowała na jej ramionach. Uchyliła drzwi i nie zdejmując łańcucha, wyjrzała przez szparę.

Dziewczynka mogła mieć zarówno osiem, jak i piętnaście lat. Z twarzą ukrytą za maską Kapitana Ameryki nie sposób było to określić. Głowę miała ogoloną i gdyby Harper nie usłyszała jej głosu, pomyślałaby, że to chłopiec.

Jej brat wyglądał na mniej więcej siedem lat. Oczy, które spoglądały z otworów wyciętych w masce tygryśka, były bladozielone jak szkło pustej butelki.

- Cukierek i psikus - powtórzyła Kapitan Ameryka. Na wierzchu zjedzonego przez mole golfa wisiał złoty medalion w kształcie książki.

- Nie powinniście chodzić po domach i prosić o cukierki. - Harper spojrzała ponad ich ramionami na mężczyznę, który siedząc na krawężniku, ze spokojem palił papierosa. - To wasz tata?

- Nie przyszliśmy po cukierki - wyjaśniła Kapitan Ameryka. - Przyszliśmy dać pani coś słodkiego. Możemy też zrobić psikusa. Może pani dostać i to, i to. Dlatego mówimy cukierek i psikus. Pomyśleliśmy, że to poprawi ludziom humor.

- I tak nie powinniście wychodzić. Ludzie chorują. Jeśli chory człowiek dotknie zdrową osobę, może ją zarazić. Hej, kolego! - zawołała do mężczyzny, podnosząc głos. - Dzieciaki nie powinny biegać po dworze! Szaleje zaraza!

- Nosimy rękawiczki — powiedziała Kapitan Ameryka. -I nie dotkniemy pani. Nikt się niczym nie zarazi. Obiecuję. Warunki sanitarne są dla nas najważniejsze! Nie chce pani zobaczyć prezentu? - Szturchnęła chłopca łokciem.

Tygrysek otworzył swoją torbę. Miał w niej butelkę prenatalnych żelków witaminowych. Harper podniosła głowę, patrząc to na jedno dziecko, to na drugie.

- Co to?

- To coś jak Śmiejęłki - wyjaśniła Kapitan Ameryka. -Ale można jeść tylko dwa dziennie. Dobrze się pani czuje?

- Co to ma znaczyć, czy „dobrze się czuję”? Chwileczkę. Kim wy w ogóle jesteście? Chcę porozmawiać z waszym ojcem. - Stała na palcach i zawołała ponad głowami dzieci: -Halo! Proszę pana, możemy porozmawiać?

Mężczyzna siedzący na krawężniku nawet na nią nie spojrział, tylko leniwie machnął ręką, jakby chciał ją odprawić. A może chciał jedynie rozpedzić dym. Wydmuchiwał w popołudniowe powietrze utkane z dymu kółka; małe krążki przechodziły przez większe.

Nieźła sztuczka, pomyślała Harper.

Dziewczynka w przebraniu Kapitana Ameryki obejrzała się przez ramię na swojego opiekuna.

- To nie jest nasz tata. Taty nie ma z nami.

Harper spuściła wzrok. Chłopiec trzymał w rękach otwartą torbę, ochoczo prezentując jej zawartość.

- To witaminy prenatalne. Skąd wiecie, że jestem w ciąży? Nic po mnie nie widać. Chwileczkę. Widać coś po mnie?

- Nie bardzo - odparła Kapitan Ameryka.

- Kto was tu przysłał? Kto kazał wam mi to dać?

- Nie chce ich pani? Jeśli pani nie chce, nie musi ich pani brać.

- Nie chodzi o to, czy je chcę, czy nie. Jesteście bardzo mili, ale...

- W takim razie proszę je wziąć.

Chłopiec powiesił torbę na klamce i cofnął się o krok. Harper zastanawiała się przez chwilę, po czym chwyciła torbę i wciągnęła ją do środka.

- A teraz psikus - oświadczyła dziewczynka i rozchyliła szeleszczącą reklamówkę, tak by Harper mogła zajrzeć do środka.

Tygryszek Tony najwyraźniej nie miał nic do dodania, bo nie odzywał się ani słowem.

Harper zajrzała do torby. Leżał w niej blaszany gwizdek w plastikowym opakowaniu.

- Jest naprawdę głośny - powiedziała Kapitan Ameryka. -Słysząc go stąd do hotelu Wentworth-by-the-Sea. Głuchy by go usłyszał. Niech pani weźmie.

- W torbie nie ma nic innego - zauważyła Harper. - Nic więcej wam nie zostało.

- Do nikogo więcej się nie wybieramy.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie śni. Była to jedna z tych rozmów, które człowiek zwykle prowadzi we śnie. Dzieci w swoich maskach wydawały się kimś więcej niż tylko dziećmi. Przypominały symbole. Słuchając dziewczynki, miała wrażenie, że ta przemawia do niej sekretnym kodem, którego rozszyfrowanie zabrałoby psychologowi długie godziny. No i chłopiec. Po prostu stał i patrzył na nią. Nawet nie mrugnął. Kiedy Harper mówiła, gapił się na jej usta, jakby chciał ją pocałować.

Poczuła przelotne, ale niemal bolesne ukłucie nadziei. Może to wszystko tylko jej się śniło. Może złapała paskudną gripę albo coś gorszego i wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech miesięcy, było majakami wywołanymi chorobą. Czy nie takie rzeczy wyobrażałby sobie umysł rozpalony gorączką? Może tylko się jej wydawało, że Jakob odszedł i została sama w zainfekowanym, płonącym świecie, a jedynymi ludźmi, których widziała od kilku dni, były zamaskowane dzieci mówiące zagadkami rodem z ciasteczek z wróżbami.

Wezmę gwizdek, pomyślała Harper, i jeśli zagwizdę, jeśli zagwizdę naprawdę mocno, gorączka ustąpi, a ja obudzę się w łóżku, złana potem, a obok mnie będzie siedział Jakob i przykładał mi do głowy zimny kompres.

Kapitan Ameryka powiesiła torbę na klamce drzwi i zrobiła krok w tył. Harper chwyciła torbę i przycisnęła do piersi szeleszczący plastik.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - spytała dziewczynka. - Potrzebuje pani czegoś? To znaczy oprócz cukierków i psikusa. W ogóle nie wychodzi pani z domu.

- Skąd wiecie, że nie wychodzę z domu? Od jak dawna mnie obserwujecie? Nie wiem, o co wam chodzi, ale nie lubię takich zabaw. Zwłaszcza jeśli nie wiem, z kim się bawię. -Zerknęła ponad ich głowami, po raz kolejny stanęła na palcach i krzyknęła do mężczyzny siedzącego na krawężniku: - Hej, kolego, nie podobają mi się takie gierki!

- Nic pani nie jest - stwierdziła Kapitan Ameryka pewnym siebie,

stanowczym tonem. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, wystarczy zawołać.

- Zawołać? - powtórzyła Harper. - Jak mam was zawołać? Nawet nie wiem, kim jesteście.

- To nic. My wiemy, kim pani jest - odparła Kapitan Ameryka, a zaraz potem zacisnęła palce na ramieniu chłopca, każąc mu się odwrócić.

Pospiesznie zeszli po schodach. Kiedy podeszli do krawężnika, czekający na nich mężczyzna zerwał się na równe nogi i dopiero teraz Harper zobaczyła, że nieznajomy wcale nie palił papierosa on dymił. Wydmuchał ostatnią chmurę dymu, a ten... zmienił się w dziesiątki utkanych z dymu motyli, które machając skrzydłami, uleciały w pachnący spalenizną poranek.

Harper odpięła łańcuch, otworzyła drzwi na całą szerokość i niepewnym krokiem wyszła na schody.

- Hej! - krzyknęła. Serce tłukło się jej w piersi, jakby chwilę temu przebiegła kilka okrążeń wokół domu.

Nieznajomy obrócił się przez ramię i zobaczyła, że ma na twarzy maskę Hillary Clinton. Dopiero teraz zauważyła, że jest ubrany w odblaskowe żółte spodnie, jakie zwykle noszą strażacy.

- Hej, wracajcie tu! - zawołała.

Jednak cała trójka była już na chodniku i znikła za żywopłotem. Chłopiec szedł w podskokach.

Harper przecięła żółknący trawnik, ściskając w dłoni plastikową torebkę z gwizdkiem. Wybiegła na chodnik i rozejrzała się, mrużąc oczy w oparach, które unosiły się nad ulicą. Dziś były gęstsze niż zwykle i przywodziły na myśl bladą, kotłującą się mgłę, która stopniowo zasnuła ulicę, tak że Harper nie była w stanie zobaczyć następnej przecznicy. Dym połknął domy, trawniki, słupy telefoniczne, a w końcu także niebo. Połknął nieznajomego i dwójkę jego dzieci. Harper patrzyła za nimi, czując, że łzawią jej oczy.

Kiedy wróciła do domu, zamknęła drzwi i założyła łańcuch. Jeśli w okolicy pojawi się patrol kwarantanny, być może dzięki łańcuchowi zyska czas, żeby schronić się w piwnicy albo uciec tylnym wejściem do lasu. Z torbą podróżną. I z gwizdkiem.

Obracała go w palcach, zastanawiając się, jak jest głośny, kiedy

dotarło do niej, że w domu panuje zupełna cisza. Nie słyszała muzyki ani Marlboro Mana. Baterie w radiu musiały paść kilka minut temu. Dwudziesty pierwszy wiek wymknął się jej równie łatwo i bez żalu, jak zamaskowani goście chwilę temu, zostawiając ją zupełnie samą.

Cukierek i psikus, pomyślała.

Kiedy komórka była prawie całkowicie rozładowana, wiedziała, że czas wykonać telefon, z którym zwlekała do ostatniej chwili; że jeśli zaczeka jeszcze dzień, być może już nigdy nie odbędzie tej rozmowy. Dla odprężenia wypła kieliszek białego wina i zadzwoniła do brata. Odebrała Lindy, jej szwagierka.

Zaraz po dwudziestce Lindy zamieniła swoje hobby, czyli pieprzenie się z basistami drugorzędnych kapel rockowych, na pracę w studiu nagraniowym w Woodstock. Tam właśnie poznała Connora, który brzdąkał na basie w zespole o wymownej nazwie Unbreakable⁴ grającym rocka progresywnego. Jak się okazało, jego członkowie wcale nie byli tak niezniszczalni, jak im się zdawało. Connor skończył z łysiną wielkości spodka i zajął się montażem wanien. Lindy została instruktorką w ekskluzywnej siłowni, gdzie prowadziła zajęcia z aerobiku i tańca na rurze dla gospodyń domowych; porównywała tę pracę do tresury morsów. „Człowiek ma ochotę rzucić im sardynki, żeby zrobiły kółko, nie potykając się o własne nogi”. Niedługo po tym, jak Harper to usłyszała, zrezygnowała z chodzenia na siłownię. Nie mogła przestać myśleć, co za jej plecami mówią na jej temat instruktorzy.

- Jak się masz, Lindy? — spytała.

- Nie wiem. Mam trzyletnie dziecko. Jestem za bardzo zmęczona, żeby myśleć o tym, jak się czuję. Zapytaj mnie o to za dwadzieścia lat, jeśli w ogóle będziemy jeszcze żyć. Pewnie chcesz rozmawiać z Conem.

- Lindy odsunęła telefon od ucha i zawołała: - Con! Twoja siostra!

- Hej! - Harper usłyszała w słuchawce znajomy głos. - Siema, siostra! Co słychać?

- Mam newsa - odparła.

- Chodzi o tego mnicha? Tego z Londynu?

- Nie. Jakiego mnicha?

- Tego, którego zastrzelili, kiedy próbował wtargnąć do siedziby

BBC. Nie słyszałaś o mnichu? O nim i trzech innych? Wszyscy byli chorzy. Od dawna... ten zakonnik chorował od lutego. Podejrzewają, że mógł zarazić tysiące ludzi. Podobno chciał zarazić pracowników redakcji informacyjnej i zrobić z tego manifest polityczny. Normalny bioterrorysta! Szalony skurwiel. Kiedy go zastrzelili, świecił jak żarówka.

- Wiesz, że to nie choroba. Przynajmniej nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. To nie zarazki. To zarodniki.

- Aha. Rozmawiali z jego zwolennikami po tym, jak ich otoczyli. Podobno wmawiał im, że mogą nauczyć się kontrolować chorobę i nie zarażać innych. Że mogą wrócić do domów i żyć wśród zdrowych ludzi. A jeśli zarażą kogoś, kogo kochają, mogą nauczyć ich, jak nie być chorym. Koleś miał nierówno pod sufitem. W szpitalu miałaś takich pacjentów, prawda? Czubków, którym choroba namieszała w głowach?

- Wiadomo, że atakuje mózg, ale nie ma pewności, czy dlatego niektórzy wariują po tym, jak zostaną zainfekowani. Świadomość tego, że w każdej chwili możesz stanąć w płomieniach, musi powodować napięcie nerwowe. Może powinniśmy się dziwić ludziom, którzy w tej sytuacji pozostają przy zdrowych zmysłach? - Mówiąc to, pomyślała, że już niedługo sama się przekona, jak smocza łuska wpływa na zdrowie psychiczne. Choroba pewnie już zaczynała dobierać się do jej mózgu.

- Masz jakieś inne wieści poza mnichem terrorystą? - spytał Connor.

- Jestem w ciąży - odparła.

- Jesteś... - powtórzył i urwał. - Ja cię kręcę, Harpo! O mój Boże! Lindy! Lindy! Harpo i Jake będą mieli dziecko!

- Jest w ciąży. - Gdzieś w tle rozległ się beznamiętny, wyprany z wszelkiej radości głos Lindy. Zaraz potem ściszone głosem dodała coś jeszcze, co zabrzmiało jak pytanie.

- Harpo! - Connor starał się, by zabrzmiało to radośnie, ale wyczuwała w jego głosie napięcie i wiedziała, że Lindy powiedziała coś niemiłego. - Tak się cieszę. Nie mieliśmy pojęcia, że staracie się o dziecko. Myśleliśmy...

- Myśleliśmy, że trzeba być walniętym, żeby zajść w ciążę w środku zarazy, po tym, jak miesiącami miałaś kontakt z zainfekowanymi. - Dobiegający z głębi pokoju głos Lindy był doskonale słyszalny.

- Rodzice wiedzą? - spytał podenerwowany Connor i zanim zdążyła

odpowiedzieć, dodał: - Zaczekaj.

Słyszała, jak przykłada telefon do piersi, żeby wytłumić dźwięk; wielokrotnie widziała, jak to robi. Czekala cierpliwie, aż znów usłyszy jego głos.

- Hej - rzucił w końcu zdyszany, jakby chwilę temu wbiegł po schodach. Może pognał na górę, żeby uwolnić się od Lindy. - Na czym stanęliśmy? Tak się cieszę. Znacie płęć?

- Za wcześnie jeszcze na to. - Wzięła głęboki oddech i spytała: - Co byś powiedział, gdybym wpadła do was z wizytą?

- Myślę, że próbowałbym wybić ci to z głowy. W tej sytuacji lepiej nie wychodzić z domu. Nie ujedziesz pięćdziesięciu kilometrów, żeby nie natknąć się na blokadę drogową, a to najmniejsze z twoich zmartwień. Jeśli by coś ci się stało, nigdy bym sobie nie darował.

- Gdybym jednak jutro pojawiła się na progu twojego domu... oczywiście hipotetycznie... co byś zrobił?

- Przytuliłbym cię, a później byśmy zobaczyli. Czy Jakob wie o twoich planach? Ma kumpla, który dysponuje prywatnym odrzutowcem czy co? Daj mi go do telefonu, chcę mu pogratulować.

- Nie mogę. Jakob i ja nie mieszkamy już razem.

- Jak to...? Co się stało? - Connor zamilkł na chwilę, po czym jęknął: - Chryste. Jest chory, tak? Dlatego chcesz przyjechać. Jezu, czułem, że jesteś jakaś nieswoja, ale pomyślałem: jesteś w ciąży, masz prawo.

- Nie wiem, czy Jakob jest chory - odparła łagodnie. - Ale ja jestem. Oto zła wiadomość. Zachorowałam sześć tygodni temu. Gdybym pojawiła się na progu twojego domu, tulenie mnie byłoby ostatnią rzeczą, na jaką miałbyś ochotę.

- Jak to? - Głos Connora był piskliwy i przerażony. - Jak...?

- Nie wiem. Byłam ostrożna. To nie mogło stać się w szpitalu. Od stóp do głów mieliśmy na sobie gumowe kombinezony. - Zaskoczył ją spokój, z jakim o tym mówiła, z jakim spoglądała w oczy chorobie. - Łono matki nie jest dobrym środowiskiem dla zarazy. Istnieje duża szansa, że dziecko urodzi się zdrowe.

- Zaczekaj. Zaczekaj, zaczekaj. To znaczy. O Boże. - Głos mu drżał, jakby próbował powstrzymać łzy. - Jesteś jeszcze dzieciakiem. Po co w ogóle pracowałaś w tym szpitalu? Po jaką cholere tam poszłaś?

- Potrzebowali pielęgniarek. A tak się składa, że jestem pielęgniarką.

Mogę z tym żyć miesiącami. Miesiącami. Wystarczająco długo, żeby urodzić dziecko przez cesarskie cięcie. Chcę, żebyście zaopiekowali się nim, kiedy mnie już nie będzie. - Myśl o tym, że Lindy miałyby być matką jej nienarodzonego dziecka, przerażała ją, ale Harper starała się o tym nie myśleć. Przynajmniej Connor będzie dobrym ojcem: kochającym, ciepłym, zabawnym i odrobinę przynudnym. A w trudnych chwilach małżeństwo będzie miało *Podręczną mamę*.

- Harper, Harper - powtarzał spiętym głosem na krawędzi szeptu. - Tak mi przykro. To nie w porządku. Zawsze byłeś dla wszystkich taka dobra. To nie w porządku.

- Cśśś. Cśśś. To dziecko będzie cię potrzebować. Ja będę cię potrzebować.

- Tak. Nie. To znaczy... Nie byłoby lepiej, gdybyś poszła do szpitala?

- Nie mogę. Nie wiem, jak jest w Nowym Jorku, ale tu, w New Hampshire, odsyłają chorych do objętego kwarantanną obozu w Concord. To nie jest dobre miejsce. Nie ma tam opieki medycznej. Nawet jeśli dziecko przeżyje, nie wiem, co z nim zrobią. Gdzie je umieszczą. Chcę, żeby było z tobą, Connor. Z tobą i Lindy. - Imię szwagierki z trudem przeszło jej przez usta. - Poza tym w grupach zainfekowanych częściej dochodzi do samozapłonów. Wiem o tym, bo widzieliśmy to w szpitalu. Przebywanie w obozie, wśród innych zarażonych, to jak wyrok śmierci. Zarówno dla mnie, jak i dla dziecka.

- A co z naszym dzieckiem, Harper? - Głos Lindy, głośny i przenikliwy, wdarł się do ucha Harper. Najwyraźniej szwagierka podniosła drugą słuchawkę. - Przykro mi. Jest mi tak cholernie przykro, że aż mi niedobrze. Nie wyobrażam sobie, przez co przechodzisz. Ale, Harper. Mamy trzyletnie dziecko. A ty chcesz, żebyśmy cię ukryli? Żebyśmy cię przygarnęli i ryzykowali, że zarazisz nasze dziecko? Albo nas?

- Mogłabym mieszkać w waszym garażu - szepnęła Harper, ale wątpiła, czy Lindy ją słyszała.

- A nawet jeśli nas nie zarazisz, co będzie, jak ktoś się dowie? Co stanie się z Connorem? Ze mną? Harper, oni zamykają ludzi. Nawet teraz, rozmawiając o tym, łamiemy pewnie z sześć federalnych praw - ciągnęła Lindy.

- Odłóż słuchawkę, Lindy - wtrącił Connor. - Pozwól mi

porozmawiać z siostrą.

-Nie zamierzam niczego odkładać. Nie podejmiesz tej decyzji beze mnie. Nie pozwolę, żeby namówiła cię do tego, żebyśmy narażali życie. Chcesz patrzeć, jak nasz synek płonie? Nie. Nie! Nie pozwolę na to!

- Lindy. To prywatna rozmowa - powiedział albo raczej jęknął Connor. - Między mną a Harp.

- Kiedy w grę wchodzi decyzje, które mogą zaważyć na bezpieczeństwie naszego dziecka, to jest także moja sprawa -odparła. - Ryzykowałamby życie dla was obojga, ale nie zamierzam narażać życia mojego syna i proszenie mnie o to jest nie w porządku. Ja to wiem i ty, Harper, też. A jeśli nie wiedziałaś o tym, zanim zaszłaś w ciążę, to na pewno wiesz o tym teraz. Nie chcesz, żeby twojemu dziecku coś się stało. Rozumiem to, bo chcę tego samego dla mojego synka. Przykro mi, Harper, ale tak właśnie jest. Ty dokonałaś swoich wyborów. My musimy dokonać swoich. Nie są to heroiczne wybory, ale dzięki nim nasz synek przeżyje do czasu, gdy to wszystko się skończy.

- Lindy - rzucił błagalnie Connor, choć Harper nie miała pojęcia, o co właściwie prosi żonę.

Lindy była strasznym, koszmarnym człowiekiem. Rola matki podobała jej się tylko dlatego, że dzięki temu miała męża i dziecko, na których mogła się wyżywać. Wszystko w niej było okropne, począwszy od spiczastego nosa, poprzez małe cycki, aż po schrypnięty głos, ale... miała rację. Harper była teraz jak naładowana broń, która mogła wpaść w ręce dziecka. Nie pierwszy raz pomyślała, że próba przeżycia jest poniekąd przejawem niewyobrażalnego, prawdopodobnie niebezpiecznego dla otoczenia egoizmu. Jej śmierć była już przesądzona i czuła, że teraz najważniejsze jest to, by nie pociągnąć nikogo za sobą i nie narażać nikogo na niebezpieczeństwo.

Tyle że ktoś był już w niebezpieczeństwie. Jej dziecko.

Zamknęła oczy. Dwie świece płonęły na stoliku, wypełniając mrok pod powiekami chorobliwym, czerwonym blaskiem.

- Connor - zwróciła się do brata. - Lindy ma rację. Ja po prostu się boję.

- Oczywiście, że się boisz - rzuciła Lindy. - To zrozumiałe.

- Nie powinnam była was o to prosić. Za długo siedzę sama... Jakob wyprowadził się parę tygodni temu, żeby się nie zarazić. Człowiekowi,

który zbyt długo jest samotny, przychodzą do głowy różne, chore pomysły.

- Powinnaś zadzwonić do ojca - ciągnęła Lindy. - Powiedzieć mu, co się dzieje.

- Co?! - krzyknął Connor. - Chryste, ojciec nie może się o niczym dowiedzieć! To by go zabiło. W ubiegłym roku przeszedł zawał. Chcesz, żeby miał następny?

- To mądry człowiek. Może coś wymyśli. Poza tym wasi rodzice mają prawo wiedzieć. Uważam, że Harper powinna powiedzieć im o wszystkim. W końcu to ona nas w to wpakowała.

- Nawet jeśli ta wiadomość nie przyprawi ojca o zawał, z całą pewnością złamie mu serce. Lindy, Lindy...

- Może masz rację, Lindy - odezwała się Harper. - Jesteś najbardziej praktyczna z nas wszystkich. Być może w pewnym momencie będę zmuszona zadzwonić do rodziców. Ale nie dziś. Mam trzy procent baterii, a nie chcę przekazywać im złych wiadomości i zaraz potem się rozłączać. Proszę, obiecajcie, że pozwolicie, żebym to ja powiedziała im o wszystkim. Nie chcę, żeby dowiedzieli się od was i nie byli w stanie się ze mną skontaktować. Poza tym jest tak, jak mówiłaś: to wszystko moja wina i to ja muszę wziąć na siebie odpowiedzialność.

Harper nie miała zamiaru dzwonić do rodziców i informować ich, że prawdopodobnie w ciągu roku ich córka będzie martwa. Nie było sensu. Oboje dobijali siedemdziesiątki i utknęli w boskiej poczekalni zwanej również Florydą. Nie mogli jej pomóc, tak jak nie mogli do niej przyjechać; pozostało im jedynie przedwcześnie ją opłakiwać, a to - zdaniem Harper - miało się z celem.

Nic nie potrafiło udobruchać Lindy tak szybko, jak przyznanie jej racji, kiedy więc znowu się odezwała, głos miała spokojny.

Naturalnie, że pozwolę, żebyś to ty im o wszystkim powiedziała. Zadzwonisz do nich, kiedy będziesz mogła i kiedy będziesz gotowa. Jeśli będą potrzebowali z kimś porozmawiać, zrobimy co w naszej mocy, żeby ich pocieszyć. - Zaraz potem dodała dramatycznym, roztargnionym głosem: - Może dzięki temu ja i twoja matka w końcu zbliżymy się do siebie.

Nie ma tego złego, pomyślała Harper. Być może jej śmierć stanie się dla Lindy okazją, żeby zacieśnić więzi z teściową.

- Lindy? Connor? Zaraz padnie mi bateria, a nie wiem, kiedy znowu będę mogła zadzwonić. Od kilku dni nie mam prądu. Mogę powiedzieć „dobranoc” Connorowi juniorowi? Pewnie niedługo pójdzie spać.

- Chryste, Harper - jęknął Connor. - Sam nie wiem.

- Oczywiście, że może życzyć małemu dobrej nocy. - Lindy nagle stanęła po jej stronie.

- Harp, chyba nie zamierzasz mu mówić, że jesteś chora?

- Oczywiście, że mu nie powie - pospieszyła z odpowiedzią Lindy.

- Myślę, że... chyba nie powinnaś mówić mu o dziecku. Nie chcę, żeby wbił sobie do głowy, że będzie miał... Jezu, Harper. To naprawdę trudne. - Connor najwyraźniej próbował opanować łzy. - Chciałbym cię teraz przytulić, siostrzyczko.

- Kocham cię, Con - powiedziała, bo bez względu na to, co te dwa słowa znaczyły dla Jakoba, dla niej wciąż były istotne. Były niczym zakęcie i miały moc, której brakowało innym słowom.

- Dam do telefonu Connora juniora. - Głos Lindy był łagodny i cichy, jakby mówiła w kościele. Zatrzeszczał plastik, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Nie bądź zła - odezwał się Connor. - Nie znienawidź nas, Harper. - On także szeptał, a jego głos uginał się pod ciężarem smutku.

- Nigdy - zapewniła go. - Musicie się sobą zaopiekować. Lindy ma rację. Postępujecie właściwie.

- Boże, Harp - jęknął Connor i rozplakał się. Oddech miał ciężki, urywany. - Idzie mały. - Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, kiedy przekazywał ją synowi.

Może dlatego, że zrobiło się tak cicho, Harper wyłapała dźwięk od strony ulicy: szorstkie dudnienie i łoskot przejeżdżającej obok domu ciężarówki. Od jakiegoś czasu po zmierzchu ruch na drogach zamierał. Obowiązywała godzina policyjna.

- Cześć, Harper. - Głos Connora juniora wyrwał ją z zamyślenia i wróciła do świata na drugim końcu linii.

- Cześć, Connor.

- Tatuś płacze. Mówi, że uderzył się w głowę.

- Musisz go pocałować i zobaczysz, że od razu poczuje się lepiej.

- Dobrze. Ty też płaczesz? Dlaczego? Też uderzyłaś się w głowę?

- Tak.

- Wszyscy uderzają się w głowę!

- To chyba taki wieczór.

Coś huknęło i w słuchawce rozległ się krzyk Connora:

- Właśnie uderzyłem się w głowę!

- Nie rób tego - upomniała go Harper.

Z roztargnieniem zauważyła, że ciężarówka, którą słyszała chwilę temu, wciąż stoi na ulicy z włączonym silnikiem.

Kolejny stłumiony huk.

- Znowu uderzyłem się w głowę! - oznajmił radośnie mały Connor. - Wszyscy uderzamy się w głowę!

- Przestań już - zrugła go Harper. - Bo nabawisz się bólu głowy.

- Już mnie boli - odparł wesoło.

Pocałowała słuchawkę z głośnym, wilgotnym cmoknięciem.

- Przesłałam ci buziaka. Czujesz?

- Aha! Tak. Dziękuję. Już mi lepiej.

- To dobrze.

Ktoś załomotał do drzwi. Przerazona Harper poderwała się z kanapy, jakby usłyszała strzały na ulicy.

Znowu uderzyłaś się w głowę? - spytał Connor. - Tym razem chyba bardzo mocno!

Zrobiła krok w stronę przedpokoju. Miała niejasne przeczucie, że idzie w złą stronę; że powinna pobiec do sypialni i wziąć torbę podróżną. Nie miała pojęcia, kto mógłby o tej porze dobijać się do drzwi.

- Przesłać ci buziaka, żebyś poczuła się lepiej? - paplał w słuchawce Connor.

- Pewnie. Buziaka, żebym poczuła się lepiej, i drugiego na dobranoc - odparła.

Usłyszała wilgotne cmoknięcie, a zaraz potem cichy, prawie nieśmiały głos:

- Już. To powinno pomóc.

- I pomogło.

- Muszę iść umyć zęby i posłuchać bajki na dobranoc.

- W takim razie zmykaj myć zęby. Dobranoc.

Usłyszała dziwny dźwięk dochodzący z przedpokoju: ni to skrobanie, ni chrobotanie, coś jakby stukot pomieszany z trzaskiem. Stłumiony

huk. Czekala, az Connor odpowie jej „dobranoc”, i dopiero po chwili dotarlo do niej, ze jest cos dziwnego w ciszy po drugiej stronie sluchawki. Zerknela na ekran telefonu i odkryla, ze bateria padla. Jej telefon mogl teraz posluzyc jako przycisk do papieru.

Znowu uslyszala ten chrobotliwy huko-stuko-trzask.

Weszla do przedpokoju i nadstawiajac uszu, zatrzymala sie kilka metrow od drzwi.

- Halo?! - zawolala niepewnie.

Drzwi otworzily sie, a zabezpieczajacy je lancuch zagrzechotal i napial sie do granic mozliwosci. W szczelinie pojawila sie twarz Jakoba, ktory zagladal do domu.

- Harper - rzucil. - Wpusc mnie. Chce porozmawiac.

Stała przed wejściem do pokoju, spoglądając na fragment Jakoba widoczny w szparze między drzwiami a futryną. Jego pociągłą twarz z głęboko osadzonymi, podkrążonymi oczami porastał kilkudniowy zarost. Kiedyś rozmawiali jak normalni ludzie o tym, kto wcieliłby się w nich, gdyby któryś z reżyserów postanowił zekranizować historię ich życia (pytanie tylko: kto chciałby nakręcić film o pielęgniarce ze szkoły podstawowej i facecie, który odbierał telefony w Urzędzie Robót Publicznych?). Harper widziała w roli Jakoba Jasona Patrica albo Johnny'ego Deppa, kogoś z ciemnymi włosami, silnego i gibkiego, kto wyglądał, jakby potrafił stanąć na rękach, i od czasu do czasu pisał wiersze. Tymczasem Jakob, na którego patrzyła, wyglądał jak Jason Patric albo Johnny Depp z filmu o narkomanach. Twarz miał zlaną potem, oczy błyszczące od gorączki. (Casting do roli Harper był znacznie łatwiejszy - jedynym słusznym wyborem była Julie Andrews w wieku dwudziestu ośmiu lat. Nie dlatego, że były do siebie podobne, ale dlatego, że zdaniem Harper nikt inny nie nadawał się do tej roli. Jeśli nie byliby w stanie przekonać dwudziestoośmioletniej Julie Andrews do zagrania w tym filmie, trzeba by było odwołać zdjęcia).

Jakob nie przyjechał rowerem. Za jego plecami stała zaparkowana przy krawężniku jedna z należących do miasta cięża-rówek, dwuipółtonowy freightliner w kolorze dyni, z przyczepionym z przodu ogromnym pługiem, poczerniałym i zniszczonym od częstego używania. W ostatnim czasie pługi pracowały dzień i noc, spychając wraki, które coraz częściej blokowały przejazd. Gdzieś zawsze płonął samochód, który należało usunąć z drogi.

Obejmując się ramionami, ruszyła w stronę drzwi. Powietrze, które wpadało do domu przez szczelinę, było chłodne i niosło z sobą korzenno-słodki zapach jabłek, suchych jesiennych liści i dymu. Zawsze dymu.

- Powinieneś był zadzwonić - powiedziała. - Nie wiedziałam, że przyjedziesz. Zamierzałam się położyć. Mogłabym cię nie usłyszeć.

- Jakoś dostałbym się do domu. Wybiłbym okno.

- Dobrze, że tego nie zrobiłeś. Skończył się olej opałowy. Ciężko ogrzać dom nawet bez wybitych okien. Na zewnątrz robi się chłodno.

- Poważnie? Wpuścisz mnie?

Nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć na to pytanie, nawet w myślach.

Żałowała, że nie przyszedł za dnia. Bez trudu wyobraziła sobie, jak zdejmuje łańcuch i otwiera mu drzwi w słoneczne popołudnie. Jednak przy październikowym mroku, który czaił się za plecami Jakoba, i chłodzie wlewającym się do środka zza uchylonych drzwi nie mogła przestać myśleć o ich ostatniej rozmowie, gdy wzmianka o powrocie do domu zabrzmiała w jego ustach niczym groźba.

Odetchnęła głęboko.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Lepiej. Dużo lepiej, Harp. Przepraszam, że cię wkurzyłem. - Spojrzał na nią z miną winowajcy spod długich, prawie dziewczęcych rzęs.

- A choroba? Bałeś się, że jesteś zainfekowany. Masz na skórze jakieś inne zmiany?

- Nie. Nie. Spanikowałem. Odbiło mi. Nic nie tłumaczy mojego zachowania. Nic mi nie jest poza tym, że cholernie mi głupio. To ty jesteś chora, a ja zachowywałem się jak... jak... - Odwrócił wzrok, zerknął w stronę ciężarówki i rzucił: - Cholera. Mam sobie iść? Wrócić jutro? Chciałem tylko... porozmawiać. Poczulem nagłą potrzebę, żeby w środku nocy spróbować przekonać swoją żonę, że nie jestem rozhisteryzowanym dupkiem.

- Chcę porozmawiać. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Tak? - zapytał z nadzieją w głosie. - O dziecku? Jeśli mamy zamiar to zrobić, jeśli chcemy mieć to dziecko... będziemy potrzebować planu. Odbezpieczysz w końcu tę broń? Zimno mi.

- Zaczekaj. - Zamknęła drzwi, położyła rękę na łańcuchu i przesunęła go. Nagle zamarła, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co chwilę temu powiedział Jakob. Myślała, że się przesłyszała. Że słuch splatał jej figła.

- Jakob - zaczęła, przytrzymując łańcuch. - Wspomniałeś coś o broni?

- Co? Nie. Nie. Nic takiego nie... Wpuścisz mnie? Jeszcze chwila i odmrozę sobie tyłek.

Zerknęła przez wizjer. Stał tak blisko, że widziała jedynie prawe ucho i część twarzy.

- Jakob - powtórzyła. - Przerażasz mnie. Pokażesz mi dłonie?

- W porządku. Zachowujesz się jak paranoiczka, ale jak sobie chcesz. A teraz patrz. Oto moje ręce. - Cofnął się o krok i wyciągnął ręce na boki.

Zaraz potem jego lewa noga wystrzeliła do przodu, prosto w drzwi. Łańcuch pękł. Drzwi uderzyły ją w twarz, tak że zatoczyła się i upadła.

W prawej ręce miał broń, mały rewolwer, który wyjął z głębokiej kieszeni spodni dresowych. Nie mierzył w nią. Przeszedł przez próg i łokciem zatrzęsnał za sobą drzwi.

- Nie chcę żadnych problemów - uprzedził. Podniósł wolną rękę, jakby chciał uspokoić żonę.

Harper dzwignęła się na czworaki i spróbowała wstać.

- Nie ruszaj się - warknął.

Nie posłuchała. Pomyślała, że da radę uciec do kuchni, schodami w dół do piwnicy i tylnymi drzwiami na zewnątrz. Ale kiedy wstała, kopnął ją w lewą nogę tuż pod kolanem i znowu upadła.

- Przestań, skarbie - ostrzegł ją. - Nie utrudniaj.

Przetoczyła się na bok. Jakob stał nad nią z bronią w ręce i patrzył zdumionym wzrokiem.

- Przestań - powtórzył. - Nie chcę, żeby to tak wyglądało. Chcę, żeby wszystko było tak, jak rozmawialiśmy. Żeby było miło.

Zaczęła się czołgać. Kiedy postąpił krok w jej stronę, chwyciła za nogę stolik ze stojącą na nim drewnianą lampką i szarpnęła ręką, próbując rzucić nim w Jakoba. On jednak prawie nie zwrócił na to uwagi i taksując ją spojrzeniem, odepchnął nogą mebel.

- Proszę - powiedział. - Nie chcę cię skrzywdzić. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Wyciągnął ku niej lewą rękę, żeby pomóc jej wstać. Kiedy jej nie przyjęła, pochylił się, chwycił ją za ramię i szarpnięciem postawił na nogi. Próbowwała się wyrwać, ale straciła równowagę i wpadła na niego. Natychmiast objął ją i przytulił do siebie.

- Proszę - zaczął, kołysząc się w przód i w tył. - Proszę. Wiem, że się

boisz. Ja też się boję. Mamy prawo być przerażeni. Oboje jesteśmy chorzy i umieramy. - Broń boleśnie wbijała się jej w krzyż. Materiał koszulki podwinął się do góry i czuła na plecach chłodny dotyk metalu. - Chcę, żeby było tak, jak rozmawialiśmy. Żeby było miło. Dobrze i łatwo. Nie chcę zachowywać się jak desperat, nie chcę się bać i płakać, i chcę zaoszczędzić ci tego wszystkiego. Za bardzo cię kocham, żeby do tego dopuścić.

- Nie dotykaj mnie! Nie wiemy, czy jesteś chory. Nie chcę cię zarazić.

- Ja wiem. Wiem, że to mam. Wiem, że umrę. Oboje umrzemy. Pytanie tylko jak.

Wypuścił ją z objęć i pocałował. Był to słodki, namiętny pocałunek. Jakob całował jej włosy. Czoło. Kiedy zamknęła oczy, ucałował jej powieki, a ona zadrżała.

- Nie powinieneś mnie całować - wyszeptała.

- Jak miałbym tego nie robić? To najśłodsza rzecz w całym moim życiu.

Otworzyła oczy i spojrzała na jego twarz.

- Jakob. Jesteś rozpalony, ale nie widzę żadnych zmian na skórze. Skąd ta pewność, że jesteś zainfekowany?

Pokręcił głową.

- Moje biodro. Zaczęło się wczoraj i z każdą chwilą jest coraz gorzej. Mam wrażenie, że biodro mi płonie.

Prawą ręką objął ją w pasie, chłodny metal musnął jej plecy. Lewą zacisnął w pięść i delikatnie wodził kłykciami po jej policzku. Znajomy dotyk przyprawił ją o dreszcze.

- Usiądźmy. Zróbmy tak, jak planowaliśmy. Niech będzie tak miło, jak oboje tego chcieliśmy.

Zaprowadził ją do pokoju, w którym pół roku temu siedzieli razem i pijąc białe wino, oglądali ludzi skaczących ze szczytu Space Needle. Chwycił ją za ramię, jakby zamierzał je wywichnąć, oderwać od ciała, niczym udko pieczonego kurczaka. Kiedy dotarło do niego, że sprawia jej ból, puścił ją i delikatnie, niemal z nabożną czcią, pogłaskał po ramieniu.

W czerwonym świetle świec chybotliwe cienie tańczyły na ścianach.

- Usiądźmy - przemówił stojący obok niej cień, jeden z wielu. - Porozmawiajmy.

Jakob rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu, zwanym Wielkim Jajem... wiklinowym meblu w kształcie jaja, z dziurą z boku i miękką poduchą na siedzisku. Był niewysokim mężczyzną i siedząc po turecku, mieścił się cały w tej wiklinowej łzie. Położył broń na kolanach.

Harper przysiadła na skraju stolika, naprzeciw niego.

- Chciałabym obejrzeć twoje biodro. Zobaczyć łuskę.
- Chcesz mi powiedzieć, że nie jestem chory, ale ja wiem swoje.
- Pokażesz mi biodro?

Zawahał się, ale wyprostował nogę i obrócił się na bok. Opuścił spodnie, odsłaniając prawe biodro - krwawiącą, pełną otarć ranę. Widoczna pod głębokimi zadrapaniami skóra miała niezdrowy, żółto-czarny kolor. Na sam widok zrobiło się jej niedobrze.

- Boże, Jakob... Coś ty zrobił? Mówiłam ci, żebyś tego nie ruszał.
- Nie mogę na to patrzeć. Nie mogę znieść myśli, że mam to na sobie. Nie wiem, jak ty to znosisz. Mnie odbija. Próbowałam zeszkrobać to maszynką do golenia. - Wydał zduszony, chrapliwy dźwięk, który z całą pewnością nie był śmiechem.

Harper zmrużyła oczy i spojrzała na ranę.

- Łuska wapnieje i ma w sobie coś jakby drobinki złota. Tu nic takiego nie widzę.
- Jest żółta. Na brzegach.

- To siniak. To tylko siniak. Jakob... to jedyne takie miejsce?

- Jest jeszcze pod kolanem. I na łokciu. Nie każ mi ich pokazywać. Nie przyszedłem tu na badanie lekarskie. Odwrócił się, podciągnął spodnie i znów rozsiadł się w fotelu.

Wszystkie tak wyglądają?

- Rozdrapałem je. Wpadłem w histerię. Teraz się tego wstydzę, ale taka jest prawda.

- Moim zdaniem to nie jest smocza łuska, a wierz mi, widziałam różne przypadki. Poza tym nie było cię w domu od sześciu tygodni. Prawie siedmiu. Jeśli do tej pory nie zachorowałeś, to znaczy...

- To znaczy, że powiesz wszystko, żeby uniknąć tego, co ma się wydarzyć. Wiedziałem, że będziesz próbowała przekonać mnie, że jestem zdrowy. Mógłbym napisać scenariusz całej tej rozmowy. Myślisz, że nie wiem, jak to jest? To boli jak diabli, przez cały czas.

- Rana jest zainfekowana, ale to nie *Trichophyton*. Rozdrapałeś ją i nie opatrywałeś. Jakob, proszę. Jesteś zdrowy. Powinieneś iść. Powinieneś natychmiast wyjść.

- Przestań. Przestań się targować i przestań kłamać. Nie chcę cię znienawidzić, ale za każdym razem, gdy próbujesz mnie okłamać, żeby ocalić skórę, mam ochotę cię uciszyć.

- Kiedy ostatnio jadłeś?

- Jak możesz w ogóle mówić o jedzeniu? Może powinienem zrobić to tu i teraz. To straszne. Nie tak się umawialiśmy. Mieliliśmy się kochać, słuchać muzyki i czytać sobie nawzajem ulubione wiersze. Umawialiśmy się, że będzie miło, taka mała impreza we dwoje. Ale ty się boisz i gdybym nie miał bronii, już dawno byś uciekła. Uciekłabyś i zostawiłabyś mnie, żebym umierał w samotności. I nawet nie miałabyś wyrzutów sumienia, że to ty mnie zaraziłaś. To dlatego ciągle powtarzasz, że nic mi nie jest. Nie okłamujesz tylko mnie. Próbujesz okłamać samą siebie. Nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy. Nie potrafisz pogodzić się z tym, co zrobiłaś.

Głos miał opanowany; nie było w nim paniki, którą słyszała, kiedy rozmawiali przez telefon. Wzrok też miał spokojny. Patrzył na nią szklistymi oczami chorych umysłowo, ludzi, którzy siedzą na ławkach w parku i radośnie dyskutują ze swoimi niewidzialnymi przyjaciółmi.

Nie zdziwił jej ten nagły spokój. Strach jest ogniem, który więzi

człowieka na ostatnim piętrze płonącego budynku; żeby uciec, należy skoczyć. Jakob tygodniami przygotowywał się do tego skoku. Słyszała to w jego głosie za każdym razem, gdy rozmawiali przez telefon, nawet jeśli wówczas nie miała o tym pojęcia. W końcu dokonał wyboru i dzięki temu osiągnął spokój, którego tak bardzo potrzebował. Był gotów wyskoczyć przez okno, ale skacząc, chciał trzymać ją za rękę.

Zdziwił ją za to jej własny spokój. Zastanawiała się nad tym. Zanim ogień ogarnął ziemię, codziennie rano szła do pracy z niepokojem i co wieczór wracała z nim do domu; był jej bezimiennym, bezdusznym kompanem, który dźgał ją w żebra za każdym razem, kiedy próbowała się odprężyć. A przecież w tamtych czasach tak naprawdę nie miała powodów do niepokoju. Kręciło jej się w głowie na myśl o zaleganiu ze spłatą kredytu studenckiego i kolejnej awanturze z sąsiadem, którego pies rozrywał worki ze śmieciami i rozrzucał je na trawniku. A teraz spodziewała się dziecka, była chora na nieuleczalną chorobę, Jakob oszalał i siedział naprzeciw niej z bronią w ręku, a ona czuła spokój, na który - o ironio! - czekała całe życie.

W końcu będę człowiekiem, jakim zawsze chciałam być, pomyślała.

- To takie straszne? - spytała. - To takie straszne, że chciałam wierzyć, że jesteś zdrowy? Że chciałam, żebyście ty i dziecko przeżyli? Pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, Jake.

Jego oczy przygasły. Przygarbił się.

- To głupie. Nikt nie przeżyje. Cały świat to jeden wielki piekarnik. Dosłownie. Zanim się obejrzymy, cała ta planeta spali się na popiół. Wszyscy zginiemy. To ostatnie pokolenie. Chyba zawsze o tym wiedzieliśmy. Nawet przed smoczą łuską. Wiedzieliśmy, że cały ten syf odbije się nam czkawką, że skończy się nam jedzenie, powietrze i cała reszta.

Nawet w ostatnich chwilach swojego życia nie mógł przestać jej pouczać. I nagle dotarło do niej, że już od lat go nie kocha. Był męczącym mądralą. Zaraz potem przyszła jej do głowy kolejna zdumiewająca myśl, którą nie do końca była gotowa przetworzyć: bez względu na to, co mówi Jakob, nie zgłosiła się do pracy w szpitalu po to, żeby zostać kolejną Florence Nightingale. Zdecydowała się na to, bo straciła zainteresowanie własnym życiem. Nigdy dotąd nie położyła na szali czegoś naprawdę istotnego.

To obudziło w niej gniew, który objawił się pieczeniem zainfekowanej skóry. On jej to zrobił - wkłuł się do jej życia swoją filozoficzną strzykawką i próbował wyssać z niego całą radość. W pewnym sensie od lat próbował pozbawić ją życia.

Poczuła, że jest gotowa, choć sama nie wiedziała, na co. Zbierała siłę i odwagę na jakiś akt, który nawet dla niej pozostawał tajemnicą, ale czuła, że nadchodzi, zbliża się do niej z zawrotną prędkością.

- Czytałam twoją książkę.

I nagle zobaczyła przeblysłk czegoś ludzkiego, czegoś innego niż ten cierpliwy, błogi, niebezpieczny spokój. Behawioryści mówili o mikroekspresjach, emocjach, które wynurzają się na powierzchnię i obnażają całą prawdę o człowieku, choć zwykle trwają zbyt krótko, by można je było dostrzec. Przez ułamek sekundy patrzył na nią z niepewnością i zakłopotaniem. Aż dziw bierze, jak wiele informacji może przemknąć między dwiema osobami w jednym tylko spojrzeniu, bez udziału słów. A więc jednak zdradzał ją z tymi kobietami. Jego zawstydzone spojrzenie mówiło więcej niż przyznanie się do winy.

- Nieźle sobie poświntuszyłeś - powiedziała. - Czytając to, robiło mi się gorąco, i smocza łuska nie miała z tym nic wspólnego.

- Prosiłem, żebyś jej nie czytała.

- Więc proszę bardzo, zastrzel mnie.

Z jego gardła dobył się krótki, szczekliwy dźwięk. Potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, że to był śmiech.

Odetchnęła, opuściła ręce i strzepnęła je, jakby były mokre i jakby chciała je osuszyć.

- Uff. No cóż, świat będzie musiał spłonąć bez nas. Mam ochotę na coś dobrego, zanim odejdę.

Rzucił jej ospałe, bezradne spojrzenie.

- Proszę. Postaram się - obiecała. - Zrobię wszystko, żeby było miło.

- Nie wiem, czy to coś da. Nie jestem już w nastroju. Po prostu mam ochotę skończyć z tym wszystkim.

- Ale ja nie jestem gotowa. A przecież chcesz, żeby mi było dobrze, prawda? Poza tym nie odejdę, nie przespawszysię z tobą jeszcze raz. - Roześmiała się i próbowała się uśmiechnąć. - Możesz winić za to tylko siebie, Jakobie Graysonie. Zostawiłeś znudzoną, samotną kobietę z tą stertą bezwstydných sprośności. - Wskazała głową leżący na stole

rękopis.

On też się uśmiechnął, choć był to wymuszony uśmiech.

- Seks znaczy dla ciebie więcej niż dla mnie. Wiem, że to wbrew stereotypom. Naprawdę ci na tym zależy. To jedna z tych rzeczy, które zawsze w tobie lubiłem. Ale w tej chwili myśl o pójściu do łóżka budzi we mnie odrazę.

Odwróciła się i podeszła do stojącego na półce małego, białego głośnika firmy Bose. Widząc to, Jakob wychylił się z fotela.

- Co robisz? - spytał Jakob.

- Włączam muzykę.

- Nie potrzebuję muzyki. Wolę porozmawiać.

- Ale ja potrzebuję muzyki. I drinka. Ty też powinienes się napić.

W końcu coś do niego dotarło.

- Zabiłbym za drinka - przyznał i znowu wydał z siebie ten szczekliwy dźwięk, który miał uchodzić za śmiech.

Gdyby przyszedł tylko po to, żeby ją zabić, już dawno by ją zastrzelił, a przecież tego nie zrobił. W głębi duszy liczył na coś więcej: ostatni pocałunek, ostatni numerek, ostatni drink, a może chodziło o coś głębszego, jak wybaczenie albo rozgrzeszenie. Harper nie zamierzała dawać mu żadnej z tych rzeczy, ale pozwalała, by miał nadzieję. To ona utrzymywała ją przy życiu. Przełączyła radio na FM, stację nadającą stary, ale dobry klasyczny rock. Dire Straits... Romeo zaczynał właśnie swoją serenadę, *...ty i ja, skarbie, co ty na to?* I nie wiedzieć czemu, Harper pomyślała o Hillary Clinton.

Stała przy głośniku, leniwie kołysząc biodrami. Nie miała wątpliwości, że w tej sytuacji seks napawa Jakoba obrzydzeniem, ale nie on jeden ukończył w college'u kurs psychologii. Nie zapomniała, co znajduje się tuż za granicami obrzydzenia.

Przez mniej więcej dziesięć sekund stała odwrócona do niego plecami, udając, że słucha muzyki, po czym powoli obejrzała się przez ramię. Obserwował każdy jej ruch.

- Skrzywdziłeś mnie - powiedziała. - Zawiodłeś.

- Przepraszam. Nie chciałem.

- Pod każdym względem, tylko nie w łóżku.

Zmrużył oczy i wiedziała, że posunęła się za daleko, że jeszcze chwila i Jakob zacznie coś podejrzewać - nigdy, ale to nigdy nie mówiła w ten

sposób o seksie - lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wykrzyknęła:

- Nasza butelka! - Zupełnie jakby nagle sobie przypomniała. - Chcę otworzyć butelkę, którą przywieźliśmy z Francji. Pamiętasz? Mówiłeś, że to najlepsze wino, jakie kiedykolwiek piłeś, i że powinniśmy zachować je na wyjątkową okazję. - Posłała mu kpiarskie spojrzenie. - Czy ta okazja jest wystarczająco wyjątkowa?

Wina trzymali w pokoju - białe w chłodziarce, która nie utrzymywała już temperatury, czerwone w barku. Gdziekolwiek jechali, zamiast magnesów na lodówkę przywozili z sobą butelkę wina. Jednak w ciągu ostatnich pięciu lat niewiele podróżowali. Sięgnęła po francuskie bordeaux, pamiątkę z miesiąca miodowego. Dłoń miała tak spoconą, że mało brakowało, a butelka wyslizgnęłaby się jej z ręki i poleciała w stronę Jakoba. Wyobraziła sobie, że podrywa się zaskoczony i odruchowo strzela jej w brzuch. Zabijając jednym strzałem ją i dziecko, co, gdyby się nad tym zastanowić, idealnie pasowało do jego charakteru. Jakob był skąpy z natury, nienawidził marnować rzeczy; często beształ ją za to, że jego zdaniem zalewała płatki śniadaniowe zbyt dużą ilością mleka.

Wsunęła butelkę pod pachę i zdjęła dwa kieliszki z wieszaka przymocowanego do jednej z półek z książkami. Ręce jej drżały i szkło melodyjnie brzęknęło o siebie. Na końcu sięgnęła po korkociąg.

Zamierzała otworzyć butelkę i poprosić Jakoba, żeby rozlał wino do kieliszków. Podczas gdy on będzie zajęty, ona pospiesznie wykręci korek i dźgnie go korkociągiem w twarz. A jeśli nie starczy jej odwagi, przynajmniej spróbuje zranić go w rękę, w której trzymał broń.

Przysiadła na skraju stolika, twarzą do wiklinowego fotela. Pistolet spoczywał na kolanie Jakoba, z lufą skierowaną w jej stronę bez żadnego konkretnego celu. Trzymała korkociąg w prawej ręce, między palcem środkowym a serdecznym. Jakob był za daleko; będzie musiała rzucić się na niego, żeby wbić mu go w twarz. Choć może on podejdzie bliżej, żeby nalać wina. Może.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że obserwuje ją z chłodną kalkulacją. Twarz miał bladą i nieruchomą, niemal bez wyrazu.

- Myślisz, że jak mnie upijesz i przelecisz, zmienię zdanie na temat tego, co musi się stać? - spytał.

- Myślałam, że o to właśnie chodziło: żeby upić się, pójść do łóżka i miło spędzić czas. Że zrobimy to na naszych warunkach. Nie tego chciałeś?

- Tak. Ale nadal nie jestem pewien, czy ty tego chcesz. Nie wiem, czy kiedykolwiek tego chciałaś. Może jak bohaterki ckliwych filmów na kanale Lifetime ty też miałaś ochotę pobawić się w Romea i Julię i umrzeć razem z ukochanym, ale nigdy nie traktowałaś tego poważnie. Do głowy ci nie przyszło, że coś takiego może się wydarzyć. Ale zdarzyło się, a ty zrobisz wszystko, żeby się z tego wywinąć. Jesteś gotowa się skurwić, żeby dopiąć swego. - Zakołysał się w przód i w tył i ciągnął: - Wiem, że to, co teraz powiem, jest politycznie niepoprawne, ale co mi tam, i tak niedługo umrzemy. A więc: nigdy nie uważałem kobiet za przesadnie inteligentne. Nigdy nie spotkałem kobiety, która wyróżniałaby się wyjątkową inteligencją. Nic dziwnego, że Facebook, samoloty i inne wielkie odkrycia są dziełem mężczyzn.

- Tak - przyznała. - Wymyślili je, żeby mogli sobie podupczyć. Pijemy to wino czy nie?

Znowu ten szczekliwy dźwięk.

- Nawet nie próbujesz zaprzeczać?

- Czemu? Temu, że kobiety są głupie, czy temu, że tak naprawdę wcale nie chcę się z tobą zabić?

- Temu, że wydaje ci się, że jak pokręcisz tyłkiem, zapomnę, po co tu przyszedłem. Bo o to właśnie ci chodzi. Ale ja mam moralny obowiązek powstrzymać cię przed tym, żebyś chodziła po świecie i зараżała innych ludzi tak, jak зараziłaś mnie.

- Jeszcze chwilę temu twierdziłeś, że świat i tak się skończy, więc jakie to ma znaczenie? Jakie to... - zaczęła i urwała. Stało się bowiem coś, czego nie przewidziała.

Korek nic chciał wyjść.

Był to masywny korek zabezpieczony woskiem. Trzymała butelkę pod pachą, drugą ręką ciągnąc korkociąg, ale cholerstwo ani drgnęło, jakby ktoś wcisnął je tam na dobre.

Widząc to, Jakob sięgnął lewą ręką ponad stolikiem, chwycił butelkę za szyjkę i przyciągnął do siebie. Prawa ręka wciąż ścisnęła broń.

- Mówiłem ci, że trzeba je trzymać w suchym miejscu - rzucił. - Od wilgoci korki pęcznieją.

Słowa „mówiłem ci” musiały być jakimś karmicznym przeciwieństwem „kocham cię”. Przychodziły mu z dużo większą łatwością. W tym momencie miałyby ich dość, gdyby nie to, że nagle opuściły ją wszelkie siły. Ponieważ teraz to on miał korkociąg. Oddała mu go bez walki i bez słowa sprzeciwu. Swoją jedyną broń.

Ścisnął butelkę udami, przygarbił się i pociągnął. Na czerwonej szyi wystąpiły żyły. Gruba warstwa wosku pękła i korek zaczął się wysuwać. Harper rzuciła okiem na broń. Wciąż ją trzymał, ale lufa przesunęła się odrobinę i mierzyła w stojący za jej plecami regał z książkami.

- Daj kieliszek - powiedział. - Wychodzi.

Chwyciła kieliszek i pochyliła się, trącąc kolanami jego kolana. Czas zwolnił i rozciągnął się niczym guma. Korek wysunął się o kolejny centymetr. I jeszcze jeden. A zaraz potem opuścił butelkę z idealnym, delikatnym „plum”. Jakob odetchnął i położył korkociąg przy udzie, tak by w każdej chwili mógł po niego sięgnąć.

- Spróbuj - zachęcił ją i nalał odrobinę wina do kieliszka, który trzymała w wyciągniętej ręce.

Kiedy byli we Francji, z wielkim entuzjazmem zrobił jej wykład o tym, jak należy pić wino. Harper wetknęła nos do kieliszka i zrobiła głęboki wdech, napełniając nozdrza pieprznym bukietem, tak silnym, że wcale nie musiała pić, żeby zakręciło się jej w głowie. Był to przyjemny zapach - miała ochotę jednym haustem opróżnić zawartość kieliszka - ale wzdrygnęła się i ściągnęła brwi.

- No nie - rzuciła drżącym głosem. - A niech to. Czy naprawdę wszystko musi być nie tak? - Podniosła wzrok. - Skwaśniało. Smakuje jak ocet. Otworzymy następne? Może to z Napa? Mówiłeś, że kolekcjonerzy się o nie zabijają.

- Co? Nie ma nawet dziesięciu lat. Coś tu nie gra. Pokaż. - Wychylił się z fotela.

Wybałuszył oczy, jakby coś przeczuwał. Był szybki, prawie wystarczająco szybki, żeby zrobić unik, ale wychylił się i to jej wystarczyło.

Walnęła go kieliszkiem w twarz. Szkło roztrzaskało się z ładnym, melodyjnym dźwiękiem, a odłamki namalowały na skórze Jakoba jasnoczerwone krechy, kalecząc kość policzkową, grzbiet nosa i brew. Wyglądało to tak, jakby mały tygrys urządził sobie z jego głowy

zabawkę.

Jakob wrzasnął, chwycił za broń i pociągnął za spust. Huk wystrzału wstrząsnął ścianami, a kula świsnęła tuż obok głowy Harper.

Regał z książkami eksplodował, a w powietrzu niczym płatki śniegu zawirowały kartki papieru. Harper zerwała się na równe nogi i umknęła w lewo, w stronę drzwi do sypialni. Uciekając, huknęła kolanem o róg stolika; poczuła siłę uderzenia, ale nie ból.

Dookoła niej zapadła cisza, a jedynym dźwiękiem był przeraźliwy skowyt, wysoki jak brzęk kamertonu. Skrawek papieru, smętne resztki któreś z książek, opadły na jej pierś i tam zostały.

Siła odrzutu przewróciła Wielkie Jajo z siedzącym w nim Jakobem. Butelka wypadła mu z dłoni, zatoczyła łuk i uderzyła ją w ramię. Harper trzema susami przesadziła pokój i dopadła do drzwi sypialni. Tuż przy jej lewym uchu futryna eksplodowała, a białe drzazgi utkwily w jej włosach i twarzy. Dźwięk wystrzału brzmiał niewyraźnie jak dobiegający z zewnątrz trzask zamykanych drzwi samochodu. Chwilę później była już w sypialni.

Bezmyślnie sięgnęła po przyklejony do piersi skrawek papieru, zerknęła na niego i przeczytała:

..jego ręce były rękami wybitnego dyrygenta, wygrywającego wszystkie symfonie zniszczenia i ognia, które miały zburzyć zwęglone resztki ruin historii.

Niewiele myśląc, wyrzuciła kartkę za siebie i zatrzasnęła drzwi do sypialni.

Nie przejmowała się zamkiem w drzwiach. Nie było sensu. Była to zwykła zasuwka, którą wyważyłby jednym kopnięciem. Nie wiedziała nawet, czy drzwi się zamkną, kula wyrwała bowiem połowę futryny.

Sięgnęła po stojące przy drzwiach drewniane krzesło i wsunęła oparcie pod klamkę. W nogach łóżka stała torba podróżna, a w niej ubrania i *Podręczna mama*. Chwyciła skórzane uszy torby i podeszła do okna z widokiem na ogród za domem. Szarpnęła blokadę i otworzyła je. Za jej plecami krzesło zakołysało się i zaskrzypiało.

Wzgórze za domem opadało stromo w stronę linii drzew. Ktoś, kto patrzył na dom od frontu, pomyślałby, że sypialnia znajduje się na parterze. Dopiero patrząc od tyłu, widać było, że tak naprawdę znajduje się na piętrze, a tuż pod nią mieści się piwnica z wejściem od podwórka. Między oknem sypialni a ziemią rozciągało się pięć metrów atramentowej czerni.

Stając na parapecie, spojrzała w dół i zobaczyła, że krwawi. Cały przód wiązanej na szyi, białej bluzki nasiąknięty był krwią. Nie miała pojęcia, gdzie została trafiona. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Skoczyła, ciągnąc za sobą torbę. Chwilę później okno eksplodowało gradem odłamków, gdy strzał Jakoba roztrzaskał szybę.

Spadała i spadała, a ziemia wciąż była daleko. Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. I nagle rąbnęła o podłoże, a prawa stopa ugięła się pod nią, wywołując eksplozję obezwładniającego bólu. Pomyślała o niemych filmach i pianinach, które bezdźwięcznie wypadały z okien, roztrzaskując się o bruk. O klawiszach z kości słoniowej rozsypanych na chodniku niczym zęby.

Straciła równowagę, upadła do przodu i zaczęła się turlać, turlać i turlać. Wypuściła z rąk torbę, która potoczyła się za nią, rozsypując w ciemności swoją zawartość. Miała wrażenie, że upadając, strzaskała prawą kostkę, ale to nie mogła być prawda, bo jeśli tak było, Jakob złapie ją i zabije.

Zatrzymała się w połowie stromego zbocza; nad głową miała zasnutę

dymem nocne niebo. Kątem jednego oka dostrzegła majaczący w górze wysoki, wąski budynek. Kątem drugiego widziała skraj lasu, drzewa na wpół ogołoczone z liści niczym szkielety w łachmanach. Jedyne, czego chciała, to leżeć tak i czekać, aż świat się zatrzyma.

Ale nie miała na to czasu. Zejście do piwnicy i wyjście tylnymi drzwiami zajmie Jakobowi najwyżej dwadzieścia sekund.

Dźwignęła się z ziemi, która zakołysała się niczym łódka na ogarniętym szkwałem jeziorze. Zastanawiała się, czy zawroty głowy spowodowane są utratą krwi; jeszcze raz spojrzała na przesiąkniętą czerwienią bluzkę i poczuła zapach wina. A więc jej nie postrzelił. To, co początkowo wzięła za krew, w rzeczywistości było bordeaux, które przywieźli z miesiąca miodowego. Francuskie winnice obróciły się w popiół, a to znaczyło, że czarnorynkowa cena plamy na jej bluzce wynosiła kilka tysięcy dolarów. Nigdy nie miała na sobie niczego tak drogiego.

Oparła lewą dłoń na ziemi, żeby odzyskać równowagę, i poczuła pod palcami zmięte koszulki i coś zapakowanego w szeleszczący celofan. Blaszyany gwizdek. Bóg jeden wie, po co go spakowała.

Wstała. Zostawiła torbę podróżną, rozsypane ubrania i książkę, którą przygotowywała dla swojego dziecka, i zacisnęła palce na gwizdku. Zrobiła pierwszy niepewny krok w stronę lasu, ale prawa noga niemal złożyła się pod nią jak scyzoryk. Coś chrupnęło i poczuła ból tak przeszywający, że nogi się pod nią ugięły. Może nie była ranna, ale z całą pewnością coś było nie tak z jej kostką.

- Harper! - usłyszała za plecami głos Jakoba. - Harper, ty dziwko, przestań uciekać!

Znowu coś chrupnęło w nodze i mroczki zatańczyły jej przed oczami. Przez chwilę biegła na oślep, bliska omdlenia. W filmach akcji ludzie na okrągło wyskakują z okien i nikomu nic się nie dzieje.

Biegając, próbowała rozerwać celofanowe opakowanie. Robiła to bezmyślnie, jak automat, jak gdyby jej ręce żyły własnym życiem.

Przy kolejnym kroku niefortunnie przeniosła ciężar ciała na prawą nogę i z jej gardła dobył się stłumiony krzyk. Błyskawica obezwładniającego bólu pomknęła w górę nogi aż do miednicy. Harper ukryła się za kępą krzaków i uklękła na jedno kolano.

Podniosła gwizdek do ust, dmuchnęła i las wypełnił przenikliwy,

karnawałowy dźwięk. Był głośny i zważywszy na okoliczności, wydawał się dziwnie nie na miejscu. Pierwszy strzał zrobił jej coś z uszami: uszkodził błonę bębenkową i przytłumił słuch, ale dźwięk gwizdka brzmiał głośno i wyraźnie niczym świst racy szybującej w niebo.

- Harper, ty dziwko! Moja twarz! Zobacz, co zrobiłaś mi z twarzą! - ryczał Jakob. Był teraz bliżej, gdzieś na granicy lasu.

Harper poderwała się z ziemi i utykając, weszła głębiej w las. Trzymała przed sobą wyciągniętą rękę, jakby chciała ochronić twarz przed gałęziami. Za każdym razem, gdy przenosiła ciężar ciała na prawą nogę, miała wrażenie, że łamie kolejną kostkę. Suche liście szeleściły jej pod stopami.

Była przerażona. Nigdy w życiu tak się nie bała. Jej strach uleciał w noc wraz z przenikliwym świiii-steeeem blaszanego gwizdka. Nie wiedziała, dlaczego znowu w niego dmuchnęła. Przecież dźwięk doprowadzi Jakoba prosto do niej.

Sadząc nierówne susy, zbczyła ze ścieżki. Nie powinna tego robić, nie powinna zbaczać z kursu; powinna iść w określonym kierunku, a tymczasem nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Gwizdek wypadł jej z ręki, ona jednak szła dalej, nie oglądając się za siebie. Trafiła prawą stopą w płytkie zagłębienie, kostka chrupnęła, a ona krzyknęła cicho i upadła na kolano.

- Nadchodzę, Harper! - wrzasnął Jakob i wybuchł chrapliwym śmiechem. - Zaczekaj, aż zobaczysz, co ja zrobię z twoją twarzą!

Sięgnęła na oślep prawą ręką, próbując pochwycić gałąź, która uparcie pozostawała poza jej zasięgiem. Jeszcze chwila, i przewróci się. Jeśli tak się stanie, nie będzie mogła się podnieść. Zostanie tam; skulona w kłębek i oddychając z trudem, będzie czekała, aż znajdzie ją Jakob i wpakuje w nią cały magazynek.

Gdzieś z boku zachręściły liście i ktoś wziął ją za rękę. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Osłupiała spojrzawszy na spokojną, beznamiętną twarz Kapitana Ameryki.

- Chodź - ponaglił ją głosem dziewczynki, a zaraz potem pomógł jej wstać.

Trzymając się za ręce, pomknęły skrajem lasu; łysa dziewczynka i kuśtykająca obok niej młoda kobieta. Harper miała wrażenie, że stopy małej praktycznie nie dotykają ziemi, i znowu poczuła to co wtedy, gdy

spotkały się po raz pierwszy - jak gdyby śniła, a to wszystko nie działo się naprawdę.

Dziewczynka poprowadziła ją do dębu, który był już stary, Wtedy zastrzelono prezydenta Kennedy'ego. Do pnia przybito deseczki, które pięły się w górę i znikwały między gałęziami; prawdopodobnie pozostałości po dawno zapomnianym domku na drzewie. Widząc je, Harper pomyślała o filmie *Straceni chłopcy* i o Piotrusiu Panu.

- Na górę - szepnęła dziewczynka. - Raz.

- Raz-dwa - powiedział strażak, wychodząc zza krzaków gdzieś na prawo od Harper. Twarz miał tak brudną, że niemal czarną. Wciąż miał na sobie duży strażacki hełm, umazaną sadzą żółtą kurtkę, a w ręce ścisnął halligan. - Mów poprawnie, Allie. Postaraj się nie kaleczyć mojego języka swoimi okropnymi amerykańskimi. - Uśmiechnął się.

- On nadchodzi - rzuciła Allie.

- Zajmę się nim - uspokoił ją strażak.

Gdzieś niedaleko Jakob zaklął. Harper słyszała, jak przedziera się przez zarośla.

Weszła na drzewo, zamiast na prawej stopie, opierając się na kolanie. Nie było to proste, ale wspinająca się za nią dziewczynka popychała jej pośladki obiema rękami.

- Pospiesz się - syknęła.

- Złamałam nogę w kostce. - Harper chwyciła grubą gałąź i podciągnęła się na niej.

Chwilę później przesunęła się, robiąc miejsce dla dziewczynki. Siedziały cztery metry nad ziemią i pomiędzy liści dębu Harper obserwowała widoczną w dole małą polankę. Strażak nie odszedł daleko, zaledwie kilka kroków w kierunku, z którego nadchodził Jakob. Ukrył się za krzewem sumaka i czekał.

Pachnący dymem z odległych ognisk wiatr rozwiewał włosy Harper. Odwróciła się twarzą w jego stronę i uświadomiła sobie, że widoczny w oddali budynek to jej dom. W dzień miałyby stąd niezły widok na taras i okna kuchenne.

Jakob wyszedł z zarośli i minął ukrytego za krzewem strażaka. Twarz mu krwawiła; rana pod lewym okiem wyglądała paskudnie, oddarty płat skóry kołysał się na kości policzkowej. Jakob miał liście we włosach i świeże zadrapania na brodzie. W opuszczonej ręce trzymał

broń z lufą skierowaną w ziemię.

- Hej! - rzucił strażak. - Czemu tak biegasz po lesie z bronią? Komuś może stać się krzywda. Mam nadzieję, że ta broń jest zabezpieczona.

Jakob wydał dźwięk, coś jakby okrzyk zaskoczenia, i nabrał powietrza, odwrócił się i podniósł broń. Strażak opuścił halligan, długi rdzewiejący pręt, najeżony z obu stron rozmaitym żelastwem. Narzędzie świsnęło w powietrzu i ze szczękiem uderzyło w lufę rewolweru. Broń upadła na ziemię i wypaliła, posyłając kulkę w leśną ściółkę.

- Chyba jednak nie - skwitował strażak.

- Coś ty, kurwa, za jeden? - warknął Jakob. - Jesteś z Harper?

Anglik przekrzywił głowę i wyraźnie zdumiony zastanawiał się przez chwilę. Zaraz jednak się rozpromienił i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, można chyba tak powiedzieć - odparł i zakołysał się na piętach, jakby ucieszony tą nagłą myślą. Patrząc na niego, Harper uświadomiła sobie, że jest szalony... równie szalony jak Jakob. - Harper. Zupełnie jak Harper Lee. Ja ją znam jedynie jako siostrę Grayson. Harper. Piękne imię. - Odchrząknął i dodał pospiesznie: - Ale jestem też facetem, który mówi ci, żebyś się odwalił. Te lasy nie są twoją własnością.

- A niby, kurwa, czyją? - spytał Jakob.

- Moją - odparł tamten. - Tak sobie, kurwa, myślę, że te kurewskie lasy należą, kurwa, do mnie. Ja też potrafię przeklinać, koleś. Jestem Anglikiem. My nie boimy się rzucać mięsem. Słowo na „p”? To także potrafimy: pizda, pizda, pierdolona pizda, pizda, pizdapizda. - Nie przestając się uśmiechać, ciągnął: - No, wynocha. Spadaj, ty pyskata pizdo.

Jakob przyglądał mu się nieufnie, jakby nie miał pojęcia, co powiedzieć, a tym bardziej zrobić. Chwilę później odwrócił się, pochylił i sięgnął po broń.

Strażak zamachnął się halliganem jak kijem do gry w polo i jednym uderzeniem posłał pistolet między paprocie. Jakob bez namysłu rzucił się na chudego żylastego Anglika. Strażak podniósł halligan, ale Jakob doskoczył do niego, zacisnął ręce na metalowym pręcie i przez chwilę się siłowali. Jakob był jednak silniejszy.

Silniejszy i potrafił utrzymać równowagę... To dzięki niej umiał

chodzić po linie i jeździć na monocyklu. Zaparł się stopami, wykonał nagły skręt ciałem, uniósł strażaka nad ziemię i z całej siły grzmotnął nim o pień dębu, na którym siedziała Harper.

Poczuła, że siła uderzenia zatrzęsła gałęzią, i miała wrażenie, że całe drzewo zadrżało.

Jakob odsunął się i kolejny raz przyparł przeciwnika do drzewa. Strażak jęknął, a powietrze ze świstem uleciało z jego płuc.

- Ty skurwielu - wycedził Jakob przez zaciśnięte zęby, powtarzając słowa jak mantrę. - Zabiję cię, skurwysynu. Zabiję ciebie, zabiją ją i... - Urwał, nie wiedząc, kogo jeszcze mógłby zabić.

Znowu rąbnął przeciwnikiem o pień drzewa, na co hełm strażaka zaprotestował głośnym chrupnięciem. Harper wzdrygnęła się, krzyk uwiązał jej w gardle. Tymczasem Allie położyła rękę na jej kolanie i delikatnie ścisnęła.

- Patrz - szepnęła. Zdjęła maskę, która zawisała jej na szyi, i Harper zobaczyła prawdziwą piękność: lśniące figlarnie oczy koloru czekolady, piegi i delikatne rysy twarzy, ostrzejsze i bardziej uwydatnione dzięki ogolonej głowie, która obnażała zagłębienia na skroniach i delikatne kości. - Patrz na jego rękę.

Dopiero teraz Harper zauważyła, że z odsłoniętej lewej ręki strażaka unoszą się smużki dymu. Zwolnił uchwyt na halliganie i opuścił rękę wzdłuż ciała. Jak przez mgłę przypomniała sobie scenę z przeszłości: strażaka siłującego się z Albertem w szpitalnym korytarzu i próbującego zdjąć zębami rękawiczkę.

Jakob z halliganem w dłoniach odsunął się, gotów kolejny raz przygwoździć przeciwnika do drzewa. Jednak w tej samej chwili strażak sięgnął ponad metalowym prętem i chwycił go za gardło. Z jego dłoni strzeliły płomienie.

Były niebieskie jak z lampy lutowniczej. Ręka Anglika była obleczona w rękawicę utkaną z ognia. Płomienie ryknęły jak wzmagający się wiatr, Jakob wrzasnął, wypuścił z rąk halligan i zatoczył się do tyłu. Znowu krzyknął i chwycił się za poczerniałą szyję. Potknął się o własne nogi, upadł na ziemię, ale zaraz się pozbierał i uciekł, pędząc na oślep przez gęste zarośla.

Strażak odprowadził go wzrokiem; jego lewa dłoń przywodziła na myśl pochodnię. Bez słowa rozpiął brudną żółtą kurtkę i wsunął rękę

pod poły, między materiał kurtki a bawełnianą koszulkę.

Rozchylił poły, zamknął je i jeszcze raz rozchylił, delikatnie poklepując się po ręce. Wyglądał jak dziecko, które próbuje puścić bąka pachną lecz za trzecim razem, gdy odchylił materiał, płomień zgasł, a znad dłoni unosił się czarny, gęsty dym. Machnął ręką jakby chciał przegonić dym albo przykry zapach. Gdzieś w dali pod stopami uciekającego Jakoba trzasnęła gałąź. Chwilę później na las spadła cisza, w której słyhać było jedynie osobliwe cykanie nocnych owadów.

Strażak podniósł lewą rękę, zaczerpnął powietrza i wypuścił ustami ostatnią smuzkę dymu. Wnętrze jego dłoni pokrywała smocza łuska. Delikatne, niemal misterne, czarne linie przykrywał śnieżnobiały popiół, ale tu i ówdzie widać było złocisty błysk. Reszta skóry na jego ręce była zdrowa. Czysta, zaróżowiona i nietknięta.

- Uwielbiam, kiedy to robi - powiedziała Allie. - Ale najbar-dziej lubię, kiedy robi feniksa. To lepsze niż sztuczne ognie.

- To prawda! - zgodził się z nią strażak; odwrócił głowę i uśmiechnął się do nich. - Przy mnie fajerwerki w Dzień Guya Fawkesa i Czwartego Lipca, w wasz Dzień Niepodległości, mogą się schować. Komu potrzebne rzymskie ognie, skoro macie mnie?

Księga druga

Niech twoje słabe światło świeci

1

Allie pierwsza zeszła z drzewa, chwytając się gałęzi i zeskakując na ziemię. Harper zamierzała zejść po przybitej do pnia prowizorycznej drabinie, ale spadła zaraz po tym, jak ześlizgnęła się z gałęzi.

Na szczęście strażak złagodził jej upadek. Nie to, że ją złapał. Po prostu stał pod drzewem, kiedy z niego zleciała. Spadła na niego i oboje runęli na ziemię. Tyłem głowy uderzyła go w nos. Jej prawa pięta odbiła się od ziemi, a ból, który przeszył kostkę, był dojmujący.

Jęknęli, trzymając się w ramionach jak kochankowie.

- Kurwa - zaklęła. - Kurwa, kurwa, kurwa.

- To wszystko, na co cię stać? - spytał. Trzymał się za nos, próbując powstrzymać łzy, które cisnęły mu się do oczu. -Umiesz tylko powtarzać „kurwa, kurwa, kurwa”? Może mogłabyś wzbogacić swoje słownictwo? Coś jak „motyla noga”. Albo „ojacież pierdzielę”. Wy, Amerykanie, w kwestii przeklinania nie macie za grosz wyobraźni.

Harper usiadła i niekontrolowany szloch wstrząsnął jej ramionami. Nogi jej drżały, złamała kostkę, Jakob prawie ją zabił, pragnął jej śmierci, ludzie strzelali, płonęli, a ona spadła z drzewa, no i dziecko, jej dziecko... Nie mogła się opanować. Strażak usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem, a ona oparła głowę na jego ramieniu okrytym śliską żółtą kurtką.

- Dobrze, już dobrze - uspokajał ją.

Przez chwilę trzymał ją w objęciach, pozwalając jej się wyplakać.

- Zbierajmy się - powiedział, kiedy szloch Harper przeszedł w

czkawkę. - Powinniśmy iść. Nie wiemy, do czego zdolny jest twój oblakany były mąż. Wcale bym się nie dziwił, gdyby wezwał patrol kwarantannowy.

- On nie jest moim byłym. Nie mamy rozwodu.

- Teraz już macie. Na mocy nadanej mi władzy.

- Jakiej władzy?

- Słyszałaś o kapitanach statków, którzy mogą udzielać ludziom ślubów? Niewiele osób wie, że strażacy mogą udzielać rozwodów. No dobra, pomogę ci wstać.

Lewą ręką otoczył ją w pasie i ostrożnie postawił na ziemi. Dłoń, którą trzymał na jej biodrze, wciąż jeszcze była ciepła, jak świeży chleb prosto z pieca.

- Podpaliłeś sobie rękę - stwierdziła. - Jak to zrobiłeś?

Na pierwszy rzut oka odpowiedź wydawała się oczywista.

Miał smoczą łuskę, tak samo jak ona. Nadal nie włożył rękawicy, więc mogła zobaczyć na wewnętrznej stronie jego dłoni czarno-złote zawijasy, które wiły się wokół nadgarstka. Z tych, które wyglądały, jakby namalowano je grubszą kreską, wciąż jeszcze unosił się słaby szary dym.

Widziała co najmniej setkę zainfekowanych, którzy nagle zaczęli płonąć, płonąć i krzyczeć, kiedy błękitne płomienie pożerały ich ciało, jakby ktoś oblał ich naftą. Ich włosy paliły się najszybciej. Żaden z nich tego nie chciał i nigdy w życiu nie zrobiłby sobie czegoś takiego, lecz kiedy nadchodził ich czas, stawali w ogniu, a ten zawsze oznaczał dla nich wyrok śmierci.

A ten człowiek świadomie się podpalił. I to nie cały; płonęła tylko jego ręka. A później ze spokojem ugasił płomienie. I nic mu się nie stało.

- Kiedyś myślałem, żeby poprowadzić na ten temat wykłady — odparł. - Ale nie wiedziałem, jak właściwie miałbym je nazwać. Kurs zaawansowanej piromancji? Spontanicznego samozapłonu? Podpalenia? Poza tym trudno oczekiwać, że ktokolwiek zapisze się na kurs, skoro oblanie testu końcowego oznacza śmierć w płomieniach.

- To nieprawda - rzuciła Allie. - Wcale cię tego nie nauczy. Nikogo nie nauczy. Kłamie, aż dymi mu się z gaci - dodała.

- Nie dziś, Allie. To moje ulubione ogrodniczki i nie zamierzam ich

spalić tylko dlatego, że chcesz, żebym się popisywał.

- Szpiegowaliście mnie - odezwała się Harper.

Strażak zadarł głowę i spojrzał na gałęzie dębu, na którym siedziała chwilę temu.

- Mieliśmy stamtąd doskonały widok na twoją sypialnię. Czy to nie dziwne, że ludzie, którzy mają coś do ukrycia, zawsze zaciągają zasłony od frontu, ale do głowy im nie przyjdzie, żeby zaciągnąć te z tyłu?

- Dużo czasu spędziłaś, chodząc w bieliźnie i czytając *Jak urodzić i nie zwariować* - dodała Allie. - Nie przejmuj się. Nie podglądał cię, kiedy się ubierałaś. Może ja parę razy, ale on nigdy. To prawdziwy angielski dżentelmen. - Jej udawany brytyjski akcent był co najmniej tak dobry jak ten, którym posługiwał się Dick Van Dyke w *Mary Poppins*. Gdyby Harper była sześciolatkiem, oszalałaby na jej punkcie. Od razu było widać, że niezłe z niej ziółko.

- Dlaczego? - zapytała strażaka. - Dlaczego mnie podglądaliście?

- Allie - zwrócił się do dziewczynki, jakby nie słyszał pytania - biegnij do obozu. Przyrowadź swojego dziadka i Bena Patchetta. A, i znajdź Renee. Powiedz jej, że odbiliśmy jej ulubioną pielęgniarkę. Będzie zadowolona.

Widok Allie biegnącej w podskokach przez las skojarzył się Harper z cieniem Piotrusia Pana tańczącym na ścianach pokoju Wendy. Jej głowa pełna była opowieści dla dzieci i chcąc nie chcąc, Harper nadawała ludziom cechy postaci z bajek.

- Cieszę się, że na chwilę mogliśmy zostać sami, siostró

Grayson - zaczął strażak, gdy dziewczynka zniknęła między drzewami. - Mam do Allie Storey bezgraniczne zaufanie, ale są rzeczy, których wolałbym nie mówić w jej obecności. Słyszałaś o obozie letnim na końcu Little Harbor Road?

- O obozie Wyndham? Pewnie.

Opadłe liście zaszeleściły pod nogami, a ich zapach wypełnił powietrze nutami jesieni.

- Tam zmierzamy. Jest tam pewien gość, Tom Storey, dziadek Allie. Nazywają go Ojcem Storeyem. Dawno temu był dyrektorem programowym w obozie. Teraz stworzył w nim schronisko dla zainfekowanych. Ukrywa się tam przeszło setka ludzi, którzy wspólnymi siłami stworzyli niewielką społeczność. Serwują trzy posiłki

dziennie... przynajmniej na razie. Nie wiem, jak długo to potrwa. W obozie nie ma prądu, ale są działające prysznice, jeśli nie przeszkadza ci mycie się w lodowatej wodzie. Mają tam szkołę i siły porządkowe nazywane „czujkami”, które wyglądają patroli kwarantannowych i Szwadronów Kremacyjnych. To głównie nastolatki, Allie i jej przyjaciele. Dzięki temu mają co robić. Stworzyli nawet własną religię, niepodobną do żadnej innej, chociaż gdziekolwiek pójdziesz, fundamentaliści są zawsze tacy sami. To jedna z rzeczy, przed którymi chciałem cię przestrzec. Allie jest bardziej pobożna niż inni, a to wiele o niej mówi.

Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask, łomot, który wstrząsnął ziemią i sprawił, że serce Harper omal nie wyskoczyło z piersi. Odwróciła się i zerknęła w kierunku, z którego przyszli. Nie miała pojęcia, co mogło narobić tak wielkiego hałasu.

Jej towarzysz zerknął tylko przez ramię, wziął ją za rękę i przyspieszając kroku, pociągnął za sobą. Zachowywał się, jakby nic się nie stało.

- Musisz zrozumieć, że większość ludzi w obozie jest zbliżona wiekiem do ciebie albo do Allie. Jest też kilka starszych osób, ale zainfekowani to głównie dzieciaki w wieku szkolnym. Większość z nich straciła rodziny i widziała, jak ich bliscy giną w płomieniach. Kiedy docierali do obozu, byli w szoku, przypominali pogrążonych w żałobie uchodźców, którzy czekają tylko, aż sami zaczną się palić. Ojciec Storey i jego córka Carol, ciotka Allie, nauczyli ich, że wcale nie muszą umierać. Tchnęli w nich nową nadzieję i zaoferowali konkretną formę zbawienia.

Harper zwolniła kroku po części dlatego, że bolała ją kostka, a po części po to, żeby zastanowić się nad tym, co właśnie usłyszała.

- Co to znaczy, że uczą ludzi, że nie muszą umierać? Nie można nauczyć zainfekowanych, żeby nie umierali. To niemożliwe. Gdyby istniało lekarstwo, jakaś tabletką...

- Niczego nie łykaj - przerwał jej strażak. - I nie daj się omamić tej ich wierze. Zapamiętaj to, siostrze Grayson.

- Gdyby istniał sposób na powstrzymanie pandemii - ciągnęła Harper - rząd na pewno by o nim wiedział. Jeśliby istniało lekarstwo, które by działało, naprawdę działało, coś, co mogłoby przedłużyć życie

milionom chorych...

- Chorych, którzy przenoszą na skórze śmiertelną chorobę? Siostró Grayson, nikt nie chce przedłużyć nam życia. To ostatnie, co przysłoby im do głowy. Skrócenie go... to wszystkim wysłoby na dobre. Tak przynajmniej myśli zdrowa część społeczeństwa. Jedyne, co wiemy o zainfekowanych: nie palą się, jeśli strzeli się im w głowę. Nie musisz się martwić, że ciało zainfekuje ciebie albo twoje dzieci... albo spowoduje pożar, w którym spłonie cały kwartał. - Harper otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale mężczyzna ścisnął ją za ramię. - Później będzie czas, żeby uzasadnić swój punkt widzenia. Chociaż ostrzegam, już wcześniej został on uzasadniony, zwłaszcza przez biednego Harolda Crossa. Myślę, że jego przypadek rozstrzyga sprawę.

- Harolda Crossa?

Pokręcił głową.

- Zostawmy to na razie. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że Tom i Carol dają tym ludziom coś więcej niż jedzenie, schronienie, a nawet receptę na to, jak powstrzymać chorobę. Dają im wiarę... w siebie nawzajem, w przyszłość i potęgę, którą stanowią jako grupa. Przynależność do grupy wcale nie jest taka zła; w końcu kilkaset wróbli poradzi sobie z drapieżnikiem, jeśli ten stanie im na drodze. Myślę, że obóz Wyndhain może być bardzo nieprzyjaznym miejscem dla kogoś niewierzącego. Chociaż Tom jest dosyć tolerancyjny. To nowoczesny, troskliwy, religijny człowiek, nauczyciel etyki. Za to wokół jego córki Carol, ciotki Allie, która właściwie sama jest jeszcze dzieckiem, inne dzieciaki stworzyły pewnego rodzaju kult. W końcu to Carol śpiewa pieśni. Lepiej z nią nie zadzieraj. Jest życzliwa. Chce dobrze. Ale jeśli cię nie polubi, zacznie się ciebie bać, a kiedy się boi, robi się niebezpieczna. Aż się boję pomyśleć, co by się stało, gdyby Carol poczuła się naprawdę zagrożona.

- Nie zamierzam nikomu zagrażać zapewniła go Harper.

Uśmiechnął się.

- Wiem. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto lubi sprawiać kłopoty, raczej na kogoś, kto zwykle łagodzi sytuację. Wciąż pamiętam nasze pierwsze spotkanie, siostró Grayson. Uratowałaś życie Nickowi. I ocaliłaś mi skórę. Jeśli dobrze pamiętam, dostałbym niezły łomot, gdyby nie ty. Jestem twoim dłużnikiem.

- Już nie - odparła.

Gdzieś z przodu w ciemności zaszeleściły odsuwane na bok gałęzie, zza których wyłonił się skromny komitet powitalny. Na jego czele szła Allie. Dziewczynka oddychała z trudem, a na jej delikatną twarz wystąpił rumieniec.

- Co się stało, John? - spytał stojący za nią mężczyzna. Głos miał niski, melodyjny i Harper zapalała sympatią do Toma Storeya, jeszcze zanim zobaczyła jego twarz. Z początku dostrzegła jedynie okulary w złotych oprawkach, które błyszczały w mroku. - Kogo my tu mamy?

- Kogoś, kto może nam się przydać - odparł strażak. Dopiero teraz dowiedziała się, że ma na imię John. - Pielęgniarkę, panią Grayson. Możecie pomóc jej iść? Nie jestem lekarzem, ale wydaje mi się, że złamała nogę w kostce. Jeśli zabierzecie ją do szpitala, mógłbym wrócić i pozbierać jej rzeczy, póki jeszcze jest czas. Coś mi się widzi, że niedługo zaroi się tu od policji i patroli kwarantannowych.

- Chryste, mogę jakoś pomóc? - zapytał inny członek komitetu powitalnego. Nie czekając na odpowiedź, zajął miejsce strażaka u boku Harper i objął ją w pasie. Wsparła się na nim. Mężczyzna był potężny, starszy od niej o piętnaście, dwadzieścia lat, ze spadzistymi ramionami i rzednącymi na czubku siwymi włosami. Przypominał Harper łubianego przez wszystkich Misia Paddingtona.

- Ben Patchett - przedstawił się. - Miło mi panią poznać.

Była z nimi kobieta, niska, drobna, z siwymi włosami zaplecionymi w zaczesane do tyłu, cienkie warkoczyki. Uśmiechnęła się niepewnie, nie wiedząc, czy Harper ją pamięta. Tylko jak ktokolwiek mógłby zapomnieć Murzynkę, która uciekła z Portsmouth Hospital, błyszcząc jak raca, która lada chwila wybuchnie.

- Renee Gilmonton - jęknęła Harper. - Myślałam, że uciekłaś, żeby umrzeć z dala od ludzi.

- Też tak myślałam. Ale Ojciec Storey miał wobec mnie inne plany. - Renee zarzuciła sobie na ramię rękę Harper i podtrzymywała ją drugiej strony. - Tak długo się mną opiekowałaś, siostró Grayson. Teraz dla odmiany ja będę mogła zaopiekować się tobą.

- Jak złamałaś kostkę? - spytał Ojciec Storey i zadarł brodę. Słabe światło zatańczyło na szklach jego okularów i Harper pierwszy raz zobaczyła twarz mężczyzny: podłużną, chudą i pobrużdżoną, okoloną

siwą brodą. Dumbledore, pomyślała. Właściwie broda mniej przypominała tę Dumbledore'owską, a bardziej Hemingwayowską, ale ukryte za szklami oczy miały ten niesamowity odcień błękitu, który sugerował, że ich właściciel potrafi wróżyć z run i rozmawiać z drzewami.

Harper nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała, jak opowiedzieć o Jakobie i tym, co próbował jej zrobić.

Strażak najwyraźniej zauważył, że pytanie kompletnie zbiło ją z tropu, bo postanowił odpowiedzieć w jej imieniu.

- Uciekała przed uzbrojonym mężem. Przepędziłem go. To wszystko. Mamy mało czasu, Tom.

- Czyż nie jest tak zawsze? - odparł Ojciec Storey.

Anglik szykował się do odejścia, ale odwrócił się i wcisnął coś w dłoń Harper.

- Upuściła to siostra. Proszę go zatrzymać. Gdyby jeszcze kiedyś mnie siostra potrzebowała, wystarczy zagwizdać.

Był to blaszany gwizdek. Harper zgubiła go, uciekając przed Jakobem, i zapomniała o nim. Teraz była szalenie wdzięczna, że go odzyskała.

- Nie każdemu daję zagwizdać w swój gwizdek miłości - wtrąciła się Allie. - To znaczy, że teraz jesteś jedną z nas.

- Nie używaj rynsztokowego języka, Allie - upomniał ją. - Co by powiedziała twoja matka?

- Coś znacznie gorszego - rzuciła dziewczynka. - Dobra, chodźmy już i pozbierajmy te rzeczy.

Założyła na twarz maskę Kapitana Ameryki i zniknęła między drzewami. Strażak zaklął pod nosem i pospieszył za nią, rozgarniając zarośla metalowym prętem.

- Allie! - zawołał Ojciec Storey. - Allie, proszę! Wróć!

Ale jej już nie było.

- Nie powinna się mieszać w sprawy Johna - powiedział Ben Patchett.

- Spróbuj ją powstrzymać - rzuciła Renee.

- Ten strażak... John... on się podpalił - odezwała się Harper. - Jego ręka płonęła. Jak on to zrobił?

- Ogień jest jedynym przyjacielem diabła - zauważył ze śmiechem

Ben Patchett. - Prawda, Ojczy?

- Nie wiem, czy John jest diabłem - odparł Ojciec Storey. - Ale jeśli tak, to jest on naszym diabłem. Mimo to... wolałbym, żeby Allie z nim nie szła. Chce zginąć jak jej matka? Czasami mam wrażenie, że rzuca światu wyzwanie.

- Ależ, Ojczy... - Renee westchnęła. - Wychował Ojciec dwie nastoletnie córki. Myślałam, że jeśli ktoś potrafi zrozumieć Allie, to właśnie pan. - Po tych słowach zerknęła w stronę lasu, tam gdzie przed chwilą zniknęła Allie. - To oczywiste, że rzuca światu wyzwanie.

2

Do obozu Wyndham było niecałe półtora kilometra, ale Harper miała wrażenie, że godzinami wloką się za Ojcem Storeyem przez ciepłą, duszną, nużącą ciemność. Brodzili w zaspach liści, kluczyli między sosnami i wspinali się na skały, podążając za słonym zapachem Atlantyku. Jej kostka pulsowała bólem.

Harper nie pytała, gdzie są, a Ojciec Storey milczał. Niedługo po tym, jak wyruszyli, wrzucił coś do ust - pastylkę wielkości jaja sójki błękitnej - i od tej pory nie odezwał się ani słowem.

Wyszli na wylaną asfaltem Little Harbor Road, tuż przy odgałęzieniu prowadzącym do obozu Wyndham: ubitej drodze wysypanej ziemią i białym tłuczniem. Przed wejściem do obozu rozpięto łańcuch przymocowany do dwóch stojących głazów jakby żywcem wyjętych ze Stonehenge. Za nimi wznosiły się zielone wzgórza. Nawet nocami Harper widziała strzelającą w niebo białą wieżyczkę kościoła oddalonego od domu o prawie kilometr.

Przy drodze, tuż za totemicznymi blokami granitu, stał zaparkowany poczerniały wrak autobusu niemal do połowy zarośnięty chwastami.

Zanim przeszli na drugą stronę drogi, ojciec Storey zaklaskał dwa razy. Chwilę później wszyscy czworo wyszli z zarośli, przecięli asfaltówkę i skierowali się w stronę obozu. Na schodach autobusu pojawił się chłopiec, który stojąc w otwartych drzwiach, obserwował nowo przybyłych.

Ojciec Storey wyciągnął z ust białe jajo i obejrzał się na Harper i podtrzymujących ją ludzi.

- Autobus wygląda jak wrak, ale nie do końca tak jest -oznajmił. - Reflektory działają. Gdyby na drodze pojawił się ktoś nieznajomy, chłopiec zaczekałby, aż zniknie z pola widzenia, i dałby nam znak. Drugi chłopiec na wieżyczce kościoła obserwuje okolicę i czeka na sygnał. Ma oko na wszystkich. -Uśmiechnął się i dodał: - W razie potrzeby jesteśmy w stanie ukryć się w ciągu dwóch minut. Ćwiczymy codziennie. Wszystko dzięki Benowi Patchettowi; to jego pomysł. Ja

myślałem o systemie gwizdnięć naśladowujących ptaki albo użyciu latawców.

Chłopak w autobusie miał brodę, która skojarzyła się Harper z wikingami - spięte gumką sztywne, pomarańczowe warkoczyki - ale jego twarz była młoda i delikatna. Domyślała się, że jest w wieku Allie. Leniwie obracał w dłoniach pałkę policyjną.

- Chyba źle ojca zrozumiałem - odezwał się. - Myślałem, że przyprowadzicie pielęgniarkę, nie kogoś, kto potrzebuje pomocy medycznej. - Spoglądał kolejno na twarze przybyszów i uśmiechnął się ze smutkiem. - Nie widzę Allie.

- Usłyszeliśmy potężny huk, zdumiewający ryk bezmyślnej przemocy i bezsensownego zniszczenia - odparł Ojciec Storey. - Naturalnie Allie zaraz pobiegła w tamtą stronę. Spróbuj się nie martwić, Michaelu. Jest z nią strażak.

Michael pokiwał głową i złożył Harper głęboki, niemal dworski ukłon. Jego oczy błyszczały rozgorączkowaną niewinnością kogoś, kto dostał zbawienia.

- Witam, siostrze. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi. To tutaj nasze życie zaczyna się od nowa.

Uśmiechnęła się do niego, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Ben i Renee poprowadzili ją w stronę obozu. Kiedy się obejrzała, chłopak wrócił do autobusu.

Ojciec Storey zamierzał włożyć jajo z powrotem do ust, ale poczuł, że Harper mu się przygląda.

- Ach - rzucił. - To takie przyzwyczajenie. Podłapałem je, czytając Samuela Becketta. Wkładam do ust otoczaka, żeby przypomnieć sobie, że dobrze jest od czasu do czasu zamilknąć i posłuchać. Kilkadziesiąt lat uczyłem w prywatnej szkole i widząc tych wszystkich młodych ludzi, mam przemożną ochotę robić im wykłady.

Szli w ciemności krętą dróżką, minęli basen bez wody i strzelnicę, gdzie wśród trawy i wyschniętych liści lśniły mosiężne łuski. Wszystko wydawało się opuszczone... choć, jak Harper dowiedziała się później, były to tylko pozory.

W końcu dotarli na szczyt wzgórza. Po drugiej stronie płytkiej trawiastej niecki znajdowało się boisko do gry w piłkę nożną. Dzieci, krzycząc, ganiały za piłką, która lśniła bladozielonym, upiornym

blaskiem niczym duch. Nieco dalej za drzewami widać było długi hangar na łodzie i falującą czerń morza.

Po prawej stronie, odsunięta od drogi, stała kaplica. Wybudowano ją w odległym końcu Parku Pamięci, wśród porośniętych mchem dolmenów i monolitów. Park stanowił osobliwą, prymitywną strażnicę dla nowoczesnego kościoła ze strzelistą wieżyczką i z jaskrawię czerwonymi drzwiami. Kościół mógł być miejscem kultu, ale Park Pamięci przywodził na myśl ołtarz ofiarny.

Uwagę Harper przykuła grupa sześciu nastolatków siedzących na kłodach w kącie ogromnej stodoły, która okazała się stołówką. Zgromadzili się przy ognisku, którego płomienie miały osobliwy, rubinowożłoty kolor, jakby przefiltrowano je przez czerwony kryształ.

W falującym, szkarłatnym świetle siedziała, kołysząc się, szczupła, piękna dziewczyna, która trącała struny ukulele. Na pierwszy rzut oka mogła uchodzić za bliźniaczkę Allie. Ale nie ta dziewczyna była starsza, mogła mieć dwadzieścia pięć lat. Ona również miała ogoloną głowę, nie licząc czarnego kosmyka włosów na czole, który wyglądał jak przecinek. Harper domyśliła się, że to ciotka Allie.

Zachęcała innych do wspólnego śpiewania, sprawiając, że ich głosy spletały się niczym palce kochanków. Śpiewali stary kawałek U2, o tym, że stanowią jedność, choć nie są tacy sami, i że będą o siebie nawzajem dbać. Widząc Harper, podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Jej oczy błyszczały jak złote monety i dopiero teraz Harper uświadomiła sobie, że młodzi nie siedzą przy ognisku. Oni sami emanowali blaskiem. Esy -floresy, które smocza łuska wytatuowała na ich skórze, lśniły w ciemnościach jak fluorescencyjna farba w halucynogennych odcieniach czerwieni i błękitu. Kiedy otwierali usta, widziała w ich gardłach światło, jakby każdy z nich był misą pełną rozżarzonych węgla.

Była to najbardziej przerażająca, a zarazem najpiękniejsza rzecz, jaką widziała w całym swoim życiu. Zadrzała i przez chwilę była boleśnie świadoma swojego ciała, zupełnie jakby czyjeś palce delikatnie rysowały na nim ogniste linie. Zachwiała się ogarnięta nagłymi zawrotami głowy.

- Oni świecą - bąknęła niewyraźnie. Ich piosenka tak szczelnie wypełniła jej umysł, że żadna myśl nie była w stanie przebić się na

powierzchnię.

- Ty też będziesz świeciła - obiecał jej Ben Patchett. -Z czasem.

- To niebezpieczne? - spytała z przejęciem. - Mogą się przez to zapalić?

Ojciec Storey wyjął z ust kamyk i odparł:

- Smocza łuska jest jak wszystko inne, co płonie, siostró Grayson. Można ją wykorzystać, żeby spalić jakieś miejsce... albo oświetlić sobie drogę do czegoś lepszego. W obozie Wyndham nie ma spontanicznych samozapłonów.

- Poradziliście sobie z tym? - spytała Harper.

- Lepiej - odparł. - Zaprzyjaźniliśmy się z chorobą.

3

Harper, drżąc, obudziła się z koszmarne go snu i przez chwilę wierzciła się w pościeli.

Carol Storey pochyliła się nad nią i chwyciła ją za nadgarstek.

- Już dobrze. Nic ci nie jest. Oddychaj spokojnie.

Harper skinęła głową. Była zamroczone, a serce waliło jej tak szybko, że traciła ostrość widzenia.

Zastanawiała się, jak długo spała. Pamiętała jak przez mgłę, że na wół zaprowadzono, na wół zaniesiono ją po schodach do izby chorych, gdzie Ben Patchett i Renee Gilmonton -zgodnie z jej instrukcjami - ustawili jej złamaną kość i zabandażowali nogę; że Renee przyniosła jej szklankę letniej wody i tabletki przeciwbólowe. Pamiętała jej chłodną rękę na swoim czole i pełne niepokoju, baczne spojrzenie.

- Co ci się śniło? - spytała Carol. - Pamiętasz?

Miała duże zdumione oczy z tęczęwkami w kolorze czekolady, upstrzonymi złotymi drobinkami smoczej łuski. Jej nadgarstki opasywały czarno-złote obręcze. Nosila kusą koszulkę, która przy niemal każdym ruchu odsłaniała skrzyżowane pręgi nad biodrami kobiety, które nadawały jej wygląd gota - rewolwerowca. W miejscach niezmiennych przez chorobę jej skóra była tak blada, że prawie półprzezroczysta. Patrząc na nią, człowiek miał wrażenie, że gdyby potknęła się i upadła, trzaskałaby się na kawałki, jak ceramiczna waza.

Harper czuła ból w piersi - było tak, jakby ktoś wbijał jej w kostkę rozżarzone igły. Myśli miała splątane i spowolnione od resztek głębokiego snu.

- Mój mąż napisał książkę. Upuściłam ją. Kartki rozsypały się na wszystkie strony. I... wydaje mi się, że próbowałam je poukładać, zanim wróci do domu. Nie chciałam, żeby wiedział, że ją czytałam.

W rzeczywistości śniła znacznie więcej o wiele gorszych rzeczy, które już zaczynały znikać w odmętach jej pamięci, jak kamień ciśnięty do wody.

- Pomyślałam, że lepiej cię obudzę - wyjaśniła Carol. - Trzęśłaś się, wydawałaś te przerażające dźwięki, no i... zaczęłaś trochę kopcić.

- Tak? - Harper nagle uświadomiła sobie, że czuje delikatną woń spalenizny, i nie był to zapach palonych sosnowych igieł.

- Tylko trochę. - Carol spojrzała na nią zboląłym, przeproszającym wzrokiem. - Jak wzdychałaś, z twoich ust dobywały się niebieskie obłoczki. To przez stres. Kiedy dołączysz do Światłości, to się więcej nie powtórzy. Gdy już naprawdę staniesz się jedną z nas, staniesz się częścią grupy, smocza łuska nigdy więcej cię nie skrzywdzi. Ciężko w to uwierzyć... ale być może pewnego dnia uznasz ją za błogosławieństwo.

W jej głosie Harper słyszała ślepe, bezgraniczne oddanie fanatyka, które ją przeraziło. Nauczyła się od Jakoba, że ludzie, którzy mówią o błogosławieństwach i wierze, są prości i słabi. Ci, którzy wierzyli, że nic nie dzieje się bez powodu, zasługiwali na litość, porzucili bowiem naturalną ciekawość i zainteresowanie światem na rzecz podnoszących na duchu dziecięcych opowieści. Harper, jako fanka bajek dla dzieci, była w stanie ich zrozumieć. Ale deszczowe sobotnie popołudnie z lekturą *Mary Poppins* to jedno, a przekonanie, że książkowa niania rzeczywiście może stanąć w progu, oferując swe usługi, to zupełnie coś innego.

Robiła, co mogła, żeby udawać choć trochę zainteresowaną, ale najwyraźniej nie była w stanie ukryć niepokoju, bo Carol odchyliła się na krześle i parsknęła śmiechem.

- Trochę tego za dużo jak na pierwszy raz? Jesteś tu nowa. Postaram się potraktować cię łagodnie. Ale ostrzegam, tym szpitalem dla obłąkanych rządzą sami szaleńcy. Pamiętasz, co mówi kot do Alicji w Krainie Czarów?

- My tu wszyscy jesteśmy szaleni - odparła Harper i uśmiechnęła się wbrew sobie.

Carol skinęła głową.

- Ojciec chciał, żebym oprowadziła cię po obozie - powiedziała. - Wszyscy chcą cię poznać. Spóźniłyśmy się na lunch, ale Norma Heald, która zarządza stołówką, obiecała, że nie zamknie, dopóki czegoś nie zjemy.

Harper podniosła głowę i mrużąc oczy, wyjrzała przez okno w ciemność tak wielką, że poczuła się, jakby siedziała pod ziemią. W izbie

chorych znajdowały się tylko trzy łóżka oddzielone od siebie kotarami, żeby zapewnić pacjentom nieco prywatności; ona zajmowała środkowe. Było ciemno, kiedy zasypiała i kiedy się obudziła, przez co straciła rachubę czasu.

- Dochodzi druga w nocy - poinformowała ją Carol, jak gdyby potrafiła czytać w jej myślach. - Przespałaś cały dzień... na szczęście. Wszyscy żyjemy tu jak wampiry: wstajemy o zachodzie słońca, a o świcie wracamy do swoich krypt. Nikt jeszcze nie pije krwi, ale trudno powiedzieć, co się stanie, kiedy skończą się nam zapasy.

Harper usiadła, krzywiąc się - zwykle muśnięcie materiału bluzy o jej nabrzmiałe piersi sprawiało ból - i odkryła dwie rzeczy.

Po pierwsze, jedna z zasłon została odsunięta i zobaczyła, że na sąsiednim łóżku siedzi chłopiec, chłopiec, którego znała... z ciemnymi, kręconymi włosami i delikatnymi, niemal elfimi rysami. Kiedy widziała go ostatni raz, cierpiał na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, a jego twarz była zlana potem. Ale zaraz... to nie tak. Miała wrażenie, że widziała go gdzieś jeszcze. Z pewnością to on był chłopcem w masce tygrysa, który zjawił się razem z Allie pod jej drzwiami. Teraz siedział po turecku i wpatrywał się w nią z takim przejęciem jak dzieciak oglądający swój ulubiony program w telewizji.

Po drugie, radio było włączone, ale z głośnika dobywał się jedynie szum. Urządzenie stało na blacie, obok gipsowego odlewu ludzkiej głowy ze zdjętą górną częścią czaszki i widocznym mózgiem.

Przypomniała sobie, że chłopiec jest głuchy, i powoli poruszyła rękami. W odpowiedzi sięgnął za siebie, znalazł kartkę papieru i wręczył ją jej. Był to rysunek - narysowany ręką dziecka, choć widać było, że jego autor ma talent - przedstawiający dużego pręgowanego kota, który zadzierając ogon, przechadzał się po soczyście zielonej trawie.

TYMCZASOWY KOT, głosił napis pod obrazkiem.

Harper spojrzała pytająco na chłopca i uśmiechnęła się, ale on ześlizgnął się z łóżka i szedł w stronę wyjścia.

- To Nick, prawda? - spytała.

- Mój siostrzeniec. Tak. Jest trochę dziwny. W naszej rodzinie to normalne.

- John jest jego ojczymem?

- Słucham? - Nie sposób było nie zauważyć napięcia w głosie Carol. - Nie. Ależ skąd! Moja siostra i John Rookwood spotykali się przez kilka miesięcy w zupełnie innym świecie. Biologiczny ojciec Nicka nie żyje, a John... praktycznie w ogóle nie uczestniczy w życiu chłopca.

Ta uwaga wydała się Harper nieuprzejma - żeby nie powiedzieć niesprawiedliwa - zważywszy na to, że to strażak przyniósł Nicka do szpitala, gotów podpaść ochronie i ludziom w kolejce, byle tylko załatwić mu opiekę medyczną. Wyczuwając rozdrażnienie Carol, Harper postanowiła zmienić temat i poczekać z rozmową o Johnie Rookwoodzie na lepszy moment.

- Nick podarował mi tymczasowego kota. Dlaczego to zrobił?

- To kartka z podziękowaniem. Pracowałam w szpitalu i uratowałam mu życie. To był koszmarne tydzień. Najgorszy tydzień mojego życia. Straciłam siostrę. Bałam się, że stracę siostrzeńca. Widzisz, Harper Grayson, wiedziałam, że zostaniemy przyjaciółkami, i polubiłam cię na długo przed tym, zanim cię poznałam. Za to, co zrobiłaś dla Nicka. Chcę, żebyśmy miały takie same pizamy. Tak bardzo cię lubię. Szkoda, że sama nie mam tymczasowego kota, którego mogłabym ci dać.

- Skoro jest tymczasowy, to znaczy, że będę musiała go oddać?

- Nie. Masz go zatrzymać do czasu, aż dostaniesz prawdziwego kota. Nick próbuje go upolować. Zastawił sidła i wymyśla różne pułapki. Chodzi wszędzie z siatką na motyle, jakby łapanie kotów i motyli było tym samym. Męczy ludzi, żeby znaleźli mu kocimiętkę. Nie wiem nawet, czy kot, na którego poluje, jest prawdziwy. Nikt nigdy go nie widział. Zaczynam myśleć, że to coś w rodzaju Pana Snuffleupagusa, przyjaciela Wielkiego Ptaka z Ulicy Sezamkowej. No, wiesz, że istnieje tylko w jego wyobraźni.

- Ale przecież Pan Snuffleupagus był prawdziwy - sprostowała Harper.

- To najpiękniejsze zdanie, jakie w życiu słyszałam. Chcę, żeby wyryto je na moim nagrobku. Pan Snuffleupagus był prawdziwy. Nic więcej. Tylko to.

Harper nie mogła stanąć na prawej nodze, ale Carol otoczyła ją ramieniem i pomogła jej wstać. Kiedy przechodziły obok radia, wyciągnęła rękę, zawahała się na chwilę i pokręciła gałką, szukając jakiejś stacji. Anatomiczny model ludzkiej głowy gapił się na nie

zdumionym wzrokiem. Wyglądał groteskowo ze zdartą z połowy twarzy skórą, pod którą rysowały się ścięgna i nerwy, i gałką oczną osadzoną we włóknistym czerwonym gnieździe pełnym odkrytych mięśni.

Nasłuchujesz czegoś konkretnego? - spytała Harper. Pana Snuffleupagusa - odparła Carol. Roześmiała się i wyłączyła radio.

Harper czekała na dalsze wyjaśnienia, ale się nie doczekała.

Stołówka mieściła się na szczycie wzgórza z widokiem na boisko i kamienistą plażę w dole. Kryty gontem dach porastał mech i pożółkła trawa, a okna budynku zabito deskami, przez co wyglądał na opuszczony.

Wrażenie mijało, kiedy wchodziło się do środka: rozległej sali ze stolikami i belkami z drewna sosny czerwonej. W kuchni brzęczały naczynia, a w powietrzu czuć było sos marinara i gulasz wieprzowy.

Wszystko wskazywało na to, że pora lunchu dawno już minęła, ale nie były tu jedynymi osobami. Przy stoliku dla dwóch osób siedziała Renee Gilmonton, a naprzeciw niej staruszek w czapce rybackiej z daszkiem. Oboje pochylali się nad kubkami gorącej kawy. Przy kolejnym stoliku siedział chłopak, który wyglądał jak wiking. Michael, przypomniała sobie Harper. Rozgrzebywał widelcem polany czerwonym sosem makaron i przewracał kartki starego numeru „Rangera Ricka”, czytając przy świetle stojącej w słoiku świecy. Nie dalej jak wczoraj wieczorem wyglądał na siedemnaście lat. Teraz, kiedy czytał w skupieniu artykuł o „Cudownych manatach z Miami”, wyglądał jak dziesięciolatek ze sztuczną brodą.

Renee podniosła głowę i napotkała wzrok Harper. Dobrze było widzieć znajomą twarz, wiedzieć, że nie jest się samym wśród obcych ludzi. Harper wróciła wspomnieniami do innych lunchów w innych stołówkach i przypomniała sobie niepokój, który czuła, gdy nie widziała nikogo znajomego i nie miała pojęcia, gdzie usiąść. Podejrzewała, że Renee siedziała tu z nadzieją, że Harper w końcu się pojawi, a ona pomoże się jej zaaklimatyzować... drobny uczynek, za który Harper była jej niewypowiedzianie wdzięczna.

Za kontuarem dyżurowała Norma Heald, zwalista kobieta o szerokich, opadających ramionach gorylicy. Sprzątanie po posiłku trwało w najlepsze - Harper dostrzegła w kuchni kilku nastoletnich chłopców, którzy w świetle lampy naftowej zanurzali naczynia w

pieniącej się wodzie - ale Norma zachowała w garnku trochę makaronu i kilka łyżek sosu. Była też kawa i puszka skondensowanego mleka.

- Przez jakiś czas mieliśmy cukier, ale pełno w nim było mrówek. Mrówki w kawie, mrówki w muffinkach, mrówki w placku z brzoskwiniami - wyjaśniła Carol. - Przez kilka tygodni mrówki były moim głównym źródłem białka. Więc nie ma już cukru. Jest tylko syrop! Wybacz! Witamy w Ostatnich Dniach!

- Cukier się skończył i niebawem skończy się mleko -oznajmiła Norma. - Wystawiłam dwie puszki mleka do kawy i została tylko jedna.

- Zużyli je? - spytała Carol. - Tak szybko?

- Nie. Ukradli.

- Jestem pewna, że nikt nie ukradł puszek mleka.

- Właśnie że ukradli - powtórzyła Norma. W jej głosie nie było oburzenia, jedynie satysfakcja. Siedziała za kontuarem, zajęta robieniem na drutach, które kołysały się w przód i w tył, od czasu do czasu obijając się o siebie z metalicznym stukotem. Pracowała nad ogromną, bezkształtną sukienką z czarnej wełny, która - sądząc po rozmiarze - pasowałaby na King Konga.

Harper i Carol podeszły do stolika, przy którym siedział

Michael. Po drodze Carol przywołała skinieniem Renee i towarzyszącego jej staruszka.

- Usiądźcie z nami. Podzielimy się Harper. Wystarczy jej dla wszystkich.

Zajęli miejsca przy stole, stykając się kolanami. Harper sięgnęła po widelec, ale Carol chwyciła ją za rękę.

- Zanim zaczniemy jeść, wszyscy po kolei dziękujemy za coś, za co jesteśmy wdzięczni - wyjaśniła poufnym tonem, nachylając się w stronę Harper. - Czasami to najlepsza część posiłku. Zrozumiesz, kiedy zabierzesz się do jedzenia.

- My już jedliśmy, ale chętnie jeszcze raz pochylę głowę -odezwał się starszy mężczyzna, który wciąż jeszcze nie został przedstawiony.

Renee wzięła Harper za drugą rękę i gdy tak siedzieli w kręgu pochyleni nad światłem świecy, wyglądali jak uczestnicy seansu spirytystycznego.

- Ja zacznę - zaproponowała Carol. - Dziękuję kobiecie, która siedzi obok mnie, za to, że uratowała mojego siostrzeńca, kiedy miał ostre

zapalenie wyrostka robaczkowego. Cieszę się, że tu jest i że mam okazję pokazać jej, jak bardzo jestem wdzięczna. Cieszę się, że jest w ciąży, bo dzieci są takie słodkie! Są jak malutkie parówki z buziami!

Następny odezwał się starszy mężczyzna. Mówił ze spuszczoną głową i na wpół przymkniętymi powiekami.

- Ja również pragnę podziękować za to, że w Wyndham pojawiła się pielęgniarka, bo sto dwadzieścia cztery osoby liczą na opiekę medyczną, a ja od miesiący nie daję sobie rady. Od września pełnię w tym obozie rolę lekarza, a wiem o medycynie tylko to, czego nauczyłem się w marynarce wojennej. Nie chcę nawet mówić, ile czasu minęło, odkąd pracowałem jako sanitariusz w szpitalu, ale wystarczy, że powiem, że w tamtym czasie wciąż jeszcze leczono pijawkami.

- Ja - odezwał się Michael - chcę podziękować za to, że jestem w miejscu, gdzie ludzie mnie kochają. Ludzie tacy jak ciocia Carol i Ojciec Storey. Zrobiłbym dla nich wszystko, żeby ochronić to miejsce. Straciłem już jedną rodzinę. Wolałbym sam zginąć, niż stracić kolejną.

Następna w kolejce była Renee.

- Cieszę się, że mogę zjeść gorący lunch - powiedziała. - Nawet jeśli to mielonka konserwowa z sosem ze słoika. I że mamy w obozie Dona Lewistona, wyśmienitego rybaka. Ale byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdybym następnym razem to ja mogła zjeść rybę. - Mówiąc to, skinęła głową na staruszkę. Zaraz potem spojrzała z ukosa na Harper i dodała: - I bardzo się cieszę, że widzę moją przyjaciółkę z Portsmouth Hospital, która pracowała osiemnaście godzin na dobę, pogwizdując melodie z filmów Disneya i próbując podtrzymać na duchu tysiąc chorych, przerażonych pacjentów. Za każdym razem, gdy wchodziła na salę, czułam się tak, jakbym zobaczyła pierwszy od miesiący promień słońca. Sprawiała, że miałam ochotę żyć, kiedy wszystko straciło sens.

Harper nie była pewna, czy będzie w stanie cokolwiek wykrztusić; niespodziewane emocje chwyciły ją za gardło. Kiedy pracowała w Portsmouth Hospital, czuła się równie użyteczna jak doniczkowa mięta Renee, i nie sądziła, że ktokolwiek miał na ten temat inne zdanie. W końcu wydusiła:

- Ja chciałabym tylko podziękować za to, że nie jestem już sama.

Carol ścisnęła ją za rękę.

- Tak się cieszę, że jestem częścią tego kręgu. Wszyscy jesteśmy

głosami w tym samym dziękczynnym chórze.

Chwilę później jej oczy rozbłysły, zmieniając tęczęwki w bliźniacze kręgi upiornego zielonego światła. To samo działo się z oczami Michaela, podczas gdy pętle smoczej łuski na jego obnażonych ramionach rozjarzyły się czerwonożółtym blaskiem.

Harper puściła rękę Carol jak rażona prądem. Chwilę później dziwny blask zgasł, a Carol spojrzała na nią figlarnym wzrokiem.

Wystraszyłaś cię, tak? Przepraszam. Przyzwyczaisz się do tego. W końcu tobie też się to zdarzy.

- To trochę przerażające - odparła Harper. - Ale... to coś jak magia.

- To nie magia. To cud. - W ustach Carol zabrzmiało to jak marka samochodu: „to mazda miata”.

- Co się dzieje, kiedy tak świecicie? - dopytywała Harper. Nagle przypomniała sobie coś i posłała Renee niemal oskarżycielskie spojrzenie. - To właśnie przydarzyło ci się w szpitalu. Wybiegłaś spowita światłem. Wszyscy myśleli, że zaraz eksplodujesz.

- Ja też - przyznała Renee. - Spotkało mnie to przypadkiem. Nazywają to Światłością.

- Albo Siecią - dodał Michael. - Ale tak mówią chyba tylko moi rówieśnicy. Wielu moich przyjaciół żartuje, że to kolejny portal społecznościowy. Tyle że to nie do końca jest żart.

- Pewnie już wiesz, że smocza łuska kiepsko reaguje na stres - odezwała się Carol.

- Ładnie powiedziane. - Staruszek, Don Lewiston, się rozśmiał.

- Dzieje się tak dlatego - ciągnęła Carol - że smocza łuska czuje to co my. - Tak przynajmniej sądzimy. Aż dziw bierze, że inni nie podjęli tego tropu, żeby przekonać się, dokąd prowadzi. Jeśli potrafisz stworzyć atmosferę bezpieczeństwa, dobrego samopoczucia i akceptacji, smocza łuska zareaguje w zupełnie inny sposób: sprawi, że poczujesz się tak żywa jak nigdy dotąd. Zupełnie jakbyś płonęła z radości. I czujesz nie tylko swoją radość. Czujesz radość wszystkich dookoła. Jakbyśmy wszyscy byli nutami, które ktoś wygrywa jednocześnie, tworząc idealny akord.

- I nie płoniesz - dodał Michael, szarpiąc pomarańczową brodę.

- I nie płoniesz - powtórzyła Carol.

- To niemożliwe - powiedziała Harper. - Jak to działa?

- To harmonia - wyjaśniła Carol.

- Harmonia?

- Rodzaj powiązania - wtrąciła Renee. - Silnego powiązania społecznościowego. John ma na ten temat kilka całkiem ciekawych teorii, jeśli uda ci się zmusić go do mówienia. Mnie kiedyś powiedział...

Twarz Carol pociemniała. Żył na jej prawej skroni zaczęła pulsować.

- Johna Rookwooda nie ma tu, bo John Rookwood nie chce tu być. Woli trzymać się z daleka. W ten sposób łatwiej mu wierzyć w mit o samym sobie. Jeśli mam być szczerą, myślę, że patrzy na nas z góry.

- Naprawdę tak sądzisz? - zdziwiła się Renee. - Nigdy nie odniosłam takiego wrażenia. Powiedziałabym nawet, że o nas dba. Jeśli rzeczywiście nas lekceważy, to dziwnie to okazuje. To dzięki niemu większość z nas trafiła do obozu.

Zapadła niezręczna cisza. Renee patrzyła na Carol z niewinną ciekawością, podczas gdy ta wyraźnie unikała jej spojrzenia. Jak gdyby nigdy nie popijała kawę, choć dla Harper oczywiste było, że jej spokój to tylko pozory. Przez krótką chwilę na twarzy Carol pojawiła się nienawiść. Wczoraj w lesie John dał jasno do zrozumienia, że nie przepada za Carol Storey; najwyraźniej z wzajemnością.

Michael spróbował ratować sytuację:

- Najłatwiejszym sposobem na dołączenie do Światłości jest śpiew. My wszyscy, cały obóz, codziennie po śniadaniu gromadzimy się w kościele na wspólne śpiewanie i zawsze świecimy. Ty też będziesz świeciła. Może nie zaraz, ale musisz w to wierzyć. Kiedy to się dzieje, czujesz się tak, jakby podłączono cię do gigantycznej baterii. Jakby wszystkie światła w twojej duszy zaświeciły się po raz pierwszy.

Patrząc w jego błyszczące oczy, Harper miała ochotę położyć mu rękę na czole i sprawdzić, czy nie ma gorączki.

- Kiedy pierwszy raz doświadczyłam Światłości, nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje - wyznała Renee. - Powiedzieć, że byłam zaskoczona, to jakby nie powiedzieć nic, pani Grayson.

- Mówcie mi Harper - poprosiła Harper. Nie dodała, że ma serdecznie dość bycia „panią Grayson”. To było nazwisko

Jakoba, a wszystko, co się z nim wiązało, zostawiła za sobą, w lesie. Jej nazwisko panińskie brzmiało Willowses. Lubiała uczucie, z jakim

przetaczało się po języku, i myśl o tym, że mogłaby je odzyskać, była jak kolejna ucieczka - choć dużo przyjemniejsza i spokojniejsza niż wyskakiwanie przez okno sypialni.

- Harper - powtórzyła Renee, jakby smakowała to słowo. - Nie wiem, czy dam radę się przyzwyczaić, ale spróbuję. A więc, Harper. Czytałam dzieciom *Charliego i fabrykę czekolady* i przerwałam lekturę, żeby zaśpiewać *The Candy Man*, piosenkę z filmu. Kilkoro z nich znało słowa i śpiewały razem ze mną. To był miły, pełen spokoju moment. Na chwilę zapomniałam, że wszyscy jesteśmy chorzy. Miałam to dziwne, hipnotyzujące uczucie, które nachodzi człowieka, gdy po kilku drinkach siada przy kominku. Nagle dzieciaki zaczęły krzyknąć i rozbiegły się na wszystkie strony. Czas rozciągnął się i zwolnił. Pamiętam, że któreś z dzieci przewróciło stojącą na stoliku miętę i potrzebowałam pół godziny, żeby wyciągnąć rękę i ją złapać. Kiedy to zrobiłam, uświadomiłam sobie, że moje ramię świeci. Widok był tak cudowny, że nie potrafiłam się bać. I wtedy ktoś krzyknął: „Odsuńcie się od niej! Ona zaraz eksploduje!”. A ja pomyślałam, że jeszcze chwila i wybuchnę jak granat. Czasami myślę, że w tym stanie ludzie łatwiej ulegają różnym wpływom. Złapałam więc doniczkę i uciekłam, jakby gonilo mnie stado diabłów. Minęłam dwie grupy strażników, kilku lekarzy i pielęgniarki, wybiegłam na parking i dalej na łąkę na południe od szpitala. Bałam się, że podpalę trawę, ale tak się nie stało. Minęło trochę czasu, zanim blask przygasł, i po wszystkim czułam się roztrzęsiona i jakby pijana.

- Pijana?

- Oj, tak - przytaknął Don Lewiston. - Po wyjściu ze Światłości człowiek czuje się nieźle zawiany. Zwłaszcza po kilku pierwszych razach. Do tego stopnia, że nie wie, jak się nazywa.

- Że... co?

- Za pierwszym razem wiele osób nie pamięta, jak się nazywa - powiedziała Carol. - To chyba jest w tym wszystkim najpiękniejsze. Wszystko to, co rzekomo nas określa... jest jak świąteczny papier pakunkowy, odchodzi od nas płatami. Światłość obnaża całą prawdę o nas, odsłania to, co w nas najlepsze i najprawdziwsze, coś więcej, niż nazwa drużyny, której kibicujemy. Człowiek ma świadomość samego siebie; jest jak liść na drzewie, a wszyscy, których znamy i kochamy, to

pozostałe liście.

Liście na wierzbie⁵, pomyślała Harper Willowes i zadrżała.

- Kiedy pierwszy raz dołączyłem do Chóru, zapomniałem twarz ojca, dźwięk głosu matki i nazwę statku, na którym spędziłem dwadzieścia lat życia - wyznał Don Lewiston. — Miałem ochotę całować każdą napotkaną osobę. Byłem wylewny jak diabli. Pamiętam, że to było w kaplicy, po naprawdę solidnej porcji śpiewania. Siedziałem obok dwóch młodych i aż mnie skręcało, żeby powiedzieć im, jak bardzo ich kocham; myślałem tylko o tym, żeby zdjąć buty i oddać je im. Po jednym bucie dla każdego, żeby już zawsze mnie pamiętali. Śmiali się ze mnie jak dorośli na widok dzieciaka, który wypił pierwsze w życiu piwo.

- Dlaczego nie wróciłaś do szpitala? - zwróciła się Harper do Renee. - Po tym, jak... doświadczyłaś Światłości?

- Z początku w ogóle o tym nie myślałam. Odchodziłam od zmysłów. Ścisnęłam w rękę doniczkę i nagle dotarło do mnie, że to nie jest odpowiednie miejsce dla mojej mięty; że byłam wobec niej okrutna, hodując ją w doniczce. Zrobiło mi się wstyd, że przez tyle miesięcy trzymałam ją w niewoli. Uciekłam głębiej w las i w samotności odprawiłam ceremonię przesadzania. Po wszystkim usiadłam przy niej z twarzą zwróconą ku słońcu i poczułam się zadowolona jak nigdy dotąd. Uwierzyłam, że podobnie jak moja roślinka ulegnę fotosyntezie. W pewnym momencie usłyszałam trzask gałęzi, a gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam Kapitana Amerykę i Tygryśka Tony'ego. I wiecie co? Ich widok wcale mnie nie zaskoczył. Superbohater i chłopiec-tygrysek byli kolejną logiczną częścią dnia.

- Allie - odezwała się Harper. - I Nick. Nick! A co z Nickiem? Jak może śpiewać z wami i lśnić, skoro jest głuchy?

Pozostali wymienili spojrzenia i parsknęli śmiechem, jakby powiedziała coś komicznego.

- Nick to naturalny talent - odparła Carol. - Potrafił lśnić na długo przede mną. Ale dlaczego... dlaczego przychodzi mu to z taką łatwością? To pytanie, na które nikt nie zna odpowiedzi. Zdaniem Nicka to, że on nie słyszy muzyki, nie znaczy, że smocza łuska też jej nie słyszy. Mój ojciec twierdzi, że to kolejny cud. On głęboko wierzy w

cuda. Ja zresztą chyba też. Chodź, Harper, pokażę ci resztę obozu.

- Jeśli potrzebujesz ramienia, na którym mogłabyś się wesprzeć, służę pomocą - zaproponował Michael.

Kiedy wychodząc, zatrzymali się, żeby zamoczyć talerze w szarej mydlanej wodzie, Harper zauważyła dwóch nastolatków, którzy krzątali się w kuchni. Wycierali szklanki, słuchając radia.

Z głośnika dobywał się biały szum.

5

W dolinie dzieci znowu grały w piłkę nożną, a emanująca upiornym bladozielonym światłem piłka toczyła się raz tu, raz tam jak oszalały błędny ognek.

- Nie wiem, co z nimi zrobimy, kiedy spadnie śnieg - powiedziała Carol.

- A co się dzieje, kiedy pada śnieg?

- Pan Patchett mówi, że wychodząc na zewnątrz, będziemy musieli być bardziej ostrożni - odparł Michael. - Jeśli zostawimy ślady, ktoś może dostrzec je z powietrza. W ogóle nie czekam na zimę.

- Kiedy przybyłeś do obozu? - spytała Harper.

- Po tym, jak moje siostry zginęły w płomieniach - odparł bez cienia smutku. - Spłonęły razem. Kiedy je ugasilem, nadal trzymały się za ręce. Moim zdaniem to prawdziwe błogosławieństwo. Nie umarły same. W tej najtrudniejszej chwili miały siebie. Odeszły z tego świata, ale słyszę, jak szepczą do mnie w Światłości.

- Czasami, kiedy jestem w Światłości, mogłabym przysiąc, że wyczuwam obecność mojej siostry — wyznała Carol. — Stoi tak blisko, że mogłabym oprzeć głowę na jej ramieniu, jak robiłam to kiedyś. Kiedy lśnimy, oni wszyscy do nas wracają. W naszym wspólnym świetle widzimy wszystko to, co odeszło w mrok.

Harper powstrzymała drżenie. Kiedy mówili o Światłości, emanowali przesadnym entuzjazmem ludzi, którzy udają.

Carol zaprowadziła Harper do ogrodu monolitów i kamiennych pogańskich ołtarzy.

- Plotka głosi, że te skały mają tysiące lat i zostały tu sprowadzone przez starożytne plemię z pomocą obcej technologii. Ale mój ojciec twierdzi, że zostały przytaszczone z kamieniołomu w Ogunquit, i dlatego lepiej nie pytać go o żadne ciekawe rzeczy.

Stojąc między kamieniami, Harper zauważyła mosiężne tabliczki przykręcone do strzelistych granitowych bloków. Na jednej z nich widniały nazwiska siedemnastu chłopców, którzy zginęli na bagnach

we wschodniej Francji podczas pierwszej wojny światowej. Na innej wyryto nazwiska trzydziestu czterech żołnierzy, którzy zginęli na plażach zachodniej Francji podczas drugiej wojny światowej. Harper pomyślała, że wszystkie nagrobki powinny być tej wielkości; że małe kamienie nagrobne, jakie widuje się na większości cmentarzy, nijak nie oddają rozpacz po stracie pierworodnego syna, który zginął tysiące kilometrów od domu, w błocie i zimnie. Do tego potrzeba czegoś tak wielkiego, czegoś, co w każdej chwili mogło runąć i zmiążyć człowieka.

- To nasz kościół - wyjaśniła Carol. - Jeśli w bezchmurny dzień wejdiesz na wieżyczkę, zobaczysz Maine. Tylko że tam nie ma na co patrzeć. Na północy nie ma niczego poza kłębam czarnego dymu i błyskawicami. Rano przychodzimy tu, żeby pośpiewać, podzielić się Światłością i wysłuchać mojego ojca, który zwykle ma nam do powiedzenia parę słów. Potem odbywają się tu lekcje. - Wskazała ścieżkę biegnącą wśród jodeł i krzewów sumaka. - Ja mieszkam w lesie, w małym białym domku ozdobionym dużą czarną gwiazdą. Mieszkam z ojcem. Czasami mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Wiem, że powinnam zamieszkać z innymi kobietami w sali sypialnej...to nasz następny przystanek. Ojciec mówi, że jeśli chcę, mogę się tam przeprowadzić w każdej chwili, ale wiem, że gdybym to zrobiła, już nigdy nie zmrużyłby oka. Pije za dużo kawy, martwi się, krąży po domu i jeszcze bardziej się wszystkim przejmuje. Śpi pięć godzin na dobę, i to dopiero wtedy, kiedy zmuszę go, żeby wziął tabletkę. Chodź! Pokażę ci, gdzie trzymam swój harem!

Carol zaprowadziła Harper na tyły kaplicy; cztery kamienne stopnie prowadziły w dół do dziury, która wielkością, kształtem i głębokością przypominała grób. Na dnie jamy znajdowały się wiszące na przerdzewiałych zawiasach, uchylone do połowy stare drzwi do piwnicy.

- Od tej pory będziesz musiała radzić sobie bez nas. - Michael skinął głową na Dona. - Nam nie wolno tam wchodzić.

- To nie miejsce dla takich krzepkich młodzików jak my - dodał Don Lewiston. - Te wszystkie kobitki, które rozbierają cię wzrokiem i myślą wyłącznie o tym, co by tu zrobić, żeby wykorzystać cię do spełniania swych najbardziej pokreconych zachcianek... Już sama myśl o tym

sprawia, że człowiek ma ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie i cieszyć się swoim dziewictwem.

Michael oblał się rumieńcem i wyraźnie zawstydzony pochylił głowę. Widząc to, Don parsknął śmiechem.

Carol pokręciła głową i cmoknęła.

- Michaelu Martinie Lindqvście juniorze, jesteś taki słodki, kiedy się peszysz.

- Jeśli nie masz pasów do pończoch - Renee zwróciła się do Harper - możesz pożyczyć moje. Jedna z zasad obowiązujących w sali sypialnej dla kobiet brzmi: żadnych ubrań poza francuską bielizną: gorsetami i tym podobnymi.

- Nie słucham was — bąknął Michael. - Zamierzam zachować czystość aż do ślubu.

Przekazał Harper Carol i oddalił się niemal biegiem. Don Lewiston ruszył za nim z rękami w kieszeniach, pogwizdując *Spanish Ladies*.

Carol pomogła Harper zejść po schodach. Za drzwiami kolejne schody prowadziły niżej, w głąb wzgórza.

Pomieszczenie pod kaplicą okazało się ogromną salą, której sufit podtrzymywały pobielone wapnem ceglane kolumny. Łóżka polowe stojące na nierównej betonowej podłodze tworzyły sięgający kolan labirynt. W pomieszczeniu przebywało około trzydziestu kobiet: niektóre siedziały na łózkach, inne kręciły się przy stojącym pod ścianą składanym stoliku z termosem z kawą.

Michael i Don mogli zejść tu bez obaw, że trafią do wyścielanego jedwabiem ogrodu rozkoszy. W pomieszczeniu unosił się mało zmysłowy zapach wilgoci i kulek na mole, a większość dziewczyn miała niezdrowy, woskowy wygląd ludzi, którzy od dawna nie widzieli słońca. Nie było tu pasów do pończoch, za to nad rurami suszyło się całe mnóstwo mokrych skarpet. Widać, że rządziła tu moda rodem z Armii Zbawienia.

U dołu schodów stała obustronna tablica, jedna z tych, które właściciele barów z kanapkami wystawiają na chodnik, żeby zareklamować specjalność dnia. Harper zatrzymała się, by rzucić okiem na wykonane kolorową kredą dziewczęce pismo:

OBOWIĄZUJĄCE ZASADY

*NIE UŻYWAMY ŻADNYCH TELEFONÓW! TWOJA KOMÓRKA
POWINNA ZOSTAĆ ODDANA DO PUNKTU OBSERWACYJNEGO!*

PATRZ, SŁUCHAJ... I MÓW!

KAŻDY MA DO WYKONANIA JAKIEŚ ZADANIE!

POZNAJ SWOJE!

JEDZENIE, NAPOJE I ZAPASY MEDYCZNE NALEŻĄ

DO WSZYSTKICH!!! NICZEGO NIE GROMADZIMY!

ZA DNIA N/E WYCHODZIMY NA ZEWNĄTRZ!

SŁUCHAJ CZUJEK! TO MOŻE URATOWAĆ CI ŻYCIE!

NIE OPUSZCZAJ OBOZU BEZ UPZEDNIEJ

ROZMOWY Z CZUJKĄ!

POSIADANIE BRONI JEST SUROWO ZABRONIONE!

PODOBNIENIE JAK TAJEMNICE!

BEZPIECZEŃSTWO JEST SPRAWĄ NAS WSZYSTKICH!!!

***Zachowuj się tak, jakby życie innych spoczywało
w twoich rękach! Bo tak właśnie jest!!!***

- Szybko - rzuciła Carol. - Jaka jest twoja ulubiona piosenka? W którym aktorze albo piosenkarzu się podkochiwałaś? I jak miało na imię twoje pierwsze zwierzątko?

Harper odparła bez zastanowienia:

- *You've Got a Friend in Me*, w Ewanie McGregorze, głównie za rolę

w *Moulin Rouge*, a moim pierwszym zwierzątkiem był sznaucer o imieniu Bert, bo był tak czarny, że patrząc na niego, myślałam o kominiarzach z *Mary Poppins*.

Carol stanęła na krześle, odchrząknęła i machnęła ręką nad głową żeby skupić na sobie uwagę wszystkich.

- Hej, słuchajcie! To jest Harper! Jest naszą nową pielęgniarką! *You've Got a Friend in Me*, Ewan McGregor i sznaucer imieniem Bert! Powitajmy gromkimi brawami siostrę Harper!

Chwilę później w sali rozległy się gwizdy, oklaski i pohukiwania. Allie Storey rzuciła biustonoszem w głowę Harper. Ktoś inny krzyknął:

- Harper jak?!

Carol otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Harper ją ubiegła.

~ Willowes! - zawołała. - Harper Willowes! - A do siebie tknęła pod nosem: - Znowu. Na to wygląda.

Przeszły krętą ścieżką między pryzkami do starannie pościelonego łóżka polowego na środku pomieszczenia. Na poduszce leżała torba podróżna Harper.

Harper rozpięła ją i zajrzała do środka. Ktoś pozbiierał jej ubrania i starannie je poukładał. Na samej górze leżała *Podręczna mama*. Harper złożyła rysunek TYMCZASOWEGO KOTA i wsunęła go pod okładkę. Pierwszy zwierzak jej nienarodzonego dziecka.

- Powinnam podziękować panu Rookwoodowi za to, że pozbiierał moje rzeczy - powiedziała i natychmiast przypomniała sobie, że strażak nie należy do ulubionych tematów Carol. Było jednak za późno, żeby się wycofać, dodała więc niby od niechcienia: - Gdzie mogę go znaleźć?

Tym razem nie doczekała się pogardliwego grymasu ani złości. Carol obrzuciła ją łagodnym, niemal beznamiętnym spojrzeniem i delikatnie kuksnęła w ramię.

- Chodź na zewnątrz, to ci pokażę.

Mimo pomocy z jej strony kostka Harper pulsowała rwącym bólem, gdy wchodziły po schodach prosto w noc. Temperatura spadła. Powietrze miało teraz strukturę tysiąca drżących, ziarnistych kropli, które wiatr nawiewał od strony oceanu.

Stały same przy północno-wschodnim rogu kaplicy. Carol machnęła ręką w stronę boiska, sosen i widocznego w dole hangaru na łodzie. Na przewalających się czarnych wodach rysował się ciemniejszy kształt,

mała wysepka.

- Jest tam - wyjaśniła. - John Rookwood. Nie przychodzi do kościoła. Nie je razem z nami. Trzyma się na uboczu.

- Co on tam robi?

- Nie wiem. To tajemnica. Jego tajemnica. Nigdy nie opuszcza wyspy na długo i nikt nie wie dlaczego. Ludzie opowiadają różne rzeczy. Ona tam umarła. Moja siostra. Spłonęła, omal nie zabierając z sobą Nicka. Może John ją oplakuje. Może odprawia pokutę. A może po prostu lubi być tajemniczy.

- Pokutę? To znaczy, że obwinia się o coś?

- Na pewno - odparła Carol i choć jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, Harper kolejny raz wyczuła w jej głosie napięcie. - Nie żeby to była jego wina. Nie było go na wyspie, kiedy to się zdarzyło. Nie. Moja siostra nie potrzebowała pomocy, żeby się zabić. Doskonale poradziła sobie sama. -Spojrzała z ukosa na Harper. - Ale coś ci powiem. Od tego czasu nie pozwalam Nickowi i Allie tam chodzić. Myślę, że John rozumie. Ty też lepiej nie wpadaj tam w celach towarzyskich. Wszyscy, którzy za bardzo zbliżą się do Johna, kończą w płomieniach.

6

Po śniadaniu złożonym z rzadkiej mlecznej owsianki i gorzkiej kawy przyszedł czas na wypełnianie obowiązków.

Ben Patchett po raz kolejny służył Harper za podporę i pomógł jej wyjść w wyjątkowo ciepłą październikową noc. W przesyconym zapachami nocnym powietrzu śmigwały ważki. Otaczający ją tłum wrzał z radosnego rozemocjonowania, przywodząc na myśl wiejskie festyny z diabelskim młynem, wata cukrową i racuchami.

Ludzie zbili się w wąskiej kaplicy z wysokim sklepieniem, pod nieheblowanymi odsłoniętymi krokwiemi. W nawie głównej tłoczyły się cienie, zabite deskami okna chroniły przed nocą, a wewnątrz sali rozświeślały nieliczne świece. Ogromne, powyginane cienie tańczyły na ścianach, dużo bardziej wyraźne niż ludzie, którzy je rzucali.

Harper, wsparta na ramieniu Bena, podeszła do jednej ze środkowych ławek. Z drugiej strony podtrzymywał ją niski, przysadzisty mężczyzna, nieco starszy od Bena, z różowymi policzkami i gładką cerą niemowlaka. Ben przedstawił go jako Nelsona Heinricha, który przed epidemią był właścicielem sklepu o nazwie Christmas-Mart, co tłumaczyło, dlaczego miał na sobie sweter w renifery, mimo że dopiero zbliżało się Halloween.

Radosna paplanina ucichła, gdy na podium pojawił się Ojciec Storey. Poprawił okulary, sowim wzrokiem zerknął na śpiewnik i oznajmił:

- Jeśli otworzycie śpiewniki na stronie trzysta trzydziestej drugiej, zaczniemy dziś od prostego, ale pięknego hymnu, uwielbianego przez ojców pielgrzymów we wczesnych dniach Ameryki.

Ludzie zaczęli chichotać, choć Harper nie rozumiała dlaczego, dopóki Nelson nie otworzył książeczki na właściwej stronie. Jak się okazało, nie był to żaden zbiór hymnów, lecz śpiewnik obozowy dla młodzieży, a piosenka na stronie trzysta trzydziestej drugiej nosiła tytuł *Holly Holy* i pochodziła z repertuaru Neila Diamonda. Harper pochwaliła ten wybór. Jeśli ktoś mógł zbawić jej duszę, to właśnie on.

Nelson nachylił się i dość głośno szepnął jej do ucha:

- To proste, zobaczysz! Nie ma w tym nic trudnego! Po prostu usiądź wygodnie i ciesz się chwilą!

Raczej niefortunne słowa z niefortunnymi skojarzeniami, pomyślała Harper.

Ben skrzywił się i dodał:

- Nie zawsze wszystko jest tak jak należy. Nie przejmuj się, jeśli dziś wieczorem nic ci się nie przydarzy - uspokoił ją. - Oczywiście byłoby cudownie, gdyby tak się stało! To jak strącenie wszystkich kręgli pierwszą kulą i...

Nie dokończył, bo Carol zaczęła grać melodię, która równie dobrze mogła być pieśnią marszową, jak i utworem gospel. Kiedy zaczęli śpiewać - przeszło sto głosów rozbrzmiewających w mroku - spłoszony gołąb poderwał się do lotu.

W ławce przed nią siedzieli Allie i Nick, i Harper wiedziała, że coś się dzieje, gdy chłopiec odwrócił się przez ramię, uśmiechnął się do niej, a jego zwykle niebieskawozielone oczy zmieniły się w kręgi złotego światła.

Esy-floresy, które smocza łuska namalowała na wierzchu dłoni Bena Patchetta, rozjarzyły się jak wypełnione blaskiem światłowodów.

Zewsząd bił blask, przyćmiewając słabe czerwone światło świec. Harper pomyślała o rozbłysku bomby atomowej unoszącym się nad pustynią. Dźwięki piosenki nasilały się, podobnie jak światło, aż miała wrażenie, że słyszy te głosy głęboko w piersi.

Ściągnięta paskiem biała sukienka Carol wydawała się przezroczysta, a widoczne pod nią ciało sprawiało wrażenie pomalowanego światłem. Ona jednak w ogóle nie zwracała na to uwagi. Harper pomyślała o onirycznych nagich postaciach, które kręciły piruety w czółówkach filmów o Jamesie Bondzie.

Poczuła, że połyka ją cały ten zgiełk. Światłość nie była już piękna, lecz przerażająca, jakby została uwięziona między blaskiem reflektorów pędzącego wprost na nią samochodu.

Ben, który obejmował ją w talii, nieświadomie ugniatał jej biodro; gest ten napawał ją obrzydzeniem, a jednak nie była w stanie się wyswobodzić. Zerknęła na Nelsona, którego szyję opinał ciasno utkany ze światła kołnierz. Kiedy otworzył usta, żeby zaśpiewać kolejny wers, zobaczyła jego język lśniący toksycznym odcieniem zieleni.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek by ją usłyszał, gdyby zaczęła krzyczeć. Nie to, że nosiła się z takim zamiarem - nie mogła oddychać, a co dopiero krzyczeć! Gdyby nie złamana kostka, mogłaby uciec.

Wytrzymała do końca piosenki jedynie dzięki Renee i Donowi Lewistonowi. Oboje siedzieli po drugiej stronie nawy, nieco bliżej sceny, ale Harper widziała ich przez lukę w tłumie. W pewnym momencie Renee odwróciła się, żeby na nią spojrzeć, i uśmiechnęła się. Zawijasy na jej szyi lśniły, ale był to przygaszony blask, którego światło nie dosięgało jasnych, łagodnych oczu Murzynki. Co ważniejsze, Renee nadal tam była, wciąż obecna i świadoma wszystkiego, co dzieje się dookoła. W tym momencie Harper zrozumiała, co tak bardzo denerwuje ją u pozostałych.

Wyglądało to tak, jakby Ben i Nelson, Allie, Nick i inni opuścili pomieszczenie, pozostawiając po sobie lampiony z ludzkiej skóry. Myśl została zastąpiona światłem, a osobowość harmonią, ale Renee wciąż tu była, podobnie jak Don Lewiston, który śpiewał razem ze wszystkimi, ale w ogóle nie świecił. Dopiero później Harper dowiedziała się, że Don tylko czasami lśnił w obecności innych. Przy tych nielicznych okazjach jego ciało emanowało wyjątkowo silnym blaskiem, jednak znacznie częściej pozostawał zupełnie obojętny na ich pieśni. Don twierdził, że to dlatego, iż słoń nadepnął mu na ucho, ale Harper nie do końca mu ufała. Śpiewał ze swobodną, niefrasobliwą pewnością siebie, a jego dudniący, głęboki bas brzmiał idealnie.

Obdarzyła Renee słabym uśmiechem; miała zawroty głowy i było jej niedobrze. Musiała zamknąć oczy, żeby wytrzymać do końca ostatniej zwrotki - smocza łuska na jej ciele mrowiła nieprzyjemnie, a jedyna myśl, która tłukła się jej w głowie, to: Przestańcie, przestańcie, przestańcie! Więc gdy piosenka dobiegła końca, a na sali rozległy się gromkie brawa, gwizdy i tupanie nogami, mogła tylko próbować się nie rozpłakać.

Ben w zamyśleniu głaskał jej biodro. Była pewna, że robił to nieświadomie. Lśniące linie na jego skórze przygasły, ale miedziany blask w oczach pozostał. Patrzył na nią z czułością, choć miała wrażenie, że jej nie poznaje.

- Iiinic? - zapytał nieobecny, melodyjnym głosem, jak człowiek, który chwilę temu obudził się z krótkiej drzemki. - Nic się nie stało? Nie

zwróciłem uwagi. Odpłynąłem na minutę.

- Nic - odparła. - Może to przez kostkę. Boli od samego rana i trochę mnie to rozprasza. Przy następnej piosence może po prostu usiądę i postaram się ją odciążyć.

Zaraz potem usiadła i zamknęła oczy, żeby nie widzieć jaskrawego światła, które wyglądało jak reflektory nadjeżdżającego samochodu.

Siedziała, czekając, aż samochód w nią uderzy.

LISTOPAD

7

W noc poprzedzającą Święto Dziękczynienia Harper obudziła się ze snu o Jakobie i jego książce *Orząc pustkowie*. Czuła dym, ale nie wiedziała, co się pali. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona.

Nie płonęła, ale pas smoczey łuski na jej szyi przypalił ściągacz koszulki z nadrukiem zespołu Coldplay i cały materiał poczerniał i zaczął kopcić. Czuła dziwne mrowienie, jak wówczas, gdy spryskiwała ślad po ukąszeniu komara repelentami w aerozolu, tyle że teraz swędziało ją całe ciało.

Odrzuciła kołdrę, zerwała się z krzykiem i zdjęła koszulkę. Choroba namalowała na jej skórze czarne jak atrament linie, upstrzone drobkami czerwonego światła. Pieczenie jak po oparzeniu meduzy nasiliło się tak, że nie była w stanie zebrać myśli.

Dźwięk, który rozległ się dookoła, gdy pozostałe kobiety zaczęły wiercić się na łóżkach, przypominał nerwowe gruchanie stada spłoszonych gołębi. Chwilę później u jej boku pojawiła się Allie. Dziewczynka oplótła ją w pasie nogami i zaczęła delikatnie poklepywać. Śpiewała przy tym, zbliżając usta do ucha Harper; jej miękki, łagodny głos przywodził na myśl szept. Zaraz potem przy łóżku zjawiała się Renee; Murzynka uniosła dłoń i splotła palce z palcami Harper.

- Nie spłoniesz - uspokoiła ją. - Tu nikt nie płonie; to jedna z zasad. Chcesz złamać zasady i narobić nam kłopotów z Carol Storey? Oddychaj głęboko, siostrzo Willowes. Duży, głęboki wdech. Razem ze mną: Wdeeech. I wydech. Wdeeech...

Allie śpiewała starą piosenkę Oasis. Śpiewała słodkim, nieustraszonym głosem o tym, że Harper jest jej wybawieniem, próbowała nawet naśladować strażaka z jego wdzięcznym, lekko nosowym angielskim akcentem.

Harper powstrzymywała łzy aż do chwili, gdy smocza łuska na jej

ciele przygasła, a ból zaczął ustępować. Mimo to czuła na skórze bolesne pieczenie jak przy oparzeniu słonecznym.

Allie przestała śpiewać, wciąż jednak tuliła się do niej. Jej koścista broda spoczywała wygodnie na ramieniu Harper. Renee z niemal matczyną troską gładziła kciukiem jej dłoń.

Nick Storey stał w mroku, cztery kroki od łóżka Harper, i przyglądał się jej z niepokojem. Był jedynym chłopcem, który spał na sali razem z dziewczętami i dzielił łóżko polowe ze starszą siostrą. Jedną ręką przyciskał do piersi blaszany gwizdek. Nie mógł go usłyszeć, ale wiedział, że w każdej chwili może w niego dmuchnąć i przywołać strażaka. Tylko co by to dało? Może John przyniosłby wąż strażacki, żeby ugasić jej tłące się szczątki.

- Brawo, dziewczyno! - rzuciła Renee. - Nic ci nie jest. Już po wszystkim. Mogło być gorzej.

- Ale mogło być też lepiej - wtrąciła Allie. - Właśnie przegapiłaś świetną okazję, żeby puścić z dymem tę ohydłą koszulkę z Coldplay. Jeśli kiedykolwiek ulegnę samozapłonowi, mam nadzieję, że będę miała w ręce cały stos ich płyt.

Dźwięk, który dobył się z ust Harper, mógł być zarówno śmiechem, jak i szlochem; sama nie miała pewności. Może był śmiechem przez łzy.

8

Harper wyszła w noc w nadpalonej koszulce z Coldplay i razem z innymi ruszyła w stronę stołówki, gdzie serwowano śniadanie. Szła, nie patrząc, dokąd idzie, dając się porwać skłębionej ludzkiej masie.

Sen. Mało brakowało, a zabiłby ją sen. Do głowy jej nie przyszło, że zaśnięcie może być równie niebezpieczne, jak kieliszek wina w obecności uzbrojonego Jakoba.

We śnie była w zaawansowanej ciąży, a jej ogromny brzuch był zarazem przerażający i komiczny. Próbowала biec, ale jedyne, na co było ją stać, to żaloszny i momentami przezabawny kaczy chód. Przyciskała do obolałych, nabrzmiiałych piersi egzemplarz Orząc pustkowiea z kartkami lepkimi od krwi. Książkę znaczyły krwawe odciski palców. Miała niejasne przeświadczenie, że zabiła nią Jakoba i za wszelką cenę musi ukryć dowody.

Przebiegła na drugą stronę ulicy, żeby zakopać narzędzie zbrodni, jak ktoś, kto próbuje pozbyć się ciała. Podmuchi lodowatego wiatru porwał kartki i cisnął je na wylaną asfaltem drogę.

Harper przypadła do ziemi i w mroku i chłodzie próbowała pozbierać rozsypane kartki. Logika snu podpowiadała jej, że nie może pominąć żadnej z nich. Zebrała niemal jedną trzecią, gdy sto metrów dalej zobaczyła bliźniacze snopy reflektorów.

Ważący dwie tony freightliner z pługiem wielkości skrzydła samolotu zaparkował przy krawężniku.

- Ty dziwko! - wrzasnął siedzący za kierownicą Jakob. -Masz pojęcie, jak ciężko nad tym pracowałem? Gdzie twój szacunek dla literatury?

Wrzucił bieg i ciężarówka zaczęła się toczyć. Wyregulował reflektory i oślepiające niebieskie światło przyszpiliło ją do asfaltu. Jakob przyspieszył, wrzucił z chrzęstem drugi bieg, silnik Diesla ryknął, a światła zdawały się przeszywać ją na wylot, parzyły jej skórę, paliły ją...

Na samo wspomnienie smocza łuska zareagowała nieprzyjemnym pieczeniem.

Harper szła ze spuszczoną głową, tak pogrążona w beznadziejnych,

ponurych myślach, że wzdrygnęła się, gdy ktoś złożył na jej policzku delikatny, zimny pocałunek. Podniosła głowę i czyjeś chłodne wargi musnęły jej prawą powiekę.

Padał śnieg. Wielkie płatki, ogromne jak pióra, spadały bez celu z czarnego nieba, tak miękkie i lekkie, że niemal wisały w powietrzu. Zamknęła oczy. Otworzyła usta i poczuła na języku ich smak.

W stołówce panował zaduch, powietrze przesycone było zapachem przypalanej mielonki i białego sosu pieczeniowego. Harper wlokła się noga za nogą otoczona zgiełkiem pokrzykiwań, śmiechu i szczęku sztućców.

Dzieci wycięły z papieru podkładki pod talerze w kształcie indyków i pokolorowały je. Tego wieczoru wszystkie bez wyjątku pełniły rolę kelnerów, paradując po sali w kartonowych kapeluszach purytanów.

Renee i Harper usiadły przy jednym z długich stołów. Ben Patchett usadowił się obok Harper, przy okazji trącając ją w biodro.

- Chciałeś usiąść razem z nami, Ben? - spytała Renee, choć zdążył się już rozsiaść.

W ciągu ostatnich trzech tygodni zawsze kręcił się w pobliżu. Kiedy Harper szła w stronę wyjścia, pojawiał się znikąd, gotów przytrzymać jej drzwi. Jeśli utykała, nieproszony pojawiał się obok i obejmował ją w talii, by służyć w charakterze kuli. Jego pulchne, ciepłe ręce przywodziły na myśl ciasto drożdżowe. Był nieszkodliwy i starał się na coś przydać, ale chociaż Harper starała się być wdzięczna, często miała dosyć widoku jego twarzy.

- Wszystko w porządku Harper? — spytał, mrużąc oczy. - Nabrałaś rumieńców. Napij się czegoś.

- Nic mi nie jest. Piłam już wodę i nie uwierzysz, jak często ostatnio sikam.

- Powiedziałem: napij się. - Mówiąc to, podsunął jej papierowy kubek z sokiem żurawinowym. - To zalecenie doktora Bena.

Sięgnęła po kubek i upiła łyk, głównie po to, żeby zamknąć mu usta. Wiedziała, że żartuje i na swój niezdamny sposób stara się być zabawny, ale nie wiedzieć czemu, irytował ją bardziej niż zwykle. Dla niego dołączenie do Światłości nie stanowiło problemu. Wystarczyło, że Carol zagrała na organach kilka pierwszych akordów, a Ben Patchett zaraz się rozjarzał. Ben Patchett nigdy nie kopcił we śnie. Kiedy kładł

się spać, nie czuł lęku.

Koszmary Harper o jadącej wprost na nią ciężarówce wcale jej nie zaskoczyły. Co najmniej raz dziennie czuła się uwięziona na drodze przez pędzące ku niej reflektory, gdy mieszkańcy obozu gromadzili się w kaplicy na wspólne śpiewanie. Z każdym dniem coraz bardziej obawiała się nabożeństwa. Przebywała w obozie od miesiąca i jeszcze nigdy nie dołączyła do Światłości. Była jedynym zepsutym światełkiem na bożonarodzeniowej choince. Przez całą ceremonię siedziała, zaciskając pięści, jak osoba, która boi się latać i zgrzyta zębami na samą myśl o turbulencjach.

Ostatnio nawet Ben przestał ją pocieszać i zapewniać, że to tylko kwestia czasu, zanim „zaskoczy” i „dołączy do reszty”, i dał sobie spokój z frazesami, które brzmiały, jak gdyby miała podłączyć się do sieci przez jakiś zamontowany w duszy modem. Kiedy nabożeństwo dobiegało końca i mieszkańcy obozu opuszczali kaplicę, widziała, że unikają jej wzroku. Ci, którzy mieli odwagę spojrzeć Harper w oczy, posyłali jej zgaszone, pełne współczucia, wymuszone uśmiechy.

Na sali zrobiło się zamieszanie, gdy Carol pomagała Ojcu Storeyowi stanąć na krześle. Chwilę później uniósł obie ręce, chcąc uciszyć zgromadzonych, uśmiechnął się do nich i zamrugał zza dwuogniskowych okularów w złotych oprawkach.

- Ja... - zaczął niewyraźnym, stłumionym głosem, a zaraz potem sięgnął do ust i wyciągnął z nich biały kamyczek. Publiczność zareagowała pełnym uwielbienia śmiechem.

Ktoś - sądząc po głosie, Don Lewiston - krzyknął:

- Hej, Ojcie, czy tak wygląda nasz obiad? Chryste, jedzenie w tej dziurze jest naprawdę podłe.

Norma Heald zmierzyła krzykacza - kimkolwiek był - wściekłym spojrzeniem i zawołała:

- Żadnych przekąsek przed posiłkiem, Ojcie.

Ojciec Storey uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że w Święto Dziękczynienia powinienem coś powiedzieć, zanim zabierzemy się do jedzenia. Jeśli chcecie, możecie złożyć ręce jak do modlitwy albo wziąć za rękę osobę, która stoi obok was, albo w ogóle nie zwracać na mnie uwagi i zamiast tego słuchać wycia wiatru... co komu pasuje.

Tu i ówdzie rozległo się chrząknięcie, nogi krzesel drapnęły o podłogę. Ben Patchett wziął Harper za rękę. Dłoń miał ciastowatą i wilgotną. Renee rzuciła jej spojrzenie pełne sardonicznego współczucia - „patrzcie, kto ma chłopaka, mówiło, szczęściara” - i ujęła ją za drugą rękę.

- Wszyscy tu należymy do chóru śpiewającego pieśń dziękczynną, jesteśmy tymi, którzy ocaleli dzięki pieśni i światłu - podjął na nowo Ojciec Storey. - Jesteśmy wdzięczni za to, że możemy trwać w harmonii, uratowani dzięki wzajemnej miłości. Jest tak wiele rzeczy, za które powinniśmy dziękować. Ja, na przykład, dziękuję za smażoną mielonkę. Pachnie wyśmiejcie. A jeszcze bardziej jestem wdzięczny za białe sos pieczeniowy i pieprz, które przydadzą się, jeśli okaże się, że mielonka nie smakuje tak dobrze, jak pachnie. Wszyscy powinniśmy podziękować Normie Heald, która flaki sobie wypruwała żeby z tak ograniczonych zapasów przygotować ten wspaniały obiad. Dziękujemy dziewczynkom, które wylewały siódme poty uwijając się w kuchni. Dziękujemy Renee Gilmonton, która pomogła dzieciom zrobić te cudowne kapelusze i wyszkoliła je na pierwszorzędnym kelnerów. Dziękujemy Johnowi Rookwoodowi, którego dziś nie ma wśród nas i który w cudowny sposób załatwił nam kakao i pianki, o czym miałem nie mówić, bo przecież nie chcemy, żeby dzieciaki wpadły w euforię.

Na sali rozległ się radosny pisk, a zaraz po nim pobłażliwe pomruki i śmiech dorosłych. Ojciec Storey uśmiechnął się, zamknął oczy i w zamyśleniu zmarszczył czoło.

- Kiedy śpiewamy, śpiewamy dla ludzi, którzy nas kochali, a których tu dziś nie ma. Śpiewamy, by uczcić pamięć każdej minuty, jaką dane nam było spędzić w ich towarzystwie. Miałem córkę, piękną, mądrą, zabawną, waleczną, inspirującą córkę, za którą tęsknię z całego serca. Wiem, że wy również tęsknicie za tymi, których straciliście. Śpiewając, myślę o tym, co dane mi było przeżyć z moją Sarah. Kiedy wznosimy nasze głosy w idealnej harmonii, czuję jej obecność. W Światłości odnajduję jej ducha. Słyszę, jak śpiewa dla mnie, tak jak ja śpiewam dla niej.

Gdzieś pod okapem rozległo się wycie wiatru. Ktoś gwałtownie wciągnął powietrze. Harper wyczuwała ciszę, która była jak słodkie, bolesne pulsowanie.

Ojciec Storey otworzył wilgotne od łez oczy i powiódł po sali wdzięcznym, czułym wzrokiem.

- Jeśli o nas chodzi, wciąż tu jesteśmy, i to cudowne uczucie. Jeszcze jedna noc na ziemi przy odrobinie muzyki, świeżych ciasteczkach i miłej pogawędce. Nie wiem, jak wy, ale ja zawsze tego pragnąłem. A teraz myślę, że wszyscy, jak tu siedzicie, zaśpiewalibyście z radości, gdybym już się zamknął i pozwolił wam jeść.

Na sali rozległy się krzyki aprobaty, a zaraz po nich oklaski. Don Lewiston wstał. Inni poszli jego śladem, odsuwając ławy i krzesła, żeby swobodnie oklaskiwać staruszka, który powiedział im, że nawet w tych czasach człowiek może czasami być szczęśliwy. Kiedy Ojciec Storey zszedł z krzesła, pozostali zaczęli gwizdać i klaskać, także Harper, wdzięczna za jego słowa. Przez krótką chwilę nie bała się, że kolejnej nocy obudzi ją woń dymu.

Jedli ociekające tłuszczem kawałki mielonki do połowy utopione w sosie i mączaste, maślane ciasteczka. Harper nie miała apetytu i mechanicznie wkładała do ust kolejne kawałki jedzenia, zdziwiła się więc, kiedy okazało się, że zjadła wszystko i zeskrobuje z talerza ostatnie krople sosu. Może nie była głodna, ale dziecko zawsze miało ochotę na małą przekąskę. Tęsknym wzrokiem zerknęła na zjedzone do połowy ciastko na talerzu Renee. Widząc to, Murzynka uśmiechnęła się i plastikowym widelcem przesunęła je w jej stronę.

- Nie - zaprotestowała Harper. - Nie. Nie chcę.

- Byłabyś bardziej przekonująca, gdybyś nie zjadała okruchów ze stołu.

- Boże - jęknęła Harper. - Ale ze mnie prosię. Musisz się czuć tak, jakbyś siedziała przy pieprzonej świni, która dorwała się do koryta.

Ben skrzywił się i odwrócił wzrok. Harper zwykle nie przeklinała, ale w jego obecności nie mogła się powstrzymać. On unikał wulgaryzmów jak kot wody: zamiast „cholera” mówił „cholewcia”, „niech to szlag” skracał do „a niech to”, a „kurwa” zmieniał na „kurka”, co według Harper było wyrazem przesadnej grzeczności, i nie lubił, kiedy ona przeklinała. Zawsze wtedy się wzdrygał. Zdaniem Harper był pod tym względem gorszy od Normy Heald.

Przyszło jej do głowy, że chciała się na nim odegrać, odkąd postanowił zabawić się w jej ojca i kazał jej wypić sok żurawinowy.

Zaraz jednak tego pożałowała. Była podła, skoro chciała obrazić kogoś, kto zawsze zachowywał się wobec niej w porządku.

Chwilę później Ben odłożył widelec i wstał. Przeraziła się; zastanawiała się, czy uraziła go aż tak bardzo, że postanowił wziąć nogi za pas. Ale nie; Ben Patchett zamierzał wygłosić własne przemówienie. Stał na ławie, włożył do ust dwa palce i gwizdnął ogłuszająco.

- Nie mam w ustach kamyka - zaczął - ale zanim skończę, niektórzy z was pożałują, że tak nie jest. - Uśmiechnął się. Zgromadzeni w stołówce nie wiedzieli, czy śmiać się, czy nie, więc na sali zaległa cisza, od czasu do czasu przerywana pełnymi niepokoju poszeptywaniami. - Śnieg może i jest ładny, ale znacznie utrudni nam życie. Aż do teraz mogliśmy swobodnie poruszać się po obozie, a dzieciaki miały mnóstwo miejsca do zabawy. Dziś wieczorem czujki będą kładły deski, żeby zbudować przejścia między budynkami. Przechodząc z budynku do budynku, musicie chodzić po deskach. Jeśli wpadnie tu patrol kwarantannowy i znajdą na śniegu odciski stóp, będą wiedzieli, że ukrywają się tu ludzie. Proszę, żeby dziś po wyjściu z kaplicy czujki spotkały się ze mną w Parku Pamięci. Musimy przećwiczyć układanie i ukrywanie desek. Chcę, żeby mogły zniknąć w ciągu dwóch minut. Jesteśmy w stanie to zrobić, choć nie będzie to łatwe zadanie, a zatem nastawcie się na to, że spędzimy tam trochę czasu, i ubierzcie się odpowiednio.

Reakcją na jego słowa były pomruki niezadowolenia, choć Harper wiedziała, że nie płyną one prosto z serca. Nastolat-kowie, którzy wstąpili w szeregi czujek, uwielbiali przebywać na świeżym powietrzu i udawać, że są żołnierzami piechoty morskiej na tajnej misji rządowej. Większość z nich przygotowywała się do życia w postapokaliptycznej rzeczywistości, odkąd byli w stanie utrzymać w rękach pada do Xboxa.

- Ojciec Storey wspominał, że Norma Heald prawie się wykończyła, szykując dzisiejszy obiad. Rozumiem, że nie było to łatwe, zważywszy na skromne zapasy. A skoro już o tym mowa, mam dla was, niestety, niezbyt dobre wieści. Otoz Norma, Carol i ja spędziliśmy wczoraj w kuchni sześć godzin, przeglądając zapasy. Nie będę was oszukiwał. Sytuacja wygląda nieciekawie i musieliśmy podjąć trudne decyzje. Tak więc począwszy od przyszłego poniedziałku, każdy między trzynastym a sześćdziesiątym rokiem życia, kto nie jest niedołączny ani ciężarny -

zerknął na Harper i puścił do niej oko - przed lunchem będzie wyciągał los z kapelusza. Jeśli wylosujecie karteczkę ze znakiem X, będziecie proszeni o opuszczenie posiłku. Jeśli przypadkiem przegracie w igrzyskach śmierci... -Urwał i uśmiechnął się, jakby oczekiwał salwy śmiechu. Nic takiego nie nastąpiło i jego twarz pociemniała. - Następnego dnia nie musicie brać udziału w losowaniu - dodał pospiesznie. - Przykro mi. To czysta matematyka. Kiedy tu przybyliśmy, było dość suchej i puszkowanej żywności, żeby wystarczyć na kilka miesięcy dla kilkuset dzieci. Od lipca liczba osób w obozie przekroczyła setkę i z każdym tygodniem przybywa ich coraz więcej. Zapasy się kurczą i tylko patrzeć, jak się skończą.

Tym razem nikt nie dowcipkował. Ludzie szeptali nerwowo i rozglądali się po sali. Dwa stoły dalej Allie odwróciła się do siedzącego obok niej Michaela, zasłoniła usta ręką i zaczęła wściekle szeptać mu do ucha.

- Naturalnie każdy, kto wylosuje przegrany los, nadal będzie miał prawo do kawy lub herbaty, a w ramach przeprosin także do cukru, którego dużą puszkę odkryła niedawno Norma. Nawet nie ma w nim mrówek. Pechowcy mogą zatem liczyć na łyżeczkę cukru dodaną do dowolnego napoju. Jedną. Łyżeczkę. Wiem, brzmi kiepsko, ale zawsze to coś. To wszystko, co możemy zrobić, żeby okazać wdzięczność. - Głos mu stężał. -Skoro już mówimy o kończących się zapasach i losowaniu... Ktoś wynosi puszki skondensowanego mleka. Zniknęła też część mielonki, a nie mamy jej zbyt wiele. To się musi skończyć. Nie żartuję. Ten, kto to robi, zabiera jedzenie niewinnym dzieciom. Byłbym też wdzięczny, gdyby osoba, która zabrała Emily Waterman kubek na herbatę, zostawiła go przy jej łóżku. Nie musi się tłumaczyć. Po prostu niech to zrobi. To naprawdę wielki kubek na herbatę, prawie tak duży jak miska, z gwiazdami namalowanymi na spodzie. To jej ulubiony kubek; dostała go, kiedy była małą dziewczynką, i wiele dla niej znaczy. To wszystko. Dziękuję.

Zaczekał, żeby zobaczyć, czy ktoś nagrodzi go oklaskami, ale kiedy nikt nie zareagował, Harper wzięła go za ciepłą, wilgotną rękę i pomogła mu zejść. Już nie była na niego zła. Na sali zapanowało ożywienie, ludzie rozmawiali ściszymi głosami.

Ben usiadł i zaczął rozgrzebywać plastikowym widelcem gęsty sos.

Renee wychyliła się i spojrzała w jego stronę.

- Wszystko w porządku, Ben?

- Byłem już draniem, kiedy kazałem im oddać komórki -odparł. - Teraz jestem facetem, który zabiera im lunch. A niech to!

Podniósł się z ławki, wziął talerz i idąc do wyjścia, wrzucił go do gara z szarą, mydlaną wodą.

- Ja tam mogę nie jeść lunchów. - Renee patrzyła, jak Ben stawia kołnierz i nie oglądając się za siebie, wychodzi ze stołówki. -I tak są koszmarne; poza tym miałam nadzieję, że uda mi się zrzucić parę kilogramów. Oczywiście, źle to odebrał. Ludzie nie byli na niego źli, kiedy kazał im oddać komórki. Ucieszyli się! Ulżyło im, że jest ktoś, kto myśli o tym, jak nas ochronić. Nie chowają do niego żadnej urazy. Nie mają mu nawet za złe tego, co zrobił z Haroldem Crossem. Jediną osobą, która obwinia Bena Patchetta za to, co przydarzyło się Haroldowi, jest Ben Patchett.

- Harold Cross... - powtórzyła Harper. - Gdzieś już o nim słyszałam. Kim jest Harold Cross i co zrobił mu Ben?

Renee zamrugnęła, wyraźnie zaskoczona.

- Zastrzelił go — odparła. — Nie wiedziałaś? Strzelił mu prosto w gardło.

9

Na deser podano malutkie trójkąciaki krakersów z grubo mielonej mąki pszennej, z kremem kokosowym na wierzchu -najlepszą i najśłodszą rzecz, jaką Harper jadła, odkąd przybyła do obozu. Po każdym kęsie zamykała oczy, żeby skupić się na kremowym smaku. Był tak cudowny, że chciało jej się płakać albo chociaż podarować Normie Heald kartkę z podziękowaniami.

Renee wyszła na chwilę, żeby pomóc w przygotowaniu kakao dla dzieci, a kiedy wróciła, niosła dwa kubki czarnej kawy. Za nią szli Don Lewiston i Allie Storey. Pochód zamykał Nick Storey, który włókł się za starszą siostrą. Niósł kubek gorącej czekolady i robił to z takim namaszczeniem, jak dziecko, które podczas ślubu podaje państwu młodym obrączki.

- Wszystko w porządku? - spytała Renee. - Robisz dziwne miny.

- Tak wyglądam podczas orgazmu - odparła Harper, wkładając do ust ostatni kawałek krakersa z kremem.

- To chyba nie przypadek, że te krakersy są kształtem zbliżone do cipki - zauważyła Allie.

- Dziewczyny, chcecie porozmawiać we własnym gronie? - spytał Don. - Mogę wrócić później. Ta rozmowa zmierza w kierunku, który dla kogoś tak niewinnego jak ja może być denerwujący.

- Siadaj rzuciła Renee. -I opowiedz, co się stało z Haroldem Crossem. Myślę, że Harper powinna poznać prawdę, a wy opowiecie o tym lepiej niż ja. Don, ty z nim pracowałeś. Allie, ty znałaś go najlepiej z nas wszystkich. No i oboje byliście tam, kiedy to się wydarzyło.

- Nie powiedziałałabym, że znałam go aż tak dobrze - zaprotestowała Allie. - Doszło do tego, że nie mogłam przebywać z nim w jednym pokoju.

- Ale próbowałaś - upierała się Renee. - Staralaś się. Niewiele jest osób, które mogą powiedzieć to o sobie.

Nick przycupnął na ławie obok Allie. Spojrzał na nią, na Renee, znowu na Allie, a w końcu zaczął gestykulować, najwyraźniej pytając o

coś siostrę. Dziewczyna ściągnęła brwi i delikatnie poruszyła palcami.

- Moja mama była dużo lepsza w języku migowym -powiedziała. - Ja czuję się pewnie jedynie w alfabecie palcowym. Nick chce wiedzieć, o czym rozmawiamy. To jedyna dobra rzecz, jaka wynika z jego głuchoty. Nie musimy się martwić, że usłyszy coś drastycznego i będzie mu smutno.

- Nie potrafi czytać z ruchu warg? - spytała Harper.

- Tak robią tylko w filmach.

Don upił łyk kawy i skrzywił się.

- Coś wam powiem, nic tak bardzo nie psuje humoru jak ta kawa. No, może z wyjątkiem opowieści o Haroldzie Crossie. -Po tych słowach odstawił kubek. - Harold praktycznie zawsze trzymał się na uboczu. Był typem grubego dzieciaka, którego nikt nie lubi. Zbyt mądrym, żeby mu to wyszło na dobre, jeśli wiecie, co mam na myśli. Był bystrzejszy od innych i ochoczo dawał im to do zrozumienia. Jeśli kopaleś latrynę, opowiadał ci o lepszym, bardziej naukowym sposobie, ale sam nigdy nie sięgnął po łopatę. Twierdził, że bołą go plecy. Znacie ten typ.

- Nosił pasiastą koszulkę i czarne dżinsowe spodnie, nigdy nie widziałam go w niczym innym. Kiedyś przez trzy dni miał na koszulce smarka. Przysięgam na wszystkie świętości - dodała Allie.

- Pamiętam! - rzucił Don. - Chodził z tym smarkiem na koszulce tak długo, że powinien był nadać mu imię!

Nick, który nadal się im przyglądał, kilkoma powolnymi, ostrożnymi gestami zapytał o coś Allie. Tym razem jej odpowiedź była szybsza, potarła nawet kłykiem nos, udając, że w nim dłubie. Nick rozciągnął usta w uśmiechu. Wyciągnął z kieszeni dżinsów ogryzek ołówka i zapisał coś na podkładce pod talerz w kształcie indyka. Zaraz potem przesunął papier w stronę Harper.

Czasami też kopał. Nie za bardzo, zupełnie jakby się wrzucało do ogniska wilgotny mech. Taki trochę paskudny dym, który wylatywał mu z nogawek. Allie mówiła, że kopało mu się z tyłka.

Kiedy Harper spojrzała na niego, Nick zakrywał usta dłonią, wydając drżące, piskliwe odgłosy, które brzmiały jak pogwizdywanie. Może nie mógł mówić, ale wyglądało na to, że nawet niemowy potrafią chichotać.

- Studiował medycynę - wtrąciła Renee - i kiedy trafiłam do obozu,

zarządzał izbą chorych. Miał dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. Chodził po obozie z małym notatnikiem, czasami siadał na skale i coś w nim zapisywał. Myślę, że to niepokoiło niektórych. Zupełnie jakby notował coś na ich temat.

- Od czasu do czasu jedna z dziewczyn próbowała wyrwać mu ten notatnik i zobaczyć, co w nim bazgrał - powiedziała Allie. - Wtedy zaczynał kopcić i odchodził wściekły w kłębach dymu. Wyglądało to tak, jakby naprawdę gotował się ze złości.

- Jakby miał w tyłku komin - dorzucił Don Lewiston i tym razem roześmiali się wszyscy oprócz Nicka, który stracił wątek i uśmiechał się niepewnie.

- Szybko dołączył do Światłości - wspominała Allie. - Niektórzy świecą od razu, inni nie. W przypadku Harolda wszystko wydarzyło się chyba trochę za szybko. Stał się częścią Światłości tak szybko i intensywnie, że chyba sam się przeraził. Zaczął wrzeszczeć i tarzać się po podłodze, jakby naprawdę się palił. Później powiedział, że nie podobało mu się to uczucie, jakby miał w swojej głowie innych ludzi. Choć to wcale nieprawda. To nie telepatia. Nikt nie wchodzi nam do głów. To przyjemne uczucie odrywania się od ludzi. Jakby ktoś cię trzymał. Przytulał. Potem Harold już nigdy więcej nie świecił. Trzymał się od nas z daleka. Nie integrował się... tylko nas obserwował.

- Tak właśnie było - potwierdził Don. - A potem, pewnego dnia, mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak zjawił się w obozie, wstał pod koniec nabożeństwa i powiedział, że chce zabrać głos. Ludzie osłupieli. Zwykle jeśli ktoś zabierał głos w kaplicy, to Ojciec Storey albo Carol. Wyglądało to tak, jakby w trakcie programu telewizyjnego jeden ze statystów postanowił wygłosić przemówienie, którego nie było w scenariuszu.

- Ojciec Storey - przejęła pałeczkę Renee - niech mu Bóg błogosławi, włożył do ust kamyk i usiadł, żeby posłuchać. Wyglądał jak student, który czeka na wykład ze swojego ulubionego przedmiotu.

Allie przejechała dłonią po szczecinie na głowie.

- Harold powiedział, że mamy moralny obowiązek, żeby poinformować świat o naszym „odkryciu”. Twierdził, że powinniśmy przestać się ukrywać. Jego zdaniem powinni pokazywać nas w wiadomościach i cały świat powinien dowiedzieć się o tym, co

potrafimy. Fakt, że podporządkowaliśmy sobie smoczą łuskę, na pewno zainteresowałyby naukowców i wielu ludzi chciałoby się dowiedzieć o nas czegoś więcej. Ciocia Carol spytała: „Harold, kochanie, co to znaczy, że wielu ludzi chciałoby się o nas dowiedzieć?”. A on powiedział, że wysyłał SMS-y do doktora z Berkeley, który uważał, że nasza społeczność może stanowić prawdziwy przełom. Inny lekarz, z Argentyny, chciał, żeby Harold po wspólnym śpiewaniu pobrał od nas próbki krwi. Harold opowiadał o tym, jakby to nie było nic wielkiego. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił.

- Boże, Harper, było naprawdę źle - jęknęła Renee. - To była koszmarna noc.

- Pan Patchett zerwał się na równe nogi - mówiła dalej Allie - i zapytał Harolda, z iloma ludźmi się kontaktował i czy robił to, będąc na terenie obozu. Powiedział, że namierzenie lokalizacji na smartfonie jest dziecinnie proste i że Harold oznaczył nasz obóz na mapie wielkim X, ułatwiając zadanie patrolom kwarantannowym. Ludzie zaczęli płakać, tulili swoje dzieci. Byliśmy jak pasażerowie samolotu, którzy właśnie dowiedzieli się od kapitana, że w kokpicie jest terrorysta. - Allie patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie zwracając uwagi na Harper, wróciła wspomnieniami do zgiełku i zamieszania tamtej letniej nocy. - Pan Patchett kazał mu oddać komórkę. Przez trzy minuty przeglądał SMS-y Harolda. Okazało się, że pozostawał w kontakcie z trzydziestoma różnymi osobami z całego kraju. Z całego świata! Wysyłał im zdjęcia i materiały, na podstawie których łatwo było zlokalizować naszą kryjówkę.

- Harold chciał, żebyśmy głosowali - dodał Don Lewiston. - No i zagłosowaliśmy. Ben zarządził głosowanie w sprawie konfiskaty telefonów komórkowych; Allie i Mikey zebrali wszystkie do worka na śmieci.

- Nie podobało mi się to, co stało się później z Haroldem - przyznała Renee. - Jeśli zrobiliśmy coś złego, to właśnie wtedy.

Allie pokiwała głową.

- Po tym, jak zebraliśmy telefony, ludzie zaczęli traktować Harolda jak jadowitego robala i chcieli trzymać go z dala od innych, żeby nie mógł nikogo ukąsić. Dzieciaki zaczęły wołać na niego Horrold. Nikt nie chciał siedzieć obok niego w stołówce... no, może poza dziadkiem, ale

on potrafi się dogadać z każdym. Pewnego dnia jedna z dziewczyn rzuciła frisbee prosto w twarz Harolda i stłukła mu okulary. Udawała, że zrobiła to niechcący, że chciała, żeby je złapał, ale tak naprawdę odwaliła chamówę, i powiedziałam jej to. Czułam, że ktoś powinien spróbować się za nim wstawić. Że to nie w porządku, że przestaliśmy się nim interesować. Dlatego pomogłam mu skleić okulary i w porze lunchu siadałam z nim i dziadkiem przy jednym stoliku. Dzielłam z nim obowiązki, żeby nie musiał robić wszystkiego sam. Wierzyłam, że uda mi się wydobyć na światło dzienne prawdziwego Harolda. Ale kiedy to się stało, okazało się, że prawdziwy Harold jest tak samo okropny jak ten, którego znałam do tej pory. Pewnego dnia zmywaliśmy razem naczynia w stołówce, a on ni stąd, ni zowąd włożył mi łapę w szorty. Kiedy go zapytałam, co sobie, kurwa, wyobraża, powiedział, że nie ma powodu, żebym była wybredna, jeśli chodzi o to, z kim się pieprzę, skoro i tak cała ludzkość skończy jak gówno w kiblu. Odepchnęłam go tak mocno, że spadły mu okulary i znów się potłukły. Taki właśnie był Harold.

Nick powiódł zafascynowanym wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Jego kubek był prawie pusty, a czekoladowy wąs zdaniem Harper upodabniał chłopca do postaci z obrazów Normana Rockwella. Pokazał Allie coś, co zapisał na podkładce. Przeczytawszy to, dziewczyna wyjęła mu z dłoni ołówki i równie szybko odpisała. Nick pokiwał głową, a zaraz potem pochylił się, napisał coś jeszcze i przesunął podkładkę w stronę Harper.

Prubowałem ostrzec Allie, że nie morze mu ufać. Kopciło mu się z gaci za każdym razem, gdy był blisko niej. Głusi czują zeczy, których zwykli ludzie nie wyczuwają, a ja wyczuwałem w nim zło.

Harper pokazała podkładkę Renee. Ta spojrzała na nią, a zaraz potem na Harp i obie parsknęły śmiechem. Harper zaskoczyła jej własna wesołość i, nie wiedzieć czemu, zachciało jej się płakać. Nick patrzył na nie zdumionym wzrokiem. Upiła łyk kawy, żeby się uspokoić, ale znowu dostała ataku śmiechu i mało brakowało, a kawa wyleciałaby jej nosem. Renee poklepała ją po plecach, czekając, aż się uspokoi.

Don, który również przeczytał wiadomość Nicka, uśmiechnął się półgębkiem.

Zabawne. Ja nigdy nie wyczuwałem w nim zła. Ale kiedyś poczułem od niego coś innego... To było jak pierwsza kostka domina, po której wszystko się posypało. Harold pracował pod moim nadzorem, wykopywał robaki, których używałem jako przynęty. Dziwne, że zgłosił się na ochotnika do pracy fizycznej, To tak, jakby królowa najęła się do szorowania toalet. Nikt inny nie chciał z nim pracować, więc się zgodziłem. Powiedział, że zna miejsce na południe od obozu, błotnistą równinę, gdzie łatwo znaleźć robaki. Widać było, że wie, o czym mówi. Często przynosił więcej robaków niż inni chłopcy, których po nie wysyłałem. Ale bywało i tak, że wracał z pustymi rękami, wzruszał ramionami i mówił, że dzień był pechowy. Podejrzewałem wtedy, że wychodził z obozu, żeby uciąć sobie drzemkę, i nie bardzo się tym przejmowałem. Aż do pewnego dnia, gdzieś w połowie sierpnia, kiedy wrócił z niczym i odstawiając wiadro, beknął; i niech mnie kule biją, wyczułem w jego oddechu cholerną pizzę. Nie dawało mi to spokoju. Może zdążyłaś już zauważyć, że w menu obozu Wyndham nie ma pizzy. Tego dnia kiepsko spałem, a kiedy wstałem, postanowiłem szepnąć słówko Benowi Patchettowi. Zaniepokoiło go to tak jak mnie. Zesztywniał, zbladł i w milczeniu gładził się po brodzie, aż w końcu powiedział, że dobrze zrobiłem, że przyszedłem z tym do niego. Potem zapytał, czy na tydzień znajdzie się w mojej drużynie miejsce dla Michaela. Domyślałem się, czego będzie szukał Mikey, i wiedziałem, że nie będą to robaki, ale musieliśmy się dowiedzieć, co kombinuje Cross, więc się zgodziłem. I tak Mikey zaczął obserwować go z bezpiecznej odległości. Przez pierwsze dni podglądał, jak Harold robi kupę i podciera się stronami wyrwanymi z książek z obozowej biblioteki.

Renee się skrzywiła.

- Kartki pochodziły z *Serce to samotny myśliwy*. Naszej jedynej kopii. Gdybym wiedziała, co zamierza z nimi zrobić, dałabym mu *Atlas zbuntowany*.

- Czwartego dnia nasz Mike poszedł za nim do porzuconej chaty kilometr od obozu, w której był generator i internet. Harold siedział przy laptopie, jedną ręką pisząc maile, a drugą wpychając do ust kanapkę Hot Pocket z pepperoni. Jak się okazało, nie tylko wrócił do

dawnych nawyków i sprzedawał informacje na nasz temat tym samym ludziom, ale miał tam zamrażarkę pełną żarcia, którym ani myślał się z nami dzielić.

Don spojrział z ukosa na Allie, dając znać, że teraz jej kolej na opowieść. Dziewczyna skinęła głową i podjęła przerwany wątek.

- Byłam w Domu Czarnej Gwiazdy, kiedy przyszedł Mike. Moja ciotka mieszka tam z dziadkiem. To było niedługo po tym, jak zmarła moja mama. - Allie mówiła ze spokojem; nie próbowała ukryć bólu ani nadmiernie go nie eksponowała. - Ciocia Carol miała kilka rzeczy, które należały do mojej mamy, i prosiła, żebym je przejrzała, i wybrała te, które ja albo Nick chcielibyśmy zatrzymać. Nie znalazłam tam niczego poza tym. - Dotknęła złotego medalionu w kształcie miniaturowej książki. - Kiedy zjawił się Mike i powiedział, co widział, dziadek posłał mnie po pana Patchetta. Po powrocie zobaczyłam ciocię Carol, która w smużkach szarego dymu siedziała na krześle i kryła twarz w dłoniach. Była taka zestresowana. Powiedziała, że musimy zmusić Harolda do opuszczenia obozu, ale pan Patchett był zdania, że to najgorsze, co możemy zrobić. Twierdził, że jeśli go wyrzucimy i wpadnie w ręce patrolu kwarantannowego, zmuszą go, żeby wyśpiewał wszystko, co wie na nasz temat. Pan Patchett chciał go gdzieś zamknąć, ale dziadek powiedział, że wystarczy, że Harold obieca, że przestanie wychodzić z obozu i kontaktować się z tymi ludźmi. Ciocia Carol i pan Patchett wymienili spojrzenia, które mówiły: „Które z nas powie mu, że to najgłupsza rzecz, jaką w życiu powiedział?”. Ale problem z moim dziadkiem polega na tym, że... trudno go przekonać, że ludzie nie zawsze robią to co należy. Nie można przy nim powiedzieć niczego złego na drugą osobę, bo człowiek ma wrażenie, że sprawia mu zawód. Pan Patchett dał za wygraną. Zgodził się z dziadkiem, że od tej pory trzeba mieć oko na Harolda, i to wszystko.

Allie oparła łokcie na stole i złożyła brodę w kołysce z dłoni. Nie patrzyła na nikogo, spuściła wzrok i ze smutkiem zaglądała w głąb siebie. Harper domyślała się, że zaraz usłyszy koniec historii Harolda Crossa, która - tak się złożyło - była również końcem samego Harolda.

- Po rozmowie z panem Patchettem - Allie podjęła przerwana opowieść - Harolda rozbolał brzuch i udał się do izby chorych. Od tej pory pan Patchett kazał czujkom pilnować go w dzień i w nocy, żeby

mieć pewność, że nie opuszcza obozu. Jeśli nie byli razem z nim na oddziale, siedzieli w poczekalni. To się stało na mojej zmianie, za dnia, gdy cały obóz spał. Pod koniec warty, kiedy zaczęło się ściemniać, zachciało mi się sikać, a żeby dostać się do łazienki, musiałam przejść przez oddział. Szłam na palcach, naprawdę ostrożnie, starając się nie zbudzić Harolda, który spał za kotarą. Widziałam pod kołdrą jego zwalistą sylwetkę. Byłam już przy drzwiach do łazienki, kiedy zawadziłam biodrem o basen, tak że z brzękiem spadł na podłogę. Harold nawet nie drgnął. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie, odsunęłam kotarę i spojrzałam na łóżko. Pod kołdrą leżała poduszka. - Podniosła wzrok i spojrzała na Harper zbolalym, zawstydzonym wzrokiem. - Chodzi o to, że... przespałam większość popołudnia, podczas gdy powinnam była pełnić wartę w poczekalni. Wmawiałam sobie, że nic się nie stanie. Byłam przekonana, że usłyszę go, jeśli będzie próbował się wykraść. Że mam zbyt lekki sen, żeby przeszedł obok mnie niezauważony. Jasne! Spałam jak zabita. Może Norma Heald dodała mi do herbaty rohypnolu, licząc, że mnie przeleci. - Uśmiechnęła się kącikiem ust, ale broda jej drżała.

Don pogłaskał ją po głowie spracowaną, szorstką ręką.

- Pomyślałaś, że gdybyś się obudziła w chwili, gdy próbował się wymknąć, mógłby spuścić ci niezły łomot? Tak czy siak, zamierzał stamtąd wyjść.

- Gdyby to Nick stał na warcie, Harold by się nie przedarł.

Allie otarła oczy wierzchem dłoni.

- Kto tu mówi o przedzieraniu się? Mógł zwabić cię na oddział i powalić jednym ciosem. Nie, młoda damo. Harold Cross zamierzał nas opuścić, takim czy innym sposobem.

Byliśmy bandą idiotów, myśląc, że możemy go więzić, nie trzymając go pod kluczem. Skoczyłbym w ogień za twoim dziadkiem, ale muszę przyznać, że pomylił się co do Harolda, i to Ben Patchett miał rację.

Nick zauważył, że Allie trze oczy, i napisał coś na podkładce. Przeczytała to i pokręciła głową.

- Nie, nie chcę ostatniej pianki.

Chłopak znowu coś napisał, zamieszał łyżeczką w kubku i wyciągnął na w pół roztopioną piankę. Allie westchnęła, ale otworzyła usta i pozwoliła się nakarmić.

- Mówi, że to lekarstwo na wszelkie smutki - bąknęła niewyraźnie, żując gumową piankę. Po jej policzku spłynęła samotna łza. - I rzeczywiście chyba trochę mi lepiej.

- Czasami łyżeczka cukru pozwala przełknąć lekarstwo - wtrąciła Harper. - A czasami to ona jest lekarstwem.

Don Lewiston pochylił się i oparł łokcie na stole.

- Dokończę tę historię najszybciej, jak się da. Allie posłała Mikeya, żeby pobiegł po Bena Patchetta. Moje łóżko stoi obok łóżka Bena i obudziło mnie ich szeptanie. Kiedy usłyszałem, że idą szukać Harolda, zaproponowałem, że pójdę z nimi. Czułem, że muszę. Harold był częścią mojego zespołu. Zostawiłem go bez nadzoru, przez co znowu zaczął się kontaktować ze światem zewnętrznym. Nie pamiętam, kto poszedł po strzelbę, ale chyba wszyscy byliśmy pewni, że Harold nie wróci z własnej woli. Pamiętam, że ona... - poklepał Allie po ramieniu - miała zostać w obozie. Jak się domyślacie, wcale nie zamierzała nas słuchać. W dwadzieścia pięć minut pokonaliśmy pięć kilometrów, idąc prosto do kryjówki Harolda, i przez cały czas Allie szła na przedzie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, sprawy potoczyły się według najgorszego z możliwych scenariuszy. Może część ludzi, do których pisał Harold, była tym, za kogo się podawali. Może nawet większość. Ale pewien człowiek nie. Przed chatą przy zaparkowanym vanie stali mężczyźni z bronią. Nie jakiś tam stanowy patrol kwarantannowy. Nie, to byli ludzie ze Szwadronu Kremacyjnego. Obserwowaliśmy całą sytuację zza starego kamiennego muru na tyłach domu. Mieli karabiny Bushmaster i okładali Harolda kolbami. Popychali go. Kpili z niego, a on leżał na ziemi, tuląc do piersi laptopa i błagając, żeby go nie zabijali. Powtarzał, że nie jest niebezpieczny i że potrafi panować nad infekcją. Mówił, że zaprowadzi ich do miejsca, gdzie ukrywają się ludzie, którzy nauczyli się panować nad smoczą łuską. I wtedy Ben zapytał Mikeya, czy strzelba jest naładowana.

- Myślałam, że będziemy go bronić - wtrąciła Allie. - Jak w filmie. Nas czworo przeciwko dwunastce tamtych. Głupie, co? - Głos miała schrypnięty, pełen napięcia, i Harper wiedziała, że dziewczyna stara się opanować łzy.

- Mikeyowi tak się trzęsły ręce, że rozsypał naboje, ale Ben... Ben zmienił się w kogoś zupełnie innego. Kiedyś był gliniarzem. W tamtej

chwili miał to wypisane na twarzy. Był spokojny i pewny siebie. Powiedział: „Pozwól, synu, że ja to zrobię” i delikatnie wyjął broń z rąk Mikeya. Pierwszą kulkę wpackował w szyję Harolda. Drugą w laptopa. Faceci ze Szwadronu Kremacyjnego przypadli do ziemi i leżeli bez ruchu, a my bieглиśmy na złamanie karku, nie oglądając się za siebie. - Trzymając w dłoniach pusty kubek po kawie, Don Leviston obracał go w jedną i drugą stronę. - W lesie Ben Patchett sprawiał wrażenie opanowanego, ale kiedy wrócił, zalał się łzami. Siedział na ławce, a Ojciec Storey tulił go do piersi niczym dziecko. Uspokajał go, głaskał po plecach i powtarzał, że to, co się stało, nie było niczyją winą, a już na pewno nie winą Bena.

Nick zmarszczył brwi, znowu coś napisał i przesunął podkładkę w stronę Allie. Chwilę później dziewczyna przesunęła ją w stronę Renee i Harper.

Pan Patchett nie powinien był posyłać kogoś po stszelbę. Powinien był posłać kogoś po JOHNA. Powinien był uratować Harolda.

- Może i tak - przyznał Don, który siedząc naprzeciw, czytał zapiski na podkładce do góry nogami. - Ale cholernie się nam spieszyło. I słusznie, jak się okazało. Gdybyśmy przybyli dwie minuty później, Harold mógłby wszystko wyśpiewać. A wtedy zamiast jednego martwego dzieciaka, mielibyśmy obóz pełen martwych dzieciaków. I dorosłych. -Z brzękiem odstawił kubek na stół.

Sala zapełniała się ludźmi i zgiełkiem głośnych, radosnych rozmów. Zbliżała się pora nabożeństwa. Harper poczuła znajomy niepokój, gdy węzeł lęku kolejny raz zacisnął się na jej żołądku. Wraz z kolejną pieśnią nadejdzie harmonia, do której nie była w stanie dołączyć, i kolejna przygnębiająca eksplozja dźwięku i światła.

- To chyba wszystko - rzuciła Renee. - Koniec smutnej ballady o Haroldzie Crossie.

Harper nie chciała iść, więc odezwała się z nadzieją, że zyska trochę na czasie.

- Niezupełnie. Jest coś, co nie daje mi spokoju. Co było w jego notatniku? Czy ktokolwiek się dowiedział?

- Sam się nad tym zastanawiałem. - Don wstał od stołu. -Nie

znaleziono go. Może Harold miał go przy sobie tamtego feralnego dnia. Jeśli tak, nie zdradził w nim położenia obozu, w przeciwnym razie już dawno wszystko poszłoby z dymem. -Cmoknął i pokręcił głową. - Cóż, chyba nigdy się nie dowiemy. Niektóre zagadki już zawsze pozostaną nierozwiązane.

GRUDZIEŃ

10

Dwie siostry, Gail i Gillian Neighbors, sprzeczały się.

Miały wspólną buteleczkę czerwonego lakieru do paznokci, a kiedy zniknęła, jedna drugą zaczęła oskarżać o to, że ją zgubiła albo sobie przywłaszczyła. Były bliźniaczkami, z natury agresywnymi wobec siebie. W czasie bójkii Gail boleśnie wykręciła Gillian sutek, a gdy Harper próbowała je rozdzielić, Gail przyciskała brudną skarpetę do zakrwawionego nosa, do którego Gillian wraziła jej uzbrojony w długi paznokieć kciuk.

Harper chodziła po sypialni, prowadząc własne śledztwo w sprawie zaginionego lakieru. Dobrze było żyć problemami innych i choć na chwilę zapomnieć o własnych. Lepiej niż martwić się tym, że zaraz zrobi się ciemno, leżąc w łóżku i próbując zasnąć, a obawiała się tego, co może się wówczas wydarzyć.

Pomyślała, że może Allie wie, kto przywłaszczył sobie cenną buteleczkę lakieru (w odcieniu o zabawnej nazwie „podpalaczka”, z czego bliźniczki Neighbors najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy). Allie i jedna z dziewcząt, Jamie Close, grały w remika na stercie walizek. Harper stanęła za plecami tej drugiej i czekała, aż zostanie zauważona.

- Cieszę się, że nie śpię obok niej - powiedziała Jamie.

Jako dwudziestosześcioletka Jamie była jedną z najstarszych czujek. Miała blisko osadzone oczy i zadarty nos, co trochę upodabniało ją do świni.

- Obok kogo? - spytała w roztargnieniu Allie, nie podnosząc głowy znad kart.

- No wiesz, obok Siostry Słoneczka. Ubiegłej nocy obudziła się, kaszląc dymem. Słyszałaś? Mogłaby już spłonąć, wtedy przynajmniej inni porządnie by się wyspali...

Allie z całej siły nadepnęła jej na stopę. Bardzo małe, naiwne dziecko

pomyślałoby, że to przypadek. Tymczasem Jamie naprężyła się niczym struna i zamilkła.

Chwilę później Allie podniosła wzrok, udając, że dopiero teraz zauważyła Harper.

- Hej! Co słyhać, siostrzyczko Willowes?

- Bliźniaczkom Neighbors zginęła buteleczka lakieru do paznokci. Chodzę i pytam, czy przypadkiem ktoś jej nie widział.

Jamie Close siedziała sztywno na odwróconym wiadrze. Jej podciągnięta koszulka odsłaniała tatuaż na krzyżu: flagę konfederacji, a nad nią zapisane wielkimi literami słowo: REBELIANTKA. Jamie nie miała odwagi spojrzeć na Harper.

- Przykro mi, proszę pani - bąknęła. - Ja jedynie obgryzam paznokcie.

Allie wyglądała, jakby zamierzała coś powiedzieć - patrzyła przeproszającym, smutnym wzrokiem - ale tylko otworzyła usta, zamknęła je i pokręciła głową.

Harper rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu, podziękowała i odeszła. Smocza łuska na jej skórze pulsowała nieprzyjemnym ciepłem, przywodząc na myśl kogoś, kto próbuje dmuchnięciem tchnąć życie w żarzące się węgle.

Śniła, że ma na sobie suknię z os, i obudziła się, kiedy zaczęły ją żądlić.

Późnym porankiem w ciemnej piwnicy panował zaduch, a ona leżała bez ruchu, wciąż czując na skórze użądlenia: na obojczyku, po wewnętrznej stronie lewego uda, między dwoma palcami stóp.

Przycisnęła brodę do piersi i patrząc w dół, zobaczyła czerwoną plamę przeświecającą przez materiał koszulki tuż nad lewą piersią. Wyglądało to tak, jakby ktoś od spodu dotykał bawełny czubkiem żarzącego się papierosa. Znad rozprzestrzeniającej się oparzeliny unosiła się delikatna smużka białego dymu. Harper patrzyła obojętnym wzrokiem, jak dziura w materiale powiększa się, zmieniając bawełnę w soczyście pomarańczową koronkę. W końcu kciukiem zdusiła płomynek i strzepnęła z piersi snop iskier.

Jej ciało pulsowało od blisko tuzina takich oparzeń. Kiedy odrzuciła koc, żeby upewnić się, czy płonie tylko koszulka, w stronę sufitu poszybował kłęb czarnego dymu. Widząc to, pomyślała o swojej dziecięcej fascynacji sygnałami dymnymi. Jak odczytano by tę wiadomość? Może: *Pomocy, spłonę żywcem!*

Dość! - pomyślała.

Usiadła ostrożnie przy wtórze skrzypiących metalowych sprężyn. Nie chciała nikogo obudzić ani sprawiać kłopotów.

W pierwszej chwili nie była pewna, co właściwie chce zrobić, wiedziała tylko, że nie chce rozmawiać z nikim na ten temat. To kategoryczne „Dość!” oznaczało pewnego rodzaju decyzję, choć nie do końca wiedziała, co właściwie postanowiła.

Na łóżku obok Renee spała na boku i uśmiechała się przez sen. Harper miała ochotę pochylić się nad nią i pocałować ją w czoło, żeby ostatni raz mieć fizyczny kontakt z drugą osobą. Ostatni raz? Uświadomiła sobie, że nie może zbyt długo się jej przyglądać. Myśląc „Dość!”, zdradziła ich przyjaźń. Wiedziała, że to jedno słowo skrzywdzi Renee i zostawi ją... Jaką? Przyszło jej do głowy słowo „Osamotniona”.

„Osamotniona” i „Dość!” były nierozłączne, jak państwo młodzi.

Myślała o tym, żeby spakować do torby podróźnej *Podręczną mamę* i ubrania, ale „Dość!” było miejscem przeznaczenia, które nie wymagało bagażu. „Dość!” było echem, które rozbrzmiewało w jej wnętrzu, dzwoniącą pustką, jak gdyby była wieżyczką, na której ktoś dawno temu uderzył w dzwon, nie pytając, komu właściwie bije.

Wstała i przez chwilę chodziła po zimnym zakurzonym betonie. Zatrzymała się u dołu schodów, żeby jeszcze raz spojrzeć na labirynt łóżek polowych i śpiące na nich kobiety. W tym momencie kochała je wszystkie, nawet tę straszną Jamie Close z jej niewyparzoną gębą i zadartym nosem. Odkąd sięgała pamięcią, chciała mieć taką twardą przyjaciółkę jak Jamie, niegrzeczną i pyską, gotową pociąć sukę za to, co powiedziała. Kochała Renee, bliźniaczki Neighbors, małą Emily Waterman, Allie i Nicka. Przede wszystkim Nicka z jego oczami koloru butelkowej zieleni i rękami, które kreśliły w powietrzu słowa, upodabniając go do młodego czarodzieja.

Pokonała trzy stopnie, które dzieliły ją od drzwi, odsunęła zasuwę i wyslizgnęła się na zewnątrz. Zmrużyła oczy w bladym świetle. Od jakiegoś czasu nie bywała na słońcu i jego widok sprawiał jej ból.

Wiszące nad głową niebo było jasne i bezchmurne jak spłowiałe płótno cyrkowego namiotu. Szła dalej po schodach, ciągnąc za sobą nitki dymu. Smocza łuska wypaliła dziury w spodniach dresowych i koszulce z nadrukiem z musicalu *Rent*. Była na nim razem z Jakobem i pamiętała, że trzymał ją za rękę, kiedy na końcu się popłakała. Nagle zatęskniła za nim, za jego umięśnionych ramion, kiedy obejmował ją w talii. Nie miało znaczenia, że ostatnim razem, kiedy go widziała, celował do niej z broni.

Podejrzewała, że Jakob miał rację. O ile łatwiej byłoby zakończyć wszystko w ten sposób. On wiedział, jak straszna będzie śmierć w płomieniach. Chciał jej tego oszczędzić. A ona pokaleczyła mu twarz kieliszkiem i zmarnowała butelkę wyjątkowego wina.

Powtarzała sobie, że chce żyć dla dziecka, ale dziecko od samego początku nie miało z tym nic wspólnego. Trzymała się, bo nie potrafiła rozstać się z życiem i wszystkim tym, co w nim dobre i piękne. Była egoistką i chciała więcej. Chciała znowu przytulić się do ojca i poczuć

zapach jego wody kolońskiej Eight-and-Bob, która kojarzyła się jej z nasiąkniętą wodą morską liną. Chciała usiąść gdzieś nad basenem, poczuć na skórze promienie słońca i jednym uchem słuchać matczynej paplaniny o wszystkich zabawnych rzeczach, które Stephen Colbert opowiadał w telewizji poprzedniego wieczoru. Chciała jeszcze raz przeczytać ulubione książki i odwiedzić starych przyjaciół: Harry'ego i Rona, Bilbo i Gandalfa, Hazel i Bigwig, Mary i Berta. Chciała popłakać w samotności i zwijać się ze śmiechu. Chciała seksu, choć patrząc z perspektywy czasu, sypiała głównie z facetami, których nie bardzo lubiła.

Wmawiała sobie, że pragnie żyć, żeby jej syn mógł doświadczyć tych wszystkich wspaniałych rzeczy: spotykać się z dziadkami, czytać dobre książki, mieć dziewczynę. Wiedziała jednak, że tak się nie stanie. Jej syn umrze, zanim przyjdzie na świat. Upiecze się w jej łonie. Chciała go przeprosić za to, że w ogóle został poczęty. Czuła się tak, jakby złamała jedyną daną mu obietnicę.

Dopiero na szczycie schodów uświadomiła sobie, że zapomniała butów. Tylko jakie to teraz miało znaczenie? Cienka warstwa pierwszego śniegu zdążyła już stopnieć, jedynie pod sosnami zalegały jeszcze białe łąchy. Wiatr szarpał splątanymi grzywami wysokich, suchych traw i tworzył na morzu niskie, ostre jak brzytwy fale.

Harper nie była pewna, jak długo w cienkim podartym ubraniu będzie w stanie znosić wiejące od strony wody lodowate podmuchy, ale uznała, że morskie powietrze dobrze jej zrobi. Nie powinna przebywać na zewnątrz za dnia - Ben Patchett by się zdenerwował - ale obóz Wyndham był wypalony, zimny i pusty, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją zobaczyć.

Ruszyła w stronę linii brzegu, idąc po wilgotnej, gnijącej trawie. Przystanęła raz, żeby przyjrzeć się białemu kamieniowi wielkości dziecięcej czaszki, którego czarne żyłkowanie z drobinkami miki przywodziło na myśl smoczą łuskę. Przy odrobinie wysiłku udało jej się obruszyć kamień i schować go do kieszeni spodni dresowych.

Przeszła przez iglasty zagajnik, minęła hangar na łodzie i schodząc w stronę nabrzeża, zbierała po drodze kolejne ciekawe kamienie.

Nuciła pod nosem piosenkę, którą niektóre z młodszych dzieci wykrzykiwały do siebie nawzajem. Zastanawiała się, czy wiedziały, że

jest to parodia słynnego Hej Jude. Pewnie nie.

*'ey yooooou,
don 't start to cry
if you fry now
it will be shiiiiity,
A pity!
If you turn into a heap!
Cos it's my turn to sweep!
And take out the ashes⁶.*

Uśmiechnęła się, jednak w tym uśmiechu nie było radości. Chciała wierzyć w cud, o którym mówiła Carol; chciała wierzyć, że śpiewając, uchroni się od kłopotów. Na innych to działało, chroniło ich i sprawiało, że czuli się szczęśliwi; na nią też powinno zadziałać, a jednak tak się nie stało. Nie mogła sobie pomóc i miała im za złe, że potrafią robić to, czego ona nie umie. Miała do nich żal o to, że jej współczują.

Teraz, kiedy stała na chłodzie w jasnym świetle poranka, mogła przyznać przed sobą, że napawali ją odrazą, kiedy wszyscy razem rozjarzali się w kaplicy. Stanie pośród nich, kiedy ich oczy świeciły, a smocza łuska na ich skórze pulsowała, było prawie tak obrzydliwe jak bycie obmacywaną w tłumie przez nieznanego. Chciała położyć kres porannym nabożeństwom, śpiewom i wściekłości, pieśniom i światłu.

Weszła na usianą rozmaitymi odpadami przystań. Tu, na otwartej przestrzeni, słone powietrze uderzyło w nią ze zdwojoną siłą. Dobrze było czuć pod stopami deski wygładzane od dziesiątków lat przez wilgoć i mgiełkę wodną. Podeszła na skraj pomostu i usiadła. Kamienie w kieszeniach stuknęły o sosnowe drewno.

Patrzyła na wyspę strażaka, wodząc palcami nad powierzchnią wody. Zamoczyła duży palec u nogi i gwałtownie wciągnęła powietrze. Woda była tak zimna, że poczuła pod skórą igielki bólu.

Ktoś przywiązał do jednego z palików postrzępiony zielony sznur. Niemal bezmyślnie zaczęła go rozplątywać. Czuła, że nie powinna myśleć o tym, po co właściwie tu przyszła. Obawiała się, że jeśli zacznie

to roztrząsać, straci zimną krew.

Podświadomie wiedziała, że chłód oceanu będzie równie nie do wytrzymania jak pieczenie, które czuła, gdy smocza łuska robiła się gorąca, a instynkt będzie nakazywał jej wrócić do brzegu. Ale jeśli zwiąże ręce w nadgarstkach, nie będzie w stanie pływać i lodowata woda niebawem złagodzi ból. Pomyślała, że opadając na dno, otworzy oczy. Zawsze fascynował ją rozmazany mrok wodnego świata.

Mgła na wschodzie podniosła się i Harper zobaczyła wąski pasek błękitu. Czuła się tak czysta i otwarta jak niebo. Było jej dobrze. Zaczęła zawiązywać sznur wokół nadgarstków.

Gdzieś daleko rozległ się niesiony wiatrem krzyk.

Zawahała się i przekrzywiła głowę.

Na skraju maleńkiej wyspy stała zrujnowana jednoizbowa chatka. Z całej konstrukcji ocalały ledwie dwie ściany. Pozostałe dwie zapadły się, podobnie jak dach. Wnętrze budynku zaścielały osmalone belki.

Na sierpowatej połaci piasku z widokiem na obóz Wyndham stał drugi, mniejszy budynek - pomalowana na zielono szopa z białymi drzwiami, bez okien. Dach pokryty był darnią, a wydma pod jedną ze ścian upodabniała go do nory hobbita wciśniętej w zbocze wzgórza. Ze służącej za komin cynowej rury dzień i noc unosiły się smużki dymu, ale z tego, co Harper wiedziała, nie ściągały one uwagi świata zewnętrznego. Ktoś, kto obserwował linię brzegową, widział ich dziesiątki.

Teraz jednak prowizoryczny komin niósł echo piskliwego, pełnego napięcia, odległego głosu.

- Nie! Nie możesz! Nie zrobisz tego! — krzyczał strażak. - Nie możesz się poddać!

Serce Harper załomotało wściekle. Przez jeden, niepokojący moment była pewna, że zwraca się do niej.

Ale przecież nie mógł zobaczyć jej z wnętrza szopy. Nie miał pojęcia, że tu jest.

- Czy nie zrobiłem wszystkiego, czego ode mnie chciałaś?! - Wiatr chwycił jego głos i podstępem wciskał jej do uszu. - Czy nie zrobiłem wszystkiego, o co mnie prosiłaś? Myślisz, że ja nie mam dość? Ale jestem tu. Jeśli ja nie odejdę, to ty też!

Czuła, że powinna uciec - nie miała prawa słuchać tego wszystkiego -

ale nie mogła się poruszyć. Wściekłość, którą słyszała w jego głosie, przybiła ją do ziemi niczym włócznia.

We wnętrzu szopy rozległ się potężny metaliczny dźwięk. Drzwi zadrżały. Harper czekała bezradnie na to, co się wydarzy, modląc się w duchu, żeby strażak nie wyszedł i jej nie zobaczył.

Na szczęście jej modlitwy zostały wysłuchane i zaraz potem wszystko ucichło. Dym jak gdyby nigdy nic unosił się z komina i zniknął w mglistym powietrzu. Wiatr szarpał kępami szorstkich traw.

Harper czekała, nasłuchując, aż uświadomiła sobie, że trzęsie się z zimna. Upuściła sznur, którym próbowała związać ręce, a gwałtowny podmuch wiatru chwycił go, poderwał z ziemi i cisnął do morza. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła rękami. Kamień w kształcie dziecięcej czaszki boleśnie uwierał ją w biodro, więc wyciągnęła go z kieszeni i położyła na skraju pomostu.

Zbyt blisko krawędzi. Kamień stoczył się do morza; woda plusnęła i zamknęła się nad nim łapczywie.

Dźwięk był tak miły dla ucha, że Harper wyjęła pozostałe kamienie i jeden po drugim wrzucała je do wody, tylko po to, żeby jeszcze raz usłyszeć rozkoszny plusk.

Norma Heald mówiła, że na zewnątrz są duchy, widziadła utkane z dymu. Może John krzyczał na jedno z nich. Może krzyczał na cienie. A może na siebie.

Duchy przynosiły wieści z zaświatów, ale nie były chyba dobrymi słuchaczami. W głosie Johna słychać było ból i udrękę, i Harper pomyślała, że ktoś powinien go wysłuchać. Jeśli nie duchy, to przynajmniej ona.

Poza tym Jakob zawsze uważał, że wie lepiej, co jest dla niej dobre, i jeśli Harper się zabije, będzie tak, jakby przyznała mu rację. Już samo to wystarczyło, żeby się rozmyśliła. Rozbudzona rzeźkością poranka, była już mniej wyrozumiała w kwestii broni.

Nikt nie słyszał, kiedy wróciła do podziemi kaplicy. Jej koce pachniały dymem z ogniska, ale były ciepłe i mięciutkie, zasnęła więc niemal od razu... spokojnym snem bez koszmarów.

W noc pierwszej loterii, która miała zdecydować o tym, kto będzie jadł, a kto nie, Harper zgłosiła się do pomocy w kuchni. Norma znalazła dla niej miejsce tuż za okienkiem do wydawania posiłków, przy składanym stoliku z termosami, kubkami i dużą, prostokątną puszką cukru.

- Będiesz słodziła kawę pechowcom. Jedna łyżeczka dla każdego, nie więcej. I niech widzą twój brzuch, żeby wiedzieli, dla kogo poświęcają swój lunch; pokaż im swój małeńki, słodki cud - przykazała jej.

Słowa Normy nie sprawiły, że Harper poczuła się lepiej. Wręcz przeciwnie: poczuła się gruba, uprzywilejowana i samotna. Choć przecież wcale nie była gruba. Fakt, nie dopinała już spodni na ostatni guzik - co skutecznie ukrywała przed światem, nosząc luźne bluzy z kapturem - ale kiedy przechodziła przez salę, naczynia nie podskakiwały na stolikach.

Na lunch podano wodnistą owsiankę z kawałkami brzoskwiń z puszek. Tego dnia losy rozdawał Nelson Heinrich ubrany w jeden ze swoich bożonarodzeniowych swetrów z ciemnozielonej wełny, z ludzikiem z piernika tańczącym mu na piersi. Włożył też czapkę Świętego Mikołaja, co zdaniem Harper stanowiło niesmaczny dodatek; jakby rozdawał cukierki, a nie odbierał ludziom jedzenie.

Losy wrzucono do brązowej damskiej torebki, oznaczając te pechowe czarnym znakiem X. Harper pomyślała, że torebka jest karmicznym przeciwieństwem Tiary Przydziału, bo zamiast trafiać do Slytherinu czy Gryffindoru, człowiek dowiadywał się, że cały dzień będzie chodził głodny o kubku słodzonej kawy. Jakby tego było mało, nie mógł zostać z innymi w stołówce.

„Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - stwierdził Ben Patchett. - Jeśli ci pechowcy tu zostaną, ludzie zaczną im współczuć i będą chcieli dzielić się z nimi jedzeniem. W innych okolicznościach sam chętnie bym się z nimi podzielił, ale w tym wypadku zaszkodziłoby to całej idei

loterii. Jest tak niewiele do podziału. Jeśli ludzie zaczną rozdzielać porcje między innych, dojdzie do tego, że wszyscy będziemy chodzić głodni”.

Powiedział też, że w torebce znajduje się dwadzieścia dziewięć pechowych losów. Postanowił, że sam weźmie trzydziesty, żeby udowodnić mieszkańcom obozu, że nie prosi ich o nic, czego sam nie byłby w stanie się podjąć.

O drugiej w nocy - w porze lunchu - Norma odryglowała drzwi do stołówki i odsunęła się na bok, kiedy ludzie zaczęli wlewać się do środka z czapkami i ramionami przyprószonymi śniegiem. Znowu sypało - miękkie płatki spadały z nieba niczym puch.

Na czele kolejki stał Don Lewiston, który różnym krokiem podszedł do Nelsona Heinricha. Widząc go, Nelson zamrugał zaskoczony.

- Don, masz już swoje lata! Nie musisz ciągnąć losów! Ja nie ciągnąłem, a mam zaledwie sześćdziesiątkę! Idź i zjedz brzoskwinie. Ja swoje już zjadłem. Chryste, ależ były pyszne!

Dzięki, Nelson, ale wezmę udział w losowaniu jak każdy inny. Niespecjalnie lubię jeść, a poza tym wolałbym się napić porządnej kawy z cukrem.

Zamierzał sięgnąć do torebki, kiedy tuż obok jak spod ziemi wyrosła Allie i chwyciła go za nadgarstek.

- Proszę zaczekać, panie Lewiston. Mamy tu czujki, które całą noc spędziły na mrozie, zamiatając deski między budynkami. Ojciec Storey powiedział, że byłoby dobrze, gdyby to oni losowali jako pierwsi.

Spojrzała przez ramię i machnięciem dłoni przywołała nastolatków, którzy zaczęli przepychać się na początek.

- Hej, co to za wpychanie się w kolejkę?! - krzyknął ktoś. -Každy tu liczy na to, że wrzuci coś na ząb.

Allie zignorowała mężczyznę. Podobnie jak Michael i idące za nim dzieciaki. Michael powitał Dona Lewistona skinieniem głowy, zanurzył rękę w torebce i wyciągnął biały kamyk wielkości jaja rudzika.

- Ha! - rzucił. - Patrzcie tylko. Chyba trafił mi się pechowy los!

Wrzucił kamyk do ust i minawszy stojących w kolejce ludzi, podszedł do stanowiska z kawą. Tam w milczeniu napełnił kubek i wyciągnął go w stronę Harper, czekając na obiecany przydział cukru.

Nelson Heinrich rozdziawił usta i patrzył za nim bezmyślnym

wzrokiem. Zajrzał do torby, próbując ustalić, skąd wziął się ów biały kamyk.

Allie zaczęła pogwizdywać radosną melodię.

Następna losowała Gillian Neighbors. Ona również wyciągnęła z torby kamyk.

- Ależ ze mnie szczęściara! - pisnęła radośnie i wrzuciła go do ust. Podeszła do Harper, naląła sobie kawy i cierpliwie czekała na cukier.

Za nią w kolejce do losowania stała jej siostra bliźniaczka, Gail. Harper dostrzegła kamyk w dłoni dziewczyny, jeszcze zanim ta zanurzyła dłoń w torbie.

Miała ochotę parsknąć śmiechem. Nagrodzić te dzieciaki brawami. Czowała się jak wypełniony helem balon - tak lekka, jakby miała zaraz oderwać się od podłogi i poszybować pod sufit. Ogarnęła ją nagła, promienna radość, której nie czuła, odkąd odkryła, że jest chora.

Chciała uściskać te dzieciaki, te czujki, przyjaciół Allie, i przytulić je. Nie tylko z powodu tego, co robiły: odpuszczały sobie loterię, zgłaszały się na ochotników i rezygnowały z lunchu po to, żeby inni mieli co jeść. Chodziło też o piosenkę, którą gwizdała Allie; Harper rozpoznała tę melodię już po trzech taktach: tak słodką że w każdej chwili mogła złamać ją na pół; tak jak niektóre dźwięki mają moc tłuczenia szkła.

Allie pogwizdywała *A Spoonful of Sugay*⁷, piosenkę z jej ukochanego filmu.

Gail Neighbors również wylosowała biały kamyk i cmokając, podeszła do stolika z kawą. Wszystkie dzieciaki robiły to samo. Wszystkie nastoletnie dziewczyny, które ogoliły głowy, żeby wyglądać jak Allie, i wszyscy nastoletni chłopcy, którzy zapisali się do czujek, żeby być blisko niej.

Don Lewiston zsunął na tył głowy swoją czapkę rybacką z daszkiem i drapiąc się kciukiem w czoło, sam zaczął pogwizdywać. Za każdym razem, gdy kolejna czujka wyciągała biały kamyk i rezygnowała z lunchu, kiwał głową z uznaniem.

Ojciec Storey też pogwizdywał. Harper nie widziała, żeby wchodził do stołówki, ale był tam, stał przy drzwiach i uśmiechał się od ucha do ucha, starając się powstrzymać łzy. Obok, z głową opartą na jego ramieniu, stała Carol. Ona również pogwizdywała, a jej oczy

przypominały dwie złote monety. Prawie dwanaście osób gwizdało tę samą piosenkę - melodię tak słodką jak pierwsze, pachnące tchnienie wiosny. Ich oczy świeciły niczym lampy, rozświetlając twarze od wewnątrz. Płoneły pieśnią, Światłością.

Gail Neighbors wyciągnęła kubek w oczekiwaniu na cukier.

- *Tylko łyżeczka cukru* - zaśpiewała Harper, wsypawszy do kawy łyżeczkę białych kryształków. Głos drżał jej z emocji - *Pomaga przelknąć lekarstwo, pomaga przelknąć lekarstwo...*

Śpiewając, zapomniała, że jest w ciąży, że jest gruba, samotna, a jej ciało pokrywa łatwopalna narośl gotowa w każdej chwili stanąć w płomieniach. Śpiewając, zapomniała o okropnej książce Jakoba i jego strasznej broni. Zapomniała, że cały świat płonie.

Ukłucie gorąca wystrzeliło z podstawy jej kręgosłupa i rozlało się po wstążkach smoczej łuski przyjemną, przygotowującą o dreszcze falą. Harper zakołysała się na piętach, nawet o tym nie wiedząc. Świat zyskał zupełnie nowe, płynne właściwości. Miała świadomość falowania krwi, jakby dryfowała w basenie ciepła i światła, jakby sama była embrionem, a nie kobietą, która spodziewa się dziecka.

Kiedy sypała kolejną łyżeczkę cukru, błyszczące ziarenka wpadały do kubka w zwolnionym tempie, jak kaskady miniaturowych klejnotów. Srebrzystobiała jasność spływała po spiralach smoczej łuski wokół jej nadgarstków i szyi. Była nagrzanym od słońca latawcem niesionym nie wiatrem, lecz piosenką. Jej skóra płonęła - nie czuła jednak bólu, tylko nagły przypływ rozkoszy. Jej rękę oblekła świetlista rękawica.

Kolejni młodzi ludzie podchodzili, kiwali głowami, brali kawę albo herbatę i odchodzili. Oni również świecili, błyszczeli niczym duchy. Cieszyła się ich szczęściem i kochała każdego z nich, choć ich nie rozpoznawała. Nie pamiętała niczego, co wydarzyło się przed piosenką. Melodia - na całym świecie tylko ona się liczyła. Żadna łyżeczka cukru, bez względu na to, jak słodkiego, nie mogła się równać z płynną słodyczą, która w tamtej chwili krążyła w jej żyłach.

Ojciec Storey jako ostatni odebrał swoją kawę. Jak można było się spodziewać, on również wylosował kamyk. Nie włożył go jednak do ust, lecz trzymał w dłoni.

- A oto panna Willowes! - zawołał. - W końcu szczęśliwa. Szczęśliwa i piękna!

- Panna... Willowes? - spytała powolnym, rozmarzonym głosem, jak spadające z łyżeczki kryształki cukru. - Kim jest panna Willowes?
- Niedługo sobie przypomnisz - obiecał.

I rzeczywiście tak się stało. Jej imię powróciło do niej tuż przed świtem, zaraz po tym, jak przestała próbować je sobie przypomnieć. Podświadomość wypluła je bez ostrzeżenia, tak jak czasem wypluwała dawno zapomniany numer telefonu albo hasło krzyżówkowe, które od dłuższego czasu nie dawało jej spokoju.

Nie obudził jej zapach dymu. Koszulka nie zajęła się ogniem. Następnego dnia w kaplicy Carol usiadła przy organach, żeby zagrać *Spirit in the Sky*, a zgromadzeni powstali z ławek, żeby zaśpiewać. Ryczeli i tupali jak żeglarze z powieści Melville'a, pijani rumem i straszący swoim śpiewem mewy, a Harper śpiewała razem z nimi, krzycząc tak głośno, że rozboleła ją gardło.

I lśnili, wszyscy, ona również. Jej oczy świeciły jak lampy, skóra pulsowała rozkosznym ciepłem, a myśli szybowały wysoko w górze jak pustułka wznosząca się na letnim prądzie wstępującym, i przez kilka tygodni wszystko było niemal idealne.

Księga trzecia

Mowa diabła

STYCZEŃ

1

Drugiego stycznia nie obudził jej koszmar, ale dziwne uczucie: jakby coś poruszało się w jej wnętrzu, napierając na mięśnie brzucha.

Wpatrując się w ciemność, leżała rozbudzona, z rękami na napiętej skórze brzucha.

Pod palcami prawej ręki czuła kościste wybrzuszenie wielkości kciuka.

- Hej, ty - szepnęła.

2

Tej nocy, kiedy zginął medalion, Renee i Harper słuchały Marlboro Mana na zasilanym bateriami radiu.

- Nie wiem, jak możecie słuchać tego człowieka. - Przechodząca obok Norma Heald zatrzymała się, żeby przysłuchać się audycji. - Każde jego słowo to trucizna, którą sączy wam do uszu.

- Z lokalnych wiadomości został właściwie tylko on -odparła Renee.

- Co więcej - dodała Harper - jesteśmy wstrętne i podnieca nas jego wstrętny charakter. Im gorszy, tym lepszy.

- Tak - poparła ją Renee. - To też.

Harper przykładła usta do skrawków papieru pergaminowego, wypróbując różne odcienie szminek. Po każdym pocałunku wycierała wargi i nakładała kolejną pomadkę. Renee zebrała różne szminki od mieszkanek piwnicy.

Kiedy któryś z kolorów spodobał się Harper, wręczała Renee odciśnięty na papierze pocałunek, a ta owijała go wokół laski cynamonu albo pachnącego kawałka suszonej skórki cytrynowej, wrzucała do małej szklanej buteleczki i ją korkowała. Były to kryzysowe pocałunki, którymi Harper wypełniała *Podręczną mamę*. Chciała mieć pewność, że kiedy jej syn będzie potrzebował pocałunku, będzie miał z czego wybierać.

Nick siedział u jej stóp, grając przeciwko sobie w yahtzee. We wnętrzu plastikowego kubka grzechotały kości. W zatłoczonej piwnicy słychać było rozmowy, kłótnie, śmiech i skrzypienie metalowych sprężyn. Ludzie siedzieli w zamknięciu, podczas gdy na zewnątrz obficie sypał śnieg.

Z radia płynął głos Marlboro Mana:

- Myślicie, że dziewczyna ze smoczą łuską potrafi puszczać kółka swoją piczką? Chryste, zawsze się nad tym zastanawiałem. Cóż, w tym tygodniu Marlboro Man postanowił wyskoczyć do Portsmouth w towarzystwie Palaczy z Wybrzeża i miał okazję przekonać się o tym osobiście. Opowiem wam wszystko za chwilę, ale najpierw wieści z

Concord. Gubernator Ian Judd-Skiller uznał, że członkowie Gwardii Narodowej działali w obronie własnej, kiedy wczoraj na granicy z Kanadą zastrzelili dwunastu palników. Oszalały tłum natarł na barykady uzbrojony w kije... nie białe flagi, jak donoszą inne raporty... tak więc oblegani żołnierze otworzyli ogień, żeby rozpedzić...

- To morderca. - Norma pociągnęła nosem. - Ten wasz DJ. Zabija ludzi takich jak my. I chwali się tym. To cykuta, oto czym jest.

- Tak - przyznała Renee. - Jest wyjątkowo głupi. Ale to kolejny powód, dla którego warto go słuchać. Im więcej wiemy o nim, tym mniej prawdopodobne, że on kiedykolwiek dowie się o nas. Ludzie dzwonią ze wskazówkami, a ten koleś puszcza ich na żywo. Jeśli ktokolwiek wspomni o obozie Wyndham, będziemy mieli przewagę. Zresztą dzięki jego audycji dowiedziałam się mnóstwo rzeczy o Szwadronach Kremacyjnych, z którymi trzyma. Wiem na przykład, że składają się z ośmiu mężczyzn i kobiet, wśród których dwoje to byli żołnierze odpowiedzialni za dostawy broni ciężkiej... pięćdziesięciokalibrowej. Jak na mój gust to całkiem spora broń. Wiem, że jeżdżą dwoma pojazdami, vanem i dużą pomarańczową ciężarówką. Wiem też, że mają nadajnik policyjny, a organy ochrony porządku publicznego chętnie...

- Pomarańczową ciężarówką? - powtórzyła Harper. - Taką jakimi jeżdżą służby miejskie?

- Nie, NIE! - usłyszały krzyk Allie dobiegający z drugiego końca piwnicy. Zaraz potem dziewczyna ze złością przewróciła łóżko polowe.

Teraz już wszyscy patrzyli w jej stronę, oprócz Nicka, który nic nie słyszał.

Allie odwróciła do góry dnem poobijaną walizkę, wyrzucając na podłogę brudne ubrania.

- Kurwa! - wrzasnęła. - Kurwa! Kurwa *kurwa* kurwa *kurwa* KURWA!

Rozmowy ucichły jak nożem uciał. Jedenastoletnia Emily Waterman, dziewczynka, która przeżyła całą swoją rodzinę i której smocza łuska namalowała na piegowatych ramionach urocze pióra, schowała się pod łóżkiem i zakryła uszy rękami.

Renee poderwała się jako pierwsza; jej okrągła, serdeczna twarz emanowała spokojem. Harper ruszyła tuż za nią.

Podchodząc do Allie, Renee zwolniła kroku i zrobiła się czujna, jak ktoś, kto próbuje oswoić dzikiego kota. Harper uklękła i zajrzała pod łóżko Emily Waterman.

- Emily? Wszystko w porządku? - spytała, wyciągając do niej rękę. - Allie to maruda - dodała szeptem.

Ale Emily pokręciła głową i uchyliła się przed jej dotykiem. Harper żałowała, że nie ma przy sobie pudełka na lunch z podobizną Mary Poppins pełnego minibatonów, wśród których zawsze tkwiła zbląkana rzodkiewka.

- Allie, co się stało? - spytała Renee.

- Nie ma go; nie ma go, kurwa...

- Co zniknęło? Co zgubiłaś?

Niczego nie zgubiłam. Mój medalion był pod poduszką, a teraz go nie ma, bo jedna z was, suki, ukradła go - wycodziła przez zaciśnięte zęby i wściekłym wzrokiem rozejrzała się po piwnicy.

Emily pisnęła przerażona i odwróciła głowę od wyciągniętej ręki Harper. Ta zastanawiała się, czy siłą nie wyciągnąć jej spod łóżka, ale uznała, że to jeszcze bardziej przestraszy dziewczynkę, więc pogłaskała ją po plecach.

- Allie - powiedziała ze spokojem Renee. - Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale musisz mówić ciszej...

- Gównno muszę.

- ...bo straszysz dzieci. Może zapytaj Nicka...

- Pytałam go piętnaście minut temu, zanim zaczęłam szukać.

Z nogawki workowatych ogrodniczek Emily wyleciała cieniutka smużka bladego dymu.

- Allie! - zawołała Harper. - Przestań. Przez ciebie Emily zaczyna kopcić.

- Proszę, Allie. - Renee położyła rękę na ramieniu dziewczyny. - Wszyscy wiele przeszliśmy. Nie byłabyś człowiekiem, gdybyś od czasu do czasu nie miała ochoty pokrzyknąć. Ale jeśli usiądziesz ze mną...

- Przestanieś mnie dotykać?! - wrzasnęła Allie, odpychając jej rękę. - Nic o mnie nie wiesz. Nie jesteś moją matką. Moja matka spłonęła. Jesteś dla mnie nikim. Nie jesteś ani moją matką, ani przyjaciółką. Jesteś jak sęp, który krąży po niebie, szukając kogoś, na kim mógłby zerować. Dlatego w wolnym czasie czytasz dzieciakom. Uwielbiasz ich

małe, zranione serduszka. Karmisz się ich samotnością jak wampir. Kochasz dzieciaki, które nie mają rodziców, bo one kogoś potrzebują. Czytasz im historyjki i czujesz się wyjątkowa. Ale nie jesteś wyjątkowa. Więc przestań na nas zerować.

W piwnicy zapadła pełna osłupienia cisza.

Harper chciała coś powiedzieć, ale zaniemówiła. Nie wiedziała, czy z przerażenia - do głowy jej nie przyszło, że Allie, czarująca, mądra, piękna i zabawna Allie, może być tak okrutna - czy z obezwładniającego poczucia *deja vu*. Bo kiedy Allie twierdziła, że altruizm to w rzeczywistości egoizm, a życzliwość jest formą manipulacji, brzmiała zupełnie jak Jakob. Jej logika była równie pokrętna jak logika Jakoba. Sprawiała że człowiek czuł się naiwny i dziecinny, bo uwierzył przez chwilę, że na świecie istnieje coś takiego jak dobro.

Renee zasłoniła ręką twarz, jakby spodziewała się, że zostanie uderzona. Przyglądała się Allie z niemą, pełną smutku fascynacją.

Piwnica wciąż czekała na jej odpowiedź, na słowa, którymi obroni się przed atakiem nastolatki, kiedy Nick poderwał się z podłogi, pobiegł na drugi koniec sali i stanął między siostrą i Renee. W dłoni trzymał karteczkę z wynikami, na której napisał:

DWA YAHTZEE Z RZĘDU!!

Allie gapiła się na wiadomość z obojętnym niezrozumieniem. Chwilę później szarpnięciem wydarła mu papier z ręki. zmięła go w kulkę i cisnęła Nickowi w twarz. Papierowy pocisk odbił się od czoła chłopca i spadł na podłogę.

Nick zatoczył się w tył, jakby ktoś go odepchnął, a jego łokieć wbił się w pierś Renee. Harper nigdy dotąd nie widziała twarzy, która wyrażała tak wielki ból.

Chłopiec uciekł. Zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, rzucił się do wyjścia. Na chwilę zawahał się u podnóża schodów, ostatni raz obejrzał się na siostrę i rzucił jej pełne pogardy spojrzenie. Może dar nienawiści był u nich rodzinny, tak jak delikatne, niemal elfie rysy.

Harper zawołała go, prosząc, żeby zaczekał, on jednak nie mógł jej usłyszeć. Zerwała się na równe nogi gotowa za nim pobiec, lecz

chłopak był już na szczycie schodów, pchnięciem otworzył drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Rzuciła Allie poirytowane spojrzenie.

- No co? Co? Chcesz coś powiedzieć, siostró Niki?

- Tak - odparła Harper, wyzwalając w sobie Julie Andrews. - To było kiepskie, Allie. Bardzo kiepskie. On też stracił matkę i ma tylko ciebie. Wstydź się. Po tym, jak wyrzucił dwa jahtzee!

Reakcja Allie kompletnie ją zaskoczyła. Jej twarz zapadła się i dziewczyna zaczęła szlochać. Klapnęła na podłogę, opierając się plecami o sprężyny przewróconego łóżka.

Ten nagły pokaz słabości sprawił, że bliźniaczki Neighbors, Jamie Close i pozostałe członkinie nieoficjalnego fanklubu Allie - osierocone dziewczyny, które podobnie jak ona goliły głowy - stłoczyły się wokół niej. Nawet Emily Waterman wypełzła spod łóżka, podbiegła do Allie i zarzuciła jej ręce na szyję. Ujęły dłonie Allie i otoczyły ją wianuszkami, szepcząc słowa pocieszenia i trzęsąc się nad nią. Gail Neighbors zaczęła w milczeniu zbierać jej rzeczy. Gdyby w tej chwili ktoś wszedł do piwnicy, pomyślałby, że to Allie została upokorzona i padła ofiarą przemocy, a nie Renee czy Nick.

Harper wróciła do swojego łóżka. Renee przycupnęła na pryczy obok. Rezygnacja i zmęczenie na twarzy Murzynki były odzwierciedleniem tego, co czuła Harper.

- Może któraś z nas powinna pójść za Nickiem? - spytała beznamiętnie Renee.

- Nie sądzę. W tej śnieżycy i tak daleko nie zajdzie. Czujki podniosą alarm, jeśli choćby zejdzie z desek ułożonych między budynkami. W końcu ktoś przyprowadzi go z powrotem.

Marlboro Man paplał dalej; tym razem mówił coś o kobiecie, która płonąca, cuchnęła jak mokry kot. Wydawał się oburzony, że nie miała tyle przyzwoitości, żeby w chwili śmierci pachnieć jak należy. Słuchając go, Harper pomyślała, że w porównaniu z tym, co nadają w radiu, koniec świata wcale nie jest taki zły.

- Dłużej tego nie zniosę - warknęła Renee. Harper była przekonana, że ma na myśli życie w obozie, ona jednak mówiła o DJ-u. Jakby na potwierdzenie swoich słów, Murzynka zmieniła częstotliwość i poirytowana zaczęła szukać innej stacji.

- Co robisz? - spytała Harper. - Dlaczego wszyscy w obozie zawsze słuchają tego szumu? Kogo nasłuchujecie?
- Marthy Quinn - odparła Renee.
- Marthy Quinn? Tej samej Marthy Quinn, która wieki temu pracowała dla MTV?
- Jest gdzieś... tam.
- Bzdury - bąknęła Norma Heald. - To wszystko bzdury. Mrzonki. Renee nie zwracała na nią uwagi.
- Wiesz, co mówią dzieciaki? - spytała.
- Nie mam pojęcia, co mówią dzieciaki. Może mnie oświecisz?
- Mówią, że wróciła z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, żeby ocalić ludzkość. Martha Quinn jest naszą jedyną nadzieją.

3

- Sama nigdy jej nie słyszałam, ale podobno nadaje gdzieś z wybrzeża Maine. - Renee wcisnęła się w obszerną pomarańczową parkę.

Kobiety tłoczyły się u podstawy schodów, wyciągając z kartonowych pudeł kurtki i czapki. Chcąc dotrzeć do stołówki, musiały przejść sto metrów w śniegu i zawodzącym za drzwiami wietrze.

- Z łodzi?

- Z wyspy. Mają tam małe miasteczko i własne laboratorium badawcze wspierane przez rząd. A przynajmniej przez to, co z niego zostało. Testują leki eksperymentalne.

Jamie Close uśmiechnęła się od ucha do ucha, prezentując wystające zęby z brakującymi dwoma dolnymi siekaczami.

- Mają tam serum, które podają w osiemnastu zastrzykach. Jak na wściekliznę. Podobno powstrzymuje smoczą łuskę, ale musisz przyjmować zastrzyki codziennie. Pochylić się, ściągnąć gacie i zagryźć zęby, bo pakują ci to cholerstwo prosto w tyłek. Ja tam dziękuję za takie przyjemności. Gdybym chciała, żeby ktoś codziennie wkładał mi coś w tyłek tak, żeby bolało, uśmiechnęłabym się do wujka.

Harper obwiązała szalikiem dolną część twarzy, dzięki czemu czuła, że nie musi odpowiadać, i wmieszała się w tłum kobiet, które pokonawszy schody, wychodziły w mrok i wyjący wichur.

- Nie jest tak źle - mruknęła Gail Neighbors. W każdym razie Harper myślała, że to ona. I tak niełatwo było odróżnić bliźniaczki, a ta miała czapkę naciągniętą na oczy i postawiony kołnierz, więc Harper praktycznie nie widziała jej twarzy. - Wygląda na to, że robią kawał dobrej roboty z medyczną marihuaną. Każdy dostaje swój przydział, siedem skretów na tydzień. Rządowa marycha: czysta i łagodna.

- No i można legalnie kupować alkohol od szesnastego roku życia - dodała ta, która zdaniem Harper była Gillian. Dopiero po chwili skojarzyła, że zaraz po Święcie Dziękczynienia bliźniaczki skończyły szesnaście lat.

Napierający od tyłu tłum wypchnął ją za drzwi, prosto w noc, gdzie leżące obok siebie deski tworzyły ginącą w ciemności prowizoryczną ścieżkę. Przy gwałtownym podmuchu słonego wiatru zatoczyła się do tyłu. Czowała się mniej pewnie na nogach niż jeszcze kilka miesięcy temu. Środek ciężkości w jej ciele się zmieniał. Oparła się o głaz przykryty białą puchową czapą.

Minęły ją bliźniaczki. Tuż za nimi biegła w podskokach Emily Waterman. Harper słyszała, jak mówi:

- W piątki mają lody! Domowej roboty! W trzech smakach: truskawkowym, waniliowym i chyba kawowym. Ja najbardziej lubię kawowe.

- Codziennie lody! - rozmarzyła się jedna z bliźniaczek.

- Lody na śniadanie! - rzuciła druga.

Chwilę później już ich nie było.

Allie podtrzymała Harper za łokieć i pomogła jej stanąć prosto.

- Myślisz, że Nick pobiegł do stołówki? - spytała niskim, przygnębionym głosem. Odkąd wybiegł z piwnicy, nikt go nie widział.

- Nie wiem - odparła Harper. - Pewnie tak.

- Sądzisz, że Renee jeszcze kiedyś się do mnie odezwie?

- Wydaje mi się, że poczujesz się lepiej, jeśli ją przeprosisz.

- Don Lewiston wie, gdzie to jest.

- Gdzie co jest?

- Ta wyspa. Wyspa Marthy Quinn. Przynajmniej tak mu się wydaje. Kiedyś pokazał mi ją na mapie. Mówi, że to prawdopodobnie wyspa Free Wolf niedaleko Machias.

- To znaczy, że słyszał, jak nadają?

- Nie.

- A ty?

- Też nie.

- Czy ktokolwiek w ogóle słyszał Marthę Quinn?

- Nie - odparła Carol Storey, zanim Allie zdążyła odpowiedzieć.

Dotarły do skrzyżowania, tuż za Parkiem Pamięci, w miejscu, gdzie biegnąca od strony kaplicy ścieżka łączyła się z wyłożonymi deskami drózkami, które niczym drewniane palce wyciągały się w stronę lasu. Carol zmaterializowała się nagle wśród zacinającego śniegu; tuż za nią stał jej ojciec. Prowadził go, jakby był dzieckiem, trzymając za dłoń w

rękawicy.

- Popytaj w obozie - poradziła. - Każdy powie, że słyszał ją ktoś inny. Ale jeśli żyją w przekonaniu, że gdzieś tam jest bezpieczna przystań, to co w tym złego? Ja sama od czasu do czasu przesłuchuję pasma. Ale coś wam powiem. Nawet jeśli rzeczywiście gdzieś tam jest, Martha Quinn nie ma tego, czego potrzebujemy. Wszystko, czego nam trzeba, jest tutaj, w tym obozie.

Harper weszła do stołówki; mokre białe grudki śniegu odpadały od jej butów. Ojciec Storey otrzepał kurtkę, tworząc nad podłogą miniaturową śnieżycę. Szukała wzrokiem Nicka, ale chłopiec jakby zapadł się pod ziemię.

Wzięli tace i ustawili się w kolejce.

- Moja córka przesadza - skwitował, kiedy Carol przesunęła nieco do przodu, na tyle daleko, by nie słyszeć jego słów. - Mnie tam zawsze podobała się Martha Quinn w tych swoich kolorowych kamizelkach i wąskich krawatach. Jest coś pociągającego w kobietach pod krawatem. Człowiek ma ochotę chwycić go i przyciągnąć taką do siebie. - Mówiąc to, puścił oko. Norma Heald nałożyła mu na talerz chochlę ravioli w sosie o konsystencji błota. - Wygląda smakowicie, Normo. To twój przepis?

- Szefa Boyardee⁸ - odparła.

- Cudownie! - wykrzyknął bez entuzjazmu i powłókł się po krakersy Ritz.

Patrząc za nim, Norma przewróciła oczami, a zaraz potem spojrzała na Harper. Nabrała kolejną porcję ravioli, ale zamiast nałożyć ją Harper na talerz, oskarżycielsko wymierzyła w nią chochlą.

- Pamiętam ją z telewizji. Marthę Quinn. Uczyła małe dziewczynki ubierać się jak dziwki. Ona, Madonna i ta trzecia, z włosami jak wata cukrowa, Cyndi Lauper. To przez takie jak ona świat stanął w ogniu. Człowiek zadaje sobie pytanie, czy Bóg pozwoliłby takiej kobiecie żyć i przemawiać w Jego imieniu. Zajrzyj w głąb swojego serca. Dobrze wiesz, że to nieprawda. Nie ma żadnej Marthy Quinn, tak jak nie ma Madonny i wszystkich tych lichwiarzy z Żydojorku, którzy dorobili się na tym, że zmieniali małe dziewczynki w prostytutki. Obie dobrze o tym wiemy.

Ravioli wylądowało na talerzu Harper z głośnym plaśnięciem.

- Szczerze, Normo? Nie sądzę, żeby Bóg żywił urazę do Żydów z Nowego Jorku czy innych miast - odparła Harper. -Zważywszy na to, że nazwał ich narodem wybranym, to dość mało prawdopodobne. Widziałaś Nicka? Przyszedł na obiad?

Norma obrzuciła ją szklistym, wrogim spojrzeniem.

- Nie widziałam go. Czemu nie wyjdiesz na dwór i go nie zawołasz?

- Bo jest głuchy - przypomniała jej Harper.

Niech to cię nie powstrzyma - warknęła rozeźlona kobieta.

4

Michael przyprowadził Nicka kilka minut przed świtem. Chłopiec był przemoknięty i trząsł się z zimna. Włosy miał splątane, oczy zapadnięte. Harper pomyślała, że wygląda jak dzikie zwierzę, jak gdyby wychowywał się wśród wilków.

Minął łóżko Allie, zerkając kątem oka na śpiącą siostrę, i podszedł prosto do Harper. *NIE CHCĘ Z NIĄ SPAĆ*, napisał na kartce papieru. *MOGĘ SPAĆ TUTAJ?*

NAUCZ MNIE, JAK POKAZAĆ W JĘZYKU MIGOWYM „CZAS SPAĆ”, I UMOWA STOI, odpisała.

Tak oto Nick Storey przeniósł się z łóżka Allie do Harper i zaczął ją uczyć języka migowego; ustalili, że co wieczór będą poznawać jedno nowe słowo lub zwrot. Harper była dobrą uczennicą, lubiła się uczyć i cieszyła się, że w końcu może się na czymś skupić.

Ale może była zbyt skupiona, bo kiedy ktoś ukradł Podręczną mamę, nawet o tym nie wiedziała, dopóki Renee Gilmonton nie spytała, co się stało z książeczką.

5

Harper nigdy wcześniej nie widziała strażaka w kaplicy - nikt go tam nie widział - była więc zaskoczona, gdy pojawił się dzień po tym, jak ktoś ukradł *Podręczną mamę*. Nie wszedł do środka, stał w krytym przedsionku, przed wejściem do nawy głównej. Jego obecność potęgowała tylko uczucie ogólnego zniecierpliwienia, które narastało przez całą noc. Krążyły pogłoski, że ojciec Storey ma zamiar wydać oświadczenie w sprawie kradzieży w sypialni kobiet i że chce coś z tym zrobić.

- Myślę, że powinniśmy wygonić stąd tę sukę - oświadczyła Allie przy śniadaniu. - Dowiedzieć się, kim jest, i spakować jej manatki. Żadnych przeprosin ani wybaczenia.

- A jeśli złodziejka trafi w ręce Szwadronu Kremacyjnego? Oni nie tylko ją zabiją, ale... zmuszą, żeby opowiedziała im o obozie.

- Niczego im nie powie. Nie zrobi tego, jeśli przedtem wyrwiemy jej język. I połamiemy palce, żeby nie mogła pisać.

- Och, Allie. Chyba nie mówisz poważnie.

W odpowiedzi dziewczyna posłała jej obojętne, pełne spokoju spojrzenie. Jak wszystkie czujki od ponad miesiąca nie jadła lunchu. Rysujące się pod skórą kości policzkowe coraz bardziej upodabniały jej twarz do czaszki.

Harper nie chciała, żeby Ojciec Storey czy ktokolwiek inny przejmował się tym, co straciła. Każdy tu coś stracił: dom, rodzinę, nadzieję. W porównaniu z tym *Podręczna mama* wydawała się błahą stratą.

Co nie znaczyło, że była kompletnie bez znaczenia. Do rzeczy, które Harper chciała podarować swojemu dziecku, wciąż dołączały kolejne przedmioty. Był wśród nich drewniany miecz z oplecioną sznurkiem rękojeścią, gdyby jej syn musiał nauczyć się władać mieczem. Miniodtwarzacz audio, na który nagrała kołysanki, opowieści na dobranoc i kilka wierszy. Parasol na deszczowe dni i bambosze na dni leniwe. I przede wszystkim zeszyt pełen istotnych faktów (*twój dziadek*

- a mój tata - przez trzydzieści lat pracował dla NASA... tworząc najprawdziwsze statki kosmiczne!!), porad (do salatkę możesz wrzucić wszystko: kawałki jabłka, ostre papryczki, orzechy, rodzynki, kurczaka, cokolwiek - i wszystko razem będzie idealnie smakować), wyznań (na całej stronie ani razu nie wspomniałam, że Cię Kocham; dlatego przypominam Ci: Kocham Cię) i mnóstwa wykrzykników (KOCHAM CIĘ!!!).

Inni również mieli swój niewielki wkład. Allie Storey wrzuciła do torby plastikową maskę Iron Mana, twierdząc, że gdy chłopiec wyruszy na tajną misję, będzie potrzebował przebrania. Renee Gilmonton dodała osiemnaście krótkich książek z obozowej biblioteki, jedną na każdy rok życia, zaczynając od The Wheels on the Bus, a kończąc na Myszach i ludziach. Don Lewiston podarował Harper statek w butelce. Carol Storey zaproponowała gogle View-Master z trójwymiarowymi fotografiami zabytkowych miejsc, które zniknęły z powierzchni ziemi. Wieża Eiffla zamieniła się w poczerniałą włócznię, która dźgała zasnuć dymem niebo. Strip w centrum Las Vegas Przypominała wypalone ziemie jałowe. Ale w goglach View-Master kolorowe neony i tryskające fontanny już zawsze Pozostaną nietknięte.

Kiedy ostatni maruderzy weszli do kaplicy, Ojciec Storey wszedł po schodach na podium, wyciągnął z ust kamyk i przemówił:

- Pomyślałem, że dziś wieczorem zmienimy nieco kolejność i przemówię do was, zanim zaczniemy śpiewać i połączymy się w Światłości. Z góry przepraszam. Chociaż uwielbiam wygłaszać przemówienia, moją ulubioną częścią spotkań jest wspólny śpiew. Mam nadzieję, że waszą również. Czasami nachodzi mnie refleksja, że teraz, kiedy połowa świata płonie, to w obliczu takiego ogromu śmierci i bólu jest wyjątkowym grzechem śpiewać i czuć się dobrze. Ale myślę sobie, że nawet przed smoczą łuską życie większości ludzi było pełne niesprawiedliwości, przemocy, smutku, chaosu i poczucia straty. Że życie większości ludzi było i jest za krótkie. Większość z nas przeżywa je boso i z pustym żołądkiem, uciekając przed wojną i głodem, przed zarazą i powodzią. Ale ludzie muszą śpiewać. Nawet dziecko, które nie jadło od kilku dni, przestanie płakać i rozejrzy się, kiedy usłyszy czyjś radosny śpiew. Śpiewanie to jak podanie wody spragnionemu. To dobroć. Dzięki temu łsnimy. Dowód na to, że jesteście ważni, jest w

waszych piosenkach i tym, jak lśnicie dla innych. Inni mogą padać i płonąć... będą upadać i płonąć. Każdy z nas widział to na własne oczy. Tu jednak nikt nie płonie. My lśnimy. Przerazona, odarta z wiary dusza jest idealną podpałką...

- Amen - mruknął ktoś w tłumie.

- ...a samolubstwo jest równie niebezpieczne jak nafta -ciągnął Ojciec Storey. - Jeśli podzielicie się kocem z kimś, komu jest zimno, będzie wam cieplej i nie będziecie sami. Jeśli podacie lekarstwo chorym, ich szczęście będzie waszym lekarstwem. Ktoś prawdopodobnie dużo mądrzejszy ode mnie powiedział kiedyś, że piekło to inni. Moim zdaniem człowiek trafia do piekła, kiedy nie pomaga potrzebującym, bo nie może znieść myśli, że czegoś mu ubędzie. Wiedźcie, że w takich przypadkach tracicie własną duszę. Musicie troszczyć się o siebie, w przeciwnym razie wasze życie będzie jak spacer po rozżarzonych węglach. Przynajmniej ja w to wierzę. A wy?

- Ja też - rzucił Ben Patchett. Inni poszli za jego przykładem. Harper również przytaknęła.

Siedząc w ławce, czuła się mniej więcej tak, jak wówczas, gdy była szaleńczo zakochana w Jakobie. Tym razem jednak nie kochała nikogo szczególnego, ale ich wszystkich, wierzących, którzy zgromadzili się w kościele. Ludzi, którzy towarzyszyli jej w podróży do Światłości. W ciągu ostatnich kilku tygodni zdarzały się chwile, gdy miała wrażenie, że na nowo odkrywa, co znaczy zakochać się po raz pierwszy.

Jakob powtarzał, że wszystkie akty altruizmu to tak naprawdę akty samolubstwa; że robimy dla innych tylko to, co sprawia przyjemność nam. I miał rację, choć pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Uważał, że altruizm jest nic niewart, jeśli dzięki niemu czujemy się szczęśliwi - że tak naprawdę to wcale nie altruizm; tylko że mamy prawo czuć się dobrze, uszczęśliwiając innych. Szczęście, które im dajemy, wraca do nas ze zdwojoną siłą. Wraca i mnoży się jak chleb i ryby. Był to prawdopodobnie jeden z cudów, które nigdy nie zostaną obalone przez naukę. Ostatni religijny cud. Życ pełnią życia to żyć dla innych; życie dla siebie to powolna, zimna śmierć. Cukier jest słodszy, jeśli dasz go spróbować drugiej osobie.

Nie uważała się za osobę religijną, ale w kościele w obozie Wyndham

odkryła, że wszyscy są religijni. Jeśli potrafisz śpiewać, potrafisz też wierzyć i możesz zostać zbawiony.

Wyjątkiem był strażak, który obserwował Ojca Storeya z chłodną obojętnością, wypuszczając ustami kółka dymu. Nie palił papierosa. Dym dobywał się z jego gardła - duże, gęste koła, które przechodziły jedno przez drugie. W pewnym momencie poczuł na sobie spojrzenie Harper i uśmiechnął się do niej. Pozer!

Ojciec Storey zdjął okulary, przetarł je rękawem swetra i założył na nos.

- Ktoś jednak najwyraźniej w to nie wierzy. Mniej więcej dwa miesiące temu ktoś zaczął podbierać rzeczy z kuchni. Nic wielkiego: trochę mleka, mielonka. Nawet nie warto o nich wspominać. Jeśli się dobrze zastanowić, kradzież kilku puszek niedrowego jedzenia można potraktować jako przysługę. Później jednak zaczęły ginąć rzeczy z sypialni dziewcząt. Małej Emily Waterman zginął ulubiony kubek w gwiazdki. Bliźniaczkom Neighbors zwędzono lakier do paznokci. Pięć dni temu ktoś ukradł mojej wnuczce medalion, który trzymała pod poduszką. Nie ma znaczenia, że był złoty, ale w środku znajdowało się zdjęcie mojej córki, jedyna rzecz, jaka pozostała Allie po matce. Jego zniknięcie złamało jej serce. Tymczasem wczoraj złodziej połasił się na prezent, który siostra Willowes przygotowywała dla swojego nienarodzonego dziecka. Domyślam się, że większość z was wie, że mam na myśli tak zwaną *Podręczną mamę*.

Ojciec Storey schował ręce w kieszeniach i zakołysał biodrami. W jego okularach odbijało się światło świec, zmieniając szkła w kręgi czerwonych płomieni.

- Jestem pewien, że ten, kto ukradł przedmioty z sypialni dziewcząt, musi być teraz bardzo zawstydzony i przerażony. Nie ma wśród nas człowieka, który od wybuchu pandemii nie doświadczyłby strasznych rzeczy. W tej sytuacji nietrudno o zachowania impulsywne, takie jak zabieranie czegoś innym bez świadomości, że wyrządza się im krzywdę. Zwracam się do osoby, która ukradła te rzeczy i która siedzi w tym momencie między nami: przyznając się do winy, nie masz się czego obawiać.

- Nie byłabym tego taka pewna - szepnęła Allie, a bliźniaczki Neighbors stłumiły śmiech. Na twarzy Allie nie było jednak cienia

wesołości.

- Potrzeba prawdziwej odwagi, żeby zabrać głos i przyznać się do winy. Ale jeśli powiesz prawdę i zwrócisz skradzione przedmioty, wszyscy, jak tu siedzimy, zaślnimy dla ciebie. W porównaniu z tym radość, którą czujemy, gdy śpiewamy, będzie niczym. Jestem o tym przekonany. Doznanie to będzie słodsze od jakiejkolwiek pieśni, a nasze serca dadzą ci coś znacznie lepszego od rzeczy, które zabrałeś. Podarują ci przebaczenie. Wierzę w tych ludzi i ich dobroć i chcę, żebyś dowiedział się albo dowiedziała o nich tego, co wiem ja. Że będą cię kochali nawet po tym, co się wydarzyło. Wszyscy wiemy, co sprawia, że smocza łuska świeci. Nie muzyka, bo gdyby tak było, mój głuchy wnuk nie świeciłby razem z nami. To harmonia. Harmonia, która panuje między nami. Nikt cię nie zawstydzi ani nie wykluczy poza nawias... - pochylił głowę i patrząc znad okularów, powiódł po twarzach zgromadzonych surowym wzrokiem - ...a jeśli będą chcieli to zrobić, przywołam ich do porządku. W tym miejscu podnosimy głosy, żeby śpiewać, nie po to, by potępiać. Wierzę, że ktokolwiek przywłaszczył sobie te rzeczy, nie mógł nic na to poradzić, tak jak mój wnuk nie poradzi nic na to, że jest głuchy. Uwierz w nas, a obiecuję, że wszystko będzie dobrze. - Zakończył przemówienie cudownym uśmiechem, który chwycił Harper za serce. Był jak dziecko, które Czwartego Lipca spogląda w niebo, wyczekując fajerwerków.

Nikt się nie poruszył.

Gdzieś z tyłu skrzypnęła deska podłogowa. Ktoś odchrząknął.

Płomień stojącej na pulpicie świecy zamigotał.

Harper przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech. Bała się, że nikt się nie odezwie i że rozczarują Ojca Storeya, że zetrą z jego twarzy ten błogi uśmiech. Był ostatnim niewinnym człowiekiem na świecie i nie mogła znieść myśli, że cokolwiek mogłoby to zmienić. Przyszła jej do głowy niedorzeczna myśl, że mogłaby powiedzieć, że to ona ukradła te rzeczy, ale oczywiście nikt by w to nie uwierzył; poza tym nie zrobiła tego, więc nie mogła ich oddać.

Siostry Neighbors chwyciły się za ręce i wymieniły nerwowe spojrzenia. Michael głąskał Allie po plecach, ale dziewczyna strząsnęła jego rękę. Ben Patchett, wyraźnie przygnębiony, wypuścił ze świstem powietrze. Stojąca na scenie Carol Storey otuliła się ramionami, jakby

chciała uchronić się przed zimnem. W całej sali prawdopodobnie tylko Nick nie wyczuwał ogólnego napięcia. Nie potrafił czytać z ruchu warg, a już na pewno nie przy świetle świec i z odległości piętnastu metrów. Rysował nagrobki na ostatniej stronie śpiewnika. Wśród zmarłych byli słynni: I.M. DUNFORE, HARRY PITTS i BARRY D. BODIE. Na jednej z płyt widniał napis: TU ZŁODZIEJ SPOCZYWA, CO SIĘ NIJAK NIE NAZYWA... Więc może jednak Nick miał świadomość tego, co się dzieje.

Kiedy Ojciec Storey podniósł w końcu wzrok, na jego twarzy wciąż gościł ten sam uśmiech. Nawet jeśli czuł się zawiedziony, nie dał tego po sobie poznać.

- Cóż - odezwał się. - Chyba prosiłem o zbyt wiele. Rozumiem, że osoba, która przywłaszczyła sobie te rzeczy, czuje wielką presję. Chciałem tylko, by wiedziała, że wszyscy życzymy jej jak najlepiej. Jesteś jedną z nas. Wszyscy tu śpiewamy jednym głosem. Przedmioty, które zabrałaś, z pewnością są dla ciebie ogromnym brzemieniem i jestem pewien, że chętnie pozbyłabyś się tego ciężaru. Po prostu zostaw je w miejscu, gdzie łatwo będzie je znaleźć, i zostaw mi wiadomość, żebym wiedział, gdzie szukać. Albo porozmawiaj ze mną na osobności. Nie będę cię osądzał i nie zamierzam cię karać. Jaki sens ma kara, skoro wszyscy nosimy na skórze piętno śmierci? Wszyscy zostaliśmy uznani za winnych bycia ludźmi. Są gorsze zbrodnie. - Obejrzał się na Carol i spytał: -Co zaśpiewamy dziś wieczorem, moja droga?

Carol otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ktoś krzyknął:

- A jeśli ten ktoś się nie ujawni?!

Harper rozejrzała się: Allie. Trzęsa się - z wściekłości, a może z nerwów - i zaciskała zęby, przez co wyglądała na zdeterminowaną i nieprzyjazną. Jej reakcja nie była dla Harper żadnym zaskoczeniem. Spośród nich wszystkich tylko Allie nie czuła respektu przed staruszką.

- Jeśli postanowi kraść dalej? - dopytywała.

Ojciec Storey uniósł brew.

- W tej sytuacji będziemy zmuszeni obejść się bez pewnych rzeczy.

- To nie w porządku - odezwała się Gillian Neighbors. Jej głos był

niewiele głośniejszy od szeptu, ale w panującej w kaplicy ciszy wszyscy ją usłyszeli.

Carol podeszła do krawędzi sceny i wbiła wzrok w podłogę. Kiedy podniosła głowę, oczy miała zaczerwienione, jakby płakała albo miała zamiar się rozplakać.

- Nie mam ochoty śpiewać - wyznała. - Mam wrażenie, że dziś utraciliśmy coś ważnego. Coś wyjątkowego. Może wzajemne zaufanie. Allie, moja siostrzenica, nie chce przebywać w towarzystwie innych dziewcząt, wiedząc, że między nimi ukrywa się złodziejka. Nie ma innych zdjęć swojej matki, mojej siostry. Boi się, że wkrótce zapomni, jak wyglądała. Ten medalion nigdy dla nikogo nie będzie znaczył tak wiele jak dla niej i jej brata. Nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego, a potem przyjść tu i śpiewać jak gdyby nigdy nic, jakby rzeczywiście przejmował się losem innych. W tej sytuacji wszystko to wydaje się fałszywe. Zagram piosenkę, którą zna każdy z was, a wy możecie śpiewać albo milczeć razem ze mną. Wszystko zależy od was. Serce mi podpowiada, że jeśli nie możemy być wobec siebie szczerzy, powinniśmy milczeć. Może każdy z nas powinien włożyć do ust kamyk, jak robi to Ojciec Storey, i w milczeniu zastanowić się nad tym, co jest naprawdę ważne.

Zdaniem Harper, Carol brzmiała trochę jak belferka, ale widziała, że niektórzy kiwają głowami. Allie wściekłym ruchem starła z policzka łzę, a zaraz potem odwróciła się do bliźniaczek Neighbors i zaczęła coś szeptać.

Carol delikatnie szarpnęła struny ukulele. Brzmiało to tak, jakby ktoś uderzał młoteczkiem w srebrne dzwoneczki. Harper nie od razu rozpoznała w melodii kolędę *Cicha noc*. Nadeszła chwila, gdy wierni powinni zacząć śpiewać, oni jednak milczeli. Oprócz pobrzękiwania ukulele w kaplicy panowała nabożna cisza.

Harper nie była pewna, kto załśnił jako pierwszy. W pewnej chwili zauważyła jednak słabe światło, które zdawało się rozjaśniać przepastny mrok kaplicy. Oczy błyszczały niebieskozieloną poświatą jak robaczki świętojańskie w ciepłą, letnią noc. Smocza łuska zmieniła się we wstęgi przygaszonego fluorescencyjnego światła. Pomyślała o rybach zamieszkujących głębiny oceanów, których organy świecą w ciemnościach. Było to zimne, obce światło, inne niż niemal oślepiający

blask Światłości. Nie sądziła, że bez śpiewu są w stanie osiągnąć harmonię, w której wyrazili swoją dezaprobatę milczeniem.

Tylko połowa zgromadzonych lśniła i Harper nie była jedną z nich. Pierwszy raz od kilku tygodni nie była w stanie zaskoczyć. Przez ostatnie tygodnie przychodziła do kaplicy i wchodziła w Światłość jak do wanny z ciepłą wodą. Teraz jednak ta woda była zimna. Nie potrafiła zrozumieć, jak pozostali mogą to wytrzymać.

Ostatnia nuta zawisała w powietrzu niczym płatek śniegu, który nie chce spaść na ziemię. Kiedy przebrzmiała, razem z nią zgasł ów dziwny, chorobliwy blask i do kaplicy wróciła ciemność.

Carol starała się powstrzymać łzy. Ojciec Storey otoczył ją ramieniem i przytulił do piersi. Może złodziej ukradł medalion niejednej, ale trzem osobom: kobieta, do której kiedyś należał, była siostrą Carol, a także matką Allie i Nicka.

Ojciec Storey zerknął ponad ramieniem córki uśmiechnął się do zgromadzonych.

- Cóż. To było piękne, ale mam nadzieję, że nie wejdzie nam to w nawyk. Lubię słuchać waszych głosów. Musimy przestawić ławki na poranne czytanie... Ach, John! Niemal zapomniałem. Dziękuję, że przyszedłeś. Jest coś, co chciałeś nam powiedzieć?

Stojący przy wejściu strażak rozciągnął usta w uśmiechu.

- Znalazłem dwóch mężczyzn, którzy potrzebują schronienia. Jeśli się zgodzicie, chciałbym przyprowadzić ich do obozu. Nie mogę za nich poręczyć, Ojcie... nie udało mi się zbliżyć do nich na tyle, żebym mógł z nimi porozmawiać. Zapędzili się w kozi róg i nie potrafię im pomóc. Mogłbym narobić zamieszania, żeby zatuszować ich ucieczkę, ale będę potrzebował ludzi, którzy zaprowadzą ich do obozu.

Ojciec Storey nachmurzył się.

- Oczywiście. Pomożemy każdemu, kto tej pomocy potrzebuje. Dziwię się, że w ogóle o to pytasz. Czy są jakieś powody do niepokoju?

- Sądząc po pomarańczowych kurtkach z napisem *Sąd Hrabstwa Brentwood*, całkiem możliwe, że ci dwaj potrzebują zbawienia bardziej niż którakolwiek z twoich owieczek.

Kiedy Ojciec Storey zapytał strażaka, kogo potrzebuje do pomocy, Harper nie spodziewała się, że trafi na jego listę, ale była jedyną osobą, którą wymienił z nazwiska.

- Dwóch, trzech ludzi i siostrę Willowes, jeśli można, Ojczy. Nie wiem, w jakim ci dwaj będą stanie. Od co najmniej dwudziestu czterech godzin siedzą w ciasnej kryjówce, na mrozie i podejrzewam, że mogą mieć objawy hipotermii. Dobrze więc byłoby mieć pod ręką kogoś, kto będzie w stanie im pomóc. Spotkajmy się w Parku Pamięci za... powiedzmy dwadzieścia minut. Chciałbym wyruszyć najszybciej, jak się da.

Po nabożeństwie wszyscy stłoczyli się w nawie głównej i zaczęli mówić jeden przez drugiego. Harper przepychała się między nimi. Ben Patchett mówił coś - „Harper, jesteś w ciąży, ten człowiek oszalał” - ona jednak udała, że go nie słyszy. Chwilę później przeszła przez wysokie, czerwone drzwi w noc tak zimną i rześką, że zapiekły ją oczy.

Wpadła na salę chorych, otworzyła szafki i zaczęła wrzucać najpotrzebniejsze rzeczy do małego nylonowego plecaka. W pośpiechu uderzyła łokciem w duży anatomiczny model ludzkiej głowy, tak że chwilę balansował na skraju blatu, aż w końcu spadł na podłogę.

Zakłęła pod nosem, odwróciła się, żeby stopą zgarnąć odłamki - nie miała czasu ich zamieść - i zamarła.

Głowa rozpadła się na kilka większych kawałków. Połowa twarzy gapiała się na nią w idiotycznym osłupieniu. Wśród odłamków leżał zwinięty w rulon notes związany gumkami recepturkami.

Harper podniosła go, zdjęła gumki i spojrzała na okładkę.

**PRYWATNY DZIENNIK HAROLDA CROSSA
OBSERWACJE MEDYCZNE I OSOBISTE
SPOSTRZEŻENIA I WIERSZE**

Przez chwilę zastanawiała się, co z nim zrobić; zdawała sobie

sprawę, że w obozie jest parę osób, które chciałyby wiedzieć, o czym pisał Harold na kilka tygodni przed śmiercią. W końcu uznała, że odłoży tę decyzję. Nie miała czasu. Wrzuciła dziennik do szuflady i wyszła z sali.

Na schodach czekała na nią Kapitan Ameryka.

- Jeśli chcesz maskę, mogę ci pożyczyć. Mam ich więcej - powiedziała Allie, idąc po drżących deskach między budynkami. - Mam Hulka, Optimusa Prime'a i Sarah Palin.

- To ważne, żeby ukrywać, kim jesteśmy?

- Nie sądzę. Ale dzięki temu człowiek czuje się jak prawdziwy twardziel. Niby czemu faceci, którzy napadają na banki, zawsze noszą przerażające maski klaunów? Uwielbiam facetów w maskach klaunów.

- Raczej nie skorzystam, chyba że masz maskę Mary Poppins. Ale dzięki, że zapytałaś.

Allie weszła między pogańskie monolity Parku Pamięci i podeszła do kamiennego ołtarza, idealnego, by złożyć na nim ofiarę z lwa Aslana. Stojącemu za nim Ojcu Storeyowi towarzyszyli strażak, a także Michael i Ben - ich widok przywodził na myśl *Ostatnią Wieczerzę* Leonarda da Vinci. Michael miał nawet rudą brodę podobną do Judasza, choć brakowało mu złośliwości tamtego czy może raczej strachu.

- Allie? - Ojciec Storey uniósł rękę w geście błogosławieństwa.- Obiecałem twojej ciotce, że nie weźmiesz w tym udziału. Idź do autobusu... Dziś wieczorem będziesz strzegła bramy.

- Zamieniłam się z Mindy Skilling - odparła jego wnuczka. - Nie miała nic przeciwko.

- I z pewnością nie będzie miała nic przeciwko, jeśli znów się zamienisz.

Allie rzuciła strażakowi pytające, nienawistne spojrzenie.

- Zawsze chodzę. Odkąd mi nie wolno? Mike idzie, a jest przecież tylko rok starszy ode mnie. To ja stworzyłam czujki, nie on. Byłam pierwsza.

- Ostatnim razem, gdy poszłaś z Johnem, twoja ciotka Carol siedziała w oknie, ścisnęła w dłoniach jeden z twoich swetrów i modliła się - odparł staruszek. - Nie modliła się do Boga, Allie. Modliła się do twojej mamy, żeby miała cię w opiece. Nie każ jej przechodzić przez to kolejny raz. Ulituj się nad nią. I nade mną.

- A ty zgadzasz się na te bzdury? - Dziewczyna spojrzała na strażaka.

- Słyszałaś - odparł. - Zmykaj, Allie, i nie posyłaj mi tego zabójczego spojrzenia szesnastolatki. Jeśli chcesz się wyklócać, nadstaw ucha, bo mam ci coś do powiedzenia: nigdzie nie pójdziesz.

Jeszcze przez chwilę piorunowała go wzrokiem, jak gdyby planowała, jak się na nim odegrać. W końcu spojrzała na Michaela i otworzyła usta, jakby chciała prosić, żeby wstawił się za nią. On jednak się odwrócił, udając, że tego nie widzi, i jak gdyby nigdy nic zaczął drapać się po plecach pałką policyjną z palisandru.

- Pieprzcie się - warknęła. Głos drżał jej ze zdenerwowania. - Wszyscy się pieprzcie.

Zaraz potem zniknęła między drzewami. Harper pomyślała, że kiedyś też była taka szybka. Dobrze pamiętała siebie w wieku szesnastu lat.

Ojciec Storey rozciągnął usta w uśmiechu, który bardziej przypominał grymas.

- Trzeba przyznać, że potrafi jasno i wyraźnie powiedzieć, co myśli. Choć w porównaniu ze swoją matką Allie Storey to oaza spokoju.

- Cholewcia - bąknął Ben Patchett. - Zapomniałem latarki. - Nie ma sprawy, Ben. - Strażak zdjął lewą rękawicę. - Ja poświecę.

Jego ręka zapłonęła niebieskawym płomieniem, oświetlając wszystko w promieniu trzech metrów. Głazy rzucały monstrualne cienie na zbocze wzgórza.

Ben Patchett z trudem przełknął ślinę i mruknął do idącej obok Harper:

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Podążając za strażakiem, oddalili się od kościoła i weszli między sosny, gdzie nie było desek, po których można było iść. Na szczęście śnieg był tu zbity, szklisty i zmarznięty na powierzchni, więc schodząc ze wzgórza, nie zostawiali za sobą praktycznie żadnych śladów.

Zdawało się, że idą w stronę wody. Harper była zaskoczona; myślała, że pojedą samochodem.

W pewnym momencie zapadła się w śnieg i niemal zderzyła się z idącym obok Benem. Przytrzymał ją i wziął pod ramię.

- Pozwól, że ci pomogę. - Zerknął spod kaptura na plecy idącego przodem strażaka i mruknął: - To szaleństwo brać cię na taką wyprawę.

Skrzywiła się, gdy poczuła, że coś ciężkiego i twardego wbija jej się w ramię. Sięgnęła ręką do kieszeni mężczyzny i poczuła pod palcami rewolwer: gładką, orzechową kolbę i zimny stalowy kurek.

Pospiesznie cofnęła dłoń.

Ben zerknął na nią i uśmiechnął się półgębkiem.

- Powinnaś zapytać, czy to, co mam w kieszeni, to bron, czy po prostu reakcja na twój widok.

- Po co ci to?

- Naprawdę musisz pytać?

- Przepraszam, ale myślałam, że mamy pomóc tym ludziom, a nie strzelać do nich.

- To ty masz im pomóc. Ja jestem tu po to, żeby upewnić się, że moja ulubiona pielęgniarka wróci do obozu w jednym kawałku. Nawet jeśli Johnowi Rookwoodowi wydaje się, że może narażać twoje życie dla dwójki banitów, to ja jestem innego zdania. - Oblał się rumieńcem i pospiesznie odwrócił wzrok. - Chyba już wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy, Harp. Gdyby coś ci się stało... cholercia.

Położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie ścisnęła. Miała nadzieję, że Ben odczyta ten gest jako: „Dziękuję, że się o mnie troszczysz”, a nie jak: „Boże, ale jestem napalona; powinniśmy od czasu do czasu

przespać się z sobą”. Wiedziała z doświadczenia, że trudno okazać mężczyźnie uczucie i jednocześnie nie sprawiać wrażenia, że ma się ochotę pójść z nim do łóżka.

Uśmiechnął się.

- Poza tym policyjne przepisy mówią jasno i wyraźnie, że funkcjonariusz eskortujący więźnia powinien być uzbrojony. Można zwrócić odznakę, ale nie sposób myślenia. Zresztą tak naprawdę nigdy nie oddałem odznaki.

- Nadal ją masz?

- Trzymam ją razem z pierścieniem dekodującym i sztucznymi wąsami, których używałem jako tajniak. - Mówiąc to, żartobliwie trącił ją ramieniem.

W blasku księżyca śnieg miał barwę stali albo spizu.

- Czasami myślę, że powinienem znów je nosić - zastanawiał się głośno Ben.

- Sztuczne wąsy? - Przyjrzała mu się z uwagą. - Myślę, że nawet nie wyglądałbyś podejrzanie. Masz twarz stworzoną do wąsów.

- Nie. Mówię o odznace. Nieraz wydaje mi się, że tej społeczności przydałoby się jakieś prawo. Albo chociaż sędzia. Pomyśl o tej dziewczynie, która kręci się po obozie i kradnie i biżuterię. Myślisz, że jeśli się przyzna albo jeśli dowiemy się, kim ona jest, to załatwi sprawę? Że tak po prostu jej wybaczymy, bo tak mówi Ojciec Storey?

- Może mogłaby przez tydzień obierać ziemniaki albo robić coś takiego.

- Albo moglibyśmy ją zamknąć na trzy miesiące i dać jej nauczkę. Nawet znam takie miejsce. Pod stołówką jest chłodnia. Można by wybić w ścianie lufcik, żeby miała świeże powietrze. Wstawić składane łóżko i...

- Ben! - oburzyła się.

- No co? Przecież by nie zmarzła. Pewnie jest tam cieplej niż w kościelnej piwnicy. Od miesięcy nie ma prądu.

- To obrzydliwe. Pobyt w izolatce cuchnącej gnijącym mięsem. Za kilka puszek mleka?

- I za *Podręczną mamę*.

- Pieprzyć *Podręczną mamę*.

Wzdrygnął się, gdy zakłęła.

Ojciec Storey i Michael Lindqvist szli niespiesznie przed nimi; starszy mężczyzna mówił coś i trzymał rękę na ramieniu chłopaka. Mike trzymał w dłoni pałkę policyjną i od czasu do czasu uderzał nią w pień drzewa jak chłopiec wodzący patykiem po sztachetach płotu. Ben przyglądał się im przez chwilę, a w końcu pokręcił głową i prychnął.

- Na miejscu Mike'a byłbym szczęśliwy, że wyrwałem się z obozu, i raczej nie spieszyłem się z powrotem. Grozi mu tam większe niebezpieczeństwo.

- Ze strony? - spytała Harper.

- Ze strony Allie. Ta dziewczyna łatwo wpada w złość. Wolałbym z nią nie zadzierać.

- Myślisz, że jest zła na Michaela, że nie wstawił się za nią?

- Zwłaszcza po tym, co robili przed spotkaniem w kaplicy. Widziałem ich za sosną na skraju lasu; obściskiwali się, jakby nigdy więcej mieli się nie zobaczyć. Gdybym był jej ojcem, tobym... Ale nie jestem, a poza tym oboje nie są już dziećmi.

- Nie wiedziałam, że się spotykają.

Ben machnął ręką.

- Spotykają, rozstają, znowu spotykają. Teraz najwyraźniej znowu są razem - dodał z uśmiechem. Kiedy po chwili się odezwał, głos miał cichy i łagodny: - Zamknięcie złodziejki w chłodni mogłoby być przysługą. Nie rozumiesz tego, bo myślisz, że wszyscy są tak serdeczni jak ty. Ojciec Storey też tego nie rozumie. Pod tym względem jesteście bardzo do siebie podobni.

- Niby jak miałyby to być przysługą?

- Dzięki temu nikt by jej nie zabił. To nie do końca kara, raczej coś jak areszt prewencyjny.

Harper otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nagle przypomniała sobie, co Allie mówiła o wyrywaniu języka. Rozmyśliła się więc i milczała.

Chwilę później zobaczyli przycumowane do brzegu trzy kajaki, które podskakiwały na wodzie. Strażak opuścił płonąca rękę, schował ją pod połę kurtki i zdusił płomień.

- Resztę drogi przepłyniemy, tak będzie bezpieczniej i szybciej. - Wsiadł do najbardziej oddalonego kajaka i położył na dnie swój halligan.

Ben ściągnął brwi.

- Ehm... John? Czy ja źle liczę, czy brakuje nam co najmniej jednego kajaka? Mamy uratować dwóch ludzi, tak? Więc... niby gdzie ich wciśniemy?

- Będzie dla nich miejsce. Nie wracam kajakiem. Zorganizowałem dla siebie inny transport. - Odwiązał linę i odepchnął kajak od brzegu. Widząc, jak dno kajaka zanurza się w wodzie, Harper zaczęła się zastanawiać, ile właściwie waży ten jego pręt.

Ben wskazał na jeden z kajaków.

- Nie znam się na tym, Harper. Chcesz sterować, a ja...

- Właściwie - przerwał mu Ojciec Storey - chciałem omówić z siostrą Willowes pewną kwestię medyczną. Będziesz miał coś przeciwko, Ben?

Ben, owszem, miał coś przeciwko; rozczarowanie, które przez krótką chwilę malowało się na jego twarzy, było tak widoczne, że wydawało się niemal zabawne. Mimo to pokiwał głową i usadowił się w drugim kajaku.

- W takim razie spotkamy się na miejscu. Uważajcie na góry lodowe.

Harper odwiązała linę, podczas gdy Ojciec Storey ostrożnie usiadł z przodu. Kiedy odpływali od brzegu, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Powietrze było tak czyste i przesiąknięte zapachem oceanu, że na moment zakręciło jej się w głowie.

- Lubię ocean. Zawsze lubiłem - odezwał się Ojciec Storey, oglądając się przez ramię. - Na wyspie Johna mamy ukrytą prawie dwunastometrową zagłówkę. Jest wystarczająco duża, żeby... No, no, spójrz tylko na to! - Wskazał przed siebie ociekającym wodą wiosłem.

W kajaku strażaka siedziała Allie z wiosłem w dłoni. Byli piętnaście metrów od brzegu, kiedy postanowiła się ujawnić.

- Pamiętasz, co jej powiedział John? „Jeśli chcesz się wyklócać, nadstaw ucha, bo mam ci coś do powiedzenia”. -Głos Ojca Storeya zabrzmiał jak Paul McCartney w *Yellow Submarine*. Starszy pan potrafił również nieźle imitować głos strażaka. - „Nadstaw”! Ha! Dał jej cynk, że popłyniemy kajakami, żeby mogła tu przybiec i zaczekać na nas. Cóż, wygląda na to, że mówiła poważnie, kiedy kazała się nam pieprzyć. Sarah, jej matka, też nigdy mnie nie słuchała.

Porośnięte jodłami linie brzegowe przesuwwały się, kiedy wypływali z małej przystani.

- Co Ojcu dolega? Mówił Ojciec, że nie czuje się najlepiej.

- Tak, rzeczywiście wspomniałem coś o pewnej kwestii medycznej, ale nie powiedziałem, że ma to coś wspólnego ze mną. Ze mną chyba wszystko w porządku. Jestem tylko trochę nieszczęśliwy. Ale na to raczej nie ma lekarstwa.

- Ależ jest. Niech Ojciec zje coś słodkiego i zawoła mnie rano. Myślę, że Norma Heald ma w kuchni czekoladki Hershey's Kisses. Proszę jej powiedzieć, że wypisałam receptę-

On jednak się nie roześmiał.

- Myślę, że będę zmuszony kazać komuś opuścić obóz... komuś, kto dopuścił się niewybaczalnych rzeczy. Głowią się nad tym, jak ochronić kogoś, komu nikt nie wybaczy. Wydaje mi się, że wyrzucenie go będzie dla niego jedyną nadzieją. Boję się tego, co mogą zrobić mieszkańcy obozu, jeśli tu zostanie. - Zerknął na Harper i posłał jej słaby uśmiech. -Zawsze, kiedy widzę, jak śpiewają i lśnią, zastanawiam się, co by się stało, gdyby zmienili się w zgraję dokonującą samosądu. Myślisz, że oszalała tłuszcza podobałaby się smoczey łusce równie mocno jak chór? Ja uważam, że tak.

8

On wie, kim jest złodziejka, pomyślała Harper. Myśl pojawiła się w jej głowie nagle i przeszła umysł jak pinezka wbita w podeszwę stopy.

- Dlaczego Ojciec mi to mówi? - spytała.

Starzec patrzył przed siebie.

- Osoba, o której mówię, nigdy nie odejdzie dobrowolnie. Czy gdybyś mogła... gdybyś musiała, wymierzyłabyś karę? Staralabyś się uspokoić kogoś takiego, jeśliby... wpadł w histerię? Jeśliby był niebezpieczny? Dla siebie albo... dla innych?

Nie spodziewała się takiej rozmowy.

- Nie mam wystarczająco silnych środków. Jeśli mam być szczerą, Ojciec...

- Wolałbym, żebyś przestała mnie tak nazywać - odparł z nagłą goryczą. - Nigdy nie zostałem wyświęcony przez żaden Kościół. Jediną osobą, która może nazywać mnie ojcem, jest Carol. Nie powinienem być pozwalać na to innym, ale schlebiało to mojej próżności. Uczyłem etyki i historii chrześcijaństwa w prywatnym liceum w Massachusetts. W ciągu pięciu miesięcy zamieniłem się ze starego ramola z wieży z kości słoniowej w kogoś w rodzaju współczesnego dalajlamy. Pokaz mi kogoś, kto byłby się w stanie temu oprzeć, a ja pokażę ci prawdziwego świętego.

- Cóż, Ojciec, gdybym usłyszała, że ktoś z ciebie kpi, roztrzaskałabym mu coś na głowie. Czy nie dajesz tym wszystkim ludziom nadziei? Dajesz nadzieję mnie, a to równie cudowne jak kościół pełen ludzi, którzy świecą niczym lampki choinkowe. Zaczęłam wierzyć, że dożyję narodzin swojego dziecka, a to wszystko dzięki tobie, piosenkom i tym wszystkim cudownym ludziom, którzy skupiają się wokół ciebie.

- To bardzo miłe z twojej strony, Harper. Pamiętaj jednak, że nie ma w tym żadnej mojej zasługi, że jesteście tacy cudowni. Byliście już tacy, kiedy was znalazłem.

Wypłynęli z przylądka na otwarte wody. Brzeg został z tyłu: strome wzgórze widoczne nad wątlymi, nagimi drzewami i głazami.

- Wracając do pytania Ojca, nie mam żadnych środków uspokajających. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdybym kiedyś musiała przeprowadzić jakąś operację. Najsilniejszym lekiem w apteczce jest advil. Ale nawet gdybym dysponowała jakimś mocniejszym środkiem, nie chciałabym podawać go nikomu za karę. Nie robię takich rzeczy. Ja pomagam chorym.

- Ta osoba... ona jest chora. I uprzedzając twoje kolejne pytanie: nie chcę mówić, kogo mam na myśli. Przynajmniej dopóki nie zdecyduję, co z tym zrobić.

- Nie zamierzałam pytać. - Harper zdążyła zauważyć, jak Ojciec Storey skrupulatnie unika podawania imion.

Zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym zapytał:

- Co sądzisz o wyspie Marthy Quinn?

- Myślę, że poczułabym się dużo lepiej, gdybym znała kogoś, kto rzeczywiście słyszał, jak nadaje. Myślenie życzeniowe to nie to samo co niezbite dowody.

- Harold Cross twierdził, że ją słyszał - odparł Ojciec Storey. - Raz. Poza tym pisał do kogoś w Lubec, które ogłoszono stolicą stanu Maine po tym, jak Augusta doszczętnie spłonęła.

- Harold pisał do kogoś, kto twierdził, że jest w Lubec - Powiedziała Harper. - Nie znałam go, ale z tego, co słyszałam, był odrobinę zbyt ufny.

- Całkowicie się z tym zgadzam - przytaknął Ojciec Storey, a w jego głosie kolejny raz pojawiła się gorycz, tak do niego niepodobna.

Harper czuła ocean pod dnem kajaka; jego kojący zew. Gdyby przestali wiosłować, prąd pochwyciłby ich i zniósł na wschód. W niespełna pół godziny odpłynęliby wystarczająco daleko, żeby zobaczyć wszystkie światła Portsmouth; a po godzinie wszystkie światła wybrzeża New Hampshire. Dwie godziny później nie widzieliby już żadnych świateł.

- Obawiam się, że będziemy musieli się kogoś pozbyć. Zmusić pewną kobietę do opuszczenia obozu - ciągnął Ojciec Storey. - Kiedy do tego dojdzie... cóż, wolałbym nie skazywać nikogo na wygnanie. Wcześniej czy później złapie ją któryś ze Szwadronów Kremacyjnych... Nie, myślę, że opuszczę obóz razem z nią. Może odpłyniemy żaglówką z wyspy, na której mieszka John. Ja i Don Lewiston. Chciałbym

wyruszyć na poszukiwania Marthy Quinn.

- A kto zajmie się obozem?

- John. Tylko on jest w stanie to zrobić.

Skręcili za przylądkiem i wpłynęli w wąski przesmyk szeroki na dwadzieścia pięć metrów; po obu jego stronach stały domy z tarasami nad wodą. Na wprost przed nimi znajdował się krótki mostek łączący brzegi widocznej za nim małej zatoczki.

Harper nie rozpoznała tego miejsca, dopóki nie przepłynęli pod mostkiem, gdzie ich oddechy metalicznym echem odbijały się od rdzewiejącej żelaznej kratownicy. Przed nią rozpościerał się South Mill, staw w kształcie tykwy, między parkiem a... wydziałem policji w Portsmouth.

Większość budynków wokół stawu była pogrążona w ciemności, ale posterunek i przylegający do niego parking były oświetlone jak stadion podczas wieczornego meczu. Z miejsca, w którym siedziała, Harper widziała dwie sterty odpadów płonące na parkingu. Każda miała prawie sześć metrów wysokości. Harper zastanawiała się, co takiego palono. Skażone ubrania? W pobliżu stało zaparkowanych kilka wozów strażackich; najwyraźniej straż pożarna kontrolowała sytuację. Dostrzegła mężczyzn w hełmach i żółtych kurtkach, którzy kręcili się wokół ognisk. Znad płonących stosów ulatywały kłęby gęstego, czarnego dymu, zasnuwając niebo i gwiazdy.

Strażak zaczął wiosłować w stronę posterunku.

- Boże, John - westchnął Ojciec Storey. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Staw był wielkości boiska do piłki nożnej, przecięty na pół drogą na grobli, która znajdowała się tuż przed nimi. Żeby dostać się na drugą stronę, trzeba było przenieść kajaki. Harper nie miała pojęcia, gdzie strażak zamierza wyciągnąć je na brzeg, ale tak czy siak, wkrótce zejda na ląd.

Pochyliła się i syknęła:

- Porozmawiamy, kiedy wrócimy do obozu. Naturalnie chętnie Ojcu pomogę. Jeśli będę miała odpowiednie lekarstwa, podam je tej kobiecie po tym, jak Ojciec z nią porozmawia... ale tylko w ostateczności. Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Jeśli razem z Carol porozmawiacie z nią na osobności i okażecie empatię i

zrozumienie, o którym mówił Ojciec w kaplicy... Hm, nie ma chyba człowieka, który by na to nie zareagował.

Tom Storey odwrócił się przez ramię, skonsternowany zmarszczył brwi i spojrzał na nią pytająco... jakby zadała mu zagadkę nie do rozwiązania. Zastanowiło ją to. Czuła, że nie mogła wyrazić się jaśniej ani bardziej bezpośrednio. Chciała zapytać go, czego nie rozumie, ale nie było na to czasu. Strażak płynął to brzegu, w stronę drogi na grobli. Harper wskazała go wiosłem, a Ojciec Storey skinął głową i odwrócił się. Później, pomyślała, nie mając pojęcia, że nie będzie żadnego później.

Przynajmniej dla Ojca Storeya.

Nabrzeże stanowiły grubo ciosane granitowe bloki, które wyrastały z wąskiego pasa piasku. Kajak zachrzęścił głośno, szorując dnem o płyciznę. Ben czekał, żeby wciągnąć go na brzeg, i ustawić obok dwóch pozostałych.

Strażak ścisnął Allie za ramię i machnął ręką w stronę drogi. Mruknął jej coś do ucha, a ona skinęła głową i pochyłona zaczęła przemykać wąską piaszczystą plażą.

- Dokąd ona idzie, John? - spytała szeptem Harper.

- Mężczyźni, których chcemy uratować, są na drugim końcu drogi. To jedyny sposób, żeby dostać się do nich niezauważonym.

Znowu machnął ręką i tym razem Harper zobaczyła majaczący pod ścieżką wlot rury drenazowej. W czasie przyływu wejście musiało znajdować się pod wodą, ale teraz było prawie suche. Allie przykucnęła i zaczęła odgarniać połamane gałęzie i zardzewiałe puszki po piwie blokujące przejście.

- Wysłałeś szesnastolatkę, żeby pogadała w twoim imieniu z dwoma przestępcami? - spytał Ben. - A jeśli któryś z nich złapie ją za włosy i wyciągnie z rury?

- Allie nie ma włosów, Ben, a poza tym wie, co ma robić. Nie pierwszy raz pomaga ratować ludzi z opresji - odparł strażak. Sięgnął do kajaka. Brzęknęła stal. W jego dłoni pojawił się halligan.

- Ufam ci, John - odezwał się Ojciec Storey. - Pod warunkiem że obiecasz mi, że Allie nic nie grozi.

- Nie mógłbym tego obiecać, Tom, nawet gdyby została w obozie, żeby robić na drutach z Normą Heald. Ale nie boję się tych dwóch mężczyzn po drugiej stronie grobli. Chcą się wydostać, nie dać się złapać.

- Ta rura nie wygląda na dość szeroką - zauważył Michael. - Jesteś pewien, że się w niej zmieszczą?

Allie siłowała się z zardzewiałym wózkiem sklepowym, który częściowo blokował wylot rury.

- Na pewno nie - odparł strażak. - Jeden jest wysoki jak Boris Karloff, a drugi wielki jak byk. Gdyby próbowali za nią pójść, utknęliby jak nic. Nie, będą musieli przejść groblą, jak tylko zrobi się na tyle bezpiecznie, żeby nikt ich nie zauważył. Ben, Michael, Ojczy, bądźcie gotowi im pomóc. Nie wiem, czy będą w stanie iść o własnych siłach.

- Jak to: „będą musieli przejść groblą”? - spytał Ben. -I co to znaczy: „jak tylko zrobi się na tyle bezpiecznie”?

Strażak wspiął się na stromą granitową skałę, pomagając sobie halliganem, odwrócił się i szepnął:

- Kiedy zaczną się krzyki.

Przez moment stał na skraju parkingu w złotawym blasku ognia, który rysował na jego twarzy tańczące cienie, a zaraz potem zarzucił swój pręt na ramię i odszedł, radośnie pogwizdując.

- Czujecie się przy nim jak tępaki? - Pytanie Bena nie było skierowane do nikogo konkretnego. - Bo ja tak.

- Co teraz? - spytała Harper.

- Chyba powinniśmy przykucnąć - rzucił Ben. -I zaczekać, aż coś pójdzie nie tak.

Ledwie stracili z oczu strażaka - jego pogwizdywanie ucichło - kiedy Allie, krzyżąc z przerażenia, odskoczyła od wylotu rury, zatoczyła się do tyłu i klapnęła do wody.

- Tośmy się naczekali - skomentował Michael.

Harper pierwsza podbiegła do Allie i pomogła jej wstać.

- O co chodzi? - szepnęła. - Co się stało?

Dziewczyna pokręciła głową. W masce Kapitana Ameryki jej oczy przypominały płonące jasno szparki.

Harper obeszła ją i przykucnęła przy wylocie rury. Kopiec błota, gałęzi i liści tworzył krzaczastą, najeżoną kolcami barykadę, tuż poza zasięgiem ręki.

Nagle liście drgnęły, zaszeleściły i przesunęły się w bok.

Zwierzę. W rurze siedziało cholerne zwierzę, jeżozwierz wielkości psa rasy welsh corgi.

Dostrzegła patyk, długi na pół metra i rozdwojony na końcu, i wpadła na pomysł, żeby przysunąć zwierzę do siebie i wyciągnąć je z rury. Zamiast tego dźgnęła je w bok. Zjeżyło się, fuknęło i wcisnęło się jeszcze głębiej.

Obejrzała się na Allie. Był przy niej Michael, który zarzucił jej na ramiona kurtkę. Dziewczyna miała mokre dzinsy i trzęsa się jak w febrze. Trzęsa się... i z niepokojem wpatrywała się w przejście. Harper nigdy wcześniej nie widziała, żeby Allie Storey się bała, i poczuła ulgę, wiedząc, że są jednak rzeczy, które potrafią tę dziewczynę przerazić.

Nie dziwiła jej się. Myśl o wejściu do szerokiej na metr rury z siedzącym w środku tłustym, wkurzonym jeżozwierzem była przerażająca.

Nie zastanawiając się długo, Harper opadła na czworaki i zajrzała w głąb przepustnicy. Pociągnęła nosem, czując woń gnijących śmieci i ciepły zwierzęcy smród.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Ben. - Nie, Harper. Nie rób tego. Nie wchodź tam. Pozwól, że ja...

Ale kiedy wyciągnął rękę, żeby ją złapać, zrobiła unik i zanurkowała w mrok. Ben przy swoim wzroście metr osiemdziesiąt i wadze dziewięćdziesiąt kilogramów miał takie same szanse zmieścić się w rurze co zardzewiały wózek sklepowy, który Allie chwilę wcześniej

odepchnęła.

Tymczasem Harper, odrobinę wyższa od Allie i cięższa od niej o kilka kilogramów, wiedziała, że jeśli ktoś potrafi przecisnąć się przez rurę, to właśnie ona; nie będzie to jednak łatwe. Już to czuła. Ścianki rury napierały na nią zmuszając, żeby trzymała ręce blisko ciała.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że w drugim trymestrze ciąży jest prawdopodobnie cięższa od Allie o jakieś trzynaście kilogramów. Zastanawiała się, czy nie przytyła za bardzo i nie utknie w rurze. Myślała o tym, żeby zawrócić, ale przecisnęła się o kolejne kilkanaście centymetrów do przodu.

Jeżozwierz przestał dreptać i przyglądał się intruzowi. Harper szturchnęła go kijem i zwierzę spojrzało na nią oburzonym wzrokiem. Jego oczy miały barwę krwi uwięzionej w kropli bursztynu. Chwilę później syknęło i podreptało do przodu.

Podążała za nim na czworakach po nierównej powierzchni. Pokonała mniej więcej jedną trzecią drogi, gdy jej biodra się zaklinowały.

Szarpnęła się do przodu, próbując się uwolnić, ale nic to nie dało. Poczowała, że ścianki rury zaciskają się wokół niej. Spróbowała się wycofać - bez rezultatu. Była niczym korek w butelce, którą próbowali otworzyć z Jakobem tamtej ostatniej nocy.

Jeżozwierz zawahał się i miała wrażenie, że patrzy na nią kpiarskim wzrokiem. „No i co? - zdawało się pytać jego spojrzenie. - Coś nie tak? Utknęliśmy? Może szturchnąć cię kijem, żebyś się ruszyła?”

Woda, która przepływała jej między palcami, była lodowato zimna, a na wykonanych ze stali nierdzewnej ściankach rury srebrzył się szron, ale zrobiło jej się gorąco. Pot spływał po plecach i gromadził się w zagłębieniu między obojczykami. Nie było to uderzenie gorąca, jakie może czuć człowiek, kiedy się denerwuje. Dobrze знаła to uczucie: jakby ktoś spryskał otartą skórę aerozolem na owady. Wzięła gwałtowny oddech i poczuła dym, słodkawy, mdlący zapach, jak przypalony bekon polany syropem klonowym.

To ty, pomyślała, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła smużkę dymu unoszącą się znad spiralnych linii na wierzchu dłoni.

Mówiłem ci, przemówił jeżozwierz głosem Jakoba. Powinniśmy byli umrzeć razem, tak jak planowaliśmy. Czy to nie byłoby lepsze, niż splanąć żywcem w tej czarnej dziurze? Mogłabyś zasnąć w moich

ramionach, bez zamieszania i bez bólu. A teraz upieczesz się tu, a twoje wrzaski ściągną policję. Gliniarze dorwą Allie, Ojca Storeya, Bena i Michaela, każą im klęknąć na piasku i wpakują im kulkę w łeb. I wszystko to będzie twoja wina.

Znowu szarpnęła się do przodu, jednak rura nie zamierzała jej puszczać.

Zamrugła; oczy łzawiły jej od dymu. I nagle zrozumiała, że to nie ogień zabija, tylko strach i rezygnacja. Moment lęku i wstydu, kiedy człowiek uświadamia sobie, że utknął gdzieś na dobre, i nie ma siły się uwolnić. Smocza łuska była kulą, ale to lęk był palcem, który pociągał za spust.

Krzyknęła, gdy oddech uwiązał jej w gardle. Jeszcze raz dźgnęła jeżozwierza patykiem. Zwierzę pisnęło żałośnie i przebierając łapkami, zaczęło się oddalać.

Drugi koniec rury ginął w oparach dymu. Nie wiedziała, dlaczego jeszcze nie zaczęła się krztusić. Wzięła głęboki oddech i pomyślała: śpiewaj. Odegnaj to od siebie śpiewem.

- *Lawendy woń, lali lali, lawendy smak* - szepnęła łamiącym się, schrypniętym głosem i natychmiast urwała.

Gorsze od utknięcia w tej przeklętej rurze razem z jeżozwierzem było tylko utknięcie w tej przeklętej rurze z szaleńcem, nawet jeśli tym szaleńcem była ona sama. Rozpacz, którą słyszała we własnym głosie, działała jej na nerwy.

Po ciele Harper przetoczyła się fala gorąca. Po głowie pełzały skwierczące robaki. Czowała, że włosy, trzeszcząc, skręcają się w loczki, i pomyślała, że jeśli się stąd wydostanie pozwoli, żeby Allie ogoliła ją na łyso; tyle że nie wyjdzie, bo wszystko to - cała ta paplanina o tym, że śpiewanie może ocalić - było jednym wielkim kłamstwem. Angielskie dzieci śpiewały sobie nawzajem podczas bombardowania Londynu w czasie drugiej wojny światowej, a dachy domów i tak waliły im się na głowy. Jej głos był bez znaczenia. Wiara Toma Storeya była stekiem bzdur.

Dym dusił ją w gardle. Z jej nozdrzy wylewały się białe obłoczki. Nienawidziła każdej chwili nadziei, na jaką sobie pozwoliła. Nienawidziła siebie za to, że śpiewała z innymi, że śpiewała dla innych, że śpiewała...

Śpiewać dla innych, pomyślała. W harmonii. Ojciec Storey mówił, że to nie piosenka jest istotna, lecz harmonia. Tyle że jeden człowiek nie może stworzyć harmonii.

Zamrugnęła- dym szczypał ją w oczy, lepkie łzy toczyły się po policzkach - i cichym, drżącym głosem zaśpiewała, skupiając wszystkie myśli na życiu wielkości pięści, które w sobie nosiła.

- *Będę twoją świecą na wodzie* - śpiewała. Tym razem nie jak Julie Andrews, ale jak Helen Reddy. Była to pierwsza piosenka, która przyszła jej do głowy, i słysząc swój głos odbity wątłym echem od ścianek rury, poczuła nagłą, historyczną ochotę, żeby parsknąć śmiechem. - *Moja miłość do ciebie będzie płonęła wieki.*

Fałszowała, głos drżał jej z emocji, ale na dźwięk pierwszych słów smocza łuska zaczęła pulsować i rozjarzyła się łagodnym, złotym blaskiem, a uczucie gorąca zaczęło słabnąć. W tej samej chwili dziecko w jej łonie obróciło się i przekręciło niczym śruba. Pokazuje ci, co masz robić, przemknęło jej przez głowę. Jest z tobą w harmonii. Była to niedorzeczna myśl, a jednak, kiedy poruszyła biodrami, posunęła się do przodu. Rura wypuściła ją tak nagle, że Harper uderzyła głową w stalową ścianę.

Pełzła dalej w zadymionej rurze. Jej płuca domagały się powietrza, ale umysł miała czysty i nie czuła, że zaraz zemdleje. Właściwie miała wystarczająco dużo powietrza, żeby wciąż śpiewać umęczonym, słabym głosem.

Pochyliła głowę, próbując powstrzymać łzy, a kiedy podniosła wzrok, jak przez mgłę zobaczyła przed sobą jeżozwierz; był tak blisko, że prawie na niego wpadła. Zwierzę zjeżyło się do ataku.

- Będę świecą w twoim tyłku, jeśli się nie przesuniesz, grubasie - na wpół zaśpiewała, na wpół wykrztusiła.

Jeżozwierz podreptał do przodu, ale Harper miała dość jego i tej przekłętej rury. Dźgnęła go patykiem i zaczęła wypychać ku wyjściu. Czuła się, jakby wymyśliła nową dyscyplinę olimpijską: przepychanie jeżozwierz.

Gryzoń zerwał się do biegu na tyle, na ile pozwalały mu krótkie łapki. Dotarł do końca rury i bez wahania wypadł na zewnątrz. W migotliwym, pomarańczowym blasku, który rozświetlał wieczór, Harper ujrzała, że zwierzę wcale nie jest tak duże, jak mogłoby się

wydawać. Czając się w rurze, przypominało rozmiarem dużego szczeniaka. Na zewnątrz wyglądało jak chomik z kolcami. Posłało jej pełne wyrzutów spojrzenie i podreptało dalej. Przez krótką chwilę miała wyrzuty sumienia, że potraktowała go tak obcesowo. Sama musiała opuścić swój dom, wiedziała więc, jak to jest.

Zaraz potem usłyszała czyjś gwałtowny wdech i dobiegający z zewnątrz szept:

- Co to, kurwa, było?

Ktoś rzucił kamieniem w jeżozwierzka i biedne, prześladowane zwierzę czmychnęło w zarośla.

Podczołgała się kilkanaście centymetrów do przodu, niemal na skraj rury.

Halo rzuciła stłumionym głosem.

W otworze pojawił się mroczny cień, a głowa i ramiona potężnego mężczyzny przesłoniły nocne niebo.

Harper przestała kopcić i śpiewać, a złote drobinki na jej ciele przygasły. Naznaczona smoczą łuską skóra na ramionach i plecach była obolała i dziwnie wrażliwa, ale to uczucie nie wydawało się nieprzyjemne.

- Kto to? - spytał osiłek, zaglądając w głąb rury.

Nawet w mroku jego brudny, umazany popiołem pomarańczowy kombinezon był widoczny jak na dłoni. Mężczyzna był wielki jak niedźwiedź, jego kwadratową twarz szpeciły blizny po trądziku, ale najbardziej niesamowite były żółtawe oczy. Miały niemal taki sam kolor jak oczy jeżozwierzka.

- Nazywam się Harper Willowes. Jestem pielęgniarką. Mam wam pomóc uciec. Jest was dwóch, tak?

- Taa, ale... on już próbował wcisnąć się do rury. Bez skutku. A ja jestem jeszcze większy.

- Nie przejdziecie tędy. Musicie iść po grobli. Po drugiej stronie czekają moi przyjaciele z kajakami. Zabiorą was w bezpieczne miejsce.

- Paniusiu, siedzimy w tej przepustnicy od dwudziestu godzin i żaden z nas nie jest w stanie biec. Mój kumpel ledwo trzyma się na nogach. Dzięki, że o nas pomyśleliście. Naprawdę. Ale to się nie uda. Nieważne, że macie kajaki trzydzieści metrów dalej. Równie dobrze mogłyby być na Księżycu. Na parkingu jest z pięćdziesięciu chłopów,

większość z nich uzbrojona. Jeśli zaczniemy biec... albo raczej kuśtykać... najpierw złączą strzelać, a później pytać.

- Nie musicie biec - odparła, mając w pamięci, co powiedział strażak.
- Możecie iść. I nikt was nie zobaczy. Za chwilę zrobi się tu niezłe zamieszanie.

- Jakie zamieszanie?

- Zaczekajcie, to zobaczycie - rzuciła zagadkowo, bo brzmiało to lepiej niż przyznanie, że sama właściwie nie ma pojęcia.

Mężczyzna uśmiechnął się, świecąc złotym zębem. Takich jak on ojciec Harper nazywał „paskudnymi typami”.

- Czemu do nas nie wyjdiesz? Chodź tu i posiedź z nami, skarbie.

- Muszę wracać. Po prostu bądźcie gotowi - odparła.

- Chyba nie zamierzasz pokonać tej drogi tyłem? Nie lepiej byłoby wyjść i odwrócić się?

Nie pomyślała o tym aż do teraz - śmieszne, ale prawdziwe - i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Oczywiście, facet miał rację. Szanse na to, że pokona drogę powrotną tyłem, były równie marne jak to, że zmieni się w dym i rozplynie w powietrzu; choć gdyby się nad tym zastanowić, druga opcja wydawała się bardziej prawdopodobna.

Ale jeśli wysunie się choćby odrobinę dalej... wyobraziła sobie, że osiłek łapie ją za włosy, jego uśmiech gaśnie, a oczy stają się martwe. Wówczas zrobią z nią, co tylko będą chcieli. Mimo to nie zamierzała krzyczeć ani zdradzać kryjówek ludzi, których nazywała przyjaciółmi. Strażak mówił, że tych dwóch chce się wydostać, że nie chcą, by ich złapano, i miał rację. Ale byli więźniami, a ona ciężarną kobietą, która nie mogła wezwać pomocy. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że mogli zjeść ciastko i mieć ciastko - uciec, a przy okazji zgwałcić ją i zamordować.

Czuła się, jakby znowu utknęła, jednak tym razem na dobre. Nie chciała wracać tyłem, a bała się wyjść z przepustnicy. Może zaśpiewaj mu coś z jednego ze swoich ulubionych musicali, pomyślała i omal nie parsknęła śmiechem.

I wówczas coś się wydarzyło, a problem zniknął, jak gdyby nigdy nie istniał. Uwagę osiłka przykuły wydarzenia na grobli. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a szkliste oczy. w których odbijały się płomienie, patrzyły przed siebie z lękiem.

- Jas... - westchnął. - Jasna... jasna...

Pomyślała, że chciał powiedzieć: „jasna cholera”, ale nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej. Dopiero później przyszło jej do głowy, że może chodziło mu o coś innego, że to, co wydarzyło się na grobli, było jasne jak płonący krzew albo niebo nad Betlejem, pełne aniołów.

Ona jednak, widząc, co się dzieje, nie pomyślała o jasności.

Jedyne słowo, które przychodziło jej do głowy to: „piekło”.

Światło przygasło. Zupełnie jakby czarna kurtyna oddzieliła wodę od płonących na parkingu ognisk.

Więzień wybałuszył oczy.

- Co się dzieje? - spytała Harper.

Nie odpowiedział, pokręcił tylko głową. Oparł rękę na kolanie i z trudem dźwignął się z ziemi. Widziała, że bolą go nogi. Bez słowa odszedł w lewo i zniknął z pola widzenia. Zaraz potem usłyszała stłumiony szept, jęk bólu i szuranie butów o skałę. Później zapadła cisza.

Nie, nie cisza. Z daleka dobiegały wrzaski i okrzyki zdumienia.

Wyglądało to tak, jakby coś połknęło albo zatopiło całe światło. Nie przypuszczała, że ciemność może być tak gęsta i nieprzenikniona.

Wychyliła się z rury, gotowa w każdej chwili czmychnąć z powrotem, gdyby zobaczyła mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie. Nikt jednak na nią nie czekał. Na lewo zobaczyła wysoki na dwa metry, stromy mur z nierównych, granitowych bloków. Wpuszczony w niego, wylany betonem przepust prowadził na parking. W betonowej dziurze było wystarczająco miejsca, żeby zmieściły się dwie osoby, ale dalszą drogę odcinały zardzewiałe kraty. To tu ukryli się więźniowie... siedzieli wciśnięci w pręty z kutego żelaza, tuląc się do siebie.

Harper wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co dzieje się na grobli, jednak z tej perspektywy nie widziała zbyt wiele. Dostrzegła dym: kłębiącą się czarną chmurę, która wznosiła się ku niebu, przesłaniając drogę i parking.

Dźwignęła się na kolana, wyszła z przepustnicy, wstała i w osłupieniu wpatrywała się w nabrzeże.

W samym środku ogromnej, czarnej chmury stał diabeł: demon z piekła rodem, wysoki na dwa piętra, z szerokimi ramionami i rogami. Widmowa postać utkana z płomieni, ginąca w oparach dymu tak gęstych i skłębionych jak czoło burzy. W jednej ręce trzymał młot. Uniósł ramię grube jak słup telefoniczny i opuścił je na płonące

czzerwienią kowadło. Zabrzęczała stal; Harper jasno i wyraźnie słyszała dźwięk. Gdzieś z wnętrza czarnej chmury posypały się iskry. Diabelski ogon - długi na cztery metry warkocz ognia - smagał ziemię niczym piekielny bicz.

Dym był tak gęsty, że Harper nie była w stanie zobaczyć posterunku, parkingu ani płonących na nim ognisk. Rozpościerał się nad groblą jak nieprzenikniona toksyczna mgła.

Po drugiej stronie ciemnej kurtyny ludzie, wrzeszcząc, biegali bez ładu i składu.

Demon raz po raz uderzał swym młotem, za każdym razem dobywając z kowadła metaliczny szczęk. Odrzucił do tyłu płonąca głowę, ukazując światu oczy jak rozżarzone węgle. Z profilu nie sposób było rozpoznać w nim strażaka.

Ukończywszy swe dzieło, odrzucił na bok młot i sięgnął po świeżo wykutą broń: ognistą lancę, utkane z ognia widły, tak wielkie jak on sam.

Ktoś po drugiej stronie zawodził opętańczo. Harper nigdy nie słyszała, by ktoś tak rozpaczliwie krzyczał. Był to wrzask człowieka, który obawiał się o własną duszę.

W jej głowie eksplodowały myśli niczym petardy.

Pierwsza: ogląda teatr cieni. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale była pewna, że to, co widzi, nie różni się od cienia słonia wyczarowanego przez małego chłopca na ścianie sypialni za pomocą latarki.

Druga: jeśli ma iść, musi to zrobić teraz. Coś takiego nie może długo trwać.

Trzecia: John też musi iść. Musi zakończyć to przedstawienie i uciec. Narobił tyle dymu i chaosu, że cała armia więźniów zdołałaby uciec niepostrzeżenie.

Czwarta i ostatnia: może strażak nie dbał o to, czy uda mu się zbiec. Może nigdy go to nie interesowało. Może perspektywa własnej śmierci nie przerażała go, lecz kusila.

Na czworakach weszła na górę, wciskając palce w omszałe dziury w granitowych blokach.

Z trudem dźwignęła się na nogi i stanęła w gęstej chmurze czarnego dymu. Wstrzymała oddech, ale i tak czuła w gardle i nozdrzach nieprzyjemne pieczenie. Pochyliła się, lecz niewiele to zmieniło.

Weszła głębiej w skłębione, wirujące opary. Widziała jedynie asfalt pod stopami; dym był tak gęsty, że niemal zupełnie ograniczał widoczność.

Po drugiej stronie czarnej jak noc kurtyny rozległ się krzyk -zgodny chór jednomyślnych, stanowczych wrzasków - kilku mężczyzn nawoływało się i pracowało nad czymś niestrudzenie.

Strumień wody uderzył w chmurę dymu i płonąca czerwienią diabelską pierś. Demon drgnął, zasłonił twarz rękami, a widły w jego dłoni zafalowały jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem i przez krótką chwilę wyglądały jak ogromnych rozmiarów halligan.

Gdzieś pośród kłębow dymu rozległ się ogłuszający, zaskoczony ryk. Brzęknęła stal.

Istota zatoczyła się, odwróciła i wypuściła z dłoni ogniste widły. Otuliła się skrzydłami jak płaszczem, zapadła się w sobie i zniknęła.

Mężczyźni z węzłem strażackim zalewali chmurę strumieniami wody. Wodna mgiełka chłodziła skórę Harper. Kłęby dymu, sycząc, zmieniały kolor i strukturę - rozmywały się i blakły - coraz bardziej podobne do syczącej pary.

Harper wiedziała, co się wydarzyło. Dopadli go, ot co. Wodny taran dosłownie zwałił go z nóg.

Bez namysłu wbiegła głębiej w chmurę dymu, kierując się tam, gdzie - jak jej się wydawało - słyszała jego głos.

Kolejne wrzaski, tym razem bliżej. Niektóre zmierzały w jej stronę. Nie, pomyślała, oni idą po niego.

Zahaczyła stopą o leżący na asfalcie metalowy pręt, potknęła się, ale odzyskała równowagę. Halligan. Coś poruszyło się we mgle. Ktoś wymiotował.

Strażak niepewnie podniósł się na czworaki. Hełm spadł mu z głowy i z włosów mężczyzny ściekała woda. Torsje wstrząsnęły jego ramionami, zakrztusił się i wypluł wodę.

- John? - odezwała się.

Podniósł głowę. Spojrzał na nią zdumionym, nieszczęśliwym wzrokiem.

- Co ty tu robisz, do cholery? - wyrzęził.

Uklęknął, kołysząc się, i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak w tej samej chwili w kłębach dymu pojawił się cień, który przyciągnął

jego uwagę.

Coś - szkarada o twarzy robala - wyłoniło się z mgły. Miało oczy, które zdawały się lśnić w oparach dymu, i groteskowe, mięsiste usta. Poza tym wyglądało jak mężczyzna w kurtce strażackiej i wysokich do kolan butach. Jeden z tych butów wylądował między łopatkami strażaka i przycisnął go twarzą do ziemi.

- Ty skurwielu - warknęło. Strażak, prawdziwy strażak, w masce przeciwigazowej. - Mam cię, ty pieprzony pojebie -ciągnął facet w masce.

John zaczął się podnosić na czworaki, ale facet w masce kopnął go w żebra, podcinając mu ręce i nogi.

- Pieprz się, popaprańcu - rzucił. - Ty pierdolony skurwielu... chłopaki! Chłopaki, mam go! Mam tego cholernego pojeba!

Jeszcze raz kopnął strażaka, tym razem w bok, niemal go obracając.

Harper zrozumiała, że za chwilę John nie będzie miał szans i zostanie skopany na śmierć przez faceta w masce i jego kumpli.

Pochyliła się, chwyciła halligan...

...wrzasnęła z bólu i upuściła go. Przerażona spojrzała na swoją dłoń. Na zaczerwienionej skórze zaczęły się już tworzyć pęcherze. Pręt był gorący, niemal tak gorący jak końcówka żelaza do wypalania piętna.

Jej krzyk przykuł uwagę faceta w masce. Przyszpilił ją swoim niewidzącym, przerażającym spojrzeniem i wycelował w Harper dłoń w rękawicy.

- Ty! Padnij, kurwa, na pieprzoną ziemię! Na brzuchu z rękami na pieprzonej głowie! Jazda, rób, co ci, kurwa...

John, wrzeszcząc wściekle, zerwał się z ziemi, chwycił go w pasie i spróbował przewrócić. Zdołał odciągnąć go kilka kroków w tył, zanim facet w masce - wyższy od niego o piętnaście centymetrów i o czterdzieści kilogramów cięższy - zaczął popychać go w drugą stronę.

Siłowali się i kręcili w kółko. Ten w masce chwycił prawe ramię Johna i wykręcił je. Staw chrupnął z dziwnym, wilgotnym trzaskiem. John upadł na kolano, podczas gdy jego przeciwnik łupnął go kolaniem w brodę, aż głowa strażaka odskoczyła do tyłu i runął na asfalt. Facet w masce podszedł do niego, oparł nogę na jego piersi i przycisnął go do ziemi. Trzasnęły kości.

Harper zdjęła nylonową kurtkę, owinęła nią poparzoną rękę i

kolejny raz sięgnęła po halligan. Nawet przez grubą warstwę materiału czuła, jak jest gorący i jak zaczyna topić nylon.

Podniosła pręt. Ten w masce odwrócił się, zdjął nogę z piersi Johna i natarł na nią, wyciągając ręce. Widząc to, Harper zamachnęła się na niego i żelazny pręt trafił mężczyznę w hełm. Rozległo się metaliczne brzęknięcie. Napastnik zrobił krok do przodu i runął twarzą na ziemię. Hełm potoczył się po asfalcie i znieruchomiał z groteskowym wgnieceniem po jednej stronie.

Na widok tego wgniecenia zrobiło jej się niedobrze. Żółć podeszła jej do gardła. Nie wiedzieć czemu, przeraził ją bardziej niż widok rozbitej głowy.

Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Chciała przestraszyć tego człowieka, nie rozwalić mu głowę. Z odrazą cisnęła halligan z powrotem na ziemię; sycząc, wylądował w kałuży brudnej wody.

Usłyszała krzyki. Kolejny strażak mignął w chmurze białych oparów. Najwyraźniej jej nie zauważył.

Strażak - jej strażak - chwycił ją za łokieć. Druga ręka Johna wisiała wykręcona pod dziwnym kątem; krzywiąc się, stał zgięty wpół jak biegacz próbujący złapać oddech.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Patrzyła na niego, jakby przemawiał do niej w obcym języku.

- John! Ja... ja uderzyłam go twoim halliganem.

- To było coś! Zabrzmiało, jakby ktoś grał na blaszanym bębnie! - Uśmiechnął się z podziwem.

Gdzieś obok rozległ się krzyk. Strażak obejrzał się przez ramię, a kiedy znów na nią popatrzył, uśmiech zniknął z jego twarzy. Chwycił ją za ramię.

- Chodź - rzucił. - Musimy iść. Pomóż mi zdjąć jego kurtkę.

Kiedy okazało się, że Harper nie ma zamiaru podchodzić do ciała strażaka, puścił ją i sam wszedł w chmurę dymu. Pochylił się z trudem — widziała jego twarz ściągniętą z bólu -i podniósł wgnieciony hełm. Obejrzał się na Harper, ona jednak ani drgnęła.

- Jego kurtka, Willowes! - krzyknął. - Szybko!

Pokręciła głową. Nie mogła. Nawet nie była w stanie na niego patrzeć. Zabiła człowieka, rozwaliła mu głowę, i tylko tyle mogła zrobić, żeby nie upaść na kolana i nie rozplakać się.

- Nieważne - rzucił strażak i miała wrażenie, że po raz pierwszy jest poirytowany, a nawet zły.

Zdjął własną kurtkę — zrobił to ostrożnie, żeby nie nad-wyręzać i tak już wiszącej bezwładnie prawej ręki - i zarzucił Harper na ramiona. Pod spodem miał czarną, elastyczną koszulkę i żółte, odbłaskowe szelki.

Widząc, że zamierza włożyć jej na głowę wgnieciony hełm, wzdrygnęła się i cofnęła. Strażak podążył za jej wzrokiem do leżący na ziemi ciała i nagle zrozumiał.

- Na litość boską - prychnął. - Nie zabiłaś go. Popatrz tylko...

Czubkiem buta trącił mężczyznę za uchem, na co facet w masce zareagował cichym, zbolalym jękiem.

- Nie ma na nim krwi ani kawałków mózgu, więc włóż to łaskawie i pomóż mi.

Tym razem Harper nie wzbraniała się przed włożeniem hełmu.

- No proszę! - zawołał, cofnął się o krok, przyjrzał się jej i rozciągnął usta w uśmiechu. - Idealna strażaczka!

I nogi się pod nim ugięły.

Harper chwyciła go, zanim osunął się na kolana, i objęła go w pasie. Czowała, jak wiotczeje jej w ramionach. Kiedy szli, śpiewał, zataczając się:

- *I tańczyliśmy! Jak fala na oceanie: romans!* ⁹ - Odgarnął jej z twarzy kosmyk czarnych włosów. - To przebój z lat osiemdziesiątych. Lubisz muzykę z lat osiemdziesiątych, siostró Willowes?

- Możemy później porozmawiać o szlagierach sprzed lat?

- Co? Co? O szlagierach sprzed lat? Chwilę temu jakiś koleś skopał mi żebra, a teraz ty łamiesz mi serce.

- Hej! - w kłębach dymu rozległ się czyjś głos. Harper obejrzała się przez ramię i zobaczyła kolejnego mężczyznę w masce przeciwgazowej, który szedł w ich stronę. Był jeszcze większy od swego poprzednika. - Nic wam nie jest?

Dotarło do niej, że w całym tym zamieszaniu wziął ich za strażaków.

- Zwiął! Ten koleś! Ten pieprzony palant, który narobił dymu! Załatwił nas i uciekł w tamtą stronę! - John wskazał na kłęby dymu ponad ramieniem Harper.

- Ten skurwiel... to znowu ten pieprzony skurwiel - warknął facet w masce.

- Jeden z naszych jest ranny! - rzucił John, wskazując na nieprzytomnego strażaka. - Kurwa, niech to szlag!

Harper miała ochotę kuksnąć go w żebra, ale wiedziała, że mógłby tego nie wytrzymać.

- No już, zbierajcie się stąd - ponaglił ich facet w masce. - Oboje. Wyjdźcie z tego pieprzonego dymu. Ja się nim zajmę.

Musiła pomóc Johnowi iść: obejmowała go w pasie, a on zarzucił jej ramię na szyję. Utykając, zrobili kilka kroków, kiedy facet w masce przeciwgazowej krzyknął za nimi.

- Hej! Zaczekajcie!

Harper obróciła się i spuściła wzrok.

Mężczyzna wyciągał ku nim porzucony halligan.

- Weźcie to. Pełno tu ludzi. Nie chcę, żeby ktoś upadł i skończył z siekierą w kolanie.

- Racja. Dzięki - bąknęła i dla lepszego efektu dodała jeszcze: - Kurwa.

Metal wciąż jeszcze był ciepły - poczuła na skórze bolesne pulsowanie - ale zimna woda schłodziła go na tyle, że Harper mogła swobodnie wziąć go do ręki. Chwyliła metalowy pręt i pociągnęła w swoją stronę, ale człowiek w masce nie zwolnił uścisku na halliganie. Przez okulary maski zobaczyła jego ściągnięte brwi. Patrzył na nich, pierwszy raz naprawdę się im przyglądał. Pewnie kobiet pracujących w straży było tak niewiele, że znał je wszystkie z imienia, i nagle dotarło do niego, że coś tu nie gra. Za chwilę wyszarpnie jej pręt z ręki i rzuci się na nich.

Biała para snuła się wokół nich, rysując w powietrzu widmowe sylwetki.

Mężczyzna puścił halligan i kręcąc głową odwrócił się. Chwilę później uklęknął przy leżącym na ziemi strażaku.

- Siostrzo Willowes - mruknął John, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że powinni już iść.

Razem z nim weszła w kłęby dymu. Mijali ich ludzie, którzy nawołując się, biegli z naprzeciwka.

- Powiedział „to znowu ten pieprzony skurwiel” - szepnęła mu do ucha. - Często siejesz panikę i dbasz o to, żeby strażacy mieli co robić?

- Każdy ma jakieś hobby - odparł.

Wyszli na parking, niespełna trzydzieści metrów od posterunku policji w Portsmouth. Kłęby białego dymu tworzyły gęstą mgłę, która przesłaniała groblę i staw South Mill za ich plecami.

Znajdowali się blisko jednego z dwóch ognisk. Wściekły trzask płomieni sprawił, że Harper pierwszy raz w życiu zaczęła się zastanawiać, czy ogień może nienawidzić... Była to absurda, dziecinna myśl, która nie dawała jej spokoju.

Za podwójnymi szklanymi drzwiami komisariatu uwijali się policjanci. Harper i John omal nie wpadli na gliniarza z okrągłą, piegowatą, niemal niewinną twarzą, ubranego w czarne ponczo i czarne gumowe rękawice. Nawet na nich nie spojrział, tylko gapił się na dym. Harper wydawało się, że jego usta poruszają się w bezgłośnie

modlitwie. Tylko co w tym dziwnego? Cały świat płonął, a dziś wieczorem ludzie zobaczyli diabła, który nadszedł, by upomnieć się o swoje piekielne królestwo.

Rzuciła okiem na pierwsze ognisko i zobaczyła, że nie palono tu ubrań. Albo raczej palono ubrania, z tą różnicą, że wciąż mieli je na sobie ludzie. Ognisko po lewej było stertą wysuszonych ciał, poczerniałych i powykręcanych. Zwłok, które trzaskały i strzelały w ogniu jak zwykła podpałka.

Dostrzegła wśród nich martwą kobietę, która tuliła do piersi małego, może ośmioletniego chłopca. Nie wzdrygnęła się jednak. Dość się napatrzyła w Portsmouth Hospital. Jeśli cokolwiek czuła, to radość, że tych dwoje - matka i dziecko - umarli razem, tuląc się do siebie. Śmierć w matczynych objęciach albo z dzieckiem przy sercu wydawała się Harper błogosławieństwem.

- Opuść głowę - upomniął ją John. - Bo może cię zobaczyć.
- Kto?
- Twój były.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na zaparkowaną w drugim końcu parkingu pomarańczową ciężarówkę. Tylna kłapa skrzyni ładunkowej była opuszczona, jakby gotowa do zrzucenia ładunku. Na przyczepie wciąż jeszcze zostało kilka ciał, które, nie wiedzieć czemu, nie spadły. Może przymarzły do metalu.

W szoferce na fotelu pasażera siedział Jakob z łokciami wspartymi na kolanach i palił papierosa. Twarz miał zaróżowioną, spoconą od żaru buchającego od ognia, i widać było, że nie golił się od kilku dni. Po zapadniętych policzkach i oczach widać było, że stracił na wadze.

Jakby poczuł na sobie jej spojrzenie - niczym muśnięcie dłoni na policzku - odwrócił się i spojrzał na Harper.

Pospiesznie spuściła głowę i podjęła przerwany marsz. Policzyła do dziesięciu i zaryzykowała spojrzenie za siebie. Jakob powrócił do obserwowania grobli i tępych wzrokiem wpatrywał się w dym. Nie rozpoznał jej. Nie zdziwiło jej to. Choć ona od razu go rozpoznała, miała wrażenie, że człowiek, na którego patrzy, jest jej zupełnie obcy.

- Nie jest chory - szepnęła.
- Przynajmniej nie na smoczą łuskę.

Przebiegli parking i zostawili za sobą posterunek policji. W miarę jak

oddalali się od świateł, tłum się przeredzał. Ale nie było ciemno. Drugie ognisko rozświetlało mrok pulsującym, czerwonym blaskiem. Smród był nie do wytrzymania, jakby ktoś podpalił mokry dywan. Harper nie chciała patrzeć, lecz nie mogła się powstrzymać.

Psy. Palili psy. W powietrzu wzbijał się czarny popiół.

- Spójrz na cały ten popiół - odezwał się strażak, próbując dmuchnąć z nosa czarny płatek. - Idioci. Za kilka tygodni niektórzy z nich będą po naszej stronie. Nawet jeśli nie zaraziłaś męża, siostrzo Willowes, to facet może mieć jeszcze szczęście.

Harper spojrzała na niego pytająco, on jednak najwyraźniej nie zamierzał jej niczego tłumaczyć.

- Dlaczego palą psy? - spytała. - Psy nie przenoszą choroby, prawda?

- W dzisiejszych czasach na świecie szaleją dwie epidemie. Jedna to smocza łuska, a druga to panika.

- Zawsze zaskakujesz mnie, kiedy to robisz.

- Kiedy co robię?

- Mówisz coś mądrego.

Jego śmiech przeszedł w świszczący oddech i musieli przystanąć. John przez chwilę dreptał w miejscu, trzymając się za brzuch.

- Czuję się, jakbym miał w płucach odłamki szkła - jęknął.

- Musisz się położyć. Daleko jeszcze?

- Tam. - Wskazał głową gdzieś w mrok.

Na drugim końcu parkingu stały zaparkowane samochody osobowe i półciężarówki, a wśród nich zabytkowy wóz strażacki - musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat - z parą reflektorów zamontowanych blisko siebie nad wysoką osłoną chłodnicy.

Kiedy John próbował usiąść za kółkiem, omal nie stracił równowagi i nie upadł. Harper chwyciła go za biodra i przytrzymała. Dysząc, zawisł na drzwiach samochodu. Oczy wychodziły mu z orbit, jakby coś tak naturalnego jak oddychanie wymagało od niego wielkiego wysiłku i skupienia.

Gdy doszedł do siebie, spróbował ponownie, i tym razem usadowił się na starym, czarnym, skórzanym fotelu. Z przyczepionego do przedniej szyby metalowego uchwyty zwiślał miedziany dzwoneczek. Prawdziwy dzwonek z ciężkim żelaznym sercem.

Harper obesza samochód i usiadła na miejscu pasażera. Z tyłu na

oparciach przymocowano rdzewiejące stalowe zaczepy; halligan pasował idealnie do jednego z nich.

Uruchomiony silnik wydał z siebie serię przyjemnych dla ucha kasznięć, które kojarzyły się Harper nie z samochodem, lecz z ubraniami wirującymi w suszarce.

- Siostrzo Willowes, byłaby siostra tak uprzejma i przesunęła tę dźwignię w górę i w prawo?

Niesprawną, prawą rękę opierał na kolanie, a lewą trzymał na kierownicy. Harper nie podobał się dziwny kąt, pod jakim wykręcił się jego prawy nadgarstek.

- Lepiej pozwól mi obejrzeć twoją rękę - zauważyła.

- Może kiedy będziemy mieć więcej czasu - odparł. - Dźwignia.

Wrzuciła wsteczny bieg, podczas gdy on nacisnął pedał sprzęgła.

John wycofał wóz z cienia ogromnego dębu na drogę i poprosił Harper, żeby wrzuciła jedynkę. Kiedy wyjeżdżając z parkingu, mijali siedzibę policji, wyciągnął rękę i uderzył w dzwonek, dobywając z niego dźwięczne „ding-dong”. Dźwięk ten skojarzył się Harper ze starymi trolejbusami z San Francisco.

Z pięćdziesiąt osób odprowadzało ich wzrokiem, ale miała wrażenie, że nawet przez chwilę nikt o nich nie pomyślał. Jeden gliniarz uchylił nawet przed nimi czapki. Harper rozglądała się za Jakobem, ale nie było go w ciężarówce ani wśród kręcących się na parkingu ludzi.

- Masz swój własny wóz strażacki - zauważyła.

- W świecie, w którym na każdym rogu szaleje pożar, coś takiego nie rzuca się w oczy. Poza tym nie masz pojęcia, jak często przydaje się dwudziestometrowa drabina.

- Wyobrażam sobie. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie pomóc dziecku, które utknęło na trzecim piętrze płonącego szpitala.

John pokiwał głową.

- Albo wymienić żarówkę na naprawdę duuużej wysokości. Wrzucisz dwójkę? Właśnie tak... cudownie.

Coraz szybciej oddalali się od ognisk, dymu i smrodu palonych ciał.

Powietrze nad wodą było mroźne i rześkie, a w wozie strażackim jadącym z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę panował przeraźliwy chłód.

Strażak uruchomił wycieraczkę, rozmazując na szybie szare wstęgi

popiołu.

- Ach - westchnął. - Spójrz tylko. To, co mamy na szybie wystarczyłoby, żeby zarazić całe Rhode Island.

Mknęli przez noc.

- To popiół - powiedziała. To jest w popiele. Dlatego nie zaraziłam Jakoba. Smocza łuska nie przenosi się przez dotyk. Człowiek musi mieć kontakt z popiołem.

- Wśród grzybów to dość popularna forma rozmnażania się. Trzeci bieg, proszę. Dziękuję. Farmerzy w Ameryce Południowej palą zarżone uprawy, a prądy powietrzne przenoszą zarodniki z popiołem aż do Nowej Zelandii. Podobnie jest z *Draco incendia trichophyton*. Wdychasz go z popiołem, który chroni zarodniki i przygotowuje je do rozmnażania, i zanim się obejrzysz, zadomawia się w twoich płucach. - Uśmiechnął się blado i dodał: - Byłem tam, kiedy się zaraziłaś. Tamtego dnia, gdy szpital stanął w ogniu. Widziałem, jak wdychacie popiół, ale spóźniłem się, żeby kogokolwiek ostrzec.

Wjechali w dziurę - zdawało się, że samochód nie ma amortyzatorów, czuli każdą koleinę, wybój, a nawet łączenie -i John jęknął.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby ostrzec resztę świata.

- Co? Myślisz, że jestem pierwszy, który wpadł na to, że smocza łuska przenosi się z popiołem? Jestem skromnym mykologiem z college'u stanowego. Albo raczej byłem. Idę o zakład, że ci, którzy zajmują się badaniem smoczej łuski, gdziekolwiek są dobrze o tym wiedzą.

- Nie. Gdyby wiedzieli, co przenosi chorobę, ostrzegliby ludzi.

- Może ostrzegają... w częściach kraju nieogarniętych chaosem i tych, których nie spisano na straty. Problem w tym, że znajdujemy się po nawietrznej. Od wszystkich. Północnoamerykański prąd strumieniowy zawiewa wszystko w naszą stronę. Ci, którzy dziś nie chorują, zachorują jutro albo za rok. Jestem przekonany, że przenoszone z popiołem spory mogą czekać na żywiciela naprawdę długo. Tysiące lat. Może nawet miliony.

Samochód zjechał na lewe pobocze i uderzył w skrzynkę na listy, przewracając ją. Harper chwyciła kierownicę i pomogła Johnowi wyjechać z powrotem na środek wyboistej drogi.

Zadrżał i zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Patrząc na niego,

można by pomyśleć, że to nie on kieruje samochodem, ale samochód nim, i że strażak z trudem trzyma się kierownicy.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to naprawdę pomysłowy cykl. popiół zaraża żywiciela, który ostatecznie zmienia się w żywą pochodnię, produkując jeszcze więcej popiołu, który zaraża kolejne osoby. Na razie możemy jeszcze mówić o zainfekowanych i zdrowych. Ale za kilka lat zostaną tylko zainfekowani i martwi. Pozostaną tylko ci, którzy nauczyli się żyć ze smoczą łuską, i ci, którzy spłonęli... przez własne lęki i niewiedzę.

Wyciągnął rękę i zaczął potrząsać dzwonkiem, dobywając z niego dźwięki tak głośne, że raniły uszy Harper i sprawiały, że bolały ją zęby. Zbliżyli się do zjazdu. Harper chciała, żeby zdjął nogę z gazu, chciała powiedzieć „zwolnij, John, proszę”, lecz nagle skrzywił się i gwałtownie skręcił w lewo, zjeżdżając z Little Harbor Road.

Wóz strażacki wjechał na prowadzącą do obozu, zasypaną śniegiem dróżkę i przejechał między stojącymi przy wejściu głazami. Harper zdążyła dostrzec szczupłą, mniej więcej piętnastoletnią dziewczynę, która stała na warcie przy autobusie. Czujka musiała usłyszeć dźwięk dzwonka, bo podniosła łańcuch i pozwoliła im przejechać.

- Zredukuj do trójki, siostro Willowes. Właśnie tak.

John kołysał się na boki, gdy samochód coraz wolniej wtaczał się na wzgórze. Harper zastanawiała się, co powinna zrobić, kiedy już znajdzie się w izbie chorych. Będzie potrzepała plastra, bandaża, advilu, nożyczek, temblaka, opasek uciskowych i plastikowej szyny. A nie miała pojęcia, czy w obozowej apteczce znajdzie coś poza advilem i plastrem. Wjechali na szczyt...

...i nabierając prędkości, toczyli się w dół. Po lewej stronie mignęła kaplica. Spod kół sypały się lśniące drzazgi zmarzłego śniegu.

- Minąłeś zjazd do sali chorych - zauważyła.

- Nie jedziemy tam. Nie mogę całą noc być poza domem Ogień w moim piecu wygaśnie.

- I co z tego? Panie Rookwood, zachowuje się pan nierozsądnie. Ma pan pęknięte żebra i zwichnięty albo złamany nadgarstek, a także prawdopodobnie złamaną kość przedramienia albo wyrostek łokciowy. Dlatego musi pan zawrócić.

- Obawiam się, siostro Willowes, że czasy, kiedy mogłem cokolwiek

zawrócić, bezpowrotnie minęły.

Wóz zwolnił, łomocząc i kołysząc się na boki, minął rząd jodeł i podjechał pod hangar na łodzie. Strażak z trudem skrzył kierownicą i hamując, wjechał do środka. Przetoczył się obok stojaków z kajakami i kanu i zatrzymał się na wylanej betonem płycie.

John wyłączył silnik i milcząc, siedzieli przez chwilę w zimnie i ciemności. Pochylił się i oparł głowę na kierownicy.

- Muszę się dostać na wyspę, siostró Willowes - odezwał się, nawet na nią nie patrząc. - Muszę. Proszę. Mówiłaś, że chcesz mi pomóc. Jeśli rzeczywiście tak jest, odstawisz mnie na wyspę, gdzie moje miejsce.

Harper podeszła do drzwi od strony kierowcy i pomogła mu wysiąść.

Zdrową ręką objął ją za ramię i poruszając się z trudem, wyszedł na stopień, a zaraz potem na ziemię. Jego blada twarz zdawała się świecić w ciemności. Oczy miał szeroko otwarte. Pracując jako pielęgniarka, Harper często widziała coś podobnego. Kiedy ból stawał się nie do zniesienia, pacjenci sprawiali wrażenie zdumionych, jakby widzieli lewitującego magika.

Kuśtykając, szli po szklistej, białej skorupie zamrożonego śniegu, tuląc się do siebie i drobiąc kroki jak para staruszków.

Przy brzegu czekała zacumowana łódka z wiosłami złożonymi na dnie. Nigdzie nie było śladu Ojca Storeya ani pozostałych. Nic dziwnego - droga powrotna zajmie im co najmniej godzinę. Mniej więcej tyle trwało, zanim dotarli nad staw South Mill, a wtedy nad wodą nie zalegała gęsta mgła.

Teraz mlecznobiałe opary kłębiły się nad powierzchnią, ograniczając widoczność niemal do zera. Wysepka Johna oddalona od brzegu o niecałe sto metrów (podczas odpływu można było praktycznie przejść tam suchą stopą) zniknęła pośród bieli.

- Mam nadzieję, że odnajdą drogę do domu - odezwała się Harper. - I domyślą się, że wróciłam z tobą.

- Ojciec Storey zna drogę - uspokoił ją John. - Pływał wzdłuż tych wybrzeży, kiedy ty byłaś dzieckiem. Albo jeszcze dłużej. Poza tym wie, że nie zostawiłbym cię.

A ciebie zostawiliby na pastwę losu, gdyby nie ja, pomyślała Harper.

Ostrożnie zajął miejsce na dziobie, a Harper odepchnęła łódkę od brzegu i sama usadowiła się na rufie. Usiadła na ławce i chwyciła za

wiosła.

- Wiosłuj - poprosił ją. - Zabierz nas na drugi brzeg rzeki Lete, przewoźniku. Przewoźniczko. - Roześmiał się. - Ruszajmy!

Wziął lampę naftową stojącą na dnie między ławkami, zdjął szklany klosz i potarł knot palcem. Błysnęło światło: język niebieskiego płomienia. Strażak zerknął na Harper, jakby chciał się upewnić, że go obserwuje. Nawet ranny lubił zwracać na siebie uwagę.

Wiosła szczęknęły w dulkach. Harper miała wrażenie, że nie płyną, ale wzbijają się w niebo i szybują pośród chmur. Mgła rozstępowała się przed nimi, rozgarniana dziobem, jak kłęby świetlistego pierza.

Harper wyteżęła wzrok, wyglądając brzegów wyspy, gdy łódź wpłynęła na płyciznę i zatrzymała się gwałtownie.

- Grunt jest tu podmokły, ale żadne z nas nie utonie raczej w błocie - powiedział. - Idź za mną i stawiaj stopy tam gdzie ja.

Zanim zdążyła mu pomóc, przełożył jedną nogę przez burłę, zachwiał się i upadł. Lampa, którą trzymał w ręce, spadła na ziemię, roztrzaskała się i zgasła. Strażak krzyknął z bólu, a zaraz potem parsknął pijackim rechotem, który wystraszył i zirytował Harper.

Wyskoczyła z łodzi i ugrzęzła po kostki w błocie. Czuła się, jakby brodziła w zimnym, lepkim budyniu. Jej but utknął w mule, kiedy próbowała podejść do strażaka. Drugi zgubiła, pomagając Johnowi wyjść na suchy grunt. Został wessany przez błocko z mokrym mlaśnięciem, i tyle go widziała.

Chwiejnym krokiem szli po ubitym, wilgotnym piasku. W końcu Harper dostrzegła szopę, ciemnozieloną ścianę z białymi drzwiami, i skierowała się w tamtą stronę.

- Będiesz musiała wrócić i wciągnąć łódkę. - John uniósł rygiel i ramieniem pchnął drzwi. - Jeśli tego nie zrobisz, przyplów ściągnie ją do wody.

Potrzebowała chwili, żeby przyzwyczaić oczy do mroku. Zobaczyła łóżko polowe, wiszące na sznurze ubrania, stosy książek, które wyglądały, jakby moczono je i suszono wiele razy, przez co odkształciły się i napęczniały. Przez dwa świetliki - jedyne okna w pomieszczeniu - sączyło się do środka srebrzystobiałe światło.

W drugim końcu warsztatu - zdaniem Harper to słowo najlepiej oddawało charakter pomieszczenia - stała na metalowych nogach,

przewrócona na bok wielka żeliwna beczka. Podobną widziała u ojca na Florydzie w ogrodzie za domem; używał jej jako grilla do pieczenia łopatkę wieprzowej na wolnym ogniu. Do jednego końca przyspawano wygiętą rurę kominową, która znikwała w ścianie.

Z boku beczki wycięto otwór. Obok domowej roboty pieca leżały staranne kupki trawy morskiej i drewna wyrzuconego przez wodę na brzeg. John pokuśtykał po zbitej z wąskich desek podłodze w stronę beczki i spojrział na płonący w niej dziwny, zielononiebieski ogień.

- Jestem tu, kochanie - szepnął do rozżarzonych węgielków. - Wróciłem do domu.

Znalazł kilka suchych deszczulek i włożył je do ognia, zanurzając dłonie w płomieniach aż po nadgarstki. Zaraz potem cofnął się i oparł ręce na biodrach. Wzrok miał szklisty, obojętny i nawet na chwilę nie odrywał wzroku od paleniska. Podszedł tyłem do łóżka i usiadł na nim.

Harper pomogła mu się położyć i zaczęła rozpinać mu koszulę, on jednak patrzył ponad jej ramieniem na beczkę, w której buzował ogień. Wyglądał jak zahipnotyzowany.

- Opuść rygiel - wyszeptał.

Zignorowała jego prośbę i poluzowała szelki.

- Najpierw zdejmę tę koszulę - powiedziała.

- Proszę... - Roześmiał się słabo. - Może nas zobaczyć i pomyśleć sobie Bóg wie co.

Harper przyłożyła mu dłoń do policzka. Niespecjalnie przejęła się tym, że jest rozpalony. Podciągnęła mu koszulę i spróbowała ją zdjąć. Lewa ręka bez trudu wysunęła się z rękawa, ale kiedy zaczęła zsuwać prawy, John wydał stłumiony dźwięk, coś, co zabrzmiało jak szloch połączony ze śmiechem.

Prawy łokieć miał opuchnięty, a skórę szpecił fioletowy siniak upstrzony ciemniejszymi, prawie czarnymi plamkami.

- Możesz ją zgiąć? - spytała.

Strażak zawył z bólu, gdy delikatnie uniosła jego rękę, zginając ją w łokciu i badając palcami kość. Nie wyczuła złamania, ale tkanka miękka zrobiła się guzkowata, a więzadła były wyraźnie nadwyreżone. Nadgarstek prezentował się znacznie gorzej, spuchł do rozmiarów łydki i nabrał paskudnej, granatowej barwy.

Harper chwyciła rękę w nadgarstku, drugą ściskając jego

przedramię. Pokręciła nadgarstkiem to w jedną, to w drugą stronę, szukając nadwichnięcia. Kość księżycowata się przemieściła.

- Jest źle? - zapytał.

- Nic poważnego - odparła. Musiała nastawić kość, im szybciej, tym lepiej. Skrzyżowała kciuki nad nadgarstkiem Johna. Jego blada, niemal wyprana z koloru twarz była zroszona potem.

- Powiedz - odezwał się. - Chyba nie zamierzasz robić mi nic strasznego?

Uśmiechnęła się przepaszająco i nacisnęła. Nasada kości wróciła na miejsce z cichym, wilgotnym cmoknięciem. Strażak zadrżał i zamknął oczy.

Harper utkwiała wzrok w prawym boku mężczyzny, ozdobionym patchworkiem siniaków. Musnęła palcami jego żebra Złamanie tu. Złamanie tam. I jeszcze jedno. W sumie cztery.

- Harper - wydyszał. - Chyba zaraz zemdleję.

- To nic.

Nie zemdlał jednak. Jeszcze nie teraz. Skulił się na skraju materaca, drżąc jak w febrze i przyciskając stłuczone ramię do posiniaczonej prawej strony.

Musiała zrobić dla niego jakiś temblak. Wstała i zaczęła przetrząsać leżące przy łóżku rupiecie. Znalazła pudełko pełne brudnych frisbee, piłek tenisowych, bramek do krokieta i drewnianych młotków. Było w nim wszystko, czego potrzebuje człowiek, który chce spędzić miłe popołudnie na świeżym powietrzu. Za pudełkiem leżał łuk, który czasy świetności miał już za sobą, oraz płócienny kołczan, a w nim kilka żałośnie wyglądających strzał z oskubanymi lotkami. Bez zastanowienia wysypała je na podłogę. Kolejna minuta polowania zaowocowała znalezieniem sekatora.

Rozcięła kołczan, robiąc z niego płócienne koryto, i poluzowała pasek, który miał trzymać kołczan na ramieniu łucznika. Kiedy podeszła do łóżka, John na wpół siedział, na wpół leżał. Wciąż miał dreszcze, choć nie tak silne jak jeszcze chwilę temu. Powieki mu opadły.

Harper umieściła jego prawe ramię w prowizorycznym temblaku; była delikatna i cierpliwa; uważała, by niepotrzebnie nie nadwerężyć nadgarstka ani łokcia. John wziął kilka gwałtownych wdechów, ale

poza tym znosił wszystko w milczeniu. Opatrzywszy ramię, Harper pomogła mu się położyć i przykryła go kocem.

Kiedy wydawało jej się, że zasnął, usłyszała cichy szept:

- Teraz drzwiczki. Proszę. Żeby utrzymać temperaturę. Dzięki temu ogień nie zgaśnie tak szybko.

Odgarnęła ze spoczonej skroni kosmyk ciemnych włosów.

- Dobrze, John - odparła.

Podeszła do pieca, jednak nie od razu zamknęła drzwiczki, jej uwagę zwrócił dziwny, żywy kolor płomieni: zielonkawy i różowy. Przez niemal minutę przyglądała się im jak zauroczona, a gdy w końcu wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwiczki, zobaczyła... ją.

Na krótką chwilę w płomieniach pojawiła się twarz: twarz kobiety o dużych, szeroko rozstawionych oczach i klasycznych, posągowych rysach; twarz podobna do Allie, choć pełniejsza, starsza i smutniejsza. Wargi miała rozchylone, jakby zamierzała coś powiedzieć. Nie była halucynacją, widziałem ani grą świateł. Nie, twarz w płomieniach wpatrywała się w Harper przez pełne pięć sekund.

Harper próbowała krzyknąć, ale powietrze uszło jej z płuc. Kiedy w końcu złapała oddech, utkana z ognia kobieta zniknęła.

Harper cofnęła się, wypatrując w płomieniach dalszych cudów. Myśl o tym, żeby zamknąć drzwiczki, zupełnie wyleciała jej z głowy. Obejrzała się na Johna, żeby zapytać go o to, co właśnie zobaczyła - i dowiedzieć się, co, u diabła, jest w piecu - on jednak spał. Oddech ulatywał z niego z cichym, stłumionym świstem.

Nagle sama poczuła się zmęczona. Znużenie niczym ból wciskało się w każdy zakątek jej ciała. Usiadła w głębokim, miękkim fotelu z wytartymi płóciennymi poduszkami, skąd mogła obserwować ogień na wypadek, gdyby zauważyła w nim coś jeszcze.

Płomienie pełgały i tańczyły, rzucając na nią pradawny, hipnotyczny urok i wysysając z jej głowy myśli i resztki silnej woli. Ich ciepły blask dawał poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Z jednej strony Harper obawiała się, że utkane z ognia zasłony rozsuną się i znowu zobaczy tamtą kobietę. Z drugiej - pragnęła ją zobaczyć.

Musiała na chwilę przymknąć oko.

Obudził ją krzyk - szloch bólu lub przerażenia. Nie była pewna, ile upłynęło czasu, minuta czy może godzina, i nie wiedziała, czy rzeczywiście coś usłyszała, czy może się jej przyśniło. Nasłuchiwała, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Ogień przygasł i dopiero po chwili przypomniała sobie, że John chciał, by zamknęła drzwiczki. Z trudem dźwignęła się fotela i spełniła jego prośbę. Po chwili wróciła na fotel i przez jakiś czas dryfowała w spokojnej, szarej strefie między jawą a snem. Była niczym pusta łódka na bezkresnym oceanie - cudowne uczucie, które nagle jej o czymś przypomniało, kładąc kres błogości. Łódź. John ostrzegwał, żeby wciągnęła ją na brzeg, w przeciwnym razie utkną na wyspie.

Na myśl o tym jak oparzona zerwała się z fotela. Przeszywający, słony wiatr wymiół z jej głowy resztki pajęczyn.

Zaczynało świtać i w pierwszych promieniach brzasku mgła przypominała perłowy jedwabny szal. Podmuchy wiatru darły ją na srebrzystobiałe pasy i pośród tych rozdarć Harper zobaczyła przeciwny

brzeg.

Trzy kajaki wciągnięto na śnieg. A więc wszyscy wrócili cali i zdrowi. Nick był na plaży i ciągnął po piasku jeden z nich. Harper zastanawiała się, kto wysłał go tam samego, żeby zaciągnął kajaki z powrotem do hangaru. O tej porze chłopiec powinien leżeć w łóżku.

Pomachała do niego. Gdy tylko ją zauważył, zapomniał o kajaku i zaczął wściekle wymachiwać rękami, unosząc ramiona nad głowę jak ktoś, kto rozpaczliwie prosi o pomoc. Nagle dotarło do niej, że źle oceniła sytuację. Nick nie był odpowiednio ubrany na taką pogodę: miał na sobie lekki, czarny polar i kapcie. A kajak... Chłopiec nie ciągnął go w stronę hangaru, ale w kierunku wody. Nikt nie wysłał go, żeby zabrał kajaki z brzegu. Nick szukał jej.

Niewiele myśląc, wskoczyła po kostki do słonawego, cuchnącego błota. Gdzieś w tej grząskiej brei były jej buty. Nawet nie próbowała ich szukać, po prostu zepchnęła łódkę do wody i wskoczyła do środka.

Wiosłując, wpłynęła na przystań, gdzie Nick czekał na nią zwojem omszałej liny. Chłopak okręcił ją wokół kołka na końcu łódki i chwycił Harper za rękę. Miała wrażenie, że gdyby był silniejszy, wyciągnąłby ją na sosnowe deski, jak rybak wyciąga rybę z wody.

Zerwał się do biegu, ale nie puścił jej ręki i szarpiąc ją, zaczął wspinać się po stromym zboczu. Oddech rzeźił mu w gardle. Harper nie była w stanie iść tak szybko jak on, a jej bose stopy zapadały się w śniegu.

- Zaczekaj - wydyszała i szarpnięciem zmusiła go, żeby się zatrzymał. Udawała, że nie jest w stanie złapać oddechu, a tak naprawdę chciała, żeby to on odsapnął. - Czy możesz pisać? Co się stało, Nick?

Wyszarpnęła rękę z jego dłoni i udała, że coś pisze, drapiąc powietrze niewidzialnym długopisem. On jednak żałośnie pokręcił głową i zerwał się do biegu, jakby nagle przestało go obchodzić, czy pobiegnie za nim, czy nie.

Mgła kłębiła się wokół pni czerwonych sosen, przelewając się nad ziemią niczym duch ogromnej powodzi, który w zwolnionym tempie cofał się z powrotem do morza.

Pobiegła za chłopcem do sali chorych, gdzie w końcu się zatrzymał i czekał na nią u podnóża schodów. Obok niego stała jego ciotka, bosa, jedynie w cienkiej flanelowej piżamie.

- Mój ojciec... - wydyszała Carol, próbując złapać powietrze, jakby to ona, nie Harper, przebiegła właśnie kilometr pod górę ośnieżonego zbocza. - Chodzi o mojego ojca. Modliłam się, prosiłam Boga, żebyś wróciła, i oto jesteś. Teraz musisz obiecać, że go uratujesz. Obiecaj mi to.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparła Harper. Ujęła Carol za łokieć i pociągnęła ją za sobą w stronę wejścia. - Co się stało?

- On płacze krwią. I rozmawia z Bogiem. Kiedy wychodziłam, błagał Boga, żeby wybaczył człowiekowi, który go zamordował.

W sali chorych było zbyt wiele osób. Carol i Harper przeciskały się przez tłum, w którym była Allie, bliźniaczki Neighbors, Michael i kilka innych czujek. Niektórzy z nich trzymali się za ręce. Nagą pierś Mike'a przecinała lśniąca od potu i krwi czerwona pręga. Ze spuszczoną głową, zamkniętymi oczami i ustami poruszającymi się w cichej modlitwie wyglądał jak człowiek medytujący w indiańskim szałasie potu. Jedna z dziewcząt siedziała na podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę i szlochała.

Na blatach i wokół zlewu płonęły świece, a mimo to w pomieszczeniu panował mrok. Tom Storey leżał w łóżku najbliżej drzwi, Harper nie widziała go jednak dokładnie. W ciemnościach wyglądał jak leżący na kołdrze, rzucony byle jak płaszcz. U wezłowia łóżka stał Don Lewiston.

- Młodzi ludzie - zaczęła Harper. Zabrzmiała jak ktoś znacznie starszy od Allie i Michaela, nie jak dwudziestosześcioletka, która ledwie cztery lata temu ukończyła studia. -Dziękuję. Dziękuję za wszystko, co zrobiliście. - Nie miała pojęcia, czy ci, do których się zwraca, zrobili cokolwiek, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Łatwiej manipulować kto wierzy, że dokonał czegoś ważnego, czegoś, co wszystko zmieniło. - Muszę jednak prosić wszystkich o wyjście. Potrzebujemy powietrza i spokoju.

Allie płakała. Policzki miała zaczerwienione i mokre od łez. Maską Kapitana Ameryki, brudna i zniszczona, wisiała na jej piersi. Dziewczyna prawie niezauważalnie skinęła głową i ścisnęła dłoń Michaela. Zaraz potem oboje zaczęli w milczeniu wyprowadzać ludzi z sali.

Harper chwyciła Michaela za ramię i przyciągnęła go do siebie.

- Weźcie też Carol - szepnęła. - Proszę. Powiedzcie, że chcecie z nią zaśpiewać. Że Nick jest zdenerwowany i potrzebuje ciotki. Powiedzcie jej, co chcecie, ale jąstąd zabierzcie. Ona nie może tu być.

Michael potaknął dyskretnie i zawołał:

- Panno Carol?! Zaśpiewa pani z nami? Pomoże nam pani śpiewać dla Ojca Storeya?

- Nie... - odparła Carol. - Muszę zostać przy ojcu. On mnie potrzebuje. Chcę, żeby wiedział, że tu jestem.

- Będzie wiedział - zapewnił ją Michael. - Zaśpiewamy razem i wezwiemy go, żeby dołączył do nas w Światłości. Dzięki temu poczuje, że jest pani blisko. Jeśli zabierze go pani z sobą do Światłości, będzie wiedział, że jest pani przy nim, przestanie się bać i nie będzie czuł bólu. Oboje wiemy, że tam nie ma miejsca na ból. To jedyne, co w tej chwili możemy dla niego zrobić.

Ciałem Carol wstrząsnęły dreszcze. Harper zastanawiała się, czy kobieta nie jest w szoku.

- Tak, tak, Michaelu. Myślę, że masz rację. Myślę...

Usłyszeli głos jej ojca. Był radosny, ale dziwnie napięty, jakby Ojciec Storey mówił przez długi czas i nadwyreżył struny głosowe.

- Och, Carol! Kiedy śpiewasz, tak bardzo cię kocham, że czuję się, jakby miało mi pęknąć serce - powiedział z sarkazmem i parsknął śmiechem zupełnie do niego niepodobnym. - Po ostatniej piosence moje serce jest popękane jak szyba w oknie! To dobrze, bo przez witraż trudno cokolwiek zobaczyć.

Carol stała jak sparaliżowana, gapiąc się na niego. Na jej twarzy malował się ból i niedowierzanie, jakby ktoś ugodził ją nożem.

Don Lewiston podtrzymywał rękami głowę Ojca Storeya, przykładając mu do czoła bawełnianą ściereczkę. Koszula Michaela leżała zwinięta między głową staruszka a poduszką. Flanela była sztywna od zakrzepłej krwi.

Oczy Toma Storeya patrzyły każde w inną stronę. Jedno spoglądało w dół i w lewo, podczas gdy drugie wpatrywało się w czubki butów. Rozciągnął usta w przebiegłym uśmiechu.

- Na całym świecie tysiące ludzi modlą się do Boga, a co on na to? Nic! Ponieważ cisza nigdy nie kłamie. Milczenie to ostateczna przewaga, jaką ma nad nami Bóg. To najczystsza forma harmonii. Każdy powinien jej spróbować. Zamiast kłamstw włożyć do ust kamyk. Zamiast plotkować położyć kamyk na języku. Pogrzebmy kłamców i niegodziwców pod stosem kamieni, aż umilkną na zawsze. Zmiażdżmy ich, alleluja! - Zaczerpnął powietrza i szepnął: - Diabeł jest na

wolności. Widziałem go dziś wieczorem. Widziałem, jak wyszedł z kłębow dymu. Moja głowa zawałiła się i pełna jest kamieni. Zmiażdżmy ich, amen! Uważaj, Carol. Ten obóz należy do diabła, nie do ciebie. On nie przybył tu sam. Wielu mu służy.

Carol patrzyła na ojca z upiorną fascynacją. Ojciec Storey oblizwał wargi.

- Sam to na siebie sprowadziłem. Nazywałem słabość życzliwością i kłamałem, choć powinienem był włożyć do ust kamyk. Zrobiłem najgorszą rzecz, jaką może zrobić ojciec. Faworyzowałem jedno z dzieci. Przepraszam, Carol. Proszę, wybacz mi. Zawsze kochałem bardziej Sarah. Dlatego powinienem teraz do niej dołączyć. Dajcie mi kolejny kamyk. Większe obciążenie. Dość już powiedziałem. Amen.

Odetchnął przeciągle i zamilkł.

Harper zerknęła na Carol.

- On tak wcale nie myśli - powiedziała. - Cierpi z powodu krwiaka podtwardówkowego. Jeśli wygaduje bzdury, to dlatego że krwiak uciska na mózg.

Carol patrzyła na nią jak na obcą osobę, jakby nigdy dotąd jej nie widziała.

- To nie są bzdury. To objawienie! Mój ojciec robi to co zawsze. Pokazuje nam drogę. - Nie odwracając się, sięgnęła do tyłu, wzięła Michaela za rękę i ścisnęła ją. - Zaśpiewamy. Zaśpiewamy i wezwiemy go do Światłości. Podarujemy mu światło, którego potrzebuje, żeby do nas wrócić. A jeśli nie wróci... jeśli musi odejść... - Głos jej się załamał. Gwałtowny kaszel wstrząsnął jej ramionami, ale zaraz dodała: - ...jeśli musi odejść, nasza pieśń poprowadzi go i doda mu otuchy.

- Tak - poparła ją Harper. - Tak właśnie należy uczynić. Idźcie i zaśpiewajcie dla niego. Ojciec Storey potrzebuje waszej siły. I zaśpiewajcie dla mnie, bo ja również jej potrzebuję. Spróbuję mu pomóc, ale się boję. Będę wam bardzo wdzięczna, jeśli zaśpiewacie dla nas obojga.

Carol posłała jej zdumione spojrzenie, stanęła na palcach i pocałowała ją w policzek. Chwilę później już jej nie było; zniknęła za kotarą, zabierając z sobą pozostałych.

Don Lewiston również szykował się do wyjścia i opuścił rękawy, żeby je zapiąć.

- Ty nie, Don - powstrzymała go Harper. - Ty zostań. Będziesz mi potrzebny.

Okrążyła łóżko i zajęła miejsce Dona Lewistona. Delikatnie ujęła w dłonie głowę Toma Storeya. Jego siwe włosy były mokre od krwi. Za prawym uchem wyczuła pod palcami ciepły, wilgotny guz - miejsce, gdzie został uderzony - i kolejny, nieco wyżej, gdzie prawdopodobnie spadł drugi cios.

- Jak to się stało? - spytała.

- Nie wiem - odparł Don. - Nie słyszałem wszystkiego. Mikey znalazł go półżywego w lesie i zaniósł do obozu. Myślę, że to sprawa jednego z więźniów. Tak to przynajmniej wygląda. Teraz zajmuje się nimi Ben.

Zajmuje się nimi? Co to znaczyło? Zresztą nieważne. Nie teraz.

- A Ojciec Storey nie potrafił powiedzieć, co się wydarzyło?

- Bełkotał bez ładu i składu. Twierdził, że to kara. Mówił, że został ukarany za to, że pomagał niegodziwcom.

- Krwiak naciska na mózg. On nie ma pojęcia, co mówi.

- Wiem.

Zbadała źrenice staruszka, powąchała jego usta i wyczuła zapach wymiocin. Pomyślała o tym, co powinna zrobić, i poczuła mdłości. Nie z powodu tego, co ją czekało - dawno temu przyzwyczała się do widoku krwi - ale na myśl o tym, że coś mogłoby pójść nie tak.

Słyszała głosy, które w poczekalni przygotowywały się do wspólnego śpiewania, czujki, które nuciły pod nosem, próbując znaleźć wspólną tonację.

- Potrzebuję maszynki, żeby zgolić włosy - powiedziała.

- Jasne, zaraz przyniosę - rzucił Don i ruszył w stronę drzwi.

- Don?

- Taa?

- Możesz przynieść wiertarkę? Może z warsztatu? Wiertarka silnikowa byłaby najlepsza, ale nie sądzę, żebyś znalazł coś takiego. Wystarczy taka na korbę.

Don spojrział na nią, na Toma Storeya - jego siwe włosy unurzane w czerwonej pianie - i znowu na nią.

- Słodki Jezu. Coś jeszcze?

- Gorącą wodę, żeby wysterylizować wiertło. Dziękuję.

Milczał, więc podniosła wzrok, żeby powiedzieć mu, że to wszystko i

że powinien iść, ale już go nie było.

W sąsiednim pomieszczeniu rozpoczęły się śpiewy.

Harper obmyła twarz Ojca Storeya wilgotnym ręcznikiem kuchennym, ścierając z niej sadzę i krew, i odsłaniając pociągłe, dziwnie wilcze rysy. Od czasu do czasu lewe oko staruszka nabiegało krwią, która spływała mu do ucha, i Harper znowu musiała ją wycierać.

Wydawało się, że Tom Storey wsłuchuje się w głosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia. To była ta sama pieśń, którą Harper słyszała tej nocy, gdy przybyła do obozu. Była pewna, że tym razem nie dołączy do Światłości - nie mogła dać się ponieść migotliwej jasności, w której wszystko było łatwiejsze i lepsze. Jej miejsce było tu, u boku konającego mężczyzny. Zastanawiała się jednak, czy nie byłoby dobrze, gdyby Ojciec Storey przyłączył się do wiernych, i czy Światłość nie mogłaby zastąpić środków uspokajających i osocza, którymi Harper nie dysponowała.

Tymczasem czarne esy-floresy na jego starym, pomarszczonym ciele pozostały ciemne i zimne.

- Bóg to wspaniała historia - odezwał się nagle. - Lubię ją, tak jak lubię patelnię i Wendy. Czytaliśmy ją razem, Sarah, kiedy byłaś małą dziewczynką.

Oczami wyobraźni Harper zobaczyła pełną spokoju, utkaną z płomieni piękną twarz. Ścisnęła rękę staruszka.

- Nie jestem Sarah, Ojciec Storey - sprostowała. - Jestem siostra Willowes, pańska przyjaciółka.

- To dobrze. Siostrze Willowes, jest parę rzeczy, o których chciałbym porozmawiać. Obawiam się, że ktoś gra na nas jak na ukulele. Ktoś wymyśla nowe teksty do starych piosenek. Trzeba szybko reagować. Te zapasy nie wystarczą na długo.

- Najpierw musimy naprawić pańską głowę - zwróciła się do niego. - Potem będziemy się martwić złodziejem.

- Nie włożyłbym złodzieja do ust, bałbym się, że ukradnie mi rozum - ciągnął. - Zresztą kamyki smakują lepiej. Myślę, że uderzyłem się w

głowę i zgubiłem swój cień. Dasz radę wsadzić go tam z powrotem, czy zdążył już dać nogę?

- Potrzebuję tylko igły i nitki, i będzie Ojciec zdrów jak ryba.

- Żeby tylko głowa była zdrowa - rzucił. - Bo reszta do niczego się nie nadaje. Wie siostra, że moja Sarah była okropną złodziejką. Okradała... okradała nas wszystkich. Nawet strażaka. Biedny John Rookwood. Starał się jej nie zabić. Pewnie teraz stara się nie zabić ciebie. Znając jego szczęście, zakocha się w tobie. Z deszczu pod rynnę.

- To jasne, że próbował jej nie zabić. To nie on ją zabił. Z tego, co wiem, nie było go na wyspie, kiedy Sarah...

- Ależ nie! Nie! Oczywiście, że nie. Był tylko niewinnym obserwatorem. Tak jak Nick. Nie możesz winić chłopca. Obaj byli jej współnikami mimo woli. Czego nie mogła dostać od jednego, dostawała od drugiego. Była niesamowitą kobietą. Wiem, że John obwinia siebie, choć nie powinien. Został spalony za zbrodnię, której nie popełnił. Umarła panna młoda i wszystkim było szkoda. Ale przecież nie byli małżeństwem. Nigdy nie wzięliby ślubu. Koniec końców, wszyscy strażacy są oddani jedynie popiołom. Słyszałaś tę starą wyliczankę? John i Sarah pod dębem siedzą i gorące węgle jedzą.

- Urwał, patrząc lewym okiem na coś ponad jej ramieniem. - Jest i mój cień! Szybko! Zaszuj go z powrotem.

Harper się obejrzała. Zza zielonej zasłony zajrzała do pomieszczenia ciemna postać, a zaraz potem na salę wszedł Don Lewiston ze stalowym wiaderkiem parującej wody w jednej ręce i papierową torebką w drugiej.

- To się nazywa mieć cholerne szczęście! - zawołał. - Znalazłem pieprzoną wiertarkę silnikową z baterią, co to wciąż działa. Jeden stary dziwak przywiózł ją w tym tygodniu. Mówi, że miał ją w pick-upie. Trzeba tylko włożyć końcówkę do wrzątku.

- Masz maszynkę do golenia i nożyczki?

- Ano mam.

- To dobrze. Podejdz tu. Ojcie Storey? Tom?

- Sio stąd Willowes - wydukał Tom Storey.

- Tom, pozwól, że trochę cię ostrzygę. Leż cierpliwie.

- Jakim piwie? Zwykle nie piję, ale teraz chętnie coś bym golnął. Pić mi się chce jak diabli.

- Rozumiesz coś z tego? - spytał Don Lewiston.

- Don, ciebie też zwykle nie rozumiem. Podnieś mu głowę.

W pomieszczeniu obok przebrzmiały ostatnie słowa piosenki. Carol mruknęła coś do swojej trzódki. Ona i jej wierni byli teraz w Światłości, a blask, którym emanowali, przeświecał przez wiszącą w drzwiach kotarę, zmieniając jej kolor z ciemnozielonego na żółtozielony.

Don trzymał w rozcapierzonych palcach głowę ojca Storeya, podczas gdy Harper obcinała kosmyki lepkich od krwi włosów z miejsca za uchem, gdzie został uderzony. Skóra była tu fioletowoczarna jak bakłazan.

Głosy w poczekalni zaintonowały nową piosenkę. Tym razem z repertuaru Beatlesów. Zbliżał się wschód słońca, a długa, samotna zima dobiegała końca.

Tom Storey naprężył się niczym struna i zaczął wierzgać jak oszalały.

- Ma napad padaczkowy - rzuciła Harper.

- Udławi się własnym językiem! - krzyknął Don Lewiston.

- To anatomicznie niemożliwe.

- Tracimy go.

Tak, pomyślała Harper. Jeśli nie są to drgawki przedśmiertne, te niebawem nastąpią. W kąciку ust Toma Storeya zebrała się biała piana. Zacisnął pięść na prześcieradle, rozluźnił ją i znowu zacisnął. Prawa ręka była całkowicie bezwładna. Harper chwyciła go za nadgarstek, próbując wyczuć nieregularny, przyspieszony puls.

Z chwilą gdy piosenka w pokoju obok osiągnęła wysokie, słodkie dźwięki, oczy ojca Storeya otworzyły się gwałtownie, a tęczęwki zmieniły się w pierścienie złotego światła.

Jego ciało wygięte dotąd w łuk, tak że tylko głową i piętami dotykał materaca, zwiotczało i opadło na łóżko. Serce staruszka zaczęło zwalniać. Smocza łuska na jego skórze rozjarzyła się mdławym, czerwonym blaskiem, który przygasł, a zaraz potem zaczął pulsować.

Wyglądało to tak, jakby Tom Storey się uśmiechał; kąciکی jego ust uniosły się nieznacznie, powieki opadły.

- Odpłynął - zauważył Don. - Oby to coś dało. Śpiewaniem wyciągnęli go z najgorszego.

- Tak, na to wygląda. Załóż wiertło, Don.

- Czyli jednak to robimy?

- Jest prawie nieprzytomny. Albo zrobimy to teraz, albo nie zrobimy wcale. Drugiej szansy nie będzie.

Zgoliła resztę włosów, żeby odsłonić poobijaną głowę. Starła się nie myśleć. Wiedziała, że zastanawianie się, czy go zabije, przeprowadzając lobotomię, czy zadrży jej ręka i wiertło wejdzie na tyle głęboko, żeby uszkodzić mózg, nic nie da.

Don bez namysłu włożył rękę do niemal wrzącej wody -Harper przyszło do głowy, że jego dłonie są tylko trochę klikatniejsze od drelichowych rękawic - i wyciągnął ociekające wiertło. Zamontował je w wiertarce Black & Decker prosto z Home Depot i nacisnął włącznik. Wiertarka obudziła się do życia z dźwiękiem, który kojarzył się Harper z trzepaczką do ubijania piany i lukrem.

Spojrzał na ciemniejący krwiał na głowie ojca Storeya i z trudem przełknął ślinę.

- Chyba nie każesz mi... - zaczął, ale się rozmyślił i znowu przełknął ślinę. - Nie dalej jak wczoraj grałem z Tommym w karty. Nie mam pojęcia, ile ryb wypatroszyłem i oprawiłem, ale... Tommy... ja chyba nie...

- Nie, Don. Nie każę ci nic robić. Lepiej, żebyś ja się tym zajęła.

- Jasne. Pewnie robiła to już siostra.

Sądząc po tonie, jakim to powiedział, nie było to pytanie, i raczej nie oczekiwał odpowiedzi. Harper wyciągnęła rękę po wiertarkę. Znad wiertła uniosła się smużka dymu.

- Będę chciała, żebyś podtrzymał jego głowę. Nie pozwól, żeby się ruszyła - dodała chłodno głosem, który brzmiał dziwnie obco.

- Się robi.

Don chwycił głowę staruszka i delikatnie uniósł ją znad poduszki.

Harper przyjrzała się wiertarce, znalazła regulator prędkości i przekręciła go do oporu. Na próbę wcisnęła włącznik. Wiertło zmieniło się w rozmazaną smugę chromu i poczuła wibracje w całym ramieniu.

- Szkoda, że nie mamy lepszego światła - rzucił Don.

- Szkoda, że nie mamy lepszego lekarza. - Pochyliła się i zbliżyła wiertło do miejsca za prawym uchem Ojca Storeya, gdzie krwiał wyglądał najgorzej.

Wcisnęła włącznik.

Wiertło w ciągu sekundy przebiło cienką warstwę skóry, zmieniając

ją w coś, co wyglądało jak nasiąknięte mlekiem płatki owsiane. Zachrobotą kość i w powietrze uniosła się nitka dymu. Harper minimalnie zwiększyła nacisk. Pot wystąpił jej na czoło, ale Don był tak zajęty podtrzymywaniem głowy, że nie mogła go poprosić, by wytarł jej twarz. Kropla potu zatrzymała się na rzęsach i kiedy Harper mrugnęła, poczuła w oku pieczenie.

Z dziury w czaszce wypłynęła strużka krwi i spłynęła po żłobieniach wiertła. Jej widok kojarzył się Harper z dzieciakiem sączącym przez słomkę czerwoną oranżadę Kool-Aid.

- Dziękuję, Harper - przemówił Tom Storey, nie otwierając oczu. - Już mi lepiej.

Zaraz potem zamilkł i nie odzywał się przez kolejne dwa miesiące.

Księga czwarta

Marlboro Man

1

Z pamiętnika Harolda Crossa:

18 czerwca

Dziewczyny w tym obozie to banda lesbijskich dziwek i choćby jutro spłonęły, nic by mnie to nie obeszło.

W „SF” piszą, że mają w Presidio 2500 osób z łuską i nikt z nich nie płonie. Pieprzyć te bzdury! Jutro w kaplicy wydam publiczne oświadczenie. Ktoś powinien uświadomić tym ignorantom, że nie muszą być wyznawcami pieprzonego Kościoła tej świętojebliwej piczki Carol Storey. Wystarczy uwolnić oksytocynę, żeby łuska wiedziała, że znalazła idealnego żywiciela.

Jeśli jeszcze raz usłyszę *Spirit in the Sky* albo *Holly Holy*, to się porzygam. Moglibyśmy zakończyć tę całą sprawę, siadając razem i robiąc sobie dobrze. Jedno wielkie grupowe brandzłowanie pod przywództwem cudownej Carol. Jej tatusiek mógłby dogodzić jej, a ona dogodziłaby mi, bo przecież tak naprawdę tego właśnie chce.

Od kilku dni nie napisałem nowego wiersza. Nienawidzę tego miejsca.

Harper przeczytała zaledwie jedną przypadkową stronę z dziennika Harolda i przekartkowała kilka innych. Tu i ówdzie widziała nabazgrane cycki i cipki i słowa zapisane drukowanymi literami: ZDZIRY KURWY DZIWKI PIZDY. Nigdy nie spotkała Harolda Crossa, ale miała wrażenie, że całkiem nieźle go rozumie. Przyszło jej do głowy, że tomik jego poezji prezentowałby się całkiem nieźle w towarzystwie wydruku Orząc pustkowie.

Wróciła do zapisków z trzeciego maja i zatrzymała wzrok na jednym zdaniu: „Wystarczy uwolnić oksytocynę, żeby łuska wiedziała, że znalazła idealnego żywiciela”. Zamknęła dziennik, przez chwilę poklepywała się nim po udzie, schowała go do szuflady... i po chwili znowu wyjęła.

Spadzisty sufit wykonano z dużych, białych kwadratowych płyt wiórowych. Musiała stanąć na krześle, żeby ich dosięgnąć. Uniosła jedną z nich i wcisnęła pod nią dziennik. Kryjówka nie była tak dobra, jak ta w anatomicznym modelu ludzkiej głowy, ale na razie będzie musiała wystarczyć.

Harper nie potrafiła powiedzieć, przed kim właściwie chowa pamiętnik. Może robiła to, bo Harold też go ukrywał, a to znaczyło, że jego zdaniem jest w obozie ktoś, kto chętnie położyłby na nim łapę, gdyby tylko mógł.

Odstawiając krzesło, zauważyła na kłykciach i palcach prawej ręki ślady krwi. Była to krew Toma Storeya. Zmyła ją lodowatą wodą, patrząc, jak różowawe smugi jedna po drugiej znikają w odpływie.

Ojciec Storey spał na plecach z głową obwiązaną czystym, białym bandażem. Przez brudne okna wlewały się do pokoju mleczone promienie słońca. Światło dzienne, podobnie jak Tom Storey, wydawało się zmęczone i dziwnie nieobecne. Prześcieradło było jednak naciągnięte na jego pierś, a nie na twarz. Staruszek przeżył noc, a to już było coś.

Była zamroczona ze zmęczenia, ale dziecko nie zamierzało pozwolić jej spać. Było głodne. Miało ochotę na głęboki talerz ciepłego grysiku z masłem i syropem klonowym. Najpierw jedzenie, potem sen.

Idąc po chybotliwych sosnowych deskach w sięgających kolan oparach mgły, próbowała przypomnieć sobie, co wie na temat oksytocyny. Nazywano ją „hormonem przytulania”, bo uwalniała się, kiedy matka tuli dziecko - zarówno w organizmie matki, jak i dziecka. Harper pomyślała o tym, jak pełzła przez zadymioną przepustnicę i śpiewała maleństwu, którego nie widziała na oczy, i jak jej śpiew zadziałał kojąco na smoczą łuskę.

Mózg wyzwała oksytocynę, kiedy człowiek się przytula, jest nagradzany oklaskami albo gdy śpiewa w harmonii z innymi ludźmi. Silne poczucie przynależności do wspólnoty uwalnia duże ilości tej substancji, podobnie jak pozytywne komentarze na Twitterze czy Facebooku. Kiedy ludzie komentują naszego tweeta albo lajkują zdjęcie, nieświadomie aplikują nam kolejną dawkę oksytocyny. Dlaczego więc nie nazwać jej hormonem społecznościowym? Brzmi lepiej niż „hormon przytulania”, bo... bo...

Nie mogła sobie przypomnieć. Było coś jeszcze w oksytocynie. Coś ważnego, ale minęło sporo czasu, odkąd o tym czytała. A jednak z jakiegoś powodu, kiedy zamknęła oczy, widziała żołnierzy w pustynnych mundurach maskujących i wojskowych buciorach, trzymających karabiny M-16. Ale dlaczego? I dlaczego oksytocyna sprawiała, że myślała o krzyżach, które płonęły nocami w Missisipi?

Stołówka była zamknięta na kłódkę od zewnątrz, a okna budynku zabito sklejką. Wyglądał, jakby zamknięto go na zimę. Jednak Harper pomagała w kuchni na tyle często, by wiedzieć, że klucz do pomieszczenia wisi na gwoździu pod schodami.

Weszła w przestronny, zakurzony mrok. Krzesła i ławki leżały poodwracane na stołach. Pusta, posprzątana kuchnia przedstawiała sobą przygnębiający widok.

Harper znalazła w piekarniku blachę z bułeczkami przykrytymi folią spożywczą. Wyciągnęła z szafki tubkę masła orzechowego i szła na drugi koniec pomieszczenia po nóż do masła, kiedy omal nie potknęła się o otwartą klapę do piwnicy. Widoczna w otworze drewniana drabina zniknęła w mroku, który cuchnął ziemią i gryzoniami.

Marszcząc brwi, spoglądała w dół. gdy nagle usłyszała przekleństwo, a zaraz potem głuchy łomot, jakby ktoś upuścił worek mąki. Gdzieś w dole jęknął mężczyzna. Harper ugryzła bułeczkę i zeszła do piwnicy.

Pomieszczenie zastawione było tanimi stalowymi regałami, na których stały plastikowe dzbanki z olejem roślinnym i worki z mąką. W jednej ze ścian znajdowała się chłodnia. Grube, metalowe drzwi były uchylone, a ze środka sączyło się słabe światło. Chciała zawołać: „Halo!”, ale z pełnymi ustami zabrzmiało to jak stłumiony rechot.

Więźniowie stali na palcach pod przeciwną ścianą. Skuto ich razem, a łańcuch owinięto wokół rury znajdującej się dwa metry nad ziemią, przez co trzymali ręce w górze, jak uczniów ie próbujący zwrócić na siebie uwagę nauczyciela.

Jednego z nich widziała już wcześniej - osiłka o podejrzanym, żółtych oczach - ale jego towarzysza zobaczyła po raz pierwszy. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat, był smukły i dość niezgrabny, z wysokim czołem, przez które przypominał potwora doktora Frankensteina, i z krótko przyciętymi, przyprószonymi siwizną czarnymi włosami.

Obaj mieli na sobie grube wełniane skarpety i pomarańczowe kombinezony.

Mężczyzna, którego Harper widziała poprzedniej nocy, uśmiechnął się, pokazując różowe zęby. Jego górna warga była rozcięta i wciąż krwawiła. W pomieszczeniu cuchnęło zepsutym mięsem. Na betonowej podłodze, pod łańcuchami, na których niegdyś wisiały tusze wołowe, widniały plamy zakrzepłej krwi.

Ben Patchett siedział na drewnianym krześle z głową między kolanami. Wyglądał jak ktoś, kto próbuje powstrzymać mdłości. Na podłodze, obok zmiętego ręcznika, stała lampa na baterie.

- Co tu się dzieje? - spytała Harper.

Ben podniósł głowę i spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Co ty tu robisz? Powinnaś być w łóżku.

- Ale jestem tu. - Zdziwiła ją rezerwa i spokój, które usłyszała we własnym głosie. Nie tak zwracała się do przyjaciół; był to ton zarezerwowany dla irytujących pacjentów. - Ci ludzie mają objawy hipotermii. Przykuwanie ich do rury nie jest wskazane.

- Och, Harp, Harper, nie masz pojęcia, co... ten koleś. Ten tu... - Ben wskazał pistoletem.

Harper dopiero teraz zauważyła, że jest uzbrojony.

- Ja? - spytał ten z rozciętą wargą. - A, tak, ja. W sumie już teraz mogę przyznać się do winy, czemu nie? Znudziło mi się wiszenie na tej pieprzonej rurze i słuchanie wrzasków tego popaprańca. Wkurzyłem się i przywaliłem z dyni prosto w ten jego pistolecik. Szkoda, że nam przeszkodziłaś. Właśnie szykowałem się, żeby jajami przypuścić szturm na jego but.

Ben gotował się ze złości.

Jeśli zrobiłem coś, to wyłącznie w samoobronie. - Spojrzał na Harper. Kopnął mnie tak, że się przewróciłem. I próbował nadepnąć mi na głowę.

- Samoobrona, tak? To po to przywlokłeś tu ten ręcznik z kamieniami? Podejrzewałeś, że przydadzą ci się do obrony, jakby trzydziestkaósemka nie wystarczyła? - warknął ten z rozciętą wargą.

Ben oblał się rumieńcem. Harper nigdy nie widziała żeby dorosły człowiek tak bardzo się czerwienił.

Przyklękła i odchyliła róg ręcznika. W środku pełno było kamieni. Podniosła wzrok, ale Ben nawet na nią nie spojrzał. Odwróciła się i spojrzała na faceta z krwawiącą wargą.

- Jak się nazywasz?

- Mazzucchelli. Mark Mazzucchelli. Ale wszyscy mówią do mnie Mazz. Bez urazy, paniusiu, ale gdybym wiedział, że tak wygląda ta wasza pomoc, chyba bym podziękował. Mogłem umrzeć równie dobrze tam, gdzie mnie znaleźliście.

- Przepraszam. To nie powinno było się wydarzyć.

- Masz rację, Harper - odezwał się Ben. - Nie powinno do tego dojść. Począwszy od chwili, gdy ten koleś postanowił rozwalić głowę Ojcu Storeyowi i uciec. Kilku naszych znalazło go, jak próbował zwędzić jeden z naszych samochodów. Cały był we krwi.

- Chryste, to była stara krew. Wszyscy widzieli, że to była stara zaschnięta krew. Po co miałbym napadać na tego waszego księdza? Koleś ocalił mi życie. Co bym z tego miał?

- Jego buty - rzucił Ben. - Te, które miałeś na nogach, kiedy cię dorwaliśmy. Jego buty i kurtkę.

Mazz spojrzał na Harper błagalnym wzrokiem pokrzywdzonego.

- Ten facet, ten wasz ojczulek, dał mi te buty, kiedy zobaczył, że jestem bosy. Kurtkę też. Dał mi je, bo z zimna nie czułem stóp. Tak się odpłaca takim ludziom? Waląc ich kamieniem w głowę? Mówiłem temu koleśowi, tłumaczyłem mu. Księżulo i ja wróciliśmy w jednej łódce, przed całą resztą. Facet okazał mi jedynie dobroć. Dał mi swoje buty i kurtkę, bo widział, że cały się trzęsę. Kiedy dobiliśmy do brzegu, zaprowadził mnie do lasu. Uszliśmy, ja wiem... jakieś kilkaset metrów. Wtedy pokazał mi wieżyczkę kościoła i powiedział, żebym szedł dalej ścieżką, aż dojdę do kaplicy. Mówił, że tam będą ludzie, którzy mi pomogą. A on musi wrócić na brzeg... zobaczyć, czy nikomu nic się nie stało. Chciałem oddać mu buty, ale odmówił. No i... dobra. Posłuchajcie. Nie znam tu nikogo. Zobaczyłem kaplicę, ale zobaczyłem też buicka w idealnym stanie i pomyślałem: „Cholera, może powinienem pojechać dokądś, gdzie kogoś znam”. Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Nie wiedziałem, że samochód do kogoś należy.

- Jasne. Nie wiedziałeś, że do kogoś należy. W końcu świat jest pełen samochodów, które nie mają właścicieli. Można w nich przebierać jak w ulęgałkach - prychnął Ben.

- Teraz pełno jest takich samochodów - odparł Mazz. - Ludzie płoną i zostawiają swoje cztery kółka. W tym stanie jest z tysiąc samochodów, które nie należą już do nikogo.

Harper podeszła do więźniów, jednak Ben chwycił ją za nadgarstek.

- Nie rób tego. Nie chcę, żebyś się do niego zbliżała. Stań za mną. Ten facet...

- ...potrzebuje opieki medycznej. Panie Patchett, proszę mnie puścić.

Ben wzdrygnął się, słysząc, że zwróciła się do niego po nazwisku. A może zaskoczył go jej ton: spokojny, cierpliwy, bezosobowy i nieco władczy. Puścił ją wyraźnie niezadowolony, jakby właśnie dotarło do niego, że stracił kontrolę nad sytuacją. Mógł wyklócać się z Harper, ale nie z siostrą Willowes.

Spojrzał ponad jej ramieniem na więźniów.

- Niech tylko któryś z was ją tknie... Tym razem nie użyję kolby. Zrozumiano?

Harper podeszła do Mazza na tyle blisko, że czuła jego oddech: metaliczny smród świeżej krwi. Nachyliła się w jego stronę, żeby

obejrzeć różowe zęby.

- Nie trzeba będzie szyć - uznała. - Ale przyda się zimny okład na usta. Jak twoje stopy?

- Nie czuję ich od jakiegoś czasu. Ale z Gilbertem jest gorzej. Praktycznie nie może stać. — Machnął ręką w stronę swojego towarzysza, który nie powiedział jeszcze ani słowa. - I moje ręce... kajdanki... krew nie krąży.

- Zaraz je zdejmujemy. Panie Patchett?

- Nie. Kajdanki zostają.

- Jeśli to konieczne, proszę ich przykuć do czegoś innego, ale nie może ich pan trzymać w takiej pozycji. To się musi skończyć. O cokolwiek ich pan podejrzewa, nie zasługują na takie traktowanie.

- Powiem pani, jak nas tu traktują! - zawołał Mazz. - Przykucie nas do rury to jeszcze nic! Niech siostrzyczka posłucha, co się stało z moją wargą. Jestem w stanie znieść to, że wiszę tu przykuty z niemal wywichniętym ramieniem, bez jedzenia, picia i odpoczynku. Wkurzyłem się, bo zachciało mi się srać. A ten tu mówi, że chętnie mi pomoże, ale muszą zacząć odpowiadać na pytania, tak jak on tego chce. Że lepiej będzie, jak zacznę gadać z sensem. Nie chciałem go rozczarować, więc naplułem w tę jego tłustą gębę. A on mnie walnął. Zrobiłby to jeszcze raz, gdybym go nie kopnął kolanem w brzuch i nie powalił na podłogę, co pokazuje, że potrafię skopać mu tyłek bez użycia rąk. Dosłownie!

- Zamknij się, zanim...

- Zanim kolejny raz potraktuje pan kolbą pistoletu człowieka w kajdankach, panie Patchett? - spytała ze spokojem Harper.

Ben posłał jej zdumione, speszone spojrzenie szóstoklasisty, którego przyłapano na oglądaniu pornosów.

- ...strzele - wyszeptał. Było oczywiste, że nie chce, by więźniowie go usłyszeli, ale puste, wyłożone metalem pomieszczenie miało taką akustykę, że poufna rozmowa była niemożliwa. - Daj spokój, Harper. Wcale tak nie było. Skułem ich tu, bo tak było najprościej, a nie żeby sprawić im ból. Ręcznik z kamieniami miał ich wystraszyć. A ten gość próbował rozwalić mi głowę, tak jak rozwalił głowę Ojcu Storeyowi. Miałem szczęście, że nic mi się nie stało. Nieprawdopodobne, że wierzysz jemu, a nie mnie. To chyba przez hormony.

- Mam gdzieś, który z was mówi prawdą - odparła Harper. Z trudem opanowała złość. Hormony! - Martwi mnie jego stan. Ten człowiek jest ranny i nie może tak wisieć. Ściągnij go.

- Ściągnę go. Ale do kibla pójdzie w kajdankach.

- W porządku - rzucił Mazz. - Pod warunkiem że obiecasz że po wszystkim podetrzesz mi tyłek. I ostrzegam cię, brachu, że zanosi się na grubszą sprawę.

- Tylko pogarszasz sprawę - warknęła Harper.

- Zrozumiałem. Przepraszam, psze pani. - Mazz spuścił wzrok, ale na jego ustach wciąż błąkał się cień uśmiechu.

- A ty? - Harper zwróciła się do mężczyzny, który nie odzywał się ani słowem. - Chcesz iść do toalety, Gilbert?

- Nie, dziękuję. Cierpię na zaparcia. Nie wypróżniałem się od tygodnia.

Na chwilę zapadła cisza przzerwana śmiechem Harper. Nie mogła się powstrzymać. Nie potrafiła nawet powiedzieć, co tak bardzo ją rozśmieszyło.

- Gilbert. A jak na nazwisko?

- Cline, ale możecie mówić do mnie Gil. Nie muszę iść do kibla, ale dopuściłbym się każdej zbrodni, byle tylko wrzucić coś na ząb.

- Niech się pan nie martwi, panie Cline - odezwała się Renee Gilmonton. - Nie pozwolimy panu głodować. I nie musi pan popełniać żadnych przestępstw.

Harper odwróciła się i zobaczyła ją stojącą w otwartych drzwiach chłodni.

- Chociaż nie wiem, jak w takim miejscu można w ogóle myśleć o jedzeniu - dodała Murzynka. - Fuj, ależ tu cuchnie. To wszystko, co możemy dla nich zrobić?

- Chryste - mruknął Ben. - Najpierw ona, a teraz ty. Diabelnie mi przykro, że w cholernym Hiltonie nie było wolnych pokoi dla niedoszłego zabójcy i jego współnika. Co ty tu robisz? Powinnaś spać. Nikt nie powinien chodzić po dworze za dnia. Po coś wymyśliliśmy nasze zasady.

- Dziewczynki chciały wiedzieć, jak czuje się Ojciec Storey, poszłam więc na salę chorych, ale Harper tam nie było. Pomyślałam, że w takim razie musi być w stołówce. Mogę jakoś pomóc?

- Nie - odparł Ben.

- Tak - powiedziała Harper. - Ten człowiek potrzebuje zimnego okładu na twarz i filiżanki gorącej herbaty. Musi też iść do toalety, choć pewnie nie w tej kolejności. Obaj powinni zjeść śniadanie. Poza tym masz rację: to nie miejsce dla nich Powinniśmy...

- Wykluczone - zaprotestował Ben. - Zostaną tutaj.

- Obaj? Właśnie miałam o to spytać. Powiedziałeś, że pan Mazzucchelli zaatakował Ojca Storeya Nie rozumiem więc, dlaczego pan Cline też jest zamknięty.

- Bo ci dwaj siedzą w tym razem. Już udało im się uciec z więzienia.

- Rozumiem jednak, że pana Cline'a nie było przy tym, jak zaatakowano Ojca Storeya?

Oczy Bena były mętne, bez wyrazu.

- Nie. Był w kajaku razem ze mną. Ojciec Storey i Mazzucchelli jako pierwsi wrócili do obozu. Po nich dopłynęli Allie i Mike. Cline i ja zgubiliśmy się we mgle i przez jakiś czas nie mogliśmy znaleźć zatoki. W końcu zauważyłem błysk światła i popłynęliśmy w tamtą stronę. To Allie dawała nam sygnały z brzegu. Została na plaży, żeby mieć pewność, że znajdziemy drogę. Michael wrócił do obozu. Ledwie wciągnęliśmy kajak na brzeg, kiedy usłyszeliśmy, że Mike woła o pomoc. Udaliśmy się na miejsce... - Harper zauważyła, że Ben nieświadomie zaczął zdawać relację, jakby zeznawał przed wrogiem mu prawnikiem - ...i zastaliśmy Mike'a, który siedział na śniegu przy Ojcu Storeyu. Dookoła pełno było krwi. Mike powiedział, że ktoś zabił Toma, ale kiedy Allie sprawdziła puls, okazało się, że Ojciec Storey żyje. Michael zaniósł go do obozu, a tam natknęliśmy się na kilku mężczyzn, którzy zatrzymali Mazzucchellego. Allie od razu zauważyła, że gość miał na sobie buty i kurtkę Toma. Potem zrobiło się nieciekawie. Obaj mają szczęście, że żyją.

- To wciąż nie tłumaczy, dlaczego pan Cline jest traktowany jak potencjalne zagrożenie - zauważyła Renee.

- Kiedy zrobiło się naprawdę gorąco, mój kumpel zawołał o pomoc, więc mu jej udzieliłem - wyjaśnił Gilbert.

- Złamał Frankowi Pendergrastowi trzy palce prawej ręki - powiedział Ben. - I walnął Jamie Close w gardło z taką siłą, że myślałem, że zmiażdżył jej tchawicę. Jamie ma dziewiętnaście lat, to

jeszcze dzieciak.

- Dzieciak, który trzymał w ręce stłuczoną butelkę - uściślił niemal przepraszająco Gilbert.

- Muszę obejrzeć ich oboje - odezwała się Harper. - Już dawno powinnam była zbadać pana Pendergrasta.

- Nie chcieliśmy odrywać cię od Ojca Storeya - wyjaśnił Ben. - Don obandażował go szmatami, których pełno się tu poniewiera.

- Niech to szlag!

Urazy, których nie mogła opatrzyć jak należy, bo nie miała odpowiednich środków, zaczynały się nawarstwiać: krwiak podtwardówkowy, stłuczenie twarzy, hipotermia, skręcone kostki, złamane żebra, wywichnięcia i, jakby tego było mało, połamane palce. Miała jodynę, plastry z opatrunkiem i Alka-Seltzer. Załatała dziurę w głowie Ojca Storeya korkiem i woskiem ze świecy, jak robili lekarze w siedemnastym wieku. Zresztą tu, w lasach, wszystko wyglądało jak w siedemnastym wieku.

- Nie obchodzi nas, co i dlaczego zrobił Cline - ciągnął tymczasem Ben. - Wszyscy, i my, i on, wiemy, kto rozwalił głowę Ojcu Storeyowi. Cline wybrał jego stronę.

- Nie chciał patrzeć, jak przyjaciel ginie z rąk tłumu dokonującego samosądu - skomentowała Renee. - To zrozumiałe.

Ben spojrzał na Gilberta Cline'a.

- Moim zdaniem powinien ostrożniej dobierać przyjaciół - powiedział. - Jego kompan omal nie zabił człowieka. Cline o tym wiedział. Mógł trzymać się z daleka. Ale postanowił zaatakować. Nie zgadzasz się z tym, co tu mówię, Cline? Proszę bardzo, masz szansę się wytłumaczyć.

- Nie, proszę pana - odparł Gilbert Cline, przez cały czas patrząc na Renee. - Tak właśnie było. Gdyby nie Mazz umarłbym w pace. I gdyby nie on, nie dotarłbym do kajaka. Ledwie ruszałem nogami. Zaniósł mnie tam na własnych rękach. Nie mogłem tak po prostu stać beczynnie i czekać aż go zabiją.

- A nie przyszło ci do głowy, że to on rozwalił głowę Ojcu Storeyowi? - zapytał Ben.

Cline spojrzał na Mazzucchellego i z powrotem na Bena. Twarz miał spokojną, bez wyrazu.

- Nie, ale to i tak bez znaczenia. Jestem jego dłużnikiem. Do tej pory Harper martwiła się jedynie ranami więźniów i tym, że są nadmiernie wychłodzeni. Nie pomyślała, co by to oznaczało, gdyby Mark Mazzucchelli rzeczywiście to zrobił... naprawdę wziął kamień i za parę butów rozłupał Tomowi Storeyowi głowę.

Kamień.

- Czy znaleźliście przy panu Mazzucchellim broń, kiedy złapaliście go, jak próbował uciec z obozu? - zapytała.

- Nie - odparł Mazz. - Bo to wszystko bzdury. Nigdy nie miałem żadnej broni.

- Nie znaleźliśmy przedmiotu, którym roztrzaskano Ojcu Storeyowi głowę - przyznał Ben. - Przynajmniej na razie. Ale znajdziemy.

- Czyli macie napad, ale nie macie świadków ani broni. No i jest człowiek, który twierdzi, że jest niewinny, chociaż każecie mu tkwić w tej niewygodnej pozycji i bijecie go kolbą pistoletu.

- To nie było nawet...

Harper podniosła rękę.

- Nie jesteś w sądzie, a ja nie jestem sędzią. Nie mam prawa wydawać wyroków. Podobnie jak ty. Jeśli o mnie chodzi, nie ma żadnych dowodów, i dopóki ich się nie znajdzie, ci mężczyźni powinni być traktowani jak wszyscy w obozie.

- A skoro nie ma żadnych dowodów przestępstwa, zastanawiam się, jak długo zamierzacie ich tu trzymać i na jakiej podstawie — wtrąciła się Renee. — W takiej sytuacji musi się odbyć sprawiedliwy proces. Ci ludzie mają prawo do obrony. Mają swoje prawa.

- Naprawdę chciałbym się wysrać - bąknął Mazz, ale nikt go nie słuchał.

- Nie wiem, czy słyszałaś, Renee, ale konstytucja spłonęła razem z całą Filadelfią - powiedział Ben. - A zapewniam cię, panno ACLU¹⁰, że ludzie w tym obozie nie chcą skończyć jako garstka popiołu.

- Co roku dawałam na nich datki - oznajmiła Renee. - Ale to bez znaczenia. Próbuje coś powiedzieć. Tu nie chodzi o to, żeby zdecydować, czy ten człowiek próbował zabić Toma Storeya. Musimy ustalić, jak zdecydujemy i kto zadecyduje. A jeśli pan Mazzucchelli zostanie uznany za winnego zarzucanych mu czynów, będziemy

musieli się zastanowić jako społeczność, co z nim zrobić... i czy będziemy umieli z tym żyć. To najtrudniejsza część.

- To chyba nie jest takie trudne. Myślę, że ta społeczność dokonała już wyboru. Wiedziałybyś, gdybyś tu była, kiedy ludzie zaczęli rzucać kamieniami. Nie wiem, co robiłaś przez całą noc, ale ominęła cię niezła zabawa.

- Może przez całą noc ukrywałam się w lesie, czekając na okazję, żeby zabić Ojca Storeya - odgryzła się Renee.

Ben gapił się na nią z otwartymi ustami, jakby właśnie zadała mu wyjątkowo irytującą zagadkę. W końcu pokręcił głową.

- Nie powinnaś żartować w ten sposób. Nie masz pojęcia, co Carol, Allie i cała reszta zrobiliby ci, gdyby uwierzyli... -Urwał, uśmiechnął się i po chwili podjął: - Twój problem, Renee, polega na tym, że zawsze chcesz dobrze. Ty i twoje herbatki, książki i opowieści dla dzieci... Jesteś równie nieszkodliwa jak one. I jak większość nieszkodliwych ludzi, nie masz bladego pojęcia, do czego są zdolni inni.

- Nie rozumiesz, Ben? Właśnie o tym mówią. Nie mamy pojęcia, do czego są zdolni inni ludzie. Nikt z nas tego nie wie. Skąd mamy wiedzieć, czy Ojca Storeya nie zaatakował ktoś z obozu, ktoś, kto chciał jego śmierci? Równie dobrze to ja mogłam mieć powód, żeby życzyć mu śmierci, i to ja mogłam czaić się na niego z kamieniem w rękę. To mógł być każdy. A nie mając pewności, nie możemy publicznie skazać człowieka. Nie powinniśmy go nawet trzymać w zamknięciu.

- I tu się mylisz, Renee. Sama zapędziłaś się w kozi róg. Ten tu Mark Mazzucchelli miał motyw i miał okazję. A to źle. Ale jeszcze gorsze jest to, że nie znam osoby, która chciałaby skrzywdzić tego dobrego, miłego staruszka, który nas przygarnął, dał nam schronienie i nauczył nas, jak się bronić przed smoczą łuską. To proste. Nie znam powodu, dla którego ktokolwiek z nas miałby chcieć śmierci Toma Storeya.

Słyszając to, Harper przypomniała sobie, co Tom Storey powiedział jej w łódce.

Myślę, że będę zmuszony kazać komuś opuścić obóz... komuś, kto dopuścił się niewybaczalnych rzeczy.

- Ja chyba znam ten powód - powiedziała.

3

Z dziennika Harolda Crossa:

19 czerwca

Gnoje. Wstrętne, niedouczone gnoje.

19 czerwca, później

Policjant Zastraniec zabrał mi telefon. I zanim go wyłączył, wyczyścił go na moich oczach. Skasował wszystkie SMS-y, maile, każdą notatkę.

Niczego nie zrozumieli. Nawet nie próbowali zrozumieć. Jak tylko powiedziałem, że kontaktowałem się z ludźmi z zewnątrz, wpadli w panikę. Gdyby mieli pod ręką kool-aid z cyjankiem, jak wyznawcy wielbnego Jima Jonesa¹¹, ustawiliby się w kolejce. Teraz, kiedy trochę ochłonąłem, zastanawiam się, czy powinienem był to przewidzieć.

Najbardziej niesamowitą cechą grzyba jest to, w jaki sposób tworzy więź z umysłem. Doktor Sołzenicyn z Nowosybirsk odkrył, że zarodniki są dendrytowe z natury zgodne z architekturą mózgu. Oksytocyna informuje *Draco incendia trichophyton*, że znalazł bezpieczne środowisko. Z kolei grzyb stymuluje zachowania stadne, żeby zadbać o własne dobro; to coś jak syndrom grupowego myślenia który każe stadu wróbi zawrócić niemal w miejscu. Smocza łuska jest tak dominująca, że potrafi chwilowo wykasować nawet najbardziej podstawowe cechy indywidualne. Pomysły innych ludzi wydają się nam naszymi, a potrzeby innych stają się ważniejsze od naszych itp. Tak naprawdę żyjemy w apokalipsie zombie, tyle że zombie to my.

Wszystko to ma sens, zważywszy na naturę oksytocyny, która przynosi ulgę tym, którzy uczestniczą w zachowaniach plemiennych. Ja nie jestem częścią tego głupiego chrześcijańskiego plemienia, dlatego cały czas kopczę i nie czerpię chemicznych korzyści z ich idiotycznego wspólnego śpiewania. To by tłumaczyło, dlaczego wszyscy tak chętnie oddają komórki (tak, skurwiel wziął je wszystkie, nie tylko

moją). Łuska sprawia, że wszyscy oni pragną społecznej aprobaty.

Chciałbym wiedzieć, jakim cudem to strażak kontroluje łuskę, a nie ona jego. Nie znam bardziej powściągliwego człowieka. Byłbym gotów zabić, żeby poznać jego tajemnicę, nauczyć się podpalać poszczególne części ciała i nie zrobić sobie krzywdy.

Ale nie tylko ja chcę wiedzieć to, co wie on. Trzy dni temu byłem na plaży i słyszałem, jak krzyczeli na siebie na tej swojej wyspie. Cokolwiek strażak wie, nie podzieli się tym z Sarah Storey, a ona jest na maksa wkurzona.

Cały czas wierci mu dziurę w brzuchu i kiedy w kontu jej się uda, pan Rookwood będzie miał przerąbane. W sali chorych nie ma już plastrów, którymi można by ją załatać. Właściwie nie ma tam niczego.

4

Poklepała się zeszytem w udo i wyjrzała przez okno. W powietrzu dryfowały białe jak gęsie pióra płatki śniegu, jakby nie mogły się zdecydować, czy chcą już spaść, czy może jednak jeszcze trochę pofruną. Obóz zmienił się w śnieżną kulę, którą stale ktoś potrząsał.

Harper nie spała od piętnastu minut i nadal nie była pewna, czy jest ranek, czy może popołudnie. Światło było rozproszone i szare, jakby cały świat przykryto prześcieradłem. Usiadła na skraju łóżka Toma Storeya. Staruszek co jakiś czas gwałtownie nabierał powietrza jak ktoś, kto właśnie przeczytał w gazecie coś wyjątkowo strasznego. Nekrolog przyjaciela. Albo własny.

Co do jednej rzeczy Harold Cross się nie mylił, i obecnie było to jeszcze bardziej dotkliwie. W apteczce brakowało plastrów i wszystkiego innego. Harper zdezynfekowała ranę na głowie Ojca Storeya odrobiną porto i starała się wyleczyć pokiereszowaną rękę Johna Rookwooda dobrymi chęciami. Nie była pewna, czy powiedzenie, że „dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane”, to prawda, ale z całą pewnością nie zapewniały one profesjonalnej opieki medycznej.

Stała na krześle, żeby ukryć dziennik Harolda za panelem sufitowym, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Kiedy się obejrzała, odkryła, że ona i Ojciec Storey mają tego ranka towarzystwo.

Na łóżku najbliżej drzwi leżał Nick z kocem podciągniętym pod samą brodę. Jego czarna czupryna była w nieładzie. Patrzył na Harper, jakby zapomniał, jak się mruga. Musiał przyjść, zanim się obudziła, i zająć pierwsze wolne łóżko.

Wepchnęła dziennik nieco głębiej i postanowiła, że będzie się zachowywała jak gdyby nigdy nic. Włożywszy panel na miejsce, zeszła z krzesła i stanęła w nogach łóżka Nicka Ostrożnie poruszyła rękami i używając gestów, których nauczył ją do tej pory, zapytała, co tutaj robi.

Kąciki ust chłopca drgnęły w nieśmiałym uśmiechu-wyczuła, że popełniła błąd i nie powiedziała tego, co chciała. Chłopiec sięgnął po

notes i długopis, z którymi się nie rozstawał.

Boli mnie brzuch. Allie mnie pszyprowadzila. I tak musiala tu pszyjsc, bo ma dzis dyrzur w sali chorych.

Usiadła obok niego na łóżku, wyjęła mu z ręki notatnik i napisała:

Wymiotowales? Masz biegunkę?

Pokręcił głową. Myślała, że martwi się stanem zdrowia Ojca Storeya, nie sądziła, że chodzi o zatrucie pokarmowe.

Co to znaczy, że Allie ma tu dzis dyrzur? - napisała Harper i oddała mu notes i długopis.

Jest w drugim pokoju - nabazgrał Nick.

Harper wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

Dlaczego?

Allie jest tu dla ochrony. Ciocia Carol chce miec pewnosc, ze dziadek bedzie bezpieczny. Co tam schowales? Zanim zdazyła odpowiedziec, dodal: Objecuje, ze jesli mi powiesz, nikomu nie pisne ANI SLOWA. Czytając to, musiała się uśmiechnąć. To oczywiste, że Nick nikomu nie powie.

Moje notatki - odpisała, co poniekąd było prawdą, nawet jeśli pominęła kilka istotnych szczegółów.

Jakie notatki?

Jeśli nie bedziesz o to pytal — napisala - ja nie zapytam cie czy naprawde boli cie brzuch.

Nick uderzył się w czoło nasadą dłoni; był to gest, który musiał podpatrzeć w telewizji. Nie zamierzała go oceniać. Czasami miała wrażenie, że sama spędziła połowę życia, grając Julie Andrews w filmowej wersji swojego życia. Problem z wzorami do naśladowania polegał na tym, że uczą człowieka ról.

Pokazała gest, który oznaczał S-E-N.

Chłopiec pokiwał głową i zapytał:

„Ty też, tak?”

Rozmawiał, poruszając rękami, jakby przerzucał biegi niewidocznej skrzyni biegów.

„Ja iść” - pokazała swoimi mniej wprawnymi rękami. - „Zaraz wrócić”.

„Uważaj” - odparły ręce Nicka.

Allie była w poczekalni. Skulona na kanapie, nie spała ani nie

czytała, po prostu leżała z dłonią przyciśniętą do ust. Widząc ruch, zamrugła i podniosła wzrok. Przez chwilę patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem, jakby pierwszy raz widziała Harper na oczy.

- Nick mówi, że cię tu przysłali.

- Na to wygląda. Przez ciebie Ben i ciocia Carol myślą, że ktoś w obozie chce zabić dziadka. Moim zdaniem to bzdura. Wszyscy wiedzą, że to był ten koleś, Mazz, ale nie ja tu dyktuję warunki.

- A kto? Ben?

- Nie. On robi to, czego chce ciocia Carol. A ona chce, żeby dziadek był bezpieczny. Nie można jej winić. Ktoś naprawdę próbował go zabić. Ciocia Carol chce, żebyś od tej pory też tu była. Żebyś była pod ręką na wypadek, gdyby znowu dostał ataku.

- I co, mam tu niby jeść?

Harper żartowała, ale Allie odparła:

- Tak. Ciotka była naprawdę zła, kiedy usłyszała, że poszłaś wczoraj coś przekąsić i zostawiłaś go samego. Mógł przestać oddychać. Albo ktoś mógł tu wejść i udusić go poduszką.

- Nie mogę tu zostać. Nie przez cały czas. Właściwie to zaraz muszę wyjść. John jest nieźle poobijany. Muszę wziąć opaskę uciskową i szynę i popłynąć na wyspę.

Miała puste ręce, ale liczyła, że Allie nie zwróci na to uwagi, i nie pomyliła się.

- Nie możesz - rzuciła dziewczyna. - Nawet gdybyś mogła opuścić salę chorych, jest środek dnia. W dzień nikt nie wychodzi z obozu.

- Co to znaczy „nawet gdybym mogła”? To wymysł Carol? Kto przekazał jej dowodzenie?

- My.

- Jacy my?

- My wszyscy. Głosowaliśmy. Nie było cię przy tym. Spałaś. Zebraliśmy się w kościele i śpiewaliśmy dla Ojca Storeya. Śpiewając, prosiliśmy wszystkich tych, których straciliśmy, żeby pokazali nam, co robić. Przysięgam, że słyszałam, jak śpiewają razem z nami. W kościele było ledwie sto czterdzieści osób, a brzmiało to tak, jakby było nas co najmniej tysiąc. - Na samo wspomnienie ramiona Allie pokryły się gęsią skórka. Objęła się rękami. - To było tak, jakby ktoś nas uwolnił... od wszystkich negatywnych uczuć. Myślę, że tego właśnie było nam

trzeba. Potem usiedliśmy, trzymając się za ręce, i rozmawialiśmy. Mówiliśmy o rzeczach, z których wciąż się cieszymy. Dziękowaliśmy. Tak jak dziękuje się przed posiłkiem. I robiliśmy plany. To wtedy zdecydowaliśmy, że Ben będzie odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo. I postanowiliśmy, że ciocia Carol przejmie obowiązki Ojca Storeya. Z początku nie chciała się zgodzić. Mówiła, że nie może wziąć na siebie kolejnych obowiązków. Że musi opiekować się ojcem. No więc głosowaliśmy jeszcze raz i znowu jednogłośnie wybraliśmy Carol. Powiedziała, że popełniamy błąd i że nie jest tak silna, jak jej ojciec. Że był od niej lepszy pod każdym względem. Serdeczniejszy, bardziej troskliwy i cierpliwy. No to zagłosowaliśmy po raz trzeci i po raz trzeci byliśmy jednomyślni. Było zabawnie. Nawet Carol się śmiała. Ale to taki śmiech przez łzy.

Harper przypomniała sobie coś, co wyczytała w dzienniku Harolda - „grzyb stymuluje zachowania stadne, żeby zadbać o własne dobro; to coś jak syndrom grupowego myślenia, który każe stadu wróbli zawrócić niemal w miejscu” - ale nie spodobała jej się ta myśl, więc odepchnęła ją od siebie.

- Chyba nie powinnam pozwolić ci wyjść - powiedziała Allie. - Ostatnim razem, jak miałam dyżur w sali chorych i nie zrobiłam tego, co do mnie należy, zginął dzieciak. - Posłała Harper uśmiech, w którym nie było radości.

- A co mi zrobisz, jeśli wyjdę? Rzucisz się na ciężarną kobietę?

- Nie. Prawdopodobnie postrzelę cię w nogę albo coś w tym stylu.

Allie uśmiechnęła się znacząco i mało brakowało, a Harper parsknęłaby śmiechem. Jej uwagę przykuł jednak stojący w kącie karabin Winchester.

- Jezu, po co ci broń?! - krzyknęła.

- Patchett uznał, że czujki na warcie powinny być uzbrojone - odparła Allie. - Jego zdaniem już dawno powinniśmy mieć broń. Jeśli zjawi się Szwadron Kremacyjny, mała strzelanina spowoduje...

- ...spowoduje, że zginą ludzie. Właśnie do tego doprowadzi. Żadne z was nie powinno mieć broni. Allie, niektóre czujki mają zaledwie czternaście lat. - Harper nie wspomniała, że sama Allie ma dopiero szesnaście. Na myśl o dzieciakach biegających po śniegu z naładowanymi karabinami miała ochotę kopnąć Bena Patchetta w jaja.

- Tylko starsze dzieciaki są uzbrojone - uspokoiła ją Allie, ale po raz pierwszy w jej głosie dało się wyczuć rozgoryczenie i niepewność.

- Wychodzę - oświadczyła Harper.

- Nie. Harp. Proszę... Zaczekajmy, aż się ściemni, i wtedy porozmawiamy z Carol. Niewychodzenie za dnia jest chyba najważniejszą zasadą w obozie. Wkrótce będzie ciemno.

- Sypie tak mocno, że właściwie już nic nie widać.

- Ale będziesz musiała dostać się łódką na wyspę. A jeśli się okaże, że przy wybrzeżu są inne łodzie?

- Najpierw się upewnię, że nie ma żadnych.

- Usunęliśmy deski. Zostawisz ślady.

- Nie na długo. Śnieg zaraz je zasypie. Allie, posłuchałabyś, gdyby ktokolwiek powiedział ci, że nie możesz dokądś pójść?

Tu ją miała.

Dziewczyna utkwiała wzrok w niebieskim półmroku upstrzonym miliardami płatków śniegu. Zacisnęła zęby, mięśnie jej twarzy drgnęły nerwowo.

- Kurwa - rzuciła w końcu. - To takie głupie. Nie powinnam.

- Dziękuję - szepnęła Harper.

- Musisz wrócić najpóźniej za dwie godziny. Jeśli nie będzie cię do tego czasu, będziesz musiała sama się tłumaczyć.

- W porządku. Gdybym z jakiegoś powodu nie wróciła za dwie godziny, sprowadź Dona Lewistona, żeby zobaczył, jak się czuje Ojciec Storey.

Allie westchnęła przeciągle i rzuciła Harper wściekłe spojrzenie.

- Nie masz pojęcia, jakie to popieprzone. Wszystkie czujki spotkały się po mszy. Ben Patchett powiedział, że zbyt wielu z nas przedkłada własne dobro nad dobro obozu i robi, co chce. Uznał, że powinniśmy ukarać dla przykładu kilka osób. Głosowaliśmy. Przyznaliśmy mu rację. Zawarliśmy pakt.

- Pan Patchett ma prawo przejmować się dobrem obozu • odparła Harper. - Mnie obchodzi zdrowie moich pacjentów. Jeśli się dowie, powiedz mu, że próbowałaś mnie zatrzymać. Ale oczywiście się nie dowie, bo wrócę, zanim się obejrzysz.

- Idź więc, skoro musisz. Zanim się rozmyślę.

Harper miała już wychodzić, kiedy Allie dodała:

- Cieszę się, że cię lubi. John to najbardziej samotny człowiek, jakiego znam.

Odwróciła się, ale dziewczyna już na nią nie patrzyła. Leżała skulona na kanapie, odwrócona do niej plecami.

Harper pomyślała, że dobroć dzieci często jest równie spontaniczna, niespodziewana i niczym nieusprawiedliwiona jak ich okrucieństwo. Tej zimy obóz Wyndham nie był ani Hogwartem, ani wyspą z *Władcy much*, lecz schronieniem dla tułających się skrzywdzonych sierot, gotowych zrezygnować z lunchu, żeby wystarczyło jedzenia dla innych.

- Niedługo wrócę - rzuciła i gorąco w to wierzyła.

Ale wróciła późną nocą i w obozie nic już nie było takie samo.

5

Drzewa były duchami samych siebie w świetle dymu, niskich chmur i śniegu. Zmierzch pachniał jak szyszki sosnowe palone w popielniczce.

Zamierzała dotrzymać obietnicy, którą złożyła Allie: popłynąć na wyspę, sprawdzić, jak się czuje strażak, i wrócić do obozu. Nie wspomniała jednak słowem, że zamierza wrócić do domu po opaski uciskowe i szynę, których brakowało w obozowej apteczce. Gdyby Allie wiedziała, powaliłaby ją na podłogę i usiadła jej na piersi, żeby ją powstrzymać.

Harper planowała zabrać z domu kilka innych rzeczy i skorzystać z telefonu. Pomyślała, że jej brat i rodzice chcieliby wiedzieć, że żyje. Marzyła o tym, żeby usłyszeć głos ojca, i obawiała się go; pomyślała, że na dźwięk znajomego „halo” wybuchnie płaczem.

Tyle że nic takiego się nie wydarzyło. Ojciec Harper nie powiedział „halo”, a ona nie skorzystała z telefonu. Zatrzymała się na skraju lasu i z przerażeniem tak wielkim, że graniczyło z nabożną czcią, wpatrywała się w to, co zostało z jej domu.

Część budynku od strony ulicy zapadła się, cały front zniknął. Jakaś ogromna siła wywlokła kanapę z salonu na podwórko i cisnęła ją na skraj podjazdu. Pod zwałami śniegu Harper wciąż widziała podłokietniki. Domyślała się, że cały trawnik usiany jest śmieciami, które śnieżny puch zmienił w zmarznięte bryłki. Wyglądało to tak, jakby przez dom przeto tornado.

Wstrzymała oddech i wróciła wspomnieniami do nocy, gdy stąd uciekła. Pamiętała rozdzierający trzask, tak głośny, że otrząsnął ziemią. Jakob wsiadł do swojego freightlinera i uderzył bokiem we front domu, grzebiąc pod gruzami to, co zostało z ich wspólnego życia.

Na nagich gałęziach drzew na skraju lasu wisiały kartki papieru. Harper ściągnęła jedną z nich: był to fragment *Orzac pustkowiec*. Przeczytała pierwsze słowa - rozpacz to nic innego jak synonim świadomości, a zniszczenie jest formą sztuki - i wypuściła kartkę na wiatr.

Była tak oszołomiona, że prawie zapomniała o swoim planie, i mało brakowało, a wybiegłaby z lasu, zostawiając ślady na świeżym śniegu. Ulicą przemknął jednak samochód, przypominając jej, że powinna siedzieć cicho i zachować czujność. Podeszła do domu od południa, w miejscu, gdzie drzewa tuliły się do ściany. Oblodzona gałąź świerku czerwonego niczym potężny szpon niemal drapała winylowy siding.

W wymyślnym gabinecie lekarskim siostra Willowes -w świeżo wyprasowanym białym fartuchu - zwracała się do panny Willowes, kobiety w szóstym miesiącu ciąży, która siedziała na leżance ubrana w jednorazową koszulę. *Ależ tak, panno Willowes, mam nadzieję, że dalej będzie pani chodziła na siłownię. Najważniejsze to być zdrową i aktywną tak długo, jak tylko się da!*

Harper chwyciła wiszącą metr nad ziemią gałąź, wzięła głęboki oddech i zaczęła się huścić. Kołysała się nad szeroką na dwa metry warstwą śniegu, aż dotknęła stopami zmarzniętego żwiru na skraju domu. Śliski grunt usunął się jej spod nóg i mało brakowało, a upadłaby na oblodzoną ziemię. W ostatniej chwili zaczepiła stopą o kamyk, gwałtownym szarpnięciem rzuciła się do przodu i puściła gałąź. Wpadła na ścianę i delikatnie uderzyła brzuchem o siding. Dodatkowa amortyzacja okazała się przydatna.

Przeszła wąskim pasem żwiru pod okapem na tyły domu. Drzwi do piwnicy były zamknięte, ale wykonała kombinację szarpnięcie - *kopniak* - ramię *walnięcie*, której nauczył ją Jakob, i drzwi stanęły otworem. Weszła w zimne, stęchłe powietrze i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy wprowadzili się do domu, przerobili piwnicę na „strefę rozrywki” z barem, stołem do bilardu, zawsze jednak czuli się tutaj jak w suterenie. Tani supełkowy dywan na cementowej podłodze. Woń miedzianych rur i pajęczyn.

Zawalenie się piętra i parteru spowodowało radykalne zmiany w wystroju pomieszczenia. Lodówka wpadła przez dziurę w kuchennej podłodze i leżała przewrócona na boku. Otwarte drzwiczki prezentowały stojące na półkach przyprawy i dressingi do sałatek. Karton mleka, który uderzył o podłogę, leżał w kałuży mlecznobiałego lodu. Z dziury w suficie zwisały przewody.

O dziwo stół do bilardu pozostał nietknięty i stał dumnie na środku pomieszczenia. Harper nigdy nie nauczyła się grać. Tymczasem Jakob

potrafił nie tylko wygrywać, ale umiał jednym palcem utrzymać kij do bilardu z talerzem na czubku -kolejny z jego cyrkowych trików. Patrząc na to z perspektywy czasu, Harper uznała, że nie warto zachwycać się facetem tylko dlatego, że potrafi jeździć na monocyklu.

Sprzęt turystyczny - namiot, przenośna kuchenka gazowa, lampa naftowa - leżał schowany w szafkach na drugim końcu pomieszczenia, gdzieś tam była również apteczka. Zawsze lubili wędrowki z plecakiem. Była to jedyna rzecz, którą wspominała z rozrzewnieniem: oboje uwielbiali szalony seks na łonie natury.

Podczas wypadu do Montany skręciła kostkę i przez ostatnie półtora kilometra Jakob niósł ją na barana do Granite Park Chalet. Zaraz po powrocie do domu kupiła apteczkę, żeby zabrać ją z sobą na kolejną wyprawę, tyle że nie wybrali się już na kolejną wyprawę, a kilka lat później w ogóle przestali wędrować.

Apteczka była lepiej wyposażona, niż zapamiętała; znalazła niej kilka opasek uciskowych, chłodzące okłady i maść na oparzenia. Prawdziwa nagroda czekała na nią jednak obok pudełeczka; to jej potrzebowała najbardziej i to po nią wróciła do domu: czarna, elastyczna szyna, pozostałość po wydarzeniach sprzed dwóch lat. Grali w squasha i Jakob skręcił rękę w łokciu. Nigdy więcej nie zagrali. Jakob od czasu do czasu skarżył się na ból w łokciu i twierdził, że nie chce nadwyręzać ręki, ale Harper podejrzewała, że zrezygnował z gry, bo czasami to ona wygrywała. Próbowiła go zablokować, kiedy wpadł na ścianę, i uderzył się w łokieć. Nie chodziło o to, że nienawidził przegrywać. Nienawidził przegrywać z nią. W ich związku to on mógł pochwalić się doskonałą koordynacją, podczas gdy Harper była komicznie, wręcz uroczo niezdarna. Nie był zachwycony, kiedy wypadała z tej roli.

Przeszukała pozostałe szafki i znalazła karton papierosów Gauloises schowany na najwyższej półce. Folia została zdarta i brakowało kilku paczek. Rok temu - milion lat temu - Jakob oświadczył, że z dnia na dzień rzuca palenie i żał mu ludzi, którzy nie mają dość silnej woli, żeby zrobić to samo. Chociaż raz była wdzięczna, że jego gadanina okazała się gównem warta. Jak w każdej sytuacji kryzysowej, także teraz wartość papierosów poszybowała w górę. Ludzie, którzy w obawie przed końcem świata gromadzili złoto, mylili się. Lepiej by wyszli, gdyby robili zapasy cameli.

Obeszła bar, żeby zobaczyć, co zostało z alkoholu. Za drzwiczkami ze szkła dymionego była wnęka, w której planowali pewnego dnia umieścić zestaw stereo. Nic jednak z tego nie wyszło. Jakob upierał się przy sprzęcie Banga & Olufsena za prawie dziesięć tysięcy dolarów, jednak wszelkie próby zaoszczędzenia odpowiedniej sumy pozostały w sferze marzeń.

Przykucnęła, żeby zajrzeć do barku, i znalazła butelkę trzydziestoletniej whisky Balvenie, która smakowała jak dym i wypełniała człowieka anielskim tchnieniem. Obok stała butelka taniego rumu o smaku bananowym, idealna dla kogoś, kto chciał się pochorować. Harper zastanawiała się, co po szklaneczce - albo trzech - balvenie z lodem miałby do powiedzenia na temat smoczej łuski John Rookwood.

Nadal kucała za barem, kiedy ktoś kombinacją szarpnięcia -kopniak - ramię - walnięcie otworzył drzwi do piwnicy.

- Grayson! - ryknął schrypnięty, świszczący, donośny i brzmiący znajomo głos. Harper wstrzymała oddech.

Nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Zamarła skulona, czekając, aż głos - do kogokolwiek należał - powie jej, co ma zrobić.

- Grayson - powtórzył mężczyzna i Harper zdała sobie sprawę, że nie chodzi o nią, ale o kogoś na zewnątrz. - Udało się! Jesteśmy w środku.

- Miałem naprawić ten zamek. Bałem się, że ktoś wejdzie do domu, ukradnie mi whisky i zgwałci żonę - odezwał się Jakob. - Jestem wyjątkowo opiekuńczy wobec whisky.

Jego głos był jak pchnięcie nożem w brzuch.

Harper otworzyła szklane drzwiczki z wnęką na sprzęt stereo. Otwór był tak głęboki jak miejsce na nogi pod dużym biurkiem i zupełnie pusty, jeśli nie liczyć kilku wiszących kabli. Skuliła się w nim razem z apteczką, szyną i papierosami, osłaniając rękami brzuch. Trzy dni temu przeczołgała się z nim przez wypełnioną dymem rurę. Nie sądziła, że tym razem da radę. Ostrożnie zamknęła za sobą szklane drzwi.

- Dobra - rzucił pierwszy mężczyzna. Jego głos kojarzył się Harper z grubasem ślęczącym nad talerzem jajecznicy z podwójnym bekonem. - Już kumam. Wolałbyś, żeby jakaś szumowina nie wyżłopała ci twoich cennych zapasów. Na twoje nieszczęście sam mnie do nich

doprowadziłeś. - Roześmiał się; zabrzmiało to tak, jakby ktoś ścisnął zepsuty akordeon. -Może pójdziesz powęszyć na górę? Sprawdź, czy przypadkiem jej tu nie było. My zabezpieczymy piwnicę. To znaczy wyłopiemy twoją whisky, pogramy w bilard i rozejrzemy się za pornosami.

- Nie było jej tu. Zaglądam tu od czasu do czasu. Mam to miejsce na oku. Wiem, że prędzej czy później się pojawi. Wróci po książki, ulubioną piżamę czy starego misia Paddingtona. Przysięgam, czasami, kiedy z nią spałem, czułem się jak pedofil. Co roku w Boże Narodzenie oglądaliśmy *Mary Poppins*. Zaraz po tym, jak skończyliśmy otwierać prezenty.

- Chryste - jęknął ten o głosie grubasa i nagle Harper wiedziała już, skąd go zna. Wystarczająco często słyszała go w radiu. -I czekałeś, aż zachoruje, żeby spróbować ją zabić? -Parsknął głupkowskim śmiechem wyraźnie rozbawiony własnym żartem.

- Widać, że od dawna nie było tu nikogo. W pobliżu nie ma żadnych śladów - zauważył Jakob.

- Pewnie masz rację. Ale i tak się rozejrzemy. Tak dla pewności. Wiesz o mnie i sekretnych audycjach? Mówiłem ci o nich? O radiu w mojej głowie? Nie? Kiedy miałem dwanaście lat, kładłem rękę na wyłączonym radiu, zamykałem oczy i słyszałem DJ-a, który zapowiadał kawałek *Walk This Way*. Słyszałem go w głowie. Jakbym był pieprzoną anteną, która ściąga sygnał prosto do mózgu. Mówiłem kumplom: Idę o zakład, że jak włączycie radio, będą grali *Walk This Way*. Każdy stawiał dolca. Włączaliśmy radio i słuchaliśmy, jak Steven Tyler chwali się tym, że jego panienska cheerleaderka jest dziewicą. Albo, kiedy byłem wystarczająco dorosły, żeby jeździć samochodem. Siedziałem w pontiacu trans am kumpla i czekałem, aż wyjdzie ze sklepu z sześciopakami schlitza. I nagle wiedziałem, że Mo Vaughn uderzył tak, że może zaliczyć wszystkie bazy. Po prostu wiedziałem. Koleś wraca, odpala silnik i słyszymy, jak ludzie na Fenway szaleją, a Joe Castiglione podnieca się genialnym wybiciem Mo. Przez długi czas myślałem, że może to moje plomby w zębach ściągają sygnał. Ale odkąd wybuchła epidemia, słyszę zupełnie inne rzeczy. Czasami słyszę siebie czytającego wiadomości. Słyszę swój głos, jak mówi o tym, że w piwnicy biblioteki w Portsmouth odkryto kryjówkę palników i wszyscy,

cała dwunastka, została zastrzelona przez bohaterski Oddział Kremacyjny. Zebrałem więc ludzi i pojechaliśmy tam, i rzeczywiście w piwnicy ukrywały się palniki. Pamiętasz, Marty? Pamiętasz, jak powiedziałem, że powinniśmy pojechać do biblioteki? Zabiliśmy wszystkich sukinsynów, co do jednego. Było dokładnie tak, jak słyszałem w moich telepatycznych wiadomościach.

- To prawda! - odparł ktoś trzeci piskliwym i służalczym głosem. - Wiedziałeś, że tam będą! Wiedziałeś, zanim zdążyliśmy się zorientować.

- I dlatego nas tu przywiozłeś? Dostałeś mentalny cynk, że moja żona może tu być? - spytał Jakob, najwyraźniej niezbyt był przekonany.

- Może. Może usłyszałem głosik, który podpowiedział mi, że warto tu zajrzeć. A może przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że trzymasz tu całkiem niezłą szkocką, i miałem ochotę się napić. Skocz na górę, a my zobaczymy, czy rzeczywiście chodziło o twoją żonkę, czy może jednak o whisky.

- Jasne - bąknął Jakob. - Sprawdźcie za barem. Zobaczcie, co zostało.

Ktoś szarpnięciem otworzył drzwi na drugim końcu pomieszczenia i wypadł zza nich pojemnik masy szpachlowej Sheetrock i zepsuta minitokarka. Jakob zaklął siarczyście. Ten imieniem Marty zachichotał jak hiena. Jakob wygramolił się spod sterty śmieci.

Ktoś podszedł do baru. Harper jak przez mgłę zobaczyła mężczyznę w spodniach narciarskich. Chudy koleś z rudym afro pochylił się, otworzył szafkę i wyciągnął butelkę balvenie.

- To ma być dobre?

- Jeszcze jak! Dawaj. Niech no popatrzę. - Cisza. - Ożeż ty! Ta flaszka kosztuje więcej niż moja tygodniówka. Myślisz, że jego żona jest choć w połowie tak fajna, jak jego stół do bilardu i whisky? - spytał Marlboro Man.

- To bez znaczenia - rzucił Marty. - Ona ma to świństwo. I tak jej nie przelecisz.

- Fakt. A skoro o tym mowa, rozejrzyj się za szklankami. Nie chcę, żebyś napluł do flaszki.

Chudzielec pochylił się i przez chwilę grzebał w szafce. Kiedy się wyprostował, trzymał w ręce dwie szklaneczki.

- Chcesz posłuchać muzyki? Skoro ma stół do bilardu i whisky, idę o zakład, że gdzieś tu jest wypasiony sprzęt gający - odezwał się Marty. Odwrócił się w stronę wnęki i uchylił drzwiczki. Harper zacisnęła powieki i pomyślała: *Rozpacz to nic innego jak synonim świadomości.*

- Nie ma prądu, kretynie - rzucił Marlboro Man. - Porsche to pół tony złomu, jeśli w baku nie ma paliwa.

- Kurwa. Masz rację, stary! Nie pomyślałem! - Marty zamknął szklane drzwiczki.

- Też mi nowość!

Przez chwilę obaj milczeli. Harper słyszała bulgotanie whisky wlewanej do szklanek, odgłosy przełykania, a zaraz potem pełne uznania westchnienia.

Tym razem, kiedy Marty się odezwał, mówił ściszym głosem:

- Nie uważasz, że jest trochę przerażający?

- Kto? Ten od robót publicznych?

- Taa. Jakob. Z tym oparzeniem na twarzy. Czarną ręką wypaloną na skórze. I te jego oczy. Widziałeś? Są jak przykurzone szkło. Jak oczy lalki.

- Posłuchaj tylko siebie. Gadasz jak lord Byron.

- Coś ci powiem. Myślę, że wolałby znaleźć tego strażaka niż swoją żonę. Staje mu na samą myśl o nim.

- Nie ma żadnego strażaka.

Zapadła niezręczna cisza.

- Cóż - zaczął niepewnie Marty. - Ktoś jednak przypiekl mu szyję. A tamtej nocy przy posterunku? Ośmiu kolesi twierdzi, że widziało diabła. Podobno był tak wielki, że sięgał drugiego piętra. Ośmiu kolesi! A Arlo Granger ze straży Pożarnej siłował się z jakimś gościem. Facet mówił z angielskim akcentem, miał na sobie hełm strażacki i w ogóle wyglądał jak strażak. Arlo rozwaliby mu łeb, ale tamten miał kumpli, było ich pięcioro i wszyscy rzucili się na niego...

- Znam Arlo Grangera i wiem, że ten kolesz to pieprzony łgarz. Kiedyś powiedział mi, że po koncercie Rush wszedł za kulisy i wciągał kokę z Neilem Peartem. Chciałbym, żeby kolesie z Rush wciągali kokę. Może to by im dało kopa i zaczęliby w końcu grać prawdziwego rocka, zamiast tego progresywnego gówna.

- Moja kuzynka Amy jest w Gwardii Narodowej. Kojarzysz Amy...

- Amy... twoja kuzynka, Amy... może. Taa, chyba kiedyś mi obciągnęła.

- Tak, tak, mnie też, ale nieważne, słuchaj. W listopadzie Amy obstawiała punkt kontrolny na moście Piscataqua. Jest środek nocy... a ona widzi czerwoną łunę, która unosi się nad rzeką. Jakby ktoś wystrzelił w ich kierunku racę. Ona i pozostali w ostatniej chwili padli na ziemię. Okazało się, że to lecący na nich pieprzony ognisty ptak o dziesięciometrowej rozpiętości skrzydeł. Uderzył tak blisko, że worki z piaskiem się zapaliły! A kiedy Amy i jej kumple szukali schronienia, jakiś samochód z palnikami przejechał przez punkt kontrolny i uciekł do Maine. To też był on! Tym właśnie się zajmuje! Facet wpadł na to, jak zrobić ze smoczej łuski broń.

- To jedna z opcji - rzucił Marlboro Man. - Druga jest taka, że twoja kuzynka to największa zdzira na całym Wschodnim Wybrzeżu i ktoś przejechał przez punkt kontrolny, kiedy Amy Castigan robiła laskę całemu oddziałowi. Nie ma żadnego strażaka. A wczoraj wieczorem przy posterunku nie było żadnego szatana. Ludzie widzą w ogniu różne rzeczy. Przeróżające twarze i takie tam. To wszystko.

Harper, chcąc nie chcąc, pomyślała o twarzy dziewczyny, którą widziała w piecu Johna. Była pewna, że należała do Sarah Storey. Marlboro Man mógł wierzyć sobie, w co tylko chciał, ale czasami to, co widzi się w ogniu, naprawdę na nas patrzy.

Ze schodów spadły deski i fragmenty karton-gipsu.

- Nic - powiedział Jakob. - Ani śladu żywej duszy. Mówiłem wam. Gdyby ktoś tu był, zostawiłby ślady. Ona jest w szóstym miesiącu ciąży. Wątpię, żeby była w stanie przejść sto metrów bez zadyszki.

- Słuszna uwaga - przyznał Marlboro Man. - Moja była, kiedy była w ciąży i naszła ją na coś ochota, na fajki, piwo, lody, cokolwiek, wysyłała po to mnie, nawet jeśli to coś leżało w drugim pokoju.

- Cóż, tym razem intuicja cię zawiodła. Ale przynajmniej znaleźliśmy butelkę Balyenie. Możemy ją zabrać. Tylko pijcie powoli, bo to flaszka warta pięćset dolców.

- Po co ten pośpiech? Napijcie się, a ja wam pokażę, jak się wygrywa w bilard.

- Musiałbym być niezłe nawalony, żeby dać się ograć - powiedział

Jakob.

- Chcesz się założyć? - zaproponował Marlboro Man.

- O co? Pieniądze nie są już tym, czym były.

- Jeśli wygram, wrócisz na górę i przyniesiesz mi majtki swojej żony.

- A jeśli ja wygram, będziesz musiał je założyć - odgryzł się Jakob.

- Hej, a jeśli ja wygram? - zapytał Marty.

- A może zamiast tego wynajdziesz lek na pieprzoną smoczą łuskę?

Albo przestaniesz chichotać jak trzynastolatka z czkawką?

Marty zaśmiał się jak trzynastolatka, którą męczy czkawka.

- Kto rozbija? - spytał Jakob.

Bile z trzaskiem rozsypały się po stole.

- To pojedyncza rozgrywka? - spytał Marty. - Czy gracie do trzech?

- Mnie tam wszystko jedno - bąknął Marlboro Man. - Nigdzie mi się nie spieszy.

6

Śnieg niczym puder sypał się z nieba. Szła przez mroźną ciemność, czując na nosie i na policzkach ukąszenia zimna. Kiedy weszła do domu, zapadał zmrok. Teraz, sześć rundek bilardu później, kto wie, która była godzina - dwudziesta druga, trzecia? - a w nogi łąpały ją skurcze od siedzenia w ciasnej wnęce za szklanymi drzwiami.

Jakob grał lepiej, ale Marlboro Man miał mocniejszą głowę. Grubas - sądząc po głosie, musiał ważyć co najmniej sto trzydzieści kilogramów - wyszedł z domu z jej majtkami w kieszeni kurtki, pogwizdując Centerfold. Harper odczekała kolejne pół godziny, zanim w końcu wyszła z ukrycia, obawiając się w duchu, że Jakob i jego nowi kumple wciąż tam są i na nią się czają. W jednej z bocznych łuz tkwiła odwrócona do góry dnem pusta butelka.

Harper powinna być zdruzgotana, szlochać rozpaczliwie albo dygotać ze strachu. Czowała się jednak naładowana, jakby właśnie zjechała z wyjątkowo stromego stoku, szusując szybciej, niż pozwalały jej na to umiejętności. Praktycznie nieświadoma, szła tam, dokąd niosły ją nogi.

Nie wiedziała, dokąd idzie, dopóki nie dotarła na miejsce. Przeszła przez bramę wejściową do obozu Wyndham - minęła łańcuch rozpięty między dwoma monolitami i wrak spalonego autobusu - i podążała Little Harbor Lane aż do żwirowej ścieżki. Po kolejnych trzydziestu metrach dotarła na nabrzeże, które opadało w dół, ku spienionym wodom Atlantyku.

W oddali majaczyła wyspa strażaka. Wspięła się na falochron, szła dwie minuty kamienistą plażą, aż jej oczom ukazała się przystań obozu Wyndham.

Obiecała Allie, że wróci za dwie godziny. Od tego czasu mogły minąć nawet cztery. Harper bała się konfrontacji z dziewczyną, która nie dość, że miała przez nią kłopoty, to pewnie przez cały wieczór z niepokoju odchodziła od zmysłów. Julie Andrews powiedziałyby, że to kiepskie przedstawienie, i Harper postanowiła dołożyć wszelkich

starań, żeby wynagrodzić to Allie.

To jednak musiało poczekać. John Rookwood od trzech dni był sam na wyspie, z połamanymi żebrami, skręconym łokciem i zwichniętym nadgarstkiem. To dla niego wymknęła się z izby chorych. Nie darowałaby sobie, gdyby wróciła teraz do obozu, nie upewniwszy się, jak on się czuje.

Poza tym mimo tego, co mówiła Allie o pomysśle ukarania dla przykładu kilku osób, Harper nie brała jej słów na poważnie. Jej zdaniem była to dziecinada. Oczywiście, że istniały pewne zasady i konsekwencje, które trzeba ponosić za ich złamanie... ale zasady i konsekwencje zostały wymyślane przez dorosłych dla dzieci, a Harper nie była już dzieckiem. Uczeń może dostać uwagę za bieganie po korytarzu, ale gdyby przyłapano na tym samym kogoś z kadry nauczycielskiej, uznano by, że ma ku temu wszelkie powody. Ben może się gniewać, ale Harper porozmawia z nim i wszystko wyjaśni. Nie bała się jego (ani Carol), tak jak nie bała się innych nauczycieli. W końcu nikt nie każe jej napisać sto razy na tablicy: *Nigdy więcej nie opuść obozu bez pozwolenia.*

Płynęła po morzu falującej, płynnej ciemności. Czuła w sobie leniwe kołysanie, jak gdyby nosiła pod sercem miniaturowy ocean.

Zapukała w futrynę drzwi szopy strażaka.

- Kto tam?

- Harper.

- Nareszcie. Ostrzegam cię, jestem nagi.

- Zaczekam chwilę.

Wciągnęła do płuc wilgotne, słone powietrze i po chwili wypuściła z ust biały obłoczek. Nigdy dotąd nie miała okazji pomyszkować po wyspie, dlatego wspięła się na najwyższą wydnię, żeby spojrzeć na wszystko z góry.

Wyspa nie była duża. Długa na sto kilkadziesiąt metrów, kształtem przypominała oko. Środkiem, na całej długości biegło skaliste wzniesienie, na którego końcu stała chatka strażaka. Na południowym krańcu wyspy dostrzegła ruiny domku dla gości, zwęglone, prostokątne szczątki ze sterczącymi ze śniegu spalonymi belkami. Podejrzewała, że dom strażaka był niegdyś czymś więcej niż szopą na narzędzia, miejscem, w którym składowano kosiarkę do trawy i stół do pracy. Na

chwilę zaskoczył ją widok żaglówki: stała nad wąskim pasem kamienistej plaży, na wschodnim krańcu wyspy, długa na dziesięć metrów, spoczywająca na wózku ze stali nierdzewnej, przykryta naciągniętą białą plandeką. Harper przypomniała sobie jednak, że Ojciec Storey wspominał coś o łodzi, którą chciałby wyruszyć na poszukiwanie Marthy Quinn. Jeśli śnieg nie przestanie sypać, wkrótce żaglówka zleje się z krajobrazem i zmieni się w górującą nad innymi białą wydmy.

Z zimna szczypały Harper policzki. Wróciła po własnych śladach i weszła do szopy bez pytania. Otrzepała buty i rozcierając ręce, strzepnęła śnieg.

- Willowses! Nigdy w życiu nie cieszyłem się tak na widok drugiej osoby! Mam wrażenie, jakby ktoś wjechał mi w pierś samochodem. Nie czułem takiego bólu od rozpadu Guns N'Roses.

- Przykro mi. - Harper odłożyła torbę na zakupy, którą przyniosła z sobą. - Miałam ciężki dzień.

Otworzyła usta, żeby opowiedzieć mu o Jakobie, Marlboro Manie i o tym, jak niewiele brakowało, żeby ją nakryli, ale ugryzła się w język.

Strażak siedział na łóżku nagi, nie licząc prowizorycznego temblaka, który zrobiła z płóciennego kołczana. Miał jednak na tyle przyzwoitości, żeby okryć uda prześcieradłem, które rozlewało się wokół bioder jak biała kałuża. Całą jego skórę pokrywało diabelskie pismo zapisane w złocie i czerni. Widoczne pod łuską siniaki ściemniały i przybrały kolor jeżyny i owoców granatu. Sam ich widok sprawiał jej ból.

- Nie ubrałeś się - zauważyła.

- Cóż - odparł. - Nie wiedziałem, czy jest sens. Nie zbadasz mnie? W moim stanie ubieranie się i rozbieranie wymaga wysiłku. A ty gdzie się podziewałaś? Od kilku dni tkwię sam jak palec na tym błotnistym zadupiu i nie mam nawet z kim pogadać. Doszło do tego, że zacząłem mówić do siebie.

- Czyli przynajmniej miałeś okazję porozmawiać z kimś, kto uważa, że jesteś mądry.

Zerknął na torbę z zakupami wyglodniałym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że jest tam morfina. I papierosy. I świeżo mielona kawa.

- Niestety, nie mam morfiny. A tak przy okazji, musimy o tym porozmawiać.

- Papierosy?

- W tej chwili nie mam dla pana papierosów, panie Rookwood - odparła, ostrożnie dobierając słowa. Wprawdzie nie kłamała, ale nie do końca była z nim szczerą. Stosowała takie uniki z coraz większą wprawą. - Niech pan spojrzy na to jak na okazję do rzucenia palenia, zanim nałóg pana zabije.

~ Myślisz, że palenie mnie zabije? Mnie?! Kiedy palę, siostrze Willowes, to inni powinni obawiać się o własne zdrowie. W takim razie liczę na świeżą kawę.

Przyniosłam trochę torebek cudownej herbaty...

- Herbaty?! Myślisz, że mam ochotę na herbatę?

- Czemu nie? Jesteś Anglikiem.

- Więc uznałaś, że piję herbatę? Może myślisz jeszcze, że chodziłem po mglistym Londynie w czapce a la Sherlock

Holmes i rozmawiałem z kumplami w pentametrze jambicznym? W Londynie mamy Starbucks, kobieto.

- To świetnie, bo tak się składa, że przyniosłam też kilka paczek kawy rozpuszczalnej ze Starbucks.

- Czemu od razu tak nie mówisz?

- Bo tak śmiesznie wyglądasz, kiedy się denerwujesz. Zróbmy tak: ja nastawię wodę, a ty w tym czasie włożysz spodnie. Jeśli dobrze pamiętam, nie miałeś żadnych obrażeń poniżej pasa.

John mglistym wzrokiem rozejrzał się po podłodze i kościstą stopą przyciągnął do siebie spodnie strażackie.

Harper wzięła głęboki oddech, żeby opowiedzieć mu o powrocie do domu, ale jej uwagę odwróciła inna myśl.

- Zawsze chciałeś być strażakiem? - zapytała. - Od jak dawna się tak ubierasz? Odkąd byłeś dzieckiem? - Przemawiała przez nią adrenalina. Zastanawiała się, czy tak właśnie czują się ludzie, którzy wykonują akrobatyczne skoki na spadochronie. Ręce jej drżały.

- A gdzie tam! - zachnął się. - Chciałem być gwiazdą rocka. Nosić skórzane spodnie, a weekendami wylegiwać się w łóżku z modelkami i komponować muzykę do pretensjonalnych tekstów.

- Nie wiedziałam, że jesteś muzykalny. Na jakim instrumencie

grałeś?

- Nigdy nie nauczyłem się grać na żadnym instrumencie. Strasznie dużo przy tym roboty. Do tego miałem głuchą matkę i ojca zabijakę, więc wykształcenie muzyczne nie było w mojej rodzinie priorytetem. Z gwiazdą rocka łączyło mnie tyle, że sprzedawałem narkotyki.

- Byłeś dilerem? Nie powiem, żeby mi się to podobało.

- Grzybki halucynogenne. Z moim wykształceniem biologicznym był to całkiem sensowny sposób na zarabianie pieniędzy. Zawsze interesowałem się mykologią. Sprzedawałem formę psylocybiny nazywaną „smerfojagodami”, bo była niebieska, popularna i świetnie smakowała z jajkami. Może o czasie do czasu zjedlibyśmy omlet ze smerfojagodami, sioostro Willowes?

Odwróciła się do niego plecami, żeby w spokoju mógł włożyć spodnie.

- Smocza łuska... to rodzaj zarodnika - powiedziała. -Grzyb. Pewnie wiele o niej wiesz.

Milczał. Kiedy na niego spojrzała, patrzył na nią wzrokiem niewiniątka. Nawet nie próbował włożyć spodni, które niczym wąż wiły się u jego stóp. Denerwowało ją to, że się nie ubiera. Wydawał się przez to jeszcze bardziej upiorny. Kolejny raz odwróciła wzrok.

- Dlatego potrafisz ją kontrolować... używać jej? Dlatego nie płoniesz, zupełnie jakbyś był pokryty azbestem? Dlatego, że rozumiesz coś, czego nie rozumieją inni?

Usłyszała, jak nuci coś pod nosem, a po chwili odparł:

- Nie wiem, czy to ja rozumiem łuskę, czy raczej pomogłem jej zrozumieć siebie. Garnki są w pudle pod piecem.

- Niby po co mi garnek?

- Patelnia. Nie zrobisz nam jajecznicy?

- A masz jajka?

- Nie. Ty też nie masz? W takim razie co jest w tej torbie? Na litość boską sioostro Willowes, przecież musiałaś przynieść jakieś smakołyki!

- Bardzo mi przykro, że nie przyniosłam jajek, rostbefu ani morfiny. Zamiast tego szłam pięć kilometrów i omal nie wpadłam na Szwadron Kremacyjny, żeby przynieść stabilizator łokcia i bandażę na twoje połamane żebra. Mój były mąż jest wśród nich. - Poczula pod powiekami nagle ukłucie, ale udało jej się powstrzymać łzy. -

Przyniosłam też herbatą, ponieważ jestem miła i pomyślałam, że to poprawi ci humor. Nie proszę, żebyś mi dziękował, proszę tylko, żebyś włożył spodnie. Ale ty nawet tego nie chcesz zrobić, bo mam wrażenie, że kręci cię siedzenie nago i patrzenie, Jak zareaguję.

- Nie mogę.

- Nie możesz co? Powiedzieć „dziękuję”? Przeprosić? Okazać choć odrobinę uprzejmości?

- Nie mogę włożyć spodni. Nie mogę się pochylić i ich podnieść. Za bardzo mnie boli. Byłaś bardzo miła i oczywiście powinienem ci podziękować. Więc mówię to teraz. Dziękuję, siostrzo Willowes.

Skrucha w jego głosie zupełnie ją rozbroiła. Poziom adrenaliny opadł, zaczął się odpływ, a wraz z nim powróciło zmęczenie.

- Przepraszam. To było kilka długich dni. A ostatnie godziny były najgorsze. Wróciłam do domu, żeby uratować kilka rzeczy, i natknęłam się na Jakoba i jego nowych kumpli. Jednym z nich jest ten zbir z radia, Marlboro Man, ten, który zawsze chwali się, ile palników załatwił. Musiałam siedzieć w ukryciu. Dość długo.

- Poszłaś do domu? Sama? Dlaczego nie wysłałaś kogoś?

- Kogo? Czujki to dzieciaki. Głodne, przemęczone dzieciaki. Nie chciałam narażać ich na niebezpieczeństwo. Nie mogłam posłać ciebie w takim stanie, z połamanymi żebrami. Poza tym wiedziałam, gdzie czego szukać. Uznałam, że najrozsądniej będzie, jeśli pójdę sama. Nie powiedziałaś mi, co się stało z moim domem.

- Że twój były postanowił przeprojektować go przy użyciu ważącego dwie tony pługu? Mało masz zmartwień? Nic ci nie jest?

- Bałam... bałam się. Słyszałam, jak o mnie rozmawiali. O tobie też.

- Żartujesz! - krzyknął. Wydawał się zachwycony.

- Tak. Mówili o człowieku, który uczynił ze smoczej łuski oręż, który potrafi ciskać płomieniami i paraduje w stroju strażaka. Nie potrafili zdecydować, czy istniejesz naprawdę, czy jesteś miejską legendą.

- Ach! W końcu jestem na dobrej drodze, żeby zostać gwiazdą rocka!

- Głównie rozmawiali jednak o tym, co robią zainfekowanym. Marlboro Man prowadzi rejestr poczynań Szwadronów Kremacyjnych. Opowiadał o tym, kto zabił najwięcej palników, kto zamordował najwięcej zainfekowanych jednego dnia, kto bił najbrzydszą dziewczynę, a kto najładniejszą. Zupełnie jakby mówił o statystykach

drużyny baseballowej, której kibicuje.

Marlboro Man pochwalił Jakoba za to, że w Nowy Rok pookazał, że ma jaja. Harper potrzebowała kilku minut, by uświadomić sobie, że nie chodziło seks, ale o morderstwo. Jakob swoją ciężarówką staranował nissana, którym podróżowała zakażona rodzina: mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci. Z samochodu nie zostało prawie nic. Siła uderzenia wycisnęła ciała z wraku jak pastę do zębów; tak przynajmniej twierdził Marlboro Man. Jakob przyjął pochwałę bez słowa, nie okazując dumy ani przerażenia.

Jakie to dziwne, że człowiek, którego poślubiła, którego kochała i któremu była oddana, mordował teraz ludzi. Zabijał i nie zamierzał przestawać. Osiemnaście miesięcy temu wieczorami tulili się do siebie na kanapie, oglądając serial *Master of None*.

- Bałam się, że zacznę się trząść i mnie usłyszą. Że usłyszą, jak szczękam zębami. W końcu wyszli i kiedy byłam pewna, że nie ma zagrożenia, że ujdę z życiem, to... to poczułam się tak... jakby ktoś wrzucił mi do żołądka granat, który z jakiegoś powodu nie wybuchł. W głowie miałam mętlik, a nogi jak z waty. Nie opieprzysz mnie?

- Za to, że jesteś idiotką i na własne życzenie pakujesz się w kłopoty?

- Tak.

- Nie. Chyba nie ma dwóch rzeczy, które bym bardziej podziwiał w człowieku. Cieszę się, że tu jesteś. Nie piłem kawy od kilku dni.

Kiedy się odwróciła, ziewał, zakrywając pięścią usta. Oczy miała zamknięte, prześcieradło zsunęło się, odsłaniając linię biodra. Harper zaskoczyła jej własna reakcja na widok wychudzonego ciała i gęstych włosów na zapadniętej, poobijanej piersi. Poczowała gwałtowne, absurdalne pożądanie w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu nie było niczego.

Żwawym krokiem podeszła do łóżka, czując, że ta dziarskość ją ochroni.

- Podnieś nogi.

Zrobił, co mu kazała i uniósł stopy. Podciągnęła spodnie do kolan, a zaraz potem usiadła obok niego i wsunęła mu ramię pod pachy.

- Na trzy podnieś swój kościsty tyłek - nakazała.

Wsparł się na niej całym ciężarem ciała i kiedy pomogła mu wstać, usłyszała to: świszczący oddech, drżący, gwałtowny wdech. Resztki

koloru odpłynęły z jego twarzy.

- To nie ból, kiedy się ruszam, jest najgorszy, tylko swędzenie w piersi. Przy każdym wdechu. Nie mogę przez to spać.

- Swędzenie nie jest złe. To dobry znak. panie Rookwood. Kości swędzą, kiedy się zrastają.

- Mam nadzieję, że będzie lepiej, jak mnie zabandażujesz.

- Mmm, nie, przykro mi, ale nic z tego. To tylko zwiększyłyby ucisk na płuca, a ty musisz oddychać. Ale chciałabym zabandażować ci nadgarstek i założyć stabilizator na łokieć.

Wsunęła elastyczną szynę na przedramię, ułożyła ją jak należy i zajęła się opuchniętym, sinym nadgarstkiem. Obłożyła go bawełnianymi wacikami i okręciła bandażem, tworząc wokół stawu sztywny, wygodny opatrunek. Następnie uniosła prawe ramię strażaka i spojrzała na posiniaczony bok. Musnęła palcami żebra, badając każde złamanie. Starła się nie czerpać przyjemności z widoku gruzłowatej linii kręgosłupa czy spiralnych ornamentów, które smocza łuska namalowała na jego skórze. Wyglądał jak pomalowany fantastycznie uczestnik karnawału. Nie potrafiła powiedzieć, ile osób zabiła smocza łuska, ale nie mogła przestać myśleć o tym, że on wygląda wspaniale. Poza tym była napalona. A to wcale jej nie pomagało.

- Czeka cię nie tylko połajanka od Bena Patchetta - powiedział. - I pełne dezaprobaty spojrzenie Toma Storeya. Człowiek czuje się podle, wiedząc, że rozczarował staruszka. To jak powiedzieć supermarketowemu Świętemu Mikołajowi, że wiesz, że ma sztuczną brodę.

- Nie sądzę, żeby Ojciec Storey robił mi wyrzuty.

Strażak spojrzał na nią pytająco i momentalnie spow aźniał.

-W takim razie ja to zrobię.

Opowiedziała mu o tym, jak wykonała trepanację czaszki z pomocą wiertarki i jak zdezynfekowała ranę porto. Opowiedziała o Benie, chłodni, skutych więźniach i ręczniku pełnym kamieni. Potem musiała się cofnąć w czasie do ostatniej rozmowy, jaką odbyła z Ojcem Storeyem w kajaku.

Strażak nie zadawał wielu pytań... przynajmniej do czasu, gdy zrelacjonowała mu przebieg rozmowy.

- Zamierzał wygnąć jakąś biedną dziewczynę za to, że ukradła kubek

i kilka puszek konserwy?

- I medalion. I *Podręczną mamę*.

Pokręcił głową.

- Mimo wszystko. To niepodobne do Toma.

- Nie zamierzał wygnać jej dlatego, że kradła. Zamierzał to zrobić, bo jego zdaniem była niebezpieczna.

- I wiedział o tym, bo przyłapał ją na kradzieży, a ona... co? Groziła mu?

- Coś w tym stylu - odparła Harper.

Ściągnęła brwi. Trudno było przypomnieć sobie, co i jak dokładnie powiedział Tom Storey. Miała wrażenie, jakby rozmawiali nie kilka dni, ale kilka miesięcy temu. Irytowało ją to, że nie pamięta, co starszy mężczyzna mówił o złodziejce; chwilami miała wrażenie, że w ogóle nie wspomniał o kradzieży.

- I z jakiegoś powodu postanowił opuścić obóz razem z nią?

- Żeby się nią zaopiekować. Zamierzał wyruszyć na poszukiwanie wyspy Marthy Quinn.

- Ach, tak, wyspa Marthy Quinn. Wyobrażam sobie, że pełno tam uchodźców z lat osiemdziesiątych, w spandeksach i lamparcich futrach. Mam nadzieję, że jest tam Tawny Kitaen. Była obiektem moich pierwszych fantazji seksualnych. Kto zdaniem Toma miał przejąć jego obowiązki?

-Ty.

- Ja! - Roześmiał się. - Jesteś pewna, że nie mówił tego po tym, jak oberwał w głowę? Nie wyobrażam sobie kogoś, kto nadawałby się do tego mniej niż ja.

- A Carol?

Uśmiech na jego twarzy zgasł, jakby nigdy go tam nie było.

- Carol pasuje mi na arcykapłankę jak pięść do oka.

- Twoim zdaniem nie chce dobrze dla obozu?

- Oczywiście, że chce dobrze dla obozu. Kiedy wasz rząd torturował biednych sukinsynów, żeby znaleźć bin Laden, też chciał dobrze. Ojciec Carol miał na nią kojący wpływ, był jak balsam na jej szorstką osobowość. Bez niego... cóż. Od zewnątrz zagrażają jej patrole kwarantannowe, policja i Szwadrony Kremacyjne. W obozie musi się zmierzyć ze złodziejką i dwoma więźniami. Ludzie, którzy się boją, nie

przebierają w środkach. Zwłaszcza tacy ludzie jak Carol.

- Sama nie wiem. Nawet nie chciała przyjąć tej funkcji. Odrzuciła ją trzy razy, zanim się zgodziła.

- Cezar też. Szkoda, że Sarah... - Urwał i podenerwowany zerknął w stronę pieca. Zaraz jednak spuścił wzrok i podjął na nowo: - Nie chodzi o to, że Sarah trzymałaby Carol w ryzach czy próbowała odebrać jej władzę. Nic z tych rzeczy. Ale gdyby zobaczyła, że jej młodsza siostrzyczka tonie, rzuciłaby jej linę. To właśnie mnie martwi. Nie dość, że Carol może utonąć we własnej paranoi, to tonący często pociągają za sobą innych, a ta kobieta ma w swoich rękach cały obóz.

Gdzieś w piecu z suchym trzaskiem pękł sęk.

- Jaka była Sarah? Domyślam się, że nie taka jak Carol. Była bardziej podobna do Toma?

- Miała jego poczucie humoru. I więcej charakteru niż ktokolwiek inny. Rzuciła się na wszystko z niesamowitym zapałem, jak kula do kręgli. Niekiedy Allie zachowuje się podobnie. Dzięki Sarah czułem się jak jeden z dziesięciu kręgli. - Utkwił wzrok w płomieniach, potem odwrócił głowę i posłał Harper słodki, niemal chłopięcy uśmiech. — To chyba całkiem trafny opis pewnego rodzaju miłości, co?

- Co mogę powiedzieć o Sarah sprzed czasów, zanim mnie poznała? W wieku siedemnastu lat zachodzi w ciążę z nauczycielem gry na pianinie, anielsko pięknym Litwinem starszym od niej o kilka lat. Zostaje wyrzucona z prywatnej szkoły, w której uczy jej ojciec. Tom, jej najlepszy przyjaciel na świecie i najbardziej wielkoduszny człowiek, jakiego zna, mówi jej straszne rzeczy i odsyła ją z domu, żeby zamieszkała u krewnych. Popadłszy w niełaskę, Sarah kończy ostatnią klasę w państwowym liceum, ukrywając pod swetrami ciążę. Upokorzony, niemogący znaleźć pracy Litwin, zaczyna znów udzielać korepetycji i Sarah odkrywa, że facet posuwa swoje uczennice. Trudno, zostaje z nim, bo gdyby odeszła, musiałaby wrócić do domu, a obiecała sobie, że nigdy więcej nie poprosi o nic ojca. Zamiast tego wpada na pomysł, że jedynym sposobem, żeby uratować związek, jest kolejne dziecko. Nadażasz za mną? Obiecuję, że zaraz dojdę do najciekawszej części.

- To znaczy? - spytała Harper.

- Tej, w której pojawia się ja. Na świat przychodzi Nick. Chłopiec jest głuchy. Ojciec wpada na pomysł, żeby oddać go do adopcji, bo, jak twierdzi, nigdy nie dogada się z upośledzonym bachorem, który nie będzie w stanie podziwiać jego muzyki. Sarah proponuje mężowi, żeby poszukał sobie nowego lokum, i wyrzuca go z domu. W pewną październikową noc o drugiej facet wpada do domu i grozi rodzinie rakietą do badmintona. Sarah występuje o sądowy zakaz zbliżania się. W odpowiedzi facet pojawia się w podstawówce, do której chodzi Allie, po to, jak twierdzi, żeby zabrać córkę na umówioną wizytę u dentysty, i znika z dzieckiem.

- Chryste.

- Aresztowano go cztery dni później w motelu przy granicy z Kanadą, gdzie kombinował, jak dostać się do Toronto, bo Allie nie miała paszportu. Myślę, że planował dostać się do litewskiej ambasady i

uciec z córką do Europy. Po wyjściu za kaucją powiesił się.

- Wygląda na to, że Sarah i ja wybierałyśmy mężów w tym samym sklepie - powiedziała gorzko Harper.

- Z ostatniego walca pianisty wynikała jedna dobra rzecz. Podczas tych koszmarnych dni, kiedy Sarah nie wiedziała, gdzie jest Allie, na progu domu pojawił się ojciec, żeby pomóc jej na wszelkie możliwe sposoby. Zadbał o to, by Sarah jadła i spała, tulił ją, gdy płakała, opiekował się Nickiem. To była jego szansa na to, żeby być ojcem, jakiego Sarah potrzebowała, ojcem, którym był, zanim tak bardzo ją zawiódł. Znam Toma i wątpię, czy kiedykolwiek wybaczył sobie, że odwrócił się od niej, kiedy była przerażoną ciężarną nastolatką. Został z nią przez kilka miesięcy. Później Sarah przeprowadziła się bliżej domu, a on pomagał jej wychowywać dzieciaki po tym, jak wróciła na studia. Chciała zostać pracownikiem socjalnym i właśnie to potem robiła: pomagała niepełnosprawnym. Tak się złożyło, że od lat osiemdziesiątych jej ojciec pracował w obozie Wyndham i kiedy Nick skończył siedem lat, Tom został dyrektorem placówki. Tej wiosny Sarah wpadła na pomysł, żeby zorganizować w Wyndham dwutygodniowy obóz dla niesłyszących i Tom spełnił jej prośbę. Szukali opiekunów, którzy znali język migowy i spełniali określone wymagania. Jako dzieciak nauczyłem się języka migowego od swojej głuchej matki Irlandki, czym oczarowałem kilku kumpli, którzy mawiali, że moje ręce mają irlandzki akcent. Przyjechałem do

Stanów, żeby zrobić dyplom magistra, i ucieszyłem się, że będę miał dobrze płatną wakacyjną pracę. W tym przeklętym kraju człowiek nie jest w stanie zarobić na życie, sprzedając smerfojagody. Musisz wiedzieć, że handlarze hery i mety uczynili z Ameryki koszarne miejsce dla kogoś, kto chce ofiarować swoim klientom cudowne duchowe doznania.

Tom zatrudnił mnie, żebym prowadził zajęcia na świeżym powietrzu i pokazywał dzieciakom, jakie jagody wolno jeść, jakimi liśćmi się nie podcierać i jak rozpalić ogień, nie używając zapalek. Zwłaszcza to ostatnie szło mi całkiem nieźle. Zyskałem nawet przydomek Woody¹² John. Sarah nazywano Strażniczką Sarah. Przed przyjazdem dzieci odbyliśmy kilkudniowe szkolenie i nie potrzebowałem dużo czasu,

żeby zorientować się, że ksywka „Woody” może stanowić problem. Pierwszego dnia Sarah przywitała mnie słowami: „Dzień dobry, Wood” i posłała mi słodkie, niewinne spojrzenie. Pozostali opiekunowie usłyszeli ją i parsknęli śmiechem. Niebawem wszędzie słyszałem teksty typu: „Kto ma drewno?”, „Ale z ciebie drewno” i „Woody poszedł po drewno na opał”. Sama rozumiesz.

Wieczorem w przeddzień przyjazdu dzieciaków trochę popiliśmy i powiedziałem jej, że pewnego dnia, jeśli będzie miała szczęście i dobrze to rozegra, może pokażę jej, że nie wszystko mam z drewna. To rozbawiło pozostałych. Odgryzła się i powiedziała, że nie ma ochoty wyciągać drzazg z miejsc intymnych, co jeszcze bardziej rozbawiło towarzystwo.

Zapytałem ją, jak to się stało, że została Strażniczką Sarah, na co odparła, że jako dyrektor programowy sama mogła wybrać sobie przezwisko. Powiedziałem, że zgodnie ze starym angielskim prawem mogę podważyć jej autorytet, wyzywając ją na pojedynek. Postanowiłem, że o wszystkim zadecyduje gra w lotki. Każde z nas będzie miało po jednym rzucie. Jeśli to ja trafię bliżej środka, będę mógł wybrać nową ksywkę dla siebie i dla niej. Ostrzegłem ją z góry, że nazwę siebie Panem Buszu, a ją Obozową Cipką. Odparła, że przegram, że poznam swoją nową ksywkę po skończonej rozgrywce i szybko zatęsknię do dni, kiedy byłem starym, dobrym Woodym.

Do tego czasu wszyscy byli już śmiertelnie poważni. A mówiąc „śmiertelnie poważni”, mam na myśli to, że tarzali się po ziemi ze śmiechu. Oczywiście byłem przekonany o swoim zwycięstwie. Jako dzieciak więcej czasu spędzałem w pubach, grając w lotki, niż w szkole. Rzuciłem jakby od niechcienia i niemal trafiłem w środek tarczy. Wszyscy umilkli pełni podziwu dla moich umiejętności.

Sarah nawet nie mrugnęła. Wyciągnęła zza pasa mały toporek, podeszła do linii i rzuciła. Nie tylko trafiła w dziesiątkę, ale rozłupała tarczę na pół. „Nie mówiłeś, że mamy rzucać lotkami”, skwitowała. Tak oto zostałem Cieniasem. Na pamiątkę tego, jak „świetnie” rzucałem lotkami.

I tak to się chyba zaczęło... chyba wtedy poczuliśmy, że jesteśmy sobie pisani.

Kiedy obóz zaczął oficjalnie funkcjonować. Allie i jej matka prawie z

sobą nie rozmawiały. Czternastoletnia Allie została wyrzucona przez trzeciego psychoterapeutę po tym, jak rzuciła mu w jaja przyciskiem do papieru. Wzięła kilku chłopaków, starszych od niej, na przejażdżkę samochodem matki i go rozbiła. Nie wiem, jak to, że w trzeciej klasie została porwana przez własnego ojca, wpłynęło na jej zachowanie, ale z pewnością była bardziej zbuntowana niż przeciętna nastolatka. Nienawidziła matki za to, że próbowała ją kontrolować, i wściekała się, że została zmuszona do pomocy w obozie. Pierwsze kilka dni było koszmarnych. Allie oddalała się od innych dzieci i bawiła się telefonem. Jeśli nie smakowało jej jedzenie w stołówce, opuszczała obóz i jechała stopem do miasta, żeby spotkać się z przyjaciółmi. I tak dalej.

Sarah postanowiła, że Allie pójdzie z nią na pieszą wycieczkę do Jade Well, stawu z lodowatą wodą poniżej sześćo-metrowego klifu. Może chciała ją udusić i uznała, że głębokie, ciemne wody to najlepsze miejsce, żeby ukryć ciało. Potrzebo-wali trzeciego dorosłego i padło na mnie. I tak w chmurze komarów wraz z dwunastoma dziećmiakami wyruszyliśmy na szesnastokilometrową wyprawę. Jedyne, co mogę powiedzieć, to dzięki Bogu, że dzieciaki były głuche. Allie i Sarah warczały na siebie całą drogę. Kiedy Allie zaczęła bawić się telefonem, Sarah jej go zabrała. Allie szła przodem i robiła to tak, że gałęzie smagały idącą za nią matkę w twarz. Dzieci czuły, że coś jest nie tak, i robiły się coraz bardziej podenerwowane.

Zanim dotarliśmy do Jade Well, Allie i Sarah wrzeszczały na siebie. Wszyscy byli poparzeni od słońca i pogryzieni przez komary. Sarah wściekała się na córkę, że zostawiła w autobusie środek odstraszający komary, Allie była zła na matkę, że zwała wszystko na nią, a ja miałem ochotę zostawić je i wrócić do obozu. Widząc, jak stoją nad krawędzią klifu, po prostu nie mogłem się powstrzymać. Chwyciłem obie za rękę i w butach wrzuciłem do wody. I wiesz co? Kiedy wyszły, śmiały się do rozpuku i opluwały się wodą.

Przez resztę wycieczki próbowały się na mnie zemścić. Kiedy rozdawano hot dogi, wręczyły mi wetknięty w bułkę czysty tampon. O drugiej w nocy otworzyły mój namiot i oblały mnie zimną wodą. Zamiast olejkiem do opalania spryskały mnie lakierem do włosów. I wiesz co? Było fajnie. Wyprawa, która zapowiadała się naprawdę

kiepsko, okazała się wspaniałą przygodą. Dzieciaki postawiły sobie za cel, że będą mnie bronić przed Strażniczką Sarah i Piżmakiem Allie. Zwłaszcza Nick. Myślę, że jemu najbardziej zależało na tym, żeby ochronić mnie przed szalonymi kobietami z jego rodziny. Przez resztę lata był moim ochroniarzem.

W ostatni weekend obozu wybraliśmy się na jeszcze jedną wycieczkę. Tamtej nocy Sarah wślizgnęła się do mojego namiotu i zapytała tylko, czy dobrze to rozegrała.

Byliśmy parą przez prawie rok. Marzyła o tym, żeby popływać na Wielkiej Rafie Koralowej. Żałuję, że nie poleciliśmy do Australii. Żałuję, że nie czytaliśmy sobie nawzajem książek. Wyrwaliśmy się tylko na romantyczny weekend do

Nowego Jorku, podczas gdy jej ojciec opiekował się dziećmi. Żałuję, że nie zrobiliśmy więcej. Żałuję, że częściej nie chodzi-liśmy na spacer. Żałuję, że tyle czasu spędzaliśmy przed tele-wizorem. Owszem, było miło, siedzieliśmy przytuleni, śmiejąc się ze Stephena Colberta i Seta Meyersa, ale to żadne wspom-nienia. Robiliśmy takie zwykłe, banalne rzeczy. Zamawialiśmy pizzę i graliśmy z jej siostrą i ojcem w Trivial Pursuit. Pomagaliśmy dzieciom odrabiać prace domowe. Częściej myśliśmy razem naczynia, niż się kochaliśmy. Co to za życie?

- Prawdziwe - odparła Harper.

Snując swoją opowieść, w ogóle na nią nie patrzył. Spoglądał na swój cień, który w blasku ognia unosił się i opadał jak wody fal pływowych.

- Częściej myślę o rzeczach, które mogliśmy zrobić, niż o tym, co zrobiliśmy. Zupełnie jakbyśmy otworzyli butelkę wyjątkowe-go wina i każde z nas wypilo łyk, a zaraz potem kelner niezdara stracił butelkę na podłogę. Pierwszy raz zobaczyłem smoczą łuskę na uroczystym lunchu organizowanym przez Bostońskie Stowarzyszenie Mykologów, trzy miesiące przed Seattle.

Nie wyjaśnił, co miał na myśli, mówiąc „Seattle”. Harper wiedziała jednak, że chodziło mu o pożar budynku Space Needle.

- Gość nazwiskiem Hawkins - ciągnął - który niedawno wrócił z Rosji, dokonał czterdziestominutowej prezentacji w PowerPoint. Nie wiem, co przeraziło mnie bardziej... zdjęcia czy sam Hawkins. Cały czas zasychało mu w ustach. Stojąc na podium, wypił pół dzbanka

wody. I mówił tak cicho, że trzeba było wyęczać słuch, żeby go usłyszeć. Wychwytywaliśmy tylko strzępy słów: „wskaźnik zachorowań”, „droga przenoszenia choroby”, „samozapłon komórek”. Mówiąc to, wyświetlał zdjęcia rodem z horrorów: fotografie zwęglonych zwłok, szczerzące zęby spalone ciała. Mówię ci, przez jakiś czas bufet świecił pustkami, za to bar przeżywał prawdziwe oblężenie. Kończąc prezentację, Hawkins powiedział, że choć na Kamczatce wirus zabił zaledwie siedemdziesiąt sześć osób, pożary, które spowodował, kosztowały życie kolejnych pięćset trzydzieści. Straty na obszarach miejskich szacowano na prawie osiemdziesiąt milionów dolarów, a Rosja straciła osiemnaście tysięcy hektarów obszarów leśnych. Hawkins powiedział, że trzy ostatnie przypadki na Alasce wskazują na to, że patogen może się przenosić inną drogą niż pozostałe wirusy i że konieczne są dalsze badania. Według jego obliczeń ćwierć miliona zarażeń w Ameryce z łatwością doprowadziłoby do śmierci dwudziestu milionów ludzi i zmieniło przeszło dwa i pół miliona hektarów w pogorzelnisko.

- Ile to?

- To powierzchnia zbliżona wielkością do Massachusetts. Muszę przyznać, że nieźle nas wtedy przestraszył, ale z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że facet był zdecydowanie zbyt ostrożny w swoich obliczeniach. Chyba nie wziął pod uwagę kryzysu społecznego, który doprowadzi do tego, że nie będzie miał kto walczyć z pożarami. Tyle że już w porze obiadu praktycznie przestałem o tym myśleć. Potraktowałem to jak kolejną możliwą, choć mało prawdopodobną apokalipsę; coś jak epidemia ptasiej grypy zabijająca miliardy ludzi na całym świecie albo asteroida, która zderza się z ziemią i dzieli ją na pół. Człowiek nie może nic na to poradzić, zresztą takie rzeczy przydarzają się ludziom na drugim końcu świata, a tu trzeba pomóc dzieciom w odrabianiu pracy domowej, więc chcąc nie chcąc, przestajesz o tym myśleć.

No i przestałem na tyle, na ile byłem w stanie. Smocza łuska była tematem każdej wiadomości i jednym z trzydziestu najpoważniejszych zagrożeń na tablicy ogłoszeń w Stowarzyszeniu Mykologów. Organizowano webinaria i konferencje, powołano nawet specjalną komisję. Wysłano raport do senatu. Przez jakiś czas śledziłem rozwój wydarzeń z czystej ciekawości. Poza tym wiesz przecież, siostró

Willowes, jak bardzo się popisować. To, czego się dowiedziałem, podniosło status na spotkaniach towarzyskich przy grillu. Do głowy mi nie przyszło, że to coś może wedrzeć się do naszego ogrodu, aż do dnia, gdy w Manitobie wybuchły pożary, których nikt nie był w stanie ugasić. To było jakiś miesiąc przed pierwszymi przypadkami w Bostonie. Tylko co z tego, że wiedziałem? Gdyby to była zaraza jak każda inna, człowiek mógłby się ukryć. Zaszyć się w lesie. Zabrać najbliższych, zaryglować drzwi i czekać, aż minie zagrożenie. Ale chowanie się w lasach było jak ukrywanie się w fabryce zapalek. W miastach istnieje przynajmniej coś takiego jak straż pożarna.

Wiem dokładnie, kiedy i jak się zaraziłem. Wiem dokładnie, gdzie wszyscy wtedy byliśmy, bo oczywiście byliśmy razem. Był początek maja i świętowaliśmy trzydzieste urodziny Carol. Sarah i ja niedawno zamieszkaliśmy razem. Mieliliśmy mały basen, ale było tak zimno, że oprócz Sarah nikt nie chciał się kąpać. To było skromne przyjęcie: tylko Tom, dzieciaki, Sarah, Carol i ja, plus bezglutenowy tort dla solenizantki. Sarah i ja często zastanawialiśmy się do późna w nocy, czy Carol kiedykolwiek przespała się z jakimś facetem. Była przez pięć lat zaręczona z bardzo pobożnym, młodym człowiekiem, o którym każdy wiedział, że jest gejem, oczywiście z wyjątkiem Carol. Tak sobie myślę, że facet był jednym z tych nawiedzonych, młodych pedziów, którzy gamą się do religii, bo mają nadzieję, że modlitwa uleczy ich z gejostwa. Sarah twierdziła, że nie wierzy, żeby kiedykolwiek poszli do łóżka, chociaż pisali do siebie bardzo namiętne maile. Carol dowiedziała się o wszystkim przez przypadek, kiedy postanowiła zrobić narzeczonemu niespodziankę i odwiedzić go w Nowym Jorku, gdzie odbywał staż w instytucie teologicznym, i nakryła go w łóżku z dziewiętnastoletnim kubańskim tancerzem.

Zapytałem kiedyś Sarah, czy nie przyszło jej do głowy, że może Carol jest lesbijką, a ona ściągnęła brwi i zastanawiała się przez chwilę, aż w końcu odparła, że jej zdaniem Carol najzwyczajniej w świecie brzydzi się seksem. Przerazał ją nieład. Carol chciała, żeby miłość była jak kostka mydła: oczyszczająca i higieniczna. Powiedziała też, że Carol owinęła sobie ojca wokół palca i że Tom jest jedynym mężczyzną, na którym kiedykolwiek jej zależało.

Ona i Sarah były wobec siebie bardzo nieufne. Kiedy Sarah jako

nastolatka zaszła w ciążę, Carol wysłała jej list, w którym wypominała jej, że złamała ojcu serce, i zaklinała się, że nigdy więcej się do niej nie odezwie. I rzeczywiście nie rozmawiały do czasu, aż urodził się Nick. Wtedy Sarah przyjęła młodszą siostrę z powrotem do swojego życia, choć ich relacje już zawsze pozostały napięte. Carol próbowała zwrócić na siebie uwagę w sposób tak dziecinny, że nawet było to zabawne. Jeśli Sarah wygrywała w scrabble, Carol dostawała ataku kaszlu, twierdziła, że coś ją uczuliło, i kazała ojcu wieźć się do szpitala. Jeśli Sarah i Tom rozmawiali o Wiktorze Hugo, Carol twierdziła, że Sarah nie jest w stanie docenić w pełni jego dzieł, ponieważ nie czytała ich w oryginale. Sarah zbywała takie uwagi śmiechem. Myślę, że za bardzo było jej żal siostry, żeby z nią rywalizować, więc wołała ustąpić i zrobić dla niej coś miłego. Na przykład zorganizować przyjęcie urodzinowe.

Zbierałem się, żeby wejść do domu po kolejne piwo, kiedy usłyszałem głuchy łomot, jakby gdzieś daleko coś spadło z ciężarówki, coś ciężkiego, od czego woda w basenie zaczęła falować. Wszyscy zaczęli się rozglądać, nawet Nick, który poczuł wibracje pod stopami.

Sarah stała w płytkiej części basenu zziębnięta i z sinymi ustami, ale wciąż śliczna, i nasłuchiwała, czy wydarzy się coś więcej. Nick zobaczył to jako pierwszy: czarny, gęsty słup dymu na końcu kwartału. Chwilę później nastąpił kolejny huk i jeszcze jeden, i kilka innych, tym razem nieco bliżej. Były tak głośne, że zadrżały szyby w oknach i zabrzęczały sztuce. Zawyły syreny. Sarah myślała, że to drogeria na rogu ulicy, i zapytała, czy mógłbym wyjść na ulicę i zobaczyć, co się dzieje. Sąsiedzi powychodzili przed domy i stali na chodnikach pod drzewami. Wiatr zmienił kierunek i zaczął nawiewać kłęby dymu w naszą stronę. Boże, jak on cuchnął! Jak palona guma i zbuki. Poszedłem nieco dalej, do miejsca, z którego widziałem drogerię CVS. Część budynku zmieniła się w ścianę czerwonych płomieni. Jakaś kobieta siedziała na krawężniku i płakała, ocierając łzy podkoszulkiem. Miałem przy sobie chusteczkę, więc dałem ją jej i zapytałem, czy nic jej nie jest. Odparła, że nigdy wcześniej nie widziała, jak ktoś umiera. Powiedziała, że jakiś koleś na motocyklu wjechał w stojący przed drogerią druciany pojemnik z butlami z gazem. Butle wybuchały jedna po drugiej jak największe petardy świata. Ktoś powiedział, że to był straszny wypadek, ale kobieta twierdziła, że to nie był zwykły wypadek.

Upierała się, że motocyklista palił się, jeszcze zanim wjechał w butle. Mówiła, że wyglądał jak Ghost Rider. Osłonę kasku miał podniesioną i widziała płonąca czaszkę: płomienie i wyszczerzone zęby.

Wróciłem do domu, żeby powiedzieć im, żeby weszli do domu. Sam nie wiem dlaczego, po prostu miałem... dziwne przeczucie. Byli dokładnie tam, gdzie ich zostawiłem, i gapili się na dym. Stali razem wśród płatków śniegu, bo, nie wiedzieć czemu, zaczął padać śnieg. Z nieba spadały na nas duże jak biały puch płatki popiołu. Przykrywając tort urodzinowy.

Kilka tygodni później Nick zbudził Sarah i mnie, żeby pokazać nam dziwne znamię na nadgarstku. Nawet nie pytał, co to jest. Już wiedział. Tego samego dnia znalazłem u siebie pierwsze znamię. W ciągu czterech dni wszyscy nosiliśmy na sobie piętno smoczej łuski. Wszyscy oprócz Sarah.

8

- Wszyscy oprócz Sarah? - zdziwiła się Harper.

- To inna historia.

- Musisz bardzo za nią tęsknić.

Nie odpowiedział i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ogień. Nagle wstał, rozejrzał się i uśmiechnął.

- Ona wciąż ze mną jest.

- Jak to? - Harper miała wrażenie, że serce podeszło jej do gardła.

- Rozmawiam z nią prawie codziennie. - Zmrużył oczy i utkwiał wzrok w migotliwym mroku, jakby wypatrywał kogoś w drugim końcu chaty. - Dokładnie wiem, co by powiedziała, żeby się ze mnie pośmiać. Kiedy zadaję sobie pytanie, w odpowiedzi słyszę jej głos. Jesteśmy nauczeni myśleć o swojej osobowości jako o czymś wyjątkowym, należącym tylko do nas. Wszystkie pomysły, przekonania i postawy, dzięki którym jesteśmy tacy, jacy jesteśmy... Wyobrażamy je sobie jako pliki przechowywane gdzieś w sejfie, w głębi mózgu. Większość ludzi nie ma pojęcia, jak wiele z tego, kim jesteśmy, wycieka na zewnątrz. Osobowość to nie tylko kwestia tego, co sami wiemy o sobie, ale przede wszystkim to, co wiedzą o nas inni. Przy matce jesteś jedną osobą, przy kochanku drugą, a przy dziecku jeszcze inną. Ludzie tworzą cię... i dopełniają... w równym stopniu, jak tworzysz się sama. Kiedy odchodzisz, ci, którzy zostają, zatrzymują w sobie tę część ciebie, która zawsze była w ich posiadaniu.

Harper zacisnęła usta i ze świstem wypuściła powietrze. Ten człowiek mówił o wspomnieniach, nie o duchach.

John utkwiał wzrok w otwartych drzwiczkach piecyka i patrząc na niego, Harper pomyślała: zapytaj go o to, co widziałaś... zapytaj go o tę twarz. Coś ją jednak powstrzymało. Uznała, że jeśli będzie naciskać, uda głupiego i powie, że o niczym nie wie. A przecież były ważniejsze rzeczy, o które musiała go wypytać.

- Prawie nie tknąłeś kawy - zauważyła. - Wystygła.

- To się da naprawić - odparł i lewą ręką podniósł do ust kubek.

Złote hieroglify na jego skórze pojaśniały i rozbłysły. Ręka strażaka zmieniła się w puchar ognia. Powoli obrócił kubek w palcach, aż kawa zaczęła parować.

- Czy ty zawsze musisz zwracać na siebie uwagę?

- Myślisz, że się popisuję? To jeszcze nic. Wczoraj, kiedy leżałem w łóżku, konając z nudów i z bólu, nauczyłem się puszczać ogniste bąki w trzech różnych kolorach. To dopiero było coś!

- Cieszę się, że ktoś ma frajdę z końca świata.

- Dlaczego myślisz, że to koniec świata? - Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Dla mnie tak to wygląda. Piętnaście milionów ludzi jest zakażonych. Maine wygląda jak Mordor, szeroki na sto sześćdziesiąt kilometrów pas popiołów i trucizny. W południowej Kalifornii jest jeszcze gorzej. Z tego, co słyszałam, płonie tam wszystko, od Escondido po Santa Maria.

- Cholera. Wiedziałem, że nie powinienem był odkładać wycieczki do Disneylandu.

- Który aspekt końca świata bawi cię najbardziej?

- Wszystkie. Zwłaszcza to aroganckie przekonanie, że świat się skończy tylko dlatego, że rodzaj ludzki może nie przetrwać. Moim zdaniem nigdy nie okazaliśmy odpowiedniej wdzięczności za to, że przeżyliśmy ostatnie stulecie. Ludzkość jest gorsza niż muchy. Wystarczy, że znajdziemy w zgliszczach wyschnięty kawałek flaków, a rzucimy się na niego jak wygłodniałe psy. Będziemy się kłócić o to, do kogo należy, i sprzedawać najlepsze kęsy bogatym i naiwnym. Boisz się, że świat się kończy, bo otaczają cię śmierć i zniszczenie? Nie wiesz, siostrzo Willowes? Śmierć i zniszczenie to ekosystem, w którym ludzie odnajdują się najlepiej. Czytałaś kiedyś o bakterii żyjącej w wulkanach, na samym skraju wrzącej lawy? To my. Ludzkość to zarazek, który na skraju katastrofy czuje się jak pączek w maśle.

- Do kogo przemawiasz, kiedy nie ma mnie w pobliżu?

Wybuchł szczekliwym śmiechem, zgiął się wpół i wykrzywił usta.

- Myśl, że mógłbym umrzeć ze śmiechu, wydaje się bardziej romantyczna od rzeczywistości.

Odwróciła się w jego stronę i usiadła po turecku.

- Naucz mnie tego, co potrafisz.

- Co? Nie. Nie mogę. Nie powinnaś pytać mnie, jak to robię. Ja sam tego nie rozumiem. Nie mogę cię nauczyć, bo tu nie ma nic do uczenia. Przykro mi.

- Boże, koszmarny z ciebie kłamca.

Postawił na podłodze talerz z owsianką.

- Obrzydliwość - rzucił. - Smakuje jak klej. Jakbym zdrapywał robale z podnóża skał. Jakie środki przeciwbólowe masz w tej swojej torbie? Potrzebuję czegoś mocnego, żeby zważyło mnie z nóg. Przez ostatnie dwa dni nie przespałem jednym ciągiem więcej niż dziesięć minut.

Wstała i zaczęła szperać w płócienną torbę na zakupy. Kiedy się odwróciła, trzymała w dłoni dwa plastikowe opakowania advilu.

- To wszystko, co mogę ci dać. Następną możesz wziąć dopiero po sześciu godzinach...

- Ja cię, kuźwa, pierdzielę, co to w ogóle ma być?! - zawołał. - Advil? Zwykły advil? Nie jesteś pielęgniarką. Jesteś oprawcą z krajów Trzeciego Świata.

- Po prostu jestem zdesperowana, panie Rookwood. Widzi pan tę torbę na zakupy? W środku jest apteczka. Zawiera połowę wszystkich środków medycznych, którymi dysponuję, żeby zadbać o sto pięćdziesiąt osób, w tym o starszego mężczyznę w śpiączce z dziurą w czaszce.

Posłał jej umęczone, dzikie spojrzenie.

- Potrzebujesz zaopatrzenia.

- Nawet nie masz pojęcia. Plastrów. Morfiny. Antybiotyków. Opatrunków na oparzenia. Środków antyhistaminowych. Defibrylatora. Norma Heald ma reumatoidalne zapalenie stawów i w zimne poranki z ledwością prostuje palce. Potrzebuje plaquenilu. Michael jest cukrzykiem i za dziesięć dni skończy mu się insulina. Nelson Heinrich ma nadciśnienie i...

- Tak, tak, rozumiem. Mam pomysł. Ktoś musi obrabować aptekę.

- Ktoś musi obrabować ambulans.

- Tak, to chyba załatwiłoby sprawę, co? - Ostrożnie dotknął swojego boku. - Potrzebuję czterech, pięciu dni, zanim będę gotowy. Najlepiej tygodnia. Jestem zbyt obolały i zmęczony, żeby się tym zająć.

- Nigdzie nie pójdziesz przez najbliższe dwa do czterech tygodni. W takim stanie wątpię, żebyś dał radę dojść do kaplicy.

- Akurat tam się nie wybieram. Wyślę feniksa. A teraz posłuchaj. Jest pewien dom...

- Co to znaczy, że wyślesz feniksa? - Harper przypomniała sobie, co powiedział kumpel Marlboro Mana, Marty: *Okazało się, że to lecący na nich pieprzony ognisty ptak o dziesięciometrowej rozpiętości skrzydeł. Uderzył tak blisko, że worki z piaskiem się zapaliły!*

- Ach, to kolejny z moich wygłupów. Małe fajerwerki, żeby zrobić wrażenie na miejscowych, i coś, co mogę kontrolować na odległość. Będziecie musieli znaleźć boczną uliczkę z dala od obozu. Verdun Avenue powinna być w sam raz. To po drugiej stronie cmentarza i tak się składa, że dom pod numerem dziesiątym stoi pusty. Zaparkujecie na podjeździe i...

- Skąd wiesz, że pod dziesiątką nikogo nie ma?

- Mieszkaliśmy tam z Sarah. Za tydzień od dziś zadzwonisz pod dziewięćset jedenaście. Użyj komórki... myślę, że Ben ma ich całą kolekcję. Powiedz, że twój kochany staruszek ma zawał. Kiedy zapytają, zapewnij ich, że nie jest zarażony, powiedz, że potrzebujesz karetki, i czekajcie.

- Nie wyślą karetki bez policyjnej eskorty.

- Tak, ale tym nie musisz się przejmować. Od tego właśnie jest feniks, mój mały pokaz fajerwerków. Kiedy podjadą przed dom, zadbam o to, żeby się rozpiechli, a wy będziecie mogli zabrać wszystkie potrzebne rzeczy i dać drapaką. Byłoby lepiej, gdyby się dało po prostu odjechać ambulansem, tylko że...

- Ale ambulansy na pewno mają zamontowany system lokalizacji skradzionych pojazdów. Albo coś podobnego.

- Właśnie.

- Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Ludzie w karetce ryzykują życie, żeby zadbać o innych.

- Nikomu nic się nie stanie. Po prostu ich wystraszę, to wszystko.

- Nienawidzę prosić cię o pomoc. Zawsze to robisz. Sprawiasz, że zwykłe rzeczy wydają się tajemnicze, bo lubisz, jak ludzie o tobie gadają. To tania sensacja.

- Nie odmawiaj mi odrobiny przyjemności. Dostaniesz wszystko, co chcesz. Nie ma powodu, dla którego ja też nie miałbym się trochę zabawić.

- Nie dostanę wszystkiego. Gdybym potrafiła to co ty, nie musiałabym błagać cię o pomoc. Proszę... John. Możesz przynajmniej spróbować mnie nauczyć?

Spojrzał ponad jej ramieniem na piec i znowu na nią.

- Równie dobrze mogłabyś prosić rybę, żeby nauczyła cię oddychać pod wodą. A teraz idź już. Boli mnie bok i muszę się przespać. I nie wracaj bez papierosów.

- Próbowałaś ją nauczyć? Sarah?

Wzdrygnął się. Spojrzał na nią zaskoczonym, zbolałym wzrokiem, jakby walnęła go w żebra.

- Nie. Nie ja - odparł.

Dopiero później przyszło jej do głowy, że było to dziwne zaprzeczenie. Wyciągnął się na łóżku i odwrócił na zdrowy bok, tak że widziała jedynie kościsty zarys jego pleców.

- Nie masz innych pacjentów, siostrzo Willowes? Pokaż im, jaka jesteś dobra. Mnie już wystarczy.

Wstała i włożyła buty. Zapięła parkę, sięgnęła po torbę i zamarła z ręką na klamce.

- Przez trzy godziny siedziałam ukryta w szafce, a mój były stał niecałe cztery metry ode mnie. Przez trzy godziny słuchałam, jak mówił o tym, co robił zainfekowanym. On i jego nowi kumple. Przez trzy godziny słuchałam, co by mi zrobił, gdyby tylko mógł. Ich zdaniem to my jesteśmy tymi złymi. Jeśli znów mnie zobaczy, zabije mnie. Gdyby mógł, zabiłby wszystkich w obozie. A po wszystkim poczułby, że odwalił kawał dobrej roboty. Wydaje mu się, że jest tym kolesiem z *The Walking Dead*, co to chodzi w kowbojskim kapeluszu i zabija hordy zombie.

Strażak nie odpowiedział.

- Już raz mnie ocaliłeś - ciągnęła Harper. - Będę ci za to wdzięczna do końca życia, bez względu na to, ile jeszcze potrwa. Ale jeśli umrę w ciągu najbliższych dwóch miesięcy i okaże się, że mogłeś nauczyć mnie tego, jak być taką jak ty, jak się bronić... To będzie tak, jakbyś tamtej nocy ukrył się w lesie i pozwolił, żeby Jakob mnie zabił.

Skrzypnęły sprężyny.

- Zamierzam urodzić to dziecko. Jeśli dzięki bożej pomocy przeżyję kolejne trzy miesiące, będę się modliła. Jeśli Carol Storey utrzyma

mnie przy życiu, będę śpiewała *Kumbaya*, aż zedrę sobie gardło. A jeśli pan, panie Rookwood, może nauczyć mnie czegoś użytecznego, zniosę pańską arogancję, złe maniery i nieprzemyślane wywody filozoficzne. Ale nie licz na to, że odpuszczę. Jeśli masz receptę na to, jak przeżyć, chcę ją poznać. - Otworzyła drzwi. Wiatr zawył; był to przerażający, melodyjny dźwięk. - Jeszcze jedno. Nie powiedziałam, że nie mam papierosów. Powiedziałam, że nie mam ich dla ciebie. I nie będę miała, dopóki nie nauczysz mnie, jak przeżyć samozapłon. Do tego czasu gauloises pozostaną w mojej torbie.

Wracając do łodzi, Harper wymyśliła kilka nowych przekleństw. „Ochujalec” było najlepszym z nich. Będzie musiała je zachować na specjalną okazję.

Harper nie wiedziała, że ktoś czeka na nią na nabrzeżu, dopóki łódka nie zawinęła do przystani, gdzie czyjeś ręce chwyciły ją za dziób.

- Potrzebujesz pomocy, siostrze? - usłyszała głos Jamie Close.

Zupełnie jakby przemówiła do niej ciemność. Z trudem dostrzegła przysadzistą sylwetkę na tle czarnych kołyszących się sosen i skłębionych czarnych chmur na czarnym niebie. Był z nią ktoś jeszcze, czyjeś ręce próbowały pochwycić dziób łodzi. Allie. Harper poznała ją po gibkiej, chłopięcej sylwetce i kocich ruchach.

Chwyciła dłoń Jamie i zawahała się. Płócienna torba z zapasami leżała pod ławeczką, na której siedziała. Była w niej butelka rumu, papierosy, kawa rozpuszczalna, herbata i... inne rzeczy. Według zasad obowiązujących w obozie, to, co należało do niej, należało do wszystkich, ale Harper ustanawiała teraz własne zasady. Jeśli za alkohol i papierosy mogła kupić sekrety strażaka, mieszkańcy obozu będą musieli obejść się bez nich.

Sięgnęła pod ławeczkę i wyjęła leżącą na wierzchu apteczkę. Wstała, zostawiając resztę zdobyczy na dnie łodzi.

Spojrzała ponad ramieniem Jamie, próbując zwrócić na siebie uwagę Allie, ale dziewczyna skończyła cumować łódź i odwróciła się do niej plecami. Trzęsła się i Harper pomyślała, że to nie z zimna, lecz z wściekłości. Miała broń zarzuconą na ramię. Jamie także.

- Przepraszam, że nie wróciłam wcześniej, Allie. Rozumiem, że jesteś na mnie zła. Jeśli miałaś przeze mnie jakieś kłopoty, porozmawiam z Benem, Carol czy z kimkolwiek będzie trzeba i wyjaśnię, że nie było w tym żadnej twojej winy. Nie rozumiem tylko, dlaczego ja miałabym mieć kłopoty. Mówiłam przecież, że sprawdzę, jak się czuje strażak, i wrócę. I tak właśnie zrobiłam. Mniej więcej.

- Zapomniałaś tylko dodać, że najpierw wróciłaś do domu, co, siostrze? - powiedziała Jamie.

A więc wiedzieli, że udała się na wyspę okrężną drogą. Wymykając się z obozu, trzymała się linii drzew, ale raz obejrzała się za siebie i

zastanawiała się, czy siedzący na wieżycze kościoła Michael ją widzi. Dzieciaki mawiały, że „człowiek na wieżycze widzi wszystko i wszystkich”.

- W szpitalu brakuje niezbędnych rzeczy. Na szczęście wiedziałam, że to, czego potrzebuję, jest w piwnicy mojego domu.

Idąc między Allie i Jamie, czuła się jak więzień odprowadzany do sądu przez policyjną eskortę.

- Miałaś szczęście - zauważyła Jamie. -I wiesz co? Miałaś cholerne szczęście, że nie zatłukli cię na śmierć kijami do bilardu. My też mieliśmy szczęście, że nie przyszli po twoich śladach do lasu, a stamtąd prosto do obozu. O, tak. Widzieliśmy ich. Szwadron Kremacyjny, który pojawił się zaraz po tym, jak weszłaś do domu. Obie miałyśmy broń, ale Allie powiedziała, że to ja będę musiała cię zastrzelić. Nie mogła znieść myśli, że miałyby to zrobić. Ukrywałyśmy się w lesie aż do zmierzchu. Potem nie było już sensu.

Harper i eskortujące ją dziewczyny wyszły spomiędzy jodeł i minęły boisko - śnieżny koszyk pełen księżycowego światła. Nie wiedziała, czy pulsujący w jej brzuchu ból to skurcze wywołane napięciem, czy dziecko wywija koziółki.

- Allie - zwróciła się do dziewczyny. - Przepraszam, że cię wystraszyłam. Nie powinnam była stawiać cię w takiej sytuacji. Ale zrozum mnie. Nie mogłabym narazić żadnego dzieciaka, skoro mogłam to zrobić sama. A ty jesteś jeszcze dzieckiem. Wszystkie czujki to jeszcze dzieci.

- A jednak nas naraziłaś. Naraziłaś cały obóz - warknęła Jamie.

- Byłam ostrożna. Nie znaleźliby moich śladów.

- Nie musieli znajdować żadnych śladów. Wystarczyłoby, że znaleźliby ciebie. Pewnie wydaje ci się, że nie pisnęłabyś słówka, ale to zabawne, jak kij bilardowy potrafi rozwiązać człowiekowi język. Nie powinnaś była tam iść. Wiedziałaś o tym. Allie nie mogła sobie darować, że się na to zgodziła. Złożyliśmy obietnicę, że będziemy chronić ludzi. Że będziemy mieć na oku takich przygłupów jak ty, co to myślą, że działają w dobrej wierze. Wszystkie czujki obiecały Matce Carol...

- Jakiej znowu matce? Carol nie jest niczyją matką, Jamie. -Harper pomyślała, że Matka Carol i Czujki brzmi jak nazwa zespołu, który

mógłby zagrać na festiwalu Lilith Fair w 1996 roku.

- Obiecaliśmy jej i sobie i wszystko schrzaniłiśmy. Carol miała dość, kiedy się dowiedziała, że zniknęłaś. Jakby mało już przeszła.

- W porządku. Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Przekaż Carol, że następnym razem, kiedy najdzie mnie ochota, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, dam jej znać. Allie, możesz już przestać milczeć. Jestem trochę za stara i takie rzeczy nie robią już na mnie wrażenia. Chcesz mi coś powiedzieć? Wyświadczyć mi przysługę i wyrzucić to z siebie.

Allie spojrzała na nią oskarżycielskim wzrokiem. Jamie prychnęła.

- Co znowu? - spytała Harper.

- Myślisz, że to ty masz kłopoty? To nic w porównaniu z gównem, w które wdepnęła Allie za to, że cię puściła. Ona odprawia pokutę. Chciała jakoś to wynagrodzić i Matka Storey dała jej szansę.

- Niby jak? Złożyła śluby milczenia?

- Niezupełnie. Pamiętasz, co robił Ojciec Storey? Jak wkładał do ust kamyk, kiedy chciał pomyśleć?

Śnieg skrzypiał pod stopami, kiedy wchodziły na wzgórze. Harper musiała policzyć do trzech, żeby zrozumieć, o czym właściwie mówi Jamie. To była długa noc.

- Jaja sobie robisz.

- Wcale nie. Allie ma w ustach kamyk, żeby mogła przemyśleć swoje błędy i skupić się na obowiązkach. Ostatnim razem, gdy straciliśmy czujność, ktoś rozwalił Ojcu Storeyowi kamieniem głowę. Teraz wszyscy nosimy kamyki, żeby nie zapomnieć. - Jamie wyciągnęła rękę z kieszeni i pokazała Harper kamyk wielkości piłki golfowej.

- Na litość boską. Jak długo zamierzasz trzymać to coś w ustach, Allie? - zapytała Harper, jak gdyby liczyła, że dziewczyna jej odpowie.

Allie spojrzała na nią, jakby miała ochotę splunąć jej w twarz kamykiem.

- Nie rozumiesz? Wszystko zależy od ciebie - fuknęła Jamie. - Nie było cię na spotkaniu, kiedy ustaliliśmy, że osoby, którym się wydaje, że stoją ponad prawem, muszą zostać ukarane. Nikt się na ciebie nie złości. Mike widział, jak płynęłaś na wyspę strażaka, więc wiedzieliśmy, że nic ci się nie stało. Ben i Matka Storey uznali, że nie powinniśmy robić afery tylko dlatego, że opuściłaś teren obozu. Z drugiej strony

Carol obawiała się, że mieszkańcom obozu może nie spodobać się to, że jesteś traktowana inaczej niż wszyscy. Podjęli więc decyzję, a Allie się zgodziła. Będzie trzymała kamyk w ustach tak długo, aż go od niej weźmiesz. Jeśli to zrobisz, będziesz musiała go trzymać przez...

- Jamie, doceniam, że jesteś ze mną szczerą. Ale chcę, żebyś wiedziała, że bez względu na to, co postanowiliście, nie zamierzam wkładać do ust kamyka jak w jakimś średniowiecznym akcie pokuty. Jeśli myślicie, że to zrobię, to Allie nie jest jedyną osobą tutaj, która ma kamienie zamiast mózgu.

Wyszły za południowo-wschodnim rogiem kaplicy, nieopodal schodów do piwnicy, w której spały kobiety. Trzy czujki siedziały na kłodach, śpiewając prostą i zadziwiająco brutalną pieśń: *Powiesili go na krzyżu*. Ich oczy lśniły jak mosiężne monety, a smocza łuska na rękach przywodziła na myśl świetlistą koronkę, która rzucała na śnieg szkarłatne refleksy. Wszyscy mieli zmęczone, wychudzone twarze z kośćmi policzkowymi wyraźnie rysującymi się pod skórą. Chude ręce, szyje, zapadnięte oczy i fryzury rodem z obozu koncentracyjnego. Na ich widok Harper przyszła do głowy pewna myśl: Kiedy masz pusty żołądek, również twoja głowa jest pusta.

- Cóż, mam nadzieję, że zmienisz zdanie, siostró - powiedziała Jamie. - Bo pokuta Allie nie skończy się, dopóki ty nie zaczniesz swojej.

- Allie - odezwała się Harper. - Ponoszę odpowiedzialność za cały ten bajzel. Pełną odpowiedzialność. A to oznacza, że jeśli chcesz zgrywać męczennicę, proszę bardzo. Ja cię nie zmuszam. - Kątem oka zerknęła na Jamie i dodała: - I mnie też nikt nie zmusi. To upokarzające i infantylne. Jeśli ktoś chce, żebym obierała ziemniaki albo szorowała garnki, proszę bardzo. Ale odpuszczę sobie ten żalony akt samoponiżenia.

- Allie jest gotowa zrobić wszystko, żeby naprawić swój błąd. Ludzie cię podziwiają, siostró Willowes, i byłoby miło, gdybyś postąpiła podobnie wobec Allie. Ona chętnie posłuży za przykład tak długo, jak będzie trzeba.

- Czyli do kolacji.

- Nie. Mylisz się. Jeśli nie weźmiesz od niej kamyka i sama nie włożysz go do ust, będzie go trzymała do śniadania, lunchu i kolacji...

Chociaż może pamiętasz, że my, czujki, jakiś czasu temu zrezygnowaliśmy z lunchu, żeby tacy jak ty mogli jeść. Myślę, że przed snem Allie będzie musiała go wyjąć i schować pod poduszką, ale to wszystko.

- Nie wiem, która z was jest gorsza. Ona z tym głupim kamykiem w ustach czy ty z ustami pełnymi bzdur. - Harper zatrzymała się, odwróciła plecami do Jamie i przemówiła do Allie w języku migowym.

„Przestań” - powiedziała, używając znaków, których nauczył ją Nick.

Allie rzuciła jej chłodne, nienawistne spojrzenie. Znała tylko alfabet palcowy, więc odpowiedziała powoli, tak by Harper zrozumiała wiadomość.

T-Y

W-I-E-S-Z

J-A-K

M-N-I-E

Z-M-U-S-I-Ć.

Na koniec pokazała jej środkowy palec; gest znany wszystkim, nawet tym, którzy nie znali języka migowego.

Księga piąta

Więźniowie

1

Z dziennika Harolda Crossa:

30 czerwca

Wróciłem z chaty. Nie powinienem był jeść trzeciej kanapki. Niedobrze mi i nawet moje cholerne bąki cuchną pepperoni.

Ciekawe wieści z argentyńskiej prowincji Córdoba. Dwustu zainfekowanych zginęło w klasztorze Jezuitów w Alta Gracia, a żołnierze zepchnęli ich ciała spychaczem do masowego grobu. Doktorowi Ba udało się odzyskać cztery trupy, w tym ciało el Horno de Caminar, który w pojedynkę odpierał atak, tworząc coś w rodzaju ognistego tornada, dzięki czemu prawie tysiąc zainfekowanych zdołało zbiec do dżungli. Brzmi znajomo? El Horno de Caminar znaczy „chodzący piec”.

Doktor Ba miał okazję zbadać odzyskane ciała i przesłał mi maila, w którym pisze o swoich wstępnych odkryciach. Przeprowadził autopsję mózgu niedawno zainfekowanego dziecka, która wykazała warstewkę zarodników w zatokach i na oponie wokół kory mózgowej. Jednak u argentyńskiego strażaka, który zachorował znacznie wcześniej, *Draco incendia trichophyton* wniknął głęboko w zakręt skroniowy górny.

El Horno de Caminar udzielił wywiadu dla błoga poświęconego medycynie niekonwencjonalnej i wytłumaczył, w jaki sposób potrafi kontrolować ogień, tak by nie robił mu krzywdy. „Można poprosić spory, żeby nas chroniły, ale najpierw należy zapomnieć własny głos. Można prosić, by dla nas walczyły, ale trzeba podejść do nich jak petent, który nie posługuje się żadnym językiem”. To raczej kiepskie

tłumaczenie, ale zaintrygowało mnie. Zakręt skroniowy górny to miejsce, w którym znajduje się ośrodek Wernickego, jeden z ośrodków mowy. Mam wrażenie, że de Caminar wyjaśnił wszystko, a jednak nic z tego nie rozumiem.

Harper czytała dziennik w łazience, za drzwiami zamkniętymi na klucz, żeby nikt nie wszedł i jej nie nakrył. Czuła się niemal jak nastolatka, która z suchymi ustami i dudniącym sercem po kryjomu przegląda „świerszczyk”.

Kiedy w końcu weszła na salę chorych skąpaną w mlecznym blasku poranka, znalazła biały kamyk, który ktoś zostawił w nogach jej łóżka razem z liścikiem: **KIEDY W KOŃCU WEŹMIESZ SWOJE LEKARSTWO?**

Ojciec Storey drzemał na jednym łóżku, Nick na drugim. Kiedy człowiek patrzył, jak śpią w tej samej pozycji i jednakowo marszczą czoła, nie mógł nie zauważyć podobieństwa rodzinnego. Gdzieś w Ojcu Storeyu niczym mucha w kropli bursztynu nadal drzemał dzieciak. Z kolei Nick za jakieś sześćdziesiąt lat przyoblecze się w ciało swojego dziadka niczym w płaszcz.

Harper zerknęła na kotarę w poczekalni, by upewnić się, że nikt jej nie obserwuje, i wsunęła dziennik pod płytę sufitową. Następnie wzięła kamyk i wymknęła się do pomierzenia obok.

Tego dnia wartę pełniła Mindy Skilling, ładna, wychudzona dwudziestolatka. W ubiegłym miesiącu Harper leczyła ją na zapalenie dróg moczowych. Mindy posłała jej smutne, pełne współczucia spojrzenie. Miała śliczną, pełną wyrazu twarz - lśniące oczy i długie, podwinięte rzęsy - i Harper pamiętała, że przed epidemią studiowała aktorstwo.

- Ty położyłaś to na moim łóżku? - Pokazała jej kamyk.

Mindy pokręciła głową.

- A kto?

- Nie poczułabyś się lepiej - zaczęła dziewczyna - gdybyś miała to już za sobą? Wiem, że Allie poczułaby się lepiej. -Otworzyła szerzej oczy, jakby coś nagle przyszło jej do głowy. - Może po prostu włożysz go do ust na pięć minut? A ja powiem wszystkim, że trzymałaś go tam przez całe pół godziny.

- Nie, nawet na pięć sekund - odparła Harper. - A, Mindy, następnym razem, jak będziesz miała zapalenie pęcherza...

Dziewczyna gapiała się na nią trwożliwym wzrokiem.

Oleję to, pomyślała Harper, ale westchnęła i bąknęła:

- Nieważne - dokończyła i wróciła na oddział.

Naprawdę nie była stworzona do rzucania kąśliwych uwag.

Kilka razy w życiu, kiedy powiedziała komuś coś naprawdę wrednego, pozostał jej niesmak. Kamyk nie mógł smakować gorzej.

3

Sytuacja powtórzyła się następnego dnia wieczorem, podczas pierwszego posiłku, i tym razem Harper zniosła ją gorzej niż poprzednio.

Kiedy ze śniegiem topniejącym we włosach weszła z mroku do stołówki, kolejka niczym wąż wiła się aż na środek pomieszczenia. Drogę ze szpitala pokonała na wpół idąc, na wpół biegnąc, z zawodzącym wiatrem, który wiał jej w plecy. Była przemarznięta i czując woń syropu klonowego i owsianki, uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

Połowa obozu siedziała już przy stołach, a stołówkę wypełniał gwar rozmów i skrobania łyżek o dna misek. Było tak głośno, że z początku nie usłyszała Gail Neighbors i nie wiedziała, że ktoś coś do niej mówi, dopóki Gillian kuksańcem nie zwróciła na siebie jej uwagi.

Bliźniaczki Neighbors stały tuż za nią. Miały na sobie identyczne czerwone golfy - dość niefortunny dobór garderoby, który upodabniał je do bohaterów książki Dr. Seussa.

- Allie nie jadła wczoraj nic przez cały dzień - powiedziała Gail.

Harper, która była prawie pewna, że to Gail, ta ze spiczastą brodą, odwróciła się do nich plecami.

- Jeśli nie chce jeść, to jej sprawa — rzuciła. - Nikt nie każe jej głodować.

Jedna z sióstr szarpnęła ją za rękaw i chcąc nie chcąc, Harper musiała się odwrócić.

Gillian wyglądała znacznie mniej przyjaźnie niż Gail. Jej usta przypominały wąską, zbielełą kreskę. Od jakiegoś czasu nie goliła głowy, tak że porastała ją krótka szczecina.

- To prawda, że wystarczyłoby, żebyś włożyła kamyk do ust na pół godziny? - spytała Gillian.

- Tak, ale ucierpiałaby na tym moja duma.

Bliźniaczki nie odpowiedziały, więc Harper kolejny raz odwróciła się do nich plecami. Kolejka powoli posuwała się do przodu.

- Uparta z ciebie suka - wycedziła jedna z nich przez zaciśnięte zęby. Tym razem Harper nie obejrzała się.

- Wiesz, niektórzy uważają... - zaczęła druga, ale siostra szybko ją uciszyła.

Harper nie dbała o to, co myślą inni, i nie zaszczyciła bliźniaczek odpowiedzią.

Nie wiedziała, że Allie pełni dyżur w stołówce i rozdaje miski z owsianką, dopóki nie dotarła na początek kolejki. Sądząc po tym, jak dziewczyna zaciskała usta, nadal trzymała w nich kamyk.

Allie podniosła wzrok i spojrzała na Harper wodnistymi, nienawistnymi oczami. Chwilę później wyjęła spod stołu bryłkę granitu w kształcie jajka i włożyła ją do miski, którą wręczyła Harper.

Ta odstawiła tacę i odeszła, słysząc za sobą szyderczy śmiech bliźniaczek Neighbors.

4

Późną nocą - albo wczesnym rankiem, zależy jak na to spojrzeć - w pustej sali szpitalnej Nick uczył Harper języka migowego.

Gdyby ktoś zapytał, dlaczego chłopiec jest tutaj, zamiast być z siostrą w piwnicy albo z innymi mężczyznami, Harper odparłaby, że chce go zatrzymać na obserwacji. Powiedziała by, że martwi się przepukliną pachwinową, która mogła powstać na skutek usunięcia wyrostka robaczkowego. Samo słowo „pachwinowy” było wystarczająco przerażające, żeby ukrócić dalsze pytania. Tyle że nikt o nic nie pytał i Harper podejrzewała, że tylko nieliczni zastanawiają się, gdzie sypia Nick. Nie mając głosu, człowiek nie ma tożsamości. Zwykle ludzie nie zwracają uwagi na niesłyszących, tak jak nie zwracają uwagi na własny cień.

Siedzieli w piżamach naprzeciw siebie na łóżku Nicka. Harper rozpięła trzy ostatnie guziki, odsłaniając różową krągłość brzucha, a gdy lekcja dobiegła końca, Nick zdjął zatyczkę z mazaka i namalował na nim uśmiechniętą buźkę.

„Jak dasz jej na imię?” - zapytał w języku migowym, ale Harper straciła wątek i musiał zapisać pytanie.

„To chłopiec” - odparła, gestykulując.

Dotknął rękami jej brzucha, zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze.

„Pachnie jak dziewczynka” - pokazał.

„A jak pachną dziewczynki?” - zapytała, automatycznie poruszając rękami, co napełniło ją dumą.

Spojrzał na nią niepewnym wzrokiem i napisał:

Jak cukier & pszyprawy & wszystko, co pszyjemne.

Tak naprawdę nie możesz wyczuć, czy to dziewczynka -odpisała.

Ludzie, ktorzy stracili jeden zmysł, mają wyostzone pozostałe. Nie wiesz? Ja WYCZÓWAM mnóstwo rzeczy, których nie wyczówają inni.

Na przykład?

Na przykład to, że z Ojcem Storeyem dalej jest coś nie tak. -Spojrzał na nią z powagą. - Pachnie horobą. Zbyt... słodko. Jak więdnące kwiaty.

Harper nie spodobało się to. W szkole pielęgniarstwa znalazła lekarza, który twierdził, że potrafi wyczuć śmierć, że rozkład ciała ma specyficzny zapach. Mówił, że potrafi to wyczuć w krwi pacjentów: woń zniszczenia.

Kotara w kolorze mchu oddzielająca salę chorych od poczekalni poruszyła się i do pomieszczenia weszła Renee Gilmonton z miską przykrytą folią aluminiową.

- Norma przysłała mnie z owsianką dla naszego małego pacjenta - oznajmiła, podchodząc do łóżka Nicka i siadając na materacu, naprzeciw Harper. Przez chwilę grzebała w kieszeni płaszcza, a zaraz potem w jej dłoni pojawiło się kolejne zawiniątko. - Pomyślałam, że nie on jeden jest głodny. - Wskazała głową brzuch Harper.

Harper spodziewała się, że rozwinie folię i znajdzie w środku kolejny kamyk. „Zjedz to, suko - warknie do niej Renee -a potem na kolana i proś Matkę Carol o wybaczenie”. Ale w środku nie było kamienia, wiedziała to, jeszcze zanim odwinęła folię; kamyk byłby cięższy. Renee przyniosła jej ciastko z niewiarygodną ilością miodu w środku.

- Allie powinna się wstydzić - powiedziała Murzynka. -Dać ci kamyk zamiast śniadania! Jesteś w trzecim trymestrze. Nie możesz nie jeść. Mam gdzieś, co ta dziewczyna ci zarzuca.

- Zawiodłam ją. Zaufała mi, że nie zrobię nic głupiego, a ja to wykorzystałam.

- Próbowaliśmy zdobyć lekarstwa dla swoich pacjentów. Poszłaś po nie do własnego domu. Nikt nie może zabronić ci wrócić do domu. Nikt nie może odebrać ci twoich praw.

- No nie wiem. Mieszkańcy obozu postanowili, że odtąd o wszystkim będą decydować Carol i Ben. To demokracja, nie dyktatura.

- Gówno prawda! Przysięgam na swoją czarną dupę! Nie było żadnych prawdziwych wyborów. Zorganizowali wybory po prawie godzinnym śpiewaniu, kiedy wszyscy byli otumanieni Światłością. Większość ludzi była tak zakręcona, że oddaliby swój głos na cylinder, wierząc, że wybierają Abrahama Lincolna.

- Ale zasady...

Renee pokręciła głową.

- Nie rozumiesz? Tu nie chodzi o zasady. Tu chodzi o kontrolę. Wróciłaś do domu po lekarstwa... żeby pomóc ludziom. Żeby uratować ojca Carol! Twoje przestępstwo nie polegało na tym, że opuszczając obóz, złamałaś zasady. Chodziło o to, że sama zdecydowałaś, co jest najlepsze dla ludzi, którzy znajdują się pod twoją opieką. Teraz tylko Carol i Ben mogą decydować o tym, co jest dobre dla mieszkańców obozu Wyndham. Carol twierdzi, że mówimy jednym głosem. Nie mówi jedynie, że ten głos należy do niej. Ostatnimi czasy śpiewamy tylko jedną piosenkę, piosenkę Carol, i jeśli nie pasuje ci taki układ, możesz włożyć do ust kamyk i zamknąć się w cholere.

Harper zerknęła ukradkiem na Nicka, który pochylał się nad miską owsianki i w ogóle nie zwracał na nie uwagi, na chwilę zapominając o bólu brzucha, który go tu sprowadził.

- Nie byłoby tak źle, gdyby nie Szwadron Kremacyjny, który pojawił się, kiedy byłam w domu - odparła. - Gdyby znaleźli, zmusiliby mnie do mówienia, a dopiero później zabili. Był z nimi mój mąż. To znaczy mój były mąż. On zmusiłby mnie do mówienia. Już to sobie wyobrażam. Widzę, jak spokojnym, opanowanym głosem zadaje kolejne pytania i sekatorem obcina mi palce.

Renee prychnęła i przejechała dłonią po ciasno splecionych, sztywnych warkoczach.

- Taa. No cóż. To... nie wiem, co o tym myśleć. Chodzi o to... jakie były szanse, że pojawią się tam w tym samym czasie co ty? Takie jak to, że trafi cię piorun.

Harper zastanawiała się, czy powiedzieć jej o Marlboro Manie i jego sekretnych transmisjach - radiu, które, jak twierdził, słyszał w swojej głowie, i wiadomościach z przyszłości - uznała jednak, że woli o tym nie myśleć. Zamiast tego zabrała się za ciastko. W miodzie wyczuwała smak jaśminu, melasy i lata. Zaburczało jej w brzuchu, jakby ktoś szurał meblami po podłodze, i obie kobiety spojrzały na siebie rozbawione.

- Chciałabym zrobić coś, żeby Allie wiedziała, że jest mi przykro - odezwała się Harper.

- A próbowałaś jej to powiedzieć?

- Tak.

- W takim razie zrobiłaś już wszystko. To powinno wystarczyć. Ona... nie jest sobą, Harp. Allie i ja nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliskie, ale teraz zachowuje się, jak zupełnie obca osoba.

Harper odpowiedziałaby, gdyby nie to, że właśnie wepchnęła do ust ostatni kawałek ciastka. W dłoni wydawał się dużo większy, ale zaskakująco szybko zniknął w jej ustach.

- W obozie źle się dzieje - rzuciła Renee. Harper pomyślała, że żartuje, tym bardziej zaskoczył ją niepokój, który wyczytała z oczu kobiety. Renee posłała jej zmęczony, krzywy uśmiech i ciągnęła: - Żałuj, że nie widziałaś tego, co wydarzyło się rano w szkole. Po zajęciach z historii zrobiłam dzieciom dwudziestominutową przerwę. Nie mogły wyjść na dwór, ale odgradziliśmy ławkami połowę kaplicy, żeby miały gdzie biegać. Zauważyłam, że Emily Waterman i Janet Cursorsy szepczą coś w kącie. Kiedy Ogden Leavitt raz czy dwa próbował do nich podejść, przepędzały go. Gdy po przerwie usiedliśmy wszyscy na wspólne czytanie, widziałam, że Ogden jest jakiś smutny i próbuje powstrzymać łzy. Ma dopiero siedem lat i widział, jak umierają jego rodzice; zostali zabici podczas ucieczki przed patrolem kwarantannowym. Dopiero niedawno zaczął znowu mówić. Wzięłam go na kolana i zapytałam, co się stało, na co odparł, że Emily i Janet to superbohaterki i że on też chce być superbohaterem, ale one nie chcą nauczyć go magicznej rymowanki, a przecież w obozie tajemnice są zakazane. Janet obraziła się i nazwała go skarżypyką... ona ma dopiero dziewięć lat... ale Emily zrobiła się blada jak ściana. Powiedziałam Ogdenowi, że znam rymowankę superbohaterów: *Długie są dni, długie noce i ty też masz supermoce!* Chłopiec ucieszył się i powiedział, że teraz na pewno będzie umiał latać, a ja pomyślałam: dobra robota, Renee Gilmonton, po raz kolejny uratowałaś sytuację! Próbowałam wrócić do czytania, ale Emily wstała i zapytała, czy może wziąć do ust kamyczek za to, że miała tajemnice. Wytłumaczyłam jej, że chodzi tylko o poważne tajemnice, tajemnice dorosłych, ale Emily wyglądała na niepokojoną i odparła, że jeśli nie odpokutuje, nie będzie mogła śpiewać z nami w kaplicy, a ci, którzy nie śpiewają i nie dołączają do Światłości, mogą spłonąć. To wystarczyło, żeby Janet też zaczęła błagać o kamyczek.

Próbowałam je pocieszać. Powiedziałam, że nie zrobiły nic, za co musiałyby odpokutować. Harper... to jeszcze dzieci. Ale Chuck Cargill usłyszał zamieszanie i przyszedł sprawdzić, co się stało. To jeden z przyjaciół Allie, mniej więcej w jej wieku. Oczywiście należy do czujek. A więc Chuck uznał, że to naprawdę super, że dzieciaki zachowują się jak dorośli, i powiedział, że jeśli każda z nich potrzyzyma kamyk w ustach przez dziesięć minut, to wystarczy. Przyniósł im kamyki, a one trzymały je w ustach do końca lekcji i zachowywały się tak, jakby dostały po lizaku.

Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Ledwie skończyliśmy czytać, Ogden pobiegł do Chucka Cargilla, powiedział, że ukrywa pod łóżkiem komiks, i zapytał, czy on też może odpokutować. Przed końcem zajęć połowa z nich trzymała w ustach kamyki... I, Harp, te dzieciaki lśniły. Ich oczy błyszczały. Zupełnie jak przy wspólnym śpiewaniu.

- Oksytocyna - mruknęła Harper.
- Oksycontyna? To nie lek przeciwbólowy?
- Co? Nie... Nic. Zapomnij o tym.
- Dziś rano nie było cię w kaplicy - ciągnęła Renee.

- Próbowałam nakarmić Ojca Storeya. - Harper wskazała głową staruszką. Przy łóżku, na stojaku od lampy stojącej, wisiał plastikowy worek z sokiem jabłkowym. Podpięte do niego rurki tworzyły dwie pętle i znikwały w nozdrzach mężczyzny.

- Bez Ojca Storeya jest inaczej - zauważyła Renee.
- Jak to „inaczej”?

- Kiedyś, gdy ludzie dołączali do Światłości, było tak, jakby... Wszyscy mówią, że czuli się tak, jakby byli wstawieni. Jakby wypili trochę naprawdę dobrego czerwonego wina. Teraz wygląda to tak, jak gdyby zgromadzenie serwowało swoim wiernym tani bimber w słoikach. Śpiewają schrypniętymi głosami, a potem... brzęczą przez chwilę. Stoją, kołyszą się na boki i brzęczą, a ich oczy płoną.

- Brzęczą? - powtórzyła Harper.
- Jak pszczoły w ulu. Albo... albo jak muchy wokół padliny. - Renee wzdrygnęła się.
- Z tobą jest tak samo?
- Nie - odparła. - Mam problemy z dołączeniem do Światłości. Don

Lewiston też. I kilka innych osób. Nie wiem dlaczego.

Ale Harper miała na ten temat pewną teorię. Kiedy pierwszy raz przeczytała zapiski Harolda Crossa dotyczące oksytocyny, nie wiedząc czemu, pomyślała o żołnierzach na pustyni i krzyżach płonących nocą w Missisipi. Wtedy nie widziała między nimi związku, ale teraz to się zmieniło. Oksytocyna to narkotyk, którym ciało nagradza ludzi za to, że zyskali aprobatę środowiska... nawet jeśli środowiskiem tym był Ku-Klux-Klan czy oddział żołnierzy piechoty morskiej pastwiących się nad więźniami w Abu Ghraib. Jeśli nie jesteś częścią grupy, nie doświadczasz tego co jej członkowie. Obóz się dzielił - organicznie i naturalnie - na tych, którzy „w to wchodzili”, i tych, którzy stanowili zagrożenie.

- Czasami myślę — odezwała się Renee nieobecny, roztargnionym głosem, patrząc ze smutkiem na salę - że byłoby lepiej, żebyśmy...

Nie dokończyła.

- Żebyśmy co? - spytała Harper.

- Wzięły jeden z samochodów i trochę zapasów i wyjechały. Zabrały kilku rozsądnych ludzi i uciekły. Ben Patchett ukrył gdzieś kluczyki do wszystkich samochodów, ale akurat tym nie musielibyśmy się martwić. Mamy Gila, który potrafi... -Renee znów umilkła.

- Gila?

- Gilberta. Pana Cline'a.

Patrzyła na nią z udawaną niewinnością, jednak Harper nawet na chwilę nie dała się zwieść. Coś nie dawało jej spokoju, zupełnie jakby czuła w głowie przerażające tykanie, i nagle już wiedziała. Latem, kiedy Renee Gilmonton była pacjentką w Portsmouth Hospital, powiedziała Harper o wolontariacie w więzieniu stanowym, gdzie prowadziła grupę czytelniczą.

- Znacie się? - spytała Harper... ale wyczytała odpowiedź z błyszczących, przerażonych oczu Renee.

Murzynka zerknęła na Nicka, który siedział z pustą miską na kolanach i bacznie się im przyglądał.

- Nie potrafi czytać z ruchu warg - uspokoiła ją Harper. -To znaczy niezupełnie.

Renee uśmiechnęła się do chłopca i zmierzwiła mu włosy.

- Dobrze, że przestał go boleć brzuch. - Zadarła brodę, spojrzała

Harper w oczy i odparła: - Tak, poznałam go, jak tylko go zobaczyłam. Cóż, New Hampshire to mały stan. byłabym zdziwiona, gdybyśmy się nie znali. Należał do klubu książki, który prowadziłam w Concord. Jestem pewna, że większość tamtejszych mężczyzn dołączyła do grupy czytelniczej tylko po to, żeby mieć okazję porozmawiać z kobietą. Wymagania się obniżają, kiedy człowiek od jakiegoś czasu siedzi za kratkami; w końcu nawet pięćdziesięciolatka, która wygląda jak Pan Ziemiak, zaczyna być atrakcyjna.

- Och, Renee!

Murzynka się roześmiała.

Ale Gil naprawdę lubił te spotkania. Widziałam to. Na początku mnie denerwował, bo miał notatnik i zapisywał każde moje słowo. W końcu jednak poczuliśmy się swobodnie w swoim towarzystwie.

- Co to znaczy „swobodnie”? Chcesz powiedzieć, że siedział ci na kolanach, podczas gdy ty mu czytałaś?

- Okropna jesteś! - rzuciła Renee, choć sądząc po jej minie, była bardziej zachwycona niż oburzona. - To były rozmowy o literaturze, a nie intymne zwierzenia w łóżku. Trudno było z niego cokolwiek wydobyć... nieśmiały facet, ale miał ciekawe spostrzeżenia i nie omieszkałam mu o tym powiedzieć. Zachęcałam go, żeby zaczął studiować literaturę angielską na Uniwersytecie New Hampshire. Jeśli dobrze pamiętam, zapisał się na kurs internetowy, kiedy w Nowej Anglii pojawiły się pierwsze przypadki smoczey łuski. - Wbiła wzrok w podłogę i dodała bezceremonialnie: - Prawdę powiedziawszy, próbujemy stworzyć nowy klub. Dostałam pozwolenie od Bena na odwiedzanie więźniów. Zgodził się nawet, żebym ustawiła w kącie piwnicy jakieś stare krzesła i rzuciła na podłogę dywanik. Każdej nocy więźniowie mogą opuścić tę koszmarną chłodnię, żeby posiedzieć ze mną i napić się herbaty. Wszystko oczywiście pod okiem strażnika, chociaż ten, kto akurat pełni wartę, zwykle siada na schodach, żeby dać nam odrobinę prywatności. Czytamy wspólnie *Wodnikowe wzgórze*. Na początku pan Mazzucchelli nie chciał czytać opowieści o królikach, ale myślę, że go przekonałam. A Gil... pan Cline... hm, myślę, że cieszy się, że ma z kim pogadać. - Zawahała się, ale zaraz dodała: - Ja też się cieszę, że mam z kim porozmawiać.

- To dobrze.

Gil ma wytatuowany na piersi cytat z Grahama Greene'a -ciągnęła Renee. Obserwowała stróżkę stopionego śniegu, która splotła jej z buta. Mówiła z udawaną obojętnością. - Coś o naturze życia w niewoli. Ale oczywiście nigdy nie widziałam tego tatuażu.

- Ach! - westchnęła Harper. - To świetnie. Jeśli Ben przyłapie was w dwuznacznej sytuacji, a Gil będzie bez koszulki, powiedz, że prowadzisz właśnie badania literackie, i każ mu przyjść później... po tym, jak skończycie konsultacje.

Ramiona Renee zatrzęśły się od powstrzymanego śmiechu. Harper spodziewała się, że lada chwila dym buchnie jej z uszu, co w tych okolicznościach nie byłoby niczym dziwnym. Dobrze było wiedzieć, że nawet w takich mrocznych czasach są jeszcze ludzie, którzy potrafią śmiać się z niewinnych, sprośnych żartów. Dzięki temu choć przez chwilę miała wrażenie, że wszystko jest jak dawniej.

- Oho. Kwoki znów nad czymś gdaczą. - Ben Patchett wyszedł z za kotary i posłał im niepewny uśmiech. - Powinienem zacząć się martwić?

5

- O wilku mowa - rzuciła Renee, ocierając oczy kciukiem.

„*Kwoki znów nad czymś gdaczą*”. Harper zastanawiała się, które określenie kobiet bardziej działało jej na nerwy: suka czy kwoka. Kwoka siedzi w klatce, a jej jedynym zadaniem jest znoszenie jaj. Suka przynajmniej ma kły.

Jeśli okazała niezadowolenie, Ben albo go nie zauważył, albo nie chciał go dostrzec. Podszedł do łóżka Ojca Storeya i z uwagą przyglądał się wiszącemu na stojaku od lampy, pustemu do połowy, plastikowemu workowi z sokiem jabłkowym w kolorze bursztynu.

- Tak ma być? - spytał.

- Chodzi o sposób karmienia czy o dziurę w jego czaszce, którą zalepiłam korkiem i woskiem? Wszystko jest tak jak należy. Dokładnie tak, jak opisują w „Mayo Clinic Proceedings”.

- Dobrze już, dobrze. Nie musisz na mnie warczeć. Ja na ciebie nie warczę. Jestem twoim fanem, Harper! Dokonałaś tu cudów. - Przysiadł naprzeciw niej na skraju łóżka, na którym leżał Tom Storey. Jęknęły sprężyny. Spojrzał na pełną spokoju twarz staruszka. - Szkoda, że nie zdradził nic więcej o kobiecie, którą chciał wygnać z obozu. Jesteś pewna, że nie powiedział nic poza tym, że chce ją stąd wyrzucić i być może odejdzie razem z nią?

- Właściwie to powiedział coś jeszcze.

- Co takiego?

- Że jeśli odejdzie, chce, żeby to John przejął jego obowiązki.

- John? Strażak? - Głos Bena był beznamiętny.

- Tak.

- Ciekawe, że mówisz mi o tym dopiero teraz. Niby dlaczego Ojciec Storey miałby tego chcieć? Strażak nie jest nawet częścią obozu. To śmieszne. Dlaczego nie Carol? Dlaczego nie powierzył tego zadania własnej córce?

- Może wiedział, że Carol to znerwicowana paranoiczka, która wpadnie na pomysł, żeby rozdawać broń dzieciom - podsunęła Harper.

Ben zerknął pospiesznie na zieloną kotarę, jak gdyby martwił się, że ktoś ich podsłuchuje.

- To ja postanowiłem rozdać broń i nikt, kto nie ukończył szesnastego roku życia, nie jest uzbrojony. I coś ci powiem. Wszyscy wiedzą, że zamek broni ma pozostać otwarty, żebym wiedział, że broń jest nienaładowana. Jeśli zobaczę, że jest zamknięta, będą tak długo trzymać w ustach kamyki, aż... -Urwał i oblał się delikatnym rumieńcem. - A tobie radzę: nie biegnij po obozie i nie nazywaj Carol „paranoiczką”. Dość masz już kłopotów. Właściwie po to tu przyszedłem. Z tego, co wiem, dwa dni temu wymknęłaś się z obozu, wróciłaś do domu i omal nie zostałaś schwytana przez Szwadron Kremacyjny. Po tym, jak udało ci się zbiec... dzięki Bogu! Więc po tym, zamiast wracać prosto do obozu, tam gdzie twoje miejsce, udałaś się na wyspę do strażaka i spędziłaś tam prawie całą noc.

- Tam gdzie moje miejsce?

- Matka Carol chyba jasno się wyraziła, że chce, żebyś dzień i noc czuwała przy łóżku jej ojca. Niezależnie od tego, czy wyjdzie z tego, czy nie.

- Bezpośrednie zagrożenie już minęło, a ja mam innych pacjentów.

- Matka Carol jest innego zdania. - Ben opuścił głowę, zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym podniósł wzrok. - To kiedy strażak planuje wykonać kolejny ruch i przenieść się? Gdy wydobrzeje?

- Jaki ruch? Przenieść się? Dokąd?

- Tu. I przejąć obóz.

- John nie chce niczego przejmować. - Już wypowiadając te słowa, pomyślała, że być może właśnie popełniła błąd taktyczny. Niepotrzebnie mówiła asystentowi Carol, że Ojciec Storey przewidział na jej nową funkcję kogoś innego. Zaraz jednak przemknęło jej przez głowę: pieprzyć to! Jeśli perspektywa walki o władzę ze strażakiem przerażała Bena, tym lepiej. Niech choć raz poczuje się zagrożony. - Chociaż wiem, że John zrobiłby wszystko dla dobra obozu. Jak zawsze.

Renee zakasłała znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Zamknij się”.

Ben wzdrygnął się i wykrzywił usta.

- Wróćmy do twojego samowolnego opuszczenia obozu. Zastanawiałem się, co z tym zrobić. I chyba już wiem, jak to załatwić.

- Jak to „załatwić”? Tu nie ma niczego do załatwiania. Wróciłam i

jest po sprawie.

- To nie takie proste, Harper. Staramy się chronić sto sześćdziesiąt trzy osoby. Sto sześćdziesiąt cztery, biorąc pod uwagę to, że jesteś w ciąży. Musimy podejmować pewne działania, żeby czuwać nad ich bezpieczeństwem. Jeśli ludzie narażają bezpieczeństwo innych, muszą się liczyć z konsekwencjami. Jeśli kradną. Robią zapasy. Oddalają się bez pozwolenia i ryzykują, że wpadną w łapy ludzi, którzy chcą nas zabić. Wiem, po co wróciłaś, Harp. Wiem, że miałaś dobre intencje. Ale każdy dzieciak, który chodził do szkoły niedzielnej, wie, dokąd prowadzą dobre intencje. Nie ryzykowałaś jedynie życia swojego i cennego ładunku, który nosisz pod sercem...

Na dźwięk wyrażenia „cenny ładunek” Harper poczuła mdłości. I nie chodziło o „cenny”, ale o „ładunek”. Brzmiało to jak oklepany frazes. A w kwestii posługiwania się oklepanymi frazesami Ben Patchett nie miał sobie równych.

- ..ale naraziłaś również życie Ojca Storeya i pozostałych mieszkańców obozu. To, co zrobiłaś, było niebezpieczne i bezmyślne. Złamałaś zasady, które zostały wymyślone nie bez powodu, i będziesz zmuszona ponieść konsekwencje. Wierz mi takie nierozważne zachowanie zasługuje na karę. Musimy utrzymać porządek. Wszyscy tego chcą. Inaczej obóz się rozpadnie. Ludzie muszą wiedzieć, że robimy co w naszej mocy, żeby ich ochronić. Potrzebują prawa. Muszą wiedzieć, że ktoś onich dba. Może nawet poczują się lepiej, mając świadomość, że obozem dowodzi kilku twardzieli. Siła rodzi pewność siebie. Ojciec Storey... niech go Bóg błogosławi - Ben obejrzał się na leżącego za plecami starca - nigdy tego nie rozumiał. Jego receptą na wszystko był grupowy uścisk. Słyszając, że ktoś kradnie, mówił, że „dobra materialne są przereklamowane”. Wszystko zmierzało ku zagładzie, jeszcze zanim sprowadziliśmy do obozu więźniów. Więc...

- Więc? - powtórzyła Harper.

Wyprostował ramiona, westchnął i przygarbił się.

- Więc musimy ukarać cię w jakiś spektakularny sposób. I to właśnie zamierzamy uczynić. Carol chce, żebyś spotkała się z nią jutro i poinformowała ją o stanie zdrowia Ojca Storeya. Odprowadzę cię, posiedzimy tam trochę i napijemy się herbaty. Kiedy wrócimy, rozpuszczę wiadomość, że odprawiłaś pokutę w Domu Czarnej

Gwiazdy i że przez większość czasu siedziałaś z kamykiem w ustach. To jedyny sposób, żeby uspokoić sytuację. W moim zawodzie mówimy, że nieznajomość prawa nie jest usprawiedliwieniem...

- *Ignorantia juris non excusat* - odezwała się Renee. - Ale wzięwszy pod uwagę, że kary w obozie wymierzane są natychmiast, bez możliwości odwoływania się do bezstronnego sądu i przedstawienia obiektywnych...

- Renee - rzucił zmęczonym głosem Ben. - To, że przeczytałaś kilka powieści Johna Grishama, jeszcze nie czyni z ciebie Sądu Najwyższego. Rozmawiam z Harper, więc bądź tak miła i nie odzywaj się.

- Dziękuję, Ben - odparła ze spokojem Harper.

Zamilkł na chwilę, a potem podniósł wzrok i posłał jej nieśmiały, błady uśmiech.

- Nie ma sprawy. Czasami każdy potrzebuje odrobiny wytchnienia...
- zaczął.

- ...ale nie ma, kurwa, mowy - dokończyła Harper.

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami. Potrzebował chwili, żeby cokolwiek powiedzieć, a kiedy się odezwał, głos miał piskliwy i schrypnięty.

- Co?

- Nie - rzuciła. - Nie włożę do ust kamyka w jakimś samoponiżającym akcie skruchy, zwłaszcza że nie mam za co żałować. I nie zamierzam pozwolić ci, żebyś okłamywał ludzi i opowiadał im, że zgodziłam się na te histeryczne, gówniane bzdury.

- Przestaniesz bluzgać? - zapytał poirytowany Ben.

- Bo co? Przeklinanie też jest wbrew przepisom? Czeka mnie kolejna godzina z kamykiem w ustach? Nie, Ben. Stanowczo się na to nie zgadzam. Jestem pieprzoną pielęgniarzką i to ja decyduję o tym, czy coś jest chore. A to jest chore.

- Do diaska, staram się wszystko ułatwić.

- Ułatwić komu? Mnie? Sobie? A może Carol? Boi się, że podważę jej autorytet, jeśli nie ugnę karku i nie ukorzę się tak jak inni? Jeśli nie zrobię tego, czego ode mnie chce, może inni też pokażą pazurki? O to chodzi?

- Ben — odezwała się Renee. — Czy trzymanie czegoś w tajemnicy też nie jest wbrew zasadom? Nie będziesz miał kłopotów z tego powodu,

że kombinujesz, jak wyciągnąć Harper z tarapatów? Nie chciałabym zobaczyć, jak człowiek odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo chodzi po obozie z kamykiem w ustach. Ludzie mogliby przestać cię szanować.

- Chryste — jęknął. — Chryste przenajświętszy. Posłuchajcie tylko siebie. Harper... oni cię zmuszą... Nie możesz tak po prostu... nie mogę cię chronić, jeśli mi na to nie pozwolisz.

- Wybacz, Ben, ale twoja potrzeba chronienia mnie kłóci się z moją potrzebą chronienia własnej godności. Poza tym mam niejasne przeczucie, że próbujesz ochronić mnie przed sobą samym. To nie jest przysługa, tylko... przymus.

Siedział jeszcze przez chwilę. W końcu odezwał się naburmuszony: - Carol i tak chce się jutro z tobą zobaczyć.

- To dobrze, bo ja też muszę z nią porozmawiać. Powrót do domu po apteczkę to dopiero początek uzupełniania szpitalnych zapasów. Wciąż jeszcze mamy ich za mało. Następnym razem, kiedy wybiorę się na poszukiwania, będę potrzebowała pomocy. Twojej i może kilku innych mężczyzn. Jestem pewna, że Carol zechce rozważyć tę propozycję. Będę wdzięczna, jeśli poczynisz przygotowania do mojej audyencji u Jej Wysokości.

Ben wstał, mnąc w rękach wełnianą czapkę. Mięśnie na jego twarzy zaciskały się i rozluźniały.

- Przynajmniej próbowałem - bąknął.

Wychodząc, mało nie zerwał kotary.

Z dziennika Harolda Crossa:

13 lipca

Z Sarah Storey zostały jedynie zwęglone kości udowe i czaszka. Głuchoniemy dzieciak był razem z nią w chacie, kiedy dom stanął w ogniu, ale nawet się nie poparzył. Wyszedłby z tego bez szwanku, gdyby pod wpływem gorąca nie zawalił się dach. Obserwuję go na wypadek, gdyby miał jakieś urazy wewnętrzne, ale niewiele mógłbym dla niego zrobić, jeśliby się okazało, że ma pęknięte jelito. Musiałby pojechać do Portsmouth Hospital i to byłby dla niego koniec. Jak człowiek raz trafi do Portsmouth Hospital, już stamtąd nie wyjdzie.

Nikt nie powie tego przy Ojcu Storeyu, ale wiem, że wiele osób uważa, że Sarah nie zginęłaby, gdyby spędzała więcej czasu w obozie i częściej śpiewała z nami w kaplicy. Ja nie jestem tego taki pewny. Chciałbym wiedzieć, co ona i chłopiec robili u strażaka. No i jestem szczerze zdumiony: Sarah zaraziła się smoczą łuską niecałe dwa tygodnie temu. Aż do początku czerwca była jedyną „zdrową” w obozie. Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś spłonął w tak krótkim czasie od zainfekowania. Niedługo będę musiał wymknąć się do chaty i podłączyć się do sieci, żeby przekazać pewnym ludziom informacje o tym szczególnym przypadku.

Strażak nie opuszcza wyspy od dnia wypadku. Głuchy chłopiec jest ze mną na sali chorych, gdzie monitoruję stan jego zdrowia. Allie pozostaje pod opieką ciotki i dziadka. Snuje się po obozie, jakby się czegoś naćpała. Z tą niezdrową, ziemistą cerą i niewidzącym wzrokiem wygląda jak zombie.

Czy to ile myśleć w takiej sytuacji, jak wielkim afrodyzjakiem jest smutek? Jeśli dziewczyna potrzebuje pocieszenia, pan Harold Cross chętnie posłuży jej za poduszkę, w którą będzie mogła się wyplakać.

Jestem złym, bardzo złym człowiekiem.

Myśl zainspirowana filetem a la Storey: Sarah Storey obróciła się w

popiół, a w nim znajdują się aktywne zarodniki, które czekają na nowego żywiciela. A to znaczy, że ciepło nie niszczy sporów, ale przygotowuje je do rozmnożenia. Przed uszkodzeniem musi je chronić enzym. Wystarczająca ilość tego enzymu może - teoretycznie - pokrywać skórę i działać jako środek ognioodporny. A zatem moja teoria brzmi następująco: strażak wie, jak podstępem skłonić enzym, żeby chronił żywiciela. Sarah Storey nie posiadała tej umiejętności i spłonęła. Tylko co aktywuje enzym? To coś, o czym muszę porozmawiać z ludźmi w sieci.

Nick Storey nie jest zupełnie niemy. Właśnie jęczy, jakby nie mógł się wysrać. Ja pierdolę! Chyba już nigdy się nie wyśpię.

Harper obudziła się gwałtownie. Czowała się, jakby jej łóżko było łodzią, która uderzyła w skałę, i niemal słyszała, jak dziób zgrzytnął o kamyk. Zamrugła, nie widząc, czy minęła minuta, czy może cały dzień. Łódź zakołysała się, drapiąc o skały. W nogach łóżka stał Ben, trącąc ramę kolanem.

Spała od świtu do zmierzchu i oto nadszedł kolejny wieczór.

- Siostró - odezwał się Ben. Tyle że nie był to ten sam Ben, który rozmawiał z nią poprzedniego dnia. To był Funkcjonariusz Patchett. Jego łagodna, okrągła twarz zmieniła się w pozbawioną wyrazu, obojętną maskę. Miał nawet na sobie swój mundur: granatowe spodnie, wyprasowaną granatową koszulę i granatową kurtkę z białą polarową podpinką i słowami POLICJA PORTSMOUTH wyszytymi drukowanymi, żółtymi literami.

- Tak?

- Matka Carol czeka na raport o stanie zdrowia Ojca Storeya - poinformował ją. - Kiedy będziesz gotowa, Jamie i ja zaprowadzimy cię do niej.

Jamie Close stała w drzwiach poczekalni, przerzucając z ręki do ręki biały kamyk.

- Zanim poinformuję ją o stanie zdrowia pacjenta, chciałabym jeszcze do niego zajrzeć. Poza tym muszę się przygotować. Możecie poczekać w pokoju obok?

Ben pokiwał głową i zerknął na Nicka, który siedział na łóżku, ze zdumieniem obserwując rozwój wydarzeń. Ben puścił do niego oko, ale chłopiec się nie uśmiechnął.

Funkcjonariusz zniknął za kotarą, ale Jamie Close pozostała w pomieszczeniu.

- Lubisz podawać lekarstwa - rzuciła. - Zobaczymy, czy tak samo lubisz je przyjmować.

Harper zastanawiała się nad ciętą ripostą, ale dziewczyna wyszła za swoim przełożonym do pokoju obok.

„Nie idź” - poprosił ją Nick.

„Muszę” - odparła, gestykulując.

„Nie - upierał się chłopiec. - Oni zamierzają zrobić coś złego”.

Harper sięgnęła po notatnik i napisała:

Nie denerwuj się, bo zaczniesz cię boleć brzuch.

Czesła włosy w łazience, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Tak? Proszę.

Michael uchylił drzwi. Jego okolona rudą brodą, piegowata, okrągła, chłopięca twarz wydawała się niepokojąco blada.

- Zastrzyk insuliny? - spytał.

- Wejdz. Jestem ubrana.

Zdjął pokrywę splotki i wyciągnął ze środka plastikowy worek z kilkoma strzykawkami insulinowymi. Podciągnął koszulkę, odsłaniając kościstą, białą jak rybi brzuch kość biodrową, i przetarł skórę wacikiem antyseptycznym.

- Psze pani - rzucił, nawet nie patrząc na Harper. - Proszę uważać. Ludzie nie mają racji. Nie myślą jak trzeba. Allie nie myśli jak trzeba.

- Zostaniesz tu, kiedy ja pójdę do Carol? - zapytała.

- Tak, psze pani.

- To dobrze. Nick się ucieszy, że ktoś przy nim jest.

- Psze pani? Słyszysz pani, co mówię? O tym, że ludzie nie myślą jak trzeba? Przy śniadaniu próbowałem porozmawiać z Allie. Nie wiem, co ją napadło. Nie je od trzech dni, a przecież wcześniej była chuda jak szczapa. Ktoś musi coś z tym zrobić. Boję się, że...

- Michaelu Lindqvist! Allie może wyjąć kamyczek z ust i zjeść śniadanie, kiedy tylko będzie chciała. Przykro mi, rozumiem, że chcesz, bym jej pomogła, ale nie zamierzam popierać tych barbarzyńskich praktyk, a tym bardziej się na nie godzić. Jeśli przyszedłeś, żeby mnie przekonać albo wzbudzić we mnie poczucie winy...

- Nie, psze pani, nie - przerwał jej. - Nie to miałem na myśli! Pani nie robi niczego złego. Nie to mnie martwi. Martwi mnie to, jak Carol, Ben i wszyscy przyjaciele Allie kibicują jej, podczas gdy ona głodzi się na śmierć. Pani siedzi tu dzień i noc, więc nie wie pani, jak to naprawdę wygląda. Nie widzi pani, jak bliźniaczki Neighbors szepczą jej do ucha, że nie może się poddać i że cały obóz w nią wierzy. Albo jak jej przyjaciele siedzą z nią po tym, jak opuściła kolejny posiłek i nuca jej

imię, aż oczy Allie zaczynają płonąć i dołącza do Światłości. Zupełnie jakby bardziej od jedzenia potrzebowała ich akceptacji. Ale ich nie obchodzi to, jaka jest chuda i że z każdym dniem ubywa jej sił. Boję się, że wpadnie w hipoglikemię i dostanie zapaści. Zemdleje i połknie ten kamyk! Chryste, jak o tym myślę... mam ochotę złapać ją za rękę... spakować walizkę i uciec stąd.

Michael był drugą osobą, która w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wspomniała o ucieczce. Harper zastanawiała się, kto jeszcze myśli o tym, żeby dać nogę, i czy Carol wie, jak niebezpieczne stają się jej rządy. Może wiedziała. Może to wszystko tłumaczyło.

Michael przełknął z trudem ślinę i dodał nieco spokojniejszym, cichszym głosem:

- Niech pani robi, co uważa za stosowne. Tylko proszę nie dać się skrzywdzić. Może i Allie szczerze pani nienawidzi, ale jeszcze bardziej znienawidzi siebie, jeśli się dowie, że przez nią spotkało panią coś złego. - Wziął głęboki, drżący oddech i kontynuował: - Kocham Carol jak własną matkę. Naprawdę! Dałbym się za nią pokroić. - Spojrzał na Harper błagalnym wzrokiem. W powietrzu między nimi zawisło niewypowiedziane „ale”.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz nie było na to czasu. Ben i Jamie Close czekali.

8

Ben prowadził. Przeszli przez ułożoną na śniegu kładkę z sosnowych desek. Wydawało się, jakby na całym świecie nie było innego światła poza białym kręgiem latarki Bena. Jamie Close zamykała pochód. Na ramieniu miała karabin, a w prawej ręce trzymała skrócony kij od szczotki z jednym końcem obwiązany taśmą. Pogwizdując, machała nim na boki.

Wyszli spomiędzy jodeł i skierowali się do Domu Czarnej Gwiazdy, chatki, gdzie Carol mieszkała zimą z ojcem. Był to czysty jednopiętrowy budynek - kryty gontem, z czarnymi okiennicami - nazwany w związku z ogromną, czarną żelazną gwiazdą wiszącą na północnej ścianie między oknami. Harper uważała, że to piękna ozdoba, idealna dla lochów inkwizycji czy izby tortur. Na kamiennym stopniu siedziały dwie czujki, które na widok Bena zerwały się na równe nogi. On, jakby ich nie widział, przeszedł obok i załomotał do drzwi. Z głębi domu rozległ się zapraszający głos Carol.

Siedziała w sfatygowanym fotelu obitym splekaną, lśniąca skórą. Mebel z pewnością należał do jej ojca: był wręcz stworzony do tego, żeby się w nim zagłębić, poczytać Milтона, zaalić fajkę i oddać się mądrym, dobrym rozmyśleniom. Pomieszczeniu stała też pasująca do fotela dwuosobowa kanapa z kremowymi skórzanymi poduchami, ta była jednak pusta. U stóp Carol siedziały dwie czujki. Jedną z nich była Mindy Skilling, dziewczyna z wilgotnymi oczami, wpatrzona w Matkę Carol jak w obrazek. Drugą okazał się zniewieściały chłopak z krótko przyciętymi, jasnymi włosami, pełnymi ustami i przytroczonym do pasa dużym nożem. Niemal wszyscy w obozie mówili na niego Bowie, ale Harper nie wiedziała, czy to z powodu noża¹³, czy dlatego, że wyglądał jak Ziggy Stardust¹⁴. Kiedy weszli, patrzył na nich spod różowych opadających powiek.

Harper nie spodziewała się, że zobaczy tu Gilberta Cline'a, ale mężczyzna siedział na niskiej kamiennej półce przed kominkiem. W

palenisku wśród bryłek węgla wiły się czerwone robaki i ciepło nie ogrzewało całego pomieszczenia. Mróz zmienił szyby w mieniące się kwadraty i Harper czuła się, jakby weszła do jaskini za zamarzniętym wodospadem.

Jamie Close zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Ben opadł na kanapę z przeciągłym westchnieniem jak ktoś, kto chwilę temu skończył znosić do domu naręcza drewna. Poklepał ręką siedzisko, ale Harper udawała, że tego nie widzi. Woląca nie siadać obok niego i nie chciała, żeby Carol pomyślała, że przyszła tu, by ją o coś błagać. Stała pod ścianą, plecami do okna, czując na karku lodowaty oddech zimy.

Spojrzenie Carol powędrowało ku niej. Oczy kobiety były szkliste, rozgorączkowane i nabiegłe krwią. Z ogoloną głową i wymizerowaną, zmęczoną twarzą wyglądała jak cierpiąca na raka starsza osoba, która źle znosi chemioterapię.

- Miło cię widzieć, siostrzo Willowes. Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. Wiem, że ostatnio byłaś dość zajęta. Właśnie słuchaliśmy opowieści pana Cline'a o tym, jak ukrywał się przy stawie South Mill, niecałe sto metrów od posterunku policji. Herbaty? Śniadanie?

- Chętnie. Dziękuję.

Mindy Skilling wstała i bez słowa udała się do pogrążonej w mroku, niewielkiej kuchni.

- Wygląda na to, że pan Cline nie mógł mieć nic wspólnego z tym, co przydarzyło się mojemu ojcu - ciągnęła Carol. -Chciałam dowiedzieć się czegoś o ludziach, dla których mój ojciec ryzykował życie. Za których, być może, oddał życie. Chyba nie masz nic przeciwko, siostrzo Willowes? Właśnie zaczynał nam opowiadać historię swojej ucieczki.

- Nie. Nie mam nic przeciwko - odparła Harper.

Wróciła Mindy z małą porcelanową filiżanką gorącej herbaty i cienkim kawałkiem pachnącego ciasta kawowego z orzechami. Żołądek Harper zaburczał donośnie. Ciasto kawowe? W tych okolicznościach wydawało się takim samym luksusem jak gorąca kąpiel z bąbelkami.

- Proszę kontynuować, panie Cline. Mówił pan, że gdzie poznał pan pana Mazzucchellego?

- W Brentwood, w więzieniu okręgowym. - Cline zmierzył Harper zaciekawionym wzrokiem, jakby pytał: „Co ty tu robisz?”, i odwrócił się w stronę Carol. - Mają tam więzienie dla może czterdziestu więźniów.

Nas tam była setka. Dziesięć cel, każda długa na trzy metry i w każdej dziesięciu chłopca. Wystawili telewizor na korytarz i puszczała *Galki od łóżka i kije od miotły* i *Mój przyjaciel smok*, więc było co oglądać. Nie mieli niczego poza filmami dla dzieci, które trzymali na odwiedzinach. W jednej z cel siedział koleś, któremu kompletnie odbiło. Czasami zaczynał krzyczeć „Będę twoją świecą na wodzie”, aż inni rzucali się na niego i kazali mu się zamknąć. Po jakimś czasie zacząłem myśleć, że puszczają w kółko te dwa filmy, żeby nas torturować.

Harper zirytowała to, że ktoś siedzący w więzieniu odchodził od zmysłów, słuchając tej konkretnej piosenki. Gilbert Cline opisywał poniekąd ją samą, kiedy utknęła w kanale burzowym.

- Nikt z nas nie powinien być tam dłużej niż kilka dni. Jest kilka powodów, dla których człowiek trafia do Brentwood. Większość z nas czekała tam na proces. Mnie przewieźli z więzienia w Concord, żebym zeznawał w pewnej sprawie. Mazz trafił tam z więzienia stanowego w Berlin, żeby odwoływać się od wyroku.

- Za co siedział? - spytała Carol.

- Wiem, wygląda na wstrętne gościa, ale zamknęli go za krzywoprzysięstwo. Nie mam pojęcia, czy skrzywdził pani ojca, czy nie. Ale Mazz nie należy do tych, co to rwą się do bójk. Jego największym problemem jest niewyparzona gęba. Koleś nie potrafi ugryźć się w język. Nie wie, jak opowiedzieć zwykłą historię, nie okraszając jej górną gówną.

- Dlatego właśnie wolę, żebyś to ty, a nie on opowiedział o waszej ucieczce z Brentwood - wyjaśniła Carol.

- I proszę oszczędzić nam tych wszystkich niecenzuralnych słówek - dodał Ben. - Są z nami damy.

Harper omal nie zakrzuszyła się ostatnim kawałkiem ciasta. Nie wiedzieć czemu, wyrażenie „niecenzuralne słówka” działało jej na nerwy bardziej niż słowo „przekleństwa”.

Odchrząknęła i posępnie spojrzała na pusty talerz. Zamierzała delektować się ciastem, ale było go tak mało, że gdy poczuła na języku cukier i gałkę muszkatołową, nie umiała się opanować. A teraz ciasto tak po prostu zniknęło. Odstawiła talerzyk na stół, żeby nie kusilo jej, by go wylizać.

- Miałem pozostać w Brentwood do złożenia zeznań - ciągnął Gil. -

Ale zamknęli sąd. Czekałem, aż zapakują nas do samochodów i porozwożą z powrotem, ale tak się nie stało. Zamiast tego dowozili kolejnych więźniów. Młody koleś z mojej celi podszedł kiedyś do krat i zawołał, że chce wnieść skargę i porozmawiać ze swoim prawnikiem. Policjant stanowy przywalił mu w gębę pałką policyjną. Jednym ciosem wybił mu trzy zęby. „Twoja skarga została odnotowana. Jak masz jeszcze jakiś problem, nie krępuj się”, powiedział i spojrzał na nas, jakby chciał się przekonać, czy ktoś jeszcze jest niezadowolony z takiego traktowania.

- Bzdura - rzucił Ben. - Od dwudziestu lat pracuję w policji i nasłuchałem się tysięcy raportów o brutalności funkcjonariuszy, z których może trzy trzymały się kupy. Reszta to opowieści żalonych ćpunów, pijaków i złodziei chcących wyrównać rachunki z tymi, którzy ich zamknęli.

- To nie bzdura - upierał się Gilbert. Głos miał spokojny, opanowany. - Teraz wszystko wygląda inaczej. Prawo nie jest już prawem. Bez odpowiednich władz prawo jest w rękach tych, którzy trzymają pałki policyjne. Pałki policyjne albo ręczniki pełne kamieni.

Ben się zjeżył. Wyprężył pierś, tak że omal nie odleciały mu guziki koszuli. Zamknął jednak usta, gdy Carol podniosła rękę.

- Niech mówi dalej. Chcę go wysłuchać. Chcę wiedzieć, kogo sprowadziliśmy do obozu. Co widzieli, co zrobili i przez co przeszli. Proszę kontynuować, panie Cline.

Gil spuścił wzrok jak człowiek próbujący przypomnieć sobie wiersz, którego nauczył się lata temu. W końcu podniósł głowę, bez lęku spojrzał Carol w oczy i opowiedział im, co się wydarzyło.

9

- Nie wszyscy gliniarze w Brentwood byli źli. Nie chcę, żebyście tak myśleli. Był wśród nich jeden taki, który dbał o to, żebyśmy mieli jedzenie, picie, papier toaletowy i inne najpotrzebniejsze rzeczy. Ale im dłużej tam przebywaliśmy, tym trudniej było znaleźć jakąś przyjazną twarz. Większość gliniarzy chodziła wkurzona i nie chciała się nami zajmować. A kiedy ludzie zaczęli chorować, złość przerodziła się w strach.

Upchnęli nas jak zwierzęta w klatkach i nietrudno było przewidzieć, co się wydarzy. Pewnego ranka okazało się, że jeden koleś z celi na końcu bloku ma smoczą łuskę. Inni więźniowie zaczęli panikować. Rozumiem, dlaczego zrobili to, co zrobili. Chciałbym wierzyć, że postąpiłbym inaczej, ale to nie takie proste. Kumple z celi zapędzili go w kąt; nie dotykali go, tylko odpychali poduszkami. Potem zatłukli go na śmierć.

- Chryste - szepnął Ben.

- Facet nie umarł od razu. Przez dwadzieścia minut walili jego głową o ściany, podłogę i muszlę klozetową, podczas gdy szalencie w celi obok śpiewał *Świecę na wodzie* i zaśmiewał się do łez. W końcu zainfekowany więzień zaczął kopcić i spłonął. Właściwie nawet się nie zapalił, po prostu zaczął dymić i skonał. Wyglądało to jak indiańska sauna. Mężczyznom oczy łzawiły od dymu i krztusili się popiołem. Po tym, jak zatłukli go na śmierć, gliniarze ze stanowej w gumowych rękawiczkach wywlekli ciało z celi i pozbyli się go. Ale my wiedzieliśmy, że na tym się nie skończy. Całe to miejsce było jak betonowa szalka Petriego. Następnego dnia rano okazało się, że zarazonych jest dwóch więźniów z innej celi. Dwa dni później zachorowało kolejnych sześciu z zupełnie innej celi. Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać.

Harper mogłaby mu wytłumaczyć, ale teraz nie miało to znaczenia. Strażak powiedział, że świat podzielił się na zdrowych i zainfekowanych, ale wkrótce zostaną tylko chorzy i martwi. Dla

wszystkich zgromadzonych w tym pokoju rozprzestrzenianie się smoczej łuski było interesujące z czysto akademickiego punktu widzenia, więc nie było sensu przerywać.

- Policjanci ze stanowej nie wiedzieli, co robić. Nie było więzienia dla przestępców ze smoczą łuską, a nie chcieli nikogo wypuszczać. W końcu ubrali się w mundury szturmowe, włożyli gumowe rękawiczki i zagnali wszystkich zainfekowanych do jednej celi, kombinując, co z nimi zrobić. I nagle, pewnego ranka, słyszymy, jak jeden koleś wrzeszczy: „Gorąco mi! Chyba umieram! Chyba oblażył mnie mrówki ogniste!”. Potem z jego ust buchnął ogień. Dobywał się z jego gardła, aż w końcu facet stanął w ogniu. Słyszałem, że kiedy przed śmiercią zioniesz ogniem, mówią na to „smoczy ogień”. Dzieje się tak, bo tkanki w płucach zaczynają się palić; to tak, jakbyś płonął od środka. Gość biegał dookoła, wrzeszczał i pluł ogniem jak bohater kreskówki, który przez przypadek wypił ostry sos. Ci, co siedzieli z nim w celi, stali pod ścianami w obawie, że się zapalą. Przybiegli gliniarze, dowodzeni przez kolesia nazwiskiem Miller. Zajrzeli do celi, przez chwilę gapili się na płonącego więźnia i zaczęli strzelać.

Urwał, jakby czekał, czy Ben zaprzeczy, ten jednak siedział nieruchomo z rękami na kolanach i ze spokojem obserwował Gilberta.

- Wpakowali do celi... nie wiem... ze trzysta kulek. Zabili wszystkich. Zastrzelili faceta, który płonął, i tych, co z nim siedzieli. Kiedy strzelanina ustała, Miller podciągnął gacie, jakby właśnie zjadł na śniadanie naleśniki z bekonem, i powiedział, że właśnie uratował nam życie. Przerwał reakcję łańcuchową, zanim doszło do tragedii. Gdyby nie zastrzelili wszystkich, cały blok zamieniłby się w piekło. Pozostali gliniarze stali wokół niego zszokowani i gapili się na broń, którą trzymali w rękach, jakby nie mogli pojąć, jak to się stało, że wypaliła. Kazali kilku z nas włożyć gumowe rękawiczki i wynieść ciała. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Byłem w Brentwood od czterech, pięciu miesięcy i w całym bloku cuchnęło spalonymi włosami i prochem. Och, a pusta cela? Szybko ją zapełnili. Wstrzymano wszystkie procesy. Nikogo nie sądzono. Ale gliniarze wciąż aresztowali ludzi za szabrownictwo i musieli ich gdzieś zamykać.

Przez pierwsze miesiące karmili nas peklowaną wołowiną i galaretką limonkową. Potem zaczęły się problemy z jedzeniem. Któregoś dnia

dostaliśmy na lunch tylko brzoskwinie z puszki. Innym razem trzech gliniarzy rozwalilo automat i dostaliśmy batony. Osiem razy z rzędu był tylko ryż. Pewnego dnia oświadczyli, że przestaną wydawać śniadania. To wtedy zacząłem wierzyć, że umrę w Brentwood. Wiedziałem, że wcześniej czy później przestaną wydawać lunch. Aż w końcu w ogóle przestaną pojawiać się na bloku.

Jego schrypnięty głos kojarzył się Harper ze skórzanym pasem, na którym ktoś ostrzy brzytwę. Nie pytając o pozwolenie, weszła do kuchni, znalazła szklankę i napełniła ją wodą. Wróciła do pokoju i podała mu ją. Spojrzał na nią z wdzięcznością i zaskoczeniem. Opróżnił szklankę trzema łykami, oblizał usta i podjął przerwana opowieść:

- Jak już mówiłem, niektórzy gliniarze byli w porządku. Był taki jeden, Devon. Drobnny kurdupel. Większość koleśki za plecami mówiła na niego „pedał” i może faktycznie był gejem, ale coś wam powiem. Facet nigdy nikogo nie zastrzelił, a pewnego dnia przyniósł nam dwie reklamówki piwa. Powiedział, że ma urodziny i ma ochotę świętować. Rozlał ciepłe piwo do plastikowych kubków, a my zaśpiewaliśmy mu *100 lat!* To była najlepsza impreza urodzinowa, na jakiej byłem. Cuchnące stęchlizną plastikowe kubki z supermarketu i ciepły budweiser. - Zerknął na Bena i dodał: - Widzi pan, jest w tej historii miejsce dla dobrych gliniarzy.

Ben mruknął coś pod nosem.

- Nawet w najgorszych miejscach można się spotkać z przyzwoitością - skwitowała Carol. - I z ukrytym egoizmem -dodała po chwili.

Harper zastanawiała się, czy to nie subtelna aluzja pod jej adresem. Jeśli tak, była ona nieudolna i nietrafiona w końcu to nie Harper miała u siebie ciasto kawowe, podczas gdy reszta obozu jadła buraki z puszki. Domyślała się, że od czasu do czasu dzięki nowo przybyłym do obozu trafiały jeszcze jakieś skąpe zapasy. Podejrzewała, że najlepsze kąski za zgodą Bena i czujek przynoszono tutaj: łakocie, dzięki którym Matka Carol miała zachować siłę w godzinie próby.

- Taa, hm... to niejedyna rzecz, jaką zrobił dla nas Devon. Okazało się, że ma dla nas coś więcej niż tylko plastikowe kubki z piwem. Ale do tego wrócimy za minutę. Zaprawa murarska między pustakami się kruszyła. Nie na tyle, żeby można ją było wydłubać i uciec... co to, to nie... ale pozostawiała na palcach biały kredowy osad. Mazz odkrył, że

jeśli zmiesza się go ze śliną, powstaje biała pasta. Pokrywał nią smoczą łuskę, kiedy zachorował, i ja też tak robiłem. Kilku czarnych z naszej celi zostało zainfekowanych, ale drapali się do krwi i mówili strażnikom, że się pobili. Jeden gliniarz rzucił im rolkę bandażu, a oni użyli go, żeby zakryć ślady na skórze. Przed końcem tygodnia wszyscy w celi byliśmy chorzy i w taki czy inny sposób próbowaliśmy to ukryć. Baliśmy się, że Miller i jego ludzie przyjdą i wszystkich nas wystrzelają. Tak samo było w innych celach. Nie wiem, czy przed końcem roku wszyscy w więzieniu byli zainfekowani, ale było wśród nas więcej chorych niż zdrowych. Niektórzy potrafili to ukryć.

Inni nie. Po jakimś czasie gliniarze zorientowali się, co jest grane. Wiedzieliśmy o tym, bo zaczęli przynosić jedzenie ubrani w kaski i długie do łokci rękawice, na wypadek gdyby któryś z nas próbował ich opluć. Zza plastikowych osłon widzieliśmy ich przerażone twarze.

Pewnego ranka przyszedł Miller z dwunastoma innymi gliniarzami. Wszyscy mieli na sobie mundury szturmowe i zasłaniali się tarczami. Miller ogłosił, że ma dla nas dobrą wiadomość. Powiedział, że na zewnątrz czeka transport. Zakażeni zostaną przewiezieni do obozu w Concord, gdzie zostanie im zapewniona najlepsza opieka medyczna i będą dostawać trzy pełne posiłki dziennie. Przeczytał z kartki, że tego wieczoru więźniowie w Concord zjedzą szynkę i ananasa. Pilaw i marchewki gotowane na parze. Wprawdzie nie mają tam piwa, ale jest zimne, pełnotłuste mleko. Drzwi się otworzyły i Miller kazał zainfekowanym opuścić cele. Pierwszy wyszedł niski Murzyn ze smoczą łuską na lewym policzku, która wyglądała jak wytatuowany na twarzy liść paproci. Zwykle zmiany nie pojawiały się na twarzy, ale w jego przypadku było inaczej, i chyba nie widział powodu, żeby to ukrywać. Zaraz za nim wyszedł kolejny więzień i jeszcze kilku, a po nich następni, o których nawet nie wiedziałem, że są zarażeni. Wkrótce połowa bloku stała na korytarzu między celami. Ja też zamierzałem wyjść. Przekonali mnie tym zimnym mlekiem. Wiecie, jak smakuje szklanka zimnego mleka, kiedy dawno się go nie piło? Na samą myśl boli mnie gardło. Zrobiłem nawet krok do przodu, ale Mazz złapał mnie za ramię i prawie niezauważalnie pokręcił głową. No to zostałem.

Ale większość chłopaków z naszej celi wyszła. Jeden z nich, Junot Gomez, spojrział na mnie zmieszany i mruknął: „Pomyślę o tobie, kiedy

jutro rano będę jadł śniadanie”.

Gilbert podniósł do ust szklankę, jakby zapomniał, że jest pusta. Harper zaproponowała, że przyniesie mu więcej wody, ale odmówił.

- Co było potem? — spytała Carol.

- To takie oczywiste, że żaden z nich nie dostał szynki ani pilawu? Chyba tak. Wyprowadzili ich po schodach na zewnątrz i tam rozstrzelali. Huk wystrzałów zatrzęsł ścianami więzienia i odbijał się echem przez kolejne pół minuty. To nie były pistolety, ale broń automatyczna. Myślałem, że to się nigdy nie skończy. Nie słyszeliśmy nic innego, żadnych krzyków, wrzasków... tylko terkot karabinów, jakby ktoś uruchomił rębak do drewna. Kiedy strzelanina ucichła, nikt nic nie mówił. Jeszcze nigdy w bloku nie było tak cicho, nawet w nocy, kiedy ludzie powinni spać. Chwilę później Miller i reszta zeszli do nas. Czuć było od nich śmiercią. Cuchnęli prochem i krwią. Przynieśli z sobą swoje M-16, a kiedy Miller włożył lufę między kraty, pomyślałem, że teraz przyszła kolej na nas. Nieważne, czy wyszliśmy, czy zostaliśmy, i tak zaraz zginieemy. Zrobiło mi się niedobrze, ale nie upadłem na kolana i nie błagałem o życie.

- To dobrze - odezwała się Harper. - Dobrze dla ciebie.

- Wtedy Miller powiedział: „Potrzebujemy ludzi do sprzątanía. Jak się spiszecie, dostaniecie wody”. Mazz na to: „A co ze szklanką zimnego mleka?”. Wiecie, podpuszczał go. Tyle że Miller nie zrozumiał dowcipu i rzucił: „Jasne, jak tylko jakieś znajdziemy”. „Co tam się stało?”, spytał Mazz, jakbyśmy nie wiedzieli. „Próbowali uciec”, rzucił Miller. „Chcieli przechwycić ciężarówkę”. Mazz się roześmiał. Miller zamrugał i dodał: „I tak już nie żyli. Tak jest lepiej. Wyświadczyliśmy im przysługę. Załatwiliśmy to szybko. To lepsze niż spłonąć żywcem”. „To cały ty, Miller”, warknął Mazz. „Zawsze myślisz o tym, jak pomóc bliźniemu. Jesteś uosobieniem empatii”. Mówiłem wam: Mazz kłapie dziobem tam, gdzie inni trzymają gębę na kłódkę. Byłem pewien, że zarobi kulkę, ale wiecie co? Miller chyba sam był w szoku. Może nadal dzwoniło mu w uszach i nie za dobrze słyszał. Wiem tylko, że pokiwał głową jakby się z nim zgadzał. Otworzył celę i Mazz wyszedł.

Inni więźniowie też powychodzili ze swoich cel. Strażnicy kazali nam usiąść i ściągnąć buty, żebyśmy nie próbowali uciekać. W dziesięciu poszliśmy na górę w asyście uzbrojonych gliniarzy. Poprowadzili nas

długim korytarzem i dalej, przez podwójne drzwi przeciwpożarowe na parking. Był chłodny, słoneczny poranek, tak jasny, że z początku nic nie widziałem. Przez pierwszą minutę świat przypominał rozmazaną plamę bieli. Od tego czasu często o tym myślę. Ci, których zastrzelili, musieli być kompletnie oślepieni, gdy otworzyli do nich ogień. Kiedy odzyskałem ostrość widzenia, zobaczyłem podziurawiony kulami ceglany mur. To pod nim leżała większość ciał. Tylko kilku próbowało uciekać. Jeden koleś przebiegł jakieś sześć metrów, zanim dosłownie urwało mu głowę.

Z tyłu budynku stała zaparkowana ciężarówka. Rozdali nam żółte gumowe rękawice i kazali wziąć się do roboty. Chcieli, żebyśmy wywieźli ciała do Portsmouth i tam się ich pozbyli. Facet, o którym wam mówiłem, Devon, ten, który w swoje urodziny przyniósł nam piwo... on też tam był. Miał notatnik, odhaczał nas, kiedy odbieraliśmy rękawice, i miał zrobić to samo, kiedy będziemy wracać do cel. Zmienił się. W ciągu miesiąca postarzał się o jakieś dziesięć lat.

Z początku łatwo było wrzucać zwłoki na pakę, ale po jakimś czasie Mazz i ja musieliśmy wejść na przyczepę i układać je, żeby zrobić miejsce dla kolejnych. Było zimno, więc ciała zaczynały już sztywnieć. Zupełnie jakbyśmy uprzętały zwałone drzewa i gałęzie. Odwróciłem Junota Gomeza, który umarł z otwartymi ustami, jakby chciał o coś zapytać. Może chciał się dowiedzieć, co serwują w Concord na śniadanie. -Po tych słowach Gil roześmiał się. Był to urywany, gardłowy dźwięk, bardziej szloch niż śmiech. - Na pace leżało już ze czterdzieści ciał, kiedy Mazz złapał mnie za łokieć i pociągnął za sobą na podłogę. Przykrył nas ciałem Junota. Tak po prostu. Bez dyskusji. Jakbyśmy to zaplanowali. Do głowy mi nie przyszło, żeby zaprotestować. Zresztą nie było się nad czym zastanawiać. Strażnicy myśleli, że jesteśmy zdrowi, i nie wpadliby na to, że możemy się ukrywać wśród ciał zainfekowanych. Pozostanie w więzieniu też nie było bezpieczne. Wcześniej czy później Miller i jego ludzie zastrzeliliby nas z tego czy innego powodu. Zastrzeliliby nas i wmówili sobie, że postąpili właściwie, że ocalili nas przed śmiercią głodową, samozapłonem czy jeszcze czymś innym. Ludzie, którzy za coś odpowiadają, usprawiedliwiają straszne rzeczy tym, że robią je w imię wyższego dobra. Tu rzeź, tam tortury. Rzeczy, które byłyby

niemoralne, gdyby robił je zwykły, szary człowiek, w ich przypadku znajdując moralne usprawiedliwienie.

W zasadzie to wszystko. Ukryliśmy się pod stertą ciał, podczas gdy inni więźniowie rzucali na nas kolejne trupy. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył naszej nieobecności. W pewnym momencie usłyszałem, jak ktoś wskakuje na pakę. Czyjeś ciężkie buty zadudniły o metal. Ciała nie zakrywały nas całych i kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem Devona z tym jego notatnikiem. Stał i patrzył prosto na mnie. Gapiliśmy się na siebie przez najdłuższą sekundę w historii czasu. Nagle prawie niezauważalnie skinął głową. Zszedł z przyczepy i zamknął klapę. Zaraz potem ktoś uruchomił silnik. Któryś ze strażników zapytał Devona, czy wszyscy się odliczyli, na co on odparł, że tak. Skłamał dla nas. Wiedział, że jesteśmy na pacy, i skłamał, żebyśmy mogli uciec. Kiedyś, gdy to wszystko się skończy, znajdę go i postawię mu piwo. Nikt nie zasługuje na nie tak jak on.

Umilkł. W pomieszczeniu słychać było trzask i syk ognia.

- A potem? - spytała Carol.

- Kierowca wrzucił jedynkę i ciężarówka wytoczyła się sprzed więzienia. Pół godziny później wjechaliśmy na wielki parking w Portsmouth, na którym palono zwłoki. Mazz i ja wydostaliśmy się spod sterty ciał i uciekliśmy, ale dotarliśmy tylko do przepustu nad stawem. Tam utknęliśmy. Nie mogliśmy przedostać się na drugi brzeg, tak jak nie mogliśmy się przedrzeć przez parking. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie zjawił się strażak. Myślę, że albo byśmy zamarzli, albo dali za wygraną i pozwolili, żeby nas zastrzelono. Mam nadzieję, że będę miał okazję mu podziękować. Dobrze mieć po swojej stronie kogoś takiego. Człowiek prawie współczuje tym, którzy mu się sprzeciwiają.

Zapadła długa, niezręczna cisza.

- Dziękujemy, panie Cline - odezwała się Carol. - Dziękujemy, że podzielił się pan z nami swoją historią. Musi pan być zmęczony. Jamie, odprowadzisz pana do chłodni?

- Kajdanki, Jamie - przypomniał Ben.

Dziewczyna drgnęła, Bowie zerwał się na równe nogi i oboje bez słowa podeszli do Gila. Cline patrzył to na Carol, to na Bena. Pod opadającymi powiekami jego szare oczy wydawały się znużone. Wstał i splótł ręce na plecach. Kajdanki z metalicznym szcęknięciem

zatrzasnęły się wokół jego nadgarstków.

- Chciałem zapytać, czy istnieje szansa, żebym został przeniesiony z chłodni i zamieszkał z resztą mężczyzn - odezwał się Gil. - Ale z tego, co widzę, to chyba niemożliwe.

- Dziękuję za pańską szczerą - odparła Carol. - I cieszę się. Cieszę się, że jest pan z nami. Że nie musi się pan obawiać, że ktoś wywlecze pana na parking i zastrzeli. Ale po tym, co pan Mazzucchelli zrobił dla pana, nie jestem pewna, czy wypuszczenie pana jest dobrym pomysłem. Ten człowiek pomógł panu uciec, a wygląda pan na człowieka lojalnego. Skąd mam wiedzieć, że nie próbowałby pan odwdziżyć się mu tym samym? Nie. Zamknijcie go z powrotem w chłodni, Jamie. Może to okrutne traktowanie, ale sam pan rozumie, panie Cline. Jak pan słusznie zauważył: ludzie, którzy za coś odpowiadają, usprawiedliwiają straszne rzeczy tym, że robią je w imię wyższego dobra. Dobrze wiem, co miał pan na myśli, mówiąc te słowa. Chyba wszyscy wiemy, że robił pan przytyk pod moim adresem.

Kąciki ust Gila drgnęły w uśmiechu.

- Droga pani, ciała, pod którymi leżałem, miały w sobie więcej ciepła niż pani. - Spojrzał na Harper i skinął głową. - Dzięki za wodę, siostrze. Do zobaczenia.

Jamie dźgnęła go w kark końcem kija od szczotki.

- Chodź, przystojniaku. Wracamy do apartamentu.

Kiedy otworzyła drzwi, wiatr sypnął do pokoju śniegiem.

Gilbert opuścił chatę w asyście Jamie i Bowiego; drzwi zatrzasnęły się za nimi z głuchym łoskotem. Dom zaskrzypiał i jęknął.

- Teraz twoja kolej, Harper - odezwała się Carol.

- Opowiedz mi o moim ojcu - zaczęła. - Czy on umiera?
- Jego stan jest stabilny.
- Ale się nie budzi.
- Jestem pełna nadziei.
- Ben mówi, że do tego czasu powinien się już obudzić.
 - Tak. Jeśli to był krwihak podtwardówkowy i nie doszło do komplikacji.
- Więc czemu się nie budzi?
- Ponieważ wystąpiły komplikacje.
- Jakie? O jakich komplikacjach mówisz?
 - Nie mam pewności. Jestem pielęgniarką, nie neurologiem. Odłamek kości w mózgu? Poważne stłuczenie mózgu? A może przeszedł udar w trakcie operacji. Nie mam sprzętu, żeby go zdiagnozować.
- Jeśli się obudzi - zaczęła Carol i choć oddech uwiązał jej w gardle, jej twarz pozostała obojętna i pozbawiona wyrazu. -jak bardzo będzie upośledzony?

Przy uszkodzeniach mózgu nie używa się terminu „upośledzony”, ale Harper uznała, że nie jest to ani czas, ani miejsce, żeby o tym mówić.
- Możliwe, że nie będzie żadnych zaburzeń, ale może być też tak, że będzie w bardzo złym stanie. Na tę chwilę możemy jedynie zgadywać.
- Przyznasz jednak - ciągnęła Carol - że do tego czasu powinien się już obudzić? To dość dziwne.
- Byłam dobrej myśli.
- Carol pokiwała głową, powoli, niemal sennie.
- Jest coś, co możesz dla niego zrobić?
 - Przy tych środkach, którymi dysponuję? Niewiele. Wymyśliłam sposób, żeby podawać mu płyny, rozcieńczony sok jabłkowy, ale to niewiele da. Gdyby izba chorych była lepiej wyposażona, miałabym więcej możliwości, żeby zająć się nim i innymi pacjentami. Właśnie o tym chciałam pomówić. Rozmawiałam z Johnem...

- Tak - przerwała jej Carol. - Słyszałam.

Harper ciągnęła jednak niezrażona:

- ...który ma plan, jak zdobyć dodatkowe zaopatrzenie...

Tym razem przerwał jej Ben.

- A nie mówiłem? - zwrócił się do Carol. - Nie mówiłem, że strażak na pewno będzie miał jakiś plan? - Jego głos wydawał się beznamiętny, niemal znudzony, jednak pod tym pozornym spokojem wyczuwało się napięcie.

Harper spróbowała jeszcze raz:

- John uważa, że może pomóc nam zdobyć sprzęt, dzięki któremu będę mogła lepiej zająć się twoim ojcem, jeśli jego stan się nie zmieni. Myślę, że powinniśmy to rozważyć.

- Co to za plan? - Carol sprawiała wrażenie zaintrygowanej.

Harper przedstawiła jej plan strażaka; wyjaśniła, że zamierza pojechać radiowozem Bena na Verdun Avenue, użyć jednego z telefonów, żeby wezwać pogotowie, poczekać, aż przyjedzie, i...

-...John mówi, że wtedy wyśle feniksa, żeby przestraszyć ratowników i policjantów, którzy przyjadą z nimi - dokończyła. Czowała, że to dość kiepskie podsumowanie, i przez chwilę była zła na Johna i jego teatralne zapędy. - Nie wiem, co to oznacza, ale on jeszcze nigdy nas nie zawiódł.

- Chodzi o kolejny z jego popisów - rzuciła Carol. - Numerów, które mają odwrócić uwagę.

- Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy potrzebować jego pomocy - zauważył Ben. - Sami możemy przechwycić ambulans. Mamy dość broni.

- Dość, żeby zginęło ile osób? - spytała Harper.

- Nie dojdzie do tego. Damy im ultimatum: albo oddacie nam to, co jest w ambulansie, albo sami w nim wylądujecie. Zwykle ludzie są skłonni do współpracy, kiedy ktoś mierzy do nich z broni.

- Oni też będą uzbrojeni. Przyjadą z policyjną eskortą.

- Tak. Ale kiedy ich spotkamy, ja będę miał na sobie mundur i będę siedział za kółkiem radiowozu. To uspi ich czujność. Zanim się zorientują, będziemy mieli nad nimi przewagę - wyjaśnił Ben.

- Tylko po co mamy to robić sami? - upierała się Harper. - Dlaczego nie zrobić tego tak, jak chce John?

- Ostatnim razem, kiedy zrobiliśmy coś tak, jak chciał John, ktoś mało nie zamordował mojego ojca - odparła Carol.

- To, co przydarzyło się twojemu ojcu, wydarzyło się tu, na terenie obozu. Plan Johna zadziałał.

- Owszem. Zadziałał na jego korzyść.

- Nie rozumiem.

Zamiast odpowiedzieć, Carol spytała:

- Niby kiedy mielibyśmy skorzystać z pomocy Johna?

- Za trzy noce od dziś.

- Nie możemy czekać tak długo. Musimy to zrobić jutro. Ben, wierzę, że obejdzie się bez rozlewu krwi, chyba że będzie on absolutnie konieczny.

- W porządku - rzucił. - Hm... będzie ich czterech: dwóch w karetce i dwóch w radiowozie. Więc lepiej, żebyśmy pojechali w piątkę. Jamie strzela najlepiej ze wszystkich, zaraz po mnie. Nelson Heinrich miał kiedyś na Facebooku swoją stronę NRA i chyba nieźle radzi sobie z bronią. Ta dziewczyna, Mindy Skilling, mogłaby zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Jest na tyle dorosła, że mogłaby jechać z nami. Poza tym kiedy trzeba, potrafi nieźle udawać. Myślę, że...

- Chwileczkę. Chwileczkę - przerwała mu Harper. - Carol, nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy poczekać te trzy noce. Twój ojciec...

- ...ma prawie siedemdziesiąt lat. Ty czekałabyś tyle, gdyby chodziło o twojego ojca? Gdybyś mogła coś zrobić od razu?

Harper miała ochotę powiedzieć, że jej ojciec nie chciałby, żeby zginęli przez niego niewinni ludzie, ale nie potrafiła dobyć głosu. Właściwie, pomyślała, Carol ma rację. Gdyby chodziło o jej ojca, błagałaby strażaka, żeby zrobił co w jego mocy najszybciej jak się da. Wprawdzie Julie Andrews nie zniżyłaby się do błagania, ale Harper nie była ponad tym.

- Dobrze. Porozmawiam z Johnem. Zobaczę, czy zgodzi się przyspieszyć całą akcję.

Carol odgarnęła z czoła kosmyk czarnych włosów.

- John John John John John John John John. Jeśli nie spieszy mu się, żeby pomóc mojemu ojcu, będę musiała go pogonić.

- Nie robi tego celowo. Ma złamane zębra - wyjaśniła Harper.

Carol pokiwała głową ze współczuciem.

- Tak. Tak, oczywiście, John musi odpocząć. Nie chcę, żeby mu przeszkadzano. Nie potrzebujemy go. Siostrzo Willowes, proszę sporządzić dla Bena listę wszystkich rzeczy, dzięki którym zapewnimy mojemu ojcu jak najlepszą opiekę.

- To się nie uda. Muszę jechać z nimi.

- O, nie. Co to, to nie. To miłe i odważne z twojej strony, że chcesz im towarzyszyć, ale potrzebuję cię do opieki nad moim ojcem. Nie możemy ryzykować, że coś ci się stanie.

- Obawiam się, że będziecie musieli mnie wziąć. Ben będzie miał najwyżej pięć minut. Chcesz, żeby stracił ten czas, próbując odszyfrować farmakologiczne skróty na butelkach? Ja bym nie ryzykowała, gdyby w grę wchodziło życie mojego ojca. - Harper wykorzystwała przeciwko Carol jej własną broń i spojrzała na nią, żeby zobaczyć reakcję.

Carol posłała jej nienawistne spojrzenie.

- Mój ojciec potrzebuje czegoś więcej niż dobrych lekarstw. Potrzebna mu dobra pielęgniarka - odparła. - Jedno bez drugiego na niewiele się zda. Dlatego wracaj cało.

Harper nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Cała ta rozmowa była pełna niezrozumiałych dla niej aluzji i sugestii, które wcale jej się nie podobały.

- Ben - rzuciła Carol - chciałabym omówić z tobą plan działania. Chcę wiedzieć wszystko. Kogo weźmiesz z sobą. Jak wygląda Verdun Avenue. Wszystko. Siostrzo... - zerknęła na Harper - mam nadzieję, że sama trafisz z powrotem do sali chorych.

Harper była zaskoczona, że tak po prostu pozwalają jej odejść bez nadzoru. Poniekąd czuła się tu jak więzień; od Gilberta Cline'a różniło ją tylko to, że miała ładniejszą celę. Przyszła do Domu Czarnej Gwiazdy pod strażą i spodziewała się, że tak samo opuści to miejsce.

W głębi duszy miała ochotę wyjść, zanim Carol zmieni zdanie i wyśle z nią Mindy albo którąś z czekających na zewnątrz czujek. Wracając do sali chorych, planowała nadłożyć trochę drogi. Postanowiła jednak zaczekać i nerwowo bawiła się czarnymi guzikami kurtki. Koniec końców musiała przecież poruszyć jeszcze jedną kwestię.

- Carol... miałam nadzieję, że będziemy mogły porozmawiać o Allie.

Od kilku dni chodzi po obozie z kamykiem w ustach, bo wierzy, że jest coś, za co musi odpokutować. Myślę, że po części robi to, bo cię podziwia. I próbuje ci zaimponować. Chce, żeby wszyscy wiedzieli, jak bardzo jest im oddana. Nie możesz tego zakończyć?

- Nie - odparła Carol. - Ale ty możesz.

- Oczywiście, że możesz. Powiedz jej, że dość się już ukarała. Jesteś jej ciotką. Ona cię kocha. Posłucha cię. Odpowiadasz za nią. Musisz coś zrobić, zanim będzie miała zapaść.

- Wszyscy tu jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem. - Głos Carol był irytująco spokojny. - Jesteśmy jak domek z kart. Jeśli choćby jedna karta zadrży, cała konstrukcja się rozsypie. Właśnie to chce ci powiedzieć Allie. Nosi w ustach twój kamyk. Tylko ty możesz go stamtąd wyciągnąć.

- To dziecko i zachowuje się jak dziecko. To twoim obowiązkiem jest zachowywać się jak dorosła.

- Moim obowiązkiem jest czuwanie nad bezpieczeństwem stu pięćdziesięciu zdesperowanych osób. Chronienie ich. Dbanie o to, by nie spłonęli żywcem. Poniekąd ja również jestem pielęgniarką. Muszę chronić ten obóz przed infekcją rozpacz i egoizmu. Muszę chronić nas przed sekretami, które potrafią być jak rak. Przed nielojalnością i niezadowoleniem, które trawią ludzi jak gorączka. - Carol wyprostowała się w fotelu, a jej wilgotne oczy zaślnęły niezdrowym blaskiem. - Odkąd mój ojciec zaniemógł, staram się być dla tych ludzi wszystkim, czego potrzebują. Wszystkim, na co zasługują. Mój ojciec chciał, żeby obóz Wyndham był dobrym miejscem dla ludzi, którzy nie mają dokąd pójść. Ja również tego chcę. Chcę, żeby to miejsce było dobre... a uważam, że jest najlepsze, kiedy wszyscy opiekujemy się sobą nawzajem. Mój tata też tak uważał. - Splotła ręce i ścisnęła między kolanami. - Razem jesteśmy silniejsi, Harper. Jeśli nie jesteś z nami, jesteś zupełnie sama. A wierz mi, w dzisiejszych czasach samotność nie jest niczym dobrym. - Harper zobaczyła w jej wzroku współczuje. - Nie rozumiesz?

Harper szła ledwie zauważalną ścieżką pod zasnutym chmurami niebem.

W którąkolwiek stronę odwróciła głowę, czuła na twarzy płatki śniegu. Wiał porywisty wiatr. Gdzieś w mroku skrzypnęło drzewo. Deski kołysały się i uginały pod jej stopami, przez co posuwała się wolno, starając się nie stracić równowagi.

Kiedy Dom Czarnej Gwiazdy zniknął za jej plecami, zatrzymała się w mroźnej, przesyconej zapachem sosen ciemności. Jeszcze dwieście kroków, i dojdzie do leśnej dróżki prowadzącej na kamienistą plażę i dalej, na przystań. Mogła w dziesięć minut dopłynąć na wyspę i powiedzieć Johnowi, że akcja z ambulansem odbędzie się jutro, powiedzieć mu, że...

Kątem oka dostrzegła biegnącą wśród sosen dziecięcą sylwetkę, odwróciła głowę i zobaczyła, że to nie dziecko, lecz gnany wiatrem śnieg.

Łup!

Śnieżka trafiła ją w bok głowy, ale Harper zrobiła jeszcze dwa kroki, zanim dotarło to do niej. Nie była świadoma, że zatoczyła się w bok, a prawe kolano ugięło się pod nią, dopóki nie uklękła na śniegu.

Tym razem na czas dostrzegła nadlatujący śnieżny pocisk i zasłoniła się ramieniem. Siła, z jaką ciśnięto śnieżkę, sprawiła, że zapiekła ją skóra. Igiełki bólu wbiły się od łokcia aż po nadgarstek. Śnieżka dosięgła celu i rozsypała się. Ukryty w jej wnętrzu cętkowany, biały kamyk upadł na śnieg wprost pod nogi Harper.

Zza drzew po obu stronach ścieżki wyskoczyły ze śmiechem dziewczęta. Wydało jej się, że widzi śnieżkę, która leci wprost na jej brzuch, opuściła więc ramiona, żeby go zasłonić, i poczuła bolesne pieczenie na szyi, a zaraz potem odrętwienie.

Otoczyły ją.

Woda w ich oczach zamarzła i zmieniła się w lód. Ich twarze były nieruchome, białe i pozbawione wyrazu, jakby atakowały ją manekiny

ze sklepowej wystawy.

Jedna z nich natarła od tyłu i pchnęła ją. Harper przewróciła się na bok.

- Proszę, dziewczynki, uważajcie - wydyszała. - Jestem w ciąży. Nie zamierzam się z wami bić.

- Wybielanie, wybielanie! - zanucił ktoś głosem, który do złudzenia przypominał głos jedenastoletniej Emily Waterman.

Czyjaś dłoń w rękawiczce chwyciła ją za włosy, druga zgarnęła z ziemi śnieg i natarła nim twarz Harper. Któraś z dziewcząt zaniósła się piskliwym śmiechem.

Kiedy Harper otarła śnieg z twarzy, zobaczyła przed sobą twarz Tyriona Lannistera z Gry o tron. Patrzył na nią z obojętnym niedowierzaniem taniej plastikowej maski. On... nie, ona, za maską bowiem kryła się dziewczyna, wyciągnęła rękę, na której leżał płaski, biały kamyk.

- Zjedz go - odezwał się głos zza maski. - Zjedz go, dziwko.

- Zmuś ją - zachęcał inny głos.

- Zjedz go, zjedz go, zjedz go — skandowały chórem.

Leżała na boku w śniegu; jedną ręką zakrywała brzuch, przyciskała do ziemi. Dziewczyna, która trzymała ją za włosy, szarpnęła raz, a zaraz potem drugi - tym razem mocniej.

Harper otworzyła usta i trzymała je otwarte, jak dziecko, któremu lekarz zagląda do gardła. Tyrion Lannister wepchnął jej do ust kamyk: zimny i płaski.

Stojąca dwa kroki dalej Kapitan Ameryka w milczeniu obserwowała rozwój wydarzeń. Harper wbiła wzrok w Allie, aż oczy zaszyły jej łzami, a obraz się rozmazał.

Usłyszała dźwięk, jakby ktoś darł na pasy stare prześcieradło. Ręka, która trzymała ją za włosy, szarpnięciem zmusiła ją, żeby odchyliła głowę. Druga ręka zakryła jej usta, a czyjś kciuk docisnął jej do skóry szeroką taśmę izolacyjną.

- Pół godziny - oznajmiła ta, która trzymała ją za włosy. - Masz trzymać go w ustach przez pół godziny. A teraz wstawaj. I uklęknij.

Harper została podniesiona z ziemi. Dziewczyny przytrzymały jej ręce za plecami i chwilę później znów usłyszała dźwięk dartej taśmy, kiedy jedna z nich urwała kawałek taśmy do

skrępowania jej rąk.

- Eeko - jęknęła Harper, prosząc je, żeby uważały na dziecko. Nie miała pojęcia, czy którakolwiek ją zrozumiała.

Dwie dziewczyny tańczyły razem, wirując i trzymając się za ręce: jedna miała na twarzy maskę Obamy, druga Donalda Trumpa. Przez cały czas Kapitan Ameryka stała między dwoma jodłami, nieruchoma niczym sowa.

Światła latarek płąsały na gałęziach drzew niczym rój złocistych rozbłysków. Harper musiała spojrzeć jeszcze raz, zanim dotarło do niej, że żadna z nich nie ma latarki. To one lśniły, kiedy tak śmiały się, podskakiwały, wzbijając dookoła tumany śnieżnego puchu. Emanowały światłem jak w kaplicy podczas wspólnego śpiewania. Lśniły dla siebie nawzajem, a błyszczące hieroglify na ich skórze sprawiały, że światło wylewało się spod rękawów kurtek i rozpiętych kołnierzy.

A zatem istniały inne sposoby, żeby dołączyć do Światłości. Można było śpiewać w chórze albo być częścią plutonu egzekucyjnego: najwyraźniej oba w równym stopniu zaspokajały potrzeby smoczej łuski. Zbiorowy gwałt był równie dobry jak gospel.

Harper usłyszała szcęk nożyc. Kosmyki jej złocistych włosów spadły na śnieg.

- Ha, ha! Ha, ha! - śmiała się najmniejsza z napastniczek; Harper domyślała się, że to Emily Waterman. - Zetnijcie je, zetnijcie je, zetnijcie je! - Bełkotała jak pijana.

Wiatr westchnął niechętnie niczym kochanek, który uświadamia sobie, że czas się rozstać. Kolejne kosmyki spadały na ziemię przy wtórze metalicznego szcęku nożyczek.

- I jak smakuje kamyk? - spytała jedna z dziewcząt. - Założę się, że nie tak dobrze, jak kutas strażaka.

- Czy dźwięk nożyczek nie jest seksowny? - Głos należał do dziewczyny, która ścinała jej włosy. Ciachnęła nimi tuż przy uchu Harper. - Aż przechodzą mnie dreszcze. Obcinanie ci włosów jest tak przyjemne, że aż żal, że nie masz ich więcej. Szkoda, że muszę już przestać. Może następnym razem utnę ci coś innego. Musisz się zdecydować: jesteś z nami czy przeciwko nam. Zamierzasz lśnić razem z nami czy wcale. Chcesz usłyszeć moją poradę lekarską? Zalecam

zmianę twojego zdzirowatego nastawienia.

Lśniły wszystkie... z wyjątkiem Allie. Ta zrobiła krok do przodu i wydała z siebie żalony, stłumiony dźwięk, ale kiedy Harper podniosła na nią wzrok, dziewczyna zawahała się i zamarła. Podniosła nawet rękę, jakby się spodziewała, że Harper poderwie się z ziemi, uwolni ramiona i ją uderzy.

Harper pomyślała, że lada chwila któraś z nich zamachnie się i kopnie ją w brzuch, tak po prostu dla zabawy. Najwyraźniej sytuacja wymknęła się spod kontroli i dziewczyny nie wiedziały, co robią. Może już zapędziły się dalej, niż planowały. Może miały tylko obrzucić ją śnieżkami i uciec. Zapomniały, kim są. Zapomniały, jak mają na imię, jak brzmiały głosy ich matek i jak wyglądały oblicza ich ojców. Pomyślała, że niechcący mogą ją zabić. Rozciąć jej gardło nożyczkami. W Światłości wszystko wydawało się takie dobre, takie właściwe. Człowiek nie chodził. Człowiek tańczył. Świat pulsował w rytm tajemnej pieśni, a ludzie byli gwiazdami w swoim własnym barwnym musicalu. Krew tryskająca z tętnicy szyjnej wyda się im równie piękna jak syjące czerwonymi iskrami zimne ognie.

Dziewczyna, która przez cały czas stała za jej plecami, pchnęła ją na śnieg. We wnętrzu Harper drżała bańka potężnych, niebezpiecznych emocji; leżała bez ruchu, w obawie, że zaraz pęknie. Nie chciała się przekonać, co to za emocje... smutek, strach, czy może najgorsza ze wszystkich: poddanie się.

Dziewczyny, jedna po drugiej, tańczyły wokół i sypały jej w twarz śniegiem, zmuszając ją, żeby zamknęła oczy.

Stały nad nią, szepcząc. Nie miała odwagi na nie spojrzeć, bała się zobaczyć nad sobą krąg zamaskowanych twarzy. Paplały bez końca, ściszonymi, syczącymi, bełkotliwymi głosami. Ciałem Harper wstrząsnęły dreszcze. Dżinsy miała mokre, bolały ją nadgarstki, a twarz piekła ją i szczypała od śniegu.

W końcu uchyliła powieki i mrużąc oczy, rozejrzała się. Szepty nie cichły, ale dziewczęta zniknęły. Głos, który słyszała, był w rzeczywistości wiatrem, który uciszał sosny.

Przez chwilę wierciła się na śniegu, próbując uwolnić nadgarstki. Taśmę, którą ją skrepowano, przyklejono nie do skóry, lecz do rękawiczek i niebawem zdołała uwolnić jedną dłoń. Zaraz potem

ściągnęła drugą rękawiczkę i cisnęła obie - nadal zlepione taśmą - na śnieg. Znalazła końcówkę taśmy, która kneblowała jej usta, i zdarła ją jednym szarpnięciem. Razem z taśmą zdarła sobie kawałek skóry z górnej wargi.

Wypluła kamyk na ziemię. Był różowy od krwi.

Kiedy się podniosła, zakręciło jej się w głowie i żeby nie upaść, musiała oprzeć się o drzewo. Szła od pnia do pnia, niczym dziecko, które uczy się chodzić i stawiając pierwsze kroki, opiera się o meble. Dotarła do dróżki prowadzącej na przystań i zaczęła schodzić w dół zbocza. Zrobiła może dwanaście kroków, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła.

- Siostrzyczko Willowes?! - krzyknął Nelson Heinrich. - Dokąd idziesz? Droga do sali chorych jest tu.

Stał na deskach razem z Jamie Close. Jamie była ubrana tak samo jak wtedy, gdy Harper widziała ją ostatni raz: w pomarańczowe spodnie narciarskie i puszystą, ciemnopopielatą parkę. Zmieniło się tylko to, że nie miała już na twarzy maski Hulka.

- Tam w dole śnieg sięga ci do szyi. Może zawrócisz, zanim zostaniesz pogrzebana żywcem? - Twarz Nelsona była zaczerwieniona z zimna, a jego uśmiech odsłaniał dwa przednie zęby.

Oddech Harper uleciał z jej ust białą mgiełką. Kiedy oblizwała wargi, poczuła krew.

Zrobienie dwudziestu kroków zajęło jej prawie pięć minut; brodziła w śniegu, który sięgał do pasa, i czuła, jak wsypuje się jej do butów.

- Jamie i ja mieliśmy właśnie zmienić czujki przy chacie Matki Carol! Dobrze, że pojawiliśmy się w samą porę i zdążyliśmy cię zawrócić. - Wyciągnął ręce, żeby pomóc jej wejść na deski. Ściągnął brwi, ale patrzył na nią rozbawionym wzrokiem. - No i spójrz tylko na te ślady! Mamy tu pewne reguły! Jedna z nich brzmi: nie schodzimy ze ścieżek! Możemy przenosić deski, ale ślady przez to nie znikną. A jeśli trafi tu łowca? Jezu, gdyby nas znaleźli, odesłaliby nas do Concord! Zakładając, że najpierw by nas nie powystrzelali! Zbacząc z drogi, narażasz cały obóz na niebezpieczeństwo! Pan Patchett i Matka Carol wyrazili się na ten temat niezwykle jasno. Godzina z kamieniem w ustach przypomni ci o twoich obowiązkach.

Jamie Close wyszła zza jego pleców i wyciągnęła rękę; na otwartej

dłoni dziewczyny spoczywał biały kamyk. Uśmiechała się, pokazując wyszczerbiony ząb.

Harper wzięła kamyk i posłusznie włożyła go do ust.

Prowadzono ją jak więźnia między drzewami. W drodze do obozu Nelson szedł pierwszy, Jamie zamykała pochód z bronią na ramieniu i obciętym kijem od szczotki. Harper nic nie czuła, o niczym nie myślała. W jej głowie nie pojawiła się żadna myśl, był tylko kamyk.

Zdziwiła się, że nie przeszkadza jej to tak, jak się tego obawiała. Zaczęła wierzyć, że z czasem może znaleźć w tym pocieszenie. Kamyk sprawiał, że czuła spokój, miała ochotę medytować. Był źródłem ciszy - zarówno tej wewnętrznej, jak i tej rzeczywistej.

Skupiał na sobie całą jej uwagę, przynosząc ulgę i wytchnienie, bo to, o czym zwykle myślała, nie dawało jej spokoju: czy utrzyma przy życiu Ojca Storeya, czy sama utrzyma się przy życiu, co zrobi, jeśli dziecko przyjdzie na świat naznaczone smoczą łuską, co się stanie, jeśli stres wywoła przedwczesny poród.

Kamyk przegnał z jej umysłu wszystkie te myśli i przemknęło jej przez głowę, że gdyby wiedziała, jakie to proste, nie stawiałaby tak wściekłego oporu. Uzmysłowała sobie, że w głębi duszy zawsze wiedziała. Zawsze rozumiała, że posłuszeństwo przyniesie jej ulgę, i właśnie dlatego tak bardzo się przed tym broniła. Czuła, że jeśli podda się ten jeden jedyny raz, następny raz będzie dużo łatwiejszy.

Wyszli z lasu nieopodal kaplicy. Podwójne drzwi stały otworem i ludzie wychylali się, żeby zobaczyć Harper. Była pewna, że większość z nich wie, co się stało.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na nich zimnym, nieobecnym, spojrzeniem, bez cienia wstydu, i poczuła zadowolenie, widząc, że niektórzy cofnęli się, szukając schronienia pośród cieni. Większość dzieciaków stała jednak niewzruszona. Kara wymierzana innym intrygowała je i była dla nich źródłem ogromnej satysfakcji.

Allie, która przechadzała się u dołu schodów, na widok Harper znieruchomiała.

- Nie zatrzymuj się, siostró - warknęła Jamie.

Allie zaczęła, aż Harper ją minie, i nie mogąc się powstrzymać, rzuciła się za nią pędem, brnąc po kolana w śniegu.

- Allie, masz dziś wartę na wieżycze kościoła! - zawołał za nią Nelson Heinrich. - Wracaj na posterunek!

Dziewczyna go zignorowała.

- Harper. Chcę, żebyś wiedziała, że nie chciałam...

Ale Harper wypluła kamyk na dłoń, odchrząknęła i gęstą śliną splunęła Allie prosto w twarz. Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby ktoś wymierzył jej siarczasty policzek.

Jamie uderzyła Harper w tył głowy pięścią albo kijem od szczotki - Harper nie była pewna.

- Masz trzymać kamyk w ustach! - zaskrzeczał Nelson. - I ma tam pozostać aż do wschodu słońca!

Harper przez cały czas wpatrywała się w Allie. Na ściągniętej twarzy dziewczyny malował się ból i niedowierzanie, łzy napłynęły jej do oczu. Harper patrzyła na nią do chwili, gdy pierwszy szloch wstrząsnął ramionami nastolatki. Dopiero wtedy włożyła kamyk z powrotem do ust i podjęła przerwany marsz.

Księga szósta

Feniks

LUTY

1

Z dziennika Harolda Crossa:

10 sierpnia

Uwielbiają śpiewać dawne hymny. Niemal co noc muszę wysłuchiwać *Cudowną bożą łaskę*, a Carol przebiera palcami po klawiaturze, jakby myślała, że jest Rayem Charlesem. Coś wam powiem: nie ma ani łaski, ani Boga, a ja jestem tego najlepszym przykładem. Gdyby czuwał nad nami dobry, łaskawy duch, w wieku dwudziestu pięciu lat nie byłbym prawiczkim. Być może jestem jedynym białym Amerykaninem powyżej osiemnastego roku życia, który nie wykorzystał apokalipsy, żeby naraić sobie jakąś cipkę.

Allie Storey kleiła się do mnie przez dwa tygodnie -praktycznie na mnie włożyła. Siedziała ze mną w kaplicy. Prosiła, żebym „pomagał” jej w kuchni, kiedy nikogo tam nie było, po to tylko, żebyśmy mogli pobyć sami. Chlapała mnie wodą, żebym ja pochlapały, i pozwalała mi patrzeć na swoje balony pod mokrym podkoszulkiem. Myślałem, że może potrzebuje towarzystwa, bo umarła jej matka. Jak już pisałem, mogłem skorzystać na jej stracie: śmierć bliskiej osoby działa jak naturalny afrodyzjak. To logiczne, że liczyłem na to, że mój kutas pomoże jej poradzić sobie z problemami.

Teraz uważam, że Allie pogrywa ze mną w jakieś pieprzone gierki. Może udawała, że mnie lubi, żeby sprawić frajdę pozostałym

dziewczynom - może założyły się o to, jak długo będzie wodzić mnie za nos, ile razy doprowadzi mnie do punktu wrzenia i zostawi ze sterczącą pałą. W końcu po tygodniach bawienia się w podchody postanowiłem posunąć się o krok dalej, a ona zachowuje się, jakbym próbował ją zgwałcić.

„Jezu, ale z ciebie palant. Nie wiesz, że istnieje coś takiego jak przyjaźń?” - pyta.

„Jasne - mówię. - Bądźmy przyjaciółmi. Niech mój kutas zaprzyjaźni się z twoją piczką”.

Odepchnęła mnie tak mocno, że okulary spadły mi na podłogę, a ona wychodząc, zmiażdżyła je pod podeszwą buta. No i teraz praktycznie nie widzę.

Szkoda, że nie było mnie w chacie, kiedy spłonęła jej matka. Żałuję, że obie nie spłonęły. Szkoda, że całe to miejsce nie poszło z dymem.

To upalne, zakurzone więzienie, w którym wszyscy gapią się na mnie przez cały czas, ale dzięki rozkwitającej przyjaźni z juniorem znalazłem sposób, żeby praktycznie codziennie wyrwać się z tej nory. Ten człowiek to magik. Za każdym razem, gdy odwiedzam chatę, zadaję sobie pytanie: po jaką cholere siedzę w obozie Wyndham? Nie tylko mam tu generator i internet, ale i masę żarcia. Każdy kęs smakuje wyjątkowo, bo wiem, że nikt w obozie nie ma tego co ja.

Dostałem maila z San Francisco: dokonał się wielki przełom w badaniu nad płucami zainfekowanych. W Presidio mają 2000 ludzi, którzy chorują na *Draco incendia trichophyton* od trzech miesięcy albo dłużej, i dziewięciu pacjentów wykazuje takie same zdolności, jakimi może pochwalić się strażak: ograniczoną odporność na oparzenia, umiejętność podpalania się na zawołanie, zdolność kontrolowania płomieni. W środowisku medycznym ludzie ci znani są jako „pyromanci”. Istnieje podejrzenie, że wszyscy pyromanci - a także ci, którzy chorują od dawna - potrafią znieść ilość dymu śmiertelną dla innych ludzi.

Oczywiście nie od dziś wiemy, że zarodniki „zjadają” dwutlenek węgla, a wydzielają tlen. Ale w przypadku przewlekle chorych spory powlekają w końcu części mózgu odpowiedzialne za kontrolę oddychania (rdzeń przedłużony). Wstępna teoria głosi, że kiedy żywiciel zaczyna dusić się dymem, mózg wydaje smoczej łusce w

płucach polecenie, żeby pracowała na najwyższych obrotach, wchłaniała toksyny i produkowała czyste powietrze. Moim zdaniem bardziej adekwatną nazwą dla *Draco incedia trichophytona* byłby „wirus Nietzschego”, bo jeśli cię nie zabije, to cię wzmocni.

Pracuję nad nowym wierszem:

*Allie Storey to dziwka plugawa,
gorsza nawet niż zaraza,
co od dymu płuca jej chroni,
choć powinna zdechnąć w agonii.*

Tak, wiem. Kiepskie to.

Dzięki Bogu, że mam swoją chatę i internet, gdzie wciąż jest mnóstwo pornosów. Zaczęli nawet kręcić pornole z chorymi! Od samego patrzenia robi się człowiekowi gorąco. Ha, ha! Załapaliście? ZAŁAPALIŚCIE?

Dodge challenger ciął noc z łatwością, która przywodziła na myśl odrzutowiec nabierający prędkości na końcu pasa startowego. Harper pierwszy raz jechała radiowozem. Posadzono ją z tyłu, tam gdzie zwykle sadzano aresztowanych. Poniekąd ma to sens, pomyślała.

Siedziała wciśnięta między Nelsona Heinricha i Mindy Skilling. Mindy gapiała się na nią i jej nową fryzurę wilgotnym, współczującym wzrokiem. Harper udawała, że tego nie widzi. Od czasu do czasu Nelson pogwizdywał kilka taktów *I'd Like to Buy the World a Coke*. Jego także ignorowała.

Ben siedział za kółkiem, a Jamie Close na fotelu pasażera z bushmasterem na kolanach. Karabin został wyjęty z bagażnika, podobnie jak śrutówka kalibru .410, którą Ben wręczył Nelsonowi. Ten trzymał ją między kolanami z lufą wycelowaną we własny podbródek. Za każdym razem, gdy challenger podskakiwał na wyboju, Harper wyobrażała sobie, że broń wypala z ogłuszającym hukiem, a mózg Nelsona rozpryskuje się na podsufitce.

Z nich wszystkich ona jedna nie miała broni. Nie dziwiło jej to. Może nie byli pewni, przeciwko komu mogłaby jej użyć.

- A jeśli okaże się, że znasz gliniarzy, którzy przyjadą z karetką pogotowia? - zapytał Nelson. - Przez lata pracowałeś policji w Portsmouth, musisz znać tam wszystkich!

- Jestem pewien, że będzie to ktoś znajomy — odparł Ben.

- A jeśli nie zgodzą się oddać ambulansu? Jeśli to twoi kumple, ludzie, z którymi chodziłeś na drinka, to będą się spodziewali, że nie zaczniesz do nich strzelać.

- Jeśli mnie znają, będą wiedzieli, że nigdy nie blefuję.

Nelson rozsiadł się wygodnie i pokiwał głową ze spokojem.

- Zresztą nie warto się tym przejmować - rzucił. - W końcu to nie moi kumple. Jeśli będziesz się wahał, wiesz, że możesz na mnie liczyć. - Znowu zaczął pogwizdywać *I'd Like to Buy The World a Coke*.

- Trzymajcie się - bąknął Ben, ale nagle odezwała się Jamie Close.

- Panie Patchett, czy tam po lewej to nie Verdun Avenue? Lepiej, żebyśmy zjechali gdzie trzeba.

- Święta prawda - mruknął Ben. - Odkąd nie ma prądu, wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Byli trzy kilometry od obozu i przez całą drogę nie widzieli ani jednego samochodu. Na ulicach zalegała warstwa świeżego śniegu. Lampy uliczne stylizowane na latarnie gazowe stały przy chodnikach, ale żadna się nie paliła. Jedynym światłem był odbity od śniegu niebieskawy blask księżyca.

Wjechawszy w Verdun Avenue, minęli zgliszcza drogerii CVS, posępne betonowe pudełko z prostokątnymi dziurami zamiast okien. Harper patrzyła na nie jak na miejsce zbrodni. Budynek spłonął, a popiół niczym zatruty śnieg unosił się na wietrze, osiadając na głowach i skórze ludzi i podstępem pozbawiając ich życia.

Verdun Avenue była krótką, boczną uliczką, przy której okazałe budynki w stylu kolonialnym mieszały się - z pozoru Przypadkowo - ze skromnymi parterowymi domkami rodem z lat sześćdziesiątych. Zwolnili przed domem z gontami z drewna cedrowego i sięgającym pasa żywopłotem. Ben zawrócił i zaparkował challenger w parku.

Sięgnął ponad kolanami Jamie, otworzył schowek i wyciągnął coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak przerośnięta śnieżna kula. Ustawił ją na desce rozdzielczej i włączyć czerwono-niebieskie światło zmieniło ulicę we wnętrze flippera

Odwrócił się i spojrzął na tylne siedzenie.

- Nelson, będziesz stał tam, za żywopłotem - nakazał. - Nie wychylaj się. Kiedy Mindy zadzwoni, ona i siostra Willowes ukryją się na tylnym siedzeniu. Jamie, ty i ja powitamy gości. Ty zostań na fotelu pasażera i postaraj się wyglądać jak gliniarz. Ja zaczekam na drodze. Zobaczą światła i wysiądą, żeby sprawdzić, co się stało. Każę im paść na ziemię z rękami na głowie. To będzie sygnał dla ciebie, Nelson. Masz zacząć gwizdać, żeby wiedzieli, że są zamknięci z obu stron. Jeśli pomyślą, że są otoczeni, nie będą sprawiać kłopotów. W bagażniku są dwa worki marynarskie i lodówka styropianowa z lodem na wszystko, co musi być przetrzymywane w niskiej temperaturze. Mindy i Harper wezmą, co się da, a my będziemy kontrolować sytuację. - Ben spojrzął na Nelsona i Jamie, na obojgu zatrzymując wzrok. - Tych, którzy przyjadą,

będziemy traktować z szacunkiem i zrozumieniem. Żadnych wrzasków. Żadnego przeklinania. Żadnego „Na ziemię, kurwa, albo odstrzelimy wam te pieprzone łby!”. Zrozumiano? Jeśli zachowamy spokój, oni też będą spokojni. - Zerknął na Mindy. - Gotowa? Wiesz, co masz mówić?

Dziewczyna skinęła głową; twarz miała poważną jak dziecko, któremu właśnie powierzono sekret.

- Gotowa - odparła.

Przednie siedzenia od tylnych oddzielała solidna krata, jednak Ben przecisnął telefon przez wąską szparę pośrodku. Mindy włączyła aparat i ekran ożył, zalewając wnętrze samochodu bladym światłem. Kiedyś, pomyślała Harper, gładka szklana powierzchnia była niczym wysłannik przyszłości. Teraz nie było na świecie przedmiotu, który bardziej kojarzyłby się z przeszłością niż telefon komórkowy.

Mindy wzięła głęboki oddech, przygotowując się do wykonania połączenia. Twarz miała ściągniętą z emocji albo na wspomnienie głębokiego smutku. Zaraz potem zadzwoniła pod 911.

- Tak? Tak? Nazywam się Mindy Skilling - wydyszała drżącym głosem, starając się stłumić szloch. - Jestem na Verdun Avenue. Dziesięć. Verdun Avenue. Proszę... potrzebna jest karetka. Myślę, że mój tata ma zawał. - Po jej policzku potoczyła się samotna łza, strużka jasności. - Dzwonię z komórki. Linia naziemna nie działa od tygodni. Ma sześćdziesiąt siedem lat. Leży na podłodze w salonie. Kilka minut temu zwymiotował. - Pełna napięcia cisza. - Nie, nie ma mnie przy nim. Musiałam wybiec przed dom, żeby złapać zasięg. Czy ktoś przyjedzie? Przyślecie karetkę? Proszę, przyślijcie kogoś.

Harper słyszała niewyraźnie głos po drugiej stronie: nosowy jak głosy dorosłych w filmowej wersji *Fistaszków*.

- Nie. Oboje jesteście zdrowi. Normalni. Nie pozwalamy nikomu zbliżyć się do domu. Tata nie pozwala mi wychodzić na dwór. Właśnie o to się pokłóciliśmy, kiedy... o Boże. Krzyczałam do niego. Chciał wyjść z pokoju, ale ja szłam za nim i suszyłam mu głowę, a on trzymał się za kark i... O Boże, jestem taka głupia.

Harper zobaczyła łzy w oczach Nelsona, który przysłuchiwał się rozmowie w nabożnym skupieniu.

- Proszę, przyjedźcie. Pospieszcie się. Nie pozwólcie mu umrzeć. Verdun Avenue dziesięć. Proszę, proszę, pro... - Mindy gwałtownie

wcisnęła przycisk kończący rozmowę.

Otarła oczy kciukiem, rozmazując na policzkach łzy. Pociągnęła nosem - był to mokry, stłumiony dźwięk - a na jej twarz powrócił wyraz słodkiej bezmyślności. Oddała telefon Benowi.

- Zawsze byłam dobra w płakaniu na zawołanie - pochwaliła się. - Zadziwiające, jak bardzo przydaje się to w pracy. Człowiek może grać w reklamach firm ubezpieczeniowych. Środków dla alergików. Spotach promujących Dzień Matki.

- Byłaś świetna. - Głos Nelsona drżał z emocji. - Mało brakowało, a sam bym się rozplakał.

Mindy znów pociągnęła nosem i otarła rękami różowe policzki.

- Dziękuję.

Ben skinął głową na Jamie.

- Teraz nasza kolej. Chodź, zrobmy, co do nas należy.

Kiedy wysiedli z samochodu, Jamie uchylila tylne drzwi dla Nelsona, a gdy i on wysiadł, zatrzasnęła je. Gdyby zginęli w ciągu kolejnych kilku minut, Harper i Mindy Skilling zostałyby uwięzione w policyjnym radiowozie. Mindy przynajmniej miała broń, małą, powlekaną srebrem dwudziestkędwójkę. Jeśli umiała strzelać równie dobrze, jak udawała zrozpaczoną córkę, Harper pomyślała, że może nawet uda się im ujść z życiem.

- Płkanie jest proste - ciągnęła Mindy. Harper nie sądziła, że mówi do niej. Wyglądało to tak, jakby zwracała się do pustego samochodu, jakby nie zauważyła, że inni wysiedli. -Przynajmniej dla mnie. Trudniej udawać szczęśliwą; śmiać się, jakby człowiek naprawdę się cieszył. Ale najtrudniej jest umierać na oczach publiczności. Raz musiałam zagrać scenę śmierci jako Ofelia... To było najgorsze pięć minut na scenie. Słyszałam, jak ludzie podśmiewają się ze mnie. Przed końcem sztuki żałowałam, że naprawdę nie umarłam.

Harper śledziła wzrokiem Bena i Jamie, którzy celowo stanęli przed maską samochodu, żeby reflektory oświetlały ich od tyłu. Dom pod numerem dziesiątym znajdował się za grubym murem przysypanego śniegiem żywopłotu, który sięgał Nelsonowi do piersi. Ben machnął ręką, pokazując „bardziej na prawo, jeszcze trochę”, i kazał mu się zatrzymać mniej więcej w połowie żywopłotu.

Spojrzała na Nelsona i na dom, w którym strażak mieszkał kiedyś z

Allie, Nickiem i tamtą martwą kobietą. Za drewnianym płotem z uchyloną furtką widać było kawałek pustego basenu.

Próbowała sobie wyobrazić Johna i pozostałych siedzących przy stole. Nicka wyciskającego sos musztardowy do hot doga. Allie sięgającą po paczkę chipsów. Szelest plastiku. Oczami wyobraźni zobaczyła Toma i Carol Storey, siedzących naprzeciw siebie z planszą scrabli leżącą na stole, i usłyszała stukot płytek, gdy Tom układał kolejne hasło. Nietrudno było wyobrazić sobie zapach hamburgerów na grillu zmieszany z ostrą wonią chlorowanej wody. I nagle... Potężny huk, gdy eksplodowały pierwsze butle z gazem w drogerii CVS. John, który odwraca się od grilla z łopatką w jednej ręce, Sarah wynurzająca się z wody i zastygająca bez ruchu w płytszej części basenu... i Harper przyłapała się na tym, że myśli o Sarah Storey w basenie. Że myśli o chlorze.

- Jakie to ekscytujące! - pisnęła Mindy, pochylając się. Jej duże, wilgotne oczy błyszczały w ciemności.

- Tak?

- Tak - potwierdziła dziewczyna. - Zawsze chciałam zagrać w scenie napadu z bronią w rękę.

Harper usłyszała wycie syreny. Niebieskie i srebrzyste światła zmieniły ulicę w zimową dyskotekę. Zza rogu wyjechał radiowóz i niespiesznie potoczył się w ich stronę.

Ben wyszedł mu na spotkanie, podnosząc rękę w powitalnym geście. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadł mężczyzna w mundurze policjanta. Jego partnerka, przysadzista kobieta, siedziała na miejscu pasażera z laptopem na kolanach. Emanujący z ekranu blask oświetlał wnętrze radiowozu.

Gliniarz, który prowadził, stanął przed maską i przesłonił dłonią oczy. Był niskim facetem z rzednącymi, siwymi włosami i okularami w złotych oprawkach, które spoczywały na czubku nosa. Widząc go, Harper pomyślała, że wygląda jak księgowy, a nie jak policjant.

- Ben Patchett? - Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Hej, chyba nigdy nie widziałem cię w...

Nagle mina mu zrzędała, w oczach pojawiło się przerażenie. Odwrócił się i rzucił biegiem do samochodu, podzwaniając przypiętymi do pasa kajdankami.

- Bethann! Bethann, połącz się z...! - krzyczał.

Jamie Close sięgnęła po oparty o maskę dodge'a karabin Bushmaster.

Ben pochylił głowę i zrobił cztery szybkie kroki w stronę radiowozu; nie miał zamiaru przecinać drogi gliniarzowi, który wyglądał jak księgowy. Zatrzymał się przed maską i podszedł do drzwi od strony pasażera.

- Hej! - krzyknęła Jamie. - Hej, skurwielu, przestań biec albo ktoś...

Zza żywoplotu rozległ się huk, od którego serce zamarło Harper w piersi. Niski, siwowłosy człowieczek zatoczył się, okulary w złotych oprawkach spadły na ziemię, a ona pomyślała: zastrzelił go, Nelson go zastrzelił. Mężczyzna odzyskał jednak równowagę i stanął nieruchomo z rękami w górze.

- Nie strzelajcie! - wrzasnął. - Na litość boską, nie strzelajcie!

Policjantka w radiowozie odwróciła głowę i przycisnęła brodę do obojczyka. Jedną ręką trzymała zamocowany na ramieniu nadajnik, wciskając guzik. Stojący przy drzwiach Ben mierzył do niej z pistoletu.

- Już w porządku - powiedział. - Sytuacja opanowana! Prawdopodobnie atak serca. Kod dwadzieścia cztery, kod dwadzieścia cztery. Daj im znać, Bethann.

Kobieta spojrzała na niego kątem oka i powtórzyła:

- Kod dwadzieścia cztery, kod dwadzieścia cztery, Verdun Avenue dziesięć, funkcjonariusze na miejscu, czekamy na karetkę.

Wypuściła mikrofon z dłoni, zamknęła laptopa i położyła dłonie na pokrywie.

Jamie wyszła na środek ulicy z kolbą bushmastera wbity w ramię i lufą wycelowaną w drobnego policjanta.

- Na kolana - rzuciła. - Na kolana, gliniarzu. Nie chcemy nikogo skrzywdzić.

- Bethann, myślę, że jeśli wysiądziesz z samochodu i grzecznie położysz się na chodniku twarzą w dół, to obejdzie się bez niepotrzebnych problemów - zwrócił się do funkcjonariuszki Ben.

Harper usłyszała kolejną syrenę. Tym razem dźwięk był głębszy i w miarę jak narastał, wprawiał powietrze w drzenie i przyprawiał ją o gęsią skórę. Mindy zerknęła na nią; oczy dziewczyny błyszczały z podniecenia.

- Szkoda, że tego nie nagrywamy - szepnęła.

- Ben! - zawołał siwowłosy gliniarz, klęcząc na ulicy. Jamie stała nad nim, mierząc mu z broni w tył głowy. - Masz to cholerstwo, co? Masz to na całym ciele. Jesteś chory.

- Owszem, Peter, mam smoczą łuskę, ale nie wiem, czy nazywanie mnie „chorym” jest słuszne. Moim zdaniem nigdy nie czułem się lepiej.

- Ben cofnął się, nie przestając mierzyć do Bethann, która otworzyła drzwi i wysiadła z rękami w górze. Nie odrywając od niej wzroku, zawołał: - Nelson, czy nie mówiłem, żebyś zdjął palec ze spustu?! Dlaczego strzeliłeś?!

Nelson stał za żywoplotem, trzymając czterystadziestkę tak, że mierzyła w niebo.

- O co ci chodzi? Przecież przestał uciekać.

- Kiedy ty strzelałeś, Bethann rozmawiała przez nadajnik - wyjaśnił Ben.

- Ups!

- I co z tego? - zapytała Jamie.

- To z tego, że jeśli masz trochę oleju w głowie, wyniesiesz się stąd, póki jeszcze możesz - rzuciła policjantka. - Jest szansa, że usłyszeli wystrzał i wyślą posiłki.

- Nie sądzę - burknął Ben. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy musiałem przestać chodzić do pracy, ludzie byli tak zawałeni robotą, że na wsparcie trzeba było czekać pół godziny. To było kilka miesięcy temu. Wszyscy wiedzą, że od tego czasu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Nawet jeśli dyspozytorka słuchała, nie wyślą tu nikogo tylko dlatego, że być może usłyszeli w tle jakieś strzały.

- To prawda! - potwierdził Peter. Klęczał na drodze z rękami wyciągniętymi na boki. - Ale w dzisiejszych czasach nie tylko dyspozytorka słucha. Nie masz pojęcia, kto jeszcze jest po drugiej stronie.

- Co to ma znaczyć, do diaska? - zapytał Ben, ale Harper nie była w stanie usłyszeć odpowiedzi. Głos policjanta utonął w jęku syreny karetki pogotowia, która skręcała z Sagamore Road w Verdun Avenue.

Jamie ruszyła jako pierwsza. Obeszła klęczącego funkcjonariusza i podbiegła do ambulansu, który zaparkował za radiowozem. Z bushmasterem gotowym do oddania strzału krzyknęła do kierowcy:

- Hej, ty tam! Łapy z kierownicy...

Śrutówka Nelsona wypaliła z hukiem. Ambulans szarpnął do przodu jak człowiek, który wzdryga się z zaskoczenia. Jamie uskoczyła w bok i została potrącona przez boczne lusterko od strony kierowcy. Broń wyleciała jej z ręki i gdyby nie to, że wisiała na pasku zawieszonym na szyi dziewczyny, spadłaby na ziemię.

Gliniarz imieniem Peter poderwał się z ziemi i opadł na jedno kolano, gdy śrutówka wypaliła po raz trzeci. Jego głowa odskoczyła w tył. Rzadkie, przyczesane włosy nastroszyły się. Chwilę później osunął się w tył jak jogin wykonujący jakąś skomplikowaną figurę.

- Przestańcie strzelać! - krzyknął ktoś. Harper nigdy nie dowiedziała się kto. Wiedziała tylko, że słyszała samą siebie.

Karetka zaczęła wycofywać. Wgnieciony przedni zderzak zahaczył o tylny błotnik radiowozu i szczipione pojazdy ruszyły powoli w kłębach dymu. Ben przyglądał się temu z rozdziawionymi ustami, jakby to on został zastrzelony.

Kiedy Bethann się otrząsnęła, nie próbowała odebrać mu broni, tak jak nie próbowała sięgnąć po własną. Zamiast tego odbiła się od chodnika i niemal komicznym ruchem odepchnęła Bena, jedną rękę wbijając mu w twarz, drugą trafiając go w mostek. Zatoczył się do tyłu, podczas gdy ona obróciła się i zrobiła dwa szybkie kroki. Ben prawą stopą zahaczył o krawężnik i przechylił się w tył, w stronę ulicy. Szczęknęła broń. Bethann wypięła pierś i wygięła się w łuk. Zaraz potem wyprostowała się i pobiegła kawałek dalej. Jej palce zaniknęły się na kaburze z bronią i w tym momencie upadła twarzą na oblodzony, nieodśnieżony chodnik.

Opony karetki, dymiąc, tarły o asfalt. Jamie chwyciła za broń i coś krzyknęła, Harper jednak nie była w stanie rozróżnić słów. Jęknęła stal. Tylny błotnik radiowozu, którym przyjechali Peter i Bethann, upadł z brzękiem na drogę. Karetka wystrzeliła do tyłu, uderzyła w słup telefoniczny i znowu się zatrzymała.

Pisnęły opony i samochód wyrwał do przodu, jadąc wprost na Jamie. Bushmaster splunął serią wystrzałów. Chwilę później huknęła śrutówka. To Ben wyszedł na drogę i jeden za drugim oddawał kolejne strzały.

Przednia szyba karetki eksplodowała gradem odłamków. Syrena

zakrzuszyła się, wydała ostatni, żałosny jęk i umilkła. Reflektor błysnął i zgasł.

Jamie wycofała się, odskoczyła w bok i stała, patrząc w osłupieniu, jak ambulans przejeżdża obok, tym razem nie nabierając prędkości, lecz tocząc się z upiorną powolnością niczym zombie. Przyglądali się, jak koła samochodu podskakują na ciele Petera. Kręgosłup mężczyzny chrupnął jak złamana gałąź. Karetka przejechał kolejne pięć metrów i zatrzymała się przy krawężniku. Kopcząca, podziurawiona kulami osłona chłodnicy znajdowała się niespełna sześć metrów od maski challengerera.

3

Ben Patchett stał na rozstawionych nogach jak człowiek na strzelnicy szykujący się do oddania strzału. Obrócił się, podążając wzrokiem za toczącym się ambulansem i nawet na chwilę nie przestając strzelać. W końcu opuścił broń, rozejrzał się zdumiony dookoła, zatrzymał wzrok na potłuczonym szkłe i widocznych na ulicy plamach krwi.

Wszyscy lśnili. Wszyscy Nawet Harper emanowała bladym blaskiem i czuła przebiegające po skórze, przyjemne mrowienie. Wyglądało na to, że nic nie daje takiego poczucia harmonii jak udział w zabójstwie.

- O ja cię! - krzyknął Nelson. W jego głosie pobrzmiwała ekscytacja, może nawet euforia. - Komuś coś się stało?

- Czy komuś coś się stało?! - wrzasnął piskliwie Ben. - Czy komuś coś się stało, ty kretynie?! - Było to najgorsze bluźnierstwo, jakie Harper usłyszała z jego ust. - A jak ci się zdaje? Mamy tu cztery trupy. Po co, na Boga, zaczynałeś strzelać?!

- Strzeliłem w tylną oponę, żeby nie mogli odjechać. Ci w karetce. Zaczęli cofać. Nie widziałeś?

- Zaczęli cofać, kiedy ty zacząłeś strzelać! - Pulsująca żyła na czole Bena przypominała wijącego się czerwonego robaka.

- Nie. Nie! Przysięgam, zamierzali uciec. Poważnie! Jamie, stałaś tam. Prawda, że zamierzali uciec?

Jamie stała nad ciałem Petera i mierzyła do niego z bushmastera, jakby obawiała się, że mężczyzna zaraz wstanie i rzuci się do ucieczki. Tymczasem Peter leżał wygięty pod dziwnym kątem jak zepsuta lalka z czerwonym znakiem towarowym odcisniętym na zapadniętej piersi. Z jego ust niczym z tubki pasty do zębów wylewała się oślizgła, niebieskawo-czerwona masa.

- Co? - Jamie podniosła głowę i zdumiona popatrzyła na Nelsona, a zaraz potem na Bena. Przyłożyła rękę do ucha. - Co mówicie? Nic nie słyszę.

- Posłuchaj. Może gdybyśmy mieli to na taśmie, moglibyśmy ją cofnąć i zobaczyć, co się naprawdę wydarzyło. Ja myślałem, że chcą

odjechać. Ktoś musiał coś zrobić, więc strzeliłem w oponę. - Nelson wzruszył ramionami. - Może popełniłem błąd jak to nowicjusz. Jeśli chcesz zrzucić całą winę na mnie, proszę bardzo! Nie krępuj się! Mogę być kozłem ofiarnym.

Ben wyglądał jak ugodzony nożem: rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy. Próbował schować broń do kabury, jednak udało mu się to dopiero za trzecim razem.

Jamie obeszała radiowóz i otworzyła tylne drzwi od strony Harper.

- Ruszaj się - rzuciła. - Idziemy. - Otworzyła bagażnik i wyjęła płócienne worki.

Harper nie mogła złapać tchu, jakby weszła do lodowatej wody. Kolana jej drżały i dzwoniło w uszach.

Podeszła do karetki, słysząc chrzęst szkła pod podeszwami butów, i zajrzała do środka. Kierowcą była młoda czarnoskóra kobieta, która farbowała krótko przycięte włosy na żółto. Usta miała rozdziawione, jak gdyby zamierzała krzyknąć. Szeroko otwarte oczy patrzyły przed siebie z przerażeniem. Kolana kobiety zaścielały niebieskie odłamki szkła bezodpryskowego.

Harper nie widziała dziury po kuli i nie miała pojęcia, co zabiło kobietę. Nie miała jednak wątpliwości, że nie żyje -widziała to w jej twarzy - mimo to dotknęła jej szyi, szukając pulsu. W pewnej chwili głowa kobiety osunęła się i opadła na ramię, zostawiając na winylowym zagłówku smugę krwi. Kula trafiła ją w otwarte usta i wyszła u podstawy czaszki.

Kobieta na siedzeniu pasażera — drobna sanitariuszka w niebieskim kombinezonie - jęknęła. Siedziała bokiem z twarzą wciśniętą w tapicerkę.

Harper zostawiła Murzynkę za kierownicą, obiegła samochód, otworzyła drzwi od strony pasażera i weszła na schodek.

Fotel i prawe ramię kobiety były czerwone od krwi. Harper podejrzewała, że kula zmiażdżyła łopatkę... bolesne, ale nie zagrażające życiu. Tej kobiecie mogła pomóc. Ulga, jaką poczuła, była tak wielka, że na chwilę opadła z sił.

- Słyszysz mnie? - zwróciła się do kobiety. - Masz ranę postrzałową w ramieniu. Dasz radę się poruszyć?

Kiedy jednak wypowiadała te słowa, nabierała pewności, że chodzi o

coś więcej niż tylko przestrzelone ramię. Słyszała to w oddechu drobnej kobiety. Sanitariuszka z trudem nabierała powietrza i wypuszczała je z nieprzyjemnym dla ucha bulgotem.

Harper pochyliła się nad nią, delikatnie chwyciła ją za biodro i spróbowała odwrócić. Druga kula trafiła kobietę prosto w pierś. Prząd kombinezonu był mokry od krwi. Przy każdym wydechu wokół rany zbierała się czerwona piana.

Oczy sanitariuszki dosłownie wychodziły z orbit. Kiedy Harper zobaczyła jej twarz, wzdrygnęła się zaskoczona i uderzyła głową w deskę rozdzielczą. Znała ją. Widziała ją kilka razy latem, gdy obie pracowały w Portsmouth Hospital. Ładna, piegowata chłopczyca z zadartym nosem i krótkimi włosami.

- Charity. - Przypomniała sobie jej imię i wypowiedziała je na głos. - Pracowałyśmy razem w szpitalu. Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Zajmę się tobą. Masz przestrzelone płuco. Pójdę teraz po nosze na kółkach i położę cię na nich. Będę musiała założyć opatrunek i podać ci tlen. Nic ci nie będzie. Rozumiesz, co mówię? Zaraz wrócę i zajmiemy się tobą.

Charity chwyciła ją za rękę i ścisnęła. Palce miała ciepłe i lepkie od krwi.

- Pamiętam cię - wyrzęziła. - Mała Mary Poppins. To ty zawsze nuciłaś piosenkę *Łyzeczka cukru*.

Pomimo krwi i zapachu prochu Harper się uśmiechnęła.

- Tak, to ja.

- Powiedzieć ci coś, mała Mary Poppins? - zapytała Charity i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Ty i twoi przyjaciele zamordowaliście właśnie dwie sanitariuszki. Umrę tu, a ty mnie nie ocalisz. Udław się swoją łyżeczką cukru, ty suko. - Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

Harper wzdrygnęła się i wychodząc z samochodu, znowu uderzyła się w głowę.

- Nie umrzesz. Trzymaj się, Charity. Zaraz wrócę - obiecała piskliwym, drżącym i nieprzekonującym głosem.

Zeskoczyła na ziemię. Była w połowie drogi do tylnych drzwi ambulansu, kiedy Ben chwycił ją za ramię.

- Nie możesz nic dla niej zrobić - szepnął. - Wiesz o tym. Chciałbym, żeby było inaczej, ale taka jest prawda.

- Puść mnie. - Szarpnięciem wyswobodziła swoje ramię.

Obok niej przeszła Mindy, niosąc płócienne worki; kiedy mijała leżącego na ulicy policjanta, odwróciła wzrok. Czerwone i srebrzyste światła szatkowały noc na serię zamrożonych w czasie momentów - zamknięte w witrażu drobiny czasu.

- Musimy zabrać to, po co przyjechaliśmy - ciągnął Ben. - Zaraz zaroi się tu od gliniarzy. Mamy dziesięć minut. Może pięć. Nie mogą nas tu zastać.

- Trzeba było o tym myśleć, zanim ostrzelaliście całą ulicę. Kretyni. Cholerni kretyni.

- Jeśli dopadną kogokolwiek z nas, dopadną wszystkich. Jeśli kochasz Nicka, Renee, Ojca Storeya i strażaka, weźmiesz co trzeba i wrócimy do obozu.

Umrę tu, a ty mnie nie ocalisz. Udław się swoją łyżeczką cukru, ty suko. Harper usłyszała w głowie głos sanitariuszki i poczuła frustrację - wściekłość - tak wielką, że zrobiło się jej niedobrze. Miała ochotę uderzyć Bena, nawrzeszczyć na niego. Chciała się rozplakać i okładać go pięściami.

Zamiast tego przemówiła spokojnym, drżącym z emocji, dziwnie obcym głosem. Nie była przyzwyczajona do tak błagalnego tonu.

- Proszę, Ben. Proszę. Tylko opatrunek na klatkę piersiową. Ona nie musi umierać. Mogę ją uratować. Mogę dopilnować, że będzie żyła, kiedy przyjadą posiłki.

- Spakuj co trzeba i zobaczymy, czy starczy nam czasu - odparł i Harper zrozumiała, że nie będzie nawet mogła opatrzeć rany.

Spuściła głowę i przeszła na tył ambulansu.

Mindy stała w jasno oświetlonym wnętrzu wśród lśniących powierzchni ze stali nierdzewnej, noszy na kółkach, szuflad i szafek. Frustracja Harper zaczynała powoli krzepnąć i przechodziła w głęboki smutek. Dokonali już rzezi, teraz przyszedł czas na szabrownictwo. W głębi duszy czuła, że ich plan od początku zakładał morderstwo i kradzież, a ona nie tylko się na to zgodziła, ale sama go wymyśliła.

Pakowała bez zastanowienia. Wypełniła lodówkę turystyczną osoczem i płynami i odesłała z nią Mindy. Zapełniła oba worki, wpychając do nich rzeczy, które były na wyposażeniu każdego szanującego się szpitala, a których brakowało w obozowej apteczce: zwoje bandaży, butelki środków przeciwbólowych, ampułki

antybiotyków, sterylne nici i narzędzia, żelowe opatrunki na oparzenia. Kiedy Mindy wróciła, Harper klęczała na podłodze, pakując do drugiego worka pieluchy dla dorosłych-owinęła w nie szklane fiołki adrenaliny i atropiny - zastanawiając się, gdzie upchnąć butlę z tlenem.

Jamie walnęła pięścią w stalowe drzwi.

- Czas. Musimy jechać.

- Nie! Jeszcze dwie minuty. Mindy, potrzebuję ten kołnierz ortopedyczny i...

- Już czas - powtórzyła z naciskiem Jamie. Sięgnęła po płócienny worek i postawiła go na ziemi.

- Idźcie już - rzuciła Mindy. - Ja zajmę się kołnierzem, panno Willowes.

Harper obrzuciła nieszczęśliwym spojrzeniem otwarte szafki i wysunięte szuflady. Jej wzrok spoczął na defibrylatorze zamkniętym w walizce wielkości laptopówki.

- Nelson! - krzyknęła.

Podszedł do otwartych drzwi ambulansu, wybałuszając oczy w pozbawionej zmarszczek, dziwnie gładkiej, różowej twarzy, która niezmiennie kojarzyła się Harper z twarzą otyłego dziecka.

- Defibrylator - zwróciła się do niego. - Chcę go mieć.

Wyskoczyła z samochodu z workiem marynarskim w jednej ręce i opaską uciskową w drugiej. Minęła Nelsona i przeszła na przód karetki.

- Przyszłam tak szybko, jak...

Charity nie oddychała z trudem... w ogóle nie oddychała. Harper odwróciła ją na bok i przez chwilę mocowała się z suwakiem na przedzie kombinezonu. Kiedy się zaciął, szarpnięciem rozerwała materiał. Dziura po kuli znajdowała się tuż pod prawą piersią. Harper ujęła nadgarstek dziewczyny, szukając pulsu. Nic. Nie miała wątpliwości, że serce Charity przestało bić jakiś czas temu.

- Siostro - rzuciła Jamie. - Nie możesz jej pomóc, ale ludzie w obozie cię potrzebują. Chodź. Wracajmy do domu. -W jej głosie nie było złości.

Harper z pomocą Jamie wysiadła z karetki i po omacku odnalazła szelki płóciennego worka.

- Zbiorę pozostałych - odezwała się dziewczyna. - Zobaczymy się w

samochodzie.

Harper jak we śnie podeszła do otwartego bagażnika dodge'a. Upchnęła worek obok lodówki turystycznej i rozejrzała się po ulicy.

Na końcu Verdun Avenue stała poczerniała betonowa skorupa budynku, w którym niegdyś mieściła się drogeria CVS. Tuż za nią, na skrzyżowaniu Verdun i Sagamore, zatrzymał się, pracując na jałowym biegu biały van bez okien. Z boku na karoserii namalowano sygnał wywoławczy i słowa zapisane kreskówkową czcionką imitującą płomień: WKLL DOM MARLBORO MANA. Gdzieś niedaleko, Sagamore Road, nadjeżdżał kolejny samochód, coś ciężkiego i powolnego; ucho Harper wychwyciło syk hamulców pneumatycznych i miarowy klekot silnika Diesla. Jego dźwięk przywodził na myśl szkolny autobus.

Szyba vana od strony pasażera była opuszczona. Jakiś mężczyzna z reflektorem punktowym w dłoni wychylił się przez okno i wcisnął przycisk. Nelson, w którego uderzył oślepiający snop światła, stanął jak wryty na środku ulicy, trzymając w dłoniach walizkę z defibrylatorem. Zmrużył oczy i spojrział w stronę, z której wylewało się światło.

W zamontowanych na dachu vana głośnikach rozległ się pisk sprzężenia.

Harper poczuła, że krew uderza jej do głowy, a chemiczna karuzela w organizmie nabiera prędkości.

Głos, który usłyszała chwilę później, brzmiał jak głos samego Boga. Był szorstki i schrypnięty jak u kogoś, kto wychodzi z koncertu Metalliki. Harper słyszała go ledwie kilka dni temu we własnym domu. Wcześniej słuchała go w radiu, jak opowiadał o nadciągającej apokalipsie i okraszał koniec świata kawałkami z popularnego w latach siedemdziesiątych cock rocka.

- A cóż to robimy dziś wieczorem? Okradamy karetkę pogotowia? Nie było żadnych zakonnic do zgwałcenia ani sierocińca do podpalenia? No cóż, coś wam powiem. Mam dwie wiadomości: dobrą i bardzo dobrą. Jestem Marlboro Man i przyjechałem tu w towarzystwie Palaczy z Wybrzeża, a jeśli szukacie lekarstwa, trafiliście w odpowiednie miejsce. Mamy tu coś dla takich jak wy: zainfekowane worki z mięsem. Bardzo dobra wiadomość jest taka, że ambulans jest na miejscu, więc po tym, jak się z wami rozprawimy, wy złodziejskie

kanalie, nie będziemy musieli chodzić po okolicy i szukać worków na zwłoki.

- Kryć się! - wrzasnął Ben.

Drzwi vana odsunęły się i Harper zobaczyła broń, jaką do tej oglądała wyłącznie w filmach. Nie miała pojęcia, co to za marka ani jaki kaliber - nie wiedziała, że patrzy na M2 Browning kalibru .50 - pamiętała tylko, że zwykle umieszczano coś takiego na czołgach albo we wnętrzu helikopterów bojowych. Broń była zasilana taśmowo. Wiszący z boku pas z nabojami zniknął w metalowej skrzynce.

Za nią na niskim stołku siedział mężczyzna w jaskrawożółtych nausznikach. Dwie rzeczy przysły jej do głowy, zanim noc eksplodowała odłamkami dźwięków i białego ognia.

Pierwsza - absurdalna - była taka, że taka broń nie może być legalna.

Druga była taka, że drugi pojazd, ten, który właśnie wyłonił się zza zgliszczy drogerii CVS, nie jest szkolnym autobusem, lecz pomarańczowym freightlinerem z pługiem wielkim jak skrzydło samolotu, a za kółkiem siedzi Jakob.

4

Browning obudził się do życia serią wstrząsów. Harper czuła je w całym ciele, w zębach, a nawet w gałkach ocznych.

Ambulans zadrżał. Grudki asfaltu strzelały w powietrze niczym popcorn, gdy kule siekły ulicę od lewej do prawej. Podziurawiły nogi Nelsona Heinricha, spowijając je chmurą czerwonego dymu, kiedy krew zmieniła się w parę. Prawa noga mężczyzny zgięła się w kolanie pod nienaturalnym kątem jak odnoże modliszki. Przenośny defibrylator sypnął snopem białych iskier. Nelson zadygotał jak człowiek na spotkaniu ruchu odnowy religijnej, który doświadcza bożej łaski.

Harper upadła na czworaki i ukryła się za challengerem Bena. Wyglądając zza koła, zobaczyła Bena w radiowozie, którym przyjechali Peter i Bethann. Kłęczał na siedzeniu kierowcy, ściskając w dłoniach pistolet automatyczny i ukradkiem się wychylając. Lufa automatu rozbłysła światłem, ale dźwięk wystrzałów utonął w bezlitosnym terkotaniu browninga.

Ben cofnął się w głąb samochodu i skulił na siedzeniu, a po chwili radiowóz Petera i Bethann zaczął kołysać się na boki jak w czasie wichury. Szyby eksplodowały. Kule wbijały się w stal, dziurawiły opony, oderwały otwarte drzwi od strony kierowcy, które z brzękiem runęły na ulicę, sprawiły, że kłapa bagażnika otworzyła się, rozbiły tylne światła.

Jamie wycofała się i kucając, ukryła przed maską karetki pogotowia z bushmasterem między kolanami. Od dodge a challengerera dzieliło ją kilkanaście kroków, ale równie dobrze samochód mógłby znajdować się w innym stanie. Próba pokonania dystansu była równie bezsensowna jak skakanie na główkę do pustego basenu.

I nagle strzelanina ustała. Gdzieś w oddali Harper usłyszała brzęk spadających na drogę pustych łusek. Powietrze drżało od pogłosu.

- No, no, no! - krzyknął Marlboro Man. - W siedemdziesiątym dziewiątym widziałem AC/DC z Bonem Scottem i w porównaniu z tym

brzmiali jak cipki! Lepiej się nie ruszajcie, chyba że macie ochotę na bis. Powiem wam, co się teraz wydarzy. Wszyscy...

Zza tylnych drzwi ambulansu wysunęła się czyjaś ręka. W porównaniu z hukiem browninga mały, powlekany srebrem pistolet Mindy Skilling brzmiał jak petarda.

- Niech pan biegnie, panie Patchett! - wrzasnęła dziewczyna. - Będę pana osłaniała! Biegnijcie wszyscy! Oddam życie za Matkę Carol! Oddam życie za Światłość! - Pistolet strzelił raz i drugi. Mindy wyskoczyła z karetki i skuliła się na chodniku, na tyłach ambulansu.

- Mindy! - krzyknął Ben. - Mindy, nie...

Kierowca freightlinera wrzucił pierwszy bieg i ciężarówka, klekocząc, potoczyła się do przodu. Przejechała przez krawężnik i wyrwała krzak ostrokrzewu, który sypiąc ziemią, odtoczył się na bok. Kierowca ze stalowym chrzęstem wrzucił drugi, a zaraz potem trzeci bieg. Z rury wydechowej za szoferką buchnął kłęb czarnych spalin. Mały pistolet Mindy strzelał raz za razem, jednak kule odbijały się od pługu. W ostatniej chwili Jamie wybiegła zza karetki, na czworakach przecięła chodnik i ukryła się za słupem telefonicznym.

Freightliner uderzył w ambulans, poderwał go z ziemi i cisnął na trawnik przed numerem dziesiątym na Verdun Avenue, grzebiąc pod wrakiem małą Mindy Skilling. Bryła 'zgniecionej blachy zerwała trawę i zostawiła w ziemi szeroką, dymiącą bliznę. But Mindy leżał wbity w ziemię, podczas gdy ciało dziewczyny leżało pod tym, co zostało z karetki. Mindy powiedziała, że trudno umierać na oczach publiczności, ale ostatecznie nie sprawiło jej to żadnych problemów.

- Kto jeszcze chce zostać bohaterem?! - ryknął z głośników głos Marlboro Mana. - Mamy całą noc, mnóstwo amunicji i drugą najlepszą rzecz po czołgu. Możecie wyjść z rękami nad głową i próbować się z nami ułożyć albo możecie walczyć dalej. Ale pozwólcie, że coś wam powiem: jeśli wybieriecie drugą opcję, nikt z was nie dożyje poranka. Rozumiemy się?

Nikt się nie odezwał. Harper poczuła, że głos więźnie jej w gardle. Myślała, że terkot browninga ostrzeliwującego ulicę to najgłośniejsze, co słyszała w swoim życiu, ale zgrzyt freightlinera wbijającego się w ambulans przywodził na myśl huk salwy burtowej. Miała wrażenie, że nie potrafi uformować żadnej myśli. Mijały kolejne sekundy, aż w

końcu znów usłyszała głos Marlboro Mana - tym razem jednak był dziwnie stłumiony i pobrzmiwała w nim nuta niepewności.

- Co to, kurwa, ma być?! - rzucił mężczyzna.

Harper nie była pewna, czy chciał, żeby go usłyszeli.

Ulica pojaśniała, jakby słońce postanowiło wzejść w środku nocy. Rozpędzona smuga złota rozbłysła, zalewając okolicę światłem, od którego zrobiło się niemal jasno jak w południe. Niewidzialne słońce poruszało się i pikując, spadało na ulicę. Gorący, letni wiatr zakolysał samochodami i wypełnił powietrze zapachami Czwartego Lipca: wonią petard, ognisk i rozgrzanego asfaltu. Chwilę później światło zgasło i ulica na powrót pogrzyżyła się w mroku.

Marlboro Man zachichotał nerwowo.

- Może mi ktoś powie, co to, kurwa, było? Ktoś strzela do nas z pistoletu sygnałowego?

Jasność znów przybrała na sile: złotawobrazowy blask, przy którym moc reflektora była tym, czym światło latarki kieszonkowej w pełnym lipcowym słońcu. Harper uklękła na jedno kolano i obejrzała się na dach challenger... dokładnie w chwili, gdy z nocnego nieba spadła w kierunku ziemi płomienna łąza wielkości prywatnego odrzutowca.

5

W pierwszej chwili światło było tak intensywne, że na wpół oślepiąca Harper nie potrafiła powiedzieć, czym właściwie jest obiekt, który leci na nich z góry. Wyglądał jak rozmazana smuga czerwieni spadająca gwałtownie na odcinek drogi między vanem WKLL a dodge'em challengerem.

Znajdowała się dziesięć metrów nad ziemią i wciąż opadała, gdy nagle rozwinęła skrzydła i na oczach wszystkich zmieniła się w utkanego z płomieni ogromnego ptaka. Powietrze wokół stworzenia zadrżało z gorąca - Harper widziała to, choć łzy zamgłyły jej wzrok. Widok ten obudził w niej zachwyt i przerażenie. To samo musieli czuć ludzie, którzy widzieli grzyb atomowy nad Hiroszimą. Rozpiętość ognistych skrzydeł sięgała siedmiu metrów. Otwarty dziób był tak wielki, że z łatwością zmieściłoby się w nim dziecko. Ogon stworzenia zdobiły długie na kilka metrów, niebieskozielone pióra. Istota nie wydawała żadnych dźwięków poza narastającym rykiem, który kojarzył się Harper z pociągiem przejeżdżającym przez podziemny tunel.

Czas stanął w miejscu. Ptak zawisł niespełna cztery metry nad ziemią, sprawiając, że asfalt zaczął topić się i kopać. Wszystkie okna na ulicy odbijały światło, którym płonął feniks.

Chwilę później stworzenie poruszyło się. Harper również.

Ogromne skrzydła uderzyły powietrze; zupełnie jakby ktoś otworzył drzwiczki ogromnego pieca. Przez ulicę przetoczyła się fala gorąca, a dodge challenger zakolysał się na boki. Harper ukradkiem podczołgała się do drzwi od strony kierowcy.

Feniks rzucił się na białego vana. Musnął skrzydłem żywopłot, zmieniając go w ścianę ognia. Podleciał do otwartych drzwi i Harper zobaczyła, jak człowiek na taborecie zasłania twarz rękami i krzyczy wniebogłosy. Przednie drzwi otworzyły się gwałtownie i kierowca wraz z pasażerem wyskoczyli na ulicę.

Ognisty ptak uderzył w vana z taką siłą, że pojazd przechylił się na bok, jakby miał się przewrócić, i z hukiem opadł na cztery koła.

Wnętrze samochodu stanęło w płomieniach. Gdzieś w środku z metalicznym brzękiem wybuchł pocisk, a zaraz potem drugi. Chwilę później pociski eksplodowały jak ziarna kukurydzy, zmieniając białego vana w maszynę do popcornu. Rozbłyskując, odbijały się od dachu i ścian, deformując pojazd od środka.

Harper dźwignęła się na siedzenie kierowcy i usiadła na potłuczonym szkle. Kluczyki challenger'a były w stacyjce. Nie podnosząc głowy, zerknęła ponad deską rozdzielczą i uruchomiła silnik.

Freightliner zawrócił powoli, mieląc pod kołami śnieg i to, co zostało z trawnika przed domem numer dziesięć.

Harper wrzuciła bieg i wcisnęła pedał gazu. Nie ujechała jednak daleko - niecałe pięć metrów - i gwałtownie zahamowała. Challenger zatrzymał się z piskiem opon przy słupie, za którym ukrywała się Jamie. Dziewczyna zerwała się do biegu, kilkoma susami przesadziła drogę i wskoczyła na siedzenie pasażera. Mówiła coś, krzyczała, ale Harper jej nie słyszała i niewiele ją to obchodziło.

Nieco dalej feniks wyfrunął z wnętrza vana, wyciągnął nienaturalnie długą szyję i otworzył dziób, jakby krzykiem zamierzał poinformować noc o swoim zwycięstwie. Van trząsał się i podskakiwał, gdy kolejne pociski eksplodowały w jego wnętrzu. Przednia szyba wybuchła gradem odłamków. Ktoś błagał Jezusa, by go ocalił.

Harper ruszyła w górę ulicy, gwałtownie skręciła, by ominąć na wprost stopione gruzowisko, i zatrzymała się obok podziurawionego kulami radiowozu. Ben, kuśtykając, przebiegł z jednego samochodu do drugiego i dał nura na tylne siedzenie. Powietrze cuchnęło paloną gumą.

Freightliner z rykiem silnika ruszył w stronę vana i ognistego ptaka. Pług uderzył w bok pojazdu Marlboro Mana i zepchnął go na bok jak puste pudełko po butach. Samochód przewrócił się, krzesząc niebieskie iskry, a jego dach się zapadł. Kolejne uderzenie wypchnęło vana na drugą stronę Sagamore Road. Feniks wyleciał przez rozbitą przednią szybę i poszybował w niebo. Harper zauważyła, że zmałał. Jeszcze chwilę temu przypominał wielkością mały samolot odrzutowy; teraz był mniejszy od lotni.

Odnalazła stopą pedał gazu i challenger wyrwał do przodu z

prędkością, która wbiła ją w fotel. Nogi Bena wystawały z samochodu; chwycił się pasów bezpieczeństwa i wierzgając wściekle, próbował wczłgać się na tylne siedzenie.

Harper wyjrzała przez okno na ciało Nelsona Heinricha, na jego ugięte pod dziwnym kątem, zakrwawione nogi. Na piersi mężczyzny leżał defibrylator. Czarna skrzynka była nadpalona, na środku ziała dziura po kuli wielkości pięści. Gdy go minęli, Harper zaczęła się zastanawiać, czy Nelson nie odwrócił głowy i odprowadzał ich wzrokiem.

Drogę zajęchał im pomarańczowy freightliner. Harper skręca gwałtownie w stronę parkingu przed zgliszczami drogerii CVS. Kiedy challenger przeskoczył przez krawężnik, poczuła się jak w stanie nieważkości. Chwilę później radiowóz spadł na beton w fontannie iskier, a uwieszony pasów bezpieczeństwa Ben zawył z bólu.

Z piskiem opon wjechali w Sagamore Road i Harper wcisnęła końca pedału gazu. Wysoko nad ich głowami złotawobrazowe światło oświetlało im drogę do domu. Ognisty ptak eskortował ich przez kolejny kilometr, zalewając ulicę blaskiem tak jasnym, że światła reflektorów okazały się zbyteczne. W końcu jednak się wysforował. Na chwilę zawisł nad samochodem jak utkany z ognia ogromny latawiec, a zaraz potem załopotał skrzydłami, wzbił się w niebo i zniknął za drzewami na wschodzie.

Wyjątkowo duży odłamek szkła albo stali uwierał Harper w pośladek, sięgnęła więc, żeby go wyciągnąć. Okazało się, że to komórka, z której Mindy Skilling dzwoniła pod 911. Niewiele myśląc, wsunęła telefon do kieszeni kurtki.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

6

Nie była przygotowana na to, że kiedy wróci, sala chorych będzie pękać w szwach, że w każdym kącie będą paliły się lampy, a powietrze będzie wilgotne od stłoczonej ludzkiej masy. Nie musiała z nikim rozmawiać; wystarczyło, że na nich spojrzała, i wiedziała, że są przerażeni. Zastanawiała się, skąd wiedzieli o rzezi na Verdun Avenue.

W poczekalni tłoczyły się czujki: Michael Lindqvist, bliźniaczki Neighbors, Chuck Cargill, Bowie i kilka innych, których imion nie знаła. Była też Allie, ale sprawiała wrażenie tak wystraszonej, bladej, zropaczonej i wygłodzonej, że Harper nie potrafiła się na nią złościć. Norma Heald siedziała w kącie - trzęsąca się sterta białego mięsa w kwiecistej sukience.

Największym zaskoczeniem był jednak widok Carol w wytartym, różowo-żółtym szlafroku, tak starym, że kolory były praktycznie nie do poznania. To samo można było powiedzieć o Carol. Jej twarz przypominała czaszkę obciążoną poszarzałą skórą, z oczami płonącymi w zapadniętych oczodołach.

Harper obejmowała Bena w pasie, pomagając mu ni to iść, ni to podskakiwać. Jego lewy policzek, lewe przedramię, lewa ręka i lewy pośladek były naszpikowane odłamkami szkła. Tuż za nimi szła Jamie, taszcząc styropianową lodówkę z osoczem. Tej nocy przelali więcej krwi, niż przynieśli jej do obozu.

- Co? - spytała Harper. - Co wy tu wszyscy...

- Atak - odezwała się Carol. - Mój ojciec miał atak. Kiedy ty byłeś tam, a on został tu sam. Jego serce przestało bić. Umarł.

Później Nick opowiedział jej wszystko, używając języka migowego i pisząc. Był tu przez cały czas. Trzymał Ojca Storeya za rękę, gdy staruszek przestał oddychać.

Chłopiec był zdenerwowany, gdy Harper pojechała z Benem zrobić skok na ambulans. Domyślał się, co się wydarzy, i był pewien, że ktoś zginie. Michael Lindqvist próbował go uspokoić. Zjedli fasolę, napili się herbaty i zagrali w statki. Kiedy Nick zaczął ziewać, Michael powiedział, że czas się zdrzemnąć, i choć chłopiec upierał się, że nie jest zmęczony, pięć minut później spał smacznie na łóżku polowym obok swojego dziadka.

Śniło mu się światło spadające w ciemność, pochodnia, która spadała na ziemię z granatowoczarnego nocnego nieba. Upadła gdzieś za wzgórzami, nastąpił czerwony rozbłysk i cały świat zaczął się trząść i grzechotać, jakby ukryte pod zieloną trawą rusztowanie próbowało się przebić na powierzchnię. Nick obudził się przerażony, ale dziwne drżenie nie ustawało.

I wtedy to zobaczył: głowa Ojca Storeya obracała się to w jedną, to w drugą stronę, a w kącikach jego ust tworzyła piana. Łóżko, na którym leżał starszy pan, trzęsło się i podskakiwało. Nick pobiegł do poczekalni, gdzie pełniący wartę Michael przerzucał kartki starego numeru „Rangera Ricka”, ściągnął go z kanapy i zawlókł do sąsiedniego pomieszczenia. Przerażony Michael zamarł w nogach łóżka. Nick podbiegł do torby na ramię, w której trzymał ubrania i książki, i wyciągnął najcenniejszy tamtej nocy przedmiot: blaszany gwizdek. Wychylił się przez okno i zaczął gwizdać.

Tym razem to nie strażak odpowiedział na wezwanie, lecz Allie i szóstka czujek. Zanim dotarli na miejsce, ciało Ojca Storeya znieruchomiało. Jego pierś przestała unosić się i opadać. Powieki nabrały szarego, niezdrowego odcienia. Nick wziął go za zimną, wychudłą rękę - kruche kości obciążone luźną skórą - a Michaelowi łzy napłynęły do oczu.

- Nie wiedziałem, co robić - opowiadał, szlochając. - Stałem tu i pozwoliłem mu umrzeć! - Po tych słowach rozplakał się jak dziecko.

Allie nie zwracała na niego uwagi, nawet na niego nie spojrzała. Palcem otarła z kącików ust Ojca Storeya pianę i wymiociny, przywarła ustami do jego ust i napełniła jego płuca powietrzem. Splotła palce i zaczęła ugniatać mu pierś. Nauczyła się sztucznego oddychania dwa lata temu na obozie w Wyndham, a nauczycielem i człowiekiem, który wręczył jej dyplom, był John Rookwood. Było więc tak, jakby to strażak odpowiedział na wezwanie Nicka.

Trwało to pięć minut - pięć długich, rozpaczliwych, milczących, zawieszonych w czasie minut - kiedy Allie uciskała pierś dziadka i wtlaczała mu do płuc powietrze na oczach rosnącej publiczności. Ale dopiero gdy pojawiła się Carol -kiedy wypadła zza kotary, krzyząc: „Tato!” - Ojciec Storey zakasłał, zachłysnął się powietrzem i westchnąwszy ze znużeniem, zaczął samodzielnie oddychać.

Ciocia Carol przywróciła go do życia - napisał Nick.

Twoja siostra przywróciła go do życia - odpisała Harper, ale ogarnęło ją niepokojące uczucie, że większość ludzi myśli tak jak Nick i jest gotowa uznać, że Carol dokonała cudu. W końcu codziennie przeganiała śmierć, zmuszając ich do wspólnego śpiewania. Czy tym razem było inaczej? Kolejny raz stawiała czoło śmierci, uzbrojona jedynie we własny głos, i kolejny raz zwyciężyła.

Harper przez godzinę krzątała się przy łóżku Ojca Storeya: odłączyła prowizoryczny zgłębnik do karmienia, podłączyła kroplówkę, zmieniła pieluchę i poszewkę poduszki, poplamioną i cuchnącą wymiocinami i krwią. Puls był silny, lecz nierówny; przyspieszał na kilka uderzeń serca, po czym zwalniał i znowu przyspieszał. Zarośnięta twarz starca była szara, niemal zupełnie wyprana z koloru, a spod uchylonych powiek widać było białka oczu.

Udar, pomyślała Harper. Wymyka się nam powoli. W cokolwiek wierzyła do tej pory, zaczynała tracić nadzieję, że ten życzliwy człowiek jeszcze kiedyś otworzy oczy i uśmiechnie się do niej.

Znalazłszy pęsetę, sterylną nić, igłę, bandażę i jodynę, poszła szukać Bena Patchetta. Był wczesny poranek i blade, posępne światło doskonale odzwierciedlało jej nastrój.

Znalazła Bena w poczekalni razem z Carol. Siedział jednym

pośladkiem na skraju stolika i metodycznie wyciągał z twarzy i ramienia większe odłamki szkła. Jeden po drugim odkładał je na kupkę, tworząc lśniący stosik szklanych drzazg i połyskliwych, czerwonych od krwi igiełek.

Większość mieszkańców obozu opuściła już salę chorych, jednak Michael i Allie pozostali. Siedzieli na kanapie, trzymając się za ręce. Michael przestał płakać, ale łzy pozostawiły na jego policzkach białe, wilgotne ślady. Jamie stała oparta o drzwi. Połowa jej twarzy była opuchnięta i posiniaczona.

- On umiera - odezwała się Carol.

- Jego stan jest stabilny. Dałam mu kroplówkę. Myślę, że na razie nic mu nie będzie. Jesteś zmęczona, Carol. Idź do domu, spróbuj odpocząć. Musisz być silna.

- Tak. Będę. Zamierzam być silna. - Carol spojrzała na nią rozgorączkowanym wzrokiem. - Wiesz, co jest chore? -zapytała.-

Gdyby mój ojciec umarł, ktoś w tym obozie, może nawet kilka osób, ucieszyłby się. Ktokolwiek rozwalil mu głowę, modli się teraz o jego śmierć. Wiesz, co jest najgorsze? Są w tym obozie ludzie, którzy z całego serca życzą mojemu ojcu śmierci. Którzy prawdopodobnie życzą mnie śmierci. Nie wiem dlaczego. Nie widzę w tym sensu. Chcę tylko, żebyśmy byli bezpieczni... bezpieczni i dobrzy dla siebie nawzajem. Ale są wśród nas tacy, którzy chcą, żeby mój ojciec odszedł, żebym ja odeszła, ludzie, którzy chcą nas poróżnić i sprawić, że skoczemy sobie do gardeł. To jest chore, siostrzo Willowes, i nic, co ukradłaś z karetki, tego nie wyleczy. Bo tej choroby nie da się uleczyć. Można ją tylko wyciąć jak komórki rakowe.

Harper pomyślała, że Carol jest przemęczona i zdenerwowana i że nie warto wdawać się z nią w dyskusję. Zerknęła na Allie. Chciała jej podziękować za to, że uratowała życie Ojcu Storeyowi, ale kiedy otworzyła usta, przypomniała sobie Allie, która stała w milczeniu i patrzyła, jak inne dziewczyny sypały jej w twarz śniegiem i obcinały włosy. Słowa uwięzły jej w gardle i tam pozostały.

- Wejdz na oddział i zdejmij spodnie - zwróciła się do Bena. - Muszę oczyścić rany.

Zanim jednak zdołał się podnieść, odezwała się Carol:

- Już raz odeszłaś od łóżka mojego ojca i prawie cię złapano. Kiedy

odeszłaś drugi raz, mój ojciec miał atak i omal nie umarł. A właściwie umarł. I został przywołany z powrotem. Tym razem nigdzie nie pójdziesz. Będziesz siedziała przy nim, dopóki nie wydobrzeje.

- Carol... - Harper starała się, aby jej głos zabrzmiał łagodnie. - Nie mogę ci obiecać, że Ojciec Storey wydobrzeje. Nie chcę cię okłamywać i mówić, że nic mu nie grozi.

- Ja też nie mogę ci obiecać, że nic ci nie grozi - odparła Carol. - Może wydaje ci się, że jeśli pozwolisz mu umrzeć, ty i strażak...

- Co?! - rzuciła Harper podniesionym głosem.

- ...ale jeśli czas mojego ojca w tym obozie dobiegnie końca, twój czas tutaj również się skończy, panno Willowes. Jeśli on umrze, nie będziesz miała tu czego szukać. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Sama powiedziałaś, że muszę być silna. Zgadzam się z tobą. Muszę być wystarczająco silna, żeby pociągnąć winnych do odpowiedzialności, i właśnie to zamierzam zrobić.

Smocza łuska na piersi Harper zareagowała bolesnym ukłuciem.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy. - Harper starała się panować nad głosem. - Kocham twojego ojca. John również. Ani on, ani ja nie mamy zamiaru przejmować jego obowiązków! Tak jak ty, chcę żyć w bezpiecznym miejscu i urodzić tu dziecko. To wszystko. Nie zamierzam podkopywać niczyjego autorytetu. Musisz jednak zrozumieć, że jeśli mimo moich wysiłków on umrze...

- Jeśli tak się stanie, to będzie twój ostatni dzień w tym obozie - dokończyła Carol. Powiedziała to z dziwnym spokojem. Wyprostowała się jak królowa. - Ufam więc, że do tego nie dopuścisz.

Oddech Harper był szybki i płytki. Drugi raz w ciągu kilku godzin czuła się, jakby trawił ją śmiertelny ogień.

- Nie mogę obiecać, że utrzymam go przy życiu, Carol. Nikt nie może tego obiecać. Doznał poważnych obrażeń, a w tym wieku powrót do pełni zdrowia jest raczej... mało prawdopodobny. - Urwała i zaraz potem dodała: - Nie mówisz poważnie. Wyrzucenie mnie stąd naraziłoby na niebezpieczeństwo cały obóz. A gdybym trafiła w ręce ludzi takich jak ci, którzy próbowali nas dziś zabić? Zmusiliby mnie, żebym im powiedziała wszystko, co wiem... Tak przynajmniej twierdzi Ben.

- Nie, jeśli twoje dziecko zostałoby z nami - odparła Carol. - Wtedy

siedziałybyś cicho, nieważne, co by ci robili. To oczywiste, że nie wyrzucę cię przed porodem, bez względu na to, co się stanie z moim ojcem. No i oczywiście nie ukarzę dziecka, wyrzucając je z razem z tobą. Tak nie traktuje się dzieci. Nie. Jeśli mój ojciec umrze, ty odejdiesz, ale dziecko zostanie z nami, gwarantując nam twoje milczenie. Sama się nim zaopiekuję.

Harper przeciągnęła czarną nić przez policzek Bena. Jej pacjent zamknął oczy, krzywiąc z bólu twarz. Szarpnęła delikatnie, żeby na nią spojrzeć.

- Słyszałeś, co ona powiedziała? - szepnęła. Serce nadal waliło jej w piersi. - Ben. Słyszałeś, że gada jak opętana?

Ben siedział na jej łóżku. Oprócz nich na sali byli tylko Ojciec Storey i Nick, a oni oczywiście nie mogli ich usłyszeć.

Na zewnątrz w mlecznym blasku słońca topniały sople. Ben wciągnął ze świstem powietrze.

- Siostro? Myślisz, że mogłabyś nie zdzierać mi skóry z twarzy? Jestem do niej przywiązany.

- Nie mogę obiecać nikomu, że utrzymam Ojca Storeya przy życiu - syknęła. - Nie mogę obiecać, że go ocalę. Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić, jeśli on umrze. Odbierzesz mi dziecko?

- Nie! Nie. Nie zrobiłbym tego, Harper - odszepnął. - Ale jestem pewien, że są tu tacy, którzy to zrobią, jeśli Carol powie im, że tak trzeba. Jamie Close. Norma Heald.

- A ty będziesz stał i przyglądał się temu?

Jakiś cień przemknął za kotarą oddzielającą salę chorych od poczekalni. Carol? Jamie?

Ben wziął głęboki oddech, a kiedy się odezwał, mówił podniesionym głosem, tak by słyszano go w sąsiednim pomieszczeniu, a może nawet w stołówce.

- Niemal każdy w tym obozie został komuś odebrany. Prawie wszyscy jesteśmy tu sierotami. Twoje dziecko pasowałoby tu jak ulał. Nie chciałbym tego oglądać, ale przeżyłem już wiele rzeczy, które mi się nie podobały. Jedna więcej nie robi żadnej różnicy. Nie będę układał się z tobą w tajemnicy ani spiskował szeptem przeciwko Matce Carol. Ludzie, którzy szepczą, nie działają w harmonii z resztą obozu, a przetrwamy tylko wtedy, kiedy będziemy mówili jednym...

- Och, dajże już, kurwa, spokój - zachnęła się Harper i założyła mu kolejny szew, którego nie potrzebował.

Mniej więcej tydzień później włączyła telefon.

Przez cały czas trzymała go w kieszeni spodni. Kilka razy dziennie dotykała go, jakby chciała się upewnić, że wciąż tam jest. Dotyk szkła i gładkiej metalowej obudowy dodawał jej otuchy.

Nie miała jednak odwagi go użyć. Przez pierwsze dni po powrocie do obozu miała świadomość, że cały czas ktoś mają na oku. W poczekalni zawsze siedziała któraś z czujek-rzekomo, żeby chronić Ojca Storeya - a jej strażnicy mieli irytujący zwyczaj odsuwania kotary w najmniej odpowiednich momentach i zaglądnienia do sali chorych pod tym czy innym pretekstem. Harper nie próbowała nawet ukryć telefonu za panelem sufitowym razem z dziennikiem Harolda. Bała się, że ktoś wejdzie i zastanie ją, jak stoi na krześle i majstruje coś przy suficie.

Ustaliła więc datę, kiedy zaryzykuje i wykona telefon. Dziewiętnastego były urodziny jej ojca. Tego dnia-jeśli jeszcze żyje - skończy sześćdziesiąt lat. Tyle że nie wytrzymała.

Rankiem siedemnastego obudziły ją skurcze tak silne, że z trudem łapała powietrze. Jej wnętrzności zmieniły się w kuk ciasta w ogromnych łapskach krzepkiego piekarza, który z metodycznym, brutalnym uporem ugniatał każdy centymetr tkanki. Czowała się jak wtedy, gdy miała biegunkę i z twarzą zlaną potem próbowała przeczekać najgorsze.

Jako pielęgniarka domyślała się, że ma do czynienia ze skurczami Braxtona-Hicksa zwiastującymi nadchodzące rozwiązanie. Jako przyszła matka z przerażeniem myślała o przedwczesnym porodzie. Była w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży. Musiała się z tym liczyć, zwłaszcza że w ostatnim czasie była narażona na wszelkiego rodzaju stres, brała udział w strzelaninach i rzezi. Na myśl o tym, że być może właśnie zaczyna rodzić - że dziecko lada chwila może przyjść na świat - poczuła się, jakby jechała windą, która nagle zaczęła spadać z zawrotną prędkością.

Wkrótce jednak skurcze ustały, pozostawiając w żołądku dziwne

uczucie, jak gdyby wypila duszkiem butelkę zimnej coca-coli. Krew dudniła jej w uszach. Przyszło jej do głowy, że powinna zadzwonić dziś, teraz, natychmiast i powiedzieć ojcu, że być może urodzi w jego urodziny. To niesamowite, że rodzice nie wiedzieli, że jest w ciąży. Wyobrażała sobie, że matka zacznie krzyczeć, naprawdę krzyczeć.

Nick spał na boku z ręką pod głową. Nie bała się, że go obudzi. Nie zbudziłby się, nawet gdyby rozmawiała, siedząc przy jego łóżku. Podłoga była tak zimna, że od chodzenia po niej boso drętwiały stopy. Harper odsunęła kotarę i zajrzała do poczekalni. Strażnik - dzieciak imieniem Hud, który często chodził na ryby z Donem Lewistonem — drzemał na kanapie. Jego strzelba leżała na podłodze. Gdyby Ben Patchett wpadł na inspekcję, chłopak zamiast śniadania jadłby kamień.

Harper weszła do łazienki i zamknęła drzwi na klucz. Usiadła na desce klozetowej i włączyła telefon. Miała dwadzieścia pięć procent baterii i tylko jedną kreskę zasięgu. Przez chwilę wpatrywała się w płaski, gładki szklany ekran, po czym wpisała z pamięci numer telefonu matki i wcisnęła WYŚLIJ.

Urządzenie wydało przeciągły, ziarnisty syk, a w słuchawce rozległ się niezadowolony, oskarżycielski kobiecy głos: „Nie ma takiego numeru. Spróbuj ponownie”.

Tym razem wybrała numer komórki ojca. Usłyszała serię Piknięć, jakby ktoś nadawał wiadomość alfabetem Morse'a; po mej nastąpił wściekły pisk i Harper musiała się rozłączyć.

Pomyślała o mailu. Otworzyła przeglądarkę, żeby zalogować się na konto Gmail. Oddychając płytko i powoli, czekała, aż otworzy się strona logowania. Na próżno.

Została przekierowana na główną stronę Google. Tyle, że strona nie wyglądała tak jak kiedyś. Zamiast białego ekranu z napisem

Google

na środku ekranu widniało:

Goodby

Pod nim zobaczyła znajome okno wyszukiwania i dwa przyciski.

Kiedy ostatnim razem korzystała z przeglądarki, na jednym z nich było napisane: Szukaj w Google, a na drugiej Szczęśliwy traf. Teraz klawisz po lewej głośił:

Koniec wyszukiwania

A ten po prawej:

Mieliśmy tyle szczęścia

Z jakiegoś powodu - może dlatego, że wciąż nie doszła do siebie po gwałtownych skurczach - na widok tak odmienionej strony Harper poczuła, że poca jej się dłonie. Przeczuwała, że z próby wyszukiwania nie wyniknie nic dobrego, mimo to wpisała w wyszukiwarce „Google Mail”.

Tymczasem zamiast wyników słowa, które wpisała w okno wyszukiwania, zasyczały, poczerniały i rozpadły się jak garstka pikselowego popiołu. Głupotą byłoby płakać tylko dlatego, że Google przestał istnieć, ale przez krótką chwilę Harper była bliska łez. Myśl o jego końcu wydawała się równie niewiarygodna jak niegdyś zniszczenie bliźniaczych wież World Trade

Center. Wyszukiwarka była punktem orientacyjnym internetowego krajobrazu.

Może nie chodziło tylko o Google, ale o wszystko, o wszystkie dobre, mądre dzieła, które ulatniały się i popadały w zapomnienie. Tęskniła za pisaniem SMS-ów, telewizją, Instagramem, mikrofalówkami, ciepłym prysznicem, terapią zakupową i masłem orzechowym. Zastanawiała się, czy ktokolwiek uprawia jeszcze orzechy arachidowe, i nie wiedzieć czemu ogarnął ją nagły smutek, a do oczu napłynęły łzy. Brakowało jej tego wszystkiego, ale najbardziej tęskniła za rodzicami i bratem i po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że może ich nigdy więcej nie zobaczyć.

Nie chciała, żeby jej szlochanie obudziło śpiącego na kanapie wartownika. Ścisnęła telefon obiema dłońmi, przyłożyła ręce do ust i czekała, aż smutek minie. W końcu, kiedy poczuła, że się uspokoiła, ucałowała zimny ekran, wyszeptła: „Wszystkiego najlepszego, tatku” i

wyłączyła telefon.

Wróciwszy na salę chorych, ukryła urządzenie w skrytce za panelem sufitowym. Dziecko przywarło dłonią do sztywnej, włóknistej ściany swojego więzienia i rozcapierzyło paluszki -czuła je, była tego pewna - jakby tym niezdarnym gestem chciało dodać jej otuchy. Harper w odpowiedzi dotknęła ręką brzucha i pomyślała, że ich dłonie dzieli od siebie półtora centymetra żywej tkanki.

- Teraz jesteśmy tylko ty i ja - zwróciła się do niego, choć naprawdę już od miesiący mieli tylko siebie.

Tej nocy przyśnił jej się Jakob, pierwszy raz, odkąd przybyła do obozu Wyndham. Śniła o Jakobie i freightlinerze, o pędzących ku niej światłach i silniku, którego wściekły ryk wyrażał więcej nienawiści niż jakikolwiek ludzki głos.

Ale Jakob nie był sam w ciężarówce.

W jej śnie - to dopiero dziwne! - obok niego na fotelu pasażera siedział Nelson Heinrich.

Cztery dni po tym, jak ukryła telefon w miejscu, gdzie nie będzie jej kusił, Michael Lindqvist przejął wartę w izbie chorych. Przyszedł zobaczyć się z nią, kiedy tylko zaczęła się jego zmiana.

- Psze pani... - zaczął, wychylając się zza kotary jak Kermit Żaba, który nerwowo przygląda się publiczności. - Możemy porozmawiać?

- Oczywiście - odparła Harper. - Tu nie trzeba umawiać się na godziny. Akceptujemy wszystkie formy ubezpieczeń zdrowotnych.

Michael usiadł na łóżku polowym, a ona zaciągnęła zasłonę między nimi a Nickiem, żeby nadać rozmowie odrobinę prywatności. Zastanawiała się, czy chłopak chce porozmawiać z nią o antykoncepcji.

On jednak wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę papieru i podał jej.

- Pomyślałem, że chciałaby pani rzucić na to okiem. Nigdy nie wiadomo, kiedy pan Patchett wpadnie, żeby zobaczyć, czy wszystko jest jak trzeba.

Droga panno Willowes

To, co tamtej nocy przydarzyło się Pani w lesie, to moja wina. Mogłam powstrzymać to w każdej chwili, ale tego nie zrobiłam. Nie oczekuję, że wybaczy mi Pani, ale mam nadzieję, że pewnego dnia odzyskam Pani szacunek albo chociaż zaufanie. Przeprosiłabym Panią osobiście, ale ostatnio wszystkich wkurzam i mam zakaz opuszczania piwnicy, więc muszą powiedzieć to Pani w ten sposób. Przepraszam, panno Willowes. Nigdy nie chciałam, żeby coś się Pani stało. Straszna ze mnie idiotka.

Jeśli mogą jakoś pomóc, proszę tylko powiedzieć Mike'owi. Bardzo chcę Pani to wszystko wynagrodzić. Zasluguje Pani na to, co najlepsze. Proszę dać nam szansę sobie pomóc. Dziękuję też, że zastępuje Pani mamę mojemu bratu. Jest Pani dla niego lepszą rodziną, niż ja byłam kiedykolwiek. Proszę mu powiedzieć, że myślę o nim i tęsknię. Proszę też ucałować ode mnie dziadka.

Proszę, proszę, proszę, niech Pani na siebie uważa.

Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy przyjaciółkami

Allie

Michael splótł palce i siedział z rękami między kolanami. Miał ziemistą cerę i nie przestawał poruszać jedną nogą.

- Dziękuję, że to przyniosłeś. Wiem, że możesz mieć przez to kłopoty. Chłopak wzruszył ramionami.

- To nic takiego.

- A jednak. - Harper poczuła się tak wolna i szczęśliwa jak dziesięciolatka w pierwszy dzień wakacji. Już dawno wybaczyła Allie. Taka już była: wybaczenie przychodziło jej łatwo i przynosiło ogromną radość. Jeszcze raz spojrzała na list i ściągnęła brwi. - Co to znaczy, że ma zakaz opuszczania piwnicy?

Oczy Michaela otworzyły się ze zdumienia tak szeroko, że wyglądał zabawnie. Harper nie знаła nikogo, kto tak jak on nie potrafiłby ukrywać emocji.

- Nie wie pani? Jejku! Wszyscy w obozie mówią tylko o tym. No, jasne, przecież nie może pani wiedzieć, prawie nigdy pani stąd nie wychodzi. Tej nocy, kiedy napadliście na ambulans, Allie poszła zobaczyć się ze strażakiem i powiedzieć mu, co się kroi. To dzięki niej wysłał feniksa i dopilnował, żebyście wrócili do obozu cali i zdrowi. Od tego czasu Allie tkwi po uszy w gównie. Carol wyrzuciła ją z czujek i kazała jej trzymać kamyk w ustach przez trzy dni. Jej zdaniem Allie występuje przeciwko niej i przy okazji psuje jej wizerunek. Teraz Allie opuszcza sypialnię tylko po to, że pracować w kuchni i chodzić do kaplicy. A kiedy śpiewamy, ona nie łśni! Po prostu stoi tam ze spuszczoną głową i na nikogo nie patrzy.

- Ta dziewczyna uratowała życie Tomowi Storeyowi -odezwała się Harper. - Jak Carol może ją karać po tym, co zrobiła?

- No bo... - bąknął Michael.

- Co?

- W obozie mówi się, że Allie przestała ratować Ojca Storeya i rozplakała się, a wtedy przyszła Carol i przywołała go z powrotem, wołając go po imieniu. Sprowadziła go z głębokiej Światłości, czyli miejsca, gdzie idziemy po śmierci.

- Allie nie... ona nie... co za bzdury! Byłeś tam! Dlaczego nie

powiedziałaś... dlaczego nikt nie próbował wyjaśnić, co się naprawdę...

Michael wcisnął głowę w ramiona i spojrzał na nią z miną winowajcy.

- W dzisiejszych czasach trzeba uważać na to, co się mówi. Carol i Ben mają swoją wersję wydarzeń. Wszystkie inne są nieprawdziwe. Kiedy Allie powiedziała, że to nieprawda, a zrobiła to, Ben ukarał ją kamykiem za okazywanie braku szacunku. Ludzie w obozie... Hm... może słyszała już siostra, że teraz mówimy wszyscy jednym głosem. - Opuścił głowę i utkwiał wzrok w czubkach butów. — Nie podoba mi się to wszystko.

Nie tylko to, co przydarzyło się Allie, ale to, jak zachowuje się Carol. Zrobiła się podejrzliwa, spięta i gotowa do ataku. Patrole obserwują jej chatkę, bo którejś nocy wydawało jej się, że widzi cienie przemykające między drzewami. Kiedy Emily Waterman wyszła ze stołówki, śmiejąc się z czegoś, Carol uznała, że śmiała się z niej, i kazała jej wziąć do ust kamyk. Emily płakała i płakała. To jeszcze dzieciak.

Nerwowo machnął nogą. Niezawiazane sznurowadła zakołysały się i uderzyły o ramę łóżka.

- Mogę powiedzieć pani coś bardziej... osobistego? - odezwał się po chwili.

- Oczywiście.

- Wiele osób nie wie, że kiedyś próbowałem się zabić. Niedługo po tym, jak spłonęły moje siostry. Ukrywałem się w zgliszczach naszego domu. Rodzice nie żyli. Siostry były... kupkami popiołu w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się salon. Chciałem, żeby to wszystko się skończyło. Nie chciałem czuć więcej dymu. Nie chciałem być samotny. Miałem skuter Hondy, którym rozwoziłem pizzę. Uruchomiłem silnik w garażu i czekałem, aż uduszę się spalinami. Najpierw rozbolała mnie głowa, a potem zwymiotowałem. W końcu zemdlałem. Byłem nieprzytomny przez jakieś czterdzieści minut. Ocknąłem się, kiedy w skuterze skończyło się paliwo. Garaż chyba nie był za bardzo szczelny. Kilka dni później wyszedłem z domu i zacząłem iść przed siebie. Pomyślałem, że może dotrę do oceanu i zmyję z siebie cały ten smród.

Harper przypomniała sobie swój samotny spacer brzegiem oceanu niedługo po tym, jak trafiła do obozu. Zastanawiała się, czy Michael poszedł nad wodę w tym samym celu co ona: żeby zanurzyć się w

chłodnym mroku i ciszy, zapomnieć o zmartwieniach i samotności.

- I wtedy usłyszałem śpiew. Jakieś dziewczyny śpiewały czystymi, słodkimi głosami. Byłem... byłem tak przybity, że pomyślałem, że może to moje siostry wołają mnie do siebie. Wyszedłem z lasu do Parku Pamięci i zobaczyłem, że to wcale nie moje siostry. To była Allie, Carol, Sarah Storey i kilka innych dziewczyn. Myślę, że był z nimi strażak. Śpiewali naprawdę starą piosenkę, w której ktoś mówi, że nie zna się na historii... chyba z repertuaru Sama Cooke'a. Śpiewali i lśnili łagodnym, błękitnawym światłem. Patrzyli na mnie, jakby czekali cały dzień, aż do nich dołączę. Usiadłem, żeby posłuchać i popatrzeć. W pewnym momencie przysiadła się do mnie Carol i ręcznikiem zaczęła wycierać mi twarz. Powiedziała: „Patrzcie! Tam pod spodem jest chłopiec!”. Rozplakałem się, a ona się roześmiała i rzuciła: „To też jakiś sposób, żeby zmyć brud z twarzy”. Byłem bosy, a ona uklękła przede mną i starła krew i brud z moich stóp. Nie potrafiłbym jej skrzywdzić. Myślałem, że nikt nigdy nie pokocha mnie tak jak moja mama i siostry, ale wtedy trafiłem tutaj.

Przerwał, przez chwilę wiercił się na łóżku, aż w końcu westchnął i dodał ściszym głosem:

- Ale to, co Carol mówi o odebraniu pani dziecka... Nie wiem, jak coś takiego mogło przyjść jej do głowy. Tak nie można. I jeszcze to, jak traktuje Allie. Wygląda na to, że Allie całymi dniami trzyma w ustach kamyk i nie chce go wyjąć, bo jej zdaniem to byłoby jak przyznanie się do błędu. Woli się zagłodzić. Wie pani, jaka ona jest. Czasami... czasami, kiedy dochodzę do siebie po wspólnym śpiewaniu w kaplicy, dzwoni mi w uszach jak wtedy, kiedy próbowałem się zabić. I myślę sobie, że to, jak oddajemy się Światłości, przypomina małe samobójstwa. - Pociągnął nosem i Harper zauważyła, że jest bliski łez. - Kiedyś było lepiej. Naprawdę dobrze. W każdym razie, tak, jak napisała Allie, nie jest pani sama. Jesteśmy z panią. Allie i ja.

Dziękuję, Michaelu.

- Jest coś, co mógłbym dla pani zrobić?

- Tak. Ale jeśli uznasz, że proszę o zbyt wiele, możesz odmówić. Nie chcę, żebyś ryzykował bardziej niż to konieczne.

- Aha. Myślałem, że poprosi pani, żebym przemycił trochę zabielaacza do kawy. Ale chyba chodzi o coś poważniejszego.

- Myślisz, że mogłabym się stąd wyrwać i porozmawiać ze strażakiem? Jeśli tak, zajmiesz się Ojcem Storeyem pod moją nieobecność?

Widząc, że chłopak zbladł, dodała pośpiesznie:

- Przepraszam. Nie powinnam była pytać.

- Nie - rzucił. - W porządku. Myślę, że mógłbym panią kryć, gdyby pojawił się pan Patchett. Przykryję czymś łóżko, włożę poduszki pod koc i powiem, że pani śpi. Tylko czy... czy obiecuje pani, że wróci po spotkaniu ze strażakiem? Nie wsiądzie pani do samochodu i nie odjedzie razem z nim?

Ze wszystkich rzeczy, które spodziewała się usłyszeć, ta jedna była dla niej kompletnym zaskoczeniem.

- Oczywiście, że wrócę, Michaelu. Nie zostawię Ojca Storeya, dopóki nie otworzy oczu.

- To dobrze. Bo nie może pani opuścić obozu. - Wychylił się do przodu i chwycił ją za nadgarstek. - Nie bez Allie i mnie.

Harper schodziła ze wzgórza w przejmującym chłodzie, który kąsał jej nozdrza i palił w płucach. Oddech ulatywał jej z ust białą mgiełką, jakby spalała się od środka.

Najzimniej było na plaży, niemal czuła, jak szczypią wystawione na mróz części twarzy. Z cynowego komina chaty strażaka unosiła się cieniutka smuzka dymu - jedyna oznaka życia na skutym lodem świecie. Nie podobało jej się to, że musi zejść na przystań, która była widoczna jak na dłoni, i Harper spodziewała się, że lada chwila usłyszy za sobą czyjś głos. Jednak dookoła nie było żywej duszy, a iglasty zagajnik chronił ją przed oczami wartownika na wieżycze kościoła. Pospiesznie wsiadła do łódki i odwiązała cumy.

Tym razem dotarła do chaty, nie pogubiwszy butów w błocie. Ziemia była zmarznięta i twarda jak płytki podłogowe. Harper zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc zapukała raz jeszcze. Czuła zapach palonego drewna i unoszącą się w powietrzu woń choroby.

- Otwarte - rzucił strażak.

Wślizgnęła się do środka. W zalanym złocistym blaskiem ognia małym pomieszczeniu panował niemiłosierny zaduch.

Strażak leżał w łóżku od pasa w dół okręcony prześcieradłem, z ręką w brudnym temblaku. W chacie cuchnęło flegmą. Oddychał ciężko, z trudem.

Harper przyciągnęła do łóżka obity sztruksem, sfatygowany fotel i usiadła. Nachyliła się i przyłożyła ucho do piersi mężczyzny. Skórę miał gorącą, pachnącą drewnem sandałowym i potem. Smocza łuska na jego piersi przywodziła na myśl bogato zdobiony perski dywan.

- Oddychaj normalnie - poprosiła. - Nie przyniosłam stetoskopu.

- Czułem się już lepiej.

- Zamknij się. Słucham.

W płucach mu rzęziło, jakby ktoś zgniatał w dłoni plastikowe opakowanie.

- Cholera - warknęła Harper. - Masz niedodmę. Nie mam

termometru, ale czuję, że jesteś rozpalony. Cholera, jasna cholera! Nie rozumiem.

- Tak chyba nazywał się jeden z wcześniejszych albumów Genesis. Jeden z tych nagranych, zanim dołączył do nich Phil Collins i zaczęli grać papkę dla MTV.

- To fachowe określenie pewnego rodzaju zapalenia płuc. Powikłanie, które może wystąpić przy złamaniu żeber, ale nie spodziewałam się go po mężczyźnie w twoim wieku. Palileś?

- Nie. Wiesz, że nie mam papierosów.

- Byłeś na powietrzu?

- I to ile.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Co to znaczy „I to ile”?

- No... dzień albo coś koło tego. Osiemnaście godzin.

- Co robiłeś na zewnątrz przez osiemnaście godzin?!

- To nie było planowane. Zemdlałem. Zawsze mdleję, kiedy wysyłam gdzieś feniksa. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Chyba byłem zbyt słaby. Nie byłem gotowy. Włożyłem w to zbyt wiele sił. Ale dobrze zrobiłem. Nie dość, że mieli karabin maszynowy, to pług, którym kierował twój były, taranował wszystko jak czołg...

- Chwileczkę. Wróc. Skąd wiesz, że mój były był na Verdun Avenue? Kto ci powiedział?

- Nikt mi nie powiedział. Byłem tam z tobą.

- Jak to byłeś tam ze mną?

Strażak westchnął i zdrową ręką dotknął poobijanych żeber.

- Kiedy zaczęła się strzelanina, ukryłaś się za radiowozem Bena. Pierwszy dostał Nelson, kule dosłownie rozerwały go na ulicy. Potem ciężarówka uderzyła w ambulans jak dzieciak kopiący pudełko butów. Mindy Skilling zginęła przygnieciona wrakiem. Zaraz potem wskoczyłaś za kierownicę i odjechałaś jak koleś na wyścigach NASCAR. Pamiętam wszystko aż do chwili, kiedy twój były wyrznął w vana i omal mnie nie zabił. To znaczy, omal nie zabił feniksa.

Harper nic z tego nie rozumiała. Aż do teraz myślała, że ognisty ptak był pokazem pirotechnicznym, którym można sterować na odległość, czymś w rodzaju zdalnie sterowanego samolotu. Ognistą marionetką w rękach Johna Rookwooda.

A jednak opisywał konfrontację z Jakobem i Marlboro Manem, jakby był tam na miejscu, co wprawiało Harper w zakłopotanie i irytowało ją, bo oto miała przed sobą człowieka, który uwielbiał imponować innym i otaczać się aurą tajemnicy.

- To niemożliwe. Nie mogłeś tego widzieć.

- Nie dajmy się ponieść emocjom. To tylko mało prawdopodobne. A poza tym, nie powiedziałem, że widziałem to wszystko na własne oczy. Bo tak naprawdę nie widziałem. Za to pamiętam. - Widząc, że Harper zamierza się odezwać, podniósł rękę, by uprzedzić jakiegokolwiek pytania. - Wiesz, że z czasem smocza łuska nasycza ludzki mózg. Wsłuchuje się w nasze myśli i uczucia i reaguje na nie. Ma dendrytyczną naturę i tworzy więź z umysłem.

- Tak. Dlatego ludzie stają w płomieniach, kiedy się boją albo gdy się stresują. Panika uwalnia kortyzol. Nadmiar kortyzolu to dla smoczej łuski znak, że żywiciel nie jest bezpieczny. Dochodzi do samozapłonu, a w efekcie powstaje popiół, który pozwala zarodnikom znaleźć lepszego żywiciela.

Spojrzał na nią z podziwem.

- Tak. Dokładnie tak to działa. Z kim o tym rozmawiałaś?

- Z Haroldem Crossem - odparła zadowolona, że choć raz to ona go zaskoczyła.

Strażak zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu uśmiechnął się półgębkiem.

- Znalazłaś jego pamiętnik. Chciałbym go zobaczyć.

- Może ci go pożyczę, kiedy sama skończę czytać - odparła. - Kortyzol wywołuje samozapłon. Ale oksytocyna, hormon społecznościowy, uspokaja smoczą łuskę. Za każdym razem, gdy zyskujesz aprobatę grupy, organizm odzyskuje poczucie bezpieczeństwa, a tym samym maleją szanse na samozapłon. To rozumiem. Nie rozumiem jednak, jak siedząc tu, na wyspie, widzisz rzeczy, które rozgrywają się trzy kilometry dalej.

- Przecież mówiłem, że ich nie widzę. Pamiętam je, a to zupełnie coś innego. We wnętrzu feniksa jest chmura płonącej smoczej łuski. Zawiera prymitywną kopię moich myśli, uczuć i reakcji. To coś jak zewnętrzny mózg. W końcu do mnie wrócił jak ptak do gniazda i wykonawszy swoje zadanie, wypalił się. Popiół przysypał mnie niczym

śnieg, kiedy leżałem nieprzytomny na plaży, i przez kolejne godziny śniłem o wszystkim, co feniks widział i co zrobił. Jego wspomnienia wróciły do mnie, z początku fragmentaryczne, ale w końcu ułożyły się w logiczną całość.

Harper przez chwilę zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała. Popiół, który potrafi myśleć, płomień, który żyje, i zarodniki, które wymieniają się impulsami i wspomnieniami z ludzkim umysłem. Jej zdaniem była to jedna z tych fantastycznych bzdur, do których zawsze dążyła ewolucja. Natura pełna jest sprytnych sztuczek i magicznych trików.

Kiedy Harper się odezwała, słowem nie wspomniała o smoczej łusce.

- Potrzebujesz antybiotyku. A tak się składa, że go mam. Przyślę Michaela z buteleczką azytromycyny. Myślę, że uda mu się wyrwać o świcie, podczas zmiany warty. A teraz, panie Rookwood, przyjrzyjmy się pańskiemu ramieniu.

- Rozumiem, że nie dasz rady osobiście przynieść mi lekarstwa.

Spuściła wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy. Delikatnie poluzowała temblak i wyprostowała ramię strażaka. Skrzywił się, ale pomyślała, że bardziej w oczekiwaniu na ból niż dlatego, że rzeczywiście go zabolalo.

- Sytuacja w obozie jest nieciekawa, John. Nie mogę opuścić izby chorych, mam areszt domowy i zakaz oddalania się od łóżka Ojca Storeya. Jestem tu dziś tylko dlatego, że Michael objął wartę, a on nie gra już według zasad Carol. Tak samo jak Allie, która ma zakaz opuszczania piwnicy. Michael obawiał się, że po spotkaniu z tobą nie wrócę do obozu. Nie chce, żebym odeszła bez niego. - Zastanowiła się przez chwilę. - To kwestia czasu, zanim kilkanaście osób spróbuje uciec. Spakują zapasy do samochodów i dadzą nogę. Renee już wspominała o ucieczce razem z Donem, więźniami i kilkoma innymi osobami.

- I dokąd pojedziecie?

- Nie wiem nawet, czy z nimi pojedę, bez względu na to, co myśli Michael. Byłoby nie w porządku, gdybym zostawiła Ojca Storeya, wiedząc, że jego stan może się jeszcze poprawić.

Słyszając to, strażak zrobił coś dziwnego. Spojrzał ponad jej ramieniem na piec, a zaraz potem nachylił się i szepnął, jakby bał się, że ktoś go usłyszy:

- Podziwiam głupotę bardziej niż ktokolwiek, Harper, ale w tym przypadku jej nie pochwalam. W tej sytuacji musisz

przede wszystkim zadbać o siebie i dziecko, a nie o Toma Storeya. To człowiek o złotym sercu i wiem, że nie chciałby, żebyś została tu dla niego. Jest w tym stanie od... Od jak dawna? Od sześciu, siedmiu tygodni? Po tym, jak otrzymał cios w głowę. W wieku siedemdziesięciu lat? Już po nim. On nie wróci.

- Widziałam ludzi, którzy dochodzili do siebie po gorszych urazach - odparła Harper, jednak mówiąc to, zaczęła się zastanawiać, czy pamięta jeszcze, na czym polega różnica między diagnozą a myśleniem życzeniowym. - Poza tym.. John, zbliża się mój termin. Ile jeszcze? Dziewięć tygodni? Osiem? Muszę gdzieś urodzić to dziecko. Sala chorych to dobre miejsce. Nie wiem, czy znajdę lepsze. Don mógłby odebrać poród. Potrafi łowić ryby, więc i z tym sobie poradzi. Wolalabym nie opuszczać obozu przed rozwiązaniem, chyba że nie będę miała wyboru. - Nie wspomniała, że jeśli Ojciec Storey umrze, rzeczywiście nie będzie miała wyboru. Ucieknie z dzieckiem albo zostanie wygnana bez niego. Nie chciała denerwować strażaka i opowiadać mu o groźbach Carol. Nie teraz. Był chory, mocno ucierpiał, a w jego płucach zalegała paskudna flegma. Powinna otoczyć go opieką i dodawać mu otuchy, a nie oczekiwać jej od niego.

Wstała, przejrzała zawartość szuflad w czymś, co niegdyś mogło uchodzić za stół roboczy, i wróciła z nożyczkami. Rozcięła brudny bandaż na nadgarstku. Wciąż był opuchnięty i posiniaczony, ale kiedy poprosiła, żeby John poruszał ręką, uznała, że jest tylko lekko zeszywniała i obejdzie się bez kolejnego opatrunku.

- Wystarczy temblak - orzekła. - Ale stabilizator na łokciu musi zostać tak długo, aż ból przy zginaniu ręki minie. I staraj się ją oszczędzać. Dopóki nie dojdiesz do siebie, świntusz wyłącznie w myślach. Lepiej zbytnio nie nadwyręzać nadgarstka.

Choć raz nie wiedział, co powiedzieć.

- Wiesz - zaczęła, siadając w fotelu - Michael nie opuści obozu bez Allie. A Allie nie ucieknie bez Nicka. Boję się myśleć, jak poradziłiby sobie na zewnątrz. A ty? Z tobą byliby bezpieczni. Mógłbyś się nimi zaopiekować: Allie i Nickiem.

Strażak zerknął na palenisko za jej plecami i pospiesznie spuścił

wzrok.

- A tobie się wydaje, że jestem w stanie gdziekolwiek pójść?

- Może nie teraz. Ale doprowadzimy cię do porządku. Ja doprowadzę cię do porządku.

- Nie spieszmy się zbyt. Nie mamy nawet planu. Na razie tylko gadamy.

Harper utkwiała spojrzenie w otwartych drzwiczkach piecyka. Tym razem nikt na nią nie spoglądał: ani tajemnicza kobieta, ani Syriusz Black. Pomyślała o tym, jak John zerknął w płomienie, zanim pochylił się i zaczął mówić do niej szeptem, jakby obawiał się, że ktoś go usłyszy. I nagle, nie wiedzieć dlaczego, przypomniała sobie coś, co powiedział o feniksie: *To coś jak zewnętrzny mózg*. Wspomnienie tych słów sprawiło, że włoski na karku stanęły jej dęba.

- Tak - przyznała. - Może więc powinniśmy opracować jakiś plan. Spróbujmy się tu spotkać. Wszyscy. Nawet więźniowie, jeśli to możliwe. Musimy zdecydować nie tylko, jak uciekniemy, ale też dokąd pójdziemy i jak zamierzamy przetrwać. - Zaraz potem dodała łagodnym głosem: - Mówisz, że Ojciec Storey nie chciałby, żebym zostając, narażała życie swoje albo dziecka. Ja wiem, że Sarah nie chciałaby, żebyś ty, zostając, ryzykował swoje.

- No nie wiem - odparł. - Nie byłoby tak źle, zostać pogrzebanym na terenie obozu. Czemu nie? Poniekąd właśnie tu zaczęło się moje prawdziwe życie. Tu, w obozie Wyndham, gdzie poznałem Sarah i dokąd wróciliśmy, kiedy zostaliśmy zainfekowani. Byłby w tym pewien powieściowy urok, gdybym baśnie tu dożył swoich dni.

- Pieprzyć powieściowy urok. Jak to się stało, że trafiliście właśnie tu?

- To proste: nie mieliśmy dokąd pójść.

- Stać cię na coś więcej - warknęła Harper.

- Skoro tak twierdzisz.

- Wszyscy zostaliśmy naznaczeni. Pierwsze znamiona pojawiły się na ramieniu i plecach Nicka. Trzy dni później wszyscy wyglądaliśmy, jakbyśmy wyszli z tego samego studia tatuazu w piekle. Z wyjątkiem Sarah. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin musiała pogodzić się z myślą, że straci syna, córkę, siostrę, ojca i chłopaka. W takiej sytuacji nietrudno się załamać. Ale Sarah się nie załamała. Jej dzieci wciąż jej potrzebowały i tak długo, jak czuły, myślały i liczyły na jej wsparcie, zamierzała przy nich trwać. Poza tym zakładała, że ona również została zainfekowana, tyle że nie miała widocznych objawów. Myślę, że gdy w końcu dotarło do niej, że jest zdrowa, była bardziej zrozpaczona i zaskoczona, niż gdyby dowiedziała się, że to ma. Jak to możliwe, że wszyscy byliśmy chorzy, a ona nie? Kilka razy wściekła się na mnie, jak gdyby to była moja wina, że nie ma na skórze żadnych zmian. „Dlaczego wszyscy to macie, tylko nie ja?”, powtarzała.

- Była w basenie - mruknęła Harper.

- Widzę, że też do tego doszłaś. Tak. Zatruty popiół spadał z nieba prosto na nas, ale Sarah poszła popływać. Chlor zabił zarodniki, a przynajmniej stworzył bezpieczną barierę. Zwykle to nie siła woli, mądrość czy hart ducha decyduje o tym, kto przeżyje, a kto zginie. Wszystko zależy od tego, gdzie się stoi. Wychylisz się dwa centymetry w prawo, i zginiesz pod kołami autobusu. Jeśli twoje biuro znajduje się nie na dziewięćdziesiątym, ale na dziewięćdziesiątym drugim piętrze, masz pecha i nie zdążysz uciec.

Sarah odłożyła na bok smutek. Odłożyła na bok załamanie nerwowe. Nie wiem, jak dawała sobie radę, ale jakoś to zносиła. Jedyne raz wpadła w histerię, kiedy jej ojciec oświadczył, że powinniśmy zgłosić się do objętego kwarantanną obozu w Concord. Na myśl o tym, że ktoś mógłby jej zabrać dzieci, wpadła w szal. Musieliśmy zmienić plany. Chyba wszyscy obawialiśmy się, co może strzelić jej do głowy, jeśli Allie i Nick na dobre znikną z jej życia.

Przez kilka dni Allie leżała zwinięta w kłębek i płakała. Aż w końcu

pewnego ranka wyszła z łazienki z ogoloną głową i oświadczyła, że ma dość umartwiania się. Tej nocy ona i jej matka wzięły grzybki halucynogenne. Następnego dnia po zmroku wymknęły się i ukradły samochód. Zachowywały się jak obłąkane, ale były szczęśliwe. Okradły sklep z kostiumami. Sarah wróciła do domu w masce Hillary Clinton. Allie wybrała maskę Kapitana Ameryka, bo podobało jej się namalowane na niej duże „A”. Nick dostał maskę Tygryśka Tony’ego. Powiedziałem im wtedy, że zawsze chciałem być strażakiem, i miałem nadzieję, że następnym razem pomyślą o mnie. Dwa dni później ukradły zabytkowy wóz strażacki z parkingu muzeum. Zaparkowały go w hangarze na łodzie w obozie Wyndham. Allie zamierzała zabawić się przed śmiercią, a Sarah uznała, że jako matka powinna ją w tym wspierać.

Sądziłem, że Carol długo nie pociągnie. Pamiętam to jak dziś. Straciła na wadze pięć kilogramów, choć i tak był chuda jak szczapa. Przestała spać. Na wpół naga siedziała przed telewizorem i przez dwanaście godzin gapiła się w ekran. Wyglądała jak pacjent po lobotomii. Pachniała jak wypalona zapałka i cały czas kopciła. Jediną osobą, która potrafiła wyrwać ją z tego marazmu, był jej ojciec, który pilnował, żeby spała i generalnie się nią zajmował.

Któregoś dnia rano usłyszałem walenie do drzwi i jakieś krzyki na ulicy. Było na tyle wcześnie, że wszyscy jeszcze spali. Wyszedłem na podjazd i ukryłem się za żywopłotem. Kilka domów dalej na ulicy stała zaparkowana ciężarówka i policyjny van wykorzystywany przez patrol kwarantannowy. Uzbrojone typy ze SWAT-u w maskach przeciwgazowych wpychały do niego jakąś kobietę. Był z nimi lekarz w masce i rękawiczkach. Trzymał w dłoniach podkładkę do pisania z klipsem i powtarzał kobiecie, że to wszystko dla dobra jej dzieci. Zapewniał ją, że skontaktują się z rodziną, żeby po nie przyjechała. Chłopczyk, mniej więcej czteroletni, zanosił się płaczem i wyrывał się do matki, ale facet z patrolu przytrzymał go za ramię i odwracał w stronę domu. Gdzieś w środku słyszałem płacz niemowlaka. Zanim wepchnęli kobietę do samochodu, odwróciła się i na krótką chwilę zobaczyłem jej twarz. To była ta sama kobieta, która płakała na chodniku w dniu, kiedy spłonęła drogeria; ta, z którą Tom modlił się na ulicy.

Po południu zebraliśmy się przy stole na rodzinną naradę, a ja opowiedziałem im o tym, co widziałem. Allie uznała, że potrzebujemy planu na wypadek, gdyby ktoś zaczął dobijać się do naszych drzwi. Tom odparł, że w tej sytuacji najrozsądniej będzie, jeśli się wyniesiemy. Powiedział, że przez ostatnie czterdzieści lat spędzał wakacje w obozie Wyndham i nie widzi powodu, żeby w tym roku było inaczej. Ostatnim razem, gdy byli tam z Carol, w obozie było dość jedzenia, żeby wykarmić armię przez najbliższe dziesięć lat. Pomylił się tylko o dziewięć.

Zajął dom ten sam co zawsze. Razem z nim zamieszkała Carol, która miała się nim opiekować, choć w rzeczywistości było na odwrót. Sarah i ja zajęliśmy chatkę nieopodal hangaru na łodzie, głównie dlatego, że Nick uwielbiał bawić się w strażaka i godzinami przesiadywał w skradzionym wozie strażackim. Czy zabrzmi dziwnie, jeśli powiem, że to były cudowne dni? Mieliśmy świeże jaja, gofry i kawę. Rankiem pluskaliśmy się w morzu, a wieczorami rozpalaliśmy ognisko. Sarah odkurzyła organy w kościele i grała utwory Billy'ego Joela i Paula McCartneya. Próbowaliśmy namówić siostrę, żeby do niej dołączyła, ale Carol siedziała w Domu Czarnej Gwiazdy w oparach dymu i czekała na śmierć.

Pewnego ranka Sarah pojechała do Portsmouth po zapasy i żeby zasięgnąć języka. Nie była chora, więc mogła swobodnie pokazywać się na ulicy. Wróciła do domu z bliźniaczkami Neighbors. Dwa dni później w obozie pojawiła się Norma Heald. Latem obsługiwała tutejszą stołówkę i uznała, że prędzej znajdzie jedzenie tu niż w supermarkecie. Tak oto ludzie zaczęli ściągać do obozu Toma.

Kilka dni po tym, jak dołączyła do nas Norma, Carol wybiegła z Domu Czarnej Gwiazdy oszalała ze zgrozy, znalazła Sarah i powiedziała, że się zaczęło. Kazała jej biec z sobą. Powiedziała, że Tom i Nick lśnią i lada chwila staną w płomieniach. Popędziliśmy ile sił w nogach, zostawiając Carol z tyłu. Byliśmy przerażeni. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek gna na złamanie karku ku czemuś, czego nie chce oglądać. To jak biec w stronę plutonu egzekucyjnego. Byłem pewien, że kiedy dotrzemy na miejsce, dom będzie płonął, a z Nicka i Toma zostaną zwęglone, powykręcane szczątki.

Sarah wbiegła do domu i zatrzymała się tak gwałtownie, że wpadłem

na nią i ją przewróciłem. Allie, która była za mną, Potknęła się i wszyscy troje wylądowaliśmy na podłodze. Podniosłem wzrok i wtedy ich zobaczyłem.

Zmywarka do naczyń w tym domu ma pewnie tyle lat co ty. Służy jego mieszkańcom od prawie trzech dekad i kiedy się ją włącza, trzęsie się i hałasuje. Brzmi to mniej więcej tak Jak ta stara piosenka *Wooly Bully*. Kojarzysz ją? Tom siedział oparty plecami o zmywarkę z Nickiem na kolanach, podskakujące pudło wstrząsało ich ciałami, a on splótł palce z palcami wnuka i śpiewał. Obaj świecili. Tom podwinął rękawy koszuli i zobaczyliśmy, że zawijasy na jego przedramiona lśnią jak farba fluorescencyjna.

On jednak wcale się tym nie przejmował i ze stoickim spokojem patrzył, jak wpadamy przez drzwi. Spojrzał na nas drwiącym wzrokiem i nie przestawał nucić. „Tato, Boże, co się dzieje?“, jęknęła Sarah. „Nie wiem, odparł, ale smocznej łusce podoba się chyba ta melodia. Usiądźcie i zaśpiewajcie z nami, zobaczycie, jakie to uczucie”.

Kiedy Carol wpadła do domu, siedzieliśmy w kółku przy dudniącej zmywarce, śpiewaliśmy rocka garażowego i świeciliśmy jak ozdoby karnawałowe. Jak tylko smocza łuska rozgrzewała się i zaczynała lśnić, człowiek wiedział, że nic mu nie będzie. Że nie spłonie. Sama zresztą wiesz, jakie to uczucie.

Śpiewaliśmy, aż zmywarka przestała pracować, a gdy dudnienie ustało, smocza łuska na naszej skórze przygasła i wystygła. Zachowywaliśmy się jak na haju. Nie pamiętałem, z którą z córek Toma się spotykam, więc pocałowałem je obie. Sarah śmiała się z tego. Allie liczyła palce u stóp, bo nie pamiętała, ile ich ma. Można powiedzieć, że byliśmy porządnie nagrzeni. Nagrzeni! Ha! Nieźle powiedziane, co? Nie? No... cóż.

Tego wieczoru zgromadziliśmy się w kaplicy. Sarah usiadła przy organach, Carol nastroiła ukulele i zagrały razem *Bridge over Troubled Water* i *Let It Be*, a my lśniliśmy jak iskry sypiące z ogniska. Miały takie słodkie, rozmarzone głosy. Nigdy nie byłem tak upojony ani równie szczęśliwy. Czuję, że uwalniam się od własnej tożsamości, jak ktoś, kto odstawia ciężkie walizki, których nie musi już nieść. Myślę, że tak właśnie czują się pszczoły. Nie są jednostkami, ale brzmią jak jedna nuta w świecie idealnej muzyki.

Kiedy skończyliśmy śpiewać, Tom przemówił do nas. W tamtej chwili wydawało się to czymś naturalnym. Mówił o rzeczach, o których wiedzieliśmy, ale które potrzebowaliśmy usłyszeć. Powiedział, że powinniśmy być wdzięczni za każdą spędzoną razem minutę, i wiedziałem, że ma rację. Mówił, że to błogosławieństwo, że możemy czuć na skórze miłość i szczęście innych ludzi. Amen, powiedziałem, a za mną powtórzyli to wszyscy. Tom twierdził, że w najmroczniejszych chwilach w historii dobroć była jedynym światłem, które prowadziło ludzi w bezpieczne miejsca, a ja słuchałem go i płakałem. Nawet teraz, gdy o tym mówię, ściska mnie w gardle. Łatwo odrzucić religię jako coś krwawego, okrutnego i plemiennego. Sam to zrobiłem. Ale problem nie tkwi w religii, tylko w człowieku. Fundamentem każdej wiary jest przyzwoitość. To jak z różnymi podręcznikami dla tej samej klasy. Czy nie uczą wszystkie, że lepiej zrobić coś dla innych niż dla siebie? Ze szczęście innego człowieka nie oznacza, że my sami będziemy mniej szczęśliwi?

Tylko Sarah nie łśniła, bo tylko ona nie była zainfekowana. Ale podobnie jak my wiedziała, że znaleźliśmy rozwiązanie. Lekarstwo. Nie potrzebowaliśmy łyżeczki cukru, żeby je przełknąć. To ono było łyżeczką cukru. Śpiewała z nami, patrzyła, jak łśnimy, i milczała. Byłem z nią wystarczająco długo, powinienem był przewidzieć to, co miało nadejść. Co zamierzała.

Ale nie przewidziałem, bo przez większość czasu chodziłem jak pijany. Nie alkoholem. Rozumiesz? Pijany ogromem światła i przyjemności, które spływały na mnie, gdy tak siedzieliśmy razem. Allie zaczęła wychodzić nocami w swojej masce Kapitana Ameryki, żeby szpiegować przyjaciół, dzieciaki, które znała ze szkoły. Jeśli widziała, że są zainfekowane, rekrutowała je i ich rodziny. Mówiła im, że zna sposób na przeżycie. Że smocza łuska nie oznacza wyroku śmierci. Co tydzień do obozu przybywało kilkanaście nowych osób.

Sarah wysyłała mnie razem z Allie, by mieć pewność, że ci cała i zdrowa. Zacząłem przebierać się za strażaka, bo odkryłem, że w świecie, w którym wszystko płonie, nikt nie zwraca na niego uwagi. Przez większość czerwca byłem tak upojony Światłością, że nie pamiętałem nawet, jak mam na imię. Byłem po prostu... strażakiem. — Zakasłał. Z jego ust uleciał obłoczek dymu w kształcie samochodu

zabawki i rozplynał się w powietrzu.

- Pozer - prychnęła Harper. - Co było potem?

- Sarah umarła - odparł, pochylił się i ni stąd, ni zowąd pocałował ją w czubek nosa. — Koniec.

Księga siódma

Spiskowcy

MARZEC

1

Z dziennika Harolda Crossa:

28 sierpnia

Martha Quinn naprawdę istnieje.

Ma nawet stronę internetową, marthaquinninmaine. Trzeba stawić się w Machias, gdzie cię umyją, dadzą ci czyste ubrania i pełen posiłek, wsadzą na łódź do połowu homarów i przewiozą na wyspę, na której byli pracownicy CDC pracują nad lekarstwem.

Wybieram się tam. Jutro albo pojutrze. Jeśli tu zostanę, wcześniej czy później spłonę. Inni czerpią korzyści z bycia we wspólnocie, ale nie ja. Bez regularnych dawek oksytocyny mój biochemiczny bezpiecznik zaczyna się przepalać.

Nie zamierzam pytać o pozwolenie; wiem, że i tak go nie dostanę. Carol ma mnie na oku. Jediną osobą, którą udało mi się przekonać, jest JR. Obiecał, że pomoże mi uciec, więc dziś wieczorem mogę pójść do chaty i wysłać ostatnie maile.

Nie wiem, jak dotrę tak daleko na północ, skoro całe południowe Maine płonie, ale JR mówi, że może powinienem popłynąć łodzią. Nie mogę się doczekać, kiedy na zawsze pożegnam się z tą norą.

Jej pierwsza myśl brzmiała: to nie może być takie proste Odwróciła kartkę, licząc na więcej, ale dalej nie było już nic. Reszta dziennika pozostała niezapisana.

Padał deszcz. Wielkie krople bez ustanku tłukły o cynowy dach. Padało już od dziesięciu godzin. Padały też drzewa. Harper zbudził jęk jednego z nich, gdy runęło na ziemię z łoskotem, który zatrzęsł budynkiem z izbą chorych. Gwałtowne porywy wiatru chłostały ściany z wściekłą zajadłością. Była to aura godna końca świata, ale przecież każdy dzień był teraz jak koniec świata, niezależnie od tego, czy świeciło słońce, czy lało jak z cebra.

Harper nie spodziewała się, że w dzienniku znajdzie się jeszcze coś, co mogłoby ją zaskoczyć, a tym bardziej zszokować. Martha Quinn istniała. Podobnie jak wyspa.

Nick przyglądał się jej z uwagą, ale na jego twarzy próżno było szukać zdziwienia. Harper już dawno przestała ukrywać przed nim dziennik. Zresztą na tak małej przestrzeni i tak byłoby to niemożliwe. Napotkała jego skupione, uporczywe spojrzenie. Nie pytał, czy przeczytała coś istotnego. On wiedział.

Tej nocy wartę w poczekalni pełnił Chuck Caigill. Zaskoczył Harper dwie godziny temu, gdy wcierała balsam w różową krągłość brzucha. Była w staniku, ale jej widok do tego stop zaskoczył chłopaka, że taca, którą niósł, upadła z brzękiem na blat, jakby nagle rozgrzała się do czerwoności. Strażnik cofnął się, mruczając pod nosem coś w rodzaju przeprosin, i chwilę później zniknął za kotarą. Od tej pory informował o swojej wizycie wymownym chrząknięciem albo pukał w futrynę i pytał czy może wejść. Harper obawiała się, że chłopak nigdy więcej nie spojrzy jej w oczy.

Pomyślała też, że w tej sytuacji mogła wyciągnąć telefon i spróbować wykonać połączenie. W taką pogodę nawet Ben Patchett nie zapaści się do izby chorych.

Przyciągnęła krzesło i stanęła na nim niepewnie. Odsunęła panel,

wyjęła telefon i zeszła z krzesła. Nick gapił się na nią-na telefon - zdumionym wzrokiem.

„Podejź tu” - przywołała go ruchem ręki.

Stanęli w drugim kącie sali, jak najdalej od zielonej kotary rozwieszanej między salą chorych a poczekalnią. Przycupnęli na skraju łóżka Ojca Storeya, plecami do drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Gdyby Cargill postanowił jednak wejść bez uprzedzenia, nie zauważyłby telefonu, a Harper miałyby czas, żeby wyłączyć go i wsunąć pod materac.

Przytrzymała przycisk zasilania. Ekran rozbłysł szarością, a zaraz potem zmienił się w gładką taflę obsydianowej czerni. Bateria wskazywała dziewięć procent.

Harper uruchomiła przeglądarkę i wpisała: *marthaquinn-inmaine*.

3

W małych słuchawkach iPhone'a rozległa się ledwie słyszalna tandetna, ale przyjemna dla ucha muzyka. Była to piosenka, którą Harper śpiewała, gdy miała osiem lat, udając, że drewniana łyżka to mikrofon, i wirując po kuchni w kapciach Miss Piggy. Ric Ocasek śpiewał do melodii, która ciągnęła się jak flaki z olejem, że potrzebuje właśnie takiej dziewczyny.

Na ekranie powoli ładowały się kolejne zdjęcia.

Pierwsze przedstawiało zbocze porośnięte wysoką, żółknącą trawą. Widoczny w tle ocean przywodził na myśl poobijaną stalową płytę. Martha Quinn stała w asyście dzieci - po pięć z każdej strony - obejmując w pasie dwoje najbliższych. Była kościstą kobietą pod sześćdziesiątkę o szelmowskiej, sympatycznej twarzy i zmrużonych oczach, jakby przymierzała się do opowiedzenia naprawdę dobrego żartu. Wiatr odgarniał z jej wysokiego czoła platynowe włosy. Podwinięte rękawy odsłaniały smoczą łuskę na przedramionach kobiety: złocisto-czarne ślimacznice, które przypominały starożytne znaki kanji.

Drugie zdjęcie załadowało się, kiedy piosenka dobiegła końca. Była na nim lekarka w białym kitlu, ładna Azjatka z notatnikiem w dłoni, kucająca, żeby zrównać się wzrokiem z uroczą dziewięciolatką. Dziewczynka przyciskała do piersi szopa maskotkę i śmiejąc się, marszczyła nos. Jej pulchne, nagie ramiona pokrywała smocza łuska. Zdjęcie zrobiono w białym, sterylnym szpitalnym korytarzu. W tle na ścianie widać było niewyraźny, rozmazany znak. Nie był istotną częścią zdjęcia, więc Harper zwróciła na niego uwagę przez przypadek... Zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok. Kiedy odczytała napis, gwałtowne emocje omal nie pozbawiły ją tchu; poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w splot słoneczny. Dwa proste słowa:

- *Pediatrics*
- *Oddział położniczy*

Wraz z pojawieniem się trzeciego zdjęcia Harper usłyszała głos

znany z powtórek programów z lat osiemdziesiątych na VH1 i MTV. Dźwięk był tak cichy, że deszcz dudniący o dach niemal całkowicie zagłuszał Marthę Quinn; mimo to Harper przyciszyła go jeszcze bardziej.

„Witam, witam. Czy właśnie tego potrzebowaliście? Cóż, oto czego z całą pewnością potrzebowałam ja. Jedna z wielu rzeczy, których było mi trzeba. A lista jest naprawdę długa. POTRZEBUJĘ wiedzieć, czy Michael Fassbender nadal żyje, bo, HELLO! Ten facet w wielu przypadkach miał rację. Rozpalał kobiety jeszcze przed pojawieniem się smoczej łuski. Wiecie, co mam na myśli? POTRZEBUJĘ nowych odcinków *Doktora Who*, ale nie spodziewam się zbyt wiele, bo idę o zakład, że wszyscy odpowiedzialni za produkcję nie żyją albo się ukrywają. Czy w ogóle jest jeszcze coś takiego jak Anglia? Mam nadzieję, że nie puściliście z dymem Wysp Brytyjskich! Czym byłby świat bez ich wkładu w kulturę: Duran Duran, Idrisa Elby i *To właśnie miłość*? Wyślij mi maila, Anglio, i daj znać, że wciąż się trzymasz!”

Kolejne zdjęcie przedstawiało ogromny namiot i ustawione w środku składane stoły. Centrum zarządzania. Przy stołach krzątały się niebieskowłose staruszki rodem ze szkolnych stołówek, choć te miały na sobie jaskrawe żółte skafandry obowiązkowe dla tych, którzy mieli kontakt z chorymi na gorączkę krwotoczną, wąglika czy smoczą łuskę. Jedna z korpulentnych staruszek wydawała koce, piżamy i kombinezony czteroosobowej rodzinie: starszemu mężczyźnie o krzaczastych brwiach, zmęczonej kobiecie koło trzydziestki i dwóm małym chłopcom o czuprynach koloru miedzi.

„Mam ochotę na ciasto brzoskwińowe. OGROMNĄ. I z przykrością muszę stwierdzić, że na całej wyspie Free Wolf nie znajdę ani kawałka ciasta brzoskwińowego, mamy za to nasz własny sad jabłkowy. Boże, nie mogę się doczekać, aż owoce dojrzeją i wypełnię koszyk ligolami, lobsterami, jonagoldami, spartanami, kosztelami, kortlandami, granny smithami, grahamami nortonami, edami nortonami... i innymi pysznościami. Tutaj wszystkie jabłka smakują wybornie! Chciałabym, żeby istniał owoc nazwany moim nazwiskiem. Ciekawe, jak smakowałaby odmiana Quinn. Pewnie jak rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy. Najlepsze W radiu jest to, że można wyobrazić mnie sobie dokładnie taką, jak wyglądałam w roku osiemdziesiątym

siódmym... marzenie każdego faceta. I mówiąc „każdego faceta”, mam na myśli nieśmiałych trzynastolatków, którzy zaczytywali się w komiksach i słuchali The Cure. Potrzebuję więcej paneli słonecznych. Mam tylko cztery, a do tego kiepskie. Tak, wiem, lepsze to niż nic. Tylko że, jak wiecie, mogę nadawać jedynie trzy godziny dziennie, po tym czasie transponder wydaje ostatnie tchnienie. Ale głowy do góry! Pewnie i tak nie słuchacie transmisji na żywo, lecz nagrania. Codziennie, koło jedenastej... plus minus dwadzieścia cztery godziny... uploadujemy nowe”.

Nick nie słyszał Marthy Quinn, ale widząc zdjęcia ładujące się na stronie, pochylił się i spoglądał na nie jak urzeczony.

„Czego jeszcze mi trzeba? Was! Więc ruszcie tyłki do Machias i przybywajcie, bo mamy tu kakao! I beczki pełne orzechów! I byłego prezentera pogody, który piecze niesamowity chleb w piecu opalonym drewnem! Wiecie, o czym mówię? Mówię o wyspie Free Wolf, dwadzieścia siedem kilometrów od wybrzeża Maine, o miejscu, w którym możecie się osiedlić, jeśli wy... tak, wy!... wygraliście los na loterii smoczej łuski! Mamy dla was łóżka! Ale to nie wszystko! Mamy też szpital z wykwalifikowanym personelem, w którym możecie poddać się eksperymentalnej terapii. Nawet teraz, gdy do was mówię, ja, Martha Quinn, jestem nasmarowana maścią, która cuchnie jak owcze bobki, i wiecie co? Nie spłonęłam żywcem przez cały dzień! Nie miałam nawet uderzenia gorąca! Ostatni raz coś takiego przydarzyło mi się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, jeszcze przed epidemią”.

Kolejne zdjęcie przedstawiało wyspę widzianą z wybrzeża: pas zieleni, kamienista plaża, rozsypane wzdłuż drogi chatki w stylu Nowej Anglii. Wschodzące lub zachodzące słońce rozpalało nad wodami ognistą flarę.

„Nikt tu nie używa słowa »lekarstwo«. Nikt nawet szeptem nie mówi o żadnym lekarstwie. Na wyspie jest sześciuset zainfekowanych, a ich największym problemem... oprócz *Draco tryptoczegośtam*... jest czekanie na efekty ostatniej terapii. Ale ostatnia osoba spłonęła dwanaście tygodni temu. Właśnie tak: sześciuset zainfekowanych i tylko jedna śmierć w ciągu trzech miesięcy”.

Na ostatnim zdjęciu stała starsza para z dzieckiem. Mężczyzna -

tyczkowaty, ze skórą ogorzałą od słońca i wysokimi kośćmi policzkowymi - patrzył w obiektyw zmęczonym wzrokiem. Jego żona była niską, pulchną kobietą z siateczką zmarszczek w kącikach oczu. Na ramieniu mężczyzny siedział pięcioletni chłopiec. Wszyscy troje mieli na sobie flanelowe koszule, dzinsy i wełniane czapki. Ręce kobiety pokrywały zlocisto-czarne pętle. Napis pod zdjęciem głosił:

*Sally, Neal i George Wannamaker przyjeżdżają do Centrum Zarządzania w Machias i przygotowują się do wyjazdu na wyspę Free Wolf. Czy WY macie na wyspie przyjaciół albo znajomych? **Kliknijcie** na galerię zdjęć - licznik wskazywał liczbę 602 - ludzi, którzy znaleźli schronienie i pocieszenie w strefie kwarantanny i badań na Wyspie Free Wolf.*

„Kiedy dotrzecie do Machias... a musicie uwierzyć, że skoro ja dotarłam, to i wam się uda... zostanieie skierowani do namiotu. Tam się wami zajmą. Dadzą wam poduszkę, koc śliczne papierowe kapcie i gorący posiłek. Wsadzą was na łódź i odeślą prosto do nas, gdzie dostaniecie jedzenie, ubrania i schronienie. A do tego będziecie mieli niepowtarzalną okazję, żeby zakumplować się z takimi osobistościami jak ja! I koleś, który pracował jako prezenter pogody dla kanału telewizyjnego w Augustie! Na co czekacie? Pakujcie rzeczy i ruszajcie w drogę. Wasze łóżka czekają. Czas się w nich wyspać.

Zaśpiewam jeszcze jedną piosenkę i wrócę z listą bezpiecznych tras z Kanady...”

Nick wskazał na zdjęcie wyspy i gestykulując, zapytał Harper:

„To prawdziwe miejsce?”

„No pewnie! - odparła w języku migowym. - Dobre miejsce dla chorych ludzi”.

„Kiedy wyruszamy?” - spytał ręce chłopca.

- Wkrótce - odparła, nieświadomie wypowiadając słowo na głos i jednocześnie gestykulując.

Na łóżku za ich plecami Ojciec Storey westchnął ciężko i cichym, pokrępiającym głosem powtórzył:

- Wkrótce.

4

Kiedy tętno Harper przestało galopować jak oszalałe, sprawdziła puls Ojca Storeya; objęła palcami jego chudy nadgarstek i przez chwilę monitorowała dudnienie krwi w żyłach. Serce jej pacjenta biło słabo i nierówno, ale pomyślała, że i tak jest lepiej niż poprzedniego dnia. Kiedy musnęła palcami jego bosą stopę, podkurczył palce i prychnął. W ubiegłym tygodniu równie dobrze mogłaby łaskotać bochenek chleba.

Naturalnie nie mogła zapytać Nicka, czy usłyszał to samo co ona, i po raz pierwszy zirytowała ją głuchota chłopca. Desperacko pragnęła, żeby ktoś, ktokolwiek, mógł potwierdzić, że się nie przesłyszała. Zastanawiała się, czy nie posłać po Carol. Może Tom zareagowałby na głos córki. Z tego, co mówiono, coś takiego już się zdarzyło. Nawet jeśli to się nie powtórzy, to Carol miała prawo wiedzieć, że jej ojciec przemówił.

Po chwili zastanowienia porzuciła jednak ten pomysł. Carol uradowałaby się, słysząc, że ojciec wraca do zdrowia, ale jej radość mogła zaczekać. Harper chciała porozmawiać z Tomem, zanim zrobią to inni. Chciała się dowiedzieć, co zapamiętał - jeśli w ogóle cokolwiek pamiętał - z tamtej nocy, kiedy otrzymał cios w głowę. Chciała ostrzec go przed tym, jak wydarzenia ostatnich miesięcy wpłynęły na Carol, czyniąc z niej zimną, nieufną kobietę. Powinien się dowiedzieć o masakrze na Verdun Avenue, o uzbrojonych dzieciach, które pałętały się po obozie, i ludziach, którym kazano wkładać do ust kamyki, żeby ich uciszyć.

Nie: tak naprawdę Tom nie musiał tego wiedzieć. To Harper chciała, żeby się o tym dowiedział. Chciała, by sprawił, żeby wszystko było jak kiedyś. Ach, jakże za nim tęskniła.

Siedziała przy nim przez całą noc, trzymała go za ręce i głaskała chude palce. Czasami do niego mówiła. „Przespaleś całą zimę jak niedźwiedź, Tomie Storeyu. Sople topnieją. Śnieg prawie zniknął. Czas się obudzić i wyjść z gawry na świeże powietrze. Nick, Allie, Carol i

John czekają na ciebie. Ja czekam na ciebie”.

Tom Storey więcej się jednak nie odezwał i wczesnym świtem Harper zasnęła z jego rękami na kolanach.

Nick obudził ją godzinę później. Wschodzące słońce przedzierało się przez mgłę, zmieniając ją w słodką bezę koloru cytryny.

„Spojrzał na mnie - powiedział chłopiec w języku migowym. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Puścił mi oczko i znowu zasnął. On wraca”.

Tak, pomyślała Harper. Wraca w samą porę i od teraz wszystko będzie już dobrze.

Kiedy później wspominała te słowa, roześmiała się. Mogła tylko śmiać się albo płakać.

5

Harper musiała oczyścić umysł, zastanowić się, dlatego wyszła na przejmujący chłód. Nikt jej nie zatrzymywał. Wszyscy zgromadzili się w kaplicy. Słyszała, jak śpiewają, i widziała tajemnicze światło, które cienką smugą wylewało się spod zamkniętych czerwonych drzwi.

Najzabawniejsze było to, że śpiewali Dym dymi tu, piosenkę, której raczej nie słyszało się w kościele. Prawie każdy w obozie widział, jak ktoś, kogo kochali, ginął w płomieniach; wszyscy tu obawiali się, że spotka ich to samo. Mimo to ich głosy -drżące w histerycznym uniesieniu - wznosiły się, z nadzieją wychwalając popioły i sadzę. Zostawiła te głosy za sobą.

Powietrze było czyste i rześkie, przez co spacer był prawdziwą przyjemnością. Harper zostawiła swój brzuch i dziecko w sali chorych; potrzebowała odpocząć od bycia w ciąży. Dobrze było znów być szczupłą. Pozwoliła myślom, by płynęły, dokąd chciały, i zanim się obejrzała, dotarła do miejsca, gdzie droga gruntowa z obozu łączyła się z Little Harbor Road. Zapuściła się dalej, niż planowała, dalej, niż to było bezpieczne. Rzuciła okiem na rdzewiejący, zdezelowany niebieski szkolny autobus, spodziewając się, że lada chwila naskoczy na nią któryś ze strażników. Czyjaś wymizerowana postać siedziała Pochylona nad kierownicą. Ktokolwiek to był, musiał się zdrzemnąć.

Zamierzała zawrócić, kiedy zobaczyła na drodze mężczyznę.

Na środku Little Harbor Road, niecałe trzydzieści metrów dalej, jakiś facet wił się po ziemi jak żołnierz próbujący przeczołgać się pod zasiekami z drutu kolczastego. Albo nie: wyglądał jak ktoś, komu nogi odmówiły posłuszeństwa. Gdyby nadjechał teraz jakiś samochód, przejechałby go. Nieznajomy przedstawiał sobą żałosny widok, gdy tak pełzał po zmarzniętym asfalcie.

- Hej! - krzyknęła Harper. - Hej, ty tam!

Podniosła łańcuch rozwieszony w wejściu do obozu i żwawym krokiem ruszyła ku nieznanemu. Musiała się nim zająć i zabrać go z drogi, zanim nadjedzie jakiś samochód. Krzyknęła do niego raz jeszcze.

Mężczyzna podniósł głowę, ale jego twarz pozostała w cieniu: krągła, pulchna, nalana twarz z rzadzącymi włosami na czubku głowy. Harper przyspieszyła kroku i ukłękła przy nieznanym.

- Potrzebuje pan lekarza? - spytała. - Da pan radę wstać? Jestem pielęgniarzką. Jeśli może pan wstać, proszę dać mi rękę, zaprowadzę pana do izby chorych.

Nelson Heinrich podniósł głowę i uśmiechnął się do niej promiennie. Zęby miał czerwone od krwi. Ktoś odciął mu nos, pozostawiając na twarzy ziejące czerwienią, poszarpane dziury.

- W porządku, Harper. Dotarłem już tak daleko. Resztę drogi pokonam bez twojej pomocy.

Cofnęła się przerażona i usiadła na drodze.

- Nelson. Mój Boże, Nelson, co się stało?

- A jak myślisz? - odparł pytaniem na pytanie. - Twój mąż mi to zrobił. A teraz to samo zrobi z tobą.

Błysnęły reflektory, zalewając ich falą światła. Silnik freight-linera obudził się do życia, zgrzytnęła dźwignia zmiany biegów.

- No już, Harper. Wracaj do obozu - wyrzucił Nelson. - Wkrótce się zobaczymy.

Zakryła twarz rękami, chcąc osłonić oczy przed światłem, a kiedy opuściła ręce, siedziała wsparta na łokciach w sali chorych, walcząc z kolejnym, bolesnym skurczem.

- Te sny zwiastują przedwczesny poród - szepnęła do siebie. Nelson Heinrich nie sprowadzi do obozu Szwadronu Kremacyjnego. Nelson Heinrich nie żyje. Podziurawiły go kule. Widziałaś, jak leżał martwy na drodze. Widziałaś go.

Zabawne, ale im dłużej to sobie powtarzała, tym mniej wierzyła we własne słowa.

6

Minęło pięć dni, zanim Ojciec Storey znowu się odezwał.

- Michael? — mruknął niewyraźnie skonsternowanym, ciekawskim głosem i po chwili Michael Lindqvist odsunął kotarę i zajrzał do izby chorych.

- Wołała mnie pani? - zwrócił się do Harper.

Na dźwięk głosu Ojca Storeya jej serce zaczęło bić szybciej, krew uderzyła jej do głowy. Otworzyła usta, żeby powiedzieć Michaelowi, że to Ojciec Storey, ale ugryzła się w język. Michael powiedziałby o wszystkim Allie - Harper wiedziała, że nie potrafiłby się powstrzymać - i kto wie, do czego by to doprowadziło.

- Tak - odparła. - Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś przekazał coś Allie.

- Nie ma problemu.

- Obawiam się, że tym razem chodzi o coś więcej. Muszę jeszcze raz spotkać się ze strażakiem i tym razem chcę, żeby Allie popłynęła ze mną. Allie, Renee i Don Lewiston. Ty też, jeśli da się to jakoś załatwić. A także, jeśli to możliwe, Gil Cline i Mazz. Myślisz, że jest szansa... jakakolwiek szansa... żeby to się udało?

Michael zbladł. Przysiadł na skraju blatu, spuścił głowę i zaczął nerwowo szarpać rudawą bródkę. W końcu podniósł wzrok.

- O czym będziemy rozmawiać?

- O ewentualnym odejściu. O ewentualnym pozostaniu w obozie. Niektórzy z nas powinni poczynić przygotowania na przyszłość. Na razie stan Ojca Storeya jest stabilny. Ale jeśli gwałtownie się pogorszy, musimy być gotowi.

- Na najgorsze?

- Na wszystko.

- Jeśli Carol dowie się, że byliście na wyspie i układaliście się ze strażakiem, zamknie was wszystkich. Albo wymyśli coś gorszego.

- Nawet jeśli nic nie zrobimy, może nas spotkać coś gorszego.

Michael otarł wierzchem dłoni piegowate czoło i w zamyśleniu

spuścił głowę. W końcu z ociąganiem skinął głową.

- Wiem, jak to zrobić. To nie to samo co ucieczka z San Quentin. Renee codziennie odwiedza więźniów w czasie lunchu... o tej porze odbywają się spotkania klubu książki. Tylko wtedy więźniowie mogą opuścić chłodnię. Renee uprzątnęła część piwnicy, położyła na podłodze dywan i ustawiła krzesła, żeby stworzyć miłe miejsce do czytania i dyskusowania. Podczas ich spotkań strażnik sprząta chłodnię. Opróżnia wiadro, do którego sikają, zbiera brudne ubrania i takie tam. Może więc, kiedy tam będzie, Mazz wróci niby przypadkiem i powie: „Ups, zapomniałem książkę”, a wychodząc, zamknie drzwi. Strażnik utknie tam na całą godzinę. Będzie mógł dobijać się i krzyżeć ile wlezie. Przy zamkniętych drzwiach chłodnia jest dobrze wytłumiona. W trakcie lunchu, kiedy jest głośno, nikt go nie usłyszy.

Ale Renee i więźniowie będą musieli przejść przez stołówkę.

Chłopak pokręcił głową.

- Jest jeszcze jedno wyjście z piwnicy. Schody prowadzące na parking z tyłu budynku. Pewnie tam podjeżdżały ciężarówki z zaopatrzeniem. Te drzwi są zamknięte od zewnątrz na dwie kłódki, ale mogą dopilnować, żeby były otwarte. Renee, Gil i Mazz będą musieli wrócić przed pierwszą, bo wtedy kończą się spotkania klubu. Renee wypuści strażnika i powie: „Oj, wybacz, nie wiedzieliśmy, że siedziałeś tam przez cały czas, a przez ten hałas w stołówce nic nie słyszeliśmy”. Wartownik się wkurzy, ale załóżę się, że nie piśnie słówkiem Benowi Patchettowi. Będzie mu zbyt głupio. Poza tym, kto by chciał ryzykować, że przez dwa dni każą mu trzymać w ustach kamyk, skoro nikomu nic się nie stało?

Nick przyglądał się im. Twarz miał bladą i spoconą, kolana podciągnął pod brodę. Nie mógł wiedzieć, o czym rozmawiają, nie potrafił czytać z ruchu warg, ale minę miał tak przerażoną, jakby patrzył na dzieci bawiące się laskami trotylu.

- Dobrze, Michaelu. Dobrze - odparła Harper. - To proste. A w tym przypadku im prościej, tym lepiej, nie sądzisz?

Chłopak musnął kciukiem rude, ciasno splecione warkoczyki na brodzie.

- Wszystko pięknie... pod warunkiem że więźniowie nie wpadną na pomysł, żeby ogłuszyć Renee i dać nogę zaraz po tym, jak wyjdą z

piwnicy.

- Nie musieliby jej ogłuszać - rzuciła Harper. - Gdyby postanowili uciec, Renee uciekłyby razem z nimi. Ale myślę... myślę, że przekona ich, że będą mieli większe szanse na przeżycie, jeśli uciekną razem ze strażakiem. Oni nie tylko chcą uciec, chcą też przetrwać. - Wciąż pamiętała, jak Gil zwracał się do Johna: z podziwem i czymś graniczącym z czcią.

- Hm... może. Ale myślę, że dobrze by było, gdyby na parkingu czekała na nich uzbrojona Allie. Nie musi trzymać ich na muszce. Wystarczy, że będzie miała broń. Kiedy może opuścić sypialnię, zwykle wykonuje przydzielone jej prace. Mógłbym załatwić, żeby tej nocy musiała szorować garnki. Ben Patchett wyznacza kary, ale to ja informuję o jego decyzjach. Dlatego Allie weźmie z kuchni wszystkie garnki, wyniesie je na zewnątrz i znajdzie broń, którą dla niej zostawię. Zaczeka przy drzwiach do piwnicy na Renee i więźniów. Ona również będzie musiała wrócić przed pierwszą.

Harper zaczęła się niepokoić. Tak wiele rzeczy mogło pójść nie po jej rzytli.

- A co z Donem Lewistonem? - zapytała.

- Z nim pójdzie najłatwiej. Większość czasu spędza nad wodą, wędkując. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Nikt go nie obserwuje. Spotka się z wami na przystani i zabierze na wyspę.

- A ty? - dopytywała Harper. - Dołączysz do nas? Chciałabym, żebyś też tam był. Myślę, że. Allie też by tego chciała.

Uśmiechnął się do niej przeproszająco i uprzejmie pokręcił głową.

- Nie. Lepiej nie. Przypilnuję, żebym w tym czasie miał wartę w izbie chorych, żebym w razie czego mógł panią kryć. Poza tym nie muszę brać udziału w spotkaniu. Allie wszystko mi opowie. - Spojrzał ukradkiem na Nicka i dodał: - Weźcie też dzieciaka. Założę się, że chciałby zobaczyć się z siostrą. I z Johnem.

- Mam ogromną ochotę uścisnąć cię bardzo, bardzo mocno, Michaelu Lindqvist - wyznała Harper.

- W takim razie proszę się nie krępować.

Ale Nick nie chciał iść.

Kiedy nadeszła pora, siedział na wysłużonym krześle przy łóżku Ojca Storeya i czytał komiks, w którym człowiek z płomieni walczył z ogromnym, pomarańczowo-żółtym robotem, przypominającym chodzącego freightlinera z reflektorami zamiast oczu i łopatami zamiast dłoni. Powiedział, że chce zostać z dziadkiem.

„A jeśli obudzi się, a nas nie będzie? - zapytał w języku migowym. — Ktoś powinien tu być na wypadek, gdyby otworzył oczy”.

„Michael zostanie” - odparła Harper.

Nick pokręcił głową. Minę miał poważną.

„To nie to samo”. A zaraz potem dodał: „Ostatnio często się wierci. Może obudzić się w każdej chwili”.

Miał rację. Czasami Tom Storey nabierał powietrza i wzdychał z zadowoleniem... albo pomrukiwał nagle, jakby przyszła mu do głowy zaskakująca myśl. Innym razem podnosił rękę i przez chwilę drapał się po mostku. Harper najbardziej lubiła jednak, gdy dotykał palcem ust, jakby chciał powiedzieć „ćśśś”, i rozciągał usta w uśmiechu. Widząc to, myślała o dzieciach, które przywoływały się do wspólnej kryjówki podczas gry w chowanego. Tom siedział w swojej od miesięcy i może był gotów wyjść z ukrycia.

Przytaknęła, pogłaskała Nicka po głowie i zostawiła go w towarzystwie komiksu i milczącego dziadka. Michael był w poczekalni, a razem z nim... Don Lewiston, który przyszedł towarzyszyć Harper w drodze na przystań. Miał na sobie kraciasty zimowy płaszcz i czapkę z nausznikami; jego nos był czerwony z zimna. Don stał w na wpół otwartych drzwiach. Michael też był na nogach, sprawiał wrażenie, jakby nie potrafił znaleźć sobie miejsca, więc krążył po poczekalni, obracając w dłoniach zwinięty w ciasny rulon pomięty numer „Rangera Ricka”.

- Nick nie idzie - oznajmiła Harper. - Może i dobrze. Gdyby pojawił się Ben, nie zdziwi się, jeśli mu powiesz, że się położyłam. My, kobiety

w ciąży, ucinamy sobie drzemkę, kiedy przyjdzie nam ochota. Ale gdyby nie zobaczył ani mnie, ani Nicka, nabrałby podejrzeń.

Michael pobladał do tego stopnia, że nawet jego usta wydawały się szare. Harper zastanawiała się, czy właśnie teraz, w kluczowym momencie, opadły go wątpliwości.

- Wszystko w porządku? - zwróciła się do niego, ale odezwał się Don.

- Pozostali są już w drodze na wyspę - odparł, jakby pytała o rozwój wydarzeń. — W lesie spotkałem Allie, Renee i więźniów. Zamknęli w chłodni Chucka Cargilla. Podobno wrzeszczał wniebogłosy i kilka razy kopnął drzwi, ale Renee mówi, że wystarczy odejść kilka kroków, a wszystko zlewa się z hałasem ze stołówki.

- Idźcie już - rzucił Michael. - Zajmę się wszystkim. Siostrze Willowes, nie musi się pani martwić ani spieszyć. Mogę panią kryć aż do świtu, kiedy kończy się moja warta. Pozostali nie mają za dużo czasu. Jeśli więźniowie nie wrócą za czterdzieści pięć minut, wszyscy będziemy mieć przechłapanie.

Harper podeszła do niego i ujęła go za rękę, zmuszając, by przestał bawić się gazetą. Pochyliła się i pocałowała go w zimne, suche czoło.

- Jesteś bardzo odważny, Michaelu - powiedziała. - Jesteś jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich znam. Dziękuję.

Przygarbił się, jakby uszło z niego powietrze.

- Proszę mnie nie przeceniać. Raczej nie mam dużego wyboru. Jeśli się kogoś kocha, zrobi się wszystko, żeby go ocalić. Nie chciałbym spojrzeć na to z perspektywy czasu i dojść do wniosku, że mogłem się na coś przydać, że mogłem pomóc, ale za bardzo się bałem.

Dotknęła jego różowego policzka, ale chłopak unikał jej wzroku.

- Powiedziałeś o tym Allie? Że ją kochasz?

Przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wprost. - Zaryzykował i spojrzał na Harper. - Nie powie jej pani, prawda? Wolałbym, żeby to zostało między nami.

- Oczywiście, że nic nie powiem - zapewniła go. - Ale nie zwlekaj z tym, Mike. W dzisiejszych czasach odkładanie ważnych rzeczy na jutro nie jest chyba najlepszym pomysłem.

Don przytrzymał przed nią drzwi i wyszli oboje w mroźną noc. Gwiazdy były widoczne jak na dłoni. Pomosty z sosnowych desek biegingy zygzakami między budynkami, ale śnieg zniknął zastąpiony

zmarzniętym błotem poślubionym koleinami.

Zeszli z desek i ruszyli między drzewa w dół zbocza. Nie musieli się martwić, że zostawią ślady. O tak wczesnej porze ziemia była zamrznięta i pokryta opalizującymi drobinkami szronu. Don Lewiston podał Harper ramię, a ona wzięła go pod rękę, przez co wyglądali jak stare dobre małżeństwo.

W połowie drogi na plażę zatrzymali się. Z kościelnej wieżyczki dobiegał słodki dziewczęcy śpiew. Harper pomyślała, że to jedna z bliźniaczek Neighbors. W liceum obie śpiewały a capella. Dźwięk niósł się w mroźnym, czystym powietrzu tak niewinny i słodki, że Harper dostała gęsiej skórki na ramionach. Był to jeden z wcześniejszych utworów Taylor Swift, rzewna piosenka o Romeo i Julii... która przypominała jej inny - starszy - utwór o parze nieszczęśliwych kochanków.

- W tym obozie jest wielu dobrych ludzi - zwróciła się do Dona. - Może przyklasnęli złym pomysłom, ale tylko dlatego, że się boją.

Don zmrużył oczy i zerknął w stronę wieżyczki.

- Na pewno ma piękny głos. Mógłbym go słuchać przez całą noc. Zastanawiam się jednak, czy dalej miałabyś takie dobre zdanie o tym obozie, gdybyś słyszała jego mieszkańców, jak śpiewali razem kilka godzin temu. Na początku rzeczywiście brzmiało to jak śpiew, ale po chwili wszyscy zaczęli nucić pod nosem jakąś długą, idiotyczną melodię. Słuchając ich, czułem się, jakbym siedział w gigantycznym ulu, w którym wszyscy dookoła spalali się od wewnątrz. Ich oczy... płonęły. Ci ludzie nie dymią, ale wytwarzają tyle ciepła, że można od tego zemdleć. Czasami nuca tak głośno, że mam wrażenie, jakby czaszka mi wibrowała, i muszę zatkać usta pięścią, żeby nie zacząć krzyczeć.

Podjęli przerwany marsz. Kamienie i ziemia chrzęściły pod butami.

- A ty nie możesz do nich dołączyć? Nie lśniesz?

- Zdarzyło się kilka razy. Ale źle się potem czuję. Nie chodzi o intensywność... chociaż, kiedy wychodzę ze Światłości, głowa boli mnie tak, jakbym wlał w siebie butelkę whisky. Najgorsze jest to, że zapominam, kim jestem. Już samo to jest fatalne, ale kiedy pomyślę sobie, że mogę być Carol... To tak, jak gdyby twoje myśli były odległą stacją radiową, a stacja Carol była bliższa i zagłuszała muzykę, którą

nadaje twoja głowa. Jej myśli są głośniejsze i bardziej wyraźne, podczas gdy twoje tracą na sile. Zaczynasz myśleć, że Tom Storey naprawdę jest twoim ojcem, który leży w izbie chorych z roztrzaskaną głową, a świadomość tego, że człowiek, który mu to zrobił, nie został ukarany, wywołuje w tobie taką wściekłość, że aż się gotujesz. Zastanawiasz się, czy nie jesteś następny w kolejce i czy jakieś złe siły nie sprzysięgły się przeciwko tobie. W głębi serca czujesz, że jeśli masz umrzeć, to chcesz umrzeć z pieśnią na ustach, razem z całym obozem. Trzymając się z innymi za rękę. Niemal masz nadzieję, że nagle pojawi się Szwadron Kremacyjny. Czujesz, że koniec oznacza ulgę, i nie boisz się śmierci, bo wiesz, że spłoniesz otoczona ludźmi, których kochasz.

Harper zadrżała i szukając ciepła, przywarła do Dona.

Dotarli na przystań i Harper z radością przyjęła pomoc Dona przy wsiadaniu do łodzi. W ostatnich miesiącach dość często pływała na wyspę, ale tej nocy po raz pierwszy czuła się niepewnie, jakby się bała, że straci równowagę.

Niebawem plaża została za ich plecami. Don siedział na ławce między wiosłami, pochylając się do przodu i odchylając w tył, tak że momentami jego ciało tworzyło prostą linię. Miał swoje lata, ale był jak suszona wołowina: twardy i żyłasty.

Bez namawiania wrócił do przerwanej rozmowy.

- Niedobrze jest mieć głowę pełną Carol. Niedobrze jest nie pamiętać własnego imienia czy imienia swojej matki. Ale powiem ci coś. Kilka miesięcy temu spotkaliśmy się na wspólne śpiewanie. Po wszystkim Carol wygłosiła coś w rodzaju kazania. Mówiła, że to, co wydarzyło się przed epidemią smoczey łuski, nie ma znaczenia. Wraz z chorobą zaczął się dla nas zupełnie nowy rozdział i liczy się jedynie to, co tu i teraz, nasze życie we wspólnocie, nie to, które prowadziliśmy kiedyś. Potem znowu zaśpiewaliśmy i lśniliśmy wszyscy, nawet ja, a na koniec wytoczyliśmy się z kaplicy jak pijani marynarze w sylwestra. A ja zapomniałem... - urwał, pochylił się do przodu i machnął wiosłami - ...zapomniałem o swoim przyjacielu, Billym Ellroyu, z którym łowiłem razem przez trzydzieści lat. Zupełnie wyleciał mi z głowy. Nie na kilka godzin. Na kilka dni. Spędziłem z nim na łodzi najlepsze lata swojego życia. Trudno powiedzieć, jak cudowne to były lata. Wypływaliśmy na trzy tygodnie, wracaliśmy i wyładowywaliśmy połów w Portsmouth,

płynęliśmy na Harbor Islands, zarzucaliśmy kotwicę i szliśmy na piwo. Nienawidziłem wracać do domu. Uwielbiałem każdą chwilę spędzaną z Billym. Lubiałem siebie takiego, jakim byłem przy nim. — Na chwilę przestał wiosłować. Łódka zakołysała się na falach. — Kiedy z nim byłem, czułem się tak, jakbym miał pod sobą cały ocean. Niewiele mówiliśmy. nie musieliśmy. Człowiek nie rozmawia z oceanem, a ocean nie odpowiada. Po prostu pozwalasz, żeby cię... niósł. - Znowu machnął wiosłami. - Hm... kiedy nagle dotarło do mnie, że straciłem go na jakiś czas, że został wymazany z mojej pamięci, uznałem, że mam dość tego miejsca. Nikt nie odbierze mi Billy'ego Ellroya. Nikt. Choćby nie wiem co. Nikt nie zniszczy naszej przyjaźni. Ubiegłej jesieni w obozie grasowała złodziejka i gdyby Carol ją złapała, nakarmiłaby nią, kawałek po kawałku, dzikie zwierzęta. Ale coś ci powiem. To, co wykrada się nam każdej nocy, kiedy wspólnie śpiewamy, jest dużo ważniejsze od tego, co ukradła ta kobieta. I choć wiemy, kto dopuszcza się kradzieży, zamiast zamknąć tę osobę, wybieramy ją na swojego przywódcę.

Zamilkł. Na wszelki wypadek podpłynął do północnego krańca wyspy, gdzie mógł zacumować, nie ryzykując, że ktoś przypadkiem zauważy łódź. Oprócz ich łódki Harper dostrzegła dwa kajaki, które ktoś wciągnął na wąski pas żwiru. Nieco dalej, na stalowym wózku, przykryta białą plandeką, stała dziesięciometrowa żaglówka.

- Jak myślisz, co się stało ze złodziejką? - zapytała Harper. - Przez całą zimę w obozie nie doszło chyba do żadnej kradzieży.

- Może skończyły się rzeczy, które mogłaby ukraść - odparł. - A może w końcu dostała to, czego chciała.

Patrzyła, jak Don pochyla się i odchyła, pochyla i odchyła, i pomyślała, że potęga Światłości nie może równać się z uczuciem, jakie daje bliskość kogoś, kogo kocha się całym sercem. Światłość odbierała, a ta bliskość dawała człowiekowi dostęp do najlepszej, najszcześniejszej wersji własnego „ja”. Lubiałem siebie takiego, jakim byłem przy nim, powiedział Don Lewiston i Harper zastanawiała się, czy w jej życiu był ktoś, przy kim czuła się tak samo. W tym momencie dno łodzi zachrząściło na wilgotnym piasku i usłyszała głos Dona:

- Chodźmy na spotkanie ze strażakiem, co?

8

Przed wyjściem z łodzi Harper sięgnęła pod ławeczkę i znalazła ukrytą płócienną torbę na zakupy z butelką taniego rumu o smaku bananowym i kartonem papierosów Gauloises. Don czekał na nią w połowie łupkowej plaży, przy dziobie białej żaglówki. Kiedy go dogoniła, trzymał rękę na kadłubie.

- Potrafisz nią pływać? - zapytała go.

Uniósł brew i rzucił jej ukradkowe, rozbawione spojrzenie.

- Gdybym musiał, popłynąłbym nią do egzotycznego Szanghaju.

- Myślałam raczej o popłynięciu w górę wybrzeża.

- Aha - bąknął. - To byłoby prostsze.

Szli ramię w ramię w górę wydmy wąską, zarośniętą chwastami ścieżką; z drugiej strony wzgórza zeszli do chaty strażaka. Don podniósł rygiel i otworzył drzwi - na śmiech, ciepło i pełgające złociste płomienie.

Renee stała przy piecu, w rękawicach, i trzymała za ucho czajnik nad żarzącymi się węgielkami. Obok niej, pod ścianą, siedział na krześle Gilbert Cline. Obserwuje drzwi jak ktoś gotowy w każdej chwili wyjść, jeśli nie spodoba mu się towarzystwo, pomyślała Harper.

Mazz siedział w jednym końcu pryczy strażaka, John w drugim i obaj trzęśli się ze śmiechu. Szeroka, brzydka twarz więźnia przybrała czerwoną barwę, a jego oczy były wilgotne od łez. Wszyscy - prócz Gila - patrzyli na Allie, która stała przy wiadrze, naśladując sikającego mężczyznę. Miała na głowie należący do Johna hełm strażacki i trzymała w okolicach krocza plastikową zapalniczkę.

- To druga najfajniejsza rzecz, jaką mogę zrobić ze swoją fujarą! - ogłosiła z okropnym brytyjskim akcentem. Zapaliła zapalniczkę, udając, że jej przyrodzenie tryska ogniem. - Raz -dwa rozpalę ognisko, ale jeśli naprawdę zależy wam na szybkim upieczeniu hot dogów, pochylę się i...

Urwała na widok stojącej w drzwiach Harper. Jej uśmiech zgasł podobnie jak płomień zapalniczki.

Tymczasem John nie przestawał trząść się ze śmiechu. Skinął na Mazza i wyjaśnił:

- Coś takiego naprawdę kiedyś mi się przydarzyło. Ale to było przed epidemią i odrobina penicyliny załatwiła sprawę.

Mazz ryknął śmiechem tak rechotliwym, że nie sposób było się nie roześmiać. Nawet Allie uśmiechnęła się przelotnie.

- Jejku! - rzuciła. - Panno Willowes, ależ ma pani ogromny brzuch.

- Dobrze znów słyszeć twój głos, Allie. Minęło trochę czasu. Tęskniłam za nim.

- Nie wiem dlaczego. Zwykle, kiedy otwieram usta, ktoś przeze mnie cierpi.

Dziewczyna spuściła wzrok i skrzywiła się. Trudno było patrzeć, jak próbuje opanować łzy; wszystkie mięśnie jej twarzy walczyły z nagłym przyływem emocji. Harper wzięła ją za rękę, a kiedy to zrobiła, Allie przegrała walkę i rozplakała się.

- Czuję się podle - wyznała. - Myślałam, że będziemy Przyjaciółkami, a wszystko spieprzyłam. Przepraszam.

- Och, Allie - szepnęła Harper i spróbowała ją przytulić, Przeszkodził jej w tym jednak duży ciążowy brzuch. Dziewczyna wydała stłumiony dźwięk: ni to szloch, ni to śmiech. - Ależ jesteśmy przyjaciółkami. I jeśli mam być szczerą, od dawna nosiłam się z zamiarem obcięcia włosów.

Tym razem Harper była pewna, że Allie się roześmiała, choć był to zduszony śmiech, bo dziewczyna wtuliła twarz w jej pierś.

W końcu Allie się odsunęła i otarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki.

- Wiem, że w obozie źle się dzieje. Wiem, że wszystkim odbija, zwłaszcza mojej ciotce. To przerażające. Ona jest przerażająca. Grożenie, że odbierze ci dziecko, jeśli dziadek umrze, kiedy ty zrobiłaś wszystko, co można... to chore i popieprzone.

- Jak to? - John pochylił się, mina mu zrzędała.

- Źle się czuleś. - Harper obejrzała się przez ramię. - Nie chciałam cię denerwować. A tak przy okazji, wyglądasz dużo lepiej.

- Tak - przyznał. - Antybiotyki i smocza łuska mają wiele wspólnego. Jedno zabija bakterie, drugie zabija nas. Szkoda że nie ma pigułki, która wyleczyłaby nas z Carol Storey. Ta kobieta postradała zmysły. Na pewno nie mówiła poważnie. Odebrać ci dziecko? Co za bzdura!

- Carol powiedziała... - zaczęła Harper - ...powiedziała, że jeśli Tom umrze, obarczy za to odpowiedzialnością mnie i wygna z obozu. Dziecko zatrzyma. Dzięki temu będzie miała pewność, że jeśli wpadnę w łapy patrolu kwarantannowego albo Szwadronu Kremacyjnego, nie pisnę słówkiem o obozie Wyndham.

- Nie chodzi tylko o to - wtrąciła Allie. - Ona naprawdę chce, żeby dziecko było bezpieczne. Chce nas chronić. Wszystkich. - Rozejrzała się po pokoju, patrząc na każdego z nich z osobna, po czym dodała niemal błagalnie: - Wiem, że jest okropna. Robi teraz straszne rzeczy. Ale ciotka Carol oddałaby życie za mieszkańców obozu. Bez wahania. Ona naprawdę ich kocha... przynajmniej tych, co do których nie ma podejrzeń. Pamiętam, jaka była, zanim dziadkowi przydarzył się ten wypadek. Była dobrym człowiekiem. Wiedziała, że może pomóc ludziom, śpiewając, grając dla nich i pokazując im, jak dołączyć do Światłości. Była idealną przyjaciółką. Kiedy pościłam się z mamą, mogłam pójść do niej i wypłakać się. Robiła mi herbatę i kanapki z masłem orzechowym. Wiem, że jej nienawidzicie, i wiem, że musimy coś zrobić, ale nadal ją Kocham i chcę, żebyście to wiedzieli. Jest porąbana, tylko że ja nie jestem lepsza. U nas to chyba rodzinne.

John odprężył się i oparł plecami o ścianę.

- U was rodzinna jest przyzwoitość, Allie. A także odwaga. I charyzma. Wszyscy krążą wokół was, Storeyów, jak ćmy wokół świecy.

Harper pomyślała odruchowo o tym, jak zwykle kończą się romanse ciem i świec: ćmy podlatują zbyt blisko ognia, a ich skrzydełka stają w płomieniach. Uznała jednak, że nie jest to odpowiednia chwila, by dzielić się tymi przemyśleniami z resztą towarzystwa.

Następnie głos zabrał Gilbert Cline, siedzący przy piecu. Kiedy spojrzała na niego, zauważyła, że jedną ręką obejmuje Renee w talii.

- Dobrze jest choć na chwilę wyrwać się z chłodni. Zakładam, że następnym razem, kiedy wyjdę zaczerpnąć świeżego powietrza, nie będę musiał tam wracać. Tymczasem zostało nam pół godziny. Jeśli mamy coś postanowić, musimy się pośpieszyć.

Mazz zadarł głowę i spoglądał znad bulwiastego nosa na torbę Harper.

- Nie wiem jak wy, ale mnie zawsze najlepiej myśli się przy kielichu. A coś mi mówi, że siostrzyczka przyniosła dokładnie to, co zalecił

lekarz.

Harper wyjęła z torby butelkę rumu bananowego.

- Don, znajdziesz jakieś szklanki?

Rozlała po odrobinie rumu do wyszczerbionych filiżanek na kawę, cynowych kubków i szklanek, które Don rozdał wszystkim. Ostatnią filiżankę Harper wręczyła Allie.

- Poważnie? - spytała dziewczyna.

- Smakuje lepiej niż kamyk.

Allie jednym łykiem opróżniła zawartość naczynia i skrzywiła się.

- Boże - mruknęła. - Wcale nie. Smakuje jak szczyny. Jak benzyna zamieszana batonem Butterfinger. Albo zepsuty koktajl bananowy. Obrzydlistwo.

- Chcesz jeszcze? - zapytała Harper.

- Poproszę - odparła Allie.

- Przykro mi - rzuciła Harper. - Ale jesteś najmłodsza i przysługuje ci tylko jedna kolejka.

- Kiedyś jadłem sardynki z puszki i wypijałem zalewę olejową... to dopiero było paskudztwo - wyznał Don. - W oleju pływały maleńkie rybnie ogony, oczy, cholerne wnętrzości i czarne gumowate nitki rybich odchodów, ale i tak to piłem. Po prostu nie mogłem się powstrzymać.

- Widziałem raz film o kolesiu, który twierdził, że jadł psy i żył jak pies - dodał Gil. - Nigdy nie jadłem psa, ale w Brentwood był koleś, który łapał i jadł myszy. Mówił na nie „piwniczne kurczaki”.

- Najgorsza rzecz, jaką w życiu jadłem? - zastanawiał się głośno Mazz. - Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale miała na imię Ramona.

- Uroczo, Mazz. Bardzo smacznie - skwitowała Renee.

- Prawdę mówiąc, nie była ani trochę smaczna - odparł więzień.

- A skoro już o tym mowa: zamierzasz zjeść łożysko? - Renee zwróciła się do Harper. - Pytam poważnie. W księgami mieliśmy przewodnik dla ciężarnych z całym rozdziałem z przepisami, w których głównym składnikiem były łożyska. Omlety, sosy do makaronu i inne takie.

- Nie sądzę - odparła Harper. - Jedzenie łożyska trąci kanibalizmem, a ja liczyłam na bardziej godną apokalipsę.

- Samice królików zjadają swoje małe - wtrącił Mazz. - Dowiedziałem się tego z *Wodnikowego wzgórza*. Wygląda na to, że matki często

pożerają swoje dzieci. Wcinają je jak mięsne drażetki.

- Najgorsze jest to, że wypiliście tylko po jednym drinku -uznała Allie.

- A więc kto będzie kapitanem tego statku? - zapytał ni stąd, ni zowąd Don. - Kto wyznaczy kurs?

- Jesteś uroczy, kiedy posługujesz się terminologią żeglarską - powiedział John Rookwood.

- Don ma rację - zauważyła Renee. - To najważniejsza rzecz. Musimy głosować.

- Głosować? - Harper miała niejasną świadomość, że ona jedna nie uśmiecha się znacząco, co odrobinę ją irytowało.

- Musimy zdecydować, kto będzie mózgiem całej operacji -odparła Renee. - Trzeba wybrać kogoś, kto ustali porządek naszych spotkań. Kto będzie o wszystkim decydował. Kto podejmie decyzję, kiedy nie będzie czasu na głosowanie, i kto będzie nami dowodził.

- To głupie. Jest nas siedmioro. Ośmioro, jeśli liczyć Nicka.

Don Lewiston uniósł brwi i spojrzał wyczekująco na Renee.

- Dodaj jeszcze piętnastu - sprostowała Renee.

- Siedemnastu - rzucił Don. - Bracia McLee są z nami.

- To znaczy, że... Co? Że dwadzieścia pięć osób chce... opuścić obóz? - spytała Harper. Armia Dumbledore'a, pomyślała. Drużyna pierścienia.

- Albo uderzyć w Bena i Carol i odbić ten przeklęty obóz - odparł Don. Widząc, że Allie zbladła, dodał pospiesznie: - Odbić go bez użycia siły. Grzecznie. Kulturalnie.

- Możemy ustalić pewne rzeczy w drodze głosowania -Powiedziała Renee. - Ale ponieważ działamy w ukryciu, niektóre wybory będą wymagały krytycznej decyzji. To konieczne, ale raczej mało satysfakcjonujące i... niebezpieczne. Trzeba pomyśleć o tym, co może spotkać naszego przywódcę, jeśli zostaniemy zdemaskowani.

- Ja nie muszę się nad tym zastanawiać - bąknęła Allie. - Ja wiem. Jeśli moja ciotka mówi o wyplenieniu zgnilizny z obozu, możecie być pewni, że nie rzuca słów na wiatr. Ona naprawdę chce to zrobić. Jeśli trzeba będzie, zabije kogoś. Dla przykładu. - Allie rozciągnęła usta w bladym uśmiechu. -Czytałam, że w przeszłości publiczne egzekucje cieszyły się sporą popularnością. Jestem pewna, że jeśli ciotka Carol

zdecyduje się na coś takiego, pani Heald zadba o to, żeby dla nikogo nie zabrakło popcornu.

Ogień strzelał i syczał.

- Naprawdę myślisz, że mogłoby do tego dojść? - spytał z ciekawością Gil. - Do publicznych egzekucji?

- Stary - rzucił Mazz. - Po tym gównie, które widzieliśmy w Brentwood, dziwię się, że w ogóle pytasz. Ja przestałem się przejmować konsekwencjami. Postanowiłem już, że zrobię wszystko, żeby wydostać się z tej chłodni... w ten czy w inny sposób. Na własnych nogach albo nogami do przodu.

- Ja też - oświadczył Gil.

- Ale skoro oprócz nas jest jeszcze piętnaście czy siedemnaście innych osób, nie możemy dziś głosować - wtrąciła Harper. - Niby jak mamy to zrobić?

Don, Renee i Allie wymienili spojrzenia i Harper znowu poczuła się tak, jakby wyprzedzali ją o krok i wiedzieli coś, czego ona nie wie.

- Harper - zaczęła Renee. - My już to zrobiliśmy. Wszyscy oddali swój głos oprócz naszej siódemki, no i może braci McLee.

- Nie - wtrącił Don. - Oni też już wybrali.

- Więc wszystko zależy od nas. Uwierz mi, nieźle się nagimnastykowaliśmy, żeby dotrzeć do miejsca, w którym jesteśmy. Niełatwo jest przeprowadzić wybory na przewodniczącego tajnego bractwa. Przede wszystkim dlatego, że nie mogłam powiedzieć innym, kto jest z nami, a kto nie. Nie lubię zachowywać się jak paranoiczka, ale nie mogłam wykluczyć, że wśród osób deklarujących chęć opuszczenia obozu są tacy, którzy przekażą wszystko Carol. Na przykład nikt nie oddał głosu na Michaela Lindqvista i jestem pewna, że ludzie byliby zszokowani, gdyby wiedzieli, że on jest z nami. Zawsze był prawą ręką Bena Patchetta. Nie... większość głosów padła na kilku najbardziej oczywistych kandydatów.

- A co sprawia, że ta, a nie inna osoba jest oczywistym kandydatem?

- To ludzie, którzy nie są już częścią Światłości. Którzy nie tańczą, jak zagra im Carol. Krótko mówiąc: ci, którzy zebrali się tu dziś. Nie tylko musimy oddać głos, ale wszyscy jesteśmy głównymi kandydatami. - Renee sięgnęła do zniszczonej prążkowanej torby i wyciągnęła notatnik z poślizniętymi kartkami w linie. Położyła go na stole

wierzchem do dołu. -Kiedy wypełnimy karty do głosowania, powiem wam, jak głosowali inni. - Po tych słowach wyjęła z torby bloczek czerwonych kartek samoprzylepnych. Wydarła kilka i rozdała zgromadzonym. Don znalazł wyszczerbiony kubek z długopisami i wręczył każdemu po jednym.

- Wiemy już, jak nazwiemy zwycięzcę głosowania? - zapytał Gil i marszcząc czoło, spojrzał na kartkę.

- Podoba mi się Naczelnny Spiskowiec - odparł strażak. -Ładnie brzmi. Ma w sobie szczyptę poezji i mroku. Ktoś, kto ryzykuje życie, pełniąc tę funkcję, powinien przynajmniej mieć frajdę z tego, że jego oficjalny tytuł brzmi seksownie.

- Niech będzie - zgodziła się Renee. - Oddajcie więc głos na Naczelnego Spiskowca.

Zapadła cisza przerywana drapaniem długopisów na papierze. Kiedy skończyli, Renee wzięła do rąk notatnik.

- Spośród piętnastu osób, z którymi rozmawiałam - zaczęła, odchrząknęła i ciągnęła: - dwie oddały głosy na Dona i dwie na Allie.

- Co? - Allie była szczerze zaskoczona.

- Trzy na strażaka - przeczytała Renee - cztery na Harper Willowes i cztery na mnie.

Harper oblała się rumieńcem, a smocza łuska na jej skórze zaczęła przyjemnie mrowić.

- Kiedy rozmawiałem z chłopcami McLee - odezwał się Don - obaj wyrazili się jasno, na kogo oddają swoje głosy. Wybrali Allie.

- Nie, nie, nie, NIE! - warknęła Allie. - Nie chcę tej pieprzonej funkcji. Mam szesnaście lat. Jeśli wygram, pierwsze, co zrobię, to wybuchnę płaczem. Poza tym Robert McLee głosował na mnie, bo się we mnie podkochuje. Za każdym razem, jak z nim rozmawiam, drga mu mięsień na szyi. A jego brat robi dokładnie to, co każe mu Robert. Zresztą oni nie powinni mieć prawa głosu! Przecież Chris McLee nie ma nawet włosów łonowych!

- Zgadzam się - wtrącił strażak. - Kto nie ma włosów łonowych, nie ma prawa głosu. A ponieważ jestem przeciwnikiem składania ofiar z dzieci, jestem za tym, żeby Allie mogła wycofać swoją kandydaturę. Czy ci, którzy oddali na nią głos, mają rezerwowego kandydata?

- Tak się składa, że mają- odparła Renee, zerkając w notatnik. -

Jeden wybrałby Johna. Drugi Dona.

- Kurwa - bąknął Don.

- Czy bracia McLee też mieli kogoś w rezerwie? - spytała Renee.

- Nawet gdyby mieli, nic by to nie dało, skoro ustaliliśmy, że są zbyt młodzi, żeby głosować - odparł Don.

Słuchając go, Harper wiedziała, że oni również wskazali na Dona.

- To trzy głosy na Dona i cztery na Harper, Johna i mnie - powiedziała Renee.

- Pięć na ciebie - odezwał się Gil, rozwijając swoją karteczkę samoprzylepną i kładąc ją na stole. - To dzięki twojemu planowaniu jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Nie widzę powodu, żeby zmieniać zdanie.

Renee nachyliła się ku niemu i musnęła wargami jego policzek.

- Jesteś taki dobry i miły, Gil.

- I pięć na strażaka - rzucił Mazz. Uniósł karteczkę, żeby wszyscy mogli się jej przyjrzeć. - Widziałem, jak dosłownie rozpętał piekło przy posterunku policji w Portsmouth. Dlatego stawiam na niego.

Don rozwinął czerwony świstek papieru.

- Ja głosowałem na Harper. Bez urazy, John, ale widziałem, jak zajmowała się Ojcem Storeyem, kiedy trafił do izby chorych, i jak wwierciła się w jego głowę. - Podniósł wilgotne, niebieskie oczy i spojrzał na Harper. - Im gorsza jest sytuacja, im więcej ludzi krzyczy i płacze, tym jesteś spokojniejsza, siostró Willowes. Ja trząsałem się jak osika, a twoje ręce ani drgnęły. Dlatego oddaję głos na ciebie.

- Mamy więc trzy osoby z taką samą liczbą głosów.

- Już nie. Oddaję głos na Harper - wtrąciła Allie. - Zgadzam się z Donem. Wiem, że niezależnie od tego, jak bardzo nawalę, nie wsadzi mi do ust kamienia i nie sprawi, że poczuję się jak Judasz. Chociaż po tym, co zrobiłam, Bóg wie, że miałyby do tego wszelkie prawo.

- Och, Allie - odezwała się Harper. - Już raz przeprosiłaś. Nie musisz robić tego znowu.

- To nie przeprosiny. To mój głos. - Allie patrzyła na nią niemal wyzywająco.

- Właśnie - potaknęła Renee. - Ja też głosuję na Harper. To miło, że są tacy, którzy widzieliby mnie w tej roli, ale wolę czytać o wielkich ucieczkach, niż je planować. Poza tym jestem kiepska w dotrzymywaniu tajemnic, planowaniu podstępów i spiskowaniu

przeciwko innym. Dla mnie to nieuprzejme. Nie radzę sobie z poczuciem winy i obawiam się, że broniąc nas, mogłabym urazić czyjeś uczucia. No i czytam kilka książek naraz. Jako pełnoetatowy spiskowiec musiałabym z tego zrezygnować. Tak więc musi to być Harper.

- Hej, moja droga! - oburzyła się Harper. - Ja też mam do Przeczytania parę książek!

— Pomyślałam też, że skoro jesteś w zaawansowanej ciąży, to nawet jeśli nas złapią, nie zostaniesz powieszona - ciągnęła Renee. - Cóż, Harp, przykro mi, że to właśnie ja muszę cię o tym informować, ale wygląda na to, że od tej chwili ty tu dowodzisz. Jeśli dobrze liczę, wygrałaś głosowanie, siedem do pięciu.

— Siedem do sześciu - poprawiła ją Harper. - Bo ja głosowałam na Johna.

— Cóż za zbieg okoliczności! — Strażak uśmiechnął się od ucha do ucha, szczerząc zęby, przez co wyglądał, jak obłąkany. - Bo ja też. - Rozwinął kartkę, żeby pokazać, co na niej napisał, jedno słowo: *JA*.

9

Dziesięć minut później wszyscy wyszli. W chacie pozostali jedynie Harper i strażak.

- Powiedz Michaelowi, żeby się nie martwił. Wrócę za kilka godzin - poprosiła Dona Harper.

Renee z ręką na klamce zajrzała do środka przez uchylone drzwi. Powietrze było tak rześkie, że policzki miała zaróżowione, przez co wyglądała, jakby zarumieniła się ze wstydu i radości.

- Nie zapomnij wrócić, Harper - rzuciła. Jej oczy lśniły, trudno jednak było powiedzieć, czy z zimna, czy z radości.

- Idźcie już - ponagliła ich Harper. - Pospieszcie się. Nie wiecie, że pierwsza zasada spiskowców brzmi: nie dać się złapać?

Drzwi się zamknęły. Harper i strażak usłyszeli szepty i stłumiony śmiech, Allie śpiewającą *Love Shack* i chrzęst butów na kamieniach. Zostali we dwoje w pełnej napięcia, ale przyjemnej ciszy, jaka zwykle poprzedza pierwszy pocałunek.

Nie całowali się jednak. Harper czuła ciepło bijące na jej plecy z otwartego pieca, z tańczących płomieni, i zastanawiała się kto ją obserwuje. John wstał dwukrotnie, żeby podłożyć do paleniska, a ona za każdym razem myślała: jeśli opuścimy obóz Wyndham, on nie pójdzie z nami. Będzie musiał zostać i dbać o ogień.

- To była ustawka - rzucił strażak. - Wcześniej policzyliście głosy.

- Hm... to chyba lekka przesada. Powiedzmy, że wynik był do przewidzenia. Jak myślisz, dlaczego Michaelowi zależało na tym, byś wiedział, że dziś wieczorem nie muszę się spieszyć z powrotem?

Po głosowaniu mieli czas, żeby opracować w bardzo ogólnym zarysie dwa plany. Jeden zakładał, co zrobią, jeśli będą zmuszeni w pośpiechu opuścić obóz. Drugi skupiał się na tym, jak (subtelnie) odsunąć Carol od władzy. W obu przypadkach John i Harper mieli dopracować szczegóły.

- Jestem gotowy omówić szczegóły - powiedział strażak.

- Jeśli mam spiskować, będę potrzebowała cukru. - Harper sięgnęła

po płócienną torbę i wyjęła pudełko na lunch z Mary Poppins. - Nic nie wprowadzą mnie bardziej w konspiracyjny nastrój niż zakazany batonik, nawet jeśli ma rok.

John ściągnął brwi.

- Ostrzegam cię. Mówienie, że masz batoniki, kiedy to nieprawda, stanowi poważne pogwałcenie przysięgi Hipokratesa, według której nie wolno ci narażać ludzi na niepotrzebne cierpienie.

- Musisz coś wiedzieć, Rookwood. Jestem pielęgniarką. My nie składamy przysięgi Hipokratesa. Składają ją tylko lekarze. Pielęgniarki obiecują jedno: że pacjent weźmie lekarstwo.

- Czasami, kiedy rzucasz jakąś groźbę, przechodzi mnie dreszcz rozkoszy - odgryzł się. A zaraz potem dodał tym samym tonem: - Prędzej spaliłbym cały obóz, niż pozwolił, żeby Carol i jej przydupasy odebrali ci dziecko. Zamieniłbym to miejsce w dymiące pogorzelnisko. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- To nie byłoby w porządku wobec pozostałych. To nie są źli ludzie, przynajmniej większość z nich. Chcą jedynie czuć się bezpiecznie.

- Czy nie tak właśnie usprawiedliwia się okrucieństwo i wszelkie zło? Chcą jedynie czuć się bezpiecznie i nie dbają o to, kogo zniszczą, żeby dopiąć swego. A ludzie, którzy chcą nas zabić? Szwadrony Kremacyjne? Oni też chcą czuć się bezpiecznie! A człowiek, którego zabiłem tamtej nocy? Ten, który strzelał do was z karabinu maszynowego? Czułem, że muszę to zrobić. Że muszę go usmażyć. Tylko w ten sposób mogłem mieć pewność, że do mnie wrócisz.

Spojrzał na nią z dziwną mieszanką rozbawienia i smutku. Harper miała ochotę wziąć go za rękę. Zamiast tego wręczyła mu minisnickersa, a sama sięgnęła po batonik Mounds.

- To znaczy, że my też zabijemy ludzi, żeby czuć się bezpiecznie? - zapytała szeptem. - Myślisz, że do tego dojdzie? Z Benem? I Carol? Bo jeśli tak, chyba powinnam wrócić do obozu. Nie zamierzam planować zabójstwa.

- Jeśli teraz wrócisz, możesz zamordować mnie - odparł. - Sądzę więc, że będziesz musiała zostać.

- Na to wygląda - bąknęła i poląła im po odrobinie rumu.

Powiedział, że jego baton smakował ohydnie i musi zjeść kolejny, żeby pozbyć się z ust nieprzyjemnego posmaku. Zamiast tego dała mu papierosa i dołała rumu. Odpalił papierosa od kciuka.

Harper nie była przekonana do planu ucieczki. Miał zbyt wiele niedociągnięć. Zrobiła listę, rozpoczynając od litery A (Ojciec Storey reaguje), poprzez E (wywołanie zamieszania przez zrzucenie dzwonu z kościelnej wieżyczki), a kończąc na Q (Don prowadzi pozostałe łódki na północ). Wykorzystała w ten sposób większość liter alfabetu.

Strażak natomiast był zachwycony planem. Nic dziwnego; odgrywał w nim główną rolę. Harper próbowała usuwać różne punkty planu, podczas gdy on wciąż dodawał nowe.

- Szkoda, że nie mamy czasu, żeby wykopać tunel - powiedział.

- Dokąd?

- To bez znaczenia. Ucieczka z więzienia bez porządnego tunelu to nie ucieczka. Drzemiący we mnie początkujący powieściopisarz domaga się tunelu ukrytego za atrapą ściany, plakatem słynnego filmu albo w szafie. Powinniśmy nazwać to „Operacja Narnia”! Nie mów, że by ci się nie podobało.

- Nie podobałoby mi się, gdybyś został powieściopisarzem. Wtedy z chęcią poharatałabym ci twarz. Taki los spotkał ostatniego pisarza, który stanął mi na drodze.

John zakręcił resztką rumu w papierowym kubku i wlał go do gardła.

- Zapomniałem, że twój mąż był początkującym pisarzem.

- Czasami mam wrażenie, że każdy mężczyzna chce być pisarzem. Pragniecie tworzyć światy i idealne kobiety, które moglibyście rozstawiać po kątach i rozbierać na zawołanie. Dajecie upust agresji kilkoma fikcyjnymi scenami gwałtu i wysyłacie to swoje literackie alter ego, rycerza na białym koniu albo strażaka, żeby ratowało waszą wybrankę. Bohater, oczywiście, musi być silny i pomysłowy. A tymczasem zwyczajne kobiety mają przecież całe mnóstwo własnych zainteresowań i nijak nie pasują do fabuły. - Ogarnęło ją

przygnębienie. Przyszło jej do głowy, że nigdy nie była przyjaciółką Jakoba, jego żoną czy kochanką, lecz poddaną, materiałem na książkę. Pisarze, pomyślała, są takimi samymi pasożytami jak zarodniki smoczej łuski.

- W stu procentach zgadzam się z tym, co powiedziałaś o fabule. Zresztą każdy pisarz, który pracuje według wyświechtanych schematów, powinien spłonąć na stosie. A ogólny zarys fabuły mógłby posłużyć za podpałkę. Właśnie dlatego nie podoba mi się nasz plan. To zarys. A życie nie biegnie według ogólnych zarysów. Gdybym to ja miał napisać tę scenę, nie zawracałbym sobie głowy żadnym planowaniem, bo i tak wiem, że nic nie pójdzie po naszej myśli. Czułbym, że marnuję czas swoich czytelników. - Widząc minę Harper, strażak trącił ją stopą.
- Daj spokój. Mamy batony, fajki, alkohol i nikczemne plany. Nie dąsaj się. No już. Pokaż, co jeszcze masz w tym pudełku.

Wyciągnęła guzowaty, zdeformowany kartofel i położyła go na łóżku.

— Fuj! - Strażak się wzdrygnął. — Co to niby ma być?

— To, mój drogi, jest ziemniak, odmiana yukon gold.

— No cóż — bąknął. - Wygląda na to, że dość już słodkości. Co powiesz na pieczonego ziemniaka?

Schował bulwę w dłoniach. Zaraz potem spomiędzy palców strażaka uniósł się dym, wypełniając pomieszczenie zapachem pieczonych ziemniaków. Harper wyraźnie poweselała.

— Uwielbiam mężczyzn, który potrafią gotować - rzuciła.

Podzielili się ziemniakiem, posypali go solą i skropili oliwą. Szopę wypełnił mineralny zapach. Ziemniak smakował tak wybornie, że łyżki napłynęły Harper do oczu. Kiedy ostatni kęs zniknął w jej ustach, zlizwała z palców sól i oliwę.

- Wiesz, czego mi brakuje? - spytała.

- Jeśli powiesz, że Facebooka, zepsujesz cały wieczór.

- Brakuje mi coca-coli. Pieczone ziemniaki i cola... to dopiero coś. Może doprowadziliśmy ziemię do ruiny, wysaliśmy całą ropę, przyczyniliśmy się do topnienia lodowców i pozwoliliśmy, żeby muzyka ska rozwijała się w najlepsze, ale skoro stworzyliśmy coś takiego jak coca-cola, to chyba nie jesteśmy aż tacy źli.

- Jako gatunek możemy nie dożyć czasów, kiedy zaczniemy żałować, że dopuściliśmy do topnienia lodowców. To tam wszystko się zaczęło. Jestem prawie pewien. Dlatego pierwsze przypadki odnotowano na północnym kole podbiegunowym. Pod lodowcami. Myślę, że takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Wszyscy wierzą, że to meteor przyczynił się do zagłady dinozaurów, ale moim zdaniem to była zaraza. Zarodniki hibernują w lodzie, czekając, aż temperatura na świecie wzrośnie na tyle, żeby mogły wydostać się na powietrze. Wtedy palą wszystko, a kiedy całą planetę zasnuwa dym, świat skuwa lód. Zarodniki wymierają i tylko nieliczne są w stanie przetrwać pod śniegiem i lodem. W historii planety sześciokrotnie dochodziło do masowej zagłady. Założą się, że w każdym przypadku odpowiedzialne były spory.

- Chcesz powiedzieć, że to planetarna komórka T? że atakuje wszystko, co doprowadza do wyniszczenia środowiska? Tak jak my?

Pokiwał głową.

- To trzecia najlepsza teoria, jaką słyszałem. Podoba mi się pomysł, że w latach siedemdziesiątych Rosjanie wyhodowali na wyspie supergrzyba, który miał posłużyć do testów nad bronią biologiczną. Jeśli dobrze pamiętam, była to Wyspa Odrodzenia. Musieli ją opuścić

w roku dwutysięcznym, kiedy wirus wymknął się spod kontroli. Tyle że wyspa znajdowała się na jeziorze, a kiedy wyschło, zwierzęta mogły swobodnie chodzić tam i z powrotem, przenosząc popiół w futrze. Wszystkie wczesne przypadki miały miejsce w Rosji.

- Powiedziałeś trzecia najlepsza teoria. To znaczy, że jest coś lepszego od topnienia lodowców i okrytej złą sławą rosyjskiej wyspy?

- Podoba mi się też pomysł, że Bóg karze nas zabójczą grzybicą za to, że nosiliśmy crocsy.

Harper upiła kolejny łyk rumu bananowego. Była zwolenniczką teorii, że odrobina alkoholu nie sprawia, że dziecko rodzi się zdeformowane czy opóźnione w rozwoju.

- Teraz, kiedy świat się kończy, żałujesz, że czegoś nie zrobiłeś? - spytała.

- Najbardziej tego, że nie przespałem się z Julianne Moore -odparł. - I z Gillian Anderson. Razem albo osobno, dla mnie to bez różnicy.

- Miałam na myśli coś bardziej prawdopodobnego.

- Żałuję, że nie odkryłem nowego gatunku pleśni, którą mógłbym nazwać od imienia Sarah.

- No, no! Nie ma co, romantyczny z ciebie drań!

- A ty, Harper Willowes? Czego ty nie zdążyłaś zrobić?

- Ja? Też żałuję, że nie przespałam się z Julianne Moore. Ta mała suka miała niezły tyłek.

Strażak sięgnął po ścierkę do naczyń i wycierając koszulę Harper, przeproszał ją za to, że parsknął śmiechem, opluł ją rumem.

Wstał, żeby dołożyć do pieca, i wrócił z łukiem, który całą zimę przestał w kącie. Wyciągnął się na pryczy i trzymając łuk jak gitarę, trącił cięciwę.

- Myślisz, że Keith Richards wciąż żyje? - zapytał.

- Pewnie. Jego nic nie zabije. Przeżyje nas wszystkich.

- Beatlesi czy Stonesi? - rzucił.

Harper zaśpiewała początek *Love Me Do*.

- To znaczy, że wybierasz Beatlesów?

- Oczywiście, że wybieram Beatlesów. Głupie pytanie. To jak zapytać kogoś, co woli: jedwab czy włosy łonowe.

- Jaka szkoda.

- Ty oczywiście wybrałeś Stonesów. Każdy, kto udaje strażaka, chociaż wcale nim nie jest...

- Co to ma do rzeczy?

- Mężczyźni, którzy lubią Stonesów, mają świra na punkcie kutasa. Przepraszam, ale to jedyne właściwe słowo. A wąż strażacki to symbol falliczny. To żalosne. Męska część fanów Stonesów zachowuje się jak osiemnastomiesięczne dzieci, które właśnie odkryły frajdę z bawienia się własnym siusiakiem. Zresztą kobiety, które lubią Stonesów, są jeszcze gorsze. Mick Jagger ma ohydne usta, przez które wygląda jak dorsz, a one się nimi podniecają. Kręcą je faceci-ryby. To dewiantki.

- A na punkcie czego mają obsesję fani Beatlesów? Na punkcie cipki?

- Otóż to! Strawberry Fields to nie tylko park w Londynie, panie Rookwood. - Harper wyciągnęła rękę. - Oddaj mi to. Za każdym razem, kiedy szarpiesz cięciwę, niepotrzebnie nadwyrężasz krzywki.

- Wiesz, że kiedy jesteś pijana, gadasz jak mechanik samochodowy?

- Nie jestem pijana. Ty jesteś pijany. Byłam instruktorką łucznictwa. A teraz oddawaj.

Gdy podał jej łuk, wstała i musnęła palcami cięciwę.

- Instruktorką łucznictwa?

- Kiedy chodziłam do liceum.

- Co cię zainspirowało? Jennifer Lawrence? Fantazjowałaś, że jesteś jak Catsass Everdame? Jennifer Lawrence to niezła lala. Mam nadzieję, że nie spłonęła.

- Nie, to było przed Igrzyskami śmierci. Kiedy miałam dziewięć lat, zakochałam się w Robin Hoodzie. Zaczęłam mówić jak on, a kiedy rodzice kazali mi coś zrobić, przyklękałam na jedno kolano i skłaniałam głowę. Doszło do tego, że chodziłam do szkoły w kostiumie Robin Hooda.

- Na Halloween?

- Nie, na lekcje. Po prostu dobrze się w nim czułam.

- Boże. I rodzice ci na to pozwalali? Nie wiedziałem, że jako dziecko byłaś zaniedbywana. Na myśl o tym robi mi się... -Urwał, próbując ustalić, jak właściwie się czuje - ...smutno.

- Moi rodzice to nieugięci, praktyczni ludzie. Mają kilka szczeropodobnych psów. Byli dla mnie bardzo dobrzy i bardzo mi ich brakuje.

- Przykro mi z powodu twojej straty.

- Nie wydaje mi się, że nie żyją. Ale są na Florydzie.

- To pierwszy krok do śmierci. - Strażak pokiwał ze smutkiem głową.

- Do tego pewnie ubierają swoje psy w fikuśne sweterki.

- Czasami, jeśli jest zimno. Skąd wiedziałeś?

- Pozwalali ci hasać w przebraniu Robin Hooda, choć, jak rówieśnicy naśmiewali się z ciebie. Nietrudno więc wyobrazić sobie, jak traktują swoje psy.

- Prawda jest taka, że nie wiedzieli o kostiumie Robin Hooda. Chowałam go w plecaku i przebierałam się w szkolnej ubikacji. Ale dzieciaki rzeczywiście mi dokuczały. To były mroczne dni w życiu Harper Frances Willowes.

- Frances! Ślicznie. Mogę cię nazywać Frannie?

- Nie, masz do mnie mówić „Harper”. - Wsparła brodę na czubku łuku. - Pierwszy łuk dostałam od ojca na Boże Narodzenie, kiedy miałam dziesięć lat. Ale zabrał mi go przed sylwestrem.

- Strzeliłaś do kogoś?

- Nie. Przyłapał mnie, jak maczałam strzały w benzynie do zapalniczek. Chodzi o to, że naprawdę bardzo, ale to bardzo chciałam wystrzelić płonąca strzałę. Nieważne do czego. Czułam, że dzięki temu

poczuję się spełniona. Chciałam zobaczyć, jak strzała dosięga celu, a ten staje w płomieniach. Myślą, że tak właśnie czują się faceci, kiedy wyobrażają sobie, że wchodzi w idealny tyłek. Ja też chciałam, żeby moja strzała wbiła się w cel z takim seksownym trrrach.

John znowu zakrztusił się rumem i musiała poklepać go po plecach.

- Jak nic jesteś pijana - rzucił.

- Nie - oburzyła się. - Wypiłam tylko dwa łyki tych psich rzygowin o bananowym smaku. Jestem w ciąży.

Strażak zachłysnął się i znowu zaczął kasłać.

- Chodź - rzuciła Harper. - Postrzelajmy płonącymi strzałami. Chcesz? Świeże powietrze dobrze ci zrobi. Musisz częściej wychodzić z tej nory.

Spojrzał na nią wodnistymi oczami.

- Do czego będziemy strzelać?

- Do księżyca.

- Ach - westchnął. - Piękny cel. Ja też będę mógł strzelić?

- Jasne - odparła i odsunęła krzesło. - Wezmę strzały- Ty musisz jedynie skombinować ogień.

Panujący na zewnątrz chłód był tak przenikliwy, że wciskał oddech z powrotem do gardła i kasał policzki.

Harper poprowadziła strażaka na tyły chaty, przez wysoką, szorstką trawę i w dół wydm, na niewidoczny z brzegu skraj wyspy z widokiem na ocean. Widząc, jak John idzie niezdarnie i zapada się w piasku, podała mu rękę i pociągnęła za sobą.

Zatrzymali się obok dziesięciometrowej żaglówki spoczywającej na stalowym wózku. Stąd Harper widziała nazwę zapisaną na rufie złotymi, pochyłymi literami: *Bobbi Shaw*. *Bobbi Shaw* odgrywała istotną rolę w jej planach i pojawiała się w podpunktach *F*, *H* i dalej, od *M* do *Q*.

Strażak rozejrzał się, skulony pod obszerną kurtką, którą zarzucił na ramiona jak pelerynę. W końcu znalazł to, czego szukał - księżyc przyszyty do czarnego płaszcza nocy niczym lodowy guzik.

- Jest. Zabij go, żebyśmy mogli wrócić do ciepłej chaty. Stała z łukiem w jednej ręce i garścią strzał w drugiej. Położyła je wszystkie oprócz jednej na błękitnym łupku. Ostatnia podała strażakowi, grotem do przodu.

- Masz ogień? - zapytała.

Zaścisnął pięść na strzale i przeciągnął ręką wzdłuż promienia. Natychmiast pojawił się niebieskawy płomień, zupełnie jakby strzała była nasączona benzyną, a on przytknął do niej zapalnik.

Harper umieściła ją w cięciwie i przez chwilę spoglądała na płonący pocisk. Płomień łopotał, przywodząc na myśl czerwony proporzec. Chwilę później wycelowała w księżyc i zwolniła cięciwę.

Czerwona kometa przeszła noc. Strzała poszybowała sześćdziesiąt metrów w górę, skręciła gwałtownie w prawo i spadła w deszczu iskier.

Na ten widok Harper zacisnęła pięści, podniosła łuk nad głowę i zaczęła skakać, czując, że rozpiera ją dzika radość.

- Czyż to nie piękne? - zapytał strażak.

Wzięła go za rękę i odwróciła ją dłonią do góry.

- I nie bolało?

- Nic a nic. Nietrudno to zrozumieć. Naprawdę. Jeśli to konieczne, smocza łuska może spalić nosiciela na popiół, ale sama siebie nie zniszczy - wyjaśnił. - Nauczyłem ją, żeby nie myślała o mnie jak o nosicielu. Zhakowałem kod i przeprogramowałem ją tak, że przestała dostrzegać różnicę między mną a sobą.

- Nienawidzę, kiedy coś tłumaczysz. Zanim dojdiesz do sedna, czuję, że wiem mniej niż na początku.

- Spójrz na to z tej strony, Willowes. Wiesz, że masz to w głowie. Wiesz, że to coś czuje, tylko nie wyraża tego słowami. Zacznij panikować, a odczyta to jako groźbę i uruchomi samozapłon, żeby ratować się ucieczką. Żyj w harmonii, poczuciu przynależności i zadowoleniu, a łuska zrozumie, że jej nie zagrażasz. Nie tylko wyczuwa twoją radość, ale ją potęguje. To coś jak najtańszy narkotyk świata. Musisz jednak wiedzieć, że ona nie działa, ale reaguje. Nick nauczył mnie...

- Co? - przerwała mu. - Nick? Nick cię nauczył?

Zamrugnął wyraźnie podenerwowany.

- Tak... hm... Nick... Nick nie... to znaczy już nie, nie po tym, jak... - Pokręcił głową i machnął ręką, jakby chciał zakończyć dyskusję. - Po co mieszasz w to Nicka? Zbijasz mnie z tropu.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć: „To nie ja mieszam w to Nicka. Tylko ty”. Ale pozwoliła mu mówić dalej.

- Kiedy jesteście w kościele, śpiewacie dla niej. I ona to lubi. W ten sposób ją uspokajacie. Ale nadal bawicie się słowami, a ona nie dba o słowa. Któryś z pisarzy powiedział, że język to kiepska forma komunikacji, i smocza łuska w pełni się z tym zgadza. Wszystkie słowa w twojej głowie bezustannie przypominają, że jesteś żywicielem. Musisz myśleć o tym, czego chcesz od smoczej łuski, nie używając słów. Wyobraź sobie, jak to jest być głuchym, mieć nieme myśli i posługiwać się wyłącznie językiem migowym.

- Jak Nick - mruknęła Harper.

- Tak, jeśli chcesz. - Kolejny raz machnął ręką, jakby odganiał wyjątkowo natrętną muchę. - Nick czuje w kościach uderzenia bębna i jeśli nauczysz go tekstu piosenki, zaśpiewa ją sobie, używając niemych słów znanych wyłącznie głuchym. Naucz się śpiewać smoczej łusce bez

użycia słów, a... będziesz mówiła jej językiem. I wtedy zrozumie, że ty i ona jesteście jednością. Ja tak zrobiłem. Zawsze tak robię. Śpiewam jej jedną z moich ulubionych piosenek, ale bez słów. Śpiewam, prosząc o płaszcz utkany z płomieni i o ognisty miecz, a ona mi je daje.

- Nick cię tego nauczył? On też to potrafi? Potrafi panować nad ogniem?

Spojrzał na nią zmieszanym, nieszczęśliwym wzrokiem i głosem tak cichym, że ledwie go słyszała, odparł:

- Był nawet lepszy ode mnie.

Skinęła głową.

- Ale już tego nie robi? - powiedziała.

Strażak pokręcił głową; najwyraźniej uznał, że wrócą do tej rozmowy kiedy indziej.

- Jaką piosenkę jej śpiewasz? - spytała Harper.

- I tak jej nie znasz. - Machnął ręką i odwrócił wzrok.

Patrząc na niego, pomyślała, że ulżyło mu, kiedy zmienili temat. - Chociaż, kiedy cię poznałem... jedna z pierwszych rzeczy, które powiedziałaś, pochodziła właśnie z tej piosenki. Przez chwilę myślałem, że spotkałem kogoś, kto tak jak ja uwielbia Dire Straits.

Odsunęła się od niego i zatoczyła się. Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i zaczęła śpiewać niskim, melodyjnym głosem:

*Rażony miłością Romeo
śpiewa na ulicach serenadę,
urzekając wszystkich
swą miłosną piosenką;
znajduje latarnię i wychodzi z cienia,
mówiąc coś w stylu:
„ Ty i ja, skarbie... co ty na to? ”.*

Otworzyła oczy. John gapił się na nią z otwartymi ustami; oczy miał wilgotne, jakby lada chwila miał się rozpłakać.

- Lśnisz - odezwał się. - Śpiewasz moją ulubioną piosenkę i błyszczysz jak brylant w pierścionku zaręczynowym.

Spuściła wzrok i zobaczyła, że strażak ma rację. Koralowe światło przeświecało przez sweter.

Pochylił się nad nią i złożył na jej ustach ciepły, czuły pocałunek, który smakował rumem i kawą, masłem, orzechami pekanowymi, papierosami i Anglikiem. Odsunął się i spojrzał na nią niepewnie.

- Przepraszam - bąknął.

- Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie.

- Smakujesz jak baton.

- A jednak łyżeczka cukru pomaga przełknąć lekarstwo.

- To lekarstwo?

- Musisz to wziąć, żeby wrócić do zdrowia. Zażyj je dwa razy i zwołaj mnie rano.

- Dwa razy?

Tym razem to ona go pocałowała. Szybko oderwała usta od jego warg i roześmiała się, widząc jego minę.

- No już, John. Twoja kolej postrzelać z łuku. Zobaczysz, świetnie ci pójdzie. Jesteś Anglikiem. W twoich żyłach płynie krew Robin Hooda. Masz. - Wręczyła mu łuk. Pokazała, jak go trzymać, i trąciła stopą stopę Johna, pokazując, żeby stanął w rozkroku. - Zbliżasz cięciwę do kącika ust, o tak... Najpierw poćwicz bez strzały.

Drżąc z zimna, zrobił, co mu kazała. Nos miał czerwony, podczas gdy reszta twarzy pozostała blada jak воск.

- I jak? Wyglądam jak Errol Flynn?

- Naprawdę dziarski z ciebie drań - zapewniła go. Sięgnęła po strzałę, ścisnęła ją w dłoni, zamknęła oczy i w skupieniu ściągnęła brwi.

- Co ty wyprawiasz?

Nie spojrzała na niego, ale czuła na sobie jego wzrok i cieszyło ją to. W tym momencie wiedziała już, że da radę. To było jak przecucie, że trafi w środek tarczy, jeszcze zanim wypuściła strzałę.

Widziała to oczami wyobraźni; ruchy rąk mówiące: ty i ja, skarbie, co ty na to. Bez słów. Zobaczyła to wszystko i wiedziała już, jakie to proste. Nie trzeba było nic robić, żeby stworzyć jedność ze smoczą łuską. Poniekąd przypominało to bycie w ciąży. Czuła piosenkę w ścięgnach i zakończeniach nerwowych, krążyła w niej niczym krew, bezgłośna, pozbawiona pamięci o słowach. Ty i ja, skarbie, co ty na to?

Płonęła. Otworzyła oczy i zobaczyła pełgający we wnętrzu dłoni, niedający ciepła ogień - błękitny, mistyczny płomyk -który ogarnął całą

strzałę. Widząc to, krzyknęła i wypuściła ją z rąk.

Strażak chwycił jej rękę i wsunął ją pod kurtkę, delikatnie gasząc płomień. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy. Widoczne za szklami okularów oczy patrzyły na nią uporczywym wzrokiem.

- Co ty wyprawiasz?

- Nic - odparła.

- Co ty, na Boga, sobie wyobrażasz? Chcesz umrzeć?

- Ja... chciałam tylko zobaczyć...

Ale on się odwrócił i łopocząc połami kurtki, zaczął się wspinać na wydnię.

Dogoniła go na szczycie wzniesienia, w najwyższym punkcie wyspy. W dole widziała szopę, która zdawała tulić się do zbocza. Mech i wysoka trawa morska porastały dach. Harper położyła rękę na ramieniu strażaka, ale on odwrócił się i ją odepchnął.

Spojrzał na nią znad prostokątnych szkieł zdumionym wzrokiem mola książkowego.

- O to chodziło? Postanowiłaś mnie upić i obściskiwać się ze mną, żeby zobaczyć, czy nauczę cię, jak spalić się żywcem?

- Nie. John. Nie. Pocałowałam cię, bo tego chciałam.

- Wiesz, co się stało z ostatnią osobą, która postanowiła wyciągnąć z kapelusza płonącego królika?

- Wiem, co się wydarzyło.

- Nie, nie masz pojęcia. Spaliła się na popiół - odparł i odsunął się od niej.

- Wiem, że umarła. I wiem, że to było straszne.

- Zamknij się. Wiesz tylko to, że mam coś, czego pragniesz, i zrobisz wszystko, żeby to dostać: upijesz mnie, będziesz udawała, że ci na mnie zależy, a jak będzie trzeba, prześpisz się ze mną.

- Nie - warknęła. Czuła się, jakby ugrzęzła w ruchomych piaskach. Nie mogła się uwolnić, a każde słowo sprawiało, że zapadała się jeszcze głębiej. - John. Proszę.

- Nie wiesz, co się z nią stało. Nie masz pojęcia, co nadal się z nią dzieje. Nic o nas nie wiesz.

Wyrzucił łuk poza krawędź dachu i dopiero wtedy dotarło do niej, że cofając się, zeskoczył na dach. Zrobił kolejny, niepewny krok w tył.

- Odejdź. I nigdy więcej nie rób tego, co zrobiłaś przed chwilą. - Wyciągnął ręce. Smocza łuska na jego skórze zalśniła złotym blaskiem. Jego dłonie, jak bliźniacze płytkie misy, napęły się ogniem. — Chyba że chcesz płonąć tak na wieki.

- Przestań, John. Nie ruszaj się. Zostań tam, gdzie jesteś i...

Ale on nie słuchał. Zrobił kolejny krok w tył i rozłożył ręce, z których niczym ognista peleryna opadły utkane z płomieni skrzydła. Z nozdrzy strażaka buchnął czarny, gęsty dym.

- Chyba że do końca swoich dni chcesz żyć w piekle -wymamrotał. - Jak j... j... jaak... ja...

Zdumiony otworzył oczy. Przez chwilę ruszał ramionami, jak ktoś, kto próbuje odzyskać równowagę, i rysował w powietrzu ogniste kręgi. Prawa noga ugięła się pod nim i zaczął się ześlizgiwać z dachu. Upadł na kolano, rzucił się do przodu i chwycił palcami kępę trawy. Na krótką chwilę zawisł w bezruchu pod dziwnym kątem. Długie, szorstkie źdźbła rozblęły miedzianym blaskiem i zmieniły się w garstkę popiołu.

- John! - zawołała Harper.

W tej samej chwili ześlizgnął się z cynowego dachu i młóćąc rękami i nogami, spadł w mrok. Usłyszała, jak uderza o ziemię z głuchym łupnięciem, któremu towarzyszył zduszony krzyk i dziwny, przytłumiony trzask.

I cisza.

- Nic nie złamałem! - zawołał po chwili. - Nie martw się, wszystko ze mną w porządku!

Potem zamilkł.

- Może poza nadgarstkiem! - dodał nagle zmartwionym głosem.

Harper odetchnęła z ulgą.

- Au! - rzucił strażak.

Kiedy już nastawiła mu nadgarstek - czemu towarzyszyło przyprawiające o mdłości chrupnięcie i przeraźliwy wrzask -wmusiła w niego dwie chochle lodowatej wody i kazała połknąć cztery advile. W końcu położyła się obok niego na pryczy i objęła go w pasie.

- Ty głupku - rzuciła. - I tak masz szczęście, że znowu nie połamałeś sobie żeber.

Zacisnęła palce stłuczonej dłoni na jej rękę.

- Przepraszam - bąknął. - Za to, co powiedziałem.

- Chcesz o tym ze mną pomówić? O tym, co stało się z Sarah?

- Nie... to znaczy, tak. Jeśli chcesz o tym słuchać.

Harper wydawało się, że wie już dużo o tym, co się stało, ale ścisnęła kciuk Johna, żeby mu pokazać, że jest gotowa go wysłuchać.

Westchnął ciężko, żałośnie.

- Od czasu do czasu ja i Sarah przyplływaliśmy tu, do chatki na wyspie, żeby pobyć z dala od innych. Nie było z nami Allie. Już wtedy funkcjonowała głównie w nocy i przesypiała większość dnia, żeby mieć siły na nocne wypadki. Towarzyszył nam Nick, ale on zwykle zasypiał po pikniku na wydmach. W chacie były łóżka, Nick wolał jednak spać w łodzi. Lubił, kiedy kołysała się na wodzie i uderzała o słupki. W tamtym czasie nieopodal chaty była mała przystań. To były cudowne dni. Sarah i ja mogliśmy napić się wina, zaczerpnąć świeżego powietrza i robić to, co dorośli ludzie robią za zamkniętymi drzwiami.

Pewnego dnia po obiedzie... mieliśmy kurczaka na zimno i jakąś sałatkę z rodzynekami... baraszkowaliśmy leniwie. Przysypiając, Sarah poprosiła mnie, żebym sprawdził, co robi Nick. Wyszedłem bosy i w dzinsach i zobaczyłem unoszącą się znad łodzi smużkę dymu. Zacząłem krzyczeć, gdyby nie to, że byłem zbyt przerażony, żeby oddychać. Chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę przystani. Próbowałem wołać Nicka, jakby mógł mnie usłyszeć, ale z mojego gardła dobywało się tylko ciche rżenie. Byłem pewien, że zastanę go w płomieniach.

Ale on nie płonął, on wydychał ogień. Za każdym razem, gdy łódka obijała się o słupki, Nick wykasływał chmurę czerwonego ognia i chichotał. Wydaje mi się, że nie wiedział, co właściwie robi. W każdym razie nie zarejestrował mojej obecności. W końcu mnie nie słyszał ani nie patrzył w moją stronę, całą uwagę skupiał na zabawie z ogniem. Nogi się pode mną ugięły i upadłem na kolana. Obserwowałem go przez dwie, trzy minuty, jak przebierał palcami, wypuszczał ogniste kółka i przepuszczał przez nie utkane z płomieni strzałki.

W końcu podniosłem się z ziemi, choć czułem, jak drżą mi kolana, i zataczając się, wróciłem do chatki. W ustach tak mi zaschło, że język przywarł do podniebienia, i musiałem napić się wody, zanim w ogóle byłem w stanie cokolwiek powiedzieć. Obudziłem Sarah, powiedziałem, że muszę jej coś pokazać, i poprosiłem, żeby się nie martwiła. Wyjaśniłem, że chodzi o Nicka i że nic mu nie jest, ale że musi zobaczyć, co on robi. Oboje wyszliśmy z chatki.

Kiedy zobaczyła smuzkę ognia unoszącą się z dna łodzi, zachwiała się i musiałem ją podtrzymać, żeby nie upadła. Nie krzyczała jednak, nie wołała syna. Pozwoliła podprowadzić się bliżej, bo zaufała mi, kiedy powiedziałem, że nie ma powodu do paniki.

Z pięć minut staliśmy nad nim i patrzyliśmy, jak bawi się ogniem, aż w końcu Sarah uklękła i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Pogłaskała Nicka po głowie, a on, wyrwany z transu zamrugał dziko i wykasłał chmurę czarnego dymu. Zerwał się na równe nogi, zawstydzony, jak byśmy przyłapali go na oglądaniu „świerszczyka”.

Sarah, drżąc na całym ciele, weszła do łodzi i objęła go czule. Ja zrobiłem to samo. Przez długą chwilę wszyscy troje siedzieliśmy pogrążeni w bezgłośnej rozmowie. Nick zapewnił matkę, że nic mu nie jest i ogień nie zrobił mu żadnej krzywdy. Powiedział, że zawsze bawi się tak w łódce, bo w tym, jak kołysze się na wodzie, jest coś uspokajającego. Jedno po drugim wymienił kolejne swoje osiągnięcia. Potrafił wypuszczać dym, wydmuchiwać języki ognia i zapalać dłoń jak pochodnię. Chwalił się, że umie zrobić z ognia wróble, które wypuszcza na wolność, że czasami ma wrażenie, jakby on też był wróblem i latał razem z nimi. Poprosiłem go, żeby pokazał nam, co potrafi, na co odparł, że nie może. Nie w tej chwili. Twierdził, że po zabawie ogniem potrzebuje trochę czasu, żeby się zregenerować. Że po puszczeniu

wróbli - tak to nazywał -czasami trudno mu się rozgrzać, że ma dreszcze i czuje się, jakby był chory.

Chciałem wiedzieć, jak to robi. Próbował mi wytłumaczyć, ale Nick to w końcu dzieciak, i tamtego dnia nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele. Powiedział, że można uśpić smoczą łuskę, kołysząc ją delikatnie i śpiewając jej tak, jak śpiewa się dziecku. Tyle że Nick jest głuchy i nie ma pojęcia, jak brzmi śpiew. Jego zdaniem muzyka to coś jak pływ albo oddech: coś, co przychodzi i odchodzi w równych uspokajających odstępach. Twierdził, że wyobrażał to sobie, a smocza łuska śniła o tym, o czym chciał, żeby śniła. Tworzyła ogniste kółka, ptaki z płomieni i co tylko przyszło mu do głowy. Powiedziałem, że nie rozumiem, i zapytałem, czy może mi pokazać. Spojrzał na matkę, a Sarah skinęła głową i powiedziała, że tak, że może spróbować mnie tego nauczyć... ale jeśli któremuś z nas coś się stanie, mamy natychmiast przestać.

Następnego ranka rozpoczęliśmy pierwszą lekcję. Po pięciu dniach potrafiłem zapalić świecę. Po dwóch tygodniach wyrzucałem przed siebie ogniste liny jak chodzący miotacz ognia. Zacząłem się popisywać. Nie mogłem się powstrzymać. Kiedy razem z Allie wybieraliśmy się na akcję ratunkową, tworzyłem ścianę dymu, żeby ułatwić nam ucieczkę. Raz, kiedy ścigał nas Szwadron Kremacyjny, odwróciłem się, stanąłem w ogniu i chcąc ich odstraszyć, zmieniłem się w ogromnego, płonącego, skrzydlatego demona. Uciekali, krzycząc ze strachu!

Ach, jakże miło było mieć własną legendę. Uwielbiałem, kiedy ludzie się na mnie gapili i szeptali za moimi plecami. Nic tak nie upaja i nie uzależnia jak sława. Mówiłem Sarah, że smocza łuska to najlepsze, co przytrafiło mi się w życiu. Że jeśli wynajdą lekarstwo, nie zgodzę się na leczenie. Dla mnie smocza łuska nie była zarazą. Była ewolucją.

Często rozmawialiśmy o moich przemyśleniach na ten temat: o tym, jaką drogą przenosi się smocza łuska, w jaki sposób tworzy więź z mózgiem, jak produkuje enzymy, które chronią Nicka i mnie przed oparzeniami. Mówię, że rozmawialiśmy, ale tak naprawdę to ja mówiłem, a Sarah mnie słuchała. Uwielbiałem perorować na temat swoich teorii i spostrzeżeń. Wiesz, co powinno się znaleźć na jej akcie zgonu? „Sarah Storey - zagadana na śmierć przez Johna Rookwooda”. Poniekąd tak właśnie się stało.

Pamiętam dzień po tym, jak pierwszy raz zmieniłem się w demona i przeraziłem grupę uzbrojonych mężczyzn. Zabrałem Sarah na wyspę, na piknik i uroczysty numer. Była cicha, zamknięta w sobie, ale ja, upajając się własną chwałą, w ogóle nie zwróciłem na to uwagi. Kochaliśmy się, a kiedy po wszystkim leżałem w łóżku, czułem się jak gwiazda rocka. W końcu poznałem to uczucie. W pewnym momencie Sarah wstała, sięgnęła po dzinsy i wyjęła z kieszeni butelkę białego proszku. Zapytałem ją, co to jest. Odparła, że zainfekowany popiół. Na moich oczach wysypała go na kuchenny blat i wciągnęła nosem. Zrobiła to celowo, zanim zdążyłem ją powstrzymać. Wiedziała, jak się zarazić, bo powiedziałem jej, w jaki sposób przenoszą się zarodniki.

Trzy dni później na jej plecach pojawiły się pierwsze ślady. Wyglądały tak, jakby sam diabeł wychłostał ją ognistym biczem. Miałem rację co do tego, w jaki sposób przenosi się choroba, ale pierwszy raz powiedzenie: „A nie mówiłem” nie sprawiło mi żadnej frajdy. Niecałe cztery tygodnie później Sarah nie żyła.

Przełknął z trudem ślinę i skrzywił się, jakby miał usta pełne potłuczonego szkła.

- Boli? - zapytała Harper z troską w głosie.

- Myślałem, że trudniej będzie mi o tym mówić. Dobrze ją powspominać, nawet to, co wydarzyło się pod koniec. Czasami nachodzi mnie refleksja, że przez ostatnie dziewięć miesięcy bawiłem się ogniem, bo palenie rzeczy sprawia mi frajdę. Skoro Sarah spłonęła, to dlaczego miałyby nie spłonąć cały świat? Podpalanie jest równie dobre jak prozac. - Zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. - Cholera - warknął. - Nie chodziło ci o ból psychiczny, prawda?

- Nie, pytałam o twój nadgarstek.

- No, tak. Boli. Czy to normalne?

- Po zwichnięciu po raz drugi tego samego nadgarstka? Owszem, to normalne.

Splótł palce zdrowej ręki z palcami Harper i spojrzał na piec i widoczne za otwartymi drzwiczkami jęzory pomarańczowego ognia.

- Nie podoba mi się to, że jest mi teraz tak dobrze — powiedział.

Przecież tylko się przytulamy. Nawet nie jesteśmy rozebrani.

- Nie powinienem był cię całować.

- Byliśmy pijani. Dobrze się bawiliśmy.

- Ja ją wciąż kocham, Harper.

- To nic, John. Przecież między nami nic nie ma.

- A jednak jest. W każdym razie dla mnie.

- No dobrze. Dla mnie też. Ale nie zrobimy niczego, przez co poczułbyś się źle. Odkąd umarła Sarah, nikt cię nie przytulał, a ludzie tego potrzebują. Potrzebują bliskości.

W piecu drewno pękło z trzaskiem.

- Ona nie umarła. Nie żyje, ale nie jest też martwa. Ona... utknęła.

- Wiem.

Strażak odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Na jego wymizerowanej twarzy malowało się zdumienie.

- Wiem od jakiegoś czasu - dodała Harper. - Raz ją widziałam. W ogniu. Wiem, że tam coś jest. W tym piecu coś jest, a ty utrzymujesz to przy życiu. Ale cokolwiek to jest, to nie może być człowiek. Nie może mieć świadomości. Płomienie nie myślą.

- Ale zarodniki tak. Dlatego feniks wydaje się żywy. Bo jest żywy. Jest częścią mnie. Jak ręka. Ciało Sarah spłonęło, ale ona pozostała w ogniu. Tak długo, jak podtrzymuję ogień, jakaś niepalna część Sarah nadal żyje.

- Powinieneś się przespać.

- Chyba nie dam rady. Teraz, kiedy czuję się tak, jak się czuję. Przy każdym oddechu mam wrażenie, że coś skręca mi trzewia. - Ścisnął dłoń Harper. - Poza tym może nie muszę nic mówić. Może wystarczy, że posłuchasz. Zanim pójdziesz dalej tą drogą i skończysz tak jak ona.

- Od razu odnalazła się w Światłości. Nie znam nikogo, kto zrobiłby to szybciej. Cztery dni po tym, jak na skórze Sarah pojawiły się pierwsze zmiany, lśniła razem z nami w kaplicy, radosna i szczęśliwa. Wiesz, że smocza łuska potrafi wyglądać naprawdę pięknie? Porównywać Sarah do innych to jak porównywać błyskawicę z robaczkiem świętojańskim. Cudo-wne, a zarazem odrobinę przerażające. Miała więcej mocy niż ktokolwiek inny. Kiedy grała na organach, ludzie zapominali własne imiona, pamiętali tylko jej imię. Cztery godziny po tym, jak zjednoczyliśmy się w Światłości, mieszkańcy obozu mówili i chodzili jak ona.

- Teraz Carol tak na nich działa. - Harper zastanawiała się przez chwilę, po czym dodała: - Allie zresztą też. Choć w mniejszym stopniu.

- Sarah chciała, żebym pokazał jej, jak się zapalić i jak kontrolować ogień. Chciała wiedzieć, jak przekazać płomieniom swoją świadomość. Już wtedy posyłałem na wyprawy feniksa, a stada ognistych wróbli Nicka latały nad okolicą, wyszukując zainfekowanych. Mimo to nie chciałem jej uczyć. Byłem wściekły, bardzo wściekły. Wściekły i przerażony. Zarażenie się przez przypadek to jedno, ale zarażenie się celowo to zupełnie inna bajka. Zresztą Sarah też mi nie odpuszczała. Wyrzucała mi moje wykłady, wymądrzanie się i pewność siebie.

Skoro zabawy ogniem były bezpieczne dla jej głuchego, dziewięcioletniego syna i dla jej kochanka, to ona również nie miała się czego obawiać. Wypominała mi, jak mówiłem, że za nic w świecie nie zrezygnowałbym ze smoczej łuski i że cieszę się, że jestem nosicielem. Czy wszyscy razem nie powtarzaliśmy codziennie w kaplicy, jakimi jesteśmy szczęściarzami? Jak bardzo jesteśmy błogosławieni? Widziała nas upojonych radością i rozkoszą. Jak mogłem odmawiać jej czegoś, czego sam doświadczałem? Widziała, jak walczyłem za zainfekowanych, i chciała stanąć u mojego boku. Jak mogłem się z nią nie zgodzić?

Im częściej o tym mówiła, tym bardziej byłem uparty.

Nienawidziłem jej, siebie, całego świata. Miałem go dość, zżerała mnie złość. Było tyle rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Tylko dwie osoby potrafiły bawić się ogniem, nie wyrządzając sobie przy tym krzywdy. Nick i ja. Zwlekałem z uczeniem Sarah, chociaż nie dawała mi spokoju. Miałem powody, żeby się nie spieszyć. A jeśli zapanować nad smoczą łuską mogą tylko ci z chromosomem Y? Wiem, że brzmi to seksistowsko, ale matki natury nigdy nie interesowała równość płci. A jeśli potrzebna do tego jest określona grupa krwi? Jeśli to jakiś defekt DNA, jak u osób odpornych na wirusa HIV z powodu mutacji, która pozbawia ich receptora niezbędnego, żeby wirus mógł zaatakować organizm?

Więc nie uczyłem jej. Przez ostatnie tygodnie prawie w ogóle z nią nie rozmawiałem. Krzyczeliśmy na siebie, ale nie rozmawialiśmy jak normalni ludzie. Wychodziłem z założenia, że jeśli jej nie nauczę, nie będzie gorsza od reszty mieszkańców obozu. Że w Światłości będzie bezpieczna. Wierzyłem, że jeśli zbuduję między nami mur, ochronię ją.

Gdyby Harper słuchała uważniej, zorientowałaby się, że drwa w piecu poświstują melodyjnie.

- Więc zwróciła się do Nicka - powiedziała.

- Tak - odparł strażak stłumionym, obojętnym głosem. - Nick zdradził mi później, że bardzo szybko nauczyła się zapalać palcami świecę. Doszedł do wniosku, że skoro poszło jej tak dobrze, może nauczyć ją więcej. Ale opowiadał też, że kiedy pierwszy raz zapaliła świecę, wzdrygnęła się, jakby płomień ją oparzył, choć tłumaczyła mu, że wszystko przez to, że była zaskoczona. Później zauważył, że za każdym razem trzymała w pobliżu szklankę zimnej wody i po zapaleniu świecy sięgała po nią, jakby chciała przynieść ulgę piekącym dłoniom. Czasami nawet zanurzała w niej palce. A wszystko to działo się bez mojej wiedzy, za moimi plecami. Ćwiczyli nocami w chatce, kiedy ja razem z Allie ratowałem chorych i urastałem do rangi legendy.

Sarah chciała się nauczyć, jak tchnąć swoją świadomość w ogniste marionetki, tak jak ja robiłem to z feniksem, a jej syn ze stadami wróbli. Nick był temu przeciwny, uważał, że to tak, jak pominąć dodawanie i przejść od razu do równań. Chciał, żeby najpierw spróbowała zamienić swoją rękę w pochodnię albo nauczyła się ciskać kulami ognia. Ale ona użyła podstęp. Dzieciak nie miał szans. Dlatego

wytłumaczył jej podstawowe zasady, najprostsze rzeczy. Nie sądził, że ona... Myślał, że po prostu jest ciekawa... że tylko rozmawiają... i...

John zamilkł i utkwiał wzrok w palenisku. Pomarańczowa poświata łagodnie pieściła jego policzki.

- Wróciłem z kolejnego wypadu z Allie - ciągnął. - Przyprawiliśmy z sobą kilku uchodźców... zdaje się, że był wśród nich biedny Nelson Heinrich. Płynąłem właśnie na wyspę, kiedy zobaczyłem dym. Zanim ktokolwiek w obozie zorientował się, co się dzieje, było już po wszystkim. Wpłynąłem do przystani w południowej części wyspy... teraz już jej nie ma. Kiedy wyszedłem na brzeg, dach chaty się zawalił. Wpadłem do środka tylnymi drzwiami, ale w tej samej chwili za moimi plecami komin runął na przystań i kompletnie ją zniszczył. Parter podtrzymywały stare odkryte belki. Jedna z nich przygniotła Nicka. Był nieprzytomny, ale widziałem, że oddycha. Powietrze falowało z gorąca. Gdziekolwiek spojrzę, widziałem dym i iskry. Widziałem jego... i ją. To, co z niej zostało. Kości i popiół, i... i... - Przełknął ślinę i pokręcił głową, jakby chciał odegnać od siebie złe wspomnienia. - Jestem pewien, że gdyby nie było tam Nicka, dałbym za wygraną. Wpadłem w histerię. Byłem w szoku. Ale on tam był i musiałem go uratować. Próbowałem podnieść belkę, nie dałem jednak rady. Musiała ważyć z dwieście kilogramów. Szarpałem się z nią, lecz ani drgnęła. Złorzeczyłem Bogu, krzyczałem na Sarah, po prostu krzyczałem. I wtedy ją zobaczyłem. Stała przy drugim końcu belki, przy swoim synu.

Mówił szeptem, a szeroko otwarte, nieruchome oczy wpatrywały się w palenisko ni to z podziwem, ni to ze strachem.

- Wzdrygnąłem się na jej widok. Stałem w samym środku pożaru i drżałem jak w febrze. Wyglądała tak pięknie. Była najcudowniejszą istotą na świecie. Chodzącym ogniem, niebieskim jak płomień lampy lutowniczej. Jej włosy zmieniły się w falujące wstęgi czerwonozłotych płomieni. Nie wiadomo, skąd wzięła topór, topór utkany z ognia. Zamachnęła się nim i uderzyła w belkę. Jednym ciosem rozłupała ją na pół. Ostrze było tak gorące, że roztrzaskałoby dźwigar, nawet gdyby wykonano go z żelaza. Uwolniłem Nicka i razem z nim wybiegłem z chaty. Tylko raz obejrzałem się na drzwi. Sarah wciąż tam stała, odprowadzając mnie wzrokiem. Znała mnie. Wyczytałem to z jej

twarzy. Była piękna i taka... smutna. Zdezorientowana. Wiedziałem, że jest świadoma tego, kim się stała. W jednej chwili była kobietą, a zaraz potem żywiłakiem ognia.

Strażak wziął głęboki oddech i skrzywił się z bólu, który przeszył mu płuca.

- Dom się zawalił. Ogień przygasł. Nie opuściłem wyspy. Siedziałem na wydmach i patrzyłem. Ludzie przychodzili i proponowali mi jedzenie albo dobre słowo. Nie zwracałem na nich uwagi. Allie siedziała przy mnie godzinami. Słońce wzeszło, suche i gorące, i choć żar lał się z nieba, siedziałem bez ruchu. Gdy zapadał zmrok, chata wciąż płonęła, choć to, co z niej zostało, przywodziło na myśl dogasające ognisko. Na chwilę przysnąłem. Kiedy się obudziłem, Sarah stała pośród zwęglonych szczątków jak blady duch złotego płomienia. Zniknęła niemal zaraz po tym, jak ją zobaczyłem, ale już wtedy miałem pewność. To, co zostało z jej świadomości, wniknęło w węgle i przeniknęło do miliarda mikroskopijnych cząsteczek smoczey łuski, które nie mogły zostać zniszczone. Była popiołem i płomieniem. Od tamtej pory mieszkam na wyspie i podtrzymuję ten pierwotny ogień. To on płonie w palenisku. Ona wciąż tu jest. Ze mną. Wierzę, że jej świadomość jest podtrzymywana przez energię, którą wytwarza ogień, i może zniknąć tylko wtedy, kiedy płomienie zgasną na dobre.

To chyba wszystko. Tylko nieliczni mieszkańcy obozu wiedzą, co potrafi Nick. Od tamtego dnia nie używa już swoich mocy. Sama rozumiesz. Obwinia się o śmierć matki. Wyobrażasz sobie dziewięciolatka, który musi żyć z taką świadomością? Nick nie wie, że Sarah wciąż jest z nami... nie miałem odwagi mu pokazać. Boję się jego reakcji. A jeśli pomyśli, że ona cierpi, i wmówi sobie, że to przez niego? - Strażak obrócił się, spojrzął na drzwi i zamarł. - Boże. Siedzisz tu od kilku godzin. Musisz wrócić do obozu przed wschodem słońca. Już i tak za długo tu jesteś.

- Jeszcze chwila - powiedziała Harper. - Michael obiecał, że w razie potrzeby będzie mnie zastępował przez całą noc.

- Musisz na siebie uważać, Harper. - Spojrzął jej w oczy. - Jest chłopiec, który bardzo cię kocha. Ty jedna utrzymujesz go przy życiu.

Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że ma na myśli Nicka, nie siebie.

- On nadal się obwinia - dodał John. - Poczucie winy go Przytłacza i ciąży mu tak, jak gdyby nadal leżał przygnieciony tamtą belką.

- I kto to mówi! - rzuciła.

Przez moment unikał jej wzroku.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę, żebyś bawiła się ogniem, tak jak zrobiłaś to ze strzałą. Straciłem już jedną kobietę, na której mi zależało. Nie możesz skończyć jak ona siostra Willowes. Nie mogę cię stracić.

Objęła go, pocałowała jego zarośnięty policzek i wstała z łóżka. Poprawiła mu pościel, otuliła go i stojąc nad nim przez chwilę patrzyła na jego wychudzoną, zmęczoną twarz.

- To, co spotkało Sarah Storey, nie jest twoją winą -zapewniła go. - Ani Nicka. Żaden z was nie powinien obwiniać się o jej śmierć. Harold Cross potrafiłby to wytłumaczyć. Kocham cię, Johnie Rookwood. - Powiedziała to po raz pierwszy, stanowczym, spokojnym głosem, i nie dając mu szans na jakąkolwiek reakcję, dodała pospiesznie: - Ale nie jesteś lekarzem i nie rozumiesz natury tej infekcji. Sarah Storey nie umarła dlatego, że Nick źle ją nauczył. Nie umarła dlatego, że nie miała chromosomu Y ani dlatego, że w jej DNA nie było odpowiedniej mutacji. Powodem jej śmierci nie była żadna z tych rzeczy, które przychodzą ci do głowy. Obok koszmarnej poezji i ohydnych, mizoginistycznych tekstów w dzienniku Harolda Crossa można znaleźć naprawdę rzetelne informacje. Zarodniki powoli wnikają do ludzkiego mózgu. Potrzeba mniej więcej sześciu tygodni, żeby dotarły do ośrodka Broki, obszaru odpowiedzialnego za generowanie mowy, nawet jeśli jesteś głuchy. Mówiłeś, że była zainfekowana...Jak długo? Trzy tygodnie? Cztery? Przyspieszyła cały proces. To proste.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Właśnie że wiem, John. Masz prawo ją oplakiwać, ale myślę, że twoje poczucie winy jest nieuzasadnione. Podobnie jak twoje obawy o moje bezpieczeństwo. Od prawie dziewięciu miesięcy noszę smoczą łuskę. Mam ją w każdej komórce swego ciała. Mogę nauczyć się wszystkiego, co potrafisz. Powinieneś był porozmawiać z Haroldem.

Strażak westchnął ciężko i nagle, nie wiedzieć czemu, jakby się skurczył. Naszła ją dziwna myśl, że jest lżejszy od niej o jakieś dziesięć

kilogramów.

- Ja... ja... w ostatnich tygodniach niewiele miałem wspólnego z Haroldem - przyznał. - Według Allie był żalonym dziwakiem, a ja siedziałem na wyspie pogrążony w smutku. Prawie w ogóle go nie widywałem. Prawdę mówiąc, unikałem go.

- O czym ty mówisz? - spytała Harper. - To ty ukradkiem wyprowadziłeś go z izby chorych. Napisał o tym w swoim dzienniku.

Strażak utkwiał w niej pełne niepokoju spojrzenie.

- Albo ty się mylisz, albo on pisał bzdury. Tak czy siak, nie powinniśmy wierzyć jego zapiskom. Ani razu nie pomogłem mu wyjść z izby chorych. Nie masz pojęcia, jakim był paskudnym gnojkiem.

Harper spojrzała na niego obojętnym wzrokiem, wyraźnie skołowana i zagubiona. Wielokrotnie przeglądała dziennik i była pewna, że pod koniec Harold opisywał Johna Rookwoda jako swojego jedynego sprzymierzeńca.

Strażak zacisnął usta, zmieniając je w pozbawioną koloru, wąską kreskę.

- Dajmy temu spokój. Musisz iść. Nie wychylaj się i wracaj prosto do izby chorych. Później coś wymyślimy. Mamy jeszcze czas.

Ale czasu nie było.

Harper wracała pod osłoną nocy zadziwiająco ciepłej i przesiąkniętej zapachem sosen i żyznej, czarnej ziemi. Kiedy przygarbiona weszła do izby chorych, mlecznobiałe światło rysowało na wschodnim brzegu Atlantyku cienką świetlistą linię. Michael leżał na kanapie w poczekalni, oczy miał zamknięte, pierś przykrył starym numerem „Rangera Ricka”. Gdy zamknęła drzwi, poruszył się, przeciągnął i potarł rękami delikatną chłopięcą twarz.

- Jakies problemy? - zapytała.

- Gorzej - odparł i sięgnął po magazyn. - Utknąłem w wykreślanie słownej. Żalossne, zwłaszcza że zrobiono ją z myślą o dzieciakach. - Uśmiechnął się sennie i dodał: - Z tego, co wiem, więźniowie wrócili cali i zdrowi i nikt nie zauważył ich zniknięcia. Wygląda na to, że Chuck Cargill był nieźle wkurzony, że musiał przez godzinę siedzieć w chłodni. Zagroził, że ich oskalpuje, jeśli pisną choćby słowo Benowi Patchettowi.

- Wiesz co, Michael? W takich chwilach jak ta mam ochotę przeprowadzić transfuzję i przetoczyć sobie trochę twojej krwi. Chciałabym być taka odważna.

- Cieszę się, że mogła pani spędzić kilka godzin ze swoim facetem. Jeśli ktoś w tym obozie zasługuje na odrobinę czułości, to właśnie pani.

Harper chciała wytłumaczyć, że strażak nie do końca jest jej facetem, ale coś ścisnęło ją w gardle i piekły ją policzki, choć nie miało to nic wspólnego ze smoczą łuską. Inny chłopak pewnie wyśmiałby jej zakłopotanie, ale Michael jak gdyby nigdy nic przeniósł wzrok na wykreślaną słowną.

- Moje dwie młodsze siostry już dawno by sobie z tym poradziły, a żadna z nich nie miała nawet dziesięciu lat. Spróbuję dokończyć jutro. Ustaliłem z Benem, że cały tydzień będę pełnił wartę w izbie chorych. Na wypadek gdyby chciała pani spotkać się z panem Rookwoodem albo przekazać coś pozostałym.

- Michael, mam ochotę cię pocałować. - Widząc, że chłopak oblał się

rumieńcem, zachichotała.

Spodziewała się, że zastanie Nicka śpiącego, i rzeczywiście chłopiec spał... ale nie leżał na swoim łóżku polowym ani na łóżku Harper. Spał przytulony do dziadka, a jego pulchna dłoń spoczywała na sercu Toma Storeya. Piers staruszka unosiła się, nieruchomiała na niepokojąco długą chwilę i powoli opadała; przypominała Harper rdzewiejącą wieżę wiertniczą, która lada chwila może zatrzymać się na dobre.

Smuga bladego światła przecinała policzek Nicka, wydobywając z jego nieskazitelnej cery ciepły róż, muskała potargane czarne włosy, zmieniając ich końcówki w drobinki mosiądzu i miedzi. Harper nie mogła się powstrzymać. Kiedy podeszła do łóżka, żeby sprawdzić kroplówkę, mimowolnie musnęła palcami czarne kędziory, rozkoszując się ich jedwabistą miękkością.

Chłopiec powoli otworzył oczy i ziewnął przeciągle.

„Przepraszam - odezwała się w języku migowym. — Śpij dalej”.

Zignorował ją i odparł, gestykulując:

„Znowu się obudził”.

„Na jak długo?”

„Na kilka minut. Wypowiedział moje imię. Wyczytałem to z ruchu jego warg”.

„Rozmawialiście o czymś jeszcze?”

Nick się uśmiechnął.

„Pytał, co jadłem na śniadanie”. Zaraz potem spochmumiał i dodał: „I gdzie jest moja mama. Nie pamiętał, że... że umarła. A ja nie mogłem mu powiedzieć. Skłamałem, że nie wiem, gdzie jest”.

Odwrócił głowę i wyjrzał przez okno na krwistoczerwone światło poranka.

Smocza łuska zmieniała płuca człowieka tak, że był w stanie oddychać nawet w duszącym dymie. Nie była jednak w stanie zagłuszyć poczucia winy i ułatwić oddychania, gdy człowieka przygniatało dwustukilowe brzemie. Harper chciała powiedzieć chłopcu, że nie przyczynił się do niczyjej śmierci. Że obwinianie się o to, co spotkało jego matkę, jest tak samo niedorzeczne jak obwinianie grawitacji o to, że ktoś wyskoczył przez okno i spadł z dziesiątego piętra. Nie było też sensu winić jego matki - kiedy Sarah Storey wyskakiwała przez okno, wierzyła święcie w to, że potrafi latać. W

końcu śmierć z powodu zarazy to nie kara za moralne niedoskonałości. Mężczyźni i kobiety byli niczym więcej jak drewnem na opał, a *Draco incendia trichophyton* zbierał swoje ogniste żniwo zarówno wśród dobrych, jak i złych ludzi.

„Z czasem przypomni sobie pewne rzeczy” - obiecała Nickowi.

„Ale nie wszystko?”

„Nie wszystko”.

„Na przykład, kto próbował go zabić?”

„Dajmy mu trochę czasu. Jeśli nie będziemy go ponaglać, możliwe, że przypomni sobie całkiem sporo”.

Nick ściągnął brwi.

„Powiedział, że chce z tobą porozmawiać. Ale musi jeszcze trochę pospać”.

Harper nie mogła się powstrzymać i rozciągnęła usta w uśmiechu.

„Rozumiem, że nie powiedział, ile będzie trwało to »trochę«?”

„Do dzisiejszego wieczora”.

„Tak powiedział?”

Nick przytaknął z powagą.

„Dobrze - powiedziała na migi Harper. - Ale nie martw się, jeśli się dziś nie obudzi. To będzie długi, powolny powrót do zdrowia”.

„Dziadek będzie gotowy - zapewnił ją Nick. - A ty?”

W wyniku nieoczekiwanego zwrotu wydarzeń Ojciec Storey - zupełnie zdrowy i ubrany w nieskazitelnie czystą komżę - powiedział Harper, żeby wkroczyła do wraku szkolnego autobusu przy bramach obozu Wyndham i obserwowała drogę. Użył nawet słowa „wkroczyła”, jakby cytował Biblię. Wydał ten rozkaz, siedząc na smaganej wiatrem, białej skale pośrodku Parku Pamięci, podczas gdy jego trzódka wylewała się zza otwartych na oścież, czerwonych drzwi kaplicy za jego plecami. Mieszkańcy obozu byli w radosnych nastrojach, śmiali się i rozmawiali z ożywieniem, a niektóre dzieci śpiewały piskliwymi głosikami *Burning Down the House*. Harper z niepokojem obserwowała dorosłych, którzy taszczyli duże czerwone kanistry z benzyną.

- Co się dzieje?

- Przepowiedziano mi, że czeka nas przyjęcie z grillem -odparł Ojciec Storey. - Dziś wieczorem spodziewamy się gości, którzy przyniosą dobre wieści. Powtarzam ci zatem: powstań, udaj się we wskazane miejsce i miej oczy i uszy otwarte. My tymczasem rozpalimy ogień i upieczemy pianki na cześć Światłości. - Mówiąc to, puścił do niej oko. - Nie siedź tam za długo, to zostawię ci jedną.

Chciała zapytać, kto przepowiedział nadchodzące wydarzenia, ale nie miała czasu i zanim się obejrzała, szła drogą pod ciemnym, bezgwiezdnym niebem. W oddali słyszała tłum śpiewający na całe gardło przebój grupy *Talking Heads* o słodkiej rozkoszy palenia. Przyspieszyła kroku. Nie chciała, żeby ominęło ją pieczenie pianek. Zastanawiała się, kto właściwie przyniósł je do obozu. Pewnie ta sama osoba, która posiadała dar widzenia przyszłości.

Spieszyła się tak bardzo, że omal nie potknęła się o mężczyznę na drodze. W ostatniej chwili uskoczyła w bok w wysoką, mokrą trawę. Od autobusu dzielił ją jeszcze spory kawałek drogi.

Nelson Heinrich podniósł głowę i spojrział na nią. Rozpoznała go po

ohydnym, bożonarodzeniowym swetrze, bo połowa jego twarzy była obdarta ze skóry, odsłaniając zbitki czerwonych mięśni. Spomiędzy tej lśniącej, czerwonej masy wyzierały zamglone, wesołe oczy. Wyglądał jak anatomiczny model ludzkiej głowy, który stał kiedyś na blacie w sali chorych.

- Mówiłem ci, że wrócę! - wyrzucił Nelson. - Mam nadzieję, że wystarczy pianek dla wszystkich! Przyprowadziłem przyjaciół!

U podnóża wzniesienia stał, pracując na jałowym biegu, freightliner. Z rury wydechowej za kabiną kierowcy unosiły się kłęby czarnych spalin.

Nelson podczołgał się o kolejne kilkanaście centymetrów, ciągnąc za sobą grube sznury jelita.

- Chodźcie, chłopcy! - zawołał. - Mówiłem, że pokażę wam, gdzie się ukrywają! Zjedzmy coś słodkiego! Łyzeczka cukru dla każdego!

Harper rzuciła się do ucieczki. Nie biegła jednak tak, jak kiedyś. W ósmym miesiącu ciąży poruszała się z gracją i zwinnością kobiety niosącej ciężkie, tapicerowane krzesło.

Była jednak szybsza od Nelsona, a freightliner nie ruszył jeszcze, tak więc dotarła na szczyt wzgórza przed nimi, a jej oczom ukazało się olbrzymie ognisko. Góra węgla wielka jak chata i jęzory ognia strzelające w zasnute chmurami niebo. Zamiast gwiazd noc wypełniały wirujące konstelacje dogasających iskier. Harper otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale wokół nie było nikogo, kto by ją usłyszał, nikt nie stał przy ognisku z nadzianymi na patyki piankami, nie było dorosłych, którzy popijali cydr, ani dzieci, które śpiewając, bawiły się w berka. Mieszkańcy obozu Wyndham nie zgromadzili się, żeby cieszyć się ogniskiem; to oni byli ogniem. Patrzyła na ogromną, zapadającą się stertę ciał, na płomienie przeświecające przez puste oczodoły, poczerniałe czaszki i słyszała świst ognia szalejącego między zwęglonymi żebrami. Trzask pękających kości i syk palonych ciał brzmiały dziwnie radośnie. Na szczycie płonącego kopca siedział Nick. Wiedziała, że to on, bo choć przypominał zwęglone, wysuszone zwłoki, patrzył na nią płonącymi oczami i poruszał wściekle rękami, ostrzegając ją: *Za tobą za tobą za tobą!*

Odwróciła się w chwili, gdy Jakob nacisnął klakson freightlinera i powietrze przeszył przenikliwy, rozdzierający serce ryk. Stojąca siedem

metrów dalej ciężarówka pracowała na jałowym biegu, Jakob wyłączył reflektory, przez co był jedynie siedzącą za kółkiem, czarną postacią.

- Tu jestem, kochanie! - zawołał. - Ty i ja, skarbie! Co ty na to?

Chwilę później z metalicznym chrzęstem wrzucił pierwszy bieg, a światła freightlinera obudziły się do życia, tyle światła, tyle...

...światła, które świeciło jej prosto w oczy. Zamrugła i usiadła, zasłaniając jedną ręką oczy. Żółć podeszła jej do gardła.

Spróbowała dojrzeć coś poza snopem światła z latarki i zobaczyła Nicka. Stał z szeroko otwartymi oczami w swojej drobnej, ładnej twarzy, z uroczym rozczochranymi włosami. Przyłożył do ust palec - ćśś - i wskazał na Ojca Storeya.

Który uśmiechał się swoim dobrotliwym uśmiechem profesora Dumbledore'a i patrzył na nią zupełnie przytomnie.

Harper usiadła, spojrzała mu w oczy i opuściła nogi na podłogę. W płytkim naczyniu przy łóżku staruszka migotała świeca.

- Od czasu do czasu mój przyjaciel, John Rookwood, droczył się ze mną, mówiąc, że studiowanie teologii jest równie potrzebne jak dziura w głowie - przemówił Ojciec Storey cichym, łamiącym się głosem. - Jeśli dobrze zrozumiałem Nicka, uratowałaś mi życie, wierząc mi w głowie dziurę. To chyba oznacza, że nie do końca miał rację. Będziemy musieli Powiedzieć mu o tym. - Oczy mu błyszczały. - Powtarzał też, że ludzie religijni są ograniczeni umysłowo. A czyj umysł jest teraz bardziej otwarty, co?

- Pamiętasz, kim jestem, Ojczy? - zapytała go Harper.

- Ależ tak! Pielęgniarką. Jestem prawie pewien, że się przyjaźnimy, chociaż, niestety, w tej chwili nie bardzo mogę sobie przypomnieć, jak się nazywasz. Obcięłaś włosy i to chyba zbija mnie z tropu. Juliet Andrews? Nie. Nie... nie tak.

- Harper - odpowiedziała mu.

- Ach! Tak! Harper... - Ściągnął brwi. - Harper Gallows?

- Blisko! Willowes. - Dotknęła jego nadgarstka i zmierzyła puls. Był silny, stabilny i wolny. - Jak pańska głowa?

- Nie tak źle, jak lewa stopa - odparł.

- Stopa?

- Coś mnie w nią ugryzło.

Harper stanęła w nogach łóżka i przyjrzała się jego stopie. Między

dużym a drugim palcem zobaczyła zaczerwienioną opuchliznę, która wyglądała jak ślad po ugryzieniu pająka. Znalazła też inne - starsze - ślady, otoczone żółknącymi siniakami.

- Hm - mruknęła. - Rzeczywiście coś pana ugryzło. Przykro mi. Byłam zbyt zajęta doglądaniem dziury w pańskiej głowie. Miał pan poważnego krwika podtwardówkowego. Mało pan nie umarł.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Ponad dwa miesiące. Przez ostatnie kilka dni tracił pan przytomność i ją odzyskiwał. Po urazie głowy doszło do poważnych... komplikacji. Miał Ojciec co najmniej dwa udary. W pewnej chwili zaczęłam się bać, czy w ogóle wróci Ojciec do zdrowia.

- Udary?

Przycupnęła na skraju łóżka i w języku migowym poprosiła Nicka, żeby podał jej przedmiot-do-ucha-i-serca, i chłopiec poszedł po jej stetoskop.

- Rozmawiasz z moim wnukiem w języku migowym? -zapytał Ojciec Storey.

- Nick jest dobrym nauczycielem.

Starszy pan uśmiechnął się, zaraz jednak spochmurniał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Skoro miałem udary, jak to możliwe, że nie bełkoczę i mówię normalnie?

- Nie zawsze tak jest. Podobnie jak z częściowym paralizem. Ale ma pan czucie w obu rękach i nogach? Twarz panu nie drętwieje?

Szarpnął się za brodę i uszczypnął w nos.

- Nie - zapewnił.

- To dobrze - odparła powoli, jakby coś nie dawało jej spokoju. Na chwilę wróciła myślami do czerwonego śladu między palcami, zaraz jednak skupiła się na czymś innym.

Nick przyniósł stetoskop i Harper zaczęła słuchać bicia serca Ojca Storeya (było silne) i osłuchiwać płuca (były czyste). Zbadała wzrok, prosząc, by wodził oczami za patyczkiem higienicznym, który to zbliżała do jego nosa, to oddalała.

- Zapadnę znowu w śpiączkę? - zapytał.

- Nie sądzę.

- Skąd wzięła się ta kroplówka? - zapytał, patrząc na stojący przy

łóżku stojak.

- To długa historia. Przez ostatnie dwa miesiące wiele się zmieniło.

Spojrzał na nią z nadzieją.

- Wynaleźli lekarstwo? Na smoczą łuskę?

- Nie - odparła Harper.

- Nie... oczywiście. W przeciwnym razie nie ukrywalibyśmy się w obozie, a ty nie leczyłabyś mnie w sali chorych. -Posłał jej smutny, zmartwiony uśmiech. — A Carol? Co ona zrobiła?

- Na razie skupmy się na panu — bąknęła. - Spróbuje Ojciec napić się wody?

- Chętnie. Chętnie usłyszę też odpowiedź na swoje pytanie. Myślę, że dam radę zrobić obie te rzeczy naraz.

Harper nie poprosiła Nicka, żeby przyniósł wodę, zrobiła to sama. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić. Kiedy wróciła, trzymała szklankę i czekała, aż Ojciec Storey podniesie głowę z poduszki, żeby wypić łyk. Zaraz potem opadł na poduszkę i cmoknął.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawia z nią Ojciec osobiście - powiedziała. - Kamień spadnie jej z serca, kiedy się dowie, że się pan obudził. Bez Ojca odchodziła od zmysłów, chociaż Ben Patchett, Norma Heald i czujki wspierali ją, jak mogli. To oni zajmowali się obozem. - Uznała, że powinna mu to przedstawić w dyplomatyczny sposób.

Ojciec Storey przestał się uśmiechać. Cerę miał bladą i niezdrową i zaczynał się pocić.

- Nie, lepiej będzie, jeśli najpierw spotkam się z Johnem, panno Willowes. Zanim poinformujesz moją córkę, że odzyskałem przytomność. Możesz go tu sprowadzić? Są pewne rzeczy niecierpiące zwłoki. - Zamilkł i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Co się stało z człowiekiem, który mnie zaatakował?

- Nie wiemy, kto pana zaatakował. Niektórzy uważają, że to jeden z więźniów, niejaki Mark Mazzucchelli. On jednak upiera się, że rozdzieliliście się w lesie i że gdy Ojca zostawiał, wszystko było w porządku. Zasugerowałam, że może napastnikiem był złodziej, który chciał uciszyć Ojca, zanim...

- ...wydam go za kilka puszek mielonki - dokończył Ojciec Storey. - Nieważne. Co wiesz o złodzieju?

- Mówił Ojciec, że wie, kim on jest.

- Tak? Chyba... chyba się pomyliłem. A może po prostu zapomniałem. Niewiele pamiętam z tamtej nocy, kiedy zostałem napadnięty. - Zacisnął usta, ściągnął brwi i pokręcił głową. - Nie. Chyba nie wiem, kto to jest.

- Mówił Ojciec, że ktoś będzie musiał opuścić obóz. Pamięta pan naszą rozmowę? - drażyla Harper. - Kiedy razem płynęliśmy do South Mill?

- Nie bardzo - wyznał. - Ale jestem pewien, że nie mówiłem o złodzieju.

- W takim razie o kim rozmawialiśmy?

- Myślę, że mówiliśmy o mojej córce - odparł Tom Storey, jakby to było oczywiste. — O Carol. To ona nasłała Szwadron Kremacyjny na Harolda Crossa. Wystawiła go... zaaranżowała wszystko. Kiedy więc Ben Patchett zastrzelił nieszczęśnika, wyglądało na to, że nie miał wyboru, że zrobił to, żeby chronić mieszkańców obozu i mieć pewność, że Harold nie piśnie ani słowa naszym wrogom.

Harper zerknęła ukradkiem na Nicka. Chłopak przycupnął w nogach łóżka, splótł ręce pod brodą i z uwagą obserwował dziadka. Na jego twarzy malował się błogi spokój. W pokoju panował mrok rozświetlany słabym światłem świecy i Harper nie była pewna, czy Nick zrozumiał coś z tego, co właśnie powiedział jej Ojciec Storey. Pamiętała, że nawet przy dobrym świetle chłopiec nie bardzo potrafi czytać z ruchu warg.

- Skąd Ojciec wie? - zapytała.

- Carol sama mi powiedziała. Może pamiętasz, że w swoim ostatnim przemówieniu apelowałem do mieszkańców obozu, żeby wybaczyli złodziejowi. Później, kiedy Carol i ja zostaliśmy sami, pokłóciliśmy się o to. Powiedziała, że jestem słaby i że jeśli nie okazemy siły, ludzie nas opuszczą. Twierdziła, że powinienem był ukarać Harolda Crossa dla przykładu. Odparłem, że to, co spotkało Harolda, było straszne, ale ona na pewno się z tego cieszy. Byłem niemiły, przesadzałem, lecz ona zmieszała się i szepnęła: „A więc wiesz”. Poczujęm, że przechodzi mnie dreszcz, i zapytałem, co ma na myśli? A ona na to: „Ukarałam go dla przykładu”. Miałem na myśli to, że Harold okazał nieposłuszeństwo i sprowadził na siebie nieszczęście, Carol jednak źle mnie zrozumiała i myślała, że mówię o tym, czego się dopuściła. Powiedziała, że dobrze zrobiła, nasyłając na niego Szwadron Kremacyjny. Gdyby tego nie zrobiła, Harold i tak wcześniej czy później zostałby złapany, tyle że Wtedy w pobliżu nie byłoby nikogo, kto nie dopuściłby do tego, by schwytano go żywcem. Twierdziła, że nie wstydzi się tego, co zrobiła. Ocaliła mnie, moje wnuki i cały obóz. Promieniała i wyglądała... jakby triumfowała. Powiedziałem, że nie wierzę, by Ben Patchett był w to wszystko zamieszany, na co parsknęła śmiechem, jakbym opowiedział naprawdę dobry dowcip. Wytknęła mi, że nie miałem pojęcia, jak trudno stwarzać pozory, że wszyscy są tacy dobrzy i mili, jak mi się wydaje, i podtrzymywać moje dziecięce mrzonki o ludzkiej uczciwości i wielkoduszności. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie byłem w stanie myśleć. Zarzuciła mi, że tak samo jak ona przyczyniłem się do śmierci

Harolda, bo doprowadziłem do sytuacji, w której musiał zostać zastrzelony. Że gdyby od początku w obozie stosowano ciężkie kary, gdybyśmy zakuli go w łańcuchy albo publicznie wychłostali, nie wymykałby się i nie narażał nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Zanim zdążyłem się odezwać, usłyszałem, jak Ben Patchett dobija się do drzwi i mówi, że musimy iść. Szczerze mówiąc, nie chciałem odierać jej argumentów... nie w obecności Bena. Wiem, że moja córka by mnie nie skrzywdziła, ale jeśli chodzi o Bena, nie byłem pewny...

- Jest pan pewien co do Carol? - przerwała mu Harper. - Jeśli była zła, jeśli obawiała się, że może zostać wygnana, nie sądzi pan, że to ona mogła uderzyć pana w głowę?

- To na pewno nie była Carol. Moja córka nigdy, przenigdy nie próbowałaby mnie zabić. Jestem o tym przekonany... Nie. Nawet nie biorę tego pod uwagę. Proszę mi powiedzieć, czy kiedy byłem nieprzytomny, sprawiała wrażenie, jakby miała mieszane uczucia co do mojego wyzdrowienia?

Harper zaczerpnęła powietrza i zastanawiała się przez chwilę.

- Nie - odparła w końcu. - Prawdę powiedziawszy, zagroziła, że jeśli Ojciec umrze, wygna mnie z obozu i odbierze mi dziecko.

Tom Storey zbladł.

- Panikowała na samą myśl, że mógłby pan umrzeć - dodała i pokręciła głową. Pamiętała, co powiedział John: że Carol zawsze chciała mieć ojca tylko dla siebie i że tak naprawdę kochała tylko Toma Storeya. Oczywiście miłość może prowadzić do zabójstwa. Harper rozumiała to lepiej niż ktokolwiek. Mimo to... nie. Nie w tym przypadku. Carol mogła podpisać wyrok śmierci na Harolda Crossa, ale nie na swojego ojca. Nie na Toma Storeya.

Ojciec Storey musiał być tego samego zdania, bo powiedział:

- Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że stanowią dla niej jakiegokolwiek zagrożenie. Nie wstydziła się też tego, co zrobiła. Była z siebie dumna! Wiedziała, że gdyby mieszkańcy obozu się dowiedzieli, mogłoby dojść do rozłamu, i uważała, że należy zachować to w tajemnicy. Nie sądziła jednak, że ma się czego wstydzić. Nie, nie wierzę, że moja własna córka chciałaby mnie zabić tylko po to, żeby zamknąć mi usta. To niemożliwe. Na pewno liczyła, że pewnego dnia zgodzę się z nią i uznam, że zabójstwo Harolda Crossa było konieczne, żeby ochronić

obóz. A przynajmniej miała nadzieję, że będę tym samym kochającym, uczciwym, wyrozumiałym człowiekiem, który przewodził wieczornym spotkaniom w kaplicy, i pozostawię jej wolną rękę w kwestii bezpieczeństwa naszej małej społeczności. Właśnie tak to ujęła.

Harper była wściekła, że nie potrafi ustalić, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy w lesie. Miała wrażenie, że wszystko, co musi wiedzieć, żeby odkryć prawdę, jest na wyciągnięcie ręki, ale czuła się tak, jak gdyby spotkała znajomego, którego imienia nie może sobie przypomnieć. Starła się, jak mogła, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Odpuść więc, pomyślała. To bez znaczenia. Nie musiała się nad tym zastanawiać. Nie teraz.

- Sprowadź tu Johna — odezwał się łagodnie Ojciec Storey. -Później porozmawiamy z Carol. I z Allie. I z Nickiem. Chcę mieć przy sobie całą moją rodzinę. Jeśli czeka nas poważna rozmowa, przejdziemy przez to razem. Tak jak to robiliśmy do tej pory. - Zmrużył oczy. - Myślisz, że ludzie zrozumieją, co Carol zrobiła panu Crossowi? Myślisz, że jej wybaczą?

Harper zastanawiała się, ile osób wybaczy Ojcu Storeyowi, że zdemaskował córkę, ale nie powiedziała tego na głos. On jednak wyczytał z jej twarzy, że ma jakieś wątpliwości.

- Myślisz, że to będzie koniec naszego obozu? - zapytał.

Odpowiedziała po chwili pytaniem na pytanie.

- Pamięta Ojciec rozmowy o wyspie Marthy Quinn?

- Tak.

- Ona naprawdę istnieje. Chciałabym tam popłynąć. Mają tam szpital, w którym mogłabym bezpiecznie urodzić. Wiem, że inni też chcieliby się tam dostać. Myślę, że... kiedy sprawa Harolda Crossa zostanie rozwiązana... kiedy pan wyzdrowieje... obóz może się rozpaść. Tamtej nocy, kiedy został Ojciec napadnięty, powiedział mi Ojciec, że ktoś będzie musiał zostać wygnany. Wyrzucony z obozu. Nie wiedziałam, że miał pan na myśli Carol. Myślę, że... - Zaczerpnęła powietrza, żeby się uspokoić. Zamierzała zaproponować coś, co wydawało jej się odrażające. - Myślę, że mogłaby popłynąć ze mną. Z nami. Z tymi, którzy opuszczą obóz... jeśli będziemy mogli odejść.

- Oczywiście, że będziecie mogli odejść — zapewnił ją. — Ale może

będzie lepiej, jeśli Carol zostanie w obozie. To trochę jak więzienie. Zostałbym z nią, żeby mieć ją na oku. Żeby pomóc jej wrócić do tego, kim była kiedyś. Jeśli to jeszcze możliwe.

- Ojciec - szepnęła Harper.

- Tom.

- Tom... Może zaczekamy jeszcze dzień i jutro porozmawiasz z córką. Wciąż jesteś słaby. Myślę, że powinieneś odpocząć.

- Odpocznę lepiej, jeśli zobaczę swoją wnuczkę i Johna - odparł. - I moją córkę. Kocham Carol z całego serca. Rozumiem, jeśli nie możesz... jeśli jej nienawidzisz. Ale musisz wiedzieć, że czegokolwiek się dopuściła i jakiegokolwiek zbrodnie popełniła, zawsze wierzyła, że robi to dla dobra ludzi, na których jej zależy.

Harper pomyślała, że Carol ma chorą potrzebę podporządkowywania sobie innych, która nie ma nic wspólnego z troską i miłością, ale Tom Storey nie potrafił tego dostrzec, tak jak Nick nie potrafił usłyszeć.

Przemilczała to jednak, bo wieczór i tak zapowiadał się na nieprzyjemny, skoro Tom zamierzał porozmawiać z córką jeszcze dziś. Najpierw więc John. Potem przekazać wiadomość Allie, a ona przyprowdzi Carol. Z czymkolwiek będzie musiał się zmierzyć Ojciec Storey, nie będzie sam.

Harper odwróciła się do Nicka.

„Idę przyprowdzić strażaka - powiedziała, używając języka migowego. - Dotrzymaj towarzystwa dziadkowi. Potrzebuje cię. Może napić się wody, ale nie za dużo. Rozumiesz? Czy wyrażam się jasno?”

Nick pokiwał głową, a jego ręce odparły:

„Rozumiem. Idź”.

Wstała, zadowolona, że może dokądś pójść. Chciała, żeby jej ciało dogoniło myśli, które tłukły się po głowie. Pochylona przeszła pod kotarą w kolorze mchu.

Michael stał na straży, tak jak obiecywał. Choć raz odłożył na bok „Rangera Ricka” i zapamiętałe polerował kolbę strzelby kalibru .22.

- Michael - zwróciła się do chłopaka.

- Tak, psze pani?

- Ojciec Storey się obudził.

Chłopak podskoczył jak oparzony i chwycił broń, żeby nie spadła na

podłogę.

- Żartuje pani. To niemożliwe.

Nie mogła się powstrzymać i musiała się uśmiechnąć. Zaskoczenie na jego twarzy — niewinność i oczy szeroko otwarte ze zdumienia — sprawiało, że bardziej niż kiedykolwiek przypominał małego chłopca.

- To prawda. Obudził się i mówi.

- Czy on... - Jego jabłko Adama podskoczyło i opadło. - O mój Boże. Czy on pamięta, kto go napadł?

- Nie - odparła Harper. - Ale myślę, że niedługo sobie przypomni. Jest w lepszym stanie, niż mogłabym się spodziewać. Posłuchaj, on chce się widzieć z Johnem. A kiedy John tu będzie, chce, żebyśmy poszli po Carol. I, oczywiście, po Allie. Chce mieć przy sobie całą swoją rodzinę. A ja chcę, żebyś był tu na miejscu.

- Ale... nie wiem, czy powinienem... - Zawahał się.

- To może być trudne rodzinne spotkanie. Potrzebuję cię tu na wypadek, gdyby... ludzie dali się ponieść emocjom.

- Myśli pani, że mogą pokłócić się o to, co robiła Matka Carol?

- Nie masz pojęcia... Nie chodzi o to, co robiła, kiedy Ojciec Storey był nieprzytomny, ale o to, czego się dopuściła, zanim ktoś rozwalił mu głowę. Gdyby ludzie wiedzieli, nigdy nie oddaliby jej władzy. Ani jej, ani Benowi Patchettowi. - Na myśl o Benie strzelającym do Harolda Crossa poczuła w ustach smak żółci. - Pieprzonemu Benowi Patchettowi - rzuciła z pogardą.

Michael ściągnął brwi.

- Pan Patchett nie jest chyba taki zły. Może go poniosło, kiedy w obozie pojawili się więźniowie, ale jestem w stanie go zrozumieć...

- To przestępca - ucięła Harper. - Zastrzelił bezbronnego chłopaka.

- Harolda Crossa? Ale, panno Willowes, on musiał to zrobić.

- Czyżby? Naprawdę musiał?

Michael patrzył na nią tak niewinnym, zdumionym wzrokiem, że nie mogła się powstrzymać; pochyliła się i pocałowała jego piegowate czoło. Chłopak wzdrygnął się zaskoczony.

- Jeszcze przez jakiś czas musisz być odważny - powiedziała. - Możesz to dla mnie zrobić?

- Mam nadzieję - odparł, z trudem przełykając ślinę.

- To dobrze. Nie pozwól, żeby ktokolwiek widział się z Ojcem

Storeyem, dopóki nie wrócę. Teraz ty jesteś za niego odpowiedzialny.

Pokiwał głową. Jego blada twarz kontrastowała z rudą brodą.

- Wiem, co mam robić. Proszę się nie martwić. Zajmę się Ojcem Storeyem.

Chciała biec, ale nie mogła. Ciężki brzuch, w którym nosiła dziecko, był twardy i ogromny. Zygzakiem truchtała więc między sosnami, pocąc się i dysząc.

W ciemności, z mroczkami, które skakały jej pod powiekami, nie zobaczyłaby Michaela Lindqvista, nawet gdyby go wypatrywała. Chłopak szedł ostrożnie, bez pośpiechu, patrzył cierpliwie, jak przemykała od drzewa do drzewa. Gdyby go zobaczyła, zdziwiłaby się, widząc jego minę: małe, zaciśnięte usta, zmrużone oczy. Dziecięca niewinność ulotniła się. Szedł za nią aż do hangaru na łodzi, ale kiedy skierowała się w stronę przystani, wszedł do budynku i zniknął pośród cieni.

Harper niespiesznie schodziła po drewnianych schodach wrzynających się w piaszczyste nabrzeże, przytrzymując się kęp szorstkiej trawy. Ocean przywodził na myśl metalową płytę powgniataną od licznych uderzeń młotem. Światło księżyca drgało srebrem na grzbietach fal. Harper nie zauważyła mężczyzny na końcu przystani aż do chwili, gdy była w połowie drogi do łodzi.

Don Lewiston obrócił się przez ramię. Przy jego prawej ręce stało metalowe wiadro, na kolanach trzymał wędkę.

- Siostrzo Willowes! - powitał ją. — Co panią tu sprowadza?

Nie łowił sam. Na kamienistej plaży stał Chuck Cargill. On również łowił; na skale przy jego stopie leżała strzelba. Widząc Harper, zmrużył oczy i przyglądał się jej z niedowierzaniem.

- Ojciec Storey się obudził. Możesz zrobić sobie chwilę przerwy? Chce zobaczyć Johna tak szybko, jak to możliwe.

Krzaczaste brwi Dona podjechały do góry, a usta rozdziawiły się niemal komicznie.

- Chyba tak... - Wstał, przyłożył dłonie do ust i zawołał: -Chuckie! Siedź tu. Ja muszę zabrać siostrę Willowes do Johna. Chce opatrzeć mu żebra.

- Panie Lewiston? Hej... panie Lewiston, nie sądzę... -Nagle

szarpnięcie odwróciło jego uwagę. Czubek wędki wygiął się w stronę wody. Chłopak spojrział poirytowany i zerknął na Harper i Dona Lewistona. - Panie Lewiston, proszę lepiej zaczekać, zanim dokądkolwiek się pan wybierze. Lepiej zapytam Matkę Carol.

Don cisnął wędkę na bok, chwycił Harper za ramię i pomógł jej wsiąść do łódki.

- Wszystko jest załatwione, inaczej Matka Carol nie pozwoliłaby siostrze Willowes zejść na nabrzeże! Do diabła, nie pozwolę kobiecie w ósmym miesiącu ciąży wiosłować samej, kiedy ocean jest taki niespokojny.

- Panie Lewiston! Panie Lewiston, musi pan zaczekać! - rzucił Cargill, robiąc krok w ich stronę. Wędka w jego dłoni tworzyła łuk, linka była napięta do granic możliwości.

- Masz branie, Chuckie! - zawołał Don i wszedł do łódki. - Nie waż się puścić wędki. Masz na haczyku kolację Bena Patchetta! Zanim ją wyciągniesz, będę z powrotem!

Chwycił za wiosła i łódka z gwałtownym szarpnięciem odbiła od brzegu.

Podczas gdy wiosła z brzękiem uderzały o żelazne dulki i z pluskiem zanurzały się w wodzie, Harper opowiedziała Donowi, czego się dowiedziała. Na wieść o tym, że Carol wystawiła Harolda, skrzywił się jak człowiek, który poczuł nagle smród. Nic dziwnego, pomyślała Harper.

- A Ben Patchett pociągnął za spust?

- Na to wygląda.

Don pokręcił głową.

- O co chodzi? - spytała.

- Jestem w stanie uwierzyć, że Ben zastrzelił dla niej tego paskudnego grubasa. Pod pretekstem chronienia własnych ludzi jest zdolny do wszystkiego. Ale nie chce mi się wierzyć, że nasłał na Harolda Szwadron Kremacyjny. Za dużo rzeczy mogło pójść nie tak jak trzeba. A gdyby Harold palnął coś o obozie, zanim Ben go sprzątnął? Gdyby Szwadron Kremacyjny był ciężko uzbrojony i doszłoby do walk? Nie. To musiała być Carol. To histeryczka. Robi coś, ale nie myśli o konsekwencjach. Ben jest ostrożny. Jest w połowie gliniarzem, a w połowie księgowym.

- Może najpierw wezwała Szwadron Kremacyjny, a dopiero potem powiedziała Benowi o swoich planach. Może nie miał wyboru i zrobił to, żeby opanować sytuację?

Don pośepnie pokiwał głową.

- I tak w to nie wierzysz - zauważyła.

- Ani trochę.

- Dlaczego?

- Bo ona nie ma pieprzonych telefonów komórkowych - odparł. - Ma je Ben. Jak miałyby gdziekolwiek zadzwonić? I niby skąd miałyby wiedzieć, do kogo zadzwonić? - Ostatni raz pociągnął za wiosła i łódka zaszurała dnem po błotnistym brzegu. Chwilę później wysiadł i podał rękę Harper. - Chryste, duży masz ten brzuch.

- Mnie się podoba. Wyglądam głupio, nie mogę biegać ani nosić niczego oprócz dresów i bardzo, bardzo dużych bluz z kapturem, cieszy mnie świadomość, że jestem tak duża, że mogę z łatwością deptać mniejsze stworzenia. Nie chcę walczyć z wrogami, chcę zmiażdżyć ich pod butem.

Don, mrużąc oczy, zerknął w kierunku przeciwległego brzegu. Jednak w ciemnościach ani on, ani Harper nie zdołali dostrzec Chucka Cargilla. Spojrzał na szopę i szczyt wzniesienia.

- Tylko patrzeć, jak obóz zamieni się w dom wariatów. Myślę, że przez najbliższe godziny nikt nie zauważy mojej nieobecności. Skoro już tu jestem, rzucę okiem na łódź. Sprawdzę, czy jest gotowa do drogi. Może nawet spróbuję ją zwodować. - Jeszcze raz zerknął na brzuch Harper. - Gdyby to ode mnie zależało, odpłynęlibyśmy stąd już jutro po południu. Dziecko nie będzie czekać, a my potrzebujemy tygodnia albo dwóch, żeby dotrzeć na miejsce.

- Idź, sprawdź łódź. Mogę wrócić do obozu z panem Rookwoodem.

- Myślisz, że będzie w stanie wiosłować? A co z jego żebrami?

Don odprowadził ją do drzwi szopy, podtrzymując za łokieć jak inwalidę. Strażak otworzył drzwi ubrany w spodnie od piżamy w grochy i czarno-żółtą gumową kurtkę narzuconą na brudny podkoszulek. Był wychudzony, spocony, nieogolony i zaniedbany. Pachniał dymem z ogniska. Harper miała ochotę przytulić się do niego, ale się powstrzymała.

- Łazarz wyszedł ze swojego pieprzonego grobowca - powiedział na

wstępie Don. Niemal trząśł się z radości, a jego pobrużdżona twarz nabrała rumieńców. - Ojciec Storey się obudził. Pytał o ciebie. Chce się z tobą spotkać... dopiero potem zobaczy się z Carol. Chce jej wygłosić kazanie i coś ci powiem, Johnny: coś mi mówi, że będzie ono płomienne.

Strażak w zamyśleniu podrapał zarośniętą szyję i przez chwilę patrzył to na Dona, to na Harper.

- Lepiej coś na siebie włożę — odezwał się w końcu.

Harper spodziewała się, że zamknie drzwi, żeby w spokoju przebrać się w normalne spodnie i sweter. On jednak oszołomiony rozejrzał się po pomieszczeniu i zatrzymał wzrok na hełmie, który wisiał na gwoździu przy drzwiach. Nałożył go na głowę i odetchnął z ulgą. Przejrzał się w lustrze, przekrzywił hełm o dwa centymetry w lewo i rozpromienił się.

- Właśnie tak. Idealnie. Idziemy?

- Don zostaje na wyspie - oznajmiła Harper. - Zamierza zwodować żaglówkę.

Ta wiadomość zaskoczyła strażaka bardziej niż wieści o cudownym przebudzeniu Ojca Storeya.

- Aha. Rozumiem, że zamierzacie odpłynąć tak szybko, jak się da.

- Nie za szybko - odparła cicho Harper.

- Przed końcem tygodnia, jeśli będę miał w tej kwestii coś do powiedzenia - wtrącił Don. - Dziecko nie będzie czekało na lepszą okazję. Jest już w drodze. Harper zostały najwyżej cztery tygodnie. Im prędzej zabierzemy pannę Willowes na wyspę Marthy Quinn i do tamtejszego szpitala, tym lepiej. Ale to nie wszystko. Nasza siostrzyczka uważa, że Carol Storey może wyruszyć z nami. Po tym, jak ludzie dowiedzą się, co zrobiła, może chcieć uciec... zanim ją wykopią.

Strażak spojrział na Harper z fascynacją; senność zniknęła z jego twarzy jak ręką odjął.

- Co ona takiego zrobiła? Oprócz tego, że stosowała kary rodem z dziewiętnastego wieku, zabroniła Harper opuszczać izbę chorych i groziła, że odbierze jej dziecko?

- Trzy słowa. - Don uniósł krzaczaste brwi. - Pieprzony Harold Cross.

- Opowiem ci w łodzi - rzuciła Harper.

Był przerażony pomysłem, że w drodze powrotnej to ona będzie wiosłować.

- Siądę po lewej - zaproponował. - Lewa ręka nie boli mnie aż tak bardzo. Ty usiądź po prawej. Będziemy wiosłować razem.

- To się nie uda. Nie zsynchronizujemy ruchów. Będziemy się kręcić w kółko.

- Nie będzie tak źle. Robimy to od miesięcy.

Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, przekonana, że kpi sobie z niej, ale kiedy pochylił się nad dziobem, żeby zepchnąć łódź do wody, stanęła obok, żeby mu pomóc. Kobieta w ósmym miesiącu ciąży i facet z połamanymi żebrami, dochodzący do siebie po zapaleniu płuc. I pomyśleć, że Carol się ich bała!

Kiedy wypłynęli na płyciznę, wychyliła się przez burzę, chwyciła strażaka za rękę i pomogła mu wsiąść. Przez chwilę gramolił się niezdarnie. Jego strażackie buty zapiszczały, gdy dotknęły dna, a on sam stracił równowagę, uderzył się w bok, zbladł i osunął się na ławkę. Harper udała, że nie widzi łez, które napłynęły mu do oczu. Wyciągnęła rękę i poprawiła mu hełm.

Wiosłowali powoli, stykając się ramionami, odchylali się i pochyłali do przodu. Łódka skrzypiała, leniwie prując czarne wody.

- Opowiedz mi o Haroldzie Crossie - poprosił strażak.

Słuchał z pochyloną głową, gdy Harper kolejny raz relacjonowała, czego się dowiedziała. Wiosłowali i jak gdyby na umówiony sygnał co jakiś czas robili sobie przerwę. Harper zauważyła, że John krzywi się za każdym razem, gdy pochyła się do przodu, i nie podobało jej się to.

- Harold nie miał w obozie zbyt wielu przyjaciół - powiedział, gdy Harper skończyła. - Ale gdyby ludzie dowiedzieli się, że Carol nasłała na niego Szwadron Kremacyjny... hm... Dla niej to by był koniec. Odesłanie jej z tobą to prawdziwy akt łaski. Nietrudno sobie wyobrazić, że mogłoby być znacznie gorzej.

- Carol odejdzie ze mną - powiedziała Harper w zamyśleniu. - A ty

zostaniesz.

- Tak. Będę musiał. Ojciec Storey będzie zbyt słaby, żeby samemu zająć się obozem. Pewnie dlatego chce się ze mną widzieć. Chce mnie prosić o pomoc. - Strażak się skrzywił.

- I tak byś nie odszedł. Musisz doglądać ognia.

- Nikt inny tego nie zrozumie.

- Powinieneś wyjechać ze mną i pozwolić jej odejść. - Czuła, że nie może spojrzeć mu w oczy, i odwróciła się w stronę oceanu. Wiatr zgarniał pianę z grzbietów fal i Harper udawała, że wilgoć, którą czuje na twarzy, to drobiny wody. - Tu nie jest bezpiecznie. Już od dawna. Nie można bez końca ukrywać stu pięćdziesięciu osób. Prędzej czy później Marlboro Man i mój mąż albo im podobni znajdą obóz. - Pomyślała o swoich snach, o Nelsonie Heinrichu w zakrwawionym swetrze w bożonarodzeniowe wzory, z krzywym uśmiechem na odartej ze skóry twarzy, i przeszedł ją dreszcz.

Nie wierzyła, że przyszłość da się przewidzieć. Nie wierzyła w przeczucia. Nie wierzyła nawet w parapsychologiczne zdolności Marlboro Mana, chociaż to, że pojawił się w jej domu akurat wtedy, gdy tam wróciła, wydawało się dziwnym przypadkiem. Ale wierzyła w podświadomość i w to, że może ona przed czymś ostrzegać, jeśli człowiek jest wystarczająco uważny. Kiedy opuszczali Verdun Avenue, Nelson jeszcze żył - była tego niemal pewna - i to nie była dla nich dobra wiadomość. A nawet jeśli nie doszedł do siebie na tyle, by przyprowadzić tu Szwadrony Kremacyjne, to zrobi to ktoś inny. Przecież nie sposób ukrywać w nieskończoność istnienia obozu wielkości małej wioski.

Przestali wiosłować; łódź unosiła się na wodzie. Po chwili, jakby na niewypowiedziany znak, chwycili wiosła i zaczęli nimi poruszać.

- Zabiorę z sobą Nicka i Allie, bez względu na to, jak rozwiąże się sytuacja z Carol — powiedziała Harper. — Kocham tego chłopca. Zabiorę go w bezpieczne miejsce... gdzieś, gdzie nie będzie tyle zagrożeń co tu.

- Dobrze.

- Sarah chciałyby, żebyś był z nimi, wiesz o tym. Chciałyby, żebyś się nimi opiekował.

- Wiesz, że nie mogę. Jej ojciec będzie potrzebował mojej pomocy.

- Więc dołącz do nas, jak tylko wydobrzeje.
- Zobaczymy - odparł tonem, który oznaczał „nie”.
- John. Jej życie dobiegło końca. Twoje nie.
- Jej życie nie...

- A właśnie, że tak. Sama ci to powiedziała. Więzisz ją. Trzymasz ją zamkniętą w zardzewiałej puszcze. Jesteś jak Carol, która całą zimę przetrzymywała mnie w izbie chorych.

Odwrócił się do niej tak gwałtownie, że twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Co za cholerne brednie! Nie jestem taki jak Carol... I niby jak Sarah mogłaby mi cokolwiek powiedzieć? Jest stworzeniem ognia. Nie powie mi, co czuje ani czego chce. Wraz ze swym ciałem utraciła zdolność mówienia.

- Wcale nie. Nie wiem, co jest gorsze: to, że okłamujesz mnie, czy to, że oszukujesz samego siebie. Słyszałam, jak na nią krzyczałeś. Jesienią. Już wtedy prosiła cię, żebyś pozwolił jej odejść.

- Niby jak...

- W języku migowym. Jest w tym równie biegła co ty.

Przestali wiosłować, chociaż widzieli już przystań.

John Rookwood drżał.

- Ty mały szpiegu! Podśluchiwałaś...

- Oszczędź mi swoich paranoidalnych insynuacji. Byłeś pijany. Słyszałam to w twoim głosie. Krzyczałeś tak, że mógł cię usłyszeć każdy w promieniu kilometra.

W mięśniach pod skórą twarzy strażaka trwała straszliwa walka. Zaciskał i rozluźniał szczęki i dziwnie oddychał.

- John, najwyższy czas pozwolić, by ten ogień wygasł. Czas opuścić tę wyspę. Allie i Nick wciąż żyją i cię potrzebują. Ja też cię potrzebuję. Wiem, że nigdy nie będę nią, nigdy jej nie zastąpię, ale postaram się, żeby nasz wspólny czas nie był stracony.

- Ćśśś - szepnął. Odwrócił wzrok, próbując powstrzymać łzy. - To straszne, co mówisz. Przestań. Myślisz, że cię nie kocham? Ciebie, twojego ciężowego brzuszka i tej twojej dziwacznej fascynacji Julie Andrews? Po prostu nie chcę być niełojalny. Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę, że...

- Ty żyjesz, a ona nie - powiedziała Harper i dokończyła za niego: -

...że mógłbyś być szczęśliwy.

- Tak. Właśnie - Spuścił głowę. Z czubka jego nosa skapnęła łza. - Zakochiwanie się... Co za straszna rzecz. Cokolwiek to znaczy, starałem się unikać cię jak ognia. Widywać cię jak najrzadziej. Nie dlatego, że nie chciałem się zakochać. Nie chciałem, żebyś ty się zakochała. Wiedziałem, jak trudno ci będzie oprzeć się moim licznym wdziękom.

- Naprawdę zaczynam cię lubić. Tak jak smoczą łuskę.

Księga ósma

Wszystko się wali

1

Kiedy łódka uderzyła o pomost na przystani, Harper rozejrzała się po nabrzeżu, nigdzie jednak nie dostrzegła Chucka Cargilla. Chłopak zabrał strzelbę i zostawił wędkę na skałach.

Pewnie poszedł powiadomić Carol, że coś wisi w powietrzu. To nic. I tak wkrótce by się dowiedziała.

Wspięcie się na wzgórze było dla ciężarnej kobiety nie lada wyczynem, więc kiedy dotarli do izby chorych, Harper dyszała ze zmęczenia. Twarz miała zlaną potem, a gdy znalazła się przy schodach, poczuła skurcz tak silny, że mało się nie przewróciła. Zgięła się wpół, objęła brzuch rękami i zaciskając zęby, ze świstem wypuściła powietrze.

- Wszystko w porządku? - zapytał John.

Pokiwała głową i zbyła go machnięciem ręki. Nie miała siły rozmawiać, choć skurcz minął, pozostawiając po sobie tępy ból i uczucie, jakby nałykała się kamieni.

W milczeniu weszła za strażakiem do pustej poczekalni. Michael prawdopodobnie był w sąsiednim pomieszczeniu. John odsunął zieloną kotarę i weszli na salę chorych.

- Ojcie... - zaczął, ale na jego szyi wylądowała z głuchym łomotem kolba karabinu; padł na ziemię, jakby coś przecięło go na pół.

Harper otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale Michael wycelował broń w Nicka. Chłopiec spał w swoim łóżku z rękami na brzuchu i brodą na piersi. W zamyśleniu marszczył brew, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

- Nie radzę. Wolałbym nie strzelać do dzieciaka - ostrzegł Michael.

Ojciec Storey był zwrócony w stronę Harper, ale oczy starszego pana z pewnością jej nie widziały. Twarz miała szarą barwę, która przywodziła na myśl letnie, burzowe chmury.

- Za kilka godzin wyda się, że zamordowaliście Ojca Storeya, żeby zamknąć mu usta - odezwał się Michael niemal przeprasającym tonem. - Ludzie dowiedzą się, że zamierzaliście zabić Carol i Bena, żeby przejąć władzę w obozie. Mam na to wszelkie dowody, ale byłoby miło, gdyby potwierdziła siostra, że to, co mówię, jest prawdą. Wiem, że nie ma siostra powodu, żeby mi ufać, ale przysięgam: jeśli zrobi to pani dla mnie, jeśli przyzna pani, że razem z Johnem Rookwoodem zamierzaliście wykończyć Carol, to przysięgam, że uratuję Allie i Nicka i zajmę się nimi.

Harper pochyliła się nad Johnem, który leżał skulony na boku. Zbadała mu puls; był równy i wolny. Zadrżała. Z początku pomyślała, że to ze strachu, ale kiedy się odezwała, odkryła, że trzęsie się z wściekłości.

- Ty i Carol zamordowaliście Harolda Crossa.

- Ja go nie zastrzeliłem. Zrobił to Ben Patchett. Zamierzałem do niego strzelić, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli zrobi to Ben. Dlatego dałem mu broń. Poza tym, w ciągu ostatnich kilku miesięcy polubiłem Harolda. Uczył mnie grać w szachy. Jak wszyscy bywam sentymentalny. Nie chciałem być tym, który go zastrzeli.

- To ty pomogłeś mu wymknąć się z izby chorych - rzuciła oskarżycielsko Harper. - W swoim dzienniku nazywał cię... -*JR*, przypomniała sobie. Harold pisał drukowanymi literami, jakby cały czas krzyczał, więc przyjęła, że chodzi o Johna Rookwooda. - ...juniozem - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Taa. Właśnie tak mnie nazywał. Michael Lindqvist junior. Jeśli chcesz wiedzieć, ojciec nie dał mi niczego poza nazwiskiem. I od czasu do czasu twardą ojcowską ręką.

- Nikt nie uwierzy, że przez trzy miesiące walczyłam o życie Ojca Storeya tylko po to, żeby go teraz zabić - powiedziała.

- Jasne, że uwierzą. Kilka razy ukradkiem próbowałaś go już zamordować, podawałaś mu insulinę, żeby wywołać ataki. Wstrzykiwałaś mu ją między palce u nóg. Nie mogłaś dłużej tego robić, bo Nick przez cały czas był w izbie chorych i miał cię na oku. Poza tym

bałaś się, straciłaś zimną krew. - Trzymał broń w jednej ręce, przez cały czas mierząc do Nicka. Wolną ręką chwycił ją za krótkie jasne włosy i brutalnie pociągnął. -Ta część jest ważna. Nie zapomnij o tym. Szprycowałaś go insuliną. Miałaś nadzieję, że umrze i będzie to wyglądało na naturalny zgon. Schrzałaś trepanację i uszkodziłaś mu mózg. Zrobiłaś wszystko, żeby go wykończyć, ale on był chroniony przed tobą.

- Przez kogo? - zapytała.

- Przez Światłość - odparł ze stoickim spokojem Michael. -Jego umysł i dusza opuściły ciało. Są teraz w smoczej łusce na jego skórze. Na wieczność pozostaną w Światłości; są jak kopie zapasowe na dysku zewnętrznym. Napisał wiadomość o tym, jak przez te wszystkie miesiące Światłość czuwała nad jego bezpieczeństwem. Kazałem mu to napisać, zanim go zabiłem. Mógłbym zrobić to sam, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli zrobi to własnoręcznie. List jest pod poduszką. Postaram się, by Carol go znalazła. - Wziął z blatu strzykawkę i podał ją Harper. - A teraz zrób sobie zastrzyk. Nie w rękę ani szyję, ale w ten wielki, krągły tyłek. Chcę, żeby wiedzieli, że się do ciebie podkradłem.

- Nie zrobię tego.

- W takim razie powiem im, że chciałaś wyrwać mi broń i biedny Nick został postrzelony. Mogłabyś zaoszczędzić mi kłopotu, gdybyś zginęła kilka miesięcy temu. To ja nasłałem na ciebie Palaczy z Wybrzeża, kiedy wróciłaś do domu po zapasy. Nie wiem, dlaczego cię nie znaleźli. Tamtej nocy, kiedy napadliście na ambulans, też dałem im cynk. Nie mam zielonego pojęcia, jak to się stało, że dwa razy uszłaś z życiem.

- Jak do nich zadzwoniłaś? Myślałam, że Ben zarekwirował wszystkie telefony.

- A jak myślisz, komu polecił je zebrać? Kilka sobie zostawiłem.

Zdumiało ją i przeraziło, że przez chwilę uwierzyła, że Marlboro Man naprawdę miał dar przewidywania przyszłości, dostęp do sekretnej wiedzy. Nawet dzieciaki z podstawówki, w której była pielęgniarką, nie dałyby się na to nabrać.

- Dość tego pieprzenia - warknął Michael. - Zrób zastrzyk.

Wzięła strzykawkę i przyjrzała się jej zawartości.

- Co to?

- Midazolam. Dobrze to? Trzymałaś go razem z innymi silnymi lekami. Nie znam się na środkach uspokajających. Raz podałem coś Allie... w dniu, kiedy pozbyliśmy się Harolda. Grubas musiał się wymknąć, kiedy ona stała na warcie. Ale miałem jeszcze trochę lunesty, którą moja mama trzymała w apteczce, więc wiedziałem, co robię, kiedy wsypywałem to Allie do kawy.

- Proszę, Michael, jestem w ósmym miesiącu ciąży. Nie wiem, jak midazolam wpłynie na dziecko. Nie mam pojęcia.

- To bez znaczenia. Będziemy je kochać, nawet jeśli urodzi się kalekie albo opóźnione w rozwoju. Carol się nim zaopiekuje i dopilnuje, żeby wyrosło na ludzi. Wszyscy w obozie zadbamy o to. I nie martw się. Znam swoją ukochaną. Carol wyciągnie dziecko z twojego brzucha, zanim cię stracimy. Wyrwie je z ciebie i będzie kochała jak własne. Miesiąc temu oglądałem w sieci, jak się robi cesarkę. To nic trudnego. Idę o zakład, że razem z Donem Lewistonem damy sobie radę. Don zrobi wszystko, żeby nie zginąć razem z tobą i strażakiem. No już! Rób ten zastrzyk. Nie lubię gadać. Wolę działać.

- Jeśli przeprowadzisz cesarkę bez przygotowania medycznego, zabijesz mnie i dziecko.

- Nie. Poza tym nie uspimy cię. Będziesz mówiła nam, co robić. Chyba wiesz co?

- Chryste - jęknęła Harper. Po jej policzku potoczyła się samotna łza.
- Jak mogłeś zrobić to Allie? Zamordowałeś jej dziadka. Grozisz jej bratu. Ona cię kocha. Myślałam, że ty ją też.

- Na swój sposób chyba tak. Ale to nie Carol. Carol wciąż jest dziewczicą. Ma trzydzieści lat i jest czysta jak łza. Chce, żebym to ja był tym jedynym. Mówi, że czekała na mnie całe życie.

Wyglądał jak nawiedzony; jego oczy lśniły dziwnym blaskiem. Harper pamiętała, jak Ben mówił, że tej nocy, gdy ktoś zaatakował Ojca Storeya, widział Michaela i Allie obściskujących się za kaplicą. W ciemnościach nietrudno było pomylić siostrzenicę z ciotką. Gdyby ktoś nakręcił o nich film, obie mogłaby zagrać ta sama aktorka.

- Tom powiedział, że jego córka nigdy by go nie skrzywdziła. Nie wierzę, że aż tak się pomylił. - Harper próbowała zyskać na czasie.

Zdziwiła się, widząc plamy czerwieni na policzkach Michaela. Chłopak przytknął palec do ust, jakby chciał ją uciszyć.

- Hm... to akurat zrobiłem sam. Carol powiedziała, że Ojciec Storey wie, że załatwiliśmy Harolda, ale miała nadzieję, że po namyśle przyzna nam rację i uzna, że postąpiliśmy słusznie. Tyle że kiedy poszedłem z wami ratować skazańców, w drodze na przystań Ojciec Storey wziął mnie na bok i ostrzegł, że po powrocie będziemy musieli zamknąć Matkę Carol. Zamknąć i wygnać z obozu. Był bardzo zdenerwowany. Pomyślałem, że może lepiej będzie, jeśli stary umrze. Coś ci powiem. Ten sukinkot miał cholernie twardy łeb. Walnąłem go pałką z całej siły, a on trzymał się na nogach jeszcze przez dziesięć sekund. Kołysał się i patrzył na mnie z dziwnym uśmiechem.

- Kiedy Carol się dowie, co zrobiłeś jej ojcu, każe cię zabić. Albo nie, sama cię zabije.

- Nie dowie się.

- Ja jej powiem.

- Skłamiesz. Wszystko, co powiesz, będzie jednym wielkim kłamstwem. A ja dopilnuję, żeby Allie i Nick zginęli razem z tobą. Albo później. To bez znaczenia. Jedyne, co możesz zrobić, żeby ich uratować, to poświęcić samą siebie.

- Nie możesz...

- Dość tego gadania - warknął Michael i zerknął na Nicka. -Jeszcze słowo, jeszcze jedno słowo, i przysięgam na Boga, że mózg tego dzieciaka rozprysnie się na pieprzonej poduszce. Rób, co ci każę. Zastryk!

Harper wbiła igłę.

Ktoś ją spoliczkował i odwrócił jej głowę.

- Eee...aaszam - bąknęła, próbując przeprosić. Była pewna, że zrobiła coś złego, ale nie potrafiła sobie przypomnieć co.

Jamie Close znowu wymierzyła jej policzek.

- Na razie nie masz za co, ale niedługo to się zmieni. Wstawaj, kurwa. Nie będę cię niosła, ty tłusta krowo.

Ktoś jeszcze podtrzymywał ją z drugiej strony, próbował postawić na nogi, ale za każdym razem, gdy ją puszczała, nogi się pod nią uginały, więc musieli jej pomagać.

- Ostrożnie - usłyszała głos Carol. - Dziecko. Ono nie jest niczemu winne. Jeśli coś mu się stanie, ktoś za to odpowie.

Świat przypominał kiepską kopię obrazu Picassa. Oczy Carol znajdowały się po lewej stronie jej twarzy, a usta wykrzywiały się na boki. Harper znajdowała się w poczekalni, ale pomieszczenie wyglądało inaczej: wszelka geometria została zachwiana. Lewa ściana była wielkości szafki, podczas gdy ściana po prawej stronie dorównywała rozmiarami ekranowi w kinie samochodowym. Podłoga była tak krzywa, że Harper nie wiedziała, jak ktokolwiek może na niej stać.

Za plecami Carol zobaczyła Bena Patchetta. Z drobnymi ząbkami i małymi oczkami w pyzatej twarzy wyglądał jak fretka. W tych błyszczących złotym blaskiem oczkach dostrzegła mieszaninę strachu i fascynacji.

- Oddajcie mi ją na cztery godziny - powiedział Ben. -Zdradzi nazwiska wszystkich, którzy z nią spiskowali. Wszystko wyśpiewa. Wiem, że potrafię zmusić ją do mówienia.

- Możesz doprowadzić ją do tego, że urodzi przed czasem. Nie słyszałaś, co mówiłam o dziecku?

- Nie skrzywdziłbym jej. Chcę z nią tylko porozmawiać. Dać jej szansę, żeby postąpiła właściwie.

„Kochałam Ojca Storeya” - próbowała powiedzieć Harper, bo uznała, że Carol powinna o tym wiedzieć. Jednak to, co dobyło się z jej ust,

zabrzmiało jak: „Oo-aam osa oeija”.

- Nie, Ben. Nie chcę, żebyś ją przesłuchiwał. Nie chcę od niej pomocy ani żadnych informacji. Nie mam ochoty słuchać jej wersji wydarzeń. Nie chcę słyszeć ani słowa z ust tej kłamliwej dziwki.

Harper przeniosła wzrok na Bena i na krótką chwilę wróciła jej ostrość widzenia. Poczowała też, że odzyskała zdolność mówienia, i jak pijak próbujący zapanować nad swym językiem, głośno i powoli wypowiedziała pięć słów:

- Ona i Michael wystawili Harolda.

Konfrontacja z rzeczywistością okazała się jednak ponad jej siły. Kiedy Carol się odezwała, jej usta znowu znajdowały się po niewłaściwej stronie twarzy.

- Ucisz ją, Jamie. Proszę.

Jamie Close zmusiła Harper do otwarcia ust i położyła jej na języku kamień. Był za duży. Harper miała wrażenie, że jest wielkości pięści. Jamie przytrzymała jej głowę, podczas gdy ktoś zakleił usta taśmą.

- Wszystkie informacje możecie wyciągnąć później od Renee Gilmonton albo Dona Lewistona - powiedziała Carol. - Wiemy, że oni też brali w tym udział. Mamy dziennik Gilmonton. Wiemy, że oboje kandydowali na przywódcę. Tylko pięć głosów na Gilmonton... to musiało zranić jej dumę.

- I cztery głosy na Allie — rzucił stojący gdzieś po prawej stronie Michael. - Co ty na to?

Rysy twarzy Carol opadały leniwie niczym płatki śniegu we wnętrzu śnieżnej kuli. Widząc to, Harper poczuła, że zbiera się jej na wymioty.

- Damy jej szansę - zdecydowała Carol. - Po raz ostatni będzie mogła postąpić jak należy. Pokazać, że jest z nami. Jeśli tego nie zrobi, nic jej nie pomoże. Spotka ją taki sam los jak Renee Gilmonton i Dona Lewistona.

Gdzieś zza pleców Harper odezwał się dziewczęcy głos:

- Matko Carol, Chuck Cargill jest na zewnątrz. Ma jakieś wieści o Donie Lewistonie. Chyba złe.

Harper miała mdłości i przeraziła się, że jeśli zwymiotuje, zadławi się własnymi wymiocinami. Szorstki kamyczek drapał podniebienie i naciskał na język. A jednak było w nim coś prawdziwego - chłód, chropowata powierzchnia, mineralny smak - coś rzeczywistego, co

wyrwało ją z otępienia.

W poczekalni było tłoczno: Ben, Carol, Jamie, pięć albo sześć innych osób, uzbrojone czujki. Michael stał w wejściu do izby chorych. Zamigotał płomień pochodni, ale nie w tym pomieszczeniu, oświetlonym jedynie dwoma lampami naftowymi. Harper od dłuższego czasu miała wrażenie, że słyszy wycie wiatru - stłumione westchnienie i zawodzenie - jednak dopiero teraz dotarło do niej, że to odgłosy niespokojnej publiczności, która szepcząc, czekała na rozpoczęcie przedstawienia. Zastanawiała się, czy są tu wszyscy mieszkańcy obozu. Pewnie tak. Zabiją cię za kilka minut, pomyślała. Była to pierwsza jasna myśl, odkąd ją ocucono, i przerażona Harper potrząsnęła gwałtownie głową. Nie. Nie ją. Johna. Ją zabiją później, po tym, jak wyrwą z jej łona dziecko.

- Zaczniemy - ogłosił Ben Patchett.

Ciche, nerwowe głosy. Drzwi skrzypnęły na zawiasach i zamknęły się z trzaskiem. Chwilę później przed Matką Carol stanął Chuck Cargill. Wyglądał, jakby nie mógł złapać tchu. Błądą twarz okalały krzaczaste bokobrody. Dżinsy miał przemoczone aż do ud.

- Tak mi przykro, Matko Carol - zaczął. Trząsał się z zimna ze zdenerwowania, albo i z tego, i z tego.

- Niepotrzebnie - odparła głosem piskliwym z napięcia.

- Ja i Hud Loory popłynęliśmy na wyspę strażaka, tak jak kazał pan Patchett. Mieliśmy przyprowadzić pana Lewistona. Na miejscu zauważyliśmy, że zdjął plandekę z żaglówki i przewiesił żagle przez burłę, jakby chciał je przewietrzyć albo coś. Myśleliśmy, że jest pod pokładem i że nas nie zauważył. Chcieliśmy go zaskoczyć. Na burcie wisiała sznurkowa drabina i po cichu zaczęliśmy się wspinać, ale musieliśmy przewiesić broń przez ramię. Hud szedł pierwszy, a kiedy zeskoczył na pokład, ten stary... ten stary drań walnął go wiosłem. Zanim się zorientowałem, mierzył do mnie z broni Huda.

W sali zaległa cisza, która najwyraźniej onieśmieliła Cargilla. Fragmenty twarzy Carol przestały się poruszać i wróciły - mniej więcej - na swoje miejsce. Harper próbowała je tam zatrzymać, ale od wysiłku rozboleła ją głowa. Usta Carol były zupełnie białe.

- Co było później? - spytała w końcu.

- Musieliśmy to zrobić. Musieliśmy... - Cargill upadł na jedno

kolano, chwycił dłoń Carol i zaczął szlochać. Pod nosem zwisała mu zielona bańka smarków. - Tak mi przykro, Matko Carol. Wezmę kamyk. Będę go trzymał w ustach przez tydzień!

- To znaczy, że pozwoliliście mu uciec? - zapytała Carol.

Pokiwał głową i wierzchem dłoni rozmazał łzy i smarki.

- Zwodowaliśmy Łódź. Kazał nam. Kiedy Hud odzyskał przytomność, pan Lewiston powiedział, że mamy mu pomóc. Cały czas trzymał nas na muszce. Zabrał nam broń i... odpłynął. Tak po prostu. Nie mogliśmy nic zrobić. Postawił żagle, a my.. my rzucaliśmy w niego kamieniami, mówiliśmy mu... mówiliśmy, że pożałuje... że... że... - Zamknął oczy i rozplakał się. -Przysięgam, Matko Carol, będę trzymał kamyk tak długo, jak mi każesz, tylko nie wyrzucaj mnie z obozu!

W milczeniu pozwalała, by jego łzy skapywały na jej rękę. ale kiedy zaczął całować ją po palcach, zerknęła na Bena

Patchetta. Potężny gliniarz chwycił chłopaka za ramiona i szarpnięciem postawił na nogi.

- Innym razem opowiesz nam, co się stało, Chuck. Dziś w nocy Matka Carol straciła ojca. To nie jest odpowiednia chwila na takie wyznania. Zresztą nie masz się o co obwiniać. To miejsce miłosierdzia, synu.

- Dla niektórych - rzuciła szeptem Jamie Close.

Harper poczuła ulgę, choć nie taką jak wtedy, gdy ustały skurcze. Don był daleko stąd. Ben nie użyje kleszczy ani ręcznika pełnego kamieni, żeby zmusić go do mówienia. Jamie Close nie wepchnie mu do ust kamienia i nie założył mu pętli na szyję. Myśl o tym, że Don jest na łodzi, a lodowaty wiatr odgarnia włosy z jego pobruźdzonego czoła, sprawiła, że Harper poczuła się odrobinę lepiej. Pewnie jest wściekły, przeklina, trzęsie się ze złości i pomstuje na siebie za to, że zostawił na wyspie tylu dobrych ludzi. Miała nadzieję, że w końcu się z tym pogodzi. Musiał zdecydować: zostać i dać się zabić czy uciec. Cieszyła się, że przynajmniej jedno z nich przeżyje tę noc.

- Matko Carol. - Od strony zielonej kotary dobiegł głos Michaela. Był jedwabście gładki, pełen szacunku, niemal nabożnej czci; głos człowieka ogarniętego obsesją. - Co zamierzasz zrobić ze strażakiem? Nie mogę bez końca faszerować go prochami. Skończył się nam midazolam.

Carol spuściła głowę. W blasku lampy naftowej jej łyśa czaszka wydawała się brązowa.

- To nie zależy ode mnie. Nie mogę zebrać myśli. Mój ojciec powtarzał, że myśleć należy w ciszy i spokoju, słuchając głosu bożego, a jedyny głos, który słyszę w tej chwili, powtarza w kółko: „Spraw, żeby to nie była prawda. Spraw, żeby to nie była prawda. Spraw, żeby mój tatuś żył”. Ojciec chciał, żebym kochała ludzi i opiekowała się nimi, ale nie wiem, jak to zrobić. Cokolwiek zrobimy ze strażakiem, nie ja podejmę decyzję.

- W takim razie niech zdecydują mieszkańcy obozu - zaproponował Ben. - Musisz do nich przemówić, Carol. Czeka ją tam i połowa z nich jest śmiertelnie przerażona. Ludzie płaczą. Powtarzają, że to koniec, że już po nas. Musisz z nimi porozmawiać. Skoro nie słyszysz głosu Boga, wysłuchaj chociaż ich. To dzięki tym głosom przetrwaliśmy ostatnie dziewięć miesięcy i dzięki nim przetrwamy także tę noc.

Zachwiała się i wbiła wzrok w podłogę. Michael położył rękę na jej nagim ramieniu - miała na sobie górę od różowej jedwabnej piżamy na ramiączkach, zbyt cienkiej na tak chłodną noc - i przez chwilę czule gładził jej skórę, nikt jednak oprócz Harper nie zwrócił na to uwagi.

- Dobrze - odezwała się w końcu Carol. — Niech ludzie zdecydują.

- W kościele? - zapytał Ben.

- Nie! - wykrzyknęła oburzona. - Ani on, ani ona nie mogą nigdy więcej wejść do kościoła. Gdzieś indziej. Gdziekolwiek.

- A w Parku Pamięci? - zaproponował Michael. Jego kciuk delikatnie błędził po ramieniu Carol.

- Tak. - Oczy miała szeroko otwarte i wodziła dookoła niewidzącym wzrokiem, jakby sama zażyła dawkę midazolamu. - Tam się spotkamy i tam zdecydujemy o ich losie.

3

Podczas gdy oni rozmawiali, Harper czuła się, jakby wchodziła po niemających końca schodach - jak gdyby krok po kroku wspinała się na kościelną dzwonnice - które prowadziły w kierunku światła i świeżego powietrza. Tyle że każdy z tysiąca stopni znajdował się w jej głowie i prowadził do jasności umysłu. Była to nużąca wędrówka, która przyprawiała ją o ból głowy. Skronie miała pełne drzazg i igieł. Usta pełne kamieni.

Wiedziała jedynie, że musi trzymać się tego spokoju i ratować tych, których mogła uratować. W pierwszej kolejności Nicka i Allie; dopiero później Renee i innych, którzy zaufali strażakowi i siostrze Willowes. Będzie kłamała jak z nut, jeśli dzięki temu oszczędzi im cierpienia. Jeśli w ogóle pozwolą jej mówić.

Jeszcze gorsza była świadomość, że każą jej patrzeć na śmierć Johna i nie pozwolą jej umrzeć razem z nim. Będą utrzymywać ją przy życiu aż do chwili, gdy rozetną jej brzuch i wyciągną z macicy jej dziecko. Wtedy umrze. Zostawią ją, żeby wykrwawiła się na śmierć, podczas gdy jej maleństwo będzie się darło wniebogłosy.

Dwie czujki wzięły ją pod ramiona i odwróciły w stronę drzwi z siatką przeciw owadom.

Wzdłuż błotnistej ścieżki, która prowadziła od stołówki do kaplicy i dalej, aż do parku, stali ludzie. Niektórzy trzymali pochodnie. Harper zrozumiała, że droga przez obóz nie będzie przyjemna. Nie była religijna - przez Jakoba oddaliła się od Boga - ale teraz zmówiła coś w rodzaju modlitwy, choć nie bardzo wiedziała, do kogo była skierowana... może do Ojca Storeya. Kiedy zamknęła oczy, zobaczyła pod powiekami jego pomarszczoną, serdeczną twarz. Modliła się o siłę, która pozwoli jej w ostatnich chwilach życia wydobyć z siebie to, co najlepsze.

- Ruszaj się, dziwko - warknęła Jamie Close, chwyciła ją za kark i pchnęła do przodu.

Harper wciąż miała nogi jak z waty, więc czujki, które ją

podtrzymywały, częściowo ją prowadziły, a częściowo wlokły w rześką czerń nocy. Zobaczyła Gail i Gillian Neighbors. Wyglądały na równie przerażone jak ona. Chciała im powiedzieć, żeby się nie bały, że dobrze sobie radzą, ale kamyk w ustach i knebel sprawiły, że słowa uwięzły jej w gardle.

Tłum rozstępował się przed nią, jakby zapadła na chorobę gorszą niż smocza łuska. Umorusane dzieci patrzyły na nią zaleknionym wzrokiem. Kobieta z brudnymi siwymi włosami i rumianymi policzkami płakała i kręciła głową.

Norma Heald pierwsza rzuciła się do przodu i napluła jej w twarz.

- Kurwa mordercy! - wrzasnęła schrypniętym głosem.

Harper wzdrygnęła się i zatoczyła, ale Gail chwyciła ją za ramię i podtrzymała, chroniąc przed upadkiem. Harper pokręciła głową - „nie, to nie ja”, chciała powiedzieć - ale się poddała. Przez następne pół godziny musiała być kurwą mordercy. Nie miała pojęcia, co po jej śmierci stanie się z Nickiem, ale póki żyła, musiała robić, co mogła.

- Jak mogłaś?! - krzyknęła piękna młoda kobieta o plamistej cerze... Ruth jakaś tam. Miała na sobie koszulę nocną w drobne, niebieskie kwiatki i puchową pomarańczową parkę. - Jak mogłaś! On cię kochał! Oddałby za ciebie życie!

Czyjaś ślina znów wylądowała w krótkich włosach Harper.

Daleko z przodu Harper zobaczyła masywne głazy i chropowatą granitową ławę, która wyglądała jak ołtarz ofiarny -miejsce, w którym biała królowa zarżnęła świętego lwa. To tam czekała reszta mieszkańców obozu.

Kiedy weszli w zewnętrzny krąg, prawa noga Harper ugięła się pod nią; upadła na kolana. Gillian pochyliła się, jakby chciała szepnąć jej do ucha słowa otuchy.

- Mam gdzieś to, że jesteś w ciąży - wycedziła. - Mam nadzieję, że tu umrzesz. - Mówiąc to, zatkała jej ręką nos. -Jeśli o mnie chodzi, ty i twoje dziecko, oboje możecie zdechnąć.

Przez jedną upiorną chwilę Harper nie mogła oddychać. Jej głowa była równie pusta jak płuca. Gillian z łatwością mogła ją zabić. Harper zaczerpnęła powietrza, dopiero gdy Jamie chwyciła ją za kark, postawiła na nogi i pchnęła do przodu.

- Wstawaj, suko! - wrzasnęła ku uciesze tłumu.

Harper obejrzała się i zobaczyła Michaela, który siedł między Benem i Carol. Chłopak niósł przerzucone przez ramię bezwładne ciało strażaka, jak worek z owsem. John był mężczyzną, a Michael dzieciakiem, ale dopiero teraz zauważyła, że ten rudowłosy chłopak jest wyższy od Johna i szerszy od niego w ramionach. Na głowę strażaka naciągnięto płócienny worek.

Zaprowadzono ją do jednego z przechylonych głazów. Chłopiec - dzieciak nazwany przez nią Bowie - podszedł do niej z złotym trzonkiem od mopa i Harper zastanawiała się, czy tym będą ją okładać. Nie. Siostry Neighbors wykręciły jej ręce do tyłu, oparły trzonek o kamienną kolumnę i taśmą przywiązały jej do niego ręce. Kiedy skończyły, miała za plecami szorstki kamień i ramiona wykręcone za plecami pod dziwnym kątem.

Chuck Cargill i kilku innych chłopców postawili strażaka trzy metry dalej przy głazie. Skrępowali mu ręce na plecach i przywiązali nadgarstki do szpadla opartego o głaz. Gdy go puścili, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i nieprzytomny, z głową na piersi, osunął się na ziemię.

Mieszkańcy obozu odsunęli się od nich, by obserwować wszystko z bezpiecznej odległości. W drgającym pomarańczowym świetle pochodni ich twarze wydawały się obce; przywodziły na myśl blade, rozmazane smugi z pełnymi strachu czarnymi oczami. Harper, szukając w tłumie kogoś znajomego, zatrzymała wzrok na jedenastoletniej Emily Waterman. Próbowała uśmiechnąć się do niej oczami, ale dziewczynka wzdrygnęła się jak na widok szaleńca.

Gdzieś z tyłu u dołu schodów prowadzących do kaplicy wybuchło zamieszanie. Harper słyszała krzyki i widziała, że doszło do jakichś przepychanek. Dwóch chłopców prowadziło ścieżką Renee Gilmonton, poszturchując ją kolbami pistoletów. Nie bili jej; po prostu chcieli, by wiedziała, że tam są. Harper pomyślała, że Renee idzie jak prawdziwa dama, choć ręce skrępowano jej zwykłym sznurem konopnym, jakim zawiązuje się paczki. Z rozcięcia na czole Murzynki płynęła strużka krwi, mimo to na twarzy Renee malował się spokój.

Tuż za nią szła Allie, i to ona krzyczała drżącym, schrypniętym głosem:

- Puśćcie mnie, kurwa! Łapy przy sobie!

Ona również miała ręce związane na plecach, a Jamie Close trzymała rękę na jej ramieniu. Harper nie zauważyła jej zniknięcia aż do chwili, gdy zobaczyła, jak eskortuje Allie. Jamie nie była sama: z drugiej strony Allie szedł chłopak, który -podobnie jak Jamie - trzymał rękę na jej ramieniu, i dwóch innych za jej plecami. Z ust Allie kapła krew. Zęby miała czerwone. Była we flanelowych spodniach od piżamy i bluzie z kapturem z logo Boston Red Sox. Stopy miała białe i brudne.

- Na kolana - warknęła Jamie, kiedy dotarli do kamiennego kręgu. - I zamknij tę swoją pieprzoną gębę.

- Mamy prawo występować we własnej obronie - odezwała się Renee. W odpowiedzi kolba pistoletu trafiła ją w lewą nogę i kobieta runęła na kolana.

- Macie prawo się zamknąć! - wrzasnęła któraś z kobiet.- Macie prawo zamknąć wasze kłamliwe gęby!

Harper zauważyła Bena i Michaela, którzy wychodzili ze stołówki. Razem z nimi szli Gilbert Cline i Mazz. Obaj więźniowie byli trzymeni na celowniku.

Gil miał beznamiętną twarz wytrawnego pokerzysty, który równie dobrze może mieć na ręce fula jak i nic. Mazz natomiast był wyraźnie podekscytowany. W dzinsowej kurtce narzuconej na poplamioną koszulkę z napisem *Bad Company*, szedł żwawym krokiem nowojorskiego milionera w sztywnym na miarę eleganckim garniturze.

Gillian pomogła Carol wejść na kamienną ławę między kolumnami, do których przywiązano Harper i strażaka. Carol stała, kołysząc się na boki. Wzrok miała nieobecny, policzki mokre od łez. Nie podniosła rąk, żeby uciszyć zgromadzonych. Nie musiała tego robić. Niskie, gorączkowe poszeptywania i szloch ucichły jak nożem uciął. W panującej ciszy słychać było jedynie syk i trzask pochodni.

- Mój ojciec nie żyje - oznajmiła i z niemal stu siedemdziesięciu gardeł dobył się stłumiony szloch. Dopiero gdy znów nastąpiła cisza, kontynuowała: - Strażak próbował zabić go trzy miesiące temu, ale mu się nie udało. Dziś wieczorem spróbował znowu i tym razem dopiął swego. On albo pielęgniarka wstrzyknęli mu do krwiobiegu powietrze, wywołując atak serca.

- To kompletna bzdura! - oburzyła się Renee Gilmonton. Głos miała czysty, donośny.

Jeden ze stojących za nią chłopców uderzył ją w plecy kolbą karabinu i upadła na twarz.

- Zostawcie ją! - wrzasnęła Allie.

Jamie Close przykucnęła obok niej i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

- Otwórz jeszcze raz gębę, a wytnę ci język i przybiję do drzwi kościoła. - Zbliżyła do policzka Allie ząbkowane ostrze zwykłego noża i obróciła je tak, żeby odbijało światło.

Allie zerknęła na ciotkę; w jej dzikim spojrzeniu wściekłość mieszała się z przerażeniem. Carol popatrzyła na nią zdezorientowanym, nieprzytomnym wzrokiem, jakby pierwszy raz widziała ją na oczy.

- Dziecko - zwróciła się do niej. - Będiesz mogła mówić, kiedy ci na to pozwolę, nie wcześniej. Rób, co ci każę, albo nie będę w stanie cię ochronić.

Harper była pewna, że Allie zacznie krzyczeć, powie coś takiego, że Jamie naprawdę ją okaleczy. Tymczasem dziewczyna wpatrywała się w ciotkę zdumionym wzrokiem, jakby Carol wymierzyła jej policzek, i wybuchła gwałtownym płaczem, który wstrząsnął jej ramionami.

Carol rozejrzała się po twarzach wiernych, zatrzymując wzrok na każdym z nich. Wilgotne, chłodne powietrze pachniało solą. Księżyc był w drugiej kwadrze. Chłopiec na wieżycze kościoła - ten, który stoi na wieżycze, widzi wszystko - oparty o balustradę, obserwował wydarzenia w dole.

- Wierzę również, że strażak zamordował moją siostrę, Sarah - ciągnęła Carol. - Myślę, że Sarah odkryła, że zamierzał zamordować mojego ojca, i zginęła, zanim zdążyła nas ostrzec. Nie mogę tego udowodnić, ale jestem o tym przekonana.

- Nie możesz niczego udowodnić! - zawołała Renee Gilmonton. Nadal leżała na ziemi w upokarzającej pozycji z twarzą przy ziemi, wypiętymi pośladkami i rękami związanymi na plecach. Na brodzie, w miejscu, gdzie zaryła twarzą w ziemię, miała zadrapanie. - Niczego!

Carol zmierzyła ją lodowatym, oskarżycielskim spojrzeniem.

- Ależ mogę udowodnić większość tego, co mówię. Mam dowody na to, że ty, pielęgniarka i strażak chcieliście zabić mnie i Bena Patchetta, przejąć władzę w obozie i zmienić go w więzienie. Mogę udowodnić, że byliśmy następni na waszej liście.

Poprzekręcała wszystko tak, że Harper poczuła zawroty głowy i

miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

- Przeprowadzili głosowanie! - krzyknęła Carol. Podniosła kartkę wyrwaną z notesu. - Może ustawione, ale jednak głosowanie. Przeszło dwadzieścia osób z tego obozu oddało swój głos na siostrą Willowes i strażaka, a tym samym zgodziło się na to, by wprowadzili w życie swój szatański plan. Żeby mordowali, kogo chcieli, krzywdzili, kogo chcieli, i zamykali, kogo chcieli. - Zniżyła głos i dodała: - Jedną z głosujących była moja siostrzenica.

Wśród tłumu zgromadzonego na obrzeżach parku rozległy się okrzyki oburzenia.

- To nieprawda! - zaprotestowała Allie.

Jamie Close szarpnięciem odchyliła jej głowę, przystawiła nóż do policzka i spojrzała na Carol, jakby czekała na jej komendę. Żyły na bladej szyi Allie nabrzmiały.

- Wybaczam ci - zwróciła się do siostrzenicy Carol. - Nie wiem, jakich kłamstw ci o mnie naopowiadali, że zwróciłaś się przeciwko mnie, ale ci wybaczam. Jestem to winna twojej matce. Ty i Nick jesteście wszystkim, co mi po niej pozostało. Może wmówili ci, że muszę umrzeć. Mam nadzieję, Allie, że pewnego dnia zrozumiesz, że jestem gotowa oddać za ciebie życie. W każdej chwili.

- Może więc zrobisz to teraz, ty jebnięta manipulantko? - Allie powiedziała to szeptem, ale w panującej dookoła ciszy jej słowa zabrzmiało głośno i wyraźnie.

Jamie przeciągnęła ostrzem noża po ustach dziewczyny, rozcinając jej wargi. Allie krzyknęła i upadła twarzą na ziemię. Z rękami związanymi na plecach nie mogła otrzeć krwi, więc wiała się i szarpała, rozsmarowując ją po twarzy.

Carol nie krzyknęła z przerażenia ani nawet nie protestowała. Przez długą dramatyczną chwilę przyglądała się siostrzenicy, aż w końcu odwróciła wzrok i rozejrzała się po twarzach zgromadzonych. Pełna wyczekiwania cisza stawała się nie do zniesienia.

- Widzicie, co jej zrobili? - zapytała Carol. - Strażak i pielęgniarka. Jak ją przekabacili? Obrócili ją przeciwko nam. To oczywiste, że Allie od miesiący jest kochanką strażaka.

Dziewczyna pokręciła wściekle głową i jęknęła, chcąc wszystkiemu zaprzeczyć, ale nie odezwała się ani słowem. Być może nie pozwalały

jej na to rozcięte wargi.

- Myślę, że dlatego John Rookwood postanowił zabić mojego ojca. Dlatego napadł go w lesie i rozbił mu głowę. Mój ojciec dowiedział się, że strażak sypia z szesnastolatką, i postanowił go zdemaskować. Wygnać z obozu. Ale strażak go ubiegł i zaatakował go swoją bronią. Wszyscy ją widzieliście. Halligana. Nawet go nie umył. Wciąż są na nim włosy i krew mojego ojca. Pokaż im, Michaelu.

Chłopak wyszedł zza pleców skazańców, niosąc długi stalowy pręt. Kiedy mijał Harper, miała okazję przyjrzeć się halliganowi. Był lekko wgnieciony po tym, jak kilka miesięcy temu uderzyła nim mężczyznę w masce przeciwigazowej. Teraz jednak stał pokrywało coś, co przypominało zastygłą krew i przylepione do niej kosmyki włosów, które lśniły srebrem w blasku pochodni.

Michael podniósł halligan i pokazał go zgromadzonym. Norma Heald wyciągnęła tłustą, białą drżącą dłoń, dotknęła go z niemal nabożną czcią i spojrzała na palce.

- Krew! - wrzasnęła. - Wciąż jest na nim krew Ojca Storeya!

Harper z obrzydzeniem zastanawiała się, kiedy Michael zakradł się do hangaru na łodzie, żeby zabrać halligan z wozu strażackiego i go przygotować. Miała nadzieję, że Ojciec Storey nie żył, kiedy chłopak rozsmarowywał jego krew na rdzewiejącym metalu i wyrwał włosy z jego pokiereszowanej głowy.

Kiedy odwróciła wzrok, zobaczyła coś, co sprawiło, że na chwilę wstrzymała oddech. Stopa strażaka poruszyła się w lewo, a zaraz potem w prawo. Nie wiedziała, czy ktoś jeszcze to zauważył. Płócienny worek załopotał, jak gdyby John westchnął.

- Wszyscy wiecie, jak silny jest mój ojciec - powiedziała Carol. - Jak walczył, żeby do nas wrócić i odzyskać swoje biedne... swoje biedne... - Przytłoczona emocjami, nie była w stanie dokończyć zdania.

- Nigdy nas nie opuścił! - krzyknął schrypniętym głosem któryś z mężczyzn. - Już zawsze będzie z nami w Światłości!

Carol zeszywniała, jak gdyby podtrzymywała ją czyjaś niewidzialna ręka.

- Tak. To prawda. Zawsze był z nami i zawsze z nami będzie. Ta myśl dodaje mi otuchy. Dodaje otuchy nam wszystkim. W Światłości czeka nas życie wieczne. Tam nasze głosy będą rozbrzmiewały po wsze czasy.

- Kciukiem starła z policzka łzę. - Wiem też, że siostra Willowes była pewna, że uszkodziła jego mózg w trakcie operacji, którą przeprowadziła na jego pękniętej czaszce. Była przekonana, że Tom Storey nie wróci do zdrowia, więc nie było potrzeby przejmować się jego śmiercią. Utrzymywanie go przy życiu było dla niej najlepszym sposobem na ukrycie prawdziwych intencji wobec mnie, Bena i nas wszystkich. Ale arogancja przyczyniła się do jej upadku! Wkrótce mój ojciec zaczął zdradzać oznaki powrotu do zdrowia. Czerpał siłę z naszych pieśni, ze Światłości. Wtedy siostra Willowes próbowała wywołać ataki, wstrzykując mu insulinę. Zrobiła to kilka razy. Przez cały czas był z nią mój siostrzeniec, który jej zdaniem szpiegował ją i czuwał nad moim ojcem.

Urwała, dysząc, spróbowała jednak się opanować. Kiedy się odezwała, głos miała cichy i wiele osób pochyliło się do przodu, żeby ją słyszeć.

- Mój tata. Mój tata był taki silny. Starał się, jak mógł, żeby do nas wrócić. Zaczął się budzić. Myślę, że dokonał tego siłą woli, choć nikt nie dawał mu szans. Wiedział, co mu grozi. Znalazł długopis i kartkę i skreślił kilka słów. - Podniosła rękę, w której trzymała złożoną na pół kartkę papieru. Ramiona jej drżały. - To jego pismo. Znam je, odkąd nauczyłam się czytać. Jest nierówne, ale to jego pismo. Napisał... - Ze łzami w oczach spojrzała na kartkę. - Napisał:

Droga Carol, wkrótce odejdę z tego świata. Mam nadzieję, że znajdziesz ten list, zanim zrobi to pielęgniarka. Strzeż się. Strzeż dzieci. Strzeż obozu. Strzeż ich wszystkich przed strażakiem. Pamiętaj, że Jezus nie przyszedł nieść pokój, ale miecz¹⁵.

Kocham cię.

Skończyła czytać, zamknęła powieki i zachwiała się. Kiedy podniosła głowę i otworzyła oczy, Michael czekał. Bez słowa wręczyła mu kartkę, a on podał ją zgromadzonym w kręgu ludziom, by przekazywali ją sobie z rąk do rąk i zobaczyli na własne oczy.

- To niczego nie dowodzi! - wykrzyknęła leżąc w błocie Renee Gilmonton. - Żaden amerykański sąd nie potraktowałby czegoś takiego

jako dowodu. Ani listu, który twój ojciec mógł napisać pod przymusem, ani tego halligana, który może być zafalszowanym dowodem. - Odwróciła głowę i rozejrzała się po twarzach ludzi stojących na obrzeżach kamiennego kręgu. - Nie planowaliśmy nikogo zabić! Rozmawialiśmy o opuszczeniu obozu! Nie o morderstwie. Harper i John chcieli zebrać grupkę ludzi, opuścić obóz Wyndham i udać się na wyspę Marthy Quinn... która istnieje. Dajcie nam naładowany telefon, a udowodnimy wam, że mówimy prawdę. Nadają w intencie. Nikt z tu obecnych, ani Carol, ani nikt inny, nie dysponuje dowodami naszej winy, które mogłyby zostać uznane przez jakikolwiek prawdziwy sąd.

- Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie - rzucił Mazz.

Kiedy Renee mówiła o wyspie Marthy Quinn, wśród zgromadzonych rozległy się nerwowe, niskie pomrukiwania. Teraz jednak znowu zapadła cisza.

- Kilka nocy temu spotkaliśmy się wszyscy potajemnie na wyspie strażaka: ja, obecny tu Gil, Renee, Don Lewiston, Allie, strażak i pielęgniarka. Renee zapytała mnie wtedy, czy stanę na czele ochrony po tym, jak strażak pozbędzie się Bena Patchetta i Carol. A pielęgniarka obiecała mi, że będę mógł wybierać do woli spośród dziewcząt powyżej czternastego roku życia. Miałem tylko trzymać ludzi w ryzach. Nie wiedzieli jednak, że dałem panu Patchettowi cynk, że coś się kroi, i zgodziłem się działać jako podwójny agent. Renee i Allie myślały, że są takie mądre, skoro udało im się wyciągnąć nas na czas spotkania z chłodni. Nie miały pojęcia, że pan Patchett pozwolił im nas wypuścić. Ben Patchett, Chuck Cargill i Michael Lindqvist zaaranżowali wszystko tak, żebym mógł zdobyć niezbędne informacje.

- Cline wszystko potwierdzi - dodał Ben Patchett i na potwierdzenie swych słów uderzył więźnia w plecy. - Prawda, Cline?

Gilbert Cline utkwiał spojrzenie swoich spokojnych, szarych oczu w Renee. Czując na sobie jego wzrok, poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Wyglądała, jakby lada chwila miała zwymiotować.

- Mogę potwierdzić jedno - odparł Gilbert Cline. - Że Mazz jest kłamliwą kupą gówna, która powie wszystko, co każe mu Ben Patchett, byle tylko wydostać się z chłodni. Cała reszta to stek bzdur i nie wierzę, że ktokolwiek z was potraktuje je poważnie.

Ben Patchett uderzył go w plecy kolbą karabinu. Zabrzmiało to jak stukot kłyci o drewno i Cline upadł na jedno kolano.

- Nie! - wrzasnęła Renee. - Nie waż się go skrzywdzić!

Harper wątpiła, czy w ogólnym zgielku, który zapanował wśród mieszkańców obozu, ktokolwiek usłyszał jej słowa.

Ben stał za plecami Gilberta Cline'a i kręcąc głową, z oburzeniem patrzył na Carol.

- W piwnicy mówił coś innego - oświadczył Ben. - Tak było! Twierdził, że całkowicie zgodzi się z Mazzem, pod warunkiem że Potraktujemy go tak jak jego kumpla. Zakułbym go w kajdanki... Do diabła, w ogóle nie pozwoliłbym mu wyjść, gdybym...

- Dość! - krzyknęła Carol i rozmowy ucichły. Nie wszystkie, ale większość. Ludzie zrobili się niespokojni, przestępowali z nogi na nogę, szeptali między sobą. - Każdy wie, że Cline jest ukochany w Gilmonton i powie wszystko, żeby ją chronić.

- Nie inaczej! - poparł ją Mazz. - Migdałą się od tygodni!

Ten jej głupi klub czytelniczy był tylko przykrywką. Czytanie *Wodnikowego wzgórza!* Jasne! To był ich sekretny kod. Słowo klucz. A tak naprawdę pieprzyli się jak króliki, za każdym razem, gdy...

- Ty pieprzony krzywoprzysięzco - wysyczał Gil. - Kto raz popełnił krzywoprzysięstwo, już zawsze będzie to robił.

- Pan Mazzucchelli nie jest jedynym świadkiem! - zawołała Carol. - Jest jeszcze ktoś! Zapytajcie pielęgniarkę! Zapytajcie! Czy to nieprawda? Czy nie przyglądała się, jak strażak wstrzykuje powietrze do żył mojego ojca? Czy nie podała środka uspokajającego mojemu siostrzeńcowi Nickowi, żeby w spokoju mogli doprowadzić swój plan do końca? Zapytajcie ją! Czy to prawda, siostrzo Willowes? Tak czy nie?

Harper podniosła głowę i rozejrzała się. Sto siedemdziesiąt twarzy zwróciło się ku niej. Pomarańczowy blask pochodni rysował na nich upiorne, rozbiegane cienie. Patrzyli na nią ze strachem i wściekłością. Emily Waterman była wyraźnie oszołomiona. Na jej brudnych policzkach widać było wilgotne ślady łez. Roztrzęsiona Jamie Close wciąż trzymała Allie za brodę. W końcu Harper zobaczyła Michaela, który ukrywał się za plecami skazańców, na prawo od Bena Patchetta. Chłopak trzymał broń na wysokości pasa z lufą skierowaną w stronę Allie. Czując na sobie wzrok Harper, prawie niezauważalnie skinął

głową. „Zrób to”, mówił ten gest.

Pokiwała głową. Tak, Carol mówiła prawdę.

W ciszy rozległ się wrzask - wściekły, zbolący ryk - który sprawił, że ciemność zadrżała. Harper jeszcze nigdy nie słyszała tak przeciągłego wycia. Był to chór, jakiego dotąd nie słyszała. Zdumiona zauważyła, że niektórzy chórzyci zaczynają lśnić. Oczy Jamie Close błyszcząły jak złote monety w blasku słońca. Pokryte smoczą łuską nagie ramiona Normy Heald rozjarzyły się czerwienią.

- Uhm - mruknął strażak spod płóciennego worka. - Co to? Co się dzieje?

Wbił piętę w ziemię, jakby szukał oparcia dla stopy.

- Budzi się! - krzyknęła Emily Waterman wysokim, piskliwym głosem. - Zabije nas! Spali nas wszystkich!

Po raz kolejny Norma Heald zareagowała pierwsza. Zamachnęła się i rzuciła mały biały kamień, niewiele większy od piłeczki golfowej. Na krótką chwilę zapadła cisza, jak gdyby wszyscy naraz zaczerpnęli powietrza. Pocisk z głuchym plaśnięciem trafił strażaka w ramię.

Z gardła tłumu dobył się ryk satysfakcji.

Nikt nie zwrócił uwagi na drzwi do izby chorych, które otworzyły i zatrzasnęły, gdy Nick - wciąż jeszcze senny i otumaniony - chwiejnym krokiem opuścił budynek.

Czujka pełniąca wartę na wieżycze kościoła nie zauważyła reflektorów autobusu migających ostrzegawczo kilometr dalej przy wejściu do obozu Wyndham. Była zbyt pochłonięta wydarzeniami w dole, gdzie ludzie, jeden po drugim, zaczęli rzucać kamieniami.

4

Kamień odbił się od granitowej kolumny nad głową strażaka. Słyszając głuchy dźwięk, John się wzdrygnął. Chwilę później kolejny kamień trafił go w kolano.

Lewa ręka zapłonęła błękitnym płomieniem, topiąc krępującą go taśmę.

Biały kamień wielkości przycisku do papieru wylądował tuż nad jego głową i znad lewej ręki uniosła się trująca chmura czarnego dymu. Głowa strażaka opadła na pierś. Kamienie odbijały się od jego ramion, brzucha i uda; inne stukając, trafiały w kamienną kolumnę za jego plecami.

Nie, pomyślała Harper, nie, nie, nie...

Zamknęła oczy, zajrzała w głąb swego umysłu i zaczęła nucić piosenkę bez słów, piosenkę bez melodii.

5

Film Zaprudera, amatorskie nieme nagranie, przedstawiające zabójstwo prezydenta Johna F. Kennedy'ego, trwa niespełna dwadzieścia siedem sekund, a na jego podstawie napisano książki, w których analizowano wszystko, co zarejestrowano na taśmie. Żeby zrozumieć naturę chaosu - ukazać całą gamę czynności i ludzkich reakcji, które wybuchają jedna po drugiej niczym ciąg petard - czas musi zwolnić do niemal żółwiego tempa. Przy każdym kolejnym oglądaniu filmu człowiek odkrywa coraz to nowe niuanse, odnosi inne wrażenie. Analizując te same dowody, mamy świadomość nakładających się na siebie relacji, zupełnie jakby nie chodziło o jedną historię - zastrzelenie wielkiego człowieka - ale o dziesiątki rozmaitych opowieści uchwyconych *in medias res*.

Harper Willowes nie miała możliwości - nie wspominając już o dystansie czy poczuciu bezpieczeństwa - żeby zobaczyć na filmie to, co działo się przez jedenaście minut i dziewięć sekund na wzgórzu. Nie mogła też obejrzeć ponownie rzezi, która nastąpiła później, i zobaczyć, co ją ominęło. Ale nawet gdyby miała taką możliwość, odmówiłaby; nie byłaby w stanie przeżywać tego ponownie i jeszcze raz patrzeć na wszystko, co zostało wówczas utracone.

A jednak widziała wiele, być może więcej niż ktokolwiek, ponieważ nie spanikowała. Zadziwiająco, że potrafiła zachować spokój tam, gdzie większość ludzi zaczynała histeryzować; że zachowywała trzeźwość umysłu w sytuacjach, w których inni tracili kontakt z rzeczywistością i w ogóle nie wiedzieli, co się dzieje. Doskonale poradziłaby sobie w szpitalu polowym.

Otworzyła oczy, kiedy płomień w jej dłoniach stopił taśmę, którą skrupowano jej nadgarstki. Teraz, kiedy miała wolne ręce, przyjrzała się lizącym jej ramiona żółtym jęzorom ognia. Nie czuła bólu. Skórę miała przyjemnie chłodną, jak gdyby zanurzyła ręce w morzu.

Nie trzeba było pochodni. Cały obóz dosłownie tonął w świetle. Harper spoglądała na tłum mężczyzn i kobiet o świecących jasno,

niewidzących oczach. Ich skórę pokrywała smocza łuska, której szkarłatny blask przeświecał przez ubrania. Ci, którzy byli boso, mieli teraz na stopach coś jak kapcie z brązu.

Norma Heald z oczami jak neonowe wiśniowe guziki schyliła się po kamień. Widząc to, Harper wyrzuciła do przodu prawą rękę i półkolisty płomień wielkości bumerangu przeciął noc i z sykiem uderzył kobietę w ramię. Norma wrzasnęła, zatoczyła się w tył i upadła, przewracając co najmniej dwie osoby, które stały za jej plecami.

Harper usłyszała krzyk. Kątem oka widziała zamieszanie, biegających bezładnie i wpadających na siebie ludzi. Obok jej lewego ucha świsnął kamień i odbił się od głazu, do którego ją przywiązano.

Odwróciła się w stronę strażaka i zobaczyła Gillian Neighbors, która stała jej na drodze. Harper uniosła lewą rękę i rozcapierzyła palce, jakby chciała przybić z nią „piątkę”. Zamiast tego z jej dłoni wystrzelił ognisty dysk, który niczym tort trafił dziewczynę prosto w twarz. Gillian wrzasnęła, zasłoniła twarz rękami, upadła i zniknęła.

Kolejny kamień trafił Harper w krzyż, wywołując nagły, przeszywający ból, który zaraz jednak minął.

Sięgnęła ręką do twarzy i szarpnięciem zerwała taśmę, którą zaklejo jej usta. Knebel niemal stopił jej się w palcach. Otworzyła usta i wypluła kamień na lewą dłoń. Ścisnęła go w pięści, aż poczuła, że robi się gorący, a mokra od śliny powierzchnia skwierczy, pęka i robi się biała.

Michael wyciągnął rękę, żeby chwycić Carol za nadgarstek, jak Romeo, który próbuje dosięgnąć Julię stojącą na balkonie. *Ty i ja, skarbie; co ty na to?*

Gilbert Cline leżał na ziemi i wbijał pięść w brzuch Bena Patchetta. Ben, zgięty w pół, wydawał się jakiś mniejszy, jakby się skurczył, i Harper mimowolnie pomyślała o piekarzu, który ugniata zbyt wyrośnięte ciasto.

Zachwiała się, kiedy następny kamień uderzył ją w biodro. Nagle, tuż obok, jak spod ziemi wyrosła Allie i pomogła jej utrzymać się na nogach. Twarz miała zakrwawioną. Uśmiechnęła się rozciętymi wargami. Ręce skrepowane sznurem konopnym miała związane na plecach. Harper dotknęła ich dłonią odzianą w rękawicę z białego ognia. Pęta spadły na ziemię, gdzie wiły się przez chwilę jak

pomarańczowe robaki.

Chwilę później obie przypadły do strażaka. Harper chwyciła go pod pachy, wsuwając ręce pod ognioodporny materiał. Utkane z ognia rękawice zgasły w oparach gęstego, czarnego dymu, odsłaniając zdobienia na przedramionach. Misterne esy-floresy wciąż były rozpalone i czerwonawozłotawe. Chwilę po tym, jak płomień zgasł, jej ciało pokryło się gęsią skórą i dostała takich zawrotów głowy, że przewróciłaby się, gdyby nie Allie, która kolejny raz przyszła jej z pomocą.

Płócienny worek na głowie Johna w dwóch miejscach przesiąknięty był krwią: na wysokości ust i po lewej stronie czoła. Allie zerwała go, odsłaniając ukrytą pod materiałem twarz. Skóra na kości policzkowej była rozcięta, górna warga opuchnięta i zakrwawiona, ale Harper była przygotowana na gorszy widok. John przewracał oczami, aż w końcu zatrzymał wzrok na niej. Na niej i na Allie.

- Dasz radę wstać? - zapytała Harper. - Mamy kłopoty.

- Fo wnowu? - Splunął krwią. Wciąż zamroczony, patrzył z niepokojem to na jedną, to na drugą. - Nie pfejmujcie fię mną. Iśsie.

- Zamknij się w końcu - rzuciła Harper i szarpnięciem podniosła go z ziemi.

On jednak nie słuchał. Ścisnął ją za ramię i wskazał na niebo. Oczy wychodziły mu z orbit, zakrwawione wargi układały się w literę „O”.

- Ręka Boga! - krzyczał ktoś. - To ręka Boga!

Harper podniosła wzrok i zobaczyła ogromną, płonąca rękę wielkości samochodu kombi, która runęła z nieba na sam środek kamiennego kręgu i uderzyła w granitową ławę, gdzie jeszcze chwilę temu stała Carol. Uwięziona pod nią kobieta leżała w objęciach Michaela.

Płomienna ręka grzmotnęła w ziemię z taką siłą, że wszystko wokół zadrzało. Chwilę później eksplodowała w środku wewnętrznego kręgu, osmalając granitowe kolumny. Trawa zaskwierczała, tworząc na ziemi pomarańczową koronkę, i spłonęła. Podmuch gorącego powietrza cisnął Harper na Johna, a oszołomiony tłum się cofnął.

Wszędzie dookoła słyhać było okrzyki bólu i przerażenia. Mała Emily Waterman została przewrócona przez tłum, a wazący sto kilogramów były hydraulik, niejaki Josh Mar-tingale, nadepnął jej na

lewy nadgarstek. Rozległ się chrzęst łamanych kości.

Płonąca ręka zgasła tuż po tym, jak uderzyła w ziemię, pozostawiając po sobie spaloną trawę, kopnącą kamienną ławę i skulonych pod nią Carol i Michaela.

- Jak? - zaczęła Harper. - Kto...

- Nick - odparł strażak.

Przez dłuższą chwilę wierni Carol Storey lśnili razem w harmonii wściekłości i triumfu, teraz jednak wśród zgromadzonych zapanował chaos: biegali, nie wiedząc, co z sobą zrobić, i wpadali na siebie. W pewnej chwili tłum się rozstał. Ludzie rozglądali się, a gdy zobaczyli, co nadciąga, zaczęli w panice uciekać. Bill Hetworth, dwudziestodwuletni były student inżynierii, który spędził w obozie cztery miesiące, popuścił ze strachu i na jego dzinsach rozkwitła ciemna, mokra plama. Carrie Smalls, czternastolatka, która trafiła do obozu Wyndham trzy tygodnie temu, upadła na kolana, bełkocząc: „Oto Pan mój, święć się imię Twoje”.

Nick szedł ku nim; jego głowa płonęła, oczy przypominały rozżarzone węgle, ręce - ogniste szpony. Odziany był w utkaną z dymu długą czarną szatę.

6

Morze ludzi rozstąpiło się przed Mojżeszem w płomiennej szacie, który idąc ku nim, zaczął przygasać. Błękitna korona ognia, która otaczała jego głowę, przez chwilę mieniła się różnymi odcieniami - od szmaragdowego po bladożółty - aż w końcu zgasła w chmurze białego dymu. Teraz już tylko jego oczy płonęły, przypominając ślepe, rozżarzone węgle.

- Choście - rzucił strażak. - Faf na nas. - Przy każdym słowie z jego opuchniętych ust pryskała krwawa ślina.

Harper i Allie wzięły go za ręce i pomogły mu wstać. Był skołowany, nogi miał jak z waty i omal się nie przewrócił. Podtrzymały go jednak.

- Ftańmy wa Nickiem - wydusił strażak. - Boją fię go. Boją fię go tak, jak kiewyś bali fię mnie.

Zrobili ledwie dwa kroki, gdy usłyszeli przenikliwy dźwięk, który wwiercał się w pierś Harper. Zamarła i rozejrzała się, spoglądając w górę drogi i na szczyt wzgórza.

Chwilę później zobaczyła błysk reflektorów - błękitne ksenonowe światła nad ogromnym pługiem śnieżnym.

Oświetlały mężczyznę, który stał przed pługiem, człowieka w brudnym zielonym swetrze w renifery. Miał na szyi pętlę ze sznura konopnego, przywiązaną do osłony chłodnicy. Ręce związane mu na plecach. Blask reflektorów zmienił jego rzadkie, siwe włosy w stalowe włókna.

Światło padało również na biegnącego pięćdziesiąt metrów dalej Marka Mazzucchello, który najwyraźniej uznał, że dość już nadużył gościnności mieszkańców obozu Wyndham i najwyższy czas ruszyć w dalszą drogę. Kiedy jednak światła mignęły, zrobił ostatni, chwiejny krok i zastygł bez ruchu.

- ...ki chuj? - warknął. W głuchej ciszy jego głos zabrzmiał głośno i wyraźnie.

W ciemności, niczym ogromne oczy, zapłonęły kolejne reflektory, a zaraz po nich następne. Jedne należały do wojskowego humvee z

odkrytym dachem. Drugie do chevroleta silverado intimidator na ogromnych kołach. Nad szoferką oślepiająco świecił rząd reflektorów. Nieco dalej na drodze stały co najmniej dwa inne pick-upy.

Nelson Heinrich, utykający człowiek z pętlą na szyi, obrócił się przez ramię w stronę świateł.

- Widzicie! - wrzasnął. - Widzicie, mówiłem wam! Mówiłem, że tu będą! Wszyscy! Co najmniej dwustu zainfekowanych! Mówiłem, że wam pomogę! Teraz musicie mnie wypuścić! Obiecaliście! Obiecaliście, że skończycie ze mną!

Wzmocniony głos - prócz reflektorów na chevroletcie zamontowano również głośniki - zagrział pośród nocy. Harper znała go. Wszyscy go znali. Marlboro Man był znany na całym wybrzeżu.

- Obietnica to obietnica - rzucił. - Niech nikt nie mówi, że Marlboro Man nie dotrzymuje danego słowa. Niech ktoś uwolni pana Heinricha.

Mężczyzna w mundurze polowym, który siedział w humvee na miejscu pasażera, wstał nagle i oparłszy karabin Bushmaster o przednią szybę, otworzył ogień.

Nelson Heinrich wygiął się w łuk, jakby ktoś uderzył go w krzyż stalowym prętem. Z jego piersi uniosły się obłoczki czerwonego dymu, spowijając postać szkarłatną mgiełką. Próbował uciekać, ale lina na szyi naprężyła się niczym struna i Nelson runął na ziemię.

Widząc to, Mazz odwrócił się i rzucił do ucieczki. Zrobił jeden krok, drugi i chwilę później kule podziurawiły mu nogi. Niektóre trafiły go w plecy, a ich dźwięki przywodziły na myśl deszcz uderzający o bęben. Ostatnia kula trafiła go w ramię i obróciła nim tak, że padając na ziemię, spoglądał w czarne jak atrament niebo. Humvee ruszył, podskakując na wyboistej ścieżce i wzbijając kłęby białego, kredowego pyłu. Przyspieszył i wjechał między kościół a stołówkę, odcinając mieszkańcom obozu drogę ucieczki. Światła reflektorów pełzały po błotnistej ziemi i zatrzymały się na Nicku. Hummer nie zwolnił i nabierając prędkości, ruszył w stronę chłopca. Harper zawołała Nicka, on jednak jej nie słyszał.

Pojazd z ohydny chrupnięciem przejechał po Mazzie i przechylił się, jakby wjechał w głęboką dziurę. Nick odwrócił się sennie, niemal leniwie. Podniósł prawą rękę i z jego palców sypnęły iskry; utworzyły wir i wzbiły się w niebo. Wyglądały jak tysiące gwiazd, które zamiast przygasać, pęczniały i płonęły coraz mocniejszym światłem. Wysoko w górze zmieniły się w stado płonących wróbli - każdy wielkości piłeczki do golfa - i zanurkowały ku ziemi.

Uderzyły w humvee z odległości piętnastu metrów deszczem czerwonego światła. Płonące pociski spadały na pojazd z mokrym mlaśnięciem. Strzaskały przednią szybę, uderzyły w siedzących z przodu mężczyzn, zmieniając ich w krzyczące kukły, rozerwały opony i rozbiły się o skrzynkę z amunicją, która wybuchła w rozbłysku białego światła.

Pojazd gwałtownie skręcił w lewo. Prawy błotnik zahaczył Nicka i odrzucił go w mrok. Humvee jechał jednak dalej, coraz bardziej zjeżdżając w lewo. Koła od strony pasażera uderzyły w na wpół zakopany w ziemi biały głaz. Pojazd przechylił się na bok i przewrócił

się z łoskotem. Z kabiny wybiegł w noc płonący człowiek - kierowca.

Harper raz za razem wołała Nicka. Nie mogła się poruszyć. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Allie próbowała podbiec do brata, ale strażak jeszcze mocniej wsparł się na jej ramieniu.

- Ben się nim zajmie, Ben... - rzucił John, dziewczyna jednak wyrwała mu się i pognąła w stronę Nicka.

Ben Patchett był jednak szybszy. Biegł niezdarnie, ale jako pierwszy przypadł do leżącego na ziemi chłopca. W jednej ręce trzymał broń i strzelił na oślep do freightlinera. Kula odbiła się od pługa, krzesząc snop niebieskich iskier. Ben opadł na jedno kolano, podniósł Nicka i zarzucił go sobie na ramię. Oddał kolejny strzał, po czym zaczął biec z powrotem, tym razem nieco wolniej.

Ukryci za pługiem mężczyźni używali łopat jako tarcz. Rozległ się huk wystrzałów. Lufy karabinów splunęły jasnym światłem. Ben Patchett potknął się, zatoczył, ale nie przestawał biec. Harper nie widziała, gdzie trafiła go pierwsza kula. Druga utkwiała w prawym ramieniu i niemal go obróciła. Wydawało się niemal pewne, że Ben upadnie i upuści Nicka. On jednak tego nie zrobił. Odzyskał równowagę i ruszył dalej truchtem jak maratończyk w upalny dzień. Trzecia kula trafiła go w czubek głowy i widząc to, Harper pomyślała o wysokiej fali, która rozbija się o skałę. Czerwona mgiełka utworzyła nad głową Bena krwistą aureolę, sypiąc dookoła włosami, fragmentami kości i mózgu.

Mimo to zrobił krok, zaraz potem drugi, a gdy upadł na kolana, była przy nim Allie. Widząc jej wyciągnięte ręce, Ben przekazał jej Nicka z niemal niespieszną ostrożnością, jak gdyby w ogóle nie przejął się faktem, że ktoś właśnie odstrzelił mu połowę czaszki. Zanim upadł, Harper ostatni raz przyjrzała się jego twarzy i wydało jej się, że widzi na niej uśmiech.

- Uciekajcie! - ryknęła Carol. - Biegnijcie do kościoła! Wszyscy!

Niczym aktorka w blasku reflektorów stała na kamiennej ławie, unosząc ramiona. Kule odbijały się od otaczających ją kamiennych kolumn i przez krótką chwilę Harper miała wrażenie, że rąbek jej szlafroka poruszył się, jakby coś nim szarpnęło. Nie dosięgła jej żadna kula. Z poczerńiałej skały pod jej stopami unosił się dym. Wyglądała jak ilustracja ze Starego Testamentu: szalona prorokini wzywająca

Boga, by z udziałem przemocy uratował jej lud.

Mieszkańcy obozu biegli ile sił w nogach. „Uciekali w popłochu” - to było najlepsze określenie. Ogarnięci paniką gnali w stronę schodów - sto siedemdziesiąt osób, które popychały się i krzyczały. Emily Waterman, która wciąż leżała na ziemi, została stratowana przez kilka osób. Ostatnia, która po niej przebiegła, niejaka Sheila Duckworth - do niedawna pomoc dentystyczna - nadepnęła na głowę Emily, wciskając jej twarz w błoto i pozbawiając ją życia. Jedenastolatka już wtedy miała skręcony kark i nie mogła podnieść głowy, żeby zaczerpnąć powietrza.

Harper rozejrzała się, szukając wzrokiem Renee, i zobaczyła ją przy rogu kościoła. Stojący obok niej Gilbert szarpał ją za rękę. Nie kierowali się w stronę kaplicy; zamierzali zniknąć na tyłach kościoła. Renee wodziła dookoła przerażonym, błagalnym wzrokiem i wszystko wskazywało na to, że chciała zostać, ale Gilbert ciągnął ją za sobą. Widząc to, Harper pomyślała: idź, po prostu idź. Widok Renee znikającej z pola widzenia był jak oddech świeżego powietrza. Sama nie mogła uciec z Johnem, który ledwie trzymał się na nogach, ale Renee i Gilbertowi się udało i zbiegali w dół zbocza, w kierunku drzew. Może dotrą do łodzi i dołączą do Dona Lewistona, jeśli wciąż jeszcze tu był i oglądał wszystko z dala od lądu. Harper miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Miała nadzieję, że nie będą oglądać się za siebie.

Michael wyczołgał się spod ołtarza i wyciągał ręce w stronę Carol. Ona jednak nie zwracała na niego uwagi. Stała, krzycząc do swoich ludzi, żeby uciekali, a kiedy chwycił ją za nadgarstki, wyrwała mu się. Michael złapał ją w pasie i zdjął z kamiennej ławy. Zaraz potem odwrócił się i pobiegł z nią, tak jak Ben biegł chwilę temu z Nickiem. W stronę kaplicy. Większość mieszkańców obozu była już za czerwonymi drzwiami.

- Chodź - rzucił strażak. - Do kościoła.

Nogi ugięły się pod nim i Harper musiała go podtrzymać.

- Nie - odparła. - To pułapka.

- To schronienie, idź już.

Poczuła, jakby stalowa klamra ścisnęła jej wnętrzności. Nagły przesywający ból pozbawił ją tchu i kolejny raz zaczęła się zastanawiać, czy stres wywoła przedwczesny poród.

Odegnęła jednak od siebie tę myśl i potykając się, ruszyła w stronę

kaplicy. Strażak powłóczył nogami, próbując udawać, że idzie, lecz tak naprawdę to Harper wlokła go za sobą. Chwilę później dołączyła do nich Allie z Nickiem na rękach. Dziewczyna krwawiła z rozbitej brody, ale usta miała otwarte i rozciągnięte w dzikim uśmiechu.

Wspólnymi siłami pokonali schody: Allie niosła Nicka, Harper pomagała strażakowi, a Michael ciągnął za sobą Carol. Z chwilą gdy znaleźli się na szczycie schodów, stopnie za ich plecami eksplodowały podziurawione kulami, a powietrze wypełnił słodki zapach świeżo ciętego drewna.

Chevrolet intimidator - z namalowanym od strony pasażera napisem WKLL - zjechał z drogi i potoczył się w dół zbocza, mijając zewnętrzny krąg kamiennych kolumn. Zatrzymał się przy południowej ścianie kaplicy, na wąskim pasie ziemi między kościołem a lasem. Na platformie pojazdu zamontowano automatyczny karabin. Harper nie znała się na broni, ale ta tutaj wydawała plastikowy terkot, zupełnie inny niż bushmaster.

Od drugiej strony nadjechały dwa pick-upy i rycząc silnikami, zatrzymały się przy północnej ścianie budynku. Freightliner pozostał na szczycie wzgórza; pracował na jałowym biegu, jakby Jakob czekał na to, co lada chwila wydarzy się na dole.

Gail Neighbors stała tuż za progiem, przy jednym skrzydle masywnych, czerwonych drzwi. Przy drugim Harper dostrzegła chłopaka, który wyglądał jak młody David Bowie. Zamierzali zatrzaskać wrota, gdy Harper ze strażakiem wpadli do wnętrza pełnego mroku, szlochów, krzyków i przerażenia. Drzwi zamknęły się za ich plecami... i nigdy więcej się nie otworzyły.

8

Michael pochylił się i delikatnie - z czcią - postawił Carol na podłodze.

- Jesteś ranna?! - krzyknął łamiącym się głosem. - O Boże, proszę, proszę, niech nic ci nie będzie. Nie wiem, co robić.

Carol przewróciła oczami jak ogarnięty paniką koń. Sprawiała wrażenie, jakby go nie poznawała.

- Nic mi nie jest. Światłość. To dzięki Światłości! To ona mnie ocaliła. Była jak utkane z miłości pole siłowe, które trzymało kule z dala ode mnie. Myślę, że ciebie też chroniło!

Harper odchrząknęła i delikatnie szturchnęła Carol łokciem, kazując jej się odsunąć. W lewej ręce trzymała kamień wielkości piłki golfowej, który piętnaście minut wcześniej Jamie Close wcisnęła jej do ust. Rozgrzany w jej pokrytej smoczą łuską dłoni, kopcił delikatnie. Rąbnęła nim Michaela Lindqvista juniora w szczękę, wybijając mu przy tym dwa zęby.

- Nie - warknęła. - Jego pole siłowe nie ochroniło. -Widząc, że chłopak zgiął się wpół, walnęła go kolanem w twarz i uderzyła kamieniem w ramię. Sypnęły iskry. Ramię Michaela wyskoczyło ze stawu przy dźwięku podobnym do wyciągania korka z butelki.

Miała ochotę okładać go bez końca. Nie poznawała samej siebie. Jej ręce żyły własnym życiem i były gotowe rozerwać go na strzępy. Ale wówczas musiałyby uklęknąć, a teraz, gdy znowu czuła skurcze, wymagałoby to od niej nie lada wysiłku. Poza tym John otoczył ją ramieniem i choć nie miał wystarczająco siły, by ją odciągnąć, przynajmniej próbował.

- Zaczekaj! - rzuciła. - Nic mi nie jest. Już skończyłam.

Przez chwilę sama uwierzyła we własne słowa, a kiedy strażak ją puścił, kopnęła Michaela w szyję.

- Tom Storey był takim cudownym człowiekiem - powiedziała, czując, że John znowu szarpie ją za rękę. - Powinieneś się wstydzić!

Carol spojrzała na nich zdumionym, oszołomionym wzrokiem.

Połowa jej twarzy była różowa i spuchnięta, skóra z ucha łuszczyła się płatami, jakby policzek był za długo wystawiony na ostre słońce.

- A ty! - wysyczała Harper. - Twoje pole siłowe chyba nigdy nie było aktywne, gdy Michael miał ochotę zrobić ci palcówkę.

Carol wzdrygnęła się, jakby została spoliczkowana. Jej lewy policzek była teraz równie czerwony, jak połowa jej twarzy przysmażona ręką Boga.

- Możesz mnie zabić, jeśli chcesz - odparła. - W ten sposób odeślesz mnie z powrotem w ramiona mojego ojca, który czeka na mnie w Światłości. Wszyscy, których straciliśmy, czekają tam na nas. Tylko w ten sposób możemy uciec.

- Nie chcę i nigdy nie chciałam cię zabić - wycodziła Harper. - Nie muszę tego robić. Wyręczą mnie ci, którzy czekają na zewnątrz. To miejsce jest jak pudełko, a oni są uzbrojeni. Ale może zostało nam jeszcze pięć, dziesięć minut. W tym czasie przemyśl sobie to, co teraz usłyszysz. Michael zabił twojego ojca... dla ciebie. Żeby ocalić ciebie. I siebie. Twój ojciec zamierzał wygnać cię z obozu za to, co zrobiłaś Haroldowi Crossowi. Michael rozwalił Ojcu Storeyowi głowę, żeby nie opowiedział mieszkańcom obozu, jak wystawiliście Harolda i go zastrzeliliście. Posyłając Harolda do piachu, posłałaś z nim swojego ojca. Jedno nieszczęście doprowadziło do drugiego. Idąc do Światłości, pamiętaj o tym.

W miarę jak mówiła, coraz bardziej się uspokajała i kiedy skończyła, drżała, a jej głos przypominał schrypnięty szept. Nie potrafiła być okrutna wobec ludzi, nawet tych, którzy na to zasługiwali. Na widok przerażonej, bladej i zmieszanej twarzy Carol zrobiło jej się niedobrze. Kobieta miała cienie pod oczami, a jej skóra, mimo zaróżowień, wydawała się szara jak popiół. Harper pomyślała, że Carol w końcu wygląda jak dojrzała kobieta po przejściach: wykończona, znużona i niezbyt atrakcyjna.

Oszołomiona Carol dopiero teraz spojrzała na Allie, która stała obok z Nickiem na rękach. Na widok siostrzenicy broda jej zadrzała, a po policzkach potoczyły się łzy.

- Allie - zaczęła, wyciągając rękę. - Pozwól mi go potrzymać. Pozwól, że się nim zajmę. Proszę.

Siostrzenica napluła jej w twarz. Carol zamrugnęła; policzki i czoło

miała upstrzone czerwonymi plamami. Podniosła rękę, jakby chciała się obronić, ale Allie splunęła na nie śliną zmieszaną z krwią.

- Ni chuja - wycedziła, powoli poruszając rozciętymi wargami. - Nie waż się go tknąć. Chorujesz na coś gorszego niż smocza łuska i masz trzymać się od niego z daleka, na wypadek gdyby to było zaraźliwe. - Z każdym słowem z jej ust wypływała strużka krwi. Rozcięcie na wargach było głębokie. Harper pomyślała, że trzeba będzie założyć szwy, a i tak pozostanie brzydka blizna.

- Nie mamy czasu - odezwał się strażak. - Musimy wejść na dzwonnice. Stamtąd będziemy mogli się bronić.

Harper miała wrażenie, że nigdy nie słyszała czegoś równie beznadziejnego. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedziła ją Jamie Close.

- Na górze jest co najmniej jeden karabin - oznajmiła. Twarz miała umorusaną i cała się trzęsła, choć Harper nie potrafiła powiedzieć, czy powodem był szok, czy może przerażenie. -I pudełko naboí. Zawsze jest tam przynajmniej jedna sztuka broni dla kogoś, kto ma wartę na wieżycze.

Jamie Close była dzikuską, ale nie była głupia. Podobnie jak oni widziała, co się dzieje, i postanowiła trzymać z tymi, którzy mieli największe szanse na przeżycie.

- Dobrze. - Strażak pokiwał głową. - To dobrze, Jamie. Idź tam. Dołączymy do ciebie. Będziemy strzelać z wieżyczki, żeby utorować drogę ucieczki od drzwi piwnicy do... - Urwał i zamknął oczy.

Harper wiedziała, że wizualizuje sobie obóz, widzi, jak dwuskrzydłowe drzwi piwnicy otwierają się na północne pole: rozległy pas otwartej przestrzeni. Na zewnątrz czekały na nich dwie ciężarówki pełne ludzi i broni. Harper też o tym myślała i nie przychodził jej do głowy żaden pomysł.

- Gdzie Gillian?! - krzyknęła Gail. - Ktoś widział moją siostrę? Ktoś widział, czy udało jej się wejść do środka? -Odwróciła się w stronę drzwi i chwiejnym krokiem ruszyła do nawy, gdzie schroniła się większość mieszkańców obozu.

Harper delikatnie ścisnęła ramię Johna.

- Myślisz, że dasz radę wejść po schodach? - zapytała.

- Idź - odparł. - Pójdę za tobą.

- Nie zostawię cię. Nie ma mowy. Razem wejdziemy na górę.
Pokiwał głową i otarł krew z policzka.

- W takim razie chodźmy. Stamtąd będziemy widzieli ich jak na dłoni. Nieważne, ilu ich jest. To gniazdo snajpera. Może bronią i ogniem wypalimy sobie drogę ucieczki... Jakoś. Nie jest jeszcze za późno, Willowes.

A jednak było za późno. Po chwili pierwsze koktajle Mołotowa roztrzaskały się o południową ścianę kościoła.

9

Carol obróciła się na pięcie. Wysokie sklepienie kościoła odbijało echem płacz, wołanie o pomoc, modlitwy do Jezusa, błagania o litość i przebaczenie. Przerażonym wzrokiem wpatrywała się w długą, zatłoczoną nawę.

Niektórzy mieszkańcy obozu leżeli na podłodze. Inni kulili się w ławkach, tuląc się do siebie. Wielu siedziało przy ołtarzu. Norma Heald przycupnęła na schodach i kołysząc się w przód i w tył, kręciła głową.

- Czego chcecie?! - zawołała. - Dlaczego płaczecie? Myślicie, że się stąd nie wydostaniemy? Że jesteśmy w pułapce? Czeka na nas Światłość i nikt nas nie powstrzyma przed ucieczką w nią i wyrwaniem się stąd! Nie czas na płacz! Musimy śpiewać!

Okna witrażowe kościoła zabito od zewnątrz płytami ze sklejki. Jedna z nich zajęła się ogniem i na ławkach zatańczyły tęczone refleksy.

- Musimy zaśpiewać! - ciągnęła Norma. - No już! Wszyscy razem! - Kiedy dostrzegła Carol stojącą w drugim końcu sali, pomachała do niej różową ręką. - Matko Carol! Wiesz, co musimy zrobić! Ty wiesz!!

Carol długo patrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem. W końcu zaczerpnęła powietrza i zaczęła śpiewać.

- *O, przybądźcie wszyscy wierni...* - Z początku trudno było ją usłyszeć pośród jęków i zawodzenia.

Kule niczym ulewa odbijały się od ścian kaplicy.

- *W triumfie i radości...* - W słodkim głosie Carol rozpacz mieszała się z przerażeniem. Minąwszy Michaela, weszła do nawy głównej i rozłożyła ręce. Z czubków jej palców skapywały krople krwi.

Nieopodal niej stała Gail. Dziewczyna przestała szukać siostry i w milczeniu kołysała się na boki. Gdy Carol wzięła ją za rękę, Gail spojrzała na nią zdumiona i wzdrygnęła się, jakby ta ją uszczypnęła.

Carol jednak splótła palce z jej palcami i kontynuowała:

- *Przyjdźcie... przybądźcie... do Betlejem.*

- Tak! - ryknęła Norma Heald. - Tak! Do Betlejem! Do Światłości!

Kolejny głos dołączył do Carol, piskliwy i nieco fałszywy.

Ktoś inny zanosił się płaczem i zawodził:

- Umrzemy! Wszyscy tu zginiemy! Boże drogi, już po nas!

Gail spojrzała na swoją rękę w dłoni Carol i zaczęła szlochać.

Histeryczny płacz wstrząsnął jej ramionami. Opanowała się jednak i również zaczęła śpiewać.

Teraz już pół tuzina ludzi śpiewało razem:

- *Przyjdźcie i ujrzyjcie Go! Oto narodził się król aniołów!*

Misterne wzory na ciele Carol rozjarzyły się srebrzysto-różowym blaskiem. Harper widziała, jak przeświecają przez cienki jedwab piżamy.

- *Przyjdźmy Go wielbić!* - zadudnił zduszonym smutkiem głos Normy Heald. - *Przyjdźmy Go wielbić! Przyjdźmy Go wielbić!* - Słowa te zabrzmiały jak coś więcej niż nawoływanie. Brzmiały niczym groźba.

Kolejny koktajl Mołotowa roztrzaskał się o południową ścianę kościoła. Strzeliły płomienie. Dwóch mężczyzn podbiegło do nich i kurtkami zaczęli gasić pożar.

- To koniec - Harper zwróciła się do strażaka. - To już koniec.

Carol ruszyła powoli w stronę ołtarza, a gdy szła między ludźmi, ci wstawali z podłogi i wyciągali do niej ręce. Odsuwane na bok ławki zgrzytały o posadzkę. Ludzie tłoczyli się i przepychali, byle tylko zbliżyć się do Carol.

Próbowali jej dotknąć, śpiewali razem z nią i patrzyli na nią z bezbrzeżnym uwielbieniem. Jeden z chłopców szedł za nią w podskokach i klaskał radośnie, jak gdyby lada chwila miał przekroczyć bramy wesołego miasteczka, które od dawna chciał odwiedzić. Carol ścisnęła dłonie i szła przed siebie jak polityk przedzierający się przez tłum, od czasu do czasu pochylając się, by ucałować czyjąś rękę, i nawet na chwilę nie przestawała śpiewać. To oczywiste, że kochała tych ludzi. Była to chora, dziwna miłość - Harper pomyślała, że niewiele różni się od uczucia, którym darzył ją Jakob - ale prawdziwa i tylko ta miłość pozostała już Carol.

Kule załomotały w drewniane drzwi i wyrwały Harper z transu. Odwróciła strażaka i na wpół zaciągnęła, na wpół zaniósła go w bezpieczne miejsce pod kamiennym łukiem przy wejściu na schody. Pociski ze świstem pruły kamień brukowy za ich plecami. Allie z

Nickiem na rękach wcisnęła się obok nich.

- Jakież pomysły? - zapytała bez śladu paniki.

- Może moglibyśmy uciec po dachu - odparł strażak. Harper wiedziała, że jeśli wejdą na dzwonnice, nie będzie odwrotu - przynajmniej dla niej. Nie zamierzała wspinać się na dach. Przerazała ją wysokość. Jeśli spadnie, połamie nogi i straci dziecko.

Nie powiedziała tego jednak na głos. Pomyślała, że może przynajmniej Allie - zwinna, wysportowana Allie - da radę zejść z dachu, ześlizgnąć się po rynnie i uciec. Przy takiej ilości dymu i hałasu może uda się jej zbiec do lasu i przetrwać najgorsze.

- Tak - rzuciła, ale zawahała się i nie ruszając się z miejsca, odwróciła, żeby spojrzeć na nawę.

Chór ocalałych śpiewał unisono rzewną pieśń. Śpiewali i lśnili. Ich oczy płonęły niebiesko niczym płomienie lamp lutowniczych. Mała dziewczynka z ogoloną głową stała na ławce, śpiewając na całe gardło. Smocza łuska na jej nagich ramionach świeciła tak jasno, że skóra wydawała się niemal przezroczysta i Harper widziała rysujące się pod nią cienie kości.

Norma pierwsza zaczęła płonąć. Stała za ołtarzem, kiwała się w przód i w tył i śpiewała. Jej szeroka, brzydka twarz była różowa i złana potem, a gdy otworzyła usta i zawołała: „Śpiewajmy z radością!”, jej usta były pełne światła.

Zaczerpnęła powietrza i złoty płomień wylał się z jej ust. Głowa kobiety odskoczyła do tyłu. Gardło miała czerwone i naprężone, jak gdyby to, co robiła, kosztowało ją wiele wysiłku. Chwilę później jej szyja poczerniała, a z nozdrzy buchnął czarny dym. Smocza łuska na wiotkich ramionach Normy przybrała barwę głębokiej czerwieni. Tył obszernej, kwiecistej sukienki stanął w niebieskich płomieniach.

Gail zakrztusiła się, zatoczyła i wpadła na chłopca, który podskakiwał radośnie. Machnęła ręką w przód i w tył, jak gdyby próbowała odgonić natrętne muchy. Dopiero po chwili Harper zauważyła, że ramię dziewczyny płonie.

- Co z nimi?! - krzyknęła Jamie Close, która dołączyła do nich pod kamiennym łukiem.

- Reakcja łańcuchowa - odparł strażak. - Zaraz wszyscy spłoną.

- *Chwała w niebiosach!* - śpiewali. Nie wszyscy, bo ci, którzy nie

płoneli, zaczęli krzyczeć.

Kiedy Carol stanęła w płomieniach, otaczał ją wianuszek wyznawców, którzy rozpaczliwie pragnęli jej dotknąć. Tymczasem ona w ciągu jednej sekundy zmieniła się w słup ognia, z głową odrzuconą w tył i rozłożonymi rękami, jak gdyby próbowała objąć niewidzialnego kochanka. Palila się, jakby ktoś oblał ją benzyną. Nie zdążyła nawet krzyknąć, wszystko stało się tak szybko.

Kule ze świstem przelatywały przez nawę główną i trafiały przypadkowych ludzi. Harper zobaczyła szczupłego, ciemnoskórego nastolatka, który uderzył się dłonią w czoło, jakby nagle uświadomił sobie, że przyszedł do szkoły bez podręczników. Kiedy opuścił rękę, zobaczyła na środku jego czoła dziurę.

Nastoletnia dziewczyna zgięła się wpół i objęła rękami; jej plecy płonęły. Tyczkowaty dzieciak, który wyglądał jak David Bowie, upadł na kolana i złożył ręce jak do modlitwy. Jego głowa stała w płomieniach - czarna zapalka w płomieniu żółtego ognia. Jakaś dziewczynka biegała tam i z powrotem, wymachując płonącymi rękami i wołając matkę. Jej kucyk przywodził na myśl utkany z płomieni błękitny szal.

- Och, John - jęknęła Harper i odwróciła głowę. - Och, John.

W odpowiedzi chwycił ją za rękę i pociągnął w zadymiony mrok wejścia na dzwonnice. Zaczęli wspinać się po schodach, z dala od nawoływań i śpiewu, ale przede wszystkim z dala od wrzasków, które zlały się w przerażający refren, ostatni akt harmonii.

Harper zastanawiała się, co czuli ludzie, którzy jedenastego września byli na schodach wież World Trade Center, kiedy wbiły się w nie samoloty; co czuli, gdy w panice pośród kłębow dymu uciekali schodami w dół. Myślała o tym tamtego dnia, w pierwszych tygodniach zarazy i pożogi, gdy mężczyźni i kobiety wyskakiwali z budynku Space Needle w Seattle. Wówczas takie widoki były na porządku dziennym - płonący wieżowiec, ludzie uciekający w popłochu przed ogniem, mający świadomość, że jedyną ucieczką jest skok. A potem cichy upadek i ostatnie chwile spokoju.

Najbardziej ze wszystkiego bała się paniki. Przerażała ją myśl, że straci nad sobą kontrolę. Ale kiedy wspinali się na wieżę, była zdeterminowana i skupiona na każdym kolejnym kroku. To dawało jej powód do zadowolenia. Mniej bała się śmierci niż tego, że przestanie być sobą i zmieni się w zwierzę prowadzone na rzeź, ogarnięte paniką i niezdolne usłyszeć własne myśli.

Razem ze strażakiem uwieszonym na jej ramieniu pokonywała kolejne stopnie, od czasu do czasu zatrzymując się, kiedy kręciło mu się w głowie albo gdy brakowało jej tchu. Byli jak para staruszków, którzy po każdym kroku przystają, żeby odsapnąć. John był zbyt słaby, by przyspieszyć kroku, a ona wciąż miała skurcze. Jej łono przypominało wielki, ciężki kamień, który zalegał na dnie brzucha.

Jamie Close była już na szczycie wieży. Minutę wcześniej przebiegła obok nich i teraz od czasu do czasu Harper słyszała nad głową szcęk broni.

Allie z Nickiem na rękach wyprzedzała ich o kilka kroków. Broda chłopca spoczywała na jej ramieniu i Harper wyraźnie widziała jego twarz. Przypominała zakrwawioną maskę z paskudną raną na głowie, ale był w niej spokój, jakby Nick drzemał. Raz otworzył oko i zerknął na nią, ale zaraz je zaniknął.

- Jesteśmy prawie na miejscu - wydyszał strażak. - Prawie na miejscu.

Tylko co zrobią, kiedy już tam dotrą? - zastanawiała się Harper. Będą czekać, aż dosięgnie ich ogień albo trafią kule? Nie odezwała się jednak. Cieszyła się bliskością Johna, jego ramieniem obejmującym ją w talii i jego głową na swoim ramieniu.

- Cieszę się, że się w tobie zakochałam, Johnie Rookwood! - wyznała i pocałowała go w szyję.

- Ja też się cieszę - odparł.

Śpiew za ich plecami nie ustawał, choć powoli tonął w morzu krzyków. Krzyków i śmiechu. Ktoś tam na dole śmiał się jak szalony.

Dym na wieżyczce pachniał palonymi szyszkami sosnowymi.

- John? - Harper przyszedł do głowy pewien pomysł. - A gdybyśmy zawrócili? Gdybyśmy spróbowali przejść przez płomień. Smocza łuska chroniłaby nas, prawda?

- Ale nie przed kulami. Poza tym Allie sama nie dałaby rady. W przeciwieństwie do nas nie wie, jak kontrolować smoczą łuskę. No i Nick jest nieprzytomny, więc nie wiem... Ale posłuchaj, jeśli chcesz spróbować, pozwól mi najpierw wejść na górę. Zobaczymy, może znajdziemy dla ciebie jakieś wyjście. Może... w całym tym zamieszaniu... - W jego oczach pojawił się błysk, jakby nagle wpadł mu do głowy pomysł.

- Nie - przerwała mu stanowczo. - Masz rację. Nie pomyślałam o Allie i Nicku. Bez nich nigdzie nie pójde.

Stali teraz na najwyższym podeście, patrząc na wprost otwarte drzwi, za którymi czaiła się czarna, wypełniona dymem noc. Strażak położył rękę na ramieniu Harper.

- Musisz myśleć o dziecku - upomniał ją.

- Nawet więcej niż jednym, panie Rookwood.

Spojrzał na nią z czułością i pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek.

- Cóż - odezwała się po chwili. - Lepiej przygotujmy się do walki. Pospieszmy się.

- Taa, lepiej się pospieszmy, siostró Willowes.

Dzwonnica była jak otwarta studnia z pomostem z desek, które z czterech stron otaczały kwadratową dziurę. To nad nią wisiał mosiężny dzwon, tu i ówdzie zaśniedziały ze starości. Za każdym razem, gdy kula odbijała się od niego rykoszetem, wydawał z siebie smętne, niskie bim-

bam. Białe kamienne tralki podtrzymywały sięgającą pasa marmurową balustradę, znad której przy każdym trafieniu unosiły się w powietrze obłoczki białawego pyłu.

Harper nie spodziewała się widoku ciała, a jednak u szczytu schodów leżał martwy chłopak z czerwoną dziurą w batystowej koszuli. Czujka, która tej nocy pełniła straż na wieżyczce. Najwyraźniej był tak pochłonięty wydarzeniami na dole, że nie zauważył sygnału na końcu drogi; przyszło mu za to zapłacić najwyższą cenę. Harper pochyliła się, żeby zbadać mu puls. Szyja chłopaka była zimna. Zostawiła go więc, pomogła Johnowi przejść nad ciałem i oboje wyszli w mrok.

Allie, z Nickiem w ramionach, siedziała na deskach przy balustradzie. Wyglądali, jakby kąpali się we krwi albo czołgali po podłodze rzeźni.

Jamie na klęczkach opierała strzelbę martwego chłopaka o kamienną balustradę. Huk broni zabrzmiał płasko jak trzask łamanej gałęzi. Dziewczyna zaklęła, zgięła lufę i sięgnęła do zniszczonego kartonowego pudełka po nabój. Chwilę później strzelba wypaliła.

Wychodząc na zewnątrz, Harper pochyliła się instynktownie. Teraz podniosła głowę, żeby się rozejrzeć. Z dzwonnicy widziała wszystko jak na dłoni - obóz Wyndham w całej swej krasie. Tuż za drzwiami kaplicy rozciągał się Park Pamięci, a nieco dalej krąg monolitów, które wyglądały jak Stonehenge. Za głazami i kamiennymi cokołami kryło się kilka osób. Jedna z nich, wymizerowany koleś w okularach w stylu Buddy'ego Holly'ego, kulił się za pocerniałym ołtarzem. Trzymał coś, co wyglądało jak uzi, a jego uśmiechnięta twarz pod czupryną kędzierzawych włosów była umazana sadzą.

Jakiś przewrotny trik powietrza zaniósł do uszu Harper jego służalczy, piskliwy głos, który zapamiętała z tamtego popołudnia, kiedy Marlboro Man i jego ludzie omal nie przyłapali jej w jej własnym domu.

- To dopiero zajebisty sprzęt! - wrzasnął Marty. Broń w jego dłoniach wypluła serię pocisków. - To pieprzone cholerstwo godne komandosów!

Na północy nie było niczego oprócz błotnistego boiska do gry w piłkę i przewróconego humvee. To tam zaparkowały dwa czarne pick-upy, które strzeżyły podwójnych drzwi do piwnicy. W kłębach dymu trudno

było powiedzieć, ilu ludzi siedziało na pakach, ale lufy karabinów błyskały w niemal regularnych odstępach czasu, jak flesze aparatów fotograficznych. Freightli-ner powoli zjechał ze zbocza, żeby dołączyć do pozostałych przy północnej ścianie kaplicy. Może Jakob miał nadzieję, że pochyłe drzwi w końcu się otworzą i niektórzy z uwięzionych tam ludzi będą próbowali uciec, a wtedy on wkroczy do akcji.

Od południa ciężko było cokolwiek zobaczyć. Między kościołem a lasem znajdował się trawnik o szerokości dwupasmowej ulicy. Harper wiedziała, że gdzieś tam jest Marlboro Man w swoim wielkim srebrnym chevrolecie intimidator, ale kiedy wyciągała szyję, widziała jedynie fragment dachu pick-upa; samochód zaparkowano zbyt blisko budynku.

W dole kłębił się czarny, gęsty dym, który sączył się spod okapu i kotłując się, ulatywał przez otwór dzwonnicy jak przez ogromny komin. W jego wnętrzu upiornym blaskiem pulsował ogień. Harper podejrzewała, że z dołu wieżyczka kościoła jest ledwie widoczna, i tylko to działało na ich korzyść.

Kłęby dymu zbijały się w wielką czarną chmurę, która płynęła na wschód za wzgórze, w kierunku wody, przesłaniając większą część nieba, a nawet gwiazdy i księżyc.

Widoczny pięć metrów niżej dach przywodził na myśl stromą, pokrytą czarnym łupkiem płytę. Harper wyobraziła sobie, jak skacze, uderza stopami w tę twardą powierzchnię, łamie nogi od stóp do bioder, ześlizguje się z dachu, pogruchotana wewnątrz spada na ziemię i...

- Pieprzyć to - mruknęła pod nosem.

Podczołgała się w stronę Allie.

- Jak moje usta? - spytała dziewczyna.

- Nieźle - odparła Harper.

- Gówno prawda, ale mnie się to podoba. Wyglądam jak punkowa. Zawsze chciałam być punkową. - Przeczesała ręką włosy Nicka. - Koniec końców starałam się postąpić właściwie, panno Willowes. Może oblałam egzamin, ale ostatecznie poszło mi całkiem nieźle.

- Egzamin z czego?

- Z podstaw człowieczeństwa - bąknęła Allie i spojrzała na nią ze

łzami w oczach. - Potrzywasz mnie za rękę? Boję się.

Harper wzięła ją za rękę i uściśnęła.

Strażak przeszedł po drewnianym podeście na południową część wieżyczki i przykucnął obok Jamie.

- Skurwiele w silverado - rzuciła dziewczyna. - Stoją zbyt blisko kaplicy. Nie mogę wziąć ich na muszkę. Gdyby odjechali, moglibyśmy zrzucić linę...

- Jaką linę? - zapytał strażak.

- Nie wiem. Może zrobilibyśmy linę z ubrań. Dotarlibyśmy do lasu, potem do drogi i ukradlibyśmy jakiś samochód. - Mówiła szybko i chaotycznie, wymieniając kolejne, mało prawdopodobne pomysły. - Znam ludzi w Rochester. Oni nas ukrywają. Ale najpierw musimy się pozbyć tych tu.

Strażak pokiwał ze zmęczeniem głową.

- Może coś wymyślę.

Próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zachwiał się niebezpiecznie. Zatrzepotał rzęsami jak zapraszająca do pocałunku młoda aktorka w musicalu z lat czterdziestych. Przez krótką chwilę nietrudno było wyobrazić sobie, jak zatacza się w tył, przelatuje przez poręcz z kutego żelaza i spada w wypełniony dymem mrok.

Na szczęście Jamie w porę chwyciła go za łokieć. Harper krzyknęła, puściła rękę Allie i ruszyła w jego stronę. Zanim do niego podeszła, upadł na jedno kolano.

Dotknęła jego policzka, czując pod palcami lepki pot.

- Czy ten dzwon bije? - zapytał niewyraźnie.

- Nie - odparła. - Nie teraz.

- Chryste. W takim razie tylko mi się wydaje. - Ucisnął palcami skronie. - Chyba zwymiotuję.

- Nie podnoś się.

- Jeśli chcemy stąd zejść, musimy odciągnąć ich spod kaplicy.

Puściła jego ręce, wstała i zaczęła śpiewać piosenkę bez słów, wkładając w to całe swoje serce. Chwilę później jej prawa ręka zmieniła się w ognisty bułat. Zobaczcie, jak smakuje łyżeczka tego, skurwiele, pomyślała.

Cisnęła błękitne ostrze w mrok, aż świsnęło, syjąc wkoło drobinami oślepiającego światła, skręciło tuż pod dachem kaplicy i spadło na

stojącego w dole chevroleta. Po chwili rozległy się wrzaski mężczyzn, kiedy ognista broń dosłownie ścięła dach silverado intimidatora.

Kule z brzękiem odbijały się od dzwonu, grzechotały o balustradę i cięły powietrze jak ołowiane osy, a Harper znów Posłała w chmurę dymu ognisty pocisk.

Jeden z pocisków niemal zupełnie przeciął linę, na której zawieszony był dzwon. Powietrze wypełnił niski, metaliczny pomruk. Ostatnie sploty pękły niczym struny gitary i dzwon spadł w wypełnioną dymem ciemność. Chwilę później usłyszeli, jak runął na podłogę kaplicy z donośnym BIM-BAM, od którego zadrzało powietrze i zadudniło im w uszach.

Nick podniósł głowę i rozejrzał się zamglonym wzrokiem. Huk dzwonu był tak potężny, że nawet głusi go usłyszeli, pomyślała Harper.

- Chryste, co znowu! - krzyknęła Jamie, patrząc na północ i przeciskając się obok strażaka, żeby podejść do balustrady.

Jakob.

Freightliner zawrócił i stanął przodem do północnej ściany kościoła. Zgrzytnęła skrzynia biegów i ciężarówka z opuszczonym pługiem ruszyła w stronę kaplicy.

Jamie Close stała ze strzelbą gotową do strzału. Chwilę później pociągnęła za spust. Biała iskra odbiła się od boku szoferki. Dziewczyna przeładowała i na ziemię spadła pusta łuska, świecąc miedzianym blaskiem jak moneta. Jamie oddała kolejny strzał. Zygzak niebieskiego światła uderzył w przednią szybę. Ciężarówka zakołysała się i skręciła nieco w lewo. Trafiony zatopiony, pomyślała Harper, ale siedzący za kółkiem Jakob wrzucił kolejny bieg, pokonał ostatnie piętnaście metrów i uderzył pługiem w bok kaplicy.

Harper wpadła na kamienną balustradę. Zupełnie jakby czyjaś ogromna, niewidzialna ręka wyrwała budynek z fundamentów i przesunęła metr, dwa na południe. Północny róg kaplicy zapadł się z udręczonym jękiem przy wtórze spadających dachówek i łamanego drewna. Pług freightlinera zniknął pod stertą kopącego gruzu. Uderzenie zatrzęsło wieżyczką. Jamie, która próbowała przeładować broń, poleciała do tyłu i uderzyła plecami w żelazną barierkę. Upuściła strzelbę i przez chwilę mlóciła rękami powietrze.

- Jamie! - wrzasnęła Allie. Próbowwała złapać dziewczynę, która ją

okaleczyła, ale z Nickiem w ramionach nie mogła wstać.

Dzwon brzęknął żałośnie, gdy ciało Jamie spadło na niego chwilę później.

Strażak rozejrzał się nieprzytomnym, oszołomionym wzrokiem. Krew kapłała mu z twarzy. Harper odgarnęła mu włosy i czoła i delikatnie otoczyła go ramionami. Czuła, że czas zakończyć walkę. Nadeszła pora, żeby wszyscy czworo - ich mała, porąbana rodzinka - przytulili się do siebie. Piątka, jeśli liczyć dziecko. Przywrą do siebie i odejdą w miłości i bliskości. Przynajmniej tyle będą mieli, zanim Jakob wycofa, kolejny raz wjedzie pługiem w kaplicę i wszyscy spadną w płomienie.

Serce leżącego w dole dzwonu wciąż jeszcze biło, ale jego złocisty dźwięk był dziwnie cichy i przeszywający. Strażak podniósł głowę i mrużąc oczy, spojrział przez kłęby dymu na południe.

Wóz strażacki - prowadzony przez Gilberta Cline'a, który wystawił rękę przez okno i potrząsał mosiężnym dzwonkiem - wyjechał z za wzgórze i z impetem wyrznął w chevroleta silverado. Zabytkowy wóz z numerem „5” na osłonie chłodnicy ważył prawie trzy tony. W zderzeniu z nim maska pick-upa złożyła się jak puszcza po piwie, silnik wpadł do kabiny kierowcy, przecinając nieszczęśnika na pół. Samochód na krótką chwilę poderwał się z ziemi - przednie koła obróciły się w powietrzu - i przewrócił się, grzebiąc pod sobą mężczyzn, którzy siedzieli na pace.

Tymczasem wóz strażacki nie przestawał spychać go aż pod drzwi kościoła. Tam zatrzymał się przy głośnym jęku hamulców pneumatycznych. Pulchna, niska kobieta z siwymi włosami zaczesanymi w ciasne warkoczyki zeskoczyła z siedzenia pasażera i podbiegła do chromowanego tylnego zderzaka.

Renee wdrapała się na tył wozu strażackiego, podniosła drewnianą drabinę i oparła ją o ścianę kościoła. Przez chwilę stała, rozglądając się w prawo i lewo, jakby coś zgubiła - może kolczyk - i próbowała to znaleźć. Pochyliła się, otworzyła skrytkę w dachu ciężarówki i spoglądając na kolekcję halliganów, poirytowana pokręciła głową.

- Masz to pod nogami! - krzyknął do niej strażak. Wszystko wskazywało na to, że wiedział, czego Renee szuka. Przytknął dłoń do ust i wrzasnął: - POD NOGAMI!

Zmrużyła oczy, zadarła głowę i otarła wierzchem dłoni spoczone, czarne od sadzy policzki. Zaraz potem spuściła wzrok, pokiwała głową i osunęła się na kolana. W okrągłym zagłębieniu na dachu pojazdu znalazła zardzewiałą żelazną korbę i powoli zaczęła nią obracać. Drewniana drabina zatrzęsła się i zadrżała, i podskakując na nierównościach, zaczęła pięć się po ścianie w kierunku dzwonnicy.

W kamiennym kręgu koleś, którego Harper знаła jako Marty'ego, wyciągał szyję, żeby zobaczyć, co takiego dzieje się za przewróconym na dach chevroletem. Kula odbiła się od kamiennej ławy tuż pod jego nogami i Marty krzyknął, zatoczył się w tył, zaplątał o własne nogi i upadł na plecy.

- Niech to szlag - wycedziła Allie. Stała wyprostowana ze strzelbą Jamie opartą na ramieniu. Złamała lufę i pusta łuska spadła na podłogę i potoczyła się w mrok.

Harper nie patrzyła w dół na wóz strażacki ani na przewróconą półciężarówkę; wpatrzona w Allie, nie widziała łysego mężczyzny w niebieskiej dżinsowej koszuli, który wyczołgał się z kabiny chevroleta. Spostrzegła go, dopiero gdy odwróciła wzrok od Allie. Wyhaftowana na plecach koszuli amerykańska flaga wydawała się najjaśniejszą rzeczą pośród dymu i mroku. Mężczyzna krwawił z rany na głowie i lekko chwiały się na nogach. Był barczysty i tyczkowaty, przez co przypominał starzejącego się biegacza, który większość czasu spędza na siłowni, żeby spowolnić proces starzenia. Miał broń: czarny pistolet.

Drabina strażacka, która podskakując na ścianie kościoła, pięła się w górę, w połowie drogi utknęła pod okapem.

Facet z bronią - Harper była pewna, że to Marlboro Man, tylko on mógł włożyć koszulę z amerykańską flagą na plecach - zaczął skradać się do drzwi wozu strażackiego od strony kierowcy.

- Renee! - krzyknęła Harper. - Uważaj, Renée! On nadchodzi! - wołała, wskazując palcem.

Renee Gilmonton stała na dachu wozu, obiema rękami trzymając drabinę, i próbowała przekręcić ją tak, żeby ominąć okap. Kiedy w końcu jej się to udało, odsunęła się i mrużąc oczy, zerknęła na wieżyczkę.

- Uważaj! Pistolet! - wrzasnęła Harper.

- Facet z bronią! Facet z bronią! - zawtórował jej strażak.

Renee przyłożyła dłoń do ucha i pokręciła głową. Przyklękła na jedno kolano i znowu zaczęła kręcić korbą. Drabina obijała się o krawędź dachu i zaczęła piąć się w stronę wieżyczki, z każdym obrotem wydłużając się o kilkanaście centymetrów.

Marlboro Man zakradł się pod szoferkę wozu strażackiego i przykucnął przy drzwiach kierowcy.

Zrzucę na niego ogniste ostrze i ocalę przyjaciół, pomyślała Harper i kolejny raz zaczęła nucić w głowie piosenkę bez słów. Smocza łuska na jej dłoni powoli rozjarzyła się światłem jak elektryczna grzałka. Ale obolała ręka nie chciała zapłonąć i kiedy Harper czekała, aż pojawi się płomień, Marlboro Man stanął na stopniu, wsunął broń przez otwarte okno i pociągnął za spust.

Renee zeszywniała, podniosła głowę, zerknęła na przód ciężarówki, położyła się na brzuchu i przywarła do dachu samochodu.

Drabina zatrzymała się cztery metry od balustrady.

Broń Allie szczęknęła. Do tej pory dziewczyna pilnowała, by sześciu uzbrojonych mężczyzn, którzy czaili się za głazami w Parku Pamięci, pozostało na swoim miejscu. Teraz zakłęła i naładowała strzelbę.

Marlboro Man przywarł do boku ciężarówki i zniknął z pola widzenia. Z miejsca, w którym stała, Harper nie była w stanie go zauważyć. Podobnie jak Renee. On jednak tam był - krok po kroku przesuwając się wzdłuż wozu do miejsca, gdzie będzie mógł się wyprostować i zastrzelić Renee Gilmonton.

Harper dopiero teraz zauważyła Nicka, który stał obok niej i patrzył w dół sennym, oszołomionym wzrokiem. Położyła mu rękę na ramieniu i odwróciła go ku sobie, tak jak prawie rok temu zrobiła z Raymondem Blym, chłopcem, który chciał wyrzeć przez okno i zobaczyć, co się dzieje na szkolnym placu zabaw. Nie chciała, żeby Nick patrzył na to, co wydarzy się za chwilę, choć sama nie była w stanie odwrócić wzroku.

Renee leżała bez ruchu na dachu ciężarówki. Tylko jej prawa ręka poruszała się po omacku. W końcu palce kobiety natrafiły na skraj skrytki, którą otworzyła, szukając korby do podnoszenia drabiny, i chwilę później zacisnęły się na trzonku siekiery strażackiej.

Marlboro Man wyskoczył jak diabeł z pudełka i rozciągnąwszy usta w okrutnym, zwierzęcym uśmiechu, podciągnął się i wycelował w

leżącą na dachu Renee. Ta jak gdyby tylko na to czekała. Opuściła siekierę na jego nadgarstek i mężczyzna, wrzeszcząc, odskoczył w tył. Jego prawa ręka została na wozie strażackim; palce wciąż zaciskały się kurczowo na rękojeści broni. Renee odsunęła ją ostrzem siekiery, byle dalej od siebie. Palce lewej ręki, którą Marlboro Man przytrzymał się krawędzi dachu, rozwarły się i zniknęły z pola widzenia.

Mężczyzna zawył z bólu i wściekłości niskim, gardłowym głosem, który zdawał się dobiegać z dna studni.

Renee przykucnęła na skraju dachu. Odwróciła głowę i spojrzała w stronę szoferki. Krzyknęła coś, ale Harper była zbyt daleko, żeby ją usłyszeć. W pewnej chwili pomyślała, że Murzynka woła Gila. Renee siedziała tak przez chwilę, która wydała się Harper wiecznością. W końcu się odwróciła i zaczęła znowu obracać korbą; teraz robiła to jednak z wyraźnym znużeniem, jakby uszło z niej życie.

Marlboro Man nie przestawał krzyczeć.

Silnik freightlinera zakaszał chrapliwie i ciężarówka zaczęła się cofać. Mury kościoła zadrżały, gdy pług wysunął się z dziury, którą wybił w ścianie, i na ziemię posypał się gruz.

Potężna ciężarówka odjechała pięćdziesiąt metrów i zatrzymała się. Pociski wystrzelone przez Jamie Close pokryły przednią szybę pajęczyną pęknięć. Widząc to, Harper pomyślała: udało jej się skrzywdzić Jakoba, coś mu odebrać. Być może niewiele brakowało, a zabiłaby go.

Allie cisnęła broń na deski i przykucnęła za balustradą.

- To koniec! - krzyknęła. - Skończyły się naboje.

Chwilę później zobaczyli szczyt drabiny, która powoli, podskakując na nierównościach, pięła się w stronę barierki. Strażak wstał, zachwiał się, chwycił ją i przytrzymał.

- Idziemy. Szybko. Ty pierwsza - rzucił, wskazując głową Harper.

- Nick... - zaczęła.

- Allie będzie musiała wziąć go na barana.

- Zrobione - odparła Allie, przesuając się w stronę brata.

Po drugiej stronie kaplicy freightliner obudził się do życia i z metalicznym zgrzytem ruszył w stronę podstawy dzwonnicy.

Harper miała lęk wysokości i na samą myśl, że musi przełożyć nogę przez balustradę, robiło jej się niedobrze. A jednak usiadła okrakiem

na kamiennym murku i postawiła bosą stopę na pierwszym szczeblu.

Obejrzała się przez ramię i dwanaście metrów niżej zobaczyła wóz strażacki tak mały, że mogła wziąć go do ręki. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że cała wieżyczka pochyła się jak kwiat i lada chwila ją zrzuci. Zacisnęła palce na kamiennej balustradzie i zamknęła oczy.

- Dasz radę, Harper - uspokoił ją strażak i pocałował w policzek.

Pokiwała głową. Chciała powiedzieć coś miłego i odważnego, ale nie była w stanie przełknąć śliny, a co dopiero mówić.

Po chwili przełożyła drugą nogę.

Prawą stopę położyła na kolejnym szczeblu, puściła kamienną balustradę i chwyciła dłońmi drabinę, która zachwiała się złowieszczo. Gdzieś przy drugim końcu budynku usłyszała silnik freightlinera i chrzęst skrzyni biegów, kiedy ciężarówka nabierała prędkości.

Pokonała pięć szczebli, kiedy zobaczyła, że strażak pomaga Allie i Nickowi przejść przez galeryjkę. Allie, krok po kroku, zaczęła gramolić się za Harper, z Nickiem przyciśniętym do pleców jak szkolny plecak.

W końcu sam John przełożył nogę nad balustradą i oparł stopę na najwyższym szczeblu, drugą stawiając na niższym. Chwycił rękami szczyt drabiny i przywarł do niej całym ciałem.

Ciężarówka uderzyła w północną ścianę kaplicy z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. W ostatniej chwili skręciła, odłupując róg budynku i zmieniając go w stertę drewna i gruzu.

Wieżyczka przechyliła się, znieruchomiała i runęła. W jednej chwili stała, a zaraz potem przestała istnieć. Zapadła się w siebie: kamienna galeryjka, tralki, dach dzwonnicy, belki, zbity z desek podest. Wszystko runęło z ogłuszającym hukiem, który Harper poczuła w piersi jak gwałtowne bicie serca. Nagle drabina straciła oparcie. John Rookwood zawisł na jej szczycie. Znad ruin uniosły się kłęby dymu, przesłaniając wszystko chmurą sypiącego iskrami mroku.

Podmuch pachnącego morzem, zimnego wiatru na chwilę rozwiął dym, jednak nigdzie nie było śladu strażaka.

Harper otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale wówczas go dostrzegła: zdążył już pokonać dziesięć szczebli i każdy kolejny krok przybliżał go do ziemi. Pozbawiona oparcia drabina kołysała się i drżała. Allie posuwała się tak szybko, że mało brakowało, a nadepnęłaby Harper na

palce.

Harper mozolnie schodziła w dół. Nieco niżej drabina wciąż opierała się o fragment dachu kościoła. Południowa część budynku pozostała nietknięta. Harper nie miała pojęcia, że stanęła na dachu wozu, dopóki nie poczuła pod bosymi stopami chłodnego metalu. Rozejrzała się za Renee, nigdzie jej jednak nie widziała.

Ogarnęła ją słabość i chłód, który zdawał się przenikać do szpiku kości. Dreszcze wstrząsnęły całym jej ciałem. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to to, że jest w szoku. Dopiero po chwili pomyślała, że może chodzić o coś więcej. John mówił, że zabawy ogniem pozbawiają energii i tlenu, że po wszystkim człowiek czuje się oszołomiony i osłabiony i jeśli nie odpocznie, może wpaść w kłopoty.

Zataczając się, przeszła na tył ciężarówki z przymocowaną do samochodu krótką, rdzewiejącą drabinką. Zeszła na ziemię i poczuła, że nogi się pod nią ugięły. Klapnęła ciężko na wilgotną trawę. Nad jej głową leniwie wirowały iskry i smużki dymu, jak karuzela, która zwalnia, żeby lada chwila się zatrzymać.

Spróbowała nie myśleć o słabości, chwyciła się zderzaka i dźwignęła się z ziemi.

- Ja pierdołę! Moja ręka! Moja RĘKA!

Wychyliła się zza samochodu i ruszyła w stronę, z której dobiegał głos. Marlboro Man leżał na plecach, wbijając pięty w błotnistą ziemię. Wyglądał, jak gdyby próbował tyłem odczołgać się spod kościoła. Lewą ręką ścisnął prawy nadgarstek. Jego prawa dłoń zniknęła, został tylko krwawiący kikut z kawałkiem złamanej, różowej kości.

Miał beczkowatą pierś i grubą szyję. Żyłki wystąpiły mu na skroniach, a obnażone zęby były czerwone od krwi.

Przestąpiła nad nim, żeby dostać się do Renee, która stała w otwartych drzwiach od strony kierowcy, trzymając w ramionach Gilberta Cline'a. Z rany postrzałowej na szyi mężczyzny wciąż jeszcze wypływała cieniutka strużka krwi. Całe siedzenie było nią przesiąknięte.

Harper nieobecny wzrokiem spojrzała na leżącą na desce rozdzielczej odrąbaną dłoń, której palce wciąż zaciskały się na broni. Renee przezornie umieściła glocka tam, gdzie Marlboro Man nie będzie mógł go osiągnąć.

- Prawie skończyliśmy czytać *Wodnikowe wzgórze* - odezwała się Renee. - Gil mówił, że do głowy by mu nie przyszło, że tak bardzo spodoba mu się opowieść o zwierzętach. Powiedziałam mu, że życie bywa dziwne i że nie spodziewałam się, że pokocham mężczyznę, który kradł samochody. - Nie płakała, mówiła jasno i wyraźnie. - Uruchomił wóz, stykając kable. Nie mogliśmy znaleźć kluczyków. Powiedział, że jest kolejnym dowodem na to, że przestępcy wracają do starych przyzwyczajzeń, jak tylko wyjdą na wolność, i dodał, że jest mu przykro, że musi przyczyniać się do tych niechlubnych statystyk. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że żartuje. Miał poczucie humoru, chociaż nawet się nie uśmiechał, nie mówiąc o tym, żeby śmiać się z własnych dowcipów. W życiu byś nie zgadła, jaki to zabawny człowiek. Boże, Harper, nie chcę próbować żyć bez niego. Czuję się tak, jakbym całe życie nie znała smaku jedzenia. A wtedy pojawił się Gil i nagle wszystko nabrało smaku. Wszystko było tak rozkosznie pyszne. I wtedy ten straszny człowiek go zastrzelił, a ja znów będę musiała przyzwyczać się do tego, że wszystko, co jem, jest pozbawione smaku. Nie wiem, czy dam radę.

Harper zastanawiała się, czy istnieją słowa, które należy powiedzieć w tej sytuacji. Może tak, ale była zbyt roztrzęsiona i skołowana, by próbować je znaleźć. Zamiast tego otoczyła Renee ramieniem i niezdarnie pocałowała ją w ucho. Murzynka zamknęła oczy, spuściła głowę i zaczęła bezgłośnie łkać.

Marlboro Man wrzasnął.

Harper odwróciła się i zobaczyła stojącą nad nim Allie. Dziewczyna trzymała Nicka na rękach. Zatrzymała się, pomyślała Harper, żeby kopnąć go w żebra.

- Ty pieprzona suko, spłoniesz, a ja spuszczę się na twoje pieprzone zwęglone cycki - wycharczał.

- Jak chcesz się brandzlować, grubasie, będziesz musiał nauczyć się trzepać gruchę lewą ręką - odgryzła się Allie.

- On nie powinien żyć - odezwała się Renee, ocierając policzki. - Nie po tym, jak zginęło tylu ludzi. To niesprawiedliwe.

- Chcesz, żebym go zabił? - zapytał strażak.

Dopiero teraz Harper zauważyła, że stoi obok niej. Chwiał się i wyglądał tak źle, jak ona się czuła, albo jeszcze gorzej. Na jego

zmęczonej, bladej twarzy perlił się pot, ale oczy strażaka, czarne jak pióra kruka, emanowały spokojem.

Położył dłoń na siekierze strażackiej opartej o bok samochodu. Renee zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

- Nie. Chyba nie. Chyba jestem słaba i głupia, skoro nie chcę wyrównać rachunków, póki jeszcze mogę.

- To absolutnie nie świadczy o twojej słabości - odparł strażak. Spojrzał na Allie, która do nich dołączyła. - Będziesz musiała prowadzić, Allie. I będziesz musiała znaleźć w pobliżu miejsce, w którym będziecie mogli się schronić. Dołączę do was później.

- O czym ty mówisz? - spytała Harper z nutą hysterii w głosie. - Jedziesz z nami.

- Nie teraz. Wkrótce do was dołączę.

- To szaleństwo, John. Nie możesz zostać sam. Ledwie trzymasz się na nogach.

Zbył tę uwagę machnięciem ręki i pokręcił głową.

- Nie widzę już podwójnie. To chyba znak, że jest mi lepiej. - Na widok miny Harper dodał pospiesznie: - Nie zostawiam was. Żadnego z was. Przysięgam, że za dzień, najpóźniej dwa znowu będziemy razem.

- Jak nas znajdziesz? - zapytała.

- Nick pośle po mnie. - Popatrzył ponad ramieniem Allie na opuchniętą, brudną twarz chłopca.

Chwilę później poruszył rękami. Nick zamrugał powoli i Harper miała wrażenie, że skinął głową. Pomyślała, że John powiedział coś o ptakach.

- Musimy zabrać Gilberta - oświadczyła Renee. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu. Nie zostawię go tu.

- Tak - rzuciła Harper. - Oczywiście.

Renee pokiwała głową, wspięła się na stopień i delikatnie przesunęła ciało Gilberta, robiąc miejsce za kierownicą.

Strażak odwrócił się i sprężystym krokiem ruszył przez wysoką trawę.

- Ty! - ryknął Marlboro Man. - Wiem, kim jesteś. Już nie żyjesz. Mój człowiek, Jakob, rozsmaruje twój pedalski, angielski tyłek na asfalcie. Pomaluje tobą całą autostradą. Jakob uwielbia zabijać palniki, mówi, że to pierwsza rzecz w życiu, którą robi jak należy. Ale przede

wszystkim czeka, aż będzie mógł zająć się tobą. I zrobi to na jej oczach.

- Jakob uwielbia wykańczać palniki, tak? - Strażak podniósł prawą rękę i kiedy z palca wskazującego niczym jedwabna wstążka spłynął strumień zielonego ognia, patrzył na niego sennym, zamyślonym wzrokiem, w końcu go zdmuchnął, a czubek palca pozostał szary od popiołu.

Strażak pochylił się i robiąc znak krzyża, rozsmarował popiół na czole Marlboro Mana. Ten się wzdygnął.

- Cóż - rzucił strażak. - W takim razie lepiej wstawaj i jak najszybciej zabieraj się stąd. Bo teraz, przyjacielu, jesteś jednym z nas. Ten popiół jest pełen trucizny. Może jeśli ci się poszczęści, znajdziesz zainfekowanych, którzy udzielą ci schronienia i zaopiekują się tobą, jak ludzie w tym obozie zaopiekowali się nami. Może, choć szczerze w to wątpię. Myślę, że z chwilą, gdy się odezwiesz, żeby poprosić ich o pomoc, większość ludzi zatrzaśnie ci drzwi przed nosem. Masz dość charakterystyczny głos.

Marlboro Man wbił pięty w ziemię i odsunął się od strażaka, pokręcił wściekle głową i wrzasnął: - Nie! Nie, nie, nie, nie możesz! Nie możesz! Posłuchaj mnie! Posłuchaj!

- Prawdę mówiąc, dość się już nasłuchałem - powiedział ze spokojem strażak. - Gorsze od słuchania w radiu takich kanałii jak ty może być tylko spotkanie ich twarzą w twarz. Niestety, w prawdziwym świecie nie można tak po prostu zmienić stacji.

Po tych słowach kopnął go - delikatnie, jakby dla zabawy -w szczękę. Głowa Marlboro Mana odskoczyła w tył, zęby ze szczęką zacisnęły się na czubku języka, a jego wrzask przeszedł w przyprawiający o gęsią skórkę, ohydny lament.

Strażak ruszył chwiejnym krokiem; poły jego kurtki łopotały na wietrze.

- Jeśli się nie pojawisz do jutra wieczorem, zacznę cię szukać! - zawołała Harper.

Obrócił się przez ramię i posłał jej krzywy uśmiech.

- A już myślałem, że mi się upiekło - mruknął. - Nie martw się. Niebawem do was dołączę.

- Chodźmy, panno Willowes - ponagliła ją Allie. Siedziała za kierownicą wozu strażackiego z ręką na drzwiach i wychylała się, żeby

na nią spojrzeć. - Musimy jechać. Nadal są tu uzbrojeni ludzie. No i ten pług.

Harper kiwnęła głową i ostatni raz obejrzała się na Johna, ale strażaka już nie było. Pochłonał go dym.

Wóz strażacki niemal obojętnie uderzył we wrak chevroleta intimidatora, spychając go w stronę kamiennego kręgu. Chwilę później rozległ się metaliczny huk, gdy półciężarówka rąbnęła w jeden z monolitów. Marty Casselman podchodził do przewróconego vana, kiedy prowadzony przez Allie wóz strażacki wjechał w chevroleta. W ostatniej chwili uskoczył w bok, ale uzi, które trzymał w dłoni, wypaliło z terkotem, odstrzelując mu trzy palce u nogi.

Freightliner, cofając, oddalał się od na wpół zapadniętego ogniska, które do niedawna było kaplicą. Kierowca zobaczył wóz strażacki jadący w górę zbocza, ale zanim zawrócił, jego żona, Renee Gilmonton i towarzysząca im dwójka dzieci dawno już odjechali.

Allie zatrzymała wóz w miejscu, gdzie droga gruntowa łączyła się z Little Harbor Road.

- Dokąd teraz? - zapytała.

Harper wyjrzała przez okno w stronę rdzewiejącego wraku autobusu. Reflektory świeciły w ciemności. Chudy, na oko piętnastoletni dzieciak z ogoloną głową - Harper nie potrafiła powiedzieć, czy to chłopak, czy dziewczyna - siedział pochylony nad kierownicą. Z tyłu jego głowy sterczała maczeta.

Nick, który siedział na kolanach Harper, ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. Cuchnął spalonymi włosami i wyglądał, jakby ktoś oblał go czerwoną oranżadą Kool-Aid - jego twarz była lepka i czerwona od krwi - ale wzrok miał czujny. Nerwowo poruszył rękami.

- Nick mówi, że zna miejsce, do którego możemy pojechać - powiedziała Harper i mrużąc oczy, sama zaczęła gestykulować.

„Co to za miejsce?” - zapytała.

„Zaufaj mi - odparł w języku migowym. - Jest bezpieczne. Tam nikt nas nie znajdzie. To tam ukrywam wszystko, co ukradłem”.

Spojrzał na nią z powagą smutnymi, wilgotnymi od łez oczami.

„To ja jestem złodziejem”.

Księga dziewiąta

Silnik

Księga dziewiąta

Silnik

1

Kilka minut po północy - po tym, jak marzec przeszedł w kwiecień - wóz strażacki jechał Little Harbor Road aż do miejsca, gdzie kończyła się przy Sagamore Avenue. Nick pokazał Allie na migi, żeby skręciła w prawo, i jakiś kilometr dalej dał jej znak, by się zatrzymała.

Wjechała na dróżkę prowadzącą na cmentarz przy South Street, który pamiętał amerykańską wojnę o niepodległość i ciągnął się niemal przez kilometr. Zatrzymała wóz przed czarną bramą z kutego żelaza, oplecioną łańcuchem i zamkniętą na kłódkę. Nick otworzył drzwi od strony pasażera i zeskoczył z kolan Harper.

Jedną ręką chwycił łańcuch i pochylił głowę. Metal stopił się i przeciekł mu między palcami na ziemię. Kiedy łańcuch spadł, chłopiec pchnięciem otworzył skrzydła bramy. Allie wjechała na cmentarz i zatrzymała wóz. Tymczasem Nick związał łańcuch w luźny węzeł, ścisnął go w dłoni, a jego oczy rozbłyły jak rozżarzone węgle. Gdy cofnął dłoń, ogniwa łańcucha znów były połączone.

Cmentarz przy South Street był niczym miasto, w którym większość budowli znajdowała się pod ziemią. Nick prowadził je ulicami i alejkami, krętymi zaułkami i wyludnionymi placami. W końcu dotarli do drogi, która biegła wzdłuż tylnych

murów nekropolii. Tu, pośród mokrej trawy i zarośli, znajdował się drugi cmentarz, znacznie skromniejszy: dziesiątki samochodów w różnym stadium zniszczenia, brudne, spalone, stojące na samych felgach. Niektóre dosłownie tonęły w chwastach -rdzewiejące wysepki na morzu trującego sumaka.

W jednym końcu cmentarzyska nieopłakiwanych samochodów stał

przysadzisty, paskudny, betonowy budynek z blaszanym dachem. Pod okapem niczym czarne oczodoły ziały pustką zasnuwane pajęczynami okna. Wejścia strzegły garażowe drzwi z blachy falistej. Kanciapa pracowników cmentarza, pomyślała Harper, z czasów, kiedy ktoś jeszcze opiekował się nekropolią. Rosnąca przed schodami, wysoka do kolan trawa sugerowała, że minęło sporo czasu, odkąd ktoś tu bywał.

Za cmentarzyskiem wraków w piaszczystej ziemi ziała dziura wypełniona rupieciami i przykryta niedbale kilkoma płachtami brązowej plastikowej plandeki. Allie zaparkowała między nią i szkieletem spalonego pontiaca firebirda. Przez chwilę grzebała pod kierownicą, aż w końcu znalazła kable i je rozłączyła. Silnik wozu strażackiego wydał stłumiony warkot, perkotał jeszcze przez chwilę, po czym zgasł.

Siedzieli w całkowitej ciszy. Za potężnymi dębami, które rosły na tyłach cmentarza, Harper widziała płytką zatoczką, kamienistą plażę i stojące z dala od wody ciemne budynki. Zapraszamy na cmentarz przy South Street, pomyślała. Piękne widoki na plażę. Spokojna okolica.

- To dobra kryjówka, dopóki nie wzejdzie słońce. Później samochód będzie widoczny z góry - zauważyła Renee.

Harper zerknęła na drzwi do budynku i zastanawiała się, czy w środku jest na tyle miejsca, żeby ukryć w nim zabytkowy wóz strażacki. Nick kolejny raz zeskoczył jej z kolan, otworzył drzwi samochodu i zniknął w oparach mgły.

- I raczej niedaleko stąd do obozu Wyndham - ciągnęła Murzynka obojętnym głosem. Siedziała na lewo od Harper, trzymając w ramionach ciało Gilberta. Obejmowała go w pasie, a głowa mężczyzny kołysała się na jej ramieniu. - W lesie jest ścieżka. Na strzelnicę łuczniczą jest stąd jakieś piętnaście minut. Byłam tam kilka razy ubiegłego lata.

- Ale drogą to prawie sześć kilometrów - odparła Allie. - A oni myślą, że będziemy jechali samochodem. Nie. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zaparkujemy wóz... Co on robi? - Rozpięła pasy i wyszła z wozu.

Nick wszedł do piaszczystej dziury. Zerwał plandekę, odsłaniając stertę wyschniętych kwiatów, poczerniałych wieńców i pokrytych pleśnią pluszowych misiów. Jak widać, nawet ból po stracie najbliższych ma datę ważności. Allie podbiegła do brata, chwyciła

drugi koniec płachty i wspólnymi siłami zaciągnęli ją do wozu strażackiego. Potrzeba było kilku kawałków plandeki, żeby go całkowicie przykryć.

Harper wysiadała, położyła dłonie na krzyżu i przeciągnęła się. Była obolała, jakby dochodziła do siebie po ciężkiej grypie; bolał ją każdy mięsień, każdy staw.

Odwróciła się w stronę wozu i siedzącej w nim Renee.

- Przykryjemy go i wejdziemy do środka. - Kiedy Renee nie odpowiedziała, Harper dodała: - Myślę, że powinnaś wysiąść.

Murzynka westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Czy Allie pomoże mi przenieść Gila?

Allie, która razem z Nickiem właśnie rzuciła na ziemię kolejną plastikową płachtę, zeszywniała i posłała Harper pełne niepokoju spojrzenie. Ta prawie niezauważalnie skinęła głową.

- Oczywiście, pani Gilmonton - odparła Allie niefrasobliwym tonem, zupełnie niepasującym do przerażenia na jej bladej twarzy.

Wyciągnięcie bezwładnego ciała Gilberta Cline'a z wozu strażackiego okazało się nie lada wyzwaniem. Renee chwyciła go pod pachy i dysząc, centymetr po centymetrze przesuwiała go w stronę drzwi pasażera. Allie trzymała za nogi i wspólnymi siłami próbowały go wyciągnąć. W pewnym momencie Murzynka uderzyła się w głowę, straciła oparcie i zwłoki wyslizgnęły jej się z rąk. Głowa Gilberta uderzyła o schodek, na co Renee krzyknęła z przerażenia i omal nie wypadła z kabiny.

- Nie! - zajęczała. - Nie, nie, nie, Gilbercie. Jestem taka słaba. Taka beznadziejna.

- Ćśśś - uspokoiła ją Harper. Podeszła do ciała Gilberta i wzięła je pod pachy.

- Nie możesz - zaprotestowała Renee. - Nie, Harper. Jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży.

- Nic mi nie będzie - zapewniła ją Harper, ale prostując się, poczuła rwący ból w krzyżu.

Niosły ciało wśród chaszczy i wysokich mokrych traw, których żdźbła głaskały Gilberta po plecach. Głowa mężczyzny kołysała się na boki. Na jego twarzy malował się spokój, a jasne, niebieskie oczy wydawały się obserwować każdy ruch Harper.

Dotarłszy do rogu budynku, położyły ciało na ziemi. Harper się przeciągnęła, Allie obeszła barak, szukając wejścia. Drzwi były zamknięte, a klucza nie było ani pod wycieraczką, ani pod stojącymi na schodach ceramicznymi doniczkami (w których rosły bujne chwasty). Nick jednak nie zamierzał wchodzić drzwiami. Skupiony chodził wzdłuż ściany i spoglądał w górę. W końcu zatrzymał się i wskazał jedno z okien. Znajdowało się prawie dwa metry nad jego głową, tak blisko okapu, że trudno było uwierzyć, że wpadało przez nie jakiegokolwiek światło. Był to podłużny, wąski otwór z brakującym trójkątnym kawałkiem szyby. Dorosły nie przełożyłby przez niego ręki, ale drobna dłoń dziecka zmieściłaby się w szczelinie.

Nick pokazał Allie, żeby się pochyliła, tak by mógł wejść na jej barki. Nawet gdy się wyprostowała, z trudem dosięgał okienka. Musiał się naprężyć, żeby przełożyć rękę przez rozbitą szybę. W końcu pchnięciem otworzył okno, chwycił się parapetu, podciągnął i zniknął w ciemności.

Pod ścianą musiało coś stać - może jakieś regały - bo Harper nie słyszała, jak zeskakiwał. Poruszał się bezszelestnie.

- Ciekawe, kto pomógł mu ostatnim razem - odezwała się. Czując na sobie pytające spojrzenie Allie, wskazała głową okienko. - Wygląda na to, że robił to już wcześniej, a jest za niski, żeby samemu dosięgnąć okna.

Allie zmarszczyła brwi.

Chwilę później drzwi otworzyły się ze szczękiem i Nick skinieniem głowy zaprosił je do środka. Jego dom był ich domem.

O świcie wóz strażacki był całkowicie przykryty dwoma płachtami z przodu i kolejną z tyłu. Harper miała nadzieję, że uda im się zaparkować go w budynku, ale okazało się, że w środku jest już kosiarka firmy John Deere i minikoparka. Na wbitych w ścianę hakach wisiała pokryta pajęczynami kolekcja grabi i łopat. Pod drugą ścianą stał stół do pracy. To na nim położyły ciało Gilberta i przykryły je plandeką.

Przez okna na tyłach garażu widać było zagracone biuro: dwa biurka, tablicę korkową na ścianie, pusty automat z wodą i kanapę w zielonkawym kolorze smarków. To tam spali. Harper zajęła kanapę. Allie i Nick spali na podłodze, tuląc się do siebie, przykryci szarym kocem, który dziewczyna znalazła w kabinie wozu strażackiego. Renee nie dołączyła do nich. Siedziała na taborecie przy stole, trzymając Gilberta za rękę. Czasami coś do niego mówiła. Czasami śmiała się, jak gdyby powiedział coś błyskotliwego. Często głaskała go kciukiem po kłykciach albo tuliła do policzka jego zimną dłoń.

Nick powiedział Harper, że to on był złodziejem, i obiecał, że zabierze ją do miejsca, w którym trzymał swoje łupy. Nie widziała tu jednak *Podręcznej mamy* ani innych drobiazgów, które skradziono mieszkańcom obozu. Zakładała, że we właściwym czasie chłopiec wszystko jej wytłumaczy.

Skuliła się pod czarną wiatrówką. Kurtka miała wydrukowany na plecach wizerunek śmierci, zaciśniętą na kosie szkieletową rękę... i drugą, która trzymała w palcach koronkowy stanik. GRABARZE LOKAL 13 - ZEPSUCI DO SZPIKU KOŚCI, głosił napis na plecach. Wiatrówka pachniała kawą i mentolem, co skojarzyło się Harper z jej ojcem, który smarował obolałą szyję maścią Ben Gay. Zasnęła zalana łzami, myśląc o ojcu, który być może już nie żył i którego pewnie nigdy więcej nie zobaczy. Płakała jednak cicho, by nikogo nie zbudzić.

Kiedy się obudziła, dzieci nadal spały. Czy Allie wciąż była dzieckiem? Patrząc na jej gładkie policzki i długie rzęsy, Harper chciała

w to wierzyć. Ale nawet we śnie Allie bardziej przypominała młodą kobietę, wycieńczoną zmartwieniami i nadmiarem obowiązków, zbyt zajęta, by myśleć o rzeczach, które sprawiają dzieciom frajdę.

Harper zajrzała przez okno do garażu i zobaczyła, że Renee weszła na stół ze sklejki i zasnęła obok Gila z jedną pulchną ręką na jego piersi. Za wąskimi okienkami pod okapem czaił się mrok. Harper przespała cały dzień i przespałaby kolejną noc, gdyby nie to, że była bardzo głodna. Wkrótce będą zmuszeni poszukać czegoś do jedzenia.

W biurze był laminatowy blat ze zlewem, kuchenką mikrofalową, ekspresem do kawy i stary radiomagnetofon z kieszenią na kasety, podłączony do kontaktu w ścianie, tyle że prądu nie było już od dawna. W pomieszczeniu była też lodówka, ale Harper nie zaglądała do środka, bojąc się zapachu tego, co mogłaby tam znaleźć. Odwróciła radio i znalazła przegródkę na sześć baterii R20. W jednej z szuflad znalazła ich całą paczkę.

Wzięła radiomagnetofon i przeszła z nim do garażu, w którym panował chłód i cisza. Zatrzymała się na chwilę przy stole, obok Renee i Gila. Plandeka, którą byli przykryci, zsunęła się i Harper zobaczyła, że Renee leży z ręką na jego piersi i policzkiem na ramieniu. Na piersi Gila wyblakłe niebieskie litery tworzyły ozdobny, niemal gotycki napis w dwóch linijkach:

**Nie sposób przejść przez życie bez zaufania;
to tak, jakby się zamknąć w najgorszej
ze wszystkich cel: w sobie samym.
– Graham Greene**

Przykryła ich plandeką, wygładziła ją i odeszła, zostawiając ich samych.

Na zewnątrz usiadła na betonowym schodku, zaskoczona wyjątkowo ciepłą nocą i cykaniem świerszczy. Zagrzebała stopy w wilgotnym, gliniastym piasku. Kiedy spojrzała w niebo, zobaczyła tyle gwiazd, że zakreśliło jej się w głowie. Niesamowite, że nawet w takiej sytuacji kochała świat. Obudowa radia lśniła zielonkawym światłem. Cóż mogło być lepszego od ciepłej wiosennej nocy, zakopanych w piasku bosych stóp, zapachu puszczejących pączki drzew i muzyki z radia? Do

pełni szczęścia brakowało tylko zimnego piwa.

Przeszukała stacje FM z nadzieją, że usłyszy Marthę Quinn, i ze świadomością, że tak się nie stanie. Pośród białego szumu znalazła stację ze starą muzyką gospel, ale po kilku utworach przestała nadawać. Chwilę później usłyszała młodego mężczyznę - a może to był dzieciak? Miał piskliwy głos jak chłopcy przechodzący mutację - zdającego raport z wiosennego treningu Red Soxów w Fort Myers. Słuchała go przez chwilę, wstrząśnięta myślą, że gdzieś na świecie ludzie wciąż grają w baseball.

W połowie pierwszej rundy zaczęła jednak podejrzewać, że dzieciak wszystko zmyśla. Po dwudziestu pięciu latach przerwy Bill Buckner znów grał na pierwszej bazie i każda piłka przelatowała mu między nogami. Uderzającym był Vin Diesel, który uderzał piłkę do łącznika, Kermita deFrocka. Kiedy DeFrock złapał piłkę, siła uderzenia wyrwała mu rękę ze stawu. Soxi grali przeciwko drużynie Heretyków, złożonej głównie z Muppetów, potworów i szaleńców, którzy stawali w ogniu i umierali na boisku za każdym razem, gdy popełnili błąd. Harper, uśmiechając się, wysłuchiwała relacji z kolejnej rundy. Kiedy Soxi wygrywali trzy i pół do jednego, zmieniła stację.

Nie miała pojęcia, jakim cudem zdobyli pół punktu. Sądząc po głosie, dzieciak, który komentował mecz, miał około jedenastu lat i świetnie się bawił jako komentator.

Na końcu skali natrafiła na chłopięcy chór śpiewający *Przybądźcie wszyscy wierni* i uświadomiła sobie, że płacze. Nie chciała, żeby którykolwiek z nich umarł. Żaden, bez względu na to, jak trudno było z nimi żyć.

Kiedy pieśń dobiegła końca, usłyszała kobiecy głos prezentujący wiadomości. Prezenterka twierdziła, że chodzą słuchy, iż J.K. Rowling, autorka bezbożnego *Harry 'ego Pottera*, została rozstrzelana przez pluton egzekucyjny w Edynburgu. Jej egzekucja była transmitowana w sieci. Pisarka, której cała skóra była pokryta diabelskim pismem, wykorzystywała swoje pieniądze i wpływy, żeby chronić i przewozić zainfekowanych. Na pytanie, czy chce prosić o wybaczenie za swe liczne grzechy- zwodzenie dzieci, ukrywanie zainfekowanych - odparła, że nie ma zamiaru za nic przeproszać. Spikerka uznała za błogosławieństwo, że autorka będzie po wsze czasy smażyła się w

piekle. Chwała Jezusowi!

W lokalnych wiadomościach Gwardia Narodowa wspierana przez Palaczy z Wybrzeża - ochotniczą milicję - znalazła sześciuset zainfekowanych grzeszników, którzy ukrywali się na terenie obozu Wyndham. Doszło do krótkiej wymiany ognia, która skończyła się tym, że zarażeni spłonęli w kościele przekształconym w uzbrojoną i zabezpieczoną twierdzę. Alleluja!

Nieco dalej na północ, na południu stanu Maine, wybuchły pożary, Pan jednak okazał się miłosierny i ogień strawił zaledwie pas o szerokości trzydziestu kilometrów. Żołnierze Chrystusa z New Hampshire obiecali wysłać w ciągu tygodnia ponad setkę ludzi i tuzin wozów strażackich. Kapral Ian Judaskiller był w stałym kontakcie ze służbami leśnymi stanu Maine i był gotów pomóc każdemu, kto słyszał i akceptował prawdę o jego boskim objawieniu. *Chwalmy Pana!*

Chłopięcy chór wrócił, tym razem jednak śpiewali coś po łacinie.

Kiedy Harper podniosła wzrok, zobaczyła Nicka, który przycupnął na drugim końcu schodów, przyciskając kolana do piersi.

„Piękna noc - powiedziała, poruszając rękami. - Ciepła. Prawie jak latem”.

Chłopiec pokiwał głową, niemal dotykając brodą kolan.

„Trzeba zjeść - ciągnęła, wiedząc, że nie do końca jej to wychodzi. - Znajdę jeść. Przyniosę. Nie martw się, jak ja nie wrócić szybko”.

Nick pokręcił głową.

„Wiem, gdzie jest jedzenie - odparł, gestykulując. - Chodź”.

Wstał i poprowadził ją w głąb cmentarza.

3

Przez jakiś czas szli drogą wzdłuż tylnego muru nekropolii. W końcu Nick skręcił między nagrobki w wysoką trawę. Przystanął przy starej, poszarzałej płycie nagrobnej z wyrytym na niej nazwiskiem McDaniels. Przykucnął i dotknął krawędzi kamienia. Harper zobaczyła namalowaną czerwoną farbą kreskę.

Chłopiec odwrócił się i szedł dalej, a ona za nim. Przy płycie z niebieskiego marmuru upamiętniającej życie niejakiego Ernesta Grapeseeda Nick pochylił się, wskazał kolejną czerwoną kreskę i spojrzał na Harper wyczekująco.

„Lakier do paznokci” - pokazał.

Wtedy Harper przypomniała sobie; jedna z pierwszych rzeczy, które zginęły: buteleczka czerwonego lakieru do paznokci sióstr Neighbors. Obie były przekonane, że przywłaszczyła go sobie ta druga, i zrobiła się z tego niezła awantura.

Szli dalej wydeptaną, zieloną ścieżką. Cały cmentarz porastała wysoka, soczyście zielona trawa. Harper pomyślała, że do czerwca jedynie najwyższe nagrobki będą widoczne ponad falującym morzem wszechobecnej zieleni. Podobała jej się ta myśl. Była zdania, że polne kwiaty i kępki piaskownicy zwyczajnej są ładniejsze niż równo przycięte trawniki.

Podeszli do krypty, której białe kamienne ściany ginęły wśród plątaniny bluszczu. Na drzwiach, nad nazwiskiem O'Brian, odcisnięto coś na kształt steru. Między uchylonymi drzwiami tkwił kawałek skały z namalowaną na nim czerwoną kreską.

Ciężkie drzwi ze zgrzytem otworzyły się do środka, gdy Nick naparł na nie ramieniem.

W grobowcu panował mrok i Harper zaczęła żałować, że nie wzięła latarki - znalazła jedną w garażu - ale Nick podszedł pośpiesznie do jednego z sarkofagów stojących pod ścianą. Na czubku jego palca zapłonęła wstążka błękitnozielonego ognia. Chłopiec zapalił nim świece - większość z nich była niemal zupełnie wypalona - i potrząsnął

ręką, żeby zgasić płomień.

Na sarkofagu leżała płócienna torba Harper. Z uchwytu zwisał złoty medalion Allie. Harper poczuła w brzuchu przyjemne łaskotanie, gdy zobaczyła *Podręczną mamę*. Zupełnie jakby wpadła na starego znajomego, którego nie widziała od lat - odkąd skończyli liceum - i odkryła, że wygląda tak dobrze, jak go zapamiętała.

Na wieku kamiennej trumny stał ogromny kubek na herbatę wielkości miski. Własność Emily Waterman. Do ścianek naczynia przywarły kawałki zaschniętego mięsa. Pod ścianą, jedna na drugiej, stały trzy puszkami mielonki i trzy puszkami skondensowanego mleka.

Chłopiec usiadł na sarkofagu między kikutami świec. Harper przycupnęła naprzeciw niego, pochyliła głowę i czekała.

„Próbowałem złapać kota - zaczął Nick. - Dużego, pręgowanego kota podobnego do tygrysa. Kiedy go głaskałem, czułem, że mruczy jak mały silnik. Nie słyszałem tego, ale czułem. Nie ma niczego przyjemniejszego. Kiedy próbowałem go przytrzymać, za każdym razem uciekał. Raz schwytałem go w pudełko i prawie zaniósłem do obozu, ale uciekł przez dno”.

Harper pokiwała głową, żeby pokazać, że na razie wszystko rozumie.

„Michael mówił, że pomoże mi go złapać. To miała być nasza tajemnica. Powiedział, że schwytałyśmy go razem, zaniesiemy do obozu i będę mógł go zatrzymać. Kazał mi ukraść mielonkę i mleko. Dawał mi rzeczy, które sam wyniósł z obozu: napoje gazowane i batoniki. Pytałem, czy nie będziemy mieć przez to kłopotów, ale obiecał, że nikt się nie dowie. Wiedziałem, że źle robimy. I czasami było mi głupio”.

„Ale było ci też miło, bo Michael zwracał na ciebie uwagę” odparła Harper, z rozmysłem poruszając rękami, by mieć pewność, że mówi dokładnie to, co chce.

Nick przytaknął tak żarliwie, że poczuła ukłucie w sercu.

„Większość dzieciaków praktycznie mnie nie zauważała. Nie znały języka migowego, a ja nie potrafię czytać z ruchu warg. Siedziałem z nimi w stołówce, ale zwykle nie miałem pojęcia, o czym rozmawiają. Kiedy się śmiali, uśmiechałem się, jakbym wiedział, co ich rozbawiło, chociaż wcale nie wiedziałem. Równie dobrze mogli śmiać się ze mnie”.

Spuścił głowę i spojrzał na swoje ręce. Poruszał nimi przez chwilę i

Harper pomyślała ze smutkiem, że chłopiec rozmawia z samym sobą, a te subtelne ruchy palców są dla niego jak szept. W końcu zadarł brodę, spojrzał jej w oczy i podjął na nowo.

„Mike nie znał języka migowego, ale pisaliśmy do siebie na karteczkach. Kiedy miałem mu dużo do powiedzenia, cierpliwie czekał, aż skończę pisać. Potrafił siedzieć pięć minut i kołysać nogami, podczas gdy ja bazgrałem. Większość ludzi nie jest taka cierpliwa. Pomagał mi budować pułapki na kota. Niektóre były naprawdę śmieszne. Jak z komiksów. Raz ukradliśmy kurtkę maskującą, rozłożyliśmy ją nad dziurą w ziemi i przykryliśmy liśćmi. Myśleliśmy, że może kot będzie na tyle głupi, żeby w nią wpaść”.

Harper przypomniała sobie dzień, kiedy zginęła kurtka. Należała do nastoletniej Nellie Lance, która zdrowo się wkurzyła. „Są tysiące ładniejszych kurtek, na które mogła się połasić”, narzekała Nellie.

„Mogła”. W obozie wszyscy wierzyli, że złodziejem jest kobieta. Ginęły wyłącznie rzeczy z sali sypialnej dziewcząt. Tyle że na tej sali był jeden chłopak. Nick przesiedział tam całą jesień, najpierw śpiąc ze swoją siostrą, a później z Harper.

„Wszystko, co ukradliśmy z obozu, chowaliśmy - ciągnął. - Użyłem lakieru do paznokci, żebyśmy bez problemu znaleźli drogę. Czasami włamywaliśmy się do garażu pracowników cementarza. Mike wpadł na pomysł, że jeśli stanę na jego ramionach, przecisnę się przez okienko.

„Ludzie byli źli - pokazała Harper. - Skoro o tym wiedziałeś, dlaczego nic nie powiedziałeś? Mogłeś wszystko wytłumaczyć i nikt by się nie złościł”.

„Pomyślisz, że jestem idiotą, jak ci odpowiem”.

„Zobaczymy”.

„Przez długi czas nie miałem nawet pojęcia, że ktokolwiek szuka złodzieja. Wszyscy o tym mówili, ale nikt nie rozmawiał o tym ze mną. Mówili o tym w kaplicy, ale ja ich nie słyszałem. Czasami pytałem Mike'a, o czym rozmawiają, ale on zawsze odpowiadał, że to nic ważnego. Raz Allie była taka wściekła, że aż się trzęsa ze złości. Zapytałem ją, co się stało, a ona odparła, że jakaś suka kradnie dziewczynom rzeczy. Byłem kretynem i nie miałem pojęcia, że mówiła o mnie. Myślałem, że to robi ktoś inny. Że ktoś kradnie naprawdę ważne rzeczy, takie, które mają znaczenie. Ja wziąłem tylko lakier do

paznokci, głupi kubek i mielonkę. Nikt nie lubił mielonki”.

Spuścił wzrok.

„No i raz wziąłem medalion Allie. - Spojrzał na Harper wyzywającym wzrokiem. - Ale tylko dlatego, że należał też do mnie. Mieliśmy się nim dzielić. Ale Allie powiedziała, że medaliony są dla dziewczyn, i wzięła go sobie. Nie pozwalała mi go nosić ani nawet na niego patrzeć”.

„A *Podręczna mama?*” - zapytała Harper.

Nick oparł głowę na piersi i zamrugał. Na jego uda skapnęły łzy.

„Przepraszam”.

„Nie przepraszaj. Wy tłumacz mi dlaczego”.

„Mike powiedział, że twoja torba jest wystarczająco duża, żeby zmieścił się w niej kot. Że wykorzystamy ją jako pułapkę i później ci oddamy. Nie miałem zamiaru zabierać wszystkiego... przynajmniej na początku. Chciałem wziąć tylko torbę. Ale wtedy przypomniałem sobie o goglach”.

„O czym?”

Chłopiec odwrócił się, rozpiął torbę i przez chwilę w niej grzebał. W końcu wyciągnął czerwone plastikowe gogle View-Master.

„A tak, pamiętam, Carol mi je dała - powiedziała Harper. - Dla dziecka”.

Twarz Nicka pociemniała; na jego twarzy odmalował się upór.

„Nie należały do niej. Były moje. Pewnego dnia ciocia Carol powiedziała mi, że jestem za duży, żeby się nimi bawić, i dała je tobie. Mówiła, żebym zachowywał się jak mężczyzna. No to wziąłem całą torbę. Ukradłem ją. Chociaż jesteś moją przyjaciółką. To było naprawdę złe”.

Jedną ręką otarł z policzków łzy. Mięśnie na jego twarzy drżały od kiepsko skrywanych emocji.

„Po wszystkim chciałem ją oddać - mówił dalej. - Naprawdę. Michael spotkał się ze mną tu, w grobowcu, i powiedział, że nie możemy ryzykować. Mówił, że Ojciec Storey ogłosił, że osoba, która ukradła *Podręczną mamę*, będzie musiała na zawsze opuścić obóz. Powiedział, że okradzenie ciężarnej kobiety to straszny grzech, prawie jak morderstwo. Mike twierdził, że nie mogę podrzucić torby z powrotem, bo Ben Patchett zdejmie odciski palców. A Allie powiedziała, że utnie ręce temu, kto zabrał jej medalion”.

Nick wytarł policzki przedramieniem.

„Myślałem, że będę mógł powiedzieć dziadkowi, co zrobiłem. Miałem taki zamiar. Zaraz po tym, jak razem ze strażakiem uratuje więźniów i wróci do obozu. No a wtedy...”

Przestał gestykulować i potarł oczy piąstkami. Po chwili znowu poruszył rękami.

„Mike powiedział, że może to dobrze, że ktoś rozbił Ojcu Storeyowi głowę. Był prawie pewien, że dziadek podejrzewał właśnie mnie. Podobno przed wypadkiem ostrzegwał Mike’a, że będzie musiał zadać mi parę pytań na temat skradzionych rzeczy, i Mike uważał, że jeśli odpowiem źle, wygna mnie i Allie z obozu. Mówił, że Ojciec Storey pozbędzie się nas obojga, bo to Allie miała zadbać o to, żebym zachowywał się jak należy. Dziadek chciał, żeby cały obóz wiedział, że nie zamierza traktować mnie inaczej niż wszystkich tylko dlatego, że jestem jego wnukiem”.

„Michael kłamał. Ojciec Storey nigdy by cię nie skrzywdził. I nie pozwoliłby, żeby cokolwiek wam się stało”.

Widziała, że Nick unika kontaktu wzrokowego, ale przekleństwem ludzi głuchych jest to, że jeśli chcą rozmawiać, nie mogą patrzeć na rozmówcę. Musiał spoglądać na jej ręce. Próbował opanować łzy i wytarł nos wierzchem dłoni.

„Teraz wiem. Ale się bałem. Dlatego siedziałem z tobą w izbie chorych. Żeby, gdy się obudzi, powiedzieć mu, jak bardzo mi przykro, i poprosić, żeby nie karał Allie za to, co zrobiłem. Mike mówił, że to dobry pomysł i że on też będzie tam tak często, jak tylko się da. Czekał, aż Ojciec Storey się obudzi, bo chciał wziąć na siebie większość winy. Powiedział, że tak trzeba, ponieważ jest starszy”.

„To nie twoja wina. - Harper poruszyła rękami. - Michael był kłamcą. Oszukał nas wszystkich”.

Ramiona Nicka zadrżały spazmatycznie. Podniósł ręce, ale zaraz je opuścił, podniósł i znów opuścił.

„Raz, kiedy wstałem, żeby pójść do toalety, zobaczyłem Mike’a, jak pochylał się nad stopami dziadka. Na mój widok wyprostował się, wyglądał na wystraszonego. Miał w ręce igłę. Zapytałem go, co robi, a on odparł, że przyszedł zrobić sobie zastrzyk z insuliny i chciał się pomodlić za Ojca Storeya. Próbował zabić dziadka, prawda?”

„Tak. Kiedy to było?”

„W lutym”.

Harper zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

„W lutym Ojciec Storey przestał mieć ataki. Wiesz, co to są ataki?” - Przewróciła oczami i udała, że się trzęsie.

Nick przytaknął.

„Polepszyło mu się. Po tym, jak ataki ustały. Uratowałeś mu życie - ciągnęła Harper. - Spłoszyłeś Mike’a po tym, jak nakryłeś go z igłą. Potem nie próbował go już zabić”. Chłopiec pokręcił głową.

„Nie uratowałem go. Michael i tak go zabił”.

Harper pochyliła się i oparła łokcie na kolanach.

„Ale przed śmiercią Ojciec Storey obudził się i powiedział ci, jak bardzo cię kocha. Rozumiesz? Dziadek cię kochał. Nie jesteś złym chłopcem”.

Nick wyglądał na tak niepokieszonego, że wstała, pocałowała go w głowę i przytuliła go do siebie.

Kiedy go puściła, przynajmniej już nie płakał.

„Myślisz, że mięso w puszkach jest jeszcze dobre?” - spytała.

„Nigdy nie było dobre. Ale myślę, że nadaje się do zjedzenia”.

Zgarnęła ramionami puszki mielonki i skondensowanego mleka. Kiedy się odwróciła, Nick stał przed nią z medalionem na szyi i otwartą torbą podróżną. Pokiwała głową i wrzuciła puszki do środka.

Wyszli w mrok i ruszyli tą samą drogą. Niespełna trzysta metrów dalej Harper usłyszała znajomy ryk silnika; dźwięk, od którego ciarki przeszły jej po plecach. Chwyciła Nicka za rękaw koszuli i oboje przykucnęli za posągami Marii Dziewicy.

Ulicą przejechała pomarańczowa ciężarówka, wypełniając noc zapachem oleju napędowego. Jechała wolno, a zamontowany na szoferce reflektor rozgarniał mrok, prześlizgując się po kamiennym murze i cmentarzu. Długie na trzy metry cienie aniołów i krzyży pełzały po trawie w stronę Harper, a w końcu zaczęły się cofać. Wydała z siebie stłumiony jęk.

A więc nadal tam był. Wciąż szukał. Wiedział, czym uciekli. Może domyślał się, że nie ujechali daleko. Zabytkowy wóz strażacki za bardzo rzucał się w oczy.

Odwróciła się twarzą do Nicka i zdziwił ją uśmiech, który malował

się na jego twarzy. Chłopiec nie patrzył na ulicę; całą swoją uwagę skupił na wysypanej żwirem drodze na tyłach cmentarza, wypatrując czegoś w splątanych chaszczach. Liście paproci poruszyły się, gdy coś przemknęło w ciemnościach.

„Co to?” - zapytała go.

„Kot - odparł. - Właśnie go widziałem. On też przetrwał zimę”.

4

Harper była gotowa wejść między Allie i Nicka, przygotowana na groźby, łzy i rzucanie wszystkim, co znajdzie się pod ręką. Allie jednak nie wyglądała na zaskoczoną, gdy zobaczyła *Podręczną mamę* i medalion na szyi brata. Kiedy wrócili do biura, siedziała na skraju kanapy, pocierając twarz rękami. Spojrzała na nich mętnym wzrokiem i nie zadawała żadnych pytań. Harper wyjęła z torby puszkę mielonki i przetrząsnęła szafkę, szukając czegoś, czym mogłaby ją otworzyć. Przy okazji znalazła pudełko krakersów, na którego widok poczuła nieopisaną wdzięczność.

Nick stanął przed Allie i wysunął brodę, czekając, aż siostra coś powie. W końcu odezwała się, poruszając palcami: „Chyba możesz go nosić. Myślałam, że będziesz wyglądał jak totalny pedał, ale nie jest tak źle”.

Harper znalazła kasetę *Aftermath* Rolling Stonesów i włożyła ją do kieszeni magnetofonu. Mick Jagger ostrzegwał swoją dziecinę, dziecinę, dziecinę, że kończy jej się czas. W porę się zorientował, pomyślała Harper.

Kładąc na krakersach galaretowatą mielonkę, w skrócie opowiedziała Allie, czego dowiedziała się od Nicka. Dziewczyna nie przerywała jej ani nie zadawała pytań. Kiedy Harper skończyła, usiedli razem na kanapie, Allie poruszyła palcami, zwracając się do brata:

„Nie wierzę, że dałeś się nabrać na te bzdury, które Mike wygadywał o odciskach palców. To głupie, nawet jak na ciebie”.

„Wiem - odparł Nick. - Ale zanim zacząłem podejrzewać, że Michael mnie okłamał, zaczął sypać śnieg i nikt nie mógł opuścić obozu, więc nie miałem jak przynieść tych rzeczy, nie zostawiając śladów. Poza tym to ty byłaś idiotką, która powiedziała mi, że kiedy znajdą złodzieja, Ben obetnie mu ręce na oczach całego obozu”.

Allie potaknęła.

„Nie przejmuj się - uspokoiła brata. - Masz dopiero dziewięć lat. Masz prawo być głupiutki. Ja mam siedemnaście i żadnej wymówki”.

Harper zastanawiała się, kiedy Allie skończyła siedemnaście lat, i wtedy uświadomiła sobie, że zapomniała o własnych urodzinach cztery tygodnie temu.

- Na ile wystarczy tej mielonki? - spytała dziewczyna, trochę sepleniąc. Jej górna warga wyglądała paskudnie, jak gdyby była rozszczepiona w miejscu, gdzie Jamie ją rozcięła. Harper musiała poszukać igły i nici.

- Zostały jeszcze dwie puszki.

- To dobrze. Bo nie mogę się doczekać, kiedy się skończy i w spokoju umrzemy z głodu.

- Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odparła Harper i poruszając rękami, zwróciła się do Nicka: „Strażak powiedział, że będziesz potrafił go znaleźć i pokażesz mu, gdzie jesteśmy”.

Chłopiec spojrzał na nią udręczonym wzrokiem.

„Skoro muszę”.

„Musisz”.

„Będę musiał użyć ognia, a nie lubię tego robić”.

„Wiem, że nie lubisz”.

Spojrzał na nią nieufnym wzrokiem na wpół zdziczałego psa, który obserwuje człowieka niosącego obrożę i smycz. „Powiedział ci dlaczego?”

Pokiwała głową.

Allie patrzyła to na brata, to na nią.

Harper zamierzała wytłumaczyć wszystko Nickowi, ale wiedziała, że tym razem język migowy nie wystarczy. Wstała, przetrząsnęła zawartość szuflad i wróciła z notatnikiem i długopisem.

To, co się stało, nie było twoją winą. Potrzeba co najmniej sześciu tygodni, żeby choroba dotarła do tej części mózgu, która pozwala ją kontrolować. Może nawet dłużej. Twoja mama chciała ożywić ogień, tak jak John robi to z feniksem, a ty ze swoimi wróblami. Ale jej mózg nie był gotowy. To tak jak wywołać poród, zanim dziecko jest gotowe wyjść na świat. Tyle że wtedy dziecko rodzi się martwe. Ona o tym nie wiedziała. Tak samo, jak ty. TO NIE TWOJA WINA. Ani jej. To był wypadek. Nic więcej.

Nick pokręcił jednak głową, złożył kartkę na pół i schował ją do kieszeni. Na jego twarzy - opuchniętej od płaczu, zaróżowionej w miejscu, gdzie się oparzył, brudnej i pokrytej zaschniętą krwią - nie było śladu spokoju.

„Nic nie wiecie - odparł, gestykulując. - Nie macie o niczym pojęcia”.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poderwał się z kanapy i ruszył w stronę drzwi do garażu. Chwilę później się obejrzał. „Idziecie czy nie?” - zapytał.

Zaprowadził je na tyły budynku. Tysiące świerszczy wypełniały noc harmonijnym dźwiękiem, od którego wibrowało powietrze. Nick wszedł w wysoką trawę. Przez moment krążył w kółko, udeptując mokre źdźbła, które skrzypiały mu pod butami. Chodził coraz szybciej, kiwając głową w przód i w tył. Poruszał palcami i Harper myślała, że śpiewa bezgłośnie albo słucha bezdźwięcznej melodii. Prosi o coś, nie używając słów. Wyglądał jak upiorna figurka w zepsutej pozytywce. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, wyglądały jak bliźniacze szparki, przez które można było zajrzeć do wnętrza pieca. Jego palce krzesaly pomarańczowe iskry.

Uniósł lewą rękę i z jego palców spłynęły płomyki, które Poszybowały w niebo. Tam, zamiast przygasnąć i zniknąć, nabrały kształtu i zmieniły się w maleńkie ogniste ptaki. Utkane z ognia stado latało tam i z powrotem, krążąc po nocnym niebie. Tuzin. Dwa. Setka.

- Mój Boże - jęknęła Renee Gilmonton, która stanęła w drzwiach, żeby popatrzeć. - Jak to możliwe, że nie spalają się i nie znikają? Co je napędza?

- On - odparła Allie, wskazując głową brata. - Jest podpałką i drewnem na opał. Benzyną i zapalką.

- Nie, to nie tak - rzuciła Harper. - To bez sensu. Jeszcze tego nie rozgryzłam, chociaż John bardzo się starał...

Nick przestał w końcu krążyć w kółko. Machnął rękami, włożył je pod pachy i niebieskawożółte płomienie zgasły, pozostawiając po sobie chmurę różowego dymu. Chłopiec pochylił się, żeby dmuchnąć w dłonie, i runął na ziemię.

Pierwsza podbiegła do niego Allie. Spróbowała go podnieść, ale głowa chłopca kołysała się na boki, jakby w jego szyi nie było żadnych mięśni.

- Nie był na to gotowy - rzuciła wściekle. - Po tym, co przeszedł. Powinniśmy byli poczekać jeszcze jedną noc. Ty powinnaś poczekać.

- Ale John...

- John Rookwood potrafi o siebie zadbać - warknęła Allie. -W przeciwieństwie do Nicka.

Minęła Harper i weszła do garażu.

Tego było jej trzeba, pomyślała Harper. Okazji, żeby ująć się za bratem, odebrać Harper rolę obrońcy, jeśli nie całkowicie, to chociaż częściowo.

- Nie rozumiem... - Harper zwróciła się do Renee. - Tego, co Allie powiedziała o Nicku, że jest jak podpałka i benzyna... Zabrzmiało jak poezja, ale jak dla mnie nie ma sensu.

- W tym cały urok poezji: mówi o rzeczach, które są prawdziwe, ale nie mają sensu. O bestii i szerszej spirali¹⁶ -odparła Murzynka i spojrzała w noc, gdzie pół setki płonących ptaków zataczało coraz szersze kręgi, wzbijając się do gwiazd.

5

W skrzynce na narzędzia Harper znalazła żyłkę wędkarską i haczyk i założyła dwa szwy na wardze Allie. Dziewczyna siedziała bez ruchu ze wzrokiem wbitym w sufit i oczami pełnymi łez wściekłości. Przez cały czas nie wydała ani jednego dźwięku. Harper nie wiedziała, czy postanowiła się do niej nie odzywać, czy woli znosić ból ze stoickim spokojem.

Potem zajęła się Nickiem. Spał głęboko i tylko się skrzywił, kiedy założyła mu cztery szwy na rozcięciu na czole. Użyła tej samej igły, tylko wcześniej wysterylizowała ją, trzymając ją między kciukiem i palcem wskazującym, dopóki się nie rozżarzyła do białości.

Po wszystkim Harper usiadła na schodku i obserwowała bezchmurne nocne niebo. Czasami miała wrażenie, że któraś z gwiazd odrywa się od firmamentu i z oszałamiającą prędkością gna w najdalszy zakątek nocy. Tuż przed wschodem słońca konstelacje rozpadły się, malując na niebie płonące smugi.

W końcu, w szarym świetle poranka, mały ognisty wróbel wyleciał zygzakami zza drzew i zniknął w chmurze dymu. Zaraz po nim pojawił się strażak, który chwiejnym krokiem wyszedł z lasu.

Jego widok odebrał Harper mowę. Długa rana na lewej kości policzkowej wyglądała jak czarna, nierówna krecha. Bok szyi był czerwony od paskudnego oparzenia. Ubrania cuchnęły, jakby tarzał się w wygaszonym ognisku.

W lewej ręce trzymał wypełnione węglem stalowe wiadro.

- Ocaliłem ją - wyrzeźił. - Musimy umieścić ją w bezpiecznym miejscu i nanieść drewna. - Rzucił Harper oszalałe spojrzenie. - Ona umiera z głodu.

Niechętnie pozwolił, by wzięła od niego wiadro. Cynowa rączka była gorąca - może nawet rozgrzana do czerwoności - ale Harper nie czuła bólu, kiedy jej dłoń rozżarzyła się delikatnie.

Postawiła kubek na schodach i zaprowadziła strażaka do środka.

Zemdlał zaraz po tym, jak obmyła mu twarz i zszyła rozcięty

policzek. Zostawiła go na kanapie, gdzie spał przykryty kurtką jak kocem.

Gdy wyszła na zewnątrz, czuła się bardzo zmęczona i bardzo ciężarna. Ból w krzyżu nie ustępował ani na chwilę, a do tego znowu pojawiły się gwałtowne skurcze.

Wiadro rozżarzonych węgli stało na najwyższym stopniu obok magnetofonu kasetowego. Mick Jagger przy wtórze basu obiecywał, że wraca do domu. Węgłe żarzyły się na czerwono, przygaszały i znowu się rozjarzały, jak gdyby w rytm piosenki.

Harper miała ochotę kopnąć wiadro i wysypać jego zawartość na trawę.

Zaniosła je jednak do wielkiego, stalowego kotła porzuconego w trawie za garażem wśród innych rupieci. Przysypała węglami połamane deski, puszki po piwie, nasączone benzyną szmaty. Płomienie strzeliły, a śmieci zajęły się ogniem z delikatnym, głodnym świstem. Harper znalazła patyki i pełne robactwa gnijące polano i wrzuciła je do ognia.

- Co to? - zapytała Renee. - Ognisko?

- Raczej jeden z tych ogni, który rozpalasz, żeby ci o kimś przypominał.

- Coś jak wieczny ogień?

- Mam nadzieję, że nie - odparła Harper.

6

Spali na zmianę na kanapie, jedli mielonkę i popijali mlekiem. W garażu było gorąco i ciasno, cuchnęło mięsem z puszki, betonem i ropą. Po zachodzie słońca Harper wymknęła się tylnymi drzwiami, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Pod rozgwieżdżonym niebem poczuła się lepiej. Noc wydawała się płynna, jakby zanurzała się w basenie, który zamiast wodą, wypełniony był falującym, ciepłym mrokiem. Nie wiedzieć kiedy, wiosna rozgościła się na dobre.

Gdzieś w stalowym kotle strzelił sęk. Harper odwróciła się i zobaczyła Allie, która zaglądała w płomień przerażonym, oszołomionym wzrokiem. Objęła się rękami, zaciskając palce na łokciach.

- Wszystko w porządku? - zapytała Harper.

Dziewczyna odwróciła się i rzuciła jej beznamiętne spojrzenie.

- Nie - odparła i weszła do środka.

Harper zerknęła do kotła, ale zobaczyła jedynie rozżarzone węgle.

Usiadła na schodach, włączyła *Aftermath* i położyła dłonie na ogromnym ciężowym brzuchu. Kiedy zaczął lecieć *Under My Thumb*, wyłączyła magnetofon. Odkąd sięgała pamięcią, chciała, żeby świat przypominał disnejowski musical z początku lat sześćdziesiątych, ze spontanicznymi tańcami i śpiewami dla uczczenia najważniejszych wydarzeń, takich jak pierwszy pocałunek czy lśniaca czystością kuchnia. Gdyby miała ścieżkę dźwiękową z *Mary Poppins*, wybrałaby *Hard Day's Night*. Okazało się jednak, że życie bardziej przypomina piosenki Stonesów: człowiek nie czuje żadnej satysfakcji, przyjmuje cios za ciosem, każda kobieta to suka, która chodzi u kogoś na pasku, a jeśli chcesz czegoś na uspokojenie, lepiej, żebyś miał kasę; no i raczej nie proś o współczucie, bo ono należy się tylko diabłu.

Wyszukiwała kolejne stacje. Zespół gospel klaskał w imię Jezusa. Wrócił chłopak komentujący mecze: Red Soxi grali mecz towarzyski z Shakespeare All-Stars. Wybijającym był Romeo. Wybił piłkę, złamał kij na kolanie, połknął truciznę i umarł na ostatniej bazie. Julia podbiegła

do niego, zalała się łzami, po czym ugodziła się w serce trzonkiem złamanego kija. Miotacz, Tom Gordon, czekał z ręką na biodrze, aż Rozenkranc i Gildenstem wyniosą ciała z boiska.

Na sąsiednim paśmie prezenterka informowała, że feldmarszałek Ian Judaskiller podpisał wyrok śmierci na strażaku, który trzy dni temu podczas starć w obozie Wyndham zamordował dwóch Żołnierzy Chrystusa z New Hampshire. W wiadomościach ze świata mówiło się o tym, że na Okinawie dwanaście tysięcy Japończyków popełniło największe masowe samobójstwo w historii. W stanie Iowa sfotografowano z powietrza stado krów w kształcie krzyża. Nadciągał koniec świata; niebawem siódma pieczęć zostanie zdjęta, a ludzkość usłyszy dźwięk ostatniej trąby.

Coś miękkiego otarło się o jej kłykcie. Harper spuściła wzrok i zobaczyła puszystego, prądkowanego kota, który najwyraźniej wyczuł mielonkę pod jej paznokciami. Przyglądała mu się przez chwilę - miała niejasne przeczucie, że gdzieś go już widziała - po czym pogłaskała go po łebku. Zwierzę wzdrygnęło się pod jej dotykiem, dało susa w trawiastą gęstwinę i zniknęło.

Harper wciąż za nim patrzyła, kiedy John Rookwood wyszedł na schody. Miał na sobie hełm i kurtkę strażacką, jakby wychodził na służbę.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytała.

Spuścił wzrok i spojrzał na swoje ubranie, jakby chciał sobie przypomnieć, w co się właściwie ubrał.

- Hm... nie mogę pójść w takim stroju na pogrzeb. A ty nie możesz pójść w czymś takim. - Wskazał głową jej brudną bluzę z logo Boston Red Sox i spodnie dresowe, niegdyś niebieskie, teraz czarne od sadzy i usmarowane krwią. - A to oznacza, że wybieram się na zakupy.

- Pochowamy Gila?

- Raczej cały obóz - odparł. - W pewnym sensie. Renee tego potrzebuje.

- Wszyscy tego potrzebujemy.

Skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

- Szukają cię - ostrzegła go. - Słyszałam w radiu.

- Niech lepiej uważają - odparł, nie odwracając się. — Bo mogą mnie znaleźć.

Wrócił dwie godziny po wschodzie słońca, pchając zardzewiały wózek sklepowy; wtoczył po schodkach i wepchnął do garażu.

W środku pełno było marynarek, krawatów, sukienek, bluzek, botków, butów na obcasach, szalików i kapeluszy. Pod ubraniami piętrzyły się zapasy jedzenia na kolejny tydzień: owoce w puszkach, pudełko owsianki, sześciopak wody mineralnej i napoju Nozz-A-La, którego Harper nie widziała od czasów dzieciństwa. Między zakupami pałętała się kasetka magnetofonowa. Harper nie miała okazji się jej przyjrzeć, bo strażak wyciągnął ją z wózka i ukrył w kieszeni.

- Dziś odbędzie się nabożeństwo żałobne - oświadczył. - Ubierzcie się odpowiednio.

- Ja biorę cylinder - rzuciła Allie i włożyła na głowę czarny kapelusz.
- Jestem jak Lincoln, tylko że on nie miał takiego boskiego tyłka.

Nick znalazł parę teatralnych rękawiczek, tak długich, że sięgały mu aż do ramion.

Pierwszy raz od kilku tygodni Harper widziała, jak chłopiec się uśmiecha.

8

Żałobnicy szli wśród cmentarnych traw pod gwieździstym niebem. Prowadził strażak, rozświetlając mrok płonąca błękitnawym ogniem ręką. Nick szedł w środku, przyświecając im zielonym blaskiem, który spływał z jego palców. Pochód zamykała Harper niosąca w dłoni złoty płomień.

Strażak przekształcił wózek sklepowy w prowizoryczny karawan. Na całej długości po obu stronach przymocował dwie deski i zabezpieczył je elastyczną liną. Ciało Gilberta Cline'a spoczywało pod brezentową plandeką, która okrywała je niczym całun. Wózek pchała Renee. Tuż za nią szła Allie z magnetofonem kasetowym.

Wyglądała dobrze w cylindrze i czarnej podomce, która szeleszcząc, ocierała się o jej kostki. Nick ostatecznie zrezygnował z teatralnych rękawiczek, ale włożył kanarkowy frak i matczyzny medalion. Dla Harper strażak wytrzasnął skądś ogromną czarną bluzę w rozmiarze XXXXL z kapturem i logo Patriots. Był to jedyny żałobny strój, jaki udało mu się znaleźć dla kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży. Renee szła wśród nagrobków w granatowej aksamitnej sukni z rozcięciem, które odsłaniało dołeczki w kolanach ładnych, kształtnych nóg. Harper pomyślała z nadzieją, że Gilbert miał okazję się nimi nacieszyć.

Nikt nie wiedział, gdzie strażak znalazł to, co miał na sobie: kilt odsłaniający kościste, owłosione nogi, czarny beret i czarną, kusą marynarkę. Harper nie wierzyła, że mógłby żartować z tak poważnej sytuacji. Miała wrażenie, że z całych sił starał się wyglądać przyzwoicie.

Pchnięciem otworzył wrota do grobowca rodziny O'Brianów. Ogień rozświetlił schludne marmurowe wnętrza pełne cieni, które tańczyły na ścianach i drżały jak żałobnicy kołyszący się w takt muzyki. Znalazł kopię *Making Movies* Dire Straits i wysłuchali utworu *Romeo and Juliet*, który brzmiał idealnie w połączeniu z cykaniem świerszczy.

Strażak zgasił płomień na prawej ręce i wciągnął do środka wózek. Razem z Renee „na trzy” podnieśli plandekę i położyli ciało na kamiennym sarkofagu. Nick czubkiem palca zapalił świecę. Allie

weszła do środka z magnetofonem, lecz Harper czekała na zewnątrz, obserwując płonącą dłoń i dziwiąc się, że nie czuje żadnego ciepła. Świadomość ta dodawała jej otuchy. Patrząc na płomień, czuła się, jakby oglądała własną duszę.

W małym kamiennym pomieszczeniu rozległy się łagodne dźwięki pieśni. Harper się przyłączyła, a po niej strażak, który wziął za rękę Renee. Nick złapał jej drugą dłoń i sięgnął po rękę siostry, Allie z kolei ujęła dłoń Harper i w ten sposób utworzyli kołyszący się w przód i w tył łańcuszek ludzkich ciał. Renee spuściła głowę i zamknęła oczy, Harper nie wiedziała czy Murzynka płacze, czy się modli. Kiedy w końcu podniosła wzrok, jej tęczęwki płonęły. Smocza łuska na jej nagich ramionach jarzyła się śliwkowym światłem. Blask przeskoczył z jej ręki na rękę strażaka, a stamtąd na dłoń Nicka. Harper poczuła, że esyfloresy na jej ciele reagują światłem i przyjemnym ciepłem.

Lśnili w ciemnościach: ich oczy przywodziły na myśl emanujące bladym światłem obręcze, jak gdyby to oni byli martwi - duchy, które powstały z grobów - nie Gilbert Cline. Ich pieśń odbijała się echem od kamiennych ścian. Harper pomyślała, że ich smutek jest jak leniwy, zimny prąd, a ona jak dryfujący na nim liść.

Poruszała ustami i kiedy śpiewała, kołysząc się w rytm muzyki, poczuła, że opuszcza własne ciało i uwalnia się od tego, co czyni ją tym, kim jest. Jej tożsamość została pochłonięta przez strumień, który przepływał przez nich wszystkich. Nie była już Harper. Była Renee, która przypominała sobie, jak Gil pocałował ją pierwszy raz w kącie piwnicy; czuła na plecach jego ciepłą dłoń, jak gdyby to jej dotykał. Widziała nad głową oplecioną pajęczynami gołą żarówkę. Czuła woń kurzu, starych cegieł, smak spierzchniętych warg Gila. Unosiła się na fali wspomnień Allie, ślizgała się po ich powierzchni i zanurzyła się we...

...wspomnieniu o Carol, która tuliła ją w ramionach tej nocy, gdy zmarła matka dziewczyny. Carol, która była na tyle mądra, że nie odezwała się ani słowem, żeby ją pocieszać. Ona również płakała i stojąc w grobowcu, Harper czuła smak ich łez, czuła to wszystko, co odczuwała Allie tej nocy, gdy spłonęła Sarah Storey. Jej zmysły były jak liść, który, płynąc z prądem, skręcił gwałtownie, pędząc ku kolejnemu wspomnieniu o spadaniu...

...o tym, jak Gail Neighbors chwyciła ją za kostki, podczas gdy Gillian, jej bliźniaczka, trzymała ją za ręce. Kołysały nią w przód i w tył, jak hamakiem, i cisnęły w przyprawiającą o zawrót głowy ciszę. Bezgłośnie spadła na pryczę, krztusząc się ze śmiechu, którego nie była w stanie usłyszeć. W milczącym świecie Nicka kolory zdawały się krzyczeć. Ach, jakże uwielbiał, kiedy tak nim rzucały, jak cieszyło go ich szczęście, jak bardzo za nimi tęsknił i jak bardzo chciał je odzyskać. Ale świadomość Harper gnała dalej, pędziła ku najbardziej bolesnemu upadkowi, rozpaczy tak wielkiej, że niemal nie była w stanie dostrzec jej dna; spadała...

...w głowę Johna i znalazła się wśród jego wspomnień o Sarah. Czuła na kolanach jej przyjemny ciężar, wtulała twarz we włosy Sarah, rozkoszując się jej delikatnym, słodkim zapachem. Rozwiązywała krzyżówkę, w zamyśleniu obgryzając końcówkę długopisu; jakiej gracji, jakiej pewności siebie potrzeba, żeby wpisywać hasła długopisem! Słońce kładło się na szczupłym, brązowym ramieniu idealnym kwadratem. Harper nigdy dotąd nie była tak boleśnie świadoma światła i bezruchu. Pomyślała z dziką radością o swoim ojcu: genialnym, czytany, przepełnionym żalem. Jestem szczęśliwa, pomyślała z manches-terskim akcentem, a to znaczy, że cię pokonałam. To znaczy, że wygrałam. Sarah wcisnęła się głębiej w kościstą pierś Harper. „Czteroliterowe słowo opisujące nieprzemijające szczęście?”, zapytała, na co Harper dotknęła jej włosów, zakładając kosmyk za różowe, delikatne ucho, i szepnęła: „dziś”. Mieć takie szczęście i utracić je było jak rana po oparzeniu, która nigdy się nie goi. Myśleć o niej to jak brać do rąk rozgrzane żelazo do wypalania piętna i na nowo przypalać skórę.

W końcu wróciła do własnej sadzawki bólu i tęsknoty za tym wszystkim, co kiedyś należało do niej, a teraz przepadło: kawy ze Starbucksa w szary, mżysty dzień, odkurzania w bieliźnie przy wtórce piosenek Bruce'a Springsteena, przemykania wzrokiem po grzbietach książek w małej księgarni z wysokimi półkami, jedzenia jabłek podniesionych z ziemi podczas grabienia ogrodu, szkolnych korytarzy pełnych paplających, przepychających się i śmiejących się dzieci, coca-coli w szklanych butelkach. Cudownych rzeczy, które, gdy je mamy, przechodzą niezauważone.

Słabnący prąd obracał nią wkoło niczym liściem, zabierając daleko od wspomnień i bólu, wprost na piaszczysty brzeg. Magnetofon się wyłączył. Piosenka dobiegła końca.

Siedziała na piaszczystej skarpie, opierając się plecami o żłobioną ścianę grobowca. Obok niej siedział strażak. Nie wiedzieć czemu, trzymali się za ręce. John wyniósł na zewnątrz radiomagnetofon i słuchali chóru śpiewającego pełne smutku chorały gregoriańskie. Gwiazdy niczym piasek leżały rozsypane na nocnym niebie.

Harper miała lekkie zawroty głowy, jak wtedy, gdy była wstawiona. Czuła się odprężona i chętnie oparła głowę na ramieniu strażaka.

- Co robi Renee? - zapytała.

- Nadal jest w środku. Rozmawia ze swoim mężczyzną. Opowiada mu o tym, co najbardziej w nim lubiła. I co by zrobili, gdyby mieli więcej czasu.

- A dzieci?

- Wróciły do garażu. Znalazłem paczkę pianek. Chyba zamierzają je upiec.

- Myślisz, że to... bezpieczne? Żeby sami piekli pianki?

- Hm... kiedy pomyślisz o tym, przez co przeszli, pieczenie pianek nie jest chyba aż takim zagrożeniem. W najgorszym wypadku poparzą sobie podniebienia.

- Myślałam raczej o tym, co mogą zobaczyć w ogniu.

- Och. - Zacisnęła usta. — Nie sądzę, żeby tak po prostu się im ukazała. Zresztą może chciałyby ich zobaczyć. Nie my jedni tęsknimy za wszystkimi tymi dobrymi rzeczami, których już nie ma. Nie tylko my kogoś oplakujemy.

Musnęła kciukiem jego kłykcie i ścisnęła go za rękę.

- Nie byłem taki pijany Światłością... Nie byłem częścią od sześciu miesięcy. - Westchnął. - Tak naprawdę nie potrzebowałem jej ochronnych właściwości, odkąd nauczyłem się komunikować bezpośrednio ze smoczą łuską. Zapomniałem, jakie to wspaniałe uczucie. Nawet jeśli to, co nas łączy, jest bolesne, to dobry ból.

Czyli naprawdę dzielili wspomnienia i myśli? Harper nie była pewna. Dzieciaki w obozie Wyndham wierzyły, że smocza łuska jest jak portal społecznościowy, zapisana na skórze inteligencja zbiorowa,

organiczna sieć, do której mógł dołączyć każdy zainfekowany. Nie było wątpliwości, że może przenosić myśli i uczucia. A jednak ludzie upojeni Światłością byli podatni na urojenia. Dar telepatii wydawał się czymś cudownym, ale zdaniem Harper nie był lepszy od wyobraźni.

Wysoko nad ich głowami spadła gwiazda i Harper pomyślała życzenie. Chciała, żeby strażak się nie ruszał, żeby został tak, jak jest, i żeby mogła opierać głowę na jego ramieniu. Jeśli czas miał się zatrzymać, chciała, żeby zatrzymał się właśnie tu, z Johnem, który siedział obok niej, i z wiosną owiewającą im twarze.

Wyprostował się tak nagle, że omal się nie przewróciła. Wyciągnął rękę i pogłodził radio.

Ta szalona kobieta znowu mówiła o Panu Ważniaku Ianie Judaskillerze.

- Walnięta suka - rzuciła Harper. Na trzeźwo nie użyłaby słowa „suka”, ale kiedy była wstawiona, a tak właśnie się czuła, zapomniała, co to pruderia. - Wiesz, za każdym razem, gdy mówi o tym koleś, Ianie Judaskillerze, nadaje mu inny tytuł. Raz jest feldmarszałkiem, a innym razem generałem. Niedługo awansuje na Szlachetną Królewską Odbytnicę i Wielkiego Lachociąga...

- Ćśśś - uciszył ją i podniósł rękę.

Harper nasłuchiwała. Kobieta w radiu oświadczyła, że Jego Wysokość obiecał wysłać do stanu Maine dwanaście jednostek strażackich do walki z żywiołem. Posiłki miały wyruszyć w piątek w samo południe, chwalmy Jezusa i świętą hostię...

- Pojedziemy z nimi - rzucił strażak.

- Z Jezusem i świętą hostią? - spytała. - Myślałam, że zamierzamy ich unikać.

- Ze strażakami - odparł. Jego duże oczy kontrastowały z zapadniętą, kościstą twarzą. - Przejedziemy przez most, aż do Maine. Z nimi nas przepuszczą. - Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. - Wyjeżdżają za dwa dni. Za tydzień o tej porze być może będziemy już na wyspie Marthy Quinn.

Gdy nadszedł czas, John obudził ją, gładząc palcami jej policzek. Harper przetarła oczy i oparła się na łokciach.

- Ja nie... Co, co? Nie jest przypadkiem za wcześnie? Myślałam, że wyjeżdżają w piątek w południe.

Allie siedziała na podłodze. Obok niej Nick spał na boku. Dziewczyna ziewnęła przeciągle, zasłaniając usta ręką.

- Już południe? - rzuciła.

- Już piątek? - zapytała Harper.

- Odpowiadając na wasze pytania: tak, już piątek; nie, jeszcze nie ma południa. Dochodzi ósma. Ale jeśli wyjdziecie, usłyszycie ich. Mówiłem, że będziemy wiedzieli, kiedy zaczną zbierać się do drogi. Jak myślicie, dlaczego tylu chłopców marzy o tym, żeby w przyszłości zostać strażakami? Żeby mogli uruchomić syreny. Dwanaście wozów strażackich potrafi postawić na nogi połowę miasta.

Nie żartował. Harper usłyszała ich, zanim jeszcze wyszła w gęsty od dymu, chłodnawy poranek: przeciągłe zawodzenie syren niecały kilometr dalej. Kiedy jedna milkła na chwilę, zastępowała ją kolejna. John podejrzewał, że miejscem zbiórki będzie komenda straży pożarnej, tuż za biurami władz miasta, niedaleko cmentarza.

- Bardzo nam się spieszy? — zapytała strażaka.

- Nie chcemy przejeżdżać przez most przed nimi, ale też nie powinniśmy zostawać za bardzo z tyłu. Zbierajmy się. Niech dzieciaki wsiadają do wozu. - Powiedział to jak doświadczony rodzic, jak gdyby mówił o własnych dzieciach i planował wspólny wyjazd do niemiłych krewnych. Harper pomyślała, że Allie i Nick są teraz poniekąd ich dziećmi.

Renee stała już przy samochodzie; otwierała drewniane schowki umiejscowione nad tylnym błotnikiem. Wóz wyjechał z fabryki Studebaker w 1935 roku, długi na piętnaście metrów, czerwony jak jabłko i lśniący niczym rakietą w komiksach o Bucku Rogersie. W tamtych czasach prezentował się wspaniale jako wyobrażenie o

przyszłości, a dziś stanowił piękny relikwiarz przeszłości. Schowki pełne były brudnych węzów strażackich, stalowych gaśnic, stert kurtek i rzędów butów, które zdawały się nie mieć końca. Patrząc na nie, można by pomyśleć, że gdzieś tam, na końcu jednego z nich, znajduje się sekretne przejście do Narnii. Renee pomogła wejść Nickowi i sama wdrapała się na górę.

- Ukryj się pod węzem - poinstruowała chłopca i cmoknęła z dezaprobatą, kiedy przypomniała sobie, że i tak jej nie słyszy. - Harper, powiesz mu, żeby ukrył się pod węzami?

Harper nie musiała, bo Nick robił już, co mu kazano. Allie wskoczyła na chromowany zderzak, przykucnęła obok brata i zaczęła mu pomagać, kładąc na nim kolejne zwoje.

- Gilbert w podobny sposób wydostał się z więzienia - odezwała się Renee.

- A niby jak John wpadł na ten pomysł? - zapytała Harper. - Gilbert cały czas nam pomaga.

- Tak - przyznała Murzynka i ścisnęła ją za rękę. - Wezmę swoje rzeczy. I radio. Nie odjeżdżajcie beze mnie.

Harper schowała *Podręczną mamę* w prawym tylnym schowku, kładąc ją za trzema rzędami chromowanych gaśnic, obok torby z jedzeniem. Zostało tam jeszcze miejsce dla niej i dla Renee; miały się ukryć pod kocem.

Strażak miał prowadzić.

- Nie podoba mi się ta część planu - powiedziała mu.

Stał na stopniu przy drzwiach od strony pasażera. W rękach trzymał wiadro węgla. Postawił je obok rury wydechowej wystającej spod półki za szoferką. Pochylił się i Harper zobaczyła, że czubek jego palca robi się przezroczysty i rozjarza się na czerwono - od razu pomyślała o *E.T.* - do tego stopnia, że rozboleły ją oczy. Sypnęły iskry, kiedy palcem przyspawał wiadro do rury wydechowej.

- Która część? - zapytał zamyślony.

- Ta, w której próbujesz przejechać tym wozem przez most. Polują na ciebie. Niektórzy z nich cię widzieli i wiedzą, jak wyglądasz.

Pomyślała nawet, że to wszystko - cała ta nagłośniona akcja z wysyłaniem jednostek do Maine, żeby walczyły z pożarami - to tylko wybieg, żeby wywabić ich z kryjówek. Im dłużej się nad tym

zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że pakują się w pułapkę i przed wieczorem wszyscy będą martwi.

Tym, co ostatecznie zdecydowało, że postanowiła zaryzykować, była seria skurczy, które trwały już dobre pół godziny i czuła się, jakby miała w brzuchu tężejący beton. W pewnej chwili skurcze były tak przenikliwe i regularne, a oddech Harper tak szybki i płytki, że była pewna, że zaczął się poród. W tym momencie jednak bóle ustały, pozostawiając ją zlaną potem i roztrzęsioną. Dwa tygodnie - zostały jej jeszcze dwa tygodnie do terminu, może kilka dni więcej albo mniej.

To, co zamierzali, było desperackim krokiem i Harper pomyślała o żołnierzach na froncie pierwszej wojny światowej, którzy wybiegli z okopów na ziemię niczyją, jakby zapomnieli, że cztery ostatnie takie próby skończyły się tym, że ich towarzysze zostali posiekani na kawałki. Nie mogli jednak zostać, bo człowiek nie może wychowywać dziecka w okopie.

I nie chodziło tylko o bezpieczny poród, ale o to, co wydarzy się kilka minut, godzin i dni później. Zwłaszcza jeśli chłopiec nie będzie zarażony. Od kilku miesięcy nie docierały do niej żadne dane, ale kiedy jeszcze miała dostęp do internetu, widziała statystyki mówiące, że osiemdziesiąt procent dzieci, których rodzice byli zainfekowani, rodziło się zdrowych. Ten mały człowieczek, którego nosiła pod sercem, będzie miał różowiutką, czystą skórę, ale żeby tak pozostało, będzie musiała znaleźć kogoś zdrowego, kto go zabierze... choć na razie starała się o tym nie myśleć. Przede wszystkim musiała znaleźć miejsce, gdzie będzie mogła urodzić. Dopiero potem zacznie martwić się resztą i szukać domu dla swojego zdrowego maleństwa. Być może lekarze na wyspie Marthy Quinn nie byli zainfekowani. Może któryś z nich zajmie się noworodkiem. Może nawet dziecko będzie mogło pozostać na wyspie razem z nią!

Nie. Na coś takiego prawdopodobnie nie mogła liczyć. Była gotowa zgodzić się na wszystko, byle ratować swoje dziecko, nawet jeśli znaczyło to, że dzień, w którym przyjdzie na świat, będzie dniem, w którym zobaczy je po raz ostatni. Postanowiła już, że kiedy nadejdzie czas, podejdzie do tego jak Mary Poppins. Powtarzała sobie, że dziecko będzie jej tak długo, jak długo będzie wiał zachodni wiatr. A gdy wiatr się zmieni, otworzy parasol i odleci, zostawiając go pod opieką kogoś

kochającego, godnego zaufania i mądrego... jeśli znajdzie taką osobę. Nie mogła go zatrzymać, ale on - w pewnym sensie -mógł zatrzymać ją. Miał przecież *Podręczną mamę*.

- Nie sądzę, żeby Nick umiał prowadzić samochód z manualną skrzynią biegów - rzucił strażak. - A to znaczy, że ja muszę usiąść za kierownicą.

Odwróciła głowę, żeby na niego nie patrzeć. Oczywiście, miał rację. Allie była za młoda, żeby udawać ochotniczkę, Renee za stara, a ona zbyt ciężarna.

- Ci kolesie szukają gościa, który mówi jak pieprzony książę Karol, nie jak pieprzony Don Lewiston - odparł, przeciągając samogłoski i połykając „R”, przez co brzmiał jak ktoś z Manchesteru w Maine, a nie jak rodowity Anglik. - Przez kilka minut potrafię gadać jak gość stąd; to wystarczy, żeby przewieźć nas przez punkt kontrolny.

- A co z twoim nadgarstkiem? - spytała, dotykając jego prawej ręki, która wciąż była obwinięta brudnym bandażem.

- Na tyle dobrze, że mogę poruszać drażkiem skrzyni biegów. Nie przejmuj się, Willowes. Przewiozę nas przez punkt kontrolny. Zapomniałaś, że lubię dawać przedstawienia?

Ale Harper niespecjalnie zwracała uwagę na jego słowa.

Renee zatrzymała się w połowie drogi do wozu, schyliła się i pozwoliła, by zbłąkany długowłosey kot obwąchiwał jej rękę. Zwierzę wyszło z zarośli, z pokruszonymi liśćmi w futrze i naprężonym ogonem. Mruczało tak głośno, jak gdyby ktoś uruchomił elektryczną maszynę do szycia.

Nick wyczołgał się spod zwojów węża, podekscytowany obejrzał się na Allie i zaczął poruszać palcami. Dziewczyna wyszła na czworakach.

- Mówi, że to kot, którego dokarmił od ubiegłego lata - wytłumaczyła.

Kiedy Harper się odwróciła, kocur siedział na rękach Renee i mrużył oczy z zadowoleniem. Murzynka postawiła radio na ziemi i delikatnie muskała palcami grzbiet zwierzęcia.

- To mój kot. - Wydawała się oszołomiona, jakby ktoś obudził ją z głębokiego snu. - Kot, którego wypuściłam w zeszłym roku w maju. To Pan Truffaut. Właściwie to Pan Truffles, ale dla przyjaciół Pan Truffaut.

Strażak zeskoczył ze stopnia. Twarz miał kamienną.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. Chyba poznałabym własnego kota.

- Ale ten nie ma obroży ani przywieszki. Nie możesz być pewna.

Renee oblała się rumieńcem.

- Przyszedł prosto do mnie. Wskoczył mi na rękę. - Strażak się nie odezwał, więc dodała: - Niby czemu miałby to być jakiś inny kot? To moja okolica. Kiedyś mieszkałam na tej ulicy. Kilometr dalej na południe, ale to wciąż ta sama ulica.

- Kot zostaje — zdecydował.

Renee otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ugryzła się w język i spojrzała na niego - najpierw z niezrozumieniem, a zaraz potem z pełnym cierpliwości i spokoju uznaniem.

- Oczywiście - odparła. - To głupie, że w ogóle pomyślałam... oczywiście, masz rację. - Potarła nosem koci pyszczek i postawiła zwierzę na ziemi.

- Nie! - wrzasnęła Allie. - Co ty robisz? Możemy go wziąć.

- Tak. Możemy go zabrać do schowka - odezwała się Harper.

Myślała o tym, co wyczytała z twarzy Renee, kiedy ta rozpoznała kota. To było coś więcej niż radość - szok i niedowierzanie. Przyszło jej do głowy, że Renee nie liczyła, że spotka ją jeszcze w życiu coś miłego - cała jej radość została w grobowcu z Gilbertem - i ta niespodzianka ją zaskoczyła.

Nick wyskoczył z kryjówki, uklęknął na ziemi i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w kota. Zwierzę ocierało się o nogi Renee, obserwując chłopca czujnym spojrzeniem zielonkawych oczu.

- A jeśli zajrzą do schowka i go znajdą? - zapytał strażak.

- Pomyślą, że podróżuje na gapę. Będą się z tego śmiać.

- Nie. Zaczną węszyć.

- Głosujmy - zaproponowała Harper.

- Żadnego pierdolonego głosowania! To niebezpieczne. Kot zostaje na cmentarzu.

- Panie Rookwood - zaczęła Harper - mam dość ludzi, którym wydaje się, że mogą decydować, co dobre, a co nie dla innych. Wyszłam za mąż i przez pięć lat musiałam wysłuchiwać, że to, dzięki czemu czuję się jak człowiek, jest dla mnie złe. Byłam częścią kościoła,

Świętego Kościoła Śpiewaków w Świątyni Światłości, i wyglądało to mniej więcej tak samo. Czas na demokrację i dlatego będziemy głosować. Nie dąsaj się, ty też będziesz mógł oddać swój głos.

- Trzy głosy za głosowaniem! - krzyknęła Allie.

Strażak spiorunował ją i Nicka wzrokiem.

- W większości społeczeństw uważa się, że dzieci nie są wystarczająco wyedukowane, żeby zabierać głos w publicznych debatach.

- Większość dzieci nie uratowałaby twojego chudego, niewdzięcznego tyłka przed publicznym ukamienowaniem. Głosujemy. Wszyscy. A ja głosuję za tym, żeby kot jechał z nami - oświadczyła Harper.

- Ja wybieram przyszłość bez kotów - rzucił strażak i wskazał palcem Renee. - I ona też. Bo w przeciwieństwie do ciebie, Renee Gilmonton jest kobietą rozsądną i ostrożną, prawda, Renee?

Murzynka otarła wierzchem dłoni mokry policzek.

- John ma rację. Gdyby cokolwiek stało się dzieciom tylko dlatego, że wzięliśmy z sobą kota, nie darowałabym sobie. To przesadne ryzyko. Poza tym... to chyba wcale nie jest mój kot.

- Łziesz, Renee, widać to po tobie - warknęła Harper. Odwróciła się i wściekła spojrzała na rodzeństwo. - A wy? Jak głosujecie?

- Jestem za kotem - rzuciła Allie.

Nick uniósł kciuk.

- Zostaliście przegłosowani - oświadczyła Harper. - Pan Truffaut jedzie z nami!

Renee zadrżała; twarz miała przeraźliwie bladą.

- Harper. Nie. Naprawdę. Nie... nie możemy...

- Możemy - odparła Harp. - I zrobimy to. Demokracja, sukinsyny. Przyzwyczajcie się do niej.

Pan Truffaut wygiął się w pałąk u stóp Murzynki i posłał Harper spojrzenie, które mówiło, że jego udział w wyprawie był od początku przesądzony.

Harper przeciągnęła się w ciemnościach obok Renee i kota, który kulił się między nimi we wnęce za trzema rzędami gaśnic. Allie i Nick leżeli pod wężami strażackimi w drugim schowku. Harper zanurzyła twarz w sierści Pana Truffaut i z każdym wdechem czuła zapachy dziewięciu miesięcy sekretnego kociego życia: stęchlizny, kurzu, cmentarnej ziemi, piwnic, wysokich traw, plaży, rynien, kubłów na śmieci i mleczy.

Wóz warkotał i dudnił. Sądząc po ślimaczym tempie, z jakim się poruszali, i nieznośnym kołysaniu, wyjechali na South Street, na której było mnóstwo nierówności. Podskoczyli na wyboju, aż szczęknęły zęby.

- Jest dziewiąta rano. Naprawdę myślisz, że przed dwudziestą pierwszą będziemy w Machias? - spytała szeptem Renee. - To w ogóle możliwe?

- Kiedyś do Machias jechało się pięć godzin, ale nie wiemy, jak wygląda teraz autostrada międzystanowa. Jesienią ubiegłego roku paliło się od Boothbay Harbor aż do granicy. Tysiące hektarów. Kto wie, czy będziemy w stanie przejechać całą drogę. Jeśli będziemy musieli pokonać część albo większość drogi pieszo, zajmie nam to... hm... sporo czasu.

Mruczenie Pana Truffaut rozbrzmiewało echem w drewnianym schowku, przywodząc na myśl grę na tarce do prania w kapeli bluegrassowej.

- Ale jeśli drogi będą przejezdne, możliwe, że jeszcze dziś wieczorem dotrzemy na wyspę - dodała Harper.

- Nie wiemy, ile potrważą procedury. Ani jak często wysyłają łodzie.

- Ciepły prysznic... to dopiero byłoby coś.

- To szaleństwo. Następnego dnia będziesz marzyła o jedzeniu innym niż to z puszki - powiedziała Renee. - Spałaś z nim? - zapytała nagle.

Gdzieś z przodu chrupnęła skrzynia biegów i wóz zaczął przyspieszać. Najwyraźniej zjechali z South Street w Middle Road. Asfalt był tu nowszy i wciąż jeszcze równy.

- Nie - odparła Harper. - To znaczy... spaliśmy razem w jednym łóżku, ale do niczego nie doszło. Jego żebra, ręka... -Nie wiedziała, jak wytłumaczyć to, że przez cały czas była z nimi w pokoju inna kobieta, ta utkana z ognia. - A do tego ostatnio cięża za bardzo dawała mi się we znaki.

- Myślę, że da się to nadrobić, kiedy dotrzemy na wyspę. -Wóz zakołysał się i zaterkotał. - Szkoda, że ja i Gil nie mogliśmy tak. Żałuję, że nie było sposobu... ale Mazz zawsze kręcił się w pobliżu, zawsze był z nami w pomieszczeniu. Wiem, że żadna ze mnie seksbomba. Przecież dobijam pięćdziesiątki. Ale on tak długo siedział w więzieniu i...

- Jesteś do schrupania, Renee - powiedziała Harper. -Zatrzęsłabyś jego światem.

Murzynka zasłoniła dłonią usta i zadrżała.

Gaśnice uderzyły o siebie z metalicznym dźwiękiem.

Kiedy Renee się opanowała, spojrzała na Harper i zapytała:

- Ale się całowaliście. I powiedzieliście sobie słowo na literę „M”?

- Tak.

- To dobrze. Gil nigdy mi tego nie powiedział, więc ja też tego nie zrobiłam. Nie chciałam, żeby czuł się do czegokolwiek zobowiązany. Teraz żałuję. Mogłam zaryzykować. Nieważne, czy powiedziałby mi to samo. Ważne, że usłyszałyby to ode mnie.

- On wiedział - zapewniła ją Harper.

Szum opon zmienił się, był teraz niższy i jakby głuchy. Harper domyślała się, że mogą być na zjeździe do drogi stanowej I-95. To już za chwilę, pomyślała. Już za chwilę. Już za chwilę. Kiedy wjadą na most, usłyszą charakterystyczny stalowy jęk - dźwięk, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Punkt kontrolny znajdował się mniej więcej w połowie mostu.

- Żałuję, że nie powiedziałam mu tego dziś rano. Jeśli nas zatrzymają i znajdą, mogę już nie mieć okazji - odezwała się Harper. W miarę jak samochód przyspieszał, serce biło jej coraz szybciej. - Za to powiem to tobie: że bardzo cię kocham, Renee Gilmonton. Jesteś najzyczliwszą osobą, jaką znam. Mam nadzieję, że kiedy dorosnę, będę taka jak ty.

- Och, Harper. Proszę, zawsze bądź sobą. Jesteś idealna.

Wóz zwolnił, pod kołami zadźwięczał most.

Harper zamknęła oczy i wyobraziła go sobie: sześć pasów, trzy

prowadzące na południe i trzy na północ, oddzielone od siebie betonową wysepką. Dawniej można było wjechać do Maine bez zatrzymywania się, ale jesienią gubernator zdecydował postawić na granicy stanu posterunek kontrolny. Dwa z trzech pasów prowadzących na północ będą więc zablokowane: radiowozami, wojskowymi humvee albo betonową barierą. Ilu ludzi? Ile sztuk broni? Pisnęły hamulce pneumatyczne. Wóz strażacki zakołysał się i zatrzymał.

Rozległ się tupot butów. Harper usłyszała przytłumioną rozmowę, a zaraz potem salwę śmiechu. To śmiech Johna, pomyślała. Znowu rozmowa. Zauważyła, że wstrzymuje oddech, i powoli wypuściła powietrze.

- Mogę potrzymać cię za rękę? - szepnęła Renee.

Harper sięgnęła na oślep i w ciemnościach odnalazła wilgotną, miękką dłoń Murzynki.

Drzwi z tyłu wozu uchyliły się na centymetr.

Wstrzymała oddech. Teraz, pomyślała, teraz zajrzą do środka. Ona i Renee kulily się bez ruchu pod kocem w wąskiej przestrzeni za rzędem gaśnic. Harper doszła do wniosku, że to proste. Jeśli zajrzą za gaśnice, wszyscy zginą. Jeśli nie, wszyscy przeżyją poranek.

Drzwi otworzyły się o kolejny centymetr i poirytowana, zastanawiała się, dlaczego ktoś po prostu nie otworzy ich na całą szerokość.

- Boże - szepnęła Renee, jakby zrozumiała coś, co do Harper dotarło chwilę później.

Harper oparła się na łokciach, serce podeszło jej do gardła.

Nikt nie otwierał drzwi do schowka. Otworzyły się od wewnątrz. Pan Truffaut wystawił łepkę i wyglądał na świat. Wysunął się nieco dalej, otwierając je o kolejne centymetry i zeskoczył na ziemię. *Dzięki za podwózkę, dzieciaki, ale tu wysiadam.*

Renee tak mocno ścisnęła jej rękę, że Harper bolały palce.

- Jezu - szepnęła Murzynka. - Boże.

Harper uwolniła rękę, przykucnęła i wyjrzała znad gaśnic. Zobaczyła skrawek cudownie błękitnego nieba, które w oddali zmieniał kolor na biały i szary, i wygięty fragment mostu od strony New Hampshire.

Na ich drodze stały wraki samochodów, blaszane cmentarzysko, które zaczynało się przed mostem i kończyło daleko za nim. Drogę

blokowała co najmniej setka pustych pojazdów: wszystkie próbowały przejechać przez blokadę i utknęły. Dziury po kulach zasnuły szyby pajęczyną pęknięć, szpeciły dachy i drzwi.

Z przodu samochodu dolatywały głosy. Ktoś mówił: „Chyba żartujesz. Kiedy to coś ostatnio widziało serwis?”.

Harper delikatnie dźwignęła jedną z gaśnic i z cichym brzęknięciem odsunęła na bok.

- Nie - szepnęła Renee, ale Harper nie zamierzała dyskutować. Jeśli ludzie na moście zobaczą kota, zaczną coś podejrzewać.

Odsunęła kolejną gaśnicę. Brzęk.

- Zwykle wyprowadzamy go z garażu na Czwartego Lipca. Oblewamy dzieciaki wodą, mają niezły ubaw. - Głos, który dobiegał z przodu wozu, był dziwnie znajomy. - Nie miałyby takiej frajdy, jakbyśmy lali wodę pod pełnym ciśnieniem. Ładowałyby na gałęziach pieprzonych drzew.

Co najmniej sześciu mężczyzn nagrodziło komentarz salwą śmiechu. Dopiero wtedy dotarło do Harper, skąd zna ten głos. To strażak udawał Dona Lewistona.

Pchnęła drzwi i wystawiła głowę.

Powietrze pachniało rzeką; był to słodkawy mineralny zapach, przez który przebijała się delikatna woń zgnilizny. Na drodze za samochodem nie było nikogo. Strażnicy stali wokół szoferki. Na prawo biała budka z brudnymi szybami z pleksiglasu świeciła pustkami. Leżące na laminowanym blacie CB-radio rzęziło i chrzęściło.

- Masz niezłe pokiereszowany przedni zderzak. Przywaliłeś w coś ostatnio? - spytał jeden z mężczyzn.

- A, to! To było parę miesięcy temu. Myślałem, że mam przed sobą cholerną wyrwę w asfalcie, a okazało się, że przejechałem przez priusa, w którym siedziała para palników. Ups!

Tym razem Johnowi odpowiedziało więcej śmiechów i były one głośniejsze.

Stojący na drodze Pan Truffaut spojrział na Harper, mrużąc oczy, ziewnął, podniósł tylną łapkę i rozpoczął poranną toaletę.

- Nie ma cię na liście - rzucił jeden ze strażników. Nie był niemiły, ale z jego głosu zniknęła wszelka wesołość. - Mam tu listę wszystkich wozów jadących na północ. Nie ma na niej twoich tablic.

- Mogę rzucić okiem? - spytał strażak.

Zaszeleścił papier.

Harper postawiła stopę na asfalcie i wychyliła się, trzymając się zderzaka.

Kolejka stojących na poboczu wraków ciągnęła się jak okiem sięgnąć i znikwała za zakrętem. Harper zobaczyła kombi z podziurawioną przednią szybą; otwarte drzwi od strony kierowcy upstrzone były brązowymi plamkami zaschniętej krwi. Do tylnego siedzenia przymocowano dziecięcy fotelik.

- Tu - odezwał się strażak. - Ten tu. Oto moja ukochana.

Harper pomyślała, że na chwilę stracił swój akcent, i zastanawiała się, czy ktoś jeszcze to zauważył.

- Studebaker z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku? Nie jestem ekspertem, ale ten wóz nie wygląda mi na rocznik sześćdziesiąty trzeci.

- Nic dziwnego. Bo to nie rocznik sześćdziesiąty trzeci, tylko trzydziesty szósty. Przeszawili ostatnie dwie cyfry. Numery cholernych blach też się nie zgadzają. Te na liście są stare. Wymieniono je na zabytkowe trzy... kurwa, cztery? Co najmniej pieprzone cztery lata temu.

Facet westchnął.

- Komuś się za to dostanie.

- Taa. Możesz być pewny - rzucił strażak. - Pieprzyć to. Jeśli ktoś ma mieć kłopoty, równie dobrze mogą to być ja. Tylko jak to zrobią? Jeśli ktoś chce mnie opieprzyć, będzie musiał przyjechać na północ do Maine i mnie znaleźć. Daj mi długopis. Zapiszę poprawne numery tablic.

- Mógłbyś?

- Jasne. Nawet zaparafuję.

- Hej, Glen? Chcesz, żebym załatwił to przez CB? - zapytał ktoś. Głos miał młody, energiczny. - W pięć minut wyjaśnię to z ratuszem.

Harper chwyciła Pana Truffaut w obie ręce. Zwierzę miauknęło cichutko. Zamierzała wrócić do wozu strażackiego, ale zamarła i przerażonym wzrokiem spojrzała na pustą budkę strażniczą.

Zamontowana pod daszkiem mała kamera była zwrócona wprost na nią. Widziała siebie - choć trochę niewyraźnie - na niebieskawym

ekranie stojącego na blacie monitora.

Nadal gapiała się na siebie, kiedy zobaczyła jednego ze strażników. Był to młody chłopak z krótko przystrzyżonymi rudymi włosami i przewieszonym przez ramię M-16. Stał odwrócony do niej plecami. Gdyby obejrzał się przez ramię, zobaczyłby ją jak na dłoni. Jeśliby zajrzał do budki, zobaczyłby ją na monitorze. On jednak stał ze wzrokiem wbitym w kabinę wozu strażackiego, wskazując kciukiem białą budkę.

- Znam wszystkich w departamencie robót publicznych -oznajmił. - Mają tam listę wozów i zawsze ktoś tam jest - Alvin Whipple albo Jakob Grayson. Oni powiedzą nam, co robić.

Harper wepchnęła kota do schowka. Ostrożnie podniosła stopę, wyciągnęła nogę tak daleko, jak tylko mogła, i podciągnęła się.

- Dobry pomysł! Zrób tak! - zawołał strażak. - Nie, zaczekaj... cholera, wróć tu. Będziesz potrzebował swojej listy, żebyś mógł podać właściwe numery tablic.

Harper widziała przez uchylone drzwi, jak rudowłosego dzieciaka podbiega do szoferki. Chwilę później straciła go z oczu.

Cichutko zamknęła drzwi.

Podążyła kocią Renee, odstawiała na miejsce gaśnice - choć nie było to konieczne, bo nikt nie zajrzał do schowka - i w następnej chwili samochód ruszył. Przywarła do podłogi. Mięsień w jej lewej nodze drgał nerwowo.

Pan Truffaut mruczał cichutko. Renee głaskała go po głowie.

- Wiesz co, Harper? - zapytała szeptem.

- Co?

- To chyba nie jest mój kot.

Wóz strażacki zatrzymał się, delikatnie stoczył się kilkadziesiąt centymetrów w tył i ociężale, niemal niechętnie ruszył do przodu. Metalowe łączenia w asfalcie znów zaśpiewały pod kołami. Harper słyszała odległe pożegnalne „ding-dong” mosiężnego dzwonka.

Samochód przyspieszał, kierując się na północ.

- Udało nam się. - Renee odetchnęła i oparła się na łokciu. - Chyba jesteśmy bezpieczni.

Harper nie odpowiedziała. Nieznacznie uniosła głowę i na wspomnienie oka kamery uderzyła nią w stalową podłogę.

- O co chodzi? - spytała Renee z niepokojem.

Harper pokręciła głową.

Jechali przez jakiś czas. Miała wrażenie, że John rozpędził wóz do stu, stu piętnastu kilometrów na godzinę; czuła, jakby prześlizgiwali się po asfalcie. Pomyślała nawet, że z czasem szum opon i to dziwne uczucie prędkości ukołysze ją do snu.

Dziesięć minut później zwolnili jednak. Wóz stopniowo wytracał prędkość, aż w końcu zatrzymał się z chrzęstem żwiru pod kołami. Grad drobnych kamyczków uderzył o podwozie.

Zanim strażak otworzył drzwi do schowka, Harper była już na kolanach.

- Mamy kłopoty, tak? - zapytała bez zbędnych wstępów.

- Nie - odparł. Miał fatalny nawyk: kiedy kłamał, zawsze patrzył rozmówcy prosto w oczy. — Pomyślałem, że sprawdzę, czy nie macie ochoty usiąść ze mną z przodu.

Drzwi drugiego schowka otworzyły się. Allie wystawiła głowę i przeczesła ręką krótkie, szczeciniaste włosy koloru miodu.

- Zabierzcie Nicka. Śmierdzą mu stopy. On też może jechać z wami z przodu.

- W porządku - odparł strażak i chwycił chłopca pod pachy. Wyciągając go, skrzywił się.

- Nie powinienes go podnosić, John. Twoje zebra - mruknęła

Harper. - I chyba nie powinieneś się tu zatrzymywać. Jesteśmy zbyt blisko granicy.

- Musiałem dorzucić do ognia - odparł.

Harper wyczołgała się ze schowka, oparła ręce na krzyżu i przeciągnęła się. Pachnący piaskiem wiatr odgarnął jej włosy z czoła.

Byli na północ od przylądka Neddick, w dawnym rezerwacie przyrody. Od strony przylądka wszystko wyglądało tak jak kiedyś. Zielone od liści gałęzie potężnych, rozłożystych dębów kołysały się na wietrze. W płowej trawie bzycały pszczoły.

Widok po drugiej stronie drogi przypominał krajobraz księżycowy: morze popiołu, pełne poczerniałych drewnianych kikutów i osmolonych skał. Zwęglone szczątki drzew wyglądały jak cienie naszkicowane na szarawym tle. Trzydzieści metrów od szosy stał budynek z blachy falistej ze ścianami odkształconymi od gorąca i tak zdeformowanymi, że całość prezentowała się jak rysunek pięciolatka. Spalone pustkowie ciągnęły się jak okiem sięgnąć.

- Tak to wygląda? - rzuciła.

- Stan Maine? Z tego, co słyszałem, nie. Podobno dalej na północ jest jeszcze gorzej. - Strażak obejrzał się w kierunku, z którego przyjechali.

- Nie mam pojęcia, jak wyglądają drogi. Konwój wozów strażackich, do którego rzekomo należymy, miał jechać dziewięćdziesiątką do Yorku, tam wjechać na autostradę stanową i dalej na północ. My minęliśmy York i mamy przed sobą wielką niewiadomą.

Razem z Harper zeszli z drogi w płataninę zarośli. Strażak rozglądał się, szukając suchych gałęzi. Nick stanął na skraju lasu i odwrócony do nich plecami obsikiwał paprocie.

- To tylko kwestia czasu, zanim się zorientują, że nie powinni byli nas przepuszczać - zauważyła Harper.

- Teraz to bez znaczenia. Kiedy się zorientują, będą trzymali gęby na kłódkę. W końcu... dużo łatwiej ukarać dla przykładu ich niż nas. Nie muszą ich ścigać. Nie, myślę, że będziemy...

- Chyba nie rozumiesz. Na moście coś się wydarzyło. Coś poszło nie tak. Kot wyskoczył ze schowka. Bałam się, że ktoś go zobaczy i postanowi przeszukać samochód. Wysłałam więc, żeby go złapać, i zobaczyłam, że w budce jest kamera. Mają nagranie, które dowodzi, że przewoziłeś pasażerów na gapę.

- Jeśli w ogóle je zobaczą - odparł strażak. Obejrzał się przez ramię i rzucił: - Mówiłem ci, że przez tego kota będą same kłopoty!

- Jest coś, co mówisz chętniej niż: „a nie mówiłem”? - To były ulubione słowa Jakoba. Harper nie podobało się, że John i jej były mąż mają cokolwiek wspólnego. Na samą myśl o tym miała ochotę walnąć strażaka z całej siły.

On odwrócił się z naręczem rachitycznych gałązek i zaczął się przedzierać przez zarośla w stronę samochodu.

- Nikogo za nami nie wyślą - odezwał się w końcu. - Musisz to wiedzieć. New Hampshire jest odizolowane; teraz to państwo policyjne. Nie mogą nikogo za nami posłać. Nie będą ryzykować. Ludzie, których wyślą, mogą postanowić nie wrócić. Na tym polega problem państw policyjnych. Strażnicy więzienni również są więźniami i większość z nich ma tego świadomość.

Przez cały ten czas patrzył jej prosto w oczy, Harper wiedziała więc, że sam nie wierzy w to, co mówi.

Chwilę później stanął na stopniu wozu strażackiego i zaczął wrzucać gałązki do kopającego wiadra. Nie przerwał, nawet kiedy Nick wyszedł spod paproci.

„Dlaczego w szoferce stoi wiadro z węglem?” - zapytał w języku migowym.

Harper musiała użyć alfabetu palcowego, żeby mu odpowiedzieć.

„To pamiątka jego ulubionego ognia”.

„Ten koleś jest zdrowo rąbnięty - pokazał Nick. - Czasami zapominam o tym”.

„Uważaj, co pokazujesz, albo wyszoruję ci twoje brudne ręce mydłem, młody człowieku”.

„Ha, ha-rzucił chłopiec. - Zrozumiałem. Bardzo śmieszne. Naprawdę niezły żart dla głuchoniemych. Jak ten: Hej, czemu bąki śmierdzą? Żeby głusi też mogli się nimi cieszyć”.

Kiedy wyjechali na I-95, strażak wychylił się przez okno i potrząsnął mosiężnym dzwonkiem.

Im dalej jechali na północ, tym krajobraz coraz mniej przypominał ziemię. Wydmy szarego popiołu zalegały na drogach, niektóre tak wysokie i szerokie - blade wyspy puszystego pyłu - że najrozsądniej było zwolnić i je ominąć. Pejzaż miał barwę betonu. Osmalone drzewa stały po obu stronach drogi, lśniąc mineralnym blaskiem pod niebem, które z upływem dnia przybierało upiorną, różowawą barwę. Nic tu nie rosło. Harper słyszała, że trawa i chwasty szybko odrastają po pożarze, ale tu ziemię przykrywała skorupa zbrylonego popiołu - białawej gliny, przez którą nie przebijała się żadna roślinność.

Wiatr nawiewał kurz na przednią szybę i strażak włączył wycieraczki, które rozmazywały na szkle szare, długie smugi.

Jechali mniej więcej dwadzieścia minut, gdy Harper zobaczyła na wschodzie domy, rząd przyczep kempingowych na wzniesieniu. Nic z nich nie zostało. Przypominały czarne skorupy z wybitymi oknami i dachami, które zapadły się do środka. Przemykające za oknami, pogieęte, aluminiowe pudełka.

Jechali trzydzieści kilometrów na godzinę, omijając kopce popiołu i od czasu do czasu leżące na drodze drzewo. Przejechali nad strumieniem wąskim korytem pełnym szarego szlamu, który niósł z sobą rozmaite śmieci: oponę, powykręcany rower i coś, co wyglądało jak nadmuchana świnia w ogrodniczkach, wokół której kłębił się rój much. Kiedy Harper zobaczyła, że to nie świnia, zakryła Nickowi oczy.

Wjechali do Biddeford. Miasto wyglądało, jakby zostało zbombardowane. Wśród zawałonych ceglanych ścian sterczały czarne kominy. Osmalone słupy telegraficzne przywodziły na myśl rząd krzyży oczekujących na ofiary. Nad wszystkim górowały ruiny szpitala Southern Maine Medical, ogromne klocki w kolorze obsydianu, spomiędzy których wciąż unosił się dym. Biddeford było królestwem zniszczenia.

„Myślisz, że większość ludzi, którzy tu mieszkali, uciekła?” - zapytał Nick w języku migowym.

„Tak - odparła Harper. - Większość na pewno”.

Łatwiej kłamać przy użyciu rąk, niż wypowiadać kłamstwa na głos.

Wkrótce zostawili miasto za sobą.

- Myślałam, że spotkamy uchodźców - odezwała się Harper. - Albo patrol.

- Podejrzewam, że im dalej na północ, tym dym będzie gęstszy, a powietrze coraz bardziej zanieczyszczone. Może nawet trujące. Naturalnie nie dla nas. Myślę, że smocza łuska nie da zrobić nam krzywdy. Ale dla zdrowych... - John uśmiechnął się słabo. - Niewykluczone, że to ostatnie dni ludzkości. Mamy szczęście, że staniemy się częścią tego, co nastanie potem.

- Hurra - bąknęła Harper, spoglądając na ziemię jałowe. -To się nazywa mieć szczęście. Potulni odziedziczą ziemię. I na pewno nikt nie będzie rościł sobie praw do tego, co zostało.

Strażak włączył radio na FM i bawiąc się pokrętłem, słuchał białego szumu, odległych, stłumionych głosów, chłopięcego chóru, którego śpiew odbijał się echem od kamiennych ścian katedry, niewyraźnych dźwięków gitary basowej i mężczyzny krzyczącego, że czas *uciekać, uciekać*. Sygnał był słaby, pełen trzasków i zakłóceń, ale strażak pochylił się, nasłuchiwał przez chwilę, po czym spojrzał na Harper.

Ona również na niego spojrzała i w milczeniu skinęła głową.

- Czy mnie słuch nie myli? - zapytał.

- Na moje ucho to brzmi jak English Beat - odparła. -Niech pan jedzie, panie Rookwood. Gdzieś tam czeka nasza przyszłość. Wcześniej czy później do niej dotrzemy.

- Kto by pomyślał, że przyszłość będzie brzmiała tak jak przeszłość - powiedział w zamyśleniu.

Kilka kilometrów na północ od Biddeford strażak zdjął nogę z gazu i wóz zaczął zwalniać.

- Szczerze mówiąc - zaczął John - przejechaliśmy bez problemu jakieś sześćdziesiąt kilometrów, dużo więcej, niż się spodziewałem.

Osiemnastokółowa ciężarówka blokowała prowadzące na północ pasy autostrady. Jak wszystko, co widzieli do tej pory, ona również wyglądała, jakby w pobliżu eksplodowała bomba. Szkielet szoferki przypominał resztki zwęglonej skorupy. Zbiornik był czarny od sadzy, ale pod warstwą brudu Harper dojrzała znajome logo WALMARTU, a pod nim spadającą gwiazdę.

Na przetartej powierzchni nad logo ktoś napisał czerwonym sprayem:

PORTLAND NIE ISTNIEJE

DROGA NIEPRZEJEZDMA

ZDROWI? ZGŁASZAJCIE SIĘ DO DEKE'A HAWKINSA

W PROUTS NECK

ZAINFEKOWANI ZAROBIA KULKĘ

BOŻE, WYBACZ NAM I MIEJ NAS WAS W OPIECE

Strażak otworzył drzwi i wyszedł na schodek.

- Mam linę holowniczą. Może uda mi się odciągnąć ją na bok. Nie potrzebujemy za dużo miejsca, żeby ją ominąć. A skoro się zatrzymaliśmy, może powinniśmy podrzucić do ognia.

Nick i Harper poszli na tył wozu, żeby zobaczyć, jak się mają Allie i Renee. Dziewczyna stała na drodze i pomagała Murzynce wysiąść.

Renee była prawie tak szara jak otaczający ich krajobraz. Jedną ręką przyciskała do piersi kota.

- Jak się trzymasz? - zapytała Harper.

- Nie usłyszysz ode mnie słowa skargi - odparła Murzynka.

- Bez jaj - rzuciła Allie. - Ten kot drze się tak, że niczego nie słychać.

- Nasz mały autostopowicz nie lubi podróżować w schowku - powiedziała Renee.

- Może usiąść z nami z przodu - zaproponowała Harper. - Ty zresztą też.

Renee wyglądała na zmęczoną i poobijaną, ale słysząc to, uśmiechnęła się.

- Za żadne skarby!

- Ty też lepiej nie siadaj z tyłu, siostrzyczko Willowes - odezwała się Allie.

- Wystarczy, że wjedziemy w dziurę, a dziecko wyleci z ciebie jak pocisk.

Renee zbladła.

- To się nazywa mieć bujną wyobraźnię - bąknęła.

- Prawda? Kto ma ochotę wrzucić coś na ząb? - spytała Allie, sięgając do schowka po torbę z jedzeniem.

Harper zaniósła Johnowi puszkę brzoskwiń i plastikową łyżeczkę. Kiedy go zobaczyła, stał na masce osiemnastokółowca i osłaniając oczy, wypatrywał czegoś na autostradzie.

- Jak to wygląda dalej? - zapytała.

Usiadł i ześlizgnął się na ziemię.

- Nie za dobrze. Brakuje dużych fragmentów drogi, a jakiś kilometr stąd leży ogromne drzewo. No i wszystko nadal się kopci.

- To szaleństwo. Te pożary wybuchły... Ile? Osiem? Dziewięć miesięcy temu?

- I nie ustana, dopóki będzie miało co się palić. Cały ten popiół działa jak warstwa ochronna dla żarzących się pod nim węgli. - Zdjął kurtkę, pod którą miał poplamiony podkoszulek. Był środek dnia i od rozgrzanego asfaltu biło ciepło. - Pojedziemy tak daleko, jak się da. Potem zostawimy wóz i pójdziemy pieszo. - Przez chwilę spoglądał na jej brzuch. - Nie zamierzam cię okłamywać. Będzie gorąco i możliwe, że czeka nas kilka dni wędrówki.

Harper starała się nie łudzić, że jeszcze tej nocy dotrą na wyspę

Marthy Quinn - próbowała nie myśleć o czystej pościeli, ciepłym prysznicu i zapachu mydła - ale nie do końca jej się to udawało. Na wieść, że ich podróż będzie dłuższa i bardziej męcząca, straciła zapał. Zaraz jednak wzięła się w garść. Dobra wiadomość była taka, że byli w drodze i opuścili New Hampshire.

- No co? - zapytała. - Myślisz, że jestem pierwszą ciężarną kobietą, która musi trochę pochodzić? Masz. Zjedz brzoskwinie. Z pełnymi ustami przynajmniej na chwilę przestaniesz wygłaszać te swoje ponure przemówienia i uprawiać czarnowidztwo. Wiesz, że jesteś cholernie seksowny, dopóki nie otworzysz ust? Jak tylko to zrobisz, wyłazi z ciebie straszny dupek.

Otworzył usta, żeby zjeść brzoskwinie. Kiedy Harper go pocałowała, smakował słodkim, złotym syropem. A gdy się odsunęła, uśmiechał się do niej.

Nick, Renee i Allie nagrodzili ich oklaskami. W odpowiedzi Harper pokazała im środkowy palec i jeszcze raz pocałowała strażaka.

John i Allie przymocowali jeden koniec liny holowniczej do zaczepu z przodu wozu, a drugi do osiemnastokątowej ciężarówki. W tym czasie Harper zajrzała do naczepy z logo Walmartu. Wnętrze cuchnęło rozgrzanym metalem i spalonymi włosami, ale w drugim końcu stały drewniane palety. Szarpnęła jedną z nich, żeby zobaczyć, czy da się je połamać i wrzucić do wiadra.

Renee przyniosła łom i siekiere. Harper oparła paletę o osmaloną barierkę i zaczęła rąbać drewno, sypiąc dookoła sosnowymi drzazgami.

Mrużąc oczy w popołudniowym słońcu, Renee zajrzała do wiadra przyspawanego za szoferką.

- Miałam zapytać... - zaczęła.

- Lepiej nie.

- W porządku.

Harper przyniosła naręczce drewna, weszła na stopień i zajrzała do wiadra, gdzie rozżarzone węgle pulsowały czerwienią. Jeden po drugim zaczęła wrzucać do środka kawałki palet. Zajmowały się ogniem z przeciągłym sykiem. Wcisnęła do wiadra pięć szczap i zamarła, zastanawiając się, gdzie upchnąć kolejną, którą trzymała w dłoni.

Nagle zniekształcony jęzor ognia, podobny do drobnej, dziecięcej rączki wystrzelił z wiadra i pochwycił kawałek drewna. Harper krzyknęła, wypuściła deszczulkę i zeskoczyła z progu wozu strażackiego. Nogi miała jak z waty. Renee chwyciła ją za łokieć i podtrzymała.

- Słyszałam o jęzorach ognia - odezwała się szeptem. - Ale nie o rękach.

Harper pokręciła głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Strażak usiadł za kierownicą, zamknął drzwi i wrzucił wsteczny bieg. Łańcuch szczękął i napiął się do granic możliwości. Spod kół uniosły się smużki dymu, zazgrzytał metal, tył ciężarówki drgnął i zaczął się przesuwac.

Kiedy osiemnastokątowiec został ściągnięty na pobocze, Harper

mogła w końcu zobaczyć drogę. Niecałe sześć metrów za ciężarówką krater wielkości samochodu osobowego pochłonął jeden pas. Nieco dalej w podobnym leju zniknęła część drugiego pasa. Widziała też potężne drzewo, o którym mówił John - ogromny jesion skryształizowany przez ogień. Z daleka wyglądał, jakby był zrobiony z palonego cukru. Droga była długa i prosta; zniszczona nawierzchnia falowała w rozgrzanym powietrzu.

- Od tej pory musimy jechać wolno - oznajmił strażak.
Pomylił się.

Prowadzony przez strażaka wóz omijał ziejące w drodze rozpadliny, podtoczył się do zwalonego jesionu i stanął. Harper i pozostali zrezygnowali z podwózki i postanowili iść pieszo. Niebo nad ich głowami pociemniało, jakby zbierało się na deszcz. Chmury miały niepokojący łososiowy kolor, jak o zachodzie słońca, a przecież dopiero minęło południe. Powietrze wydawało się naładowane jak przed burzą. Ciśnienie zatykało uszy.

Strażak przywiązał linę holowniczą do drzewa i powoli zaczął cofać. Rozległ się ogłuszający trzask, a zaraz potem wiązanka przekleństw.

- Słyszałaś, co on powiedział? - rzuciła Renee. - Żadna kobieta tak nie potrafi. To niemożliwe z anatomicznego punktu widzenia.

John wyskoczył z szoferki. Lina holownicza oderwała od pnia grubą, trzymetrową gałąź.

- Musisz zawiązać linę wokół pnia - poinstruowała go Allie. - Albo połamiesz je na kawałki.

Nick, Renee i Harper usiedli na tylnym zderzaku wozu strażackiego, podczas gdy Allie i John oplatali liną masywny pień drzewa.

- Zagrajmy w grę - zaproponowała Renee. - W dwadzieścia pytań. Kto zacznie?

Harper przetłumaczyła jej słowa na język migowy, a zaraz potem powtórzyła to, co pokazał Nick.

- Chce wiedzieć, czy to zwierzę, warzywo czy rzecz.

- Mineral. Tak jakby. No pięknie. Kiepsko zaczęliśmy.

Harper pomagała tłumaczyć zarówno pytania, jak i odpowiedzi.

- Czy jest żółty? - zapytała w imieniu Nicka.

- Tak, ale i pomarańczowy.

- Chce wiedzieć, czy jest większy od samochodu.

- Tak. Dużo większy.

Nick gwałtownie poruszył rękami.

- Mówi, że to ciężarówka - powiedziała Harper.

- Nie! - odparła radośnie Murzynka.

Chłopiec zeskoczył ze zderzaka i zamachał rękami.

- Mówi, że to duża, pomarańczowa ciężarówka - przetłumaczyła Harper.

- Nie! - powtórzyła Renee i ściągnęła brwi. - Powiedz mu, że nie. Marnuje pytania.

Tymczasem Harper zeskoczyła ze zderzaka i obejrzała się na autostradę międzystanową.

- Musimy jechać - rzuciła.

Nick pobiegł na przód wozu. Ruszyła za nim, nie przestając krzyczeć. W jej drżącym głosie pobrzmiwała panika.

- John! Musimy jechać! Musimy jechać. Już! Natychmiast!

Strażak stał na stopniu z jedną ręką na kierownicy. Co chwila wychylał się i wykrzykiwał polecenia do Allie, która siedząc okrakiem na pniu drzewa, próbowała zawiązać linę. Kiedy usłyszał Harper, rozejrzał się, zmrużył oczy i popatrzył ponad jej ramieniem.

Na odległym wzniesieniu, półtora kilometra dalej, pomarańczowa ciężarówka odbijała promienie słońca. Nawet stąd Harper słyszała ryk silnika, gdy freightliner zbliżał się nieubłaganie.

- Allie, złaż z tego drzewa! - ryknął John.

Dziewczyna przyłożyła rękę do ucha i pokręciła głową na znak, że nie słyszy. Harper sama ledwie słyszała Johna ponad klekotem pracującego na jałowym biegu silnika.

Niewiele myśląc, wgramoliła się na stopień obok strażaka i najmocniej jak mogła, uderzyła w mosiężny dzwonek. Allie, widząc jej minę, zeskoczyła z pnia i puściła się pędem.

- Do wozu, do wozu! - wrzasnął John. - Szybko, muszę cofnąć.

Allie w biegu chwyciła Nicka, poderwała go z ziemi i trzymając w ramionach, pobiegła na tył wozu.

Dziesięć sekund później strażak wrzucił bieg wsteczny.

Zwalone drzewo niczym kotwica trzymało wóz w miejscu. Opony tarły o asfalt. Harper stała na stopniu, jedną ręką trzymając się drzwi, a drugą opierając na ramieniu Johna.

Freightliner Jakoba był kilkaset metrów dalej; w stłuczonej szybie odbijały się promienie słońca. Harper słyszała świst, kiedy ciężarówka przyspieszała.

John dodał gazu i drzewo zakołysało się, obróciło i zaczęło sunąć po pokrytej popiołem drodze. Gałęzie łamały się z trzaskiem.

Niecały kilometr dalej pług freightlinera zahaczył o ciężarówkę Walmartu, rozdarł aluminiową naczepę i z metalicznym chrzęstem odrzucił ją z drogi.

Jesion utknął w rozpadlinie na drodze i ani drgnął. John zaklął. Wrzucił pierwszy bieg, podjechał do przodu, a zaraz potem zaczął gwałtownie cofać. Pisnęły opony. Harper zacisnęła zęby i z dudniącym sercem czekała na szarpnięcie.

Drzewo podskoczyło, runęło na ziemię wśród jęku łamanych konarów i przetoczyło się na tyle daleko, by oczyścić jeden pas.

- Odczepię linę - rzuciła Harper. Zeskoczyła i pobiegła na przód wozu.

- Pospiesz się, Willowes! - zawołał za nią strażak. Dźwięk nadjeżdżającego Freightlinera przerodził się w ogłuszający ryk. - Wsiadaj, wsiadaj!

Harper odczepiła linę holowniczą i podbiegła do szoferki od strony pasażera.

- Jedź! - wrzasnęła, czepiając się drzwi i wskakując na stopień.

Wóz strażacki potoczył się do przodu. Grube gałęzie z trzaskiem pękały pod kołami. Z chwilą gdy Harper wdrapywała się do kabiny, jechali z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. John ominął zwalone drzewo i dodał gazu, chcąc rozpędzić ciężarówkę na prowadzącym pod górę prostym odcinku drogi.

Ścigający ich pług uderzył w jesion i zepchnął go na bok jak piłkarz wykopujący piłkę poza boisko. Poczerniałe gałęzie odpadały od pnia w chmurach szarego pyłu. Spod maski freightlinera dobył się przeraźliwy pisk i Harper pomyślała, że pierwszy raz w życiu słyszy prawdziwy głos Jakoba.

Siadała na miejscu dla pasażera, gdy pomarańczowa ciężarówka uderzyła w tył wozu. Siła uderzenia przewróciła ją. Nogi Harper zawisły nad ziemią, podczas gdy ona, uczepiona drzwi, drugą ręką chwyciła oparcie siedzenia.

- Harp! - wrzasnął strażak. - O Boże, Harp, wsiadaj, wsiadaj!

- Szybciej - wydyszała. - Nawet nie waż się zwalniać, Johnie Rookwood.

Wierzgnęła nogami, ale nie była w stanie znaleźć dla nich oparcia. Środek ciężkości znajdował się w takim miejscu, że nieubłaganie

ciągnął ją w dół.

Odwróciła głowę, żeby zobaczyć, gdzie jest freightliner, i w tej samej chwili Jakob znów w nich uderzył. Wtedy go zobaczyła: jego wychudzoną, spoconą nieogoloną twarz, zapadnięte oczy i policzki. Nie uśmiechał się ani nawet nie wydawał się zły. Kręcił głową, jakby ktoś nafaszerował go silnym środkiem znieczulającym. Wyglądał jak bliski śmierci, chory na raka.

- Może, na litość boską, w końcu wsiądziesz?! - rzucił strażak. Jedną ręką trzymał kierownicę, ale nie patrzył na drogę. Przechylił się i wyciągał rękę nad siedzeniem pasażera, próbując chwycić Harper.

Rozpaczliwie machnęła ręką i zaczepiła palcami o jego palce. Szarpnęła ją, walcząc z cieniem aerodynamicznym, który chciał wyrwać ją z kabiny. Stopy Harper wierzgnęły w powietrzu, znalazła oparcie dla kolana i wdrapała się do wnętrza kabiny.

Wóz strażacki przez cały czas toczył się do przodu. Zaczepili o spaloną hondę civic zaparkowaną na lewym pasie autostrady międzystanowej. Tył hondy podskoczył, jakby pod tylnymi kołami samochodu eksplodowała bomba. Oni jednak przemknęli obok, zupełnie na to nie bacząc.

Wrak włókł się za nimi z metalowym chrzęstem. Chwilę później łopata pługa odrzuciła go na bok z wściekłym piskiem, który przywodził na myśl ludzki wrzask, i przy wtórze tłuczonego szkła.

Harper wreszcie udało się usiąść; otwarte drzwi kołysały się w przód i w tył. Chwyciła zwisający z sufitu, czarny skórzany uchwyt i wychyliła się, oglądając się za siebie.

- Co ty, kurwa... - zaczął strażak.

Czuła, że wypełnia ją pieśń, pełna gniewu i smutku, pozbawiona słów i melodii. Dłoń jej płonęła. Ręka Harper stanęła w ogniu jak nasączona benzyną szmata, do której ktoś przytknął zapałkę. Ulepiła z płomieni niebieską kulę ognia i cisnęła ją za siebie. Ognisty pocisk uderzył w szybę freightlinera, rozlał się po niej niczym niebieski wachlarz i... zgasł.

Wyrzucała za siebie kolejne kule ognia. Jedna z nich odbiła się od lusterka na drzwiach kierowcy. Kolejna uderzyła w pług, na chwilę zmieniając łopatę w płytkie naczynie wypełnione syczącym białym ogniem. Za czwartym razem pocisk skręcił jak podkręcona piłka i

uderzył w przednią oponę od strony pasażera. Koło wyglądało jak płonąca obręcz.

- Możesz go oślepić? - zapytał strażak.

- Co?

- Oślepić go! Na chwilę, na jakieś dziesięć sekund. Teraz, jeśli możesz. I na litość boską, zapnij w końcu pasy.

Ściągną na szyi Johna napięły się. Usta wykrzywił mu ohydny grymas. Wjeżdżali na wzniesienie w stronę estakady. Przód wozu strażackiego uderzył w pomarańczowy znak ostrzegawczy. Tablica przewróciła się, zanim Harper zdążyła zobaczyć, czego dotyczyło ostrzeżenie.

Wciąż nie zapięła pasów. Gdyby to zrobiła, nie byłaby w stanie wychylać się i bombardować spychacza ognistymi pociskami. Wystawiła głowę na upalne popołudniowe powietrze i obejrzała się na freightlinera. Jakob przyglądał się jej zza szyby pokrytej pajęczyną pęknięć, które biegły we wszystkich kierunkach od dziury po kuli, widocznej na prawo od kierowcy. Harper pomyślała, że tamtej nocy na dzwonnicy naprawdę niewiele brakowało, żeby Jamie Close postrzeliła go w płuco.

Wzięła głęboki oddech i cisnęła za siebie garść płomieni. Pocisk uderzył w szybę tuż obok dziury po kuli. Płomienie rozbiegły się po szkle, tworząc ognistą pajęczynę. Gdy kilka iskier wpadło do szoferki, Jakob wzdrygnął się i odwrócił głowę. Harper miała wrażenie, że na chwilę zamknął oczy.

Obróciła się, żeby zobaczyć, co dzieje się na drodze, i z przerażeniem stwierdziła, że estakada znikła. KONIEC MOSTU -właśnie o tym informował pomarańczowy znak. Wiadukt zapadł się częściowo, pozostawiając dziesięciometrową rozpadlinę najeżoną prętami zbrojeniowymi. W ostatniej chwili przyszło jej do głowy, że nadal nie zapięła pasów.

John wbił hamulec w podłogę i skręcił kierownicą, próbując ominąć przepaść.

Zrobił to za mocno i zbyt gwałtownie. Samochód zakołysał się na boki, palona guma zapiszczała na asfalcie. Spod samochodu niczym woda wylały się kłęby niebieskiego dymu. Harper miała wrażenie, że wóz strażacki zaraz się przewróci. John pochylił się nad kierownicą,

napierając na nią całym ciałem. Wóz zjechał w bok i zadrżał z siłą wiertarki udarowej. Urodzę, pomyślała Harper.

Freightliner wjechał bokiem w tył samochodu. Siła uderzenia obróciła wozem strażackim jak drzwiami obrotowymi. Przez ułamek sekundy Harper i John patrzyli w kierunku, z którego przyjechali, choć wciąż sunęli tyłem po asfalcie. Siła odśrodkowa cisnęła Harper na drzwi. Kierownica tak szybko obracała się w dłoniach strażaka, że wypuścił ją z krzykiem.

Odwrócenie w stronę New Hampshire nadal ślizgali się po nawierzchni, więc Harper nie usłyszała, jak freightliner przejechał obok, spadł z urwiska i runął dziesięć metrów w dół z hukiem, który zdawał się wstrząsnąć światem. Zupełnie jakby gdzieś w dole wybuchła bomba. Harper dzwoniło w uszach.

Nawet gdy wóz strażacki się zatrzymał, wciąż miała wrażenie, że się obraca. Zerknęła na Johna, który utkwiał w niej zdumione spojrzenie. Poruszył ustami. Wydawało jej się, że wymówił jej imię, ale nie miała pewności. Nick miał rację. Czytanie z ruchu warg jest trudne.

Machnęła rękami, jakby chciała ją przegonić. Wysiadaj! Mocował się z pasem bezpieczeństwa.

Skinęła głową, na drżących nogach stanęła na stopniu i zeszła na ziemię. Puściła drzwi, spojrzała na ziejącą w dole przepaść i poczuła, jak uchodzi z niej powietrze.

Tył wozu wisiał nad rozpadliną, złowieszczo kołysząc się w przód i w tył. Na jej oczach przechylił się w dół, a przednie koła obróciły się w powietrzu.

Harper zdążyła jeszcze wstrzymać oddech. Chciała zawołać Johna, kiedy zabytkowy samochód ześlizgnął się w rozpadlinę, zabierając go z sobą.

Harper podbiegła na skraj urwiska i spojrzała w dół na poskręcane pręty zbrojeniowe i skruszony beton. Wóz strażacki spadł na tył i przewrócił się na bok od strony pasażera. Z tej perspektywy nie mogła zajrzeć do szoferki i nie widziała Johna. Freightliner leżał na dachu. Gdzieś tam w dole coś się paliło, Harper czuła swąd palonej gumy.

Tylko szok trzymał ją w miejscu - naładowane emocjami, dziwne mrowienie, które czuła w zakończeniach nerwowych i czubkach palców. Wszyscy martwi, myślała. Wszyscy martwi, wszyscy martwi, John i Nick, i Allie, i Renee, i John, i Nick, i Allie, i Renee, i John, i Nick, i Allie, i Renee.

Bolało ją gardło; dopiero po chwili uświadomiła sobie, że krzyczy od przeszło minuty, i zmusiła się do milczenia. Musiała tam zejść. Zejść i zobaczyć, co może zrobić.

Odwróciła się i omal nie wpadła na Allie. Twarz dziewczyny lśniła od potu. Koszulkę miała przepoconą i dyszała ciężko.

- Sąd się tu wzięłaś? - zapytała Harper. - Jak się wydostałaś?

Niewidzącym wzrokiem spojrzała ponad ramieniem Allie - kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyła Nicka, który truchtał poboczem, ciągnąc za sobą Renee.

- Nie wsiedliśmy - odparła Allie. - Nie mieliśmy szans. Jak tylko dobiegliśmy do wozu, Renee ściągnęła nas z drogi i wepchnęła do rowu. Chwilę później ty i John odjechaliście. A właśnie! Gdzie jest John? Gdzie...

Allie krok za krokiem podchodziła na skraj urwiska. Harper chwyciła ją za ramię i odciągnęła, zanim dziewczyna zdążyła spojrzeć w dół.

- Nie patrz. Nie chcę, żebyście to oglądali. Zostańcie tu i nie schodźcie, dopóki was nie zawołam.

Harper chciała puścić się pędem, ale czasy, kiedy mogła swobodnie biegać, minęły kilka tygodni temu. Zaczęła więc zabawnie truchtać, podtrzymując rękami brzuch. Przeszła przez nagrzaną od słońca stalową barierkę i zjechała na pupie w dół, od czasu do czasu chwytając

się wysuszonych gałązek, żeby wytracić prędkość.

Autostrada w dole prowadziła na wschód i zachód. Wóz strażacki leżał na pasach biegnących na wschód, w kałuży ognia, która rozlała się po asfalcie. Benzyna, pomyślała przerażona Harper, to benzyna się pali, zaraz wybuchnie. Przeskoczyła nad płomieniami i podbiegła do szoferki.

Zajrzała do środka przez przednią szybę, pokrytą pajęczyną pęknięć. John leżał na boku, wciąż przypięty pasami bezpieczeństwa. Głowa opadła mu na ramię, z linii włosów i nosa kapła krew. Ale żył. Harper widziała, że jego pierś unosi się i opada.

Nie wiedziała tylko, jak go wydostać. Była w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby wspinać się naabinę. Nie mogła wybić szyby gołymi rękami, a poza tym bała się, że szkło pokaleczy Johna.

Drabina, przyszło jej do głowy. Nie ta duża, umieszczona na dachu, ale jedna z mniejszych, które widziała w tylnym schowku.

Przeskoczyła nad długą wstążką ognia (co właściwie się paliło, bo nie pachniało jak benzyna?) i przeszła na tył wozu. Drzwi wszystkich schowków otworzyły się przy upadku, a ich zawartość wysypała się na ziemię. Harper ostrożnie stawiała stopy między płataniną toporów strażackich i łomów. W pośpiechu niemal nadepnęła na kota i wzdrygnęła się, kiedy usłyszała miauknięcie.

Zatrzymała się i zrobiła krok w tył. Pan Truffaut spoglądał na nią ze smutkiem. W zielonkawych oczach zwierzęcia czaił się strach, sierść miał nastroszoną. Wyglądało na to, że Renee wydostała z wozu wszystkich oprócz niego.

- Biedaku - szepnęła Harper. Przykucnęła i wyciągnęła rękę w stronę kota. - Mój Boże, jak udało ci się przeżyć? Ciekawe, które ze swoich dziewięciu żyć właśnie wykorzystałeś.

- Wszystkie - rzucił Jakob. Zamachnął się łopata jak drewnianym młotkiem do krokieta i uderzył kota, jakby ten był piłką.

Pan Truffaut, martwy, ze skręconym karkiem, świsnął w powietrzu i poleciał w zarośla. Harper wrzasnęła, wyprostowała się i klapnęła na ziemię. Jakob oburącz uniósł łopata nad głowę. Widząc to, Harper cofnęła się. Po chwili łopata wbiła się w miękką asfaltową nawierzchnię między jej stopami.

Siedząc na ziemi, Harper cofała się przed nim, szorując pośladkami

po potłuczonym szkle i drobnych kamykach. Jakob przez chwilę siłował się z łopata, zanim udało mu się uwolnić ostrze, Harper miała więc czas, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Skórę na prawej ręce miał poparzoną i poczerniałą jak skórka pieczonego kurczaka. Pod pęknięciami widać było lśniące od ropy, różowe mięso. Prawa połowa twarzy też była osmalona, a z włosów po tej stronie wciąż unosiły się smużki dymu. Wiotką skórę na szyi szpecił stary czarny ślad po oparzeniu, w kształcie męskiej dłoni.

Ruszył w jej stronę, powoli i niezgrabnie, jakby zatracił swoją grację tancerza. Kiedy się odezwał, głos miał zachrypnięty i bełkotliwy. Usta w prawym kącie były zlepione.

- Miałem rację, kiedy mówiłem, że mnie zaraziłaś - zaczął. - Może nie smoczą łuską, ale czymś innym. Czymś znacznie gorszym. Przy tobie czułem się tak, jakbym miał stan podgorączkowy. Jesteś zarazą. Żerowałaś na mnie jak bakteria. Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę wyzdrowieć. Wyleczyć się z ciebie.

Znowu się zamachnął, ale Harper zdążyła się cofnąć i ostrze łopaty spadło na jedwabiste smużki dymu.

- Kiedyś myślałem, że będziesz moją muzą - dodał i parsknął śmiechem, który zabrzmiał dziwnie i fałszywie. - Że będziesz mnie inspirowała! Hm... koniec końców, chyba rzeczywiście tak było. To dzięki tobie odnalazłem swoje powołanie i teraz gaszę pożary. Jestem świetnym strażakiem. Gaszę pożary, zanim wybuchną. Widzisz? W pewnym sensie rzeczywiście byłaś moją muzą!

Byłam taką muzą jak ty pisarzem, pomyślała Harper i wcale nie było jej przykro. Nie z tego powodu. Jakob patrzył na nią przez pryzmat winy albo inspiracji i tak czy siak, postrzegał ją w kategorii paliwa. Zawsze była dla niego czymś, co należało spalić.

- Czy strażak żyje? - zapytał, wskazując głową wóz strażacki. - Chciałbym, żeby żył. Chciałbym uciąć ci głowę i położyć mu na kolanach, zanim go zabiję. Chciałbym, żeby ostatni raz spojrzął ci w oczy i wymówił twoje imię. Żeby wiedział, że nie mógł zatrzymać tego, co mi odebrał.

W myślach śpiewała piosenkę bez słów. Jej lewa ręka zaczęła mrowieć i kopcić, a zaraz potem rozjarzyła się i rozbłysła ogniem. Uniosła ją, ale Jakob uderzył ją łopata i płomień zgasł. Harper krzyknęła z bólu.

- On cię tego nauczył? - zapytał Jakob. - Oprócz tego, jak robić mu łaskę? Szkoda, że nie ostrzegł cię, żeby nie bawić się ogniem. Kobieta w twoim wieku powinna wiedzieć, jak kończą się takie zabawy. Małe dziewczynki, które bawią się ogniem, wcześniej czy później się poparzą. Spalą się i znikną.

Ona jednak nie słuchała. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Krew uderzyła jej do głowy i Harper nie mogła złapać oddechu.

- Patrz na mnie - powiedział. Ostrzem łopaty uniósł jej głowę, zmuszając ją, żeby spojrzała mu w oczy. - Mówię do ciebie, skarbie. Słyszałaś, co mówiłem? Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Małe dziewczynki nie powinny bawić się ogniem. W ten sposób ludzie robią sobie krzywdę.

- Tak - szepnęła. - Masz rację. Tak mi przykro, Jakob.

Zmrużył oczy i zaczął odwracać głowę.

W tym czasie kobieta utkana z płomieni pokonała połowę drogi dzielącej ją od Jakoba. Była jego wzrostu, z włosami, które tworzyły za nią długi na kilka metrów, pomarańczowo-czerwony welon. Była naga, choć jej drżące kształty sprawiały wrażenie, jakby uszyto je ze szkarłatnego jedwabiu. Jej oczy płonęły zimnym błękitem jak płomień lampy lutowniczej. Gdziekolwiek postawiła stopę, pozostawiała za sobą ślady z czerwonego ognia.

- Mama? - spytała Allie. Zbiegła z nasypu i stała dziesięć metrów dalej, trzymając za rękę Nicka. Głos miała piskliwy, zdumiony.

Kobieta cisnęła ognistą siekierą, która pojawiła się w jej dłoni, gdy tylko podniosła rękę. Ostrze uderzyło Jakoba w twarz. Wrzasnął, gdy płomień rozlały się po jego policzkach, czole i sięgnęły włosów. Sarah podniosła rękę i, jak poprzednio, w jej dłoni pojawiła się ognista siekiera. Postąpiła krok do przodu i rzuciła nią w Jakoba. Tym razem pocisk ugodził go w pierś i brudne, poplamione strzępy jego białej niegdyś koszulki zajęły się ogniem. Zrobił jeden niepewny krok przed siebie, nie widząc nic zza kłębow czarnego dymu, który zasnuł mu głowę. Kobieta utkana z ognia uskoczyła w bok jak torreador. Jakob potknął się i upadł na jedno kolano.

Sarah pochyliła się nad nim i delikatnie wzięła go w płonące ramiona.

Allie, obejmując Nicka, przykucnęła na dnie rozpadliny. Tuliła do piersi głowę brata, kryjąc twarz w jego ramieniu, przez co wyglądali jak dwie połówki orzecha włoskiego.

Płomień, który niegdyś był kobietą, podniósł się z ziemi i znad dymiących zwłok Jakoba Graysona. Zostawił za sobą swoją ofiarę i ruszył w stronę dzieci. Stopy Sarah zostawiały dymiące odciski w na wpół stopionym asfalcie.

Kiedy niespełna trzy metry dzieliły ją od córki i syna, usiadła po turecku z gracją baletnicy. Allie podniosła głowę i zerknęła na nią, a zaraz potem ścisnęła brata za ramię, dając mu znak, że może odwrócić wzrok.

Złote włosy Sarah falowały i trzaskały. Nawierzchnia pod nimi stopiła się, tworząc kałużę płynnej smoły.

„Mama?” - zapytał Nick w języku migowym.

Skinęła głową i poruszyła rękami.

„Kiedyś nią byłam - odparła. - Ale większość tego, kim byłam, spłonęła”.

„Tęskniłem za tobą” - wyznał chłopiec, a Allie dodała:

„Ja też. Bardzo”.

Sarah kolejny raz przytaknęła. Czubek jej głowy przywodził na myśl kielich wypełniony ogniem. Cokolwiek spalała, żeby z nimi pozostać - powietrze, miliony sporów - jej czas dobiegał końca. Kiedy zerwał się wiatr, zafalowała jak odbicie w niespokojnych wodach.

To była moja wina” - pokazał Nick.

„Nie możesz winić zapałki za to, że zaproszyła ogień - odparła utkana z płomieni Sarah. - Winny jest ten, kto ją zapalił. Ty byłeś tylko zapałką”.

„Nadal byłabyś z nami, gdybym nie próbował cię uczyć”.

„Ja wciąż jestem z wami. Zawsze. Miłość to jedna z tych rzeczy, które nie mogą spłonąć”.

Allie i Nick płakali. Być może Sarah również. Mały płomyk skapanął z

jej twarzy i zniknął, gdy opadł na ziemię.

Dzieci przemawiały do niej, poruszając rękami, a ona im odpowiadała. W pewnym momencie Harper, nie chcąc być świadkiem ich rozmowy, odwróciła się. To, co sobie mówili, było przeznaczone dla nich i tylko dla nich.

Dźwignęła się z ziemi i rozejrzała. Znad poczerniałych, powykręcanych zwłok Jakoba unosił się czarny, gęsty dym. Podeszła do wraku i spomiędzy brudnych zwojów węża strażackiego wyjęła koc gaśniczy. Przykryła nim głowę i ramię Jakoba i cofnęła się, machnięciem ręki próbując przegnać kłęby dymu, który cuchnął jak płonący kosz na śmieci.

Wpadła na kogoś, kto stał za jej plecami. Renee położyła dłoń na jej ramieniu.

- Widziałaś kota? - zapytała, zduszonym, ściśniętym głosem.

- Kot... nie przeżył, Renee. Nie przeżył upadku. Przykro mi.

- Och - jęknęła Murzynka i zamrugała. - A co z...

- Z Johnem? Żyje. Ale jest ranny. Będę potrzebować pomocy, żeby wyciągnąć go z wozu strażackiego.

- Tak. Oczywiście. - Renee obejrzała się na Allie, Nicka i płonącą kobietę. - A to... co to jest?

- Przyjechała z Johnem - wyjaśniła Harper.

- Ona... - zaczęła Murzynka, przełknęła z trudem ślinę, oblizała wargi i podjęła na nowo: - Ona... - Głos znowu uwiązł jej w gardle.

- To dawna płomienna miłość - dokończyła Harper.

Renee wsunęła łom pod róg przedniej szyby i wyłamała ją. Popękana tafla upadła na drogę w jednym kawałku jak pobrzękujący koc niebieskiego szkła z tysiącami pęknięć, który -nie wiadomo jakim sposobem - wciąż trzymał się razem. Obie z Harper wcisnęły się do szoferki, gdzie John wisiał nad ich głowami, przypięty do siedzenia pasami bezpieczeństwa. Harper przez chwilę patrzyła na świat jak przez czerwone okno witrażowe, kiedy do oka wpadła jej kropla krwi.

Wspólnymi siłami spróbowały go ściągnąć, tak by nie zrobić mu krzywdy, ale ledwie prawa stopa Johna dotknęła asfaltu, strażak otworzył oczy i zawył z bólu. Kiedy w końcu wywlokły go z wraku, Renee poszła poszukać czegoś, co mogłaby mu podłożyć pod głowę, i wróciła z torbą podróżną Harper, która równie dobrze mogła służyć za poduszkę.

- Chryste - jęknął. - Moja noga. Jest źle, tak? Nie mogę na to patrzeć.

Harper przesunęła dłońmi po jego nodze i nawet przez grubą gumę spodni wyczuła pod palcami złamaną kość udową. Nie było to złamanie otwarte i kość nie uszkodziła raczej tętnicy. Gdyby tak się stało, strażak nie zadawałby pytań. Straciłby przytomność w wyniku utraty krwi albo by nie żył.

- Poradzę sobie z tym - powiedziała. — Muszę ją nastawić, ale bez środków przeciwbólowych nie będzie łatwo. — Dotknęła jego piersi. Kiedy westchnął i zamknął oczy, przycisnęła jego głowę do torby podróżnej. - Bardziej martwię się żebrami. Znowu są połamane. Muszę się rozejrzeć za czymś do usztywnienia nogi. — Poczowała za plecami falę ciepła i nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto za nią stoi. - Tymczasem jest tu ktoś, kto dotrzyma ci towarzystwa.

Pocałowała go w policzek, wstała i odsunęła się.

Jej miejsce zajęła Sarah. Przyklęła na jedno kolano, spojrzała mu w oczy i Harper wydało się, że widzi jej uśmiech. Nie była jednak pewna. Twarz kobiety przypominała ogniste strzępy. Wcześniej Sarah przywodziła na myśl całun białego ognia z żarzącą się w piersi kulą

oślepiającego światła. Teraz na jej ciele dominowała przygaszona czerwień, skurczyła się i zmaląła - wzrostem była mniej więcej taka jak Nick.

- Och, Sarah... Spójrz tylko na siebie - wyrzeźił John. -Trzymaj się. Nazbieramy drewna. Zadbamy o ciebie. - Uniósł ręce, żeby powiedzieć to samo w języku migowym.

Sarah pokręciła głową. Teraz nie było wątpliwości, że się uśmiecha. Kobieta utkana z ognia zadarła brodę, pozwalając, by podmuch wiatru delikatnie szarpnął tym, co zostało z jej włosów, i wydawało się, że spogląda na Harper, że patrzy na nią rozmarzonym wzrokiem, jakim Harper często wpatrywała się w płomień. Po chwili mrugnęła do niej porozumiewawczo.

I zniknęła. Zapadła się w sobie, zmieniając się w kupkę rozżarzonych węgli. Tysiąc zielonych iskier wzbiło się w popołudniowe powietrze. Harper podniosła rękę, żeby przysłonić oczy, i poczuła na skórze delikatne pieczenie, kiedy deszcz żarzących się drobinek spadł na jej nagie ramiona, brwi, szyję i policzki. Wzdrygnęła się, ale uczucie mrowienia ustąpiło równie nagle, jak się pojawiło. Otarła dłońią twarz i zobaczyła na skórze smugę popiołu.

Roztarła ją między kciukiem i palcem wskazującym i patrząc, jak drobiny bladego popiołu ulatują z wiatrem, pomyślała o tym, co mówiono w trakcie uroczystości pogrzebowych - o tym, że człowiek z prochu powstał i w proch się obróci - o słowach, które dawały nadzieję na zmartwychwstanie.

John wodził dookoła przerażonym wzrokiem. Jego blada twarz była mokra od potu i umazana sadzą. Nie miał spodni. Prawe udo było czarne i opuchnięte, dwukrotnie grubsze niż lewe. Renee pulchnymi dłońmi podtrzymywała nogę w miejscu złamania, podczas gdy palce Harper dotykały jej nieco powyżej.

- Gotowy? - zapytała Harper.

John nieznacznie, niemal niechętnie skinął głową.

- Miejmy już za sobą te średniowieczne tortury - próbował żartować.

Allie stała dziesięć metrów dalej, ale kiedy strażak zaczął krzyczeć, odwróciła się do nich plecami i zatkała uszy. Połówki złamanej kości wróciły na swoje miejsce z chrupnięciem, które przypominało drapanie kamieniem po tablicy.

To Allie wpadła na pomysł, żeby zrobić tragi. Z fragmentów drabiny strażackiej i rozłożonych na niej koców stworzyła coś w rodzaju noszy, do których przywiązali strażaka, przeciągając elastyczne liny w okolicach goleni i kości biodrowych. Kawałek liny zabezpieczał też głowę rannego. Tylko tak mogli go unieruchomić, omijając przy tym złamaną kość.

John przez cały czas był przytomny, ale niespokojny; oddychał przez usta i od czasu do czasu próbował kręcić głową. Harper pomyślała, że z zapadniętymi policzkami i zmarszczonym czołem wygląda staro. Wydawał się zagubiony i miał tępy wyraz twarzy, na którego widok coś ścisnęło ją w sercu.

Renee zniknęła na chwilę i wróciła z mapą drogową Nowej Anglii, którą znalazła w jednym ze schowków freightlinera Jakoba. Harper rozłożyła ją sobie na kolanach i studiowała przez chwilę, po czym oznajmiła, że znajdują się prawie trzysta kilometrów od Machias.

- Pokonując trzydzieści kilometrów dziennie, dotarcie tam zajmie nam ponad tydzień - oznajmiła.

Czekała, aż ktoś zapyta, czy robi sobie jaja.

Tymczasem Allie przykucnęła, chwyciła końce prowizorycznych noszy i wyprostowała się. Głowa Johna znajdowała się teraz na wysokości jej krzyża. Twarz dziewczyny przypominała posępną, beznamiętną maskę.

- W takim razie lepiej się zbierajmy - rzuciła Allie. - Jeśli wyruszymy już teraz, może do zmroku przejdziemy piętnaście kilometrów. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy marnować czas. A wy?

Spojrzała na nich, jakby spodziewała się, że ktoś zaprotestuje. Tak się jednak nie stało.

- Ponad tydzień marszu - zastanawiała się na głos Renee. Zerknęła na brzuch Harper. - Siedem dni w drodze, trzydzieści kilometrów dziennie. Mhm. Kiedy masz termin?

- Mamy mnóstwo czasu - odparła Harper z wymuszonym

uśmiechem.

Tak naprawdę sama nie wiedziała, ale była prawie pewna, że do rozwiązania został niespełna tydzień. Pięć dni? Trzy?

Renee uratowała z wozu torbę z jedzeniem i wzięła z drogi torbę podróżną Harper. Dopiero gdy wspięli się na skarpę i wrócili na I-95, Harper zauważyła, że Nick niesie topór strażacki. Nie ma co, pomyślała, praktyczny z niego dzieciak.

W miejscach, gdzie droga nie była uszkodzona, pokrywała ją warstwa popiołu. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont widać było jedynie szarawoczarne wzgórza i strzelające w niebo spalone pnie sosen.

Kilka godzin przed zmierzchem dotarli do miejsca, w którym autostrada międzystanowa wpadała do czegoś, co kiedyś było rzeczką. Zasypane popiołem wody zmieniły się w gęstą breję barwy magnezu. Stojący w nich mercury rocznik siedemdziesiąty dziewiąty wyglądał jak gigantyczny robot-krokodyl patrolujący skażone wody kanału.

Allie położyła tragi na poboczu.

- Pójdę w górę strumienia i zobaczę, czy jest jakieś inne przejście.

- Wolałabym, żebyś nie chodziła sama - odparła Harper. - Nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać. Nie mogę utracić kolejnej bliskiej mi osoby, Allie.

Dziewczyna była zaskoczona tym wyznaniem. Obejrzała się na Harper ze zdumieniem, radością i zakłopotaniem, które sprawiały, że wyglądała na dużo młodszą, niż była w rzeczywistości. Zamrugła gwałtownie i Harper pomyślała, że jeszcze chwila i dziewczyna się rozplacze. Ona jednak rzuciła jej krzywy uśmiech.

- Wróć - zapewniła ją. — Obiecuję. Poza tym - wzięła toporek z rąk Nicka - nie tylko moja mama wie, jak rzucać czymś takim.

Zeszła ze stromego zbocza, machając siekierą, żeby przedrzeć się przez sięgającą ramion trawę.

Wróciła o zmierzchu, kiedy niebo przybierało niezdrowy żółtawy kolor. Gdy Harper zapytała, czy coś znalazła, Allie skinęła niemrawo głową i nie odezwała się ani słowem.

Rozbili obóz nad brzegiem rzeki, pod występem zawalonego mostu. W nocy strażak zaczął majaczyć.

- *Dym dymi tu, dym dymi tam, znajdź trochę wody, zanim spłonę ja! Dym dymi tu, dym dymi tam, naszczasz mi na głowę, jeśli spłonę*

ja?

- Ćśśś... - Harper obejmowała Johna w pasie i tuliła się do niego, żeby go ogrzać. Dzień był ponury i gorący, a powietrze wilgotne i gęste jak zupa, ale wraz ze zmrokiem nadciągnął chłód. Twarz strażaka była mokra od zimnego, lepkiego potu, choć szarpał kołnierzyk koszuli, jakby się bał, że udusi się z gorąca. - Ćśśś. Spróbuj zasnąć.

Załopotał rzęsami i powiódł dookoła oszalałym, zdezorientowanym wzrokiem.

- Czy Jakob nadal nas ściga?

- Nie. Już go nie ma.

- Wydawało mi się, że słyszałem jego pług. Myślałem, że się zbliża.

- Nie, ukochany.

Poklepał ją po ręce, już nieco opanowany, pokiwał głową i kolejny raz zapadł w krótki, niespokojny sen.

Większość następnego poranka spędzili, wracając po własnych śladach i cofając się do zjazdu z autostrady, który znajdował się obok zwęglonych ruin restauracji Pizza Hut. Strażak przespał większą część drogi. Kiedy się obudził, rozglądał się oszołomionym, nierozumiejącym wzrokiem.

Nie miał zbyt wiele do powiedzenia i czasami trzeba było kilka razy powtarzać pytanie, żeby je usłyszał. Jego odpowiedzi były jednak rzeczowe i rozsądne. Tak, chciałby się napić wody. Tak, boli go noga, ale jakoś daje radę. Klatka piersiowa nie boli aż tak bardzo, ale jest „ciężka” i „ściśnięta”. Kilka razy prosił Allie, żeby poluzowała linę na jego piersi. Na początku tłumaczyła mu, że nie ma na piersi żadnej liny, ale za trzecim razem zgodziła się, a on jej podziękował i porzucił temat.

Tylko raz zrobił coś niepokojącego. W rozmowie z Nickiem poruszył rękami. Odpowiedź chłopca była łatwa do zrozumienia, bo pokręcił głową. Nie. Zaraz potem pobiegł naprzód, żeby dogonić Harper, i siedł obok niej, jakby za wszelką cenę chciał unikać wzroku strażaka.

„Co ci powiedział?” - zapytała.

„Pytał, czy ciężarówka wciąż jedzie za nami. Ta wielka z pługiem. Kazał, żebym się obejrzał i sprawdził. Powiedziałem mu, że jej nie ma, ale mnie nie słyszał. Powtarzał, że na pewno nas ściga i jeśli się zbliży, będziemy musieli go zostawić”.

„Jest chory. Nie martw się. Pomieszało mu się w głowie”.

„Wiem - odparł Nick. — Coraz lepiej mówisz w języku migowym”.

Harper zamierzała powiedzieć „Może kiedyś nauczę mojego syna”, ale przypomniała sobie, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nigdy nie pozna swojego dziecka. Odda je komuś zdrowemu. Schowała rękę do kieszeni bluzy, chwilowo mając dość wszelkich rozmów.

Zatrzymali się na lunch pośród brzoź rosnących między dwoma pasami autostrady. Wzgórza po obu stronach drogi porastały spalone kikuty drzew, ale na małej wysepce w kształcie łyzy zachowała się

nietknięta przez ogień, porośnięta paprociami oaza zieleni.

Pili butelkowaną wodę i jedli precle. W pewnej chwili zaczął padać suchy grad, którego niewielkie kulki odbijały się od ich ramion, drzew i paproci. Harper zauważyła biedronkę, która spacerowała po jej dłoni i drugą na nadgarstku. Przeczesała palcami włosy i kolejne sześć biedronek spadło na ziemię.

Kiedy zadarła głowę, widziała ich setki. Nie: tysiące. Pełzały po pniach drzew albo rozkładały skrzydełka, dając się porwać podmuchom wiatru. Dryfowały wysoko w górze na prądach wstępujących niczym chmury burzowe. Renee dźwignęła się z ziemi. Setki owadów, które obsiadły jej ręce, tworzyły długie do łokci rękawiczki. Gdy je strzepnęła, spadły jak krople deszczu między paprocie. Owady przykryły Johna jak żywy koc; Allie musiała je strącić liściem paproci.

Tej nocy rozbili obóz w ruinach przydrożnej chatki. Zachodnia część domu spaliła się i runęła, grzebiąc kuchnię i pokój gościnny pod sterty zwęglonych patyków i poczerniałych dachówek. Ale wschodnie skrzydło domu, o dziwo, zostało nietknięte: biały siding, czarne okiennice, zaciągnięte rolety. Usadowili się w pomieszczeniu będącym niegdyś sypialnią dla gości, w której znaleźli starannie pościelone łóżko małżeńskie. Na poduszce leżał zwiędły bukiet białej kaliny. Były gość zostawił na ścianie wiadomość: RODZINA CROWTHERÓW ZATRZYMAŁA SIĘ TU W DRODZE NA WYSPĘ MARTHY QUINN. Napis opatrzone datą z jesieni ubiegłego roku.

Kiedy nastał mrok, John trząsał się jak w febrze i uspokajał się jedynie wtedy, gdy Harper tuliła się do niego pod kołdrą. Jego ciało błyszczało od gorączki, która nie miała nic wspólnego ze smoczą łuską. Harper była przerażona tą świetlistą gorączką. Ostrożnie przykładła ucho do piersi strażaka i słuchała niepokojących dźwięków, jak gdyby ktoś próbował wyciągnąć but z błota. A więc kolejne zapalenie płuc. Tym razem gorsze od poprzedniego.

Nick leżał po drugiej stronie łóżka. Znalazł egzemplarz *Ptasiego przewodnika Petersona* i przerzucał strony, oglądając obrazki w blasku płonącego palca.

„O czym myślisz?” - zapytała go Harper.

„Zastanawiam się, ile z tych ptaków wyginęło” - odparł.

Nazajutrz strażak lepił się od potu.

- Gorączka jest coraz wyższa - stwierdziła Renee, dotykając wierzchem dłoni zapadniętego policzka.

- Dopiero byłoby zabawnie, gdybym ugotował się na śmierć - wyrzucił głosem, od którego wszystkim ciarki przebiegły po plecach. Do końca dnia nie odezwał się ani słowem.

Brnęli w gęstych jak zupa, szarobrazowych oparach pod drzewami przystrojonymi girlandami brudnej mgły. Kierowali się na północ. Późnym porankiem słońce przypominało niewyraźny, brązowy dysk, który wypalał w powłoce chmur rdzawą dziurę. Gęste wyziewy ograniczały widoczność do kilku metrów. W pewnym momencie Harper zobaczyła coś, co wyglądało jak masywny motocykl oparty o ogrodzenie z drutu kolczastego. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że to martwa krowa o poczerniałej skórze, spod której tu i ówdzie przebijało zepsute mięso. W pustych oczodołach zwierzęcia roiły się muchy. Na ten widok Renee zaczęła kasłać i zakryła usta ręką w obawie, że zwymiotuje.

Był to pierwszy i ostatni raz, gdy tego dnia Harper słyszała, jak ktoś kaszle. Nawet oddech strażaka był dziwnie długi, powolny i regularny. Choć piekły ją oczy i nos, miałyby wrażenie, że oddycha czystym górskim powietrzem, gdyby nie brudna mgła, która kłębiła się u jej stóp. Nie czuła się taka świeża i wypoczęta od dnia, kiedy zostawili za sobą wrak wozu strażackiego.

Przyszło jej do głowy, że oddychają trucizną, równie gościnną dla ludzi jak planeta Wenus. A jednak nic się nie wydarzyło i niebawem Harper zapomniała o swoich podejrzeniach. Było oczywiste, że to wina smoczej łuski. Od jakiegoś czasu wiedziała przecież, że *Draco incendia trichophyton* zmienia zawarte w dymie toksyny w tlen. Świadomość tego sprawiła że wpadła na pewien pomysł. Zawołała do Allie, żeby się zatrzymała.

Dziewczyna była czerwona na twarzy i złana potem. Harper uklękła przy prowizorycznych noszach, rozpięła Johnowi koszulę i przyłożyła ucho do jego piersi.

Wciąż słyszała suchy, chrapliwy oddech, który zupełnie jej się nie podobał, ale pocieszała się myślą, że nawet jeśli nie jest lepiej, to na pewno nie jest gorzej. Strażak spał, rozciągając usta w krzywym, kpiarskim uśmiechu, dzięki czemu przypominał starego, dobrego

Johna. Otaczająca ich mgła działała jak namiot tlenowy. Nie uleczy zapalenia płuc - najlepszy w tym wypadku byłby antybiotyk - ale dzięki niej strażak zyska trochę na czasie.

Wczesnym popołudniem wyszli z oparów mgły w piękny, bezchmurny dzień. Promienie słońca odbijały się od każdego fragmentu metalu i pokrytego sadzą odłamka szkła. Kiedy w końcu zeszli z drogi, stan Johna znacznie się pogorszył. Gorączka podskoczyła, a na policzkach strażaka i jego poszarzałych zapadniętych skroniach perlił się pot. Co chwila oblizywał usta pozbawionym koloru, spuchniętym językiem. Szczekał zębami i rozmawiał z wyimaginowanymi ludźmi.

- Inkowie mieli rację, że czcili słońce, Ojciec - zwracał się do Ojca Storeya. - Bóg jest jednak ogniem. Samozapłon to niewątpliwie błogosławieństwo. Drewno, ropa, węgiel, człowiek, cywilizacja, dusza... Z czasem wszystko płonie. Ciepło, które wytwarzają, odchodząc, dla innych może być zbawieniem. Jedyłą prawdziwą wartością Biblii, konstytucji czy jakiegokolwiek dzieła literackiego jest to, że wszystkie doskonale nadają się do spalenia, a płonąc, choć na chwilę przeganiają chłód.

Tym razem zatrzymali się w hangarze lotniczym nieopodal małego prywatnego pasa do lądowania. Hangar, metalowy budynek z łukowatym dachem, był w środku pusty, ale w jednym z biur znaleźli czarną skórzaną kanapę. Harper zdecydowała, że powinni przywiązać Johna, żeby w nocy z niej nie spadł.

Kiedy zabrała się do pracy, jego rozbiegany, nieprzytomny wzrok spoczął na chwilę na jej twarzy.

- Ciężarówka. Dziś po południu widziałem ciężarówkę. Powinniście mnie zostawić. Spowalnim was, a pług jest coraz bliżej.

- Nie ma mowy - odparła, odgarniając mu z czoła kosmyk przeпоconych włosów. - Nigdzie się bez ciebie nie ruszę. Ty i ja, skarbie.

- Ty i ja, skarbie - powtórzył i posłał jej rozbijający uśmiech. - Co ty na to?

Kiedy zapadł w niespokojny sen, zebrali się na zewnątrz przy otwartych drzwiach do hangaru. Allie młotkiem roztrzaskała drewniany regał, a Nick jednym ruchem dłoni rozpałił ognisko z

resztek połamanych półek i podręczników do latania. Renee znalazła w szafce makaron, podczas gdy Harper trzymała garnek nad ogniem, czekając, aż woda się zagotuje. Płomienie lizały jej palce. Jedną z niewątpliwych zalet smoczej łuski było to, że kiedy człowiek nauczył się ją kontrolować, mógł darować sobie gadżety takie jak rękawice kuchenne.

- Jeśli on umrze - zaczęła Allie - ja się poddam. Mam gdzieś wyspę Marthy Quinn. Nawet nie lubię muzyki z lat osiemdziesiątych.

Ogień strzelał i syczał.

- W tym momencie powinnaś mi obiecać, że John nie umrze zwróciła się do Harper.

Harper milczała przez dziesięć minut, a kiedy w końcu się odezwała, powiedziała tylko:

- Makaron gotowy.

Nazajutrz późnym rankiem, powłócząc nogami, wyszli z za zakrętu i zatrzymali się.

W pierwszej chwili przystanęli zdumieni bogactwem kolorów. Po lewej stronie drogi widzieli to, do czego przyzwyczyli ich ostatnie dni: spalone drzewa, wysokie zbocze pokryte zwęglonymi gałęziami i zgliszczami. Ale prawą porastał szarozielony las. Gałęzie potężnych jodeł pokrywała warstwa popiołu, ale niższe drzewa wyglądały na zdrowe i nietknięte, a trawa pod nimi była bujna i zielona. Między drzewami zobaczyli lśniąca sadzawkę.

Po zielonej stronie drogi stał billboard niegdyś będący reklamą ubezpieczeń GEICO. Malutki gekon przekonywał, że w ciągu niespełna kwadransa można zaoszczędzić dolara albo dwa. Niżej czarnym sprayem zapisano wiadomość:

*NEW MAINE - WOLNA STREFA
ZAINFEKOWANI, WEŹCIE RĘKAWICE + KURTKI
NIE ZBACZAJCIE Z DROGI, IDŹCIE
NA PÓŁNOC DO MACHIAS
NA WYSPĘ MARTHY QUINN
ZAINFEKOWANI, MIEJCIE NA SOBIE PRZEZ CAŁY
CZAS POMARAŃCZOWĄ ODZIEŻ OCHRONNĄ!*

Na poboczu, nieopodal billboardu, stała zaparkowana stara półciężarówka załadowana pudłami po mleku pełnymi pomarańczowych rękawic roboczych. Obok nich leżała sterta pomarańczowych płaszczy nieprzemakalnych. Nick wspiął się na pakę, podniósł jeden z nich i odwrócił się, żeby wszyscy mogli go zobaczyć.

Na plecach za pomocą szablonu namalowano czarny symbol oznaczający zagrożenie ze strony organizmów żywych.

- I co teraz? - zapytała Renee.

- Wygląda na to, że musimy się przebrać - rzuciła Harper. - Będziesz taka kochana i znajdziesz mi jakiś płaszcz? Nie chcę się tam wspinać.

Dziesięć minut później ruszyli w dalszą drogę, ubrani w pomarańczowe peleryny i rękawice świadczące o tym, że są zainfekowani. Nie próbowali ubrać w nie strażaka, okryli go tylko pomarańczowym płaszczem.

Sadzawka, którą dostrzegli pośród drzew, okazała się jeziorkiem z gęstą, smolistą zawiesiną. Na nadbrzeżnych kamieniach gniły tysiące ryb, a powierzchnia jeziorka pokryta była warstwą popiołu, chociaż środek wydawał się czysty. Nad wodą ocalało kilka nietkniętych pustych chat, zbudowanych w czasach, kiedy nietrudno było o pozwolenie na budowę domu. Do drzwi nad symbolami oznaczającymi zagrożenie ze strony organizmów żywych przybito informacje.

- Zaczekajcie - rzuciła Harper i zostawiła swoich towarzyszy na drodze. Weszła po schodkach prowadzących do najbliższego domku i zaczęła czytać.

Dom ten jest tymczasowym schronieniem dla ludzi zainfekowanych Draco incendia trichophytonem, znanym również jako smocza łuska. Jeśli jesteś zdrowy, NIE WCHODŹ DO ŚRODKA.

NIE pij wody ani nie korzystaj z toalet. W lodówce jest woda butelkowana i jedzenie w puszkach. NIE bierz więcej, niż to konieczne. Obowiązuje CAŁKOWITY zakaz zamieszkiwania tu na dziko. Goście muszą opuścić domy w ciągu 12 godzin. Miejsce to JEST monitorowane przez lokalne służby porządkowe.

Przez cały czas miejcie na sobie pomarańczową odzież ochronną. Zainfekowani, którzy nie zastosują się do tego nakazu, zostaną uznani za wrogów i MOGĄ ZOSTAĆ ZASTRZELENI.

Znajdujecie się sto pięćdziesiąt sześć kilometrów od Machias, skąd będziecie mogli dostać się na wyspę Free Wolf do ośrodka dla zainfekowanych Draco incendia trichophyton.

- Co tam jest napisane?! - zawołała Allie.

- Że jeśli chcemy, możemy zostać tu na noc! - odkrzyknęła Harper, ale wiedziała, że tak się nie stanie. Było zbyt wcześnie, żeby

zatrzymywać się na postój.

Pchnęła drzwi i weszła do chaty. Pachniało tu dymem z fajki i zakurzonymi książkami jak w domach starszych ludzi. Kwiecista tapeta pożółkła, a na ścianie wisiał telefon z okrągłą tarczą.

Przeszła do kuchni z widokiem na sadzawkę. Pod jedną ze ścian stała lodówka z lat pięćdziesiątych w kolorze bananowego shake'a. Obok tylnych drzwi z siatką przeciw owadom wisiał obrazek Niedźwiadka Smokeya w prostej drewnianej ramce. TYLKO TY MOŻESZ ZAPOBIEC POŻAROM LASU.

Włączniki światła nie działały. Harper zajrzała do lodówki i znalazła cztery zgrzewki butelkowanej wody o temperaturze pokojowej. W łazience było ciemno jak w piwnicy i minęła chwila, zanim Harper znalazła po omacku szafkę z lekarstwami.

Kiedy pięć minut później wyszła z domku, w jednej ręce trzymała zgrzewkę wody, a w drugiej buteleczkę bayerowskiej aspiryny. Usiadła w kucki na brukowanej ścieżce i kamieniem startła na proszek cztery tabletki. Podała je Johnowi na łyżeczce i kazała popić odrobiną wody.

- To go postawi na nogi? - spytała Allie.

- Na pewno obniży gorączkę - odparła Harper. Przynajmniej na jakiś czas, dodała w myślach. Aspiryna nie zatrzyma infekcji układu oddechowego i jeśli wkrótce nie znajdą antybiotyku, John udławi się własnymi płynami ustrojowymi.

- *Dym dymi tu, dym dymi w szlugu. Jedzie Jakob w swoim pługu. Dym dymi tu, dymi każda chata, a co się nie spali, czeka koniec świata.*

Harper pocałowała go w mokry od potu policzek, wstała i skinęła głową na Allie. Dziewczyna bez słowa pochyliła się i chwyciła końcówki prowizorycznych noszy.

- Idziemy - zarządziła Harper.

Zostawili za sobą jeziorko i niebawem wkroczyli w kolejną strefę zgliszcz i popiołów. Niebo zasnuwały kłęby dymu, a wiejący od czasu do czasu wiatr wzbijał tumany kurzu. Pocili się w płaszczach przeciwdeszczowych. Harper miała usta i oczy pełne popiołu. Jego płatki osiadały na długich rzęsach Allie, na jej brwiach i w szczeciniastych włosach. Z podrażnionymi od pyłu, zaczerwienionymi oczami wyglądała jak albinos. Kiedy zatrzymali się na odpoczynek, Harper zmierzyła Johnowi puls. Był niski i nierówny. Skruszyła kolejne cztery tabletki aspiryny i podała mu je.

Późnym popołudniem weszli na wzgórze i spojrzeli na zielen, która ciągnęła się po obu stronach drogi. Po prawej kołysały się na wietrze drzewa iglaste. Lewą porastała łąka rudobrunatnych traw okolona krzewami borówek, które za kilka miesięcy wydadzą owoce. Jakies półtora kilometra dalej zauważyli biały wiejski dom, stodołę i lśniący stalowy silos.

Kiedy podeszli bliżej, Harper zobaczyła kobietę, która stała na podjeździe i patrzyła na nich, przesłaniając ręką oczy. Gdzieś w dali szczęknęły drzwi. Zaszczekał pies.

Podeszli do płotu z nieheblowanych desek, za którym znajdowały się budynki gospodarcze. Czarny retriever biegał tam i z powrotem na łańcuchu i ujadał bez ustanku. Oczy zwierzęcia błyszczały radośnie.

Na płocie, powiewając na wietrze, wisiało białe prześcieradło. Ktoś napisał na nim czarnym flamastrem:

JESTEŚMY ZDROWI. PROSIMY, IDŹCIE DALEJ MACHIAS: 140 KM.

*NIECH BÓG MA WAS W OPIECE.
TAM CZEKA NA WAS POMOC.*

- Pieprzeni ludzie - szepnęła Allie.

- Ci pieprzeni ludzie mogą mieć dzieci - powiedziała Harper. - I może nie chcą, żeby spłonęły.

- Spłonęły! - wykrzyknął John Rookwood zachrypniętym głosem. Chwilę później suchy kaszel wstrząsnął gwałtownie całym jego ciałem.

Kobieta obserwowała ich ze szczytu schodów. W długiej do kostek sukience, niebieskiej dzinsowej koszuli i chuście, którą związane były jej siwiejące ciemne włosy, wyglądała, jakby pochodziła z ubiegłego stulecia.

Przy płocie ustawiono papierowe kubki z czymś, co wyglądało jak napój Gatorade o smaku pomarańczowym.

Nick sięgnął po jeden z nich i zerknął pytająco na Harper. Kobieta skinęła przyzwalająco głową.

- A jeśli to trucizna? - zapytała Allie.

- Są prostsze sposoby, żeby nas zabić - odparła Harper. - Mogliby nas zastrzelić. Kto chce się założyć, że facet, który obserwuje nas z okna na drugim piętrze, ma broń?

Zaskoczona Allie rzuciła okiem na dom. Mężczyzna z zapadniętymi policzkami i kruczoczarnymi włosami - zaczesanymi do tyłu i siwiejącymi na skroniach - przyglądał się im z jednego z górnych okien, na prawo od drzwi. Wzrok miał beznamiętny i nieruchomy. Oczy snajpera.

Kobieta patrzyła, jak piją, ale nie odezwała się ani słowem. Harper pomyślała, że pomarańczowy napój to tak naprawdę Tang. Zresztą, cokolwiek to było, smakowało wybornie słodko isprawilo, że przez chwilę poczuła się jak człowiek.

- Dziękujemy! - zawołała.

Kobieta skinęła głową.

Zamierzali odejść, lecz Harper zawahała się i pochyliła w stronę płotu.

- Nasz przyjaciel jest chory! Bardzo chory. Potrzebuje antybiotyku. Macie może jakiś?

Kobieta zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Spojrzała na strażaka przywiązanego do prowizorycznych noszy i znowu na Harper. Zrobiła krok w stronę płotu i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili okno na drugim piętrze otworzyło się na oścież.

- Idźcie dalej! - zawołał stojący w nim mężczyzna. Harper miała

rację. Rzeczywiście miał broń, choć nie mierzył w nich, tylko tulił ją do piersi. - Jeszcze krok, a kolejnego już nie zrobicie. Na północy jest miejsce dla takich jak wy.

- Jeden z nich jest chory! - zawołała do niego kobieta.

Jej mąż parsknął śmiechem.

- Oni wszyscy są chorzy.

Przez cały kolejny ranek Harper miała świadomość, że są obserwowani; czasami ukradkiem, czasami zupełnie jawnie. Staruszek w podkoszulku patrzył na nich zza drzwi z siatką przeciw owadom. Trzech małych i niemal identycznych chłopców, którym kapało z nosa, przyglądało się im z okna parterowego domu. Nick pomachał do nich, oni jednak nie odmachali.

Innym razem czarny samochód jechał za nimi w odległości pół kilometra, z chrzęstem tocząc się po wysypanej żwirem drodze. Kiedy się zatrzymali, on również się zatrzymał, a gdy ruszyli, on także ruszył. W środku siedziało czterech mężczyzn - dwóch z przodu i dwóch z tyłu - we flanelowych koszulach i kapeluszach z szerokim rondem.

- Chyba są uzbrojeni - zauważyła Renee. - Myślisz, że nic nam nie grozi? Albo lepiej nie odpowiadaj. Mówią że nie ma czegoś takiego jak głupie pytania, ale moje się chyba na takie kwalifikuje. Od miesiący nie jesteśmy bezpieczni.

Czarny wóz jechał za nimi przez ponad godzinę, aż nagle przyspieszył i zjechał z autostrady w wąską drogę gruntową. Jeden z pasażerów wyrzucił przez okno pustą puszkę po piwie, ale Harper nie była pewna, czy celował w nich. Nie widziała żadnej broni, lecz kiedy skręcali, siedzący z tyłu gruby, rumiany mężczyzna, wycelował palcami w Nicka i pociągnął za nieistniejący spust. Pif-paf!

Późnym popołudniem dotarli do factorii w Bucksport, która wyglądała jak dawna stajnia ze słupkiem do przywiązywania koni i toczonymi przez komiki futrynami z nieheblowanego drewna sosnowego. Nad drzwiami wejściowymi wisiało poroże. Stojący na zbitej z desek werandzie, niedziałający automat z coca-colą zbierał kurz. Błotnisty parking świecił pustkami. Na rozwieszonym przy wjeździe łańcuchu powieszono białe prześcieradło z namalowanym czarną farbą napisem:

TU WSZYSCY ZDROWI. CHORZY IDŹCIE DALEJ

Obok rdzewiejącego łańcucha stał składany stół, a na nim papierowe miski z rosółem z makaronem i ustawione w rzędki papierowe kubki z wodą.

Zapach zupy wystarczył, by ślinianki Harper zaczęły pracować jak oszalałe, a żołądek ścisnął się z głodu. Ale nie to ucieszyło ją najbardziej. Przy brzegu stołu stała buteleczka różowego syropu i mała plastikowa strzykawka, używana zwykle, by doustnie podawać lekarstwo psu albo małemu dziecku. Etykieta na buteleczce głosiła: ERYTROMYCYNA i zapisano na niej dawkowanie dla kogoś imieniem Lucky. Lekarstwo utraciło ważność przeszło rok temu i w buteleczce lepkiej od zaschniętego syropu było go niewiele ponad połowę. Pod lekarstwem ktoś umieścił wyrwaną z notatnika kartkę:

Podobno ktoś z was jest chory. To pomoże?

Harper sięgnęła po flakonik i spojrzała w stronę budynku. Czarnoskóry mężczyzna w opuszczonych na czubek nosa okularach w złotych oprawkach i we flanelowej koszuli przyglądał się im zza okna zastawionego bibelotami, wśród których Harper dostrzegła rzeźbionego drewnianego łośia i lampę z podstawą z drewna wyrzuconego na brzeg. Uniosła rękę w geście podziękowania, na co mężczyzna skinął głową i cofnął się w głąb pomieszczenia.

Wstrzyknęła Johnowi do ust pierwszą dawkę antybiotyku i podała mu aspirynę, podczas gdy pozostali siedzieli na skraju drogi i pili letni rosół.

Pomarańczowy znak OKREŻNA DROGA DLA ZAINFEKOWANYCH kierował ich na zachód, krętą wiejską drogą z dala od Bucksport. Zatrzymali się jednak przy drewnianym koźle (CHORYM WSTĘP WZBRONIONY), żeby spojrzeć na dróżkę, prowadzącą do miasteczka i dalej w stronę morza. Uliczka była obsadzona potężnymi dębami, za którymi ciągnęły się rzędy piętrowych i dwupiętrowych budynków w stylu kolonialnym. Było późne popołudnie i w niektórych oknach paliły się światła - elektryczne - a jedna z ulicznych latarni zalewała okolicę niebieskawym blaskiem.

- Boże - jęknęła Renee. — Wróciliśmy do części świata, gdzie wciąż mają prąd.

- Wcale nie - odparła Allie. - Tamta część świata jest po drugiej

stronie kozła. Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy spróbowali przez niego przejść?

- Nie wiem i nie mam zamiaru się przekonać. Będziemy szli tak, jak prowadzą nas znaki, i robili, co nam każą - odezwała się Harper.

- Tędy, proszę - rzuciła Allie. - Rampą w górę i prosto do rzeźni. W równym rzędku. Bez przepychanek.

- Gdyby chcieli nas zabić, mieli ku temu mnóstwo sposobności - zauważyła Renee.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - prychnęła Allie. - Jestem tylko zblazowaną nastolatką.

Nocowali na terenie obozowiska przeznaczonego wyłącznie dla „zainfekowanych”. Wejścia na wewnętrzną drogę gruntową strzegła para ogromnych drewnianych głów, wyrzeźbionych na podobieństwo szlachetnych wodzów indiańskich o smutnych oczach i w pióropuszech. Rozpięty nad drogą transparent głosił: CHORZY, ZATRZYMAJCIE SIĘ TU. WODA, JEDZENIE, TOALETY.

Spali pod stołami piknikowymi, a padający na drewniane deski deszcz skapywał im na głowy. Były tu jednak toalety, które po tygodniach załatwiania się byle gdzie i podcierania się szmatami wydały się im niewyobrażalnym luksusem. John zaskoczył Harper - przespał całą noc, oddychał równo i głęboko, a na jego wymizerowanej twarzy malował się spokój. Obudził się tylko raz, kiedy wstrzykiwała mu do ust kolejną dawkę antybiotyku; prychnął rozbawiony i spał dalej.

Spędzili w obozie większą część poranka, czekając, aż przestanie padać. Deszcz ustał w porze lunchu i po południu mogli wyruszyć w dalszą podróż. Chłodny wiatr szeleścił liśćmi potężnych dębów. Promienie słońca tańczyły na każdej mokrej powierzchni i zmieniały pajęczyny w usiane brylantami sieci.

Podążali za drogowskazami TĘDY ZAINFEKOWANI na północ i wschód — głównie na północ — omijając las i jezioro.

Na poboczu drogi, którą szli, ktoś ustawił składany stół, a na nim miskę pakowanych oddzielnie ciasteczek Oreo, stalowy dzbanek z cudownie zimnym mlekiem i plastikowe kubeczki.

W zasięgu wzroku nie było żadnych domów. Stół stał samotny na końcu drogi gruntowej prowadzącej między drzewa.

- Jest świeże - zauważyła Harper. Zamknęła oczy, delektując się smakiem mleka. - Nie stoi tu długo.

- Nie. Oczywiście, że nie. Przecież wiedzą, że idziemy -wychrypiął strażak.

Mleko mało nie wylało się Harper nosem.

Po chwili wszyscy klęczeli przy tragach. John patrzył na nich spod na wpół przymkniętych powiek. Jego zapadnięte od nagłej utraty wagi policzki porastał kilkudniowy zarost. Strażak był blady jak ściana, ale jego słaby uśmiech wydawał się czuły.

- Sam nie pogardziłbym łykiem tego mleka, siostrze Willowes - powiedział. - Jeśli, rzecz jasna, nie koliduje to z moim powrotem do zdrowia.

- Ależ skąd. Ale popijesz nim aspirynę.

Wsunęła mu rękę pod głowę, delikatnie ją unosząc, i przytknęła do ust Johna plastikowy kubek. Nie odzywała się ani słowem. Przez następne dziesięć minut Allie i Renee mówiły jedna przez drugą, a Nick gestykulował z ożywieniem i wszyscy naraz próbowali opowiedzieć to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Strażak patrzył to w jedną, to w drugą stronę, czasami potakiwał, próbując poświęcić każdemu z nich odrobinę uwagi. Harper nie wiedziała, ile zrozumiał z tych opowieści, choć nachmurzył się, kiedy Allie poinformowała go, że dziś rano opuścili Bucksport.

- We czwórkę nieśliście mnie aż do Bucksport?

- Nie - odparła Harper. - Tylko Allie.

- Na szczęście twój kościsty manchesterski tyłek jest lekki - odezwała się dziewczyna.

- Na szczęście nigdy nie wiesz, kiedy odpuścić - odgryzł się John. - Na szczęście dla mnie. Dziękuję, Allie. Kocham cię, mała.

Okazywanie uczuć nie przychodziło jej łatwo, więc odwróciła się w stronę drzew i zagryzając szczęki, próbowała przetrwać ten nagły przypływ czułości.

- Następnym razem postaraj się nie dać się zabić - mruknęła, kiedy w końcu odzyskała głos.

Nagle nikt nie miał nic do powiedzenia; zapadła przyjemna cisza, przerywana od czasu do czasu świstem chłodnego wiatru w drzewach i ptasimi trelami. Harper uświadomiła sobie, że trzyma Johna za rękę.

- Może wystaramy się dla mnie o jakąś kulę - zaproponował. - Albo sami ją zrobimy. Nie chcę dłużej być dla was ciężarem.

- Nie spieszmy się zbyt - odparła Harper. - Wczoraj o tej porze nie byłam nawet pewna, czy dożyjesz rana.

- Było aż tak źle?

- Kolego, myślałam, że się upaliłeś.
- Ha, ha - zaśmiał się. - Niezły żart, Willowes.

Strażak przespał większość kolejnej doby; budził się jedynie na posiłki. Na kolację zjedli zimny gulasz wołowy, który ktoś zostawił na poboczu w dużym stalowym garnku. Nie mieli talerzy, więc na zmianę jedli go z chochli.

Był pożywny - tak pożywny, że Harper zakręciło się w głowie - słony i miał kleistą konsystencję. Pływały w nim marchewki i miękkie kawałki wołowiny, a w smaku wyczuwało się wędzoną nutę bourbona. Harper nie dbała o to, że jest zimny. Nie pamiętała, by w całym swoim życiu jadła coś lepszego. John nie był w stanie pogryźć większych kawałków, ale udało mu się przełknąć trochę groszku i mniejszych kawałków wołowiny, a kiedy znów zasnął, Harper zobaczyła, że jego policzki odzyskały nieco koloru.

Nazajutrz wczesnym popołudniem dotarli do podnóża długiego wzniesienia. Rosnące po obu stronach dwupasmowej drogi dęby tworzyły nad nią liściasty, bladozielony baldachim. Przez kołyszące się gałęzie przeświecały promienie słońca, rysując na asfalcie roztańczone, świetliste refleksy. Droga na wzniesienie była ciężka i żmudna, ale widok ze szczytu rekompensował każdy wysiłek. Drzewa po prawej stronie rozstępowały się, odsłaniając ciągnące się kilometrami łąki i gęste lasy. Harper widziała pasące się krowy i dachy nielicznych budynków. Za nimi falował granatowy bezkres oceanu. Kiedy wzięła głęboki oddech, wydało jej się, że niemal czuje jego zapach.

John nie widział oceanu, kiedy przechodzili przez Bucksport, poprosił więc Allie, żeby odwróciła go tak, by mógł podziwiać widoki. Dziewczyna postawiła niemal pionowo drabinę, do której był przywiązany, a on tęsknym wzrokiem spoglądał na pola skąpane w złotym wczesnopołudniowym słońcu i ciemne wody oceanu. Podmuch wiatru odgarnął mu włosy z czoła. Za każdym razem, gdy Harper patrzyła na to czoło, miała ochotę je pocałować.

- To żaglówka? - zapytał, mrużąc oczy. — Czy ktoś poza mną widzi tam żaglówkę?

Wszyscy zaczęli wyteżać wzrok.

- Ja nic nie widzę - oznajmiła Renee.

- Ja też.

- Tak! Tam! - Wskazała Allie.

- Widzisz coś na żaglu? - zapytał John. - Małą plamę czerwieni?

Dziewczyna próbowała coś dostrzec.

- Nnnnie. Dlaczego pytasz?

Ale John odwrócił już głowę i gestykułując, zapytał Nicka, co on widzi. Chłopiec pokiwał głową i poruszył rękami, Harper nie zrozumiała jednak odpowiedzi.

- Co powiedział?

- Nick ma lepszy wzrok - odparł John z irytującą satysfakcją. - On też widzi małą, czerwoną plamkę.

- I co z tego? - drążyła Harper.

- Nigdy nie widziałaś *Bobbi Shaw* na morzu - odparł. - A ja tak. Kilka razy wypłynąłem na niej latem tego roku, gdy byłem opiekunem w obozie Wyndham. Na żaglu jest namalowany duży, czerwony krab.

- Nie - odezwała się Renee. - Wiem, do czego zmierzasz, John, ale to nie może być Don Lewiston. To niemożliwe. Minął co najmniej miesiąc. Nie mam pojęcia, ile czasu potrzeba, żeby dopłynąć żaglówką z Portsmouth w stanie New Hampshire do Machias, ale na pewno nie miesiąc.

- My w tym czasie natrafiliśmy na kilka przeszkód - powiedział łagodnie strażak. - Może Don też.

Stali jeszcze przez chwilę, aż w końcu Allie bez słowa odwróciła prowizoryczne nosze i podjęła przerwana wędrowkę. Renee i Nick ruszyli jej śladem i wkrótce na wzniesieniu została już tylko Harper. Mrużąc oczy, wpatrywała się w dal.

Przed siebie. Na linię horyzontu. I odcinającą się na tle granatu maleńką, białą drzazgę.

Z widoczną na niej czerwoną plamką.

Tego ranka, kiedy znaleźli kulę, znajdowali się jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Machias.

To było dwa dni po tym, jak strażak obudził się i poprosił o szklanekę mleka. Allie nadal wlokła tragi - wydawało się to jedyną rozsądną opcją - a John odzyskał głos i wykorzystywał go, żeby uskarżać się i marudzić. Biadolił na swędzenie w miejscach, których nie mógł dosięgnąć, na obolałe plecy i słońce, które świeciło mu prosto w oczy.

- Wolałam cię, kiedy byłeś umierający - skwitowała Allie. - Wtedy przynajmniej nie psioczyłeś.

- Uważaj, Allie. Ominęłaś jakąś dziurę. Chyba nie chcesz przerwać tej dobrej passy zaliczania wszystkich dziur i wybojów.

Dziewczyna zwolniła, wyprostowała się i przeciągnęła.

- Chcesz ode mnie odpocząć? Uważaj, o co prosisz, mądrało, bo twoje życzenie może się spełnić. Czy to jest to, co myślę?

Stała oparta o potężny, wiekowy dąb z zawieszoną na nim czerwoną chustą, żeby nie umknęła ich uwadze: kula ze stali nierdzewnej z podkładką pod pachę z żółtej pianki. Żadnego liściku ani wyjaśnienia. Za pobliskim płotem stała biała chatka, ale w oknach nie paliło się żadne światło. Jeśli ktoś ich obserwował... Harper była tego pewna, że tak jest, nie miała jednak pojęcia, gdzie ukrywa się ów człowiek.

Nick rozwiązał elastyczne liny, którymi John był przywiązany do drabiny, i pomógł mu wstać. Allie podtrzymywała go, kiedy wkładał kulę pod pachę, i chwilę później strażak testował nowy nabytek, chodząc w kółko i utykając. Kiedy Harper zerknęła na Renee, zauważyła w jej oczach łzy. Uśmiechnęła się i otarła jej policzki.

- Tyle dobroci - szepnęła wzruszona Murzynka. - Tak wielu ludzi się nami opiekuje. Czytałam kiedyś książkę Cormaca McCarthy'ego o końcu świata. O ludziach, którzy polowali na psy i na siebie nawzajem, i piekli dzieci. To było straszne. Ale potrzebujemy dobroci, tak jak potrzebujemy jedzenia. Dobroć zaspokaja coś, bez czego nie możemy funkcjonować.

- A może po prostu chcą, żebyśmy się pośpieszyli - wtrąciła się Allie.
- Im szybciej ruszymy dalej, tym szybciej będą bezpieczni.
- Trudno to sobie wyobrazić po tym, jak zostawili nam tyle jedzenia. Zupę, dzbanki mleka, świeży chleb. Nie sądzę, żeby mieli w tym jakiś ukryty, nieczyny cel.
- Jaś i Małgosia też tak myśleli - rzucił kpiarsko strażak. - Kuśtykamy dalej? Chętnie rozprostuję jedną zdrową nogę.

Wytrzymał raptem pięć minut i drżąc, usiadł na krawężniku, blady, zlany potem, po czym zgodził się, by na powrót przywiązano go do drabiny. Przestał marudzić i znosił wszelkie niedogodności z zaciśniętymi zębami.

Rankiem następnego dnia szedł wsparty na kuli przez pół godziny i przez kolejne dwadzieścia minut po południu. Dwa dni później czuł się znacznie lepiej i dotrzymywał im kroku prawie do południa.

Czwartego dnia po tym, jak znaleźli kulę, kuśtykał od śniadania aż do przerwy na lunch i odpoczywał tylko wtedy, gdy Harper mu kazała. Lunch składał się z gumowatych, brązowych babeczek i kanapek zawiniętych w papier woskowany. Ktoś zostawił je w reklamówce zawieszonej na skrzynce na listy na końcu wysypanego żwirem podjazdu. Harper rozpakowała jedną z kanapek i poczuła nieprzyjemny zapach.

Zjedli tylko babeczki... na początku. Ale po jakimś czasie Harper złapała się na tym, że mimowolnie wzięła reklamówkę, zanurzyła w niej rękę i sięgnęła po kanapkę.

- Mam nadzieję, że się od tego nie pochorujesz - odezwała się Renee.
- Jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży.

- Dziewięć miesięcy. Właśnie dlatego ją jem — odparła Harper. — Nie mogę się powstrzymać.

Po trzecim gryzie w końcu poczuła smak i wiedziała, że kanapka jest zepsuta. Z początku nie zwracała uwagi na lekko oślizgłą wędlinę i kwaśnawy smak, który kojarzył się z posocznicą. Po chwili jednak wypłuła to, co miała w ustach, i z odrazą wyrzuciła resztę kanapki w trawę.

Z poczuciem winy zlizywała z placów resztki musztardy, kiedy usłyszała głos strażaka.

- Stójcie!

Podniosła głowę, żeby zobaczyć, co przykuło jego uwagę, i ujrzała dwa jeepy zaparkowane przodem do siebie, tak żeby zablokować oba

pasy ruchu, i dwóch mężczyzn w żółtych gumowych ogrodniczkach, żółtych maskach z przezroczystymi przesłonami, żółtych butach i żółtych rękawiczkach. Harper rozpoznała ten strój, bo sama nosiła podobny, gdy pracowała jako pielęgniarka w Portsmouth Hospital. Mężczyźni byli uzbrojeni w karabiny szturmowe. Jeden z nich postąpił krok do przodu z ręką uniesioną dłonią do przodu. Harper nie wiedziała, czy chce im pokazać, żeby się zatrzymali, czy po prostu macha im na powitanie.

Allie stanęła, wzięła Nicka za rękę i ścisnęła ją, dając mu do zrozumienia, żeby też się zatrzymał. Renee przeszła obok nich jak gdyby nigdy nic.

- Naprawdę myślisz, że tak po prostu powinniśmy się poddać? - zapytała Allie.

Murzynka obejrzała się i rzuciła jej kpiące spojrzenie.

- Och, Allie, ci ludzie od dawna mają nas w garści.

W jednym z jeepów siedział trzeci mężczyzna. On też był ubrany na żółto, choć nie miał kaptura, więc Harper widziała gęste, siwe włosy i szeroką, pobrużdżoną twarz. Na opartym o kierownicę kolanie leżała cienka książka. Wyglądało to tak, jak gdyby rozwiązywał krzyżówkę.

- Pięcioro na drodze, Jim - oznajmił jeden z uzbrojonych mężczyzn głosem stłumionym przez osłonę maski.

Jim podniósł wzrok znad książki i rozejrzał się łagodnym wzrokiem. Miał duży, haczykowaty nos, jasne oczy i krzaczaste brwi. Odłożył krzyżówkę i wyskoczył z samochodu. Mijając swoich towarzyszy, w roztargnieniu położył dłoń na lufie jednego z karabinów i skierował ją w stronę asfaltu. Harper wzięła ten gest za dobrą monetę.

- Witajcie w Machias! - zawołał ten imieniem Jim, zwalniając nieco kroku. - Pokonaliście szmat drogi. Dorotka i Toto nie przebyli nawet połowy tego co wy.

- Zabierze nas pan do krainy Oz? - zapytała Renee.

- Może ta wyspa nie jest Szmaragdowym Grodem, ale mają tam przynajmniej ciepłą wodę i prąd - odparł Jim. Spojrzał na brzuch Harper i na chwilę jego uśmiech zgasł, a na twarzy pojawiło się zamyślenie i smutek. - Lekarzy też, choć ich szef, profesor Huston, zginął w styczniu w wielkim pożarze.

- W wielkim pożarze? - powtórzyła Renee. — Czy chodzi o to, o czym

myśle?

- Niestety, nie ma lekarstwa. Za to są liczne komplikacje. W tym jeden niefortunny wypadek, który był... hm... dość paskudny. No, ale nie mogliśmy nic zrobić. Cała grupa poddawana testom, trzydziestu zainfekowanych, dostała silnej reakcji na lekarstwo. Wszyscy spłonęli w ciągu zaledwie kilku godzin. Ogień wyniknął się spod kontroli i strawił laboratorium główne, choć ocalały personel przeniósł się do jednego z domów. Nie musicie się martwić. Daliśmy cynk, że jest wśród was kobieta w zaawansowanej ciąży. Który to miesiąc? -zwrócił się do Harper.

- Zdaje się, że jestem kilka dni po terminie - odparła.

Jim pokręcił głową.

- Przynajmniej nie musiałaś rodzić na drodze. Lekarze na wyspie wiedzą o twoim stanie. Przygotowali już nawet dla ciebie łóżko.

Harper zaskoczyła ulga, jaka na nią spłynęła. Przez chwilę czuła, że drżą jej kolana. Zupełnie jakby skurcz mięśni, który od jakiegoś czasu czuła w piersi, nagle ustąpił...

- Jeśli się pospieszymy, dotrzemy na miejsce przed północą - ciągnął Jim. - Czeka nas trzygodzinna podróż łódką, ale najpierw musimy załatwić formalności. Dobra wiadomość jest taka, że się was spodziewaliśmy. Łódź jest już załadowana i gotowa do odpłynięcia.

„Co on mówi” - zapytał, gestykulując, Nick.

Harper wyjaśniła mu, o co chodzi. Mężczyzna imieniem Jim przyglądał się jej. Brwi miał ściągnięte i uśmiechał się półgębkiem.

- Głuchy? - zapytał, a kiedy Harper przytaknęła, pokręcił głową. - Głuchy i zainfekowany. Niektóre dzieciaki mają szczęście. - Przykucnął, spojrzał Nickowi prosto w oczy i powoli poruszając ustami, powiedział głośno: - Tam, dokąd idziemy, jest mnóstwo dzieciaków! Będziesz miał się z kim bawić!

Chłopiec spojrzał na Harper, a ona powtórzyła słowa strażnika, używając języka migowego. Odpowiedź Nicka nie wymagała tłumaczenia, bo podniósł kciuk na znak aprobaty.

Jim skinął głową i wyraźnie zadowolony opuścił zasłonę maski.

- No już. Wskakujcie do jeepa.

Harper szła obok strażaka. Jedną ręką podtrzymywała go za łokieć, w drugiej niosła torbę z *Podręczną mamą* w środku.

- Mam tylko dwa pytania. - Podniosła głos, próbując przekrzyczeć nagły podmuch wiatru. - Kiedy dotrzemy do Marthy Quinn i czy ona spełnia prośby?

Jim, który sadowił się za kółkiem, obejrzał się na nią i przez plastikową osłonę zobaczyła jego uśmiech.

- Będziemy na miejscu, zanim się obejrzyicie.
Na drugie pytanie nie odpowiedział.

Po dwudziestu dniach wędrówki prędkość, z jaką poruszali się samochodem, wydała się Harper niepokojąca. Siedziała obok Jima. Renee i strażak zajmowali siedzenia z tyłu razem z wciśniętą między nich Allie i Nickiem na kolanach Renee. Towarzyszył im jeden z uzbrojonych mężczyzn, on jednak podróżował na pałąku zabezpieczającym dach, dyndając nogami nad tylnym zderzakiem, z bronią zawieszoną na pasku wokół szyi.

Harper poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, gdy Jim nawrócił i ruszył w górę wysypanej żwirem ścieżki. Samochód podskakiwał na dziurach i wybojach, a gałęzie jodeł smagały karoserię. Wyjaśnił, że dróżka ta nosi nazwę Słonecznego Szlaku.

- Kiedyś była to ścieżka rowerowa - rzucił przepraszająco. - I szlak turystyczny. Ale to najkrótsza droga, żeby dotrzeć do centrum dowodzenia bez konieczności jechania przez miasto.

Strażak pochylił się do przodu.

- Dziwię się, że nosicie te wszystkie ciuchy. Przecież po roku badań ci wasi eksperci wiedzą chyba, w jaki sposób dochodzi do zarażenia. Skoro my wiemy, to oni tym bardziej.

Jim słuchał, ale nie odpowiedział.

- To przez popiół! - wrzasnął John, próbując przekrzyczeć ryk silnika. — Ktoś, kto nie miał kontaktu z popiołem, nie ma się o co martwić!

- To tylko jedna z teorii - odparł strażnik z wymuszonym uśmiechem.

- To nie teoria, lecz fakt! - upierał się strażak.

- Jest pan biologiem?

- Wykładałem na Uniwersytecie New Hampshire.

- Na pewno ucieszy ich pańska obecność! - odkrzyknął Jim. - Zaraz zaprzęgną pana do pracy.

Powiedział to tak, że Harper nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje.

Kiedy wrócili na autostradę, zapadał zmierzch w kolorze płatków róży, jednak pod drzewami panował gęsty mrok, w którym gałęzie jodeł przemykały bezszelestnie niczym cienie. Pomiedzy drzewami Harper dostrzegła ujście rzeki - tafłę czarnego szkła pod płonącym niebem. Zauważyła rozsiane tu i ówdzie światła miasteczka, które znajdowało się gdzieś tam pośród nocy.

Strażak kolejny raz pochylił się do przodu.

- Wciąż macie prąd. Macie też zasięg w telefonach? Zastanawiam się, w jaki sposób ludzie, których spotkaliśmy po drodze, wiedzieli o naszym nadejściu.

- Jesteśmy niezmiernie wdzięczni każdemu, kto zostawił dla nas jedzenie! - zawołała Renee.

Harper także była wdzięczna każdemu, kto zostawił dla nich jedzenie, oprócz człowieka, który postanowił pozbyć się zjełczałych kanapek i podrzucił je kobiecie w ciąży. Czowała się, jakby miała w żołądku kłębowisko robaków.

- Taa, gdzieś tam jest jeszcze prąd. Choć często zdarzają się awarie. Nie mamy zasięgu, ale linia naziemna w Machias działa. To zasługa gubernatora. Z tymi, którzy mieszkają nieco dalej, komunikujemy się przez CB-radio. - Jim zastanawiał się przez chwilę, delikatnie kręcąc kierownicą. - Teraz rzadko kto przychodzi z południa - odezwał się w końcu. - Trudno przejść przez ziemie jałowe. W ogóle trafia do nas coraz mniej ludzi, ale kiedy już ktoś przybywa, to zwykle z północy. Z Kanady.

- Ilu ludzi uratowaliście?! - krzyknęła Harper. Pomyślała, że jeśli będzie mówiła, zapomni o nasilających się nudnościach.

- Sześćset dziewięćdziesiąt cztery osoby: mężczyzn, kobiety i dzieci - oznajmił z dumą Jim. - Z wami to będzie sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie, równe siedemset, jeśli policzymy dziecko. Nie można zapomnieć o dziecku!

- Musimy o tym porozmawiać - rzuciła Harper. - O tym, kto go weźmie, jeśli urodzi się zdrowy.

- Jak to?

- Minęło trochę czasu, odkąd czytałam literaturę medyczną, ale z tego, co pamiętam, istniała hipoteza, że jest małe prawdopodobieństwo, że dzieci matek zarażonych smoczą łuską

urodzą się chore.

- Moja wiedza medyczna ogranicza się, niestety, do tego, jak przykleić plaster, kiedy moja ośmioletnia córka skaleczy się w kolano.

- Ale zakładam, że przy prawie siedmiuset osobach na wyspie musiały urodzić się jakieś dzieci.

- Ja nic o tym nie wiem! - odparł radośnie Jim.

Drzewa zaczęły się przerzedzać i po prawej stronie Harper zobaczyła wysoką trawę, pas mokrego piasku i wodę. Po drugiej stronie zatoki stała latarnia morska, której światło omiatało wody oceanu. Jej widok przywodził na myśl białą świeczkę, jaką zapala się na urodzinowych tortach jednolatków.

- Jeśli dziecko urodzi się zdrowe - ciągnęła Harper - chciałabym móc zdecydować o wyborze rodziny zastępczej.

- Nic o tym nie wiem. Nie słyszałem, żeby ktoś adoptował chore dzieci.

- On nie będzie chory - upierała się Harper. Czuła jednak, że czegoś tu nie rozumie.

Za plastikową przesłoną uśmiech Jima stał się jeszcze szerszy.

- To chłopiec? Jesteś tego pewna?

- Tak - odparła. Nie miała wątpliwości.

Czekała, aż coś powie, ale mężczyzna milczał. Postanowiła więc nie drążyć tematu i założyła, że uzgodni wszystko z personelem medycznym na wyspie. Wkrótce przydrożne drzewa ustąpiły miejsca wyższej od Nicka trawie morskiej. Na prawo ciągnął się niszczący płot z palików i siatki. W oddali Harper widziała pasiasty, żółto-biały namiot, rozświetlony od środka, przez co kojarzył się jej z objazdowym wesołym miasteczkiem. Pewnie gdzieś w pobliżu stało wiadro z wodą i pływającymi w niej jabłkami, które dzieciaki próbowały ugryźć bez pomocy rąk, i stoisko z karmelizowaną kukurydzą.

W miarę jak zbliżali się do namiotu, trawa się przerzedzała i po lewej stronie Harper zobaczyła wąską drogę biegnącą równoległe do tej, po której jechali. Nieco dalej w górze, obok pasiastego namiotu, znajdował się parking, a na nim stało kilka samochodów. Harper wyczuła łódź, jeszcze zanim ją zobaczyła - przyprawiający o mdłości smród taniego oleju napędowego. Żołądek podszedł jej do gardła. Chwilę później ujrzała przystań na skraju mierzei i brudny kuter

rybacki o nazwie *Maggie Atwood* zapisanej fikuśną kursywą na rufie. Mężczyźni w kombinezonach ochronnych znosili na pomost kartonowe pudła.

Przed namiotem ustawiono długie składane stoły. Na stalowych rurach nad głowami zamontowano lampki bożonarodzeniowe, które przydawały miejscu świątecznej atmosfery. Było tu tłoczno, dziewięć, dziesięć osób w gumowych kombinezonach uwijało się przy stołach. Znad stojącego na palniku gazowym stalowego garnka unosiła się para.

- Mają kakao - powiedział Jim. - I pierniczki. I diabelnie dobrą potrawkę z kurczaka. Każdy może najeść się do syta przed wyprawą na wyspę.

Harper odwróciła się i gestykułując, przekazała Nickowi dobre wieści.

Chłopiec uśmiechnął się i odpowiedział:

„Spójrz tylko na te światła! Zupełnie jak w domu Świętego Mikołaja! Jakbyśmy trafili do bożonarodzeniowej krainy!”.

„Masz na myśli biegun północny” - pokazała Harper, ale Nick wyciągał szyję w stronę namiotu i nie zwracał na nią uwagi.

Jim zaparkował w miejscu, gdzie trawa była przydeptana, i wyłączył silnik. Chwilę później mszyli gęsiego w stronę rozświetlonego światłkami namiotu.

- Poznajcie ochotników - rzucił przez ramię.

Wśród ochotników były same kobiety, w większości w średnim wieku albo starsze. Przypominały Harper radosne, energiczne panie, które organizowały przykościelne spotkania towarzyskie. Jim zaprowadził uchodźców do składanych stolików, gdzie pierwsza z ochotniczek czekała na nich z formularzami do wypełnienia. Kobieta uśmiechnęła się zza plastikowej osłony, wyraźnie urzeczona widokiem małego chłopca.

- Witam! Pokonaliście szmat drogi! Musicie być wyykończeni. Mam na imię Vivian i jestem tu po to, żeby spisać wasze dane. Potem zrobimy wam zdjęcia, które umieścimy na stronie, przydzielimy wam jakieś lokum i damy zapasy na drogę.

- Mam nadzieję, że dostaniemy trochę tej zupy - bąknęła Renee. - Pachnie tak cudownie, że aż kręci mi się w głowie.

Harper też to czuła: cudowny zapach rosółu z kurczaka i gotowanej

marchewki, zmieszany z czarnym odorem łodzi, od którego zbierało jej się na wymioty. Przerazało ją, że była na tyle głupia, by wziąć do ust zepsutą kanapkę. Powinna być rozsądna albo mieć przynajmniej odrobinę samokontroli. Pozwoliła, żeby ciąża zmieniła ją w tłustą świnię i dostała to, na co zasłużyła. Była pewna, że zwymiotuje, nie wiedziała tylko kiedy.

- No pewnie - powiedziała Vivian. - Zupełnie świeże mleko i kawę dla dorosłych. A potem mszycie w drogę! Załatwimy to w miarę szybko i bezboleśnie. Ale zacznijmy od początku... Kim jesteście?

Harper otworzyła usta, żeby się odezwać, ale Renee ją uprzedziła.

- Jesteśmy tym, co pozostało z konspiracyjnego obozu Wyndham. A to nasi źli przywódcy, pan Rookwood i siostra Harper. Przychodzimy w pokoju.

Jim, który dołączył do krzątających się za stołami kobiet, odchylił głowę i roześmiał się.

- No, no! — rzuciła Vivian. — Obóz konspiracyjny dowodzony przez złych ludzi! Takich jeszcze tu nie mieliśmy.

- Cóż, jesteśmy konspiracją demokratyczną, ostatnim bastionem demokracji. U nas każdy ma prawo głosu. Nawet dzieci.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Moje dzieci najpewniej głosowałyby za lodami na obiad i same chciałyby decydować o tym, kiedy położą się spać. Mogłeś głosować, o której godzinie położysz się spać? - zapytała Nicka, pochylając się i patrząc mu w oczy.

- Niestety, jest głuchy - odezwał się strażak.

- Pan jest Anglikiem!

- Jak wszystkie najczarniejsze charaktery. A gdyby mój syn mógł głosować, zapewne głosowałby za potrawką z kurczaka przed wypełnianiem formularzy. - Harper ledwie zwróciła uwagę na to, że John nazwał Nicka „swoim synem”, ale nie mogła nie zauważyć, kiedy objął ją w talii i dodał: - Moja żona też.

Vivian tak właśnie wpisała ich do formularza: jako małżeństwo, pana i panią Rookwoodów. Harper nie protestowała. Czowała, że to, co powiedział John, pod wieloma względami jest prawdą. Oparła głowę na jego ramieniu, podczas gdy Vivian zadawała kolejne pytania i skrupulatnie zapisywała odpowiedzi.

Chciała wiedzieć, jaką drogę pokonali i skąd wyruszyli. Pytała, kiedy

zachorowali i gdzie się podziewali od tamtej pory. Interesowały ją objawy choroby, pytała, czy miewali uderzenia gorąca i czy zdarzało się im kopcić.

- Ależ skąd! - oburzyła się Renee. - Wiemy, jak zapanować nad infekcją: poprzez wspólne śpiewanie. Dzięki temu nic się nie dzieje. Można kontrolować zarodniki poprzez wszelką grupową aktywność, która sprawia nam radość. Ma to coś wspólnego z hormonem wydzielanym przez mózg. Oksytocyną? Siostra Harper lepiej to wyjaśni.

Ale siostra Harper nie musiała niczego wyjaśniać. Vivian się uśmiechnęła.

- Z tego, co wiem, terapie grupowe są wciąż bardzo popularne na wyspie i przynoszą najlepsze rezultaty. Po śniadaniu mieszkańcy śpiewają przeboje z lat osiemdziesiątych. Toto, Hall & Oates.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, chyba wolę spłonąć żywcem - wtrącił się strażak.

Vivian zadawała mnóstwo pytań dotyczących nienarodzonego dziecka. Wszystkie kobiety były podekscytowane, a jedna z nich, pulchna staruszka, która robiła im zdjęcia, opowiedziała Harper o swojej pierwszej wnuczce, malutkiej Kelly, która przyszła na świat dwanaście tygodni temu i której płacz przypominał meczenie owcy.

- Mee! Mee! - naśladowała ją ze śmiechem.

Ale kiedy Harper powiedziała, że liczy na to, że uda jej się namówić kogoś, by adoptował jej dziecko, oczywiście pod warunkiem, że urodzi się zdrowe, świeżo upieczona babcia zaczęła majstrować przy aparacie i wyglądała na poirytowaną.

- Przeklęty sprzęt! - warknęła i oddaliła się.

Jim powiedział, że ich zdjęcia pojawią się na stronie internetowej, obok fotografii ludzi, którzy dotarli na wyspę.

- Boże, mam nadzieję, że moi rodzice je zobaczą - odparła Harper. - I mój brat. Od miesiący nie miałam z nimi kontaktu. Muszą odchodzić od zmysłów.

Przy sąsiednim stoliku milcząca kobieta o pociągłej twarzy i ostrych rysach beznamiętnie przetrząsała zawartość należącej do Harper torby podróźnej w poszukiwaniu broni. Inna wręczyła im niebieskie teczki z grubym plikiem dokumentów zatytułowanym *Wyspa Free Wolf*:

przewodnik po zdrowiu i bezpieczeństwie wydany przez CDC.

Każdateczka zawierała wykaz nieruchomości. Harper, John i dzieciaki mieli zamieszkać w domku z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami pod numerem trzy przy Longbay Road. Na umazanym, czarno-białym zdjęciu widniała mała, biała chatka z usłanym liśćmi podwórzem i placem zabaw dla dzieci. Renee zaproponowano pokój w Longbay Bed & Breakfast – pensjonacie, który mógł pomieścić sześć osób - przy Longbay osiemnaście. Niektóre kolorowe fotokopie przedstawiały wyspę z lotu ptaka. Zdjęcia zrobiono jesienią, kiedy korony drzew przypominały patchwork różnych odcieni oranżu i żółci. Na mapie miasteczka oznaczono klinikę, szklarnie, stadninę, bibliotekę miejską, dawny sklep, w którym teraz mieściło się centrum dystrybucyjne, i inne ważne obiekty.

Przy ostatnim stoliku rozpromieniona Azjatka wydawała papierowe talerze z potrawką i papierowe kubki z mlekiem. Kazano im usiąść i oprzeć nogi o leżące przed namiotem bele siana. Harper nie mogła jeść. Zanim wszelkie formalności dobiegły końca, zaczęła mieć skurcze - silne i gwałtowne - i czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Usiadła na skraju beli i krzywiąc się, obiema rękami trzymała się za brzuch. Jej cierpienie niepokoiło Johna, więc zrezygnował z posiłku i siedząc przy niej, kolistymi ruchami masował jej plecy.

- Jeszcze cię takiej nie widziałem - powiedział. - Myślisz, że się zaczyna?

Gwałtowny ból ścisnął jej żołądek, wydzierając z gardła żalospny jęk. Harper pokręciła głową.

- Zjedz coś, John. Potrzebujesz siły.

- Za chwilę - rzucił, ale nie ruszył się nawet wtedy, gdy Nick przyniósł mu słodzoną kawę ze śmietanką.

Siedzieli na belach, na skraju światła. John głąskał Harper po plecach, a ona czekała, aż miną skurcze. W końcu ustąpiły, ale paskudne uczucie w żołądku pozostało. Brudne kłęby czarnego dymu przetaczały się ponad plażą od strony statku i kiedy poczuła ich smród, z trudem powstrzymała mdłości.

Zanim wypłynęli, podeszła do nich Vivian z małym pudełkiem na buty. Podała je Nickowi i zwróciła się do strażaka, żeby ten tłumaczył.

- Mam tu kolekcję odcinków *Doktora Who* - zaczęła. - Na wyspie jest

chłopiec, który przybył tu jakieś trzy miesiące temu. Jest kilka lat starszy od Nicka... zdaje się, że ma czternaście... i z tego, co wiem, uwielbia science fiction. Obiecałam, że dam mu swoją kolekcję, żeby miał co oglądać. Powie pan Nickowi, żeby przekazał to Jaredowi Morrisowi? I proszę powiedzieć Nickowi, że on też może je oglądać. Myślę, że Jared się ucieszy. Chyba chciałby mieć bystrego przyjaciela, który nauczy go języka migowego.

- Bardzo pani uprzejma - odparł John Rookwood, powtórzył wszystko Nickowi, a ten z powagą wyjął pudełko z rąk kobiety.

Kiedy Vivian wstała, łzy napłynęły jej do oczu.

- Biedactwa. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, przez co przeszliście. Co noc modłę się, żebyście wszyscy wyzdrowieli. Zresztą nie tylko ja. Kiedyś nadejdzie ten dzień. Pomyślcie tylko, jakie historie będziecie mieli do opowiedzenia.

- Dziękujemy za wszystko - jęknęła Harper.

- Żałuję, że nie mogę zrobić więcej - odparła Vivian. - Potrawka z kurczaka i trochę starych DVD dla ludzi, którzy przeszli piekło.

- Potrawka z kurczaka i stare odcinki *Doktora Who* graniczą z moim wyobrażeniem o niebie - odezwała się Renee.

Vivian skinęła głową. Widać było, że z nadmiaru emocji nie może wydusić ani słowa. Dłonią w rękawiczce dotknęła plastikowej osłonki i przesłała im całusy. Na koniec musnęła palcami policzek Nicka.

- Powiedzcie Peterowi, że ciocia go kocha.

Po raz ostatni uniosła rękę w geście pożegnania i odwróciła się, próbując powstrzymać łzy, które cisnęły się jej do oczu.

- Smakowała ci potrawka? - zwróciła się do Allie Renee.

Dziewczyna spojrzała na nią beznamiętnym wzrokiem.

Była w porządku. Możemy się zbierać?

- Tak! - odezwał się Jim, który szedł ku nim rażnym krokiem. - Ruszajmy. Wasz jacht czeka, gotowy do drogi.

Łódź, podskakując na falach, pruća wody szerokiej zatoki. Zanim światła namiotu zniknęły z pola widzenia, Harper zwymiotowała za burtę. John głaskał ją po szyi, podczas gdy ona dyszała i pluła.

- Chcesz mojej kawy? - zapytał. - Mam jeszcze pół kubka. Dzięki temu pozbędziesz się z ust nieprzyjemnego posmaku.

Pokręciła głową, wylał więc resztę kawy i cisnął kubek za burtę.

- I tak nie była najlepsza - rzucił.

Łódź była brudna, a na pokładzie przelewała się brunatna woda. Rura wydechowa wystawała z tyłu kabiny kapitana i wiatr nawiewał opary prosto na rufę, gdzie siedzieli. Kulili się na wyściełanych ławeczkach, wciśnięci w pomarańczowe kamizelki ratunkowe. Kamizelka Nicka była tak duża, że niemal cały w niej zniknął; widać mu było jedynie nogi i wystającą znad kołnierza głowę.

Brzegi zatoki przywodziły na myśl ciemne wydmy porośnięte szeleszczącą trawą.

- Pada? - zapytała Harper; jak wszyscy była mokra od zimnej słonej mgiełki.

- Nie, to rozbryzgi wody - wyjaśnił John.

- Nienawidzę otwartego morza - jęknęła Harper.

Chwilę później podskoczyli na fali i kolejny raz zwymiotowała za burtę.

W kabinie było trzech mężczyzn w kombinezonach ochronnych: Jim, jeden z uzbrojonych strażników z posterunku i ten, który siedział za sterem. Kapitan, pomyślała Harper. Nie zostali sobie przedstawieni.

- Powiedziałeś im, że jesteśmy małżeństwem - odezwała się, kiedy doszła do siebie i wytarła usta. - Zastanawiałam się nad tym. Pamiętasz, jak mówiłeś, że strażacy mogą udzielać rozwodów? A co ze ślubami?

- Zdradzę ci sekret. Nie jestem prawdziwym strażakiem. Ale człowiek, który siedzi za sterami, to kapitan z prawdziwego zdarzenia, który może udzielać ślubów. - Spojrzał na nią z błyskiem natchnienia w

oku. - Panno Harper Willowes! Myślę, że powinienem panią o coś zapytać.

- Nie - odparła. - Nie, nie. Proszę. Ja tylko żartowałam, John.

Zwiesił głowę i zasepił się.

- Ale tylko dlatego, że jeśli odpowiem, będziemy musieli się pocałować - dodała Harper. - A teraz nie mogę; to by było obrzydliwe. Wciąż czuję w ustach smak wymiocin. - Chociaż po tym, jak zwymiotowała, poczuła się znacznie lepiej, przynajmniej do chwili, gdy znów nie złapią jej te przeklęte skurcze.

Jego twarz pojaśniała. Harper ujęła mokrą, zimną rękę strażaka i ścisnęła ją, na co odpowiedział szerokim uśmiechem.

Linia brzegowa cofnęła się, a oni podążali za światłem na dziobie, prosto w mrok i dalej, na otwarte morze. Fale roztrzaskiwały się o burty i lodowatą mgiełką przelewały się przez reling.

- Dzięki Bogu za płaszcze przeciwdeszczowe - jęknęła Harper, kiedy wpadli w kolejne zagłębienie fali. - To koszmar.

- Nickowi to nie przeszkadza. - Szturchnął ją łokciem. - Zasnął, zanim zdążyli odcumować łódź.

- Dużo się nachodził - przyznała Harper.

Łódź podskoczyła na fali. Harper szukała wzrokiem latami morskiej, którą widziała wcześniej, ale odpłynęli już zbyt daleko.

John ziewnął, zakrywając usta ręką.

- Może sam się zdrzemnę na kilka minut.

- Jak można spać w czymś takim?

- Nie wiem. Ale Renee jakoś zasnęła.

Harper spojrzała na drugą stronę rufy. Nick spał z głową na piersi Renee. Broda Murzynki opierała się o czubek jego głowy. Allie nie spała. Ścisnęła oburącz kamizelkę ratunkową i pochmurnym wzrokiem wpatrywała się w kabinę kapitana.

- John - szepnęła Harper. - John, dlaczego Renee śpi? Jak można spać w czymś takim?

- Hm... sama mówiłaś. Przeszliśmy dziś co najmniej dwadzieścia cztery kilometry i...

- Obudź ją - rozkazała.

- Nie chcę jej budzić.

- Spróbuj. Proszę.

Strażak zerknął na nią z ukosa - spojrzenie miał pytające -ale posłusznie wsparł się na kuli, nachylił się i potrząsnął Renee za kolano.

- Renee. Obudź się, Renee.

Kiedy łódź podskoczyła na kolejnej fali, na chwilę stracił równowagę. Zdążył jednak wrócić na ławeczkę.

Murzynka uśmiechnęła się przez sen.

- Co z nimi? - odezwała się Allie.

Broda Johna opadła na pierś i Harper pomyślała, że wzrok ma dziwnie mętny.

- Niech to szlag - warknął strażak. - Czy nic nie może pójść jak należy? Chociaż raz?

Allie szarpnęła Nicka za ramię, on jednak osunął się bezwładnie i upadł twarzą na kolana Renee.

- Potrawka - rzucił John.

- Albo kawa - dodała Harper.

- Ale Allie nic nie jest.

- Bo niczego nie próbowałam - odparła dziewczyna. -

Nie ufałam im. Tylko udawałam, że piję, a kiedy nie patrzyli, wylałam kawę.

- Szkoda! - krzyknął Jim, próbując przekrzyczeć ryk silnika i wiatr.

Otworzył drzwi do kabiny kapitana i wychylił się, patrząc na nich zza plastikowej osłony. W jednej ręce miał pistolet kalibru .45, ale nie mierzył w nich; po prostu trzymał go przy nodze.

- Staramy się załatwić to pokojowo - wyjaśnił. - Bez strachu i bólu. - Najpierw was usypiamy, a potem przewozimy na miejsce.

- Nie - jęknęła Harper. - Nie, nie, nie, nieeee! Nie możecie. Proszę... To nie ma sensu. Dlaczego? Po co ta cała szopka? Dlaczego od razu nas nie zastrzeliliście? Mogliście to zrobić w każdej chwili. Po co zadawaliście sobie dla nas tyle trudu?

- Nie dla nas, prawda? - rzucił strażak.

Jim wzruszył ramionami.

- Podoba mi się myśl, że to jest właściwe zakończenie. Że zasypiacie, marząc o miejscu, w którym będziecie bezpieczni. Gdzie się wami zaopiekują. Chryste. Jesteśmy ludźmi, nie potworami. Nie chcemy, żeby ktokolwiek cierpiał. Ale... nie. Nie, robimy to dla społeczeństwa. Ludzie tacy jak Vivian też wierzą w istnienie wyspy; przynajmniej

większość z nich. Nie macie pojęcia, jak to podnosi ich morale: przekonanie, że pomagają ratować ludzi. Że pomagają im. Gdyby wiedzieli, że wypływamy na morze, żeby wyrzucać ich za burtę, byłiby zrozpaczeni. I niezadowoleni. - Urwał i gdy łódź podskoczyła na fali, przytrzymał się futryny. - Musicie zrozumieć. Sami mówiliście, że jesteście... Jak to nazwaliście? Ostatnim bastionem demokracji? Głosowaliście za tym, żeby tu przyjść. Cóż, my też mamy demokrację. Naszą prywatną radę przywódców, w której skład wchodzi gubernator i dwanaście innych osób, w tym ja. Nie wy jedni głosowaliście. My również. I oto wynik naszego głosowania.

- Nie ma żadnej wyspy - warknęła Allie.

- Ależ jest! Albo raczej była. CDC opuściło to miejsce w listopadzie. Doszło do buntu. Testowali jakieś lekarstwa, po których zmarło kilka osób, i te niewdzięczne sukinsyny przejęły kontrolę nad szpitalem. Twierdzili, że nie chcą żadnych lekarstw. Bredzili coś o tym, że sami wynaleźli lekarstwo i wiedzą, jak kontrolować ogień. Wzięli personel medyczny na zakładników, żeby zapobiec działaniom wojskowym. Sęk w tym, że nie znają naszego gubernatora. On nie negocjuje z terrorystami. Zarekwirował B-17 z Bangoru i zarzucił wyspę odłamkowymi pociskami przeciwpiechotnymi. Teraz to czarna skała. Dym było widać aż w Machias. To wtedy wymyśliliśmy historyjkę o palnikach, którzy kiepsko zareagowali na jeden z nowych leków, i o spalonym szpitalu.

- Ale w radiu słyszeliśmy Marthę Quinn - odezwała się błagalnie Harper. - Słyszeliśmy ją.

- Taa. Mamy setki godzin jej starych nagrań. Puszczamy je na okrągło. Gubernator od początku twierdził, że to najszybszy sposób, żeby pozbyć się epidemii na całym północnym wschodzie. Ściągnąć wszystkich zainfekowanych w jedno miejsce i pozbyć się ich w sposób humanitarny. Wrzucić ich do prądu północnoatlantyckiego, tak by ciała nie wypłynęły w Machias. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- Nie możecie - rzuciła Harper. - Proszę. Moje dziecko może być zdrowe.

Twarz mężczyzny stężała. Harper widziała, jak zacisnął szczęki.

- To kłamstwo. Jeśli ty jesteś chora, to ono też.

- Nieprawda. Nie możecie wiedzieć. Są badania...

- Nie wiem, co to za badania - przerwał jej. - To prawda, że wiele zainfekowanych kobiet rodzi dzieci bez widocznych objawów choroby. Ale testy krwi wykazują obecność smoczey łuski w DNA. Zresztą sam nie mam dobrego zdania o kobietach, które w tej sytuacji zaszły w ciążę. Była pani pielęgniarką. Miała pani dostęp do pigułek. Powinna była pani coś wziąć już dawno temu. Jakies środki nasenne. Na myśl o małym człowieczku, którego choroba zmienia w tykającą bombę, chce mi się rzygać. - Spojrzał w mrok i znowu na nich. - Posłuchajcie. Nie chcę do was strzelać. W wodzie jest lepiej. Spokojniej. Nieważne, że nie jesteście nafaszerowani lekami. Chłód ukołysz was do snu w ciągu dziesięciu minut. To jak końcówka *Titanica*. Poza tym, jeśli będę zmuszony was zastrzelić, mogę zrobić dziurę w łodzi. Sami rozumiecie, to dość kłopotliwe. Nie utrudniajcie więc. Zdejmijcie kamizelki. Rozbierzcie małego.

- Jeśli dobrze rozumiem, albo zdejmujemy kamizelki, albo nas pan zastrzeli - odezwał się John, nerwowo szarpiąc palce rękawicy na lewej ręce.

Jim potwierdził skinieniem głowy.

- A może rozważycie trzecią opcję? - spytał John, zdejmując rękawicę i rzucając ją na pokład. Po jego dłoni pełzały nitki złotego światła.

- Nie sądzę - odparł Jim i strzelił mu w brzuch.

John dotknął pępka. Jego ręka nadal lśniła, przez co wydawało się, że krwawi światłem, a dłoń to czarka napełniająca się złotem. Był pełen złota, które zaczynało się z niego wylewać. Fala roztrzaskała się o burtę - wstrząs był tak silny, jak gdyby uderzyli w skałę - i John niezdarnie upadł na pokład.

Allie próbowała krzyknąć. Harper widziała ją kątem oka. Dziewczyna usta miała otwarte, a ścięgna szyi naprężone, przez co wyglądała, jakby się krztusiła. Jeśli z jej gardła dobył się jakiś dźwięk, Harper go nie słyszała. Nie słyszała niczego poza głębokim dudnieniem krwi w uszach.

Osunęła się na jedno kolano, chwyciła Johna za ramię i delikatnie go odwróciła. Przelewająca się na pokładzie brudna woda powoli zabarwiała się na czerwono. Twarz strażaka była blada z bólu i szoku. Przyłożyła dłoń do rany, myśląc: uciskaj, najpierw zatrzymaj krwawienie, dopiero później spróbuj oszacować szkody.

- Och. - Głos Johna zabrzmiał jak stłumiony krzyk. - Och! Postrzelił mnie.

- Niech to szlag - warknął Jim. - Teraz cały pokład jest czerwony od krwi.

- John - powiedziała Harper. - Och, John, John, ukochany. Proszę, zostań tu. Zostań ze mną. Nie odchodź, proszę.

- Odsuń się od niego. Wstań i zdejmij kamizelkę albo ciebie też zastrzelę. Choć wolałbym tego nie robić. Proszę. W wodzie jest lepiej. Łatwiej - paplał Jim, ale ona go nie słuchała.

Krew skapywała na dłoń Johna, skwiercząc i kopcząc; pachniała jak przypalona patelnia. Harper nie płakała, ale strażak tak.

- Przepraszam - wyrzeźił. - Byłem taki zadufany w sobie. Taki zarozumiały. Taki cholernie zadowolony z siebie. Teraz to widzę, ale... tak bardzo chciałem zwrócić na siebie twoją uwagę i tak bardzo chciałem ci zaimponować. Och, Harper, przepraszam, że nie byłem lepszym człowiekiem. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję.

- Jesteś idealny. Najcudowniejszy. Dzięki tobie jestem szczęśliwa.

Dzięki tobie się śmieję. Z nikim tak się nie śmiałam jak z tobą. Nie musisz za nic przeproszać.

Nikły uśmiech uniósł kąciki jego ust.

- A jednak. Przepraszam, że nie usmażyłem tego półgłówka z bronią, zanim do mnie strzelił. Ale lepiej późno niż wcale. -W jego tęczęwkach rozbłysły złociste obręcze, a oczy rozjarzyły się jak stalowe zwoje, przez które przepływa prąd.

Ręka, którą chował pod ciałem, zapłonęła czerwonym ogniem.

- Wyświadczyć mi przysługę - zwrócił się do Harper. -Proszę. Obiecuję mi jedno.

- Tak, ukochany. Cokolwiek zechcesz. Zrobię dla ciebie wszystko.

- Więc żyj - poprosił ją.

Odsunęła się od niego. On tymczasem uniósł głowę i otworzył usta.

- Co jest, kurwa?! - wrzasnął Jim, gdy z otwartych ust strażaka wylał się strumień żółtego ognia.

Płomienie ogarnęły żółtą gumę kombinezonu, topiąc materiał. Jim wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o futrynę. Łódź przeskoczyła nad kolejną falą i zataczając się, skierował broń w stronę kabiny. Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Szyper uchylił się. Szkło rozprysło się z brzękiem.

Uzbrojony strażnik przepchnął się obok Jima i uniósł karabin szturmowy, jednak Harper zdążyła poderwać się na nogi. Łódź zakołysała się gwałtownie i rzuciła ją na miękkie, ciepłe ciało Renee Gilmonton.

Strażak zajął się ogniem z łagodnym sykiem, jak gdyby ktoś rzucił zapalniczkę na stertę liści oblaną benzyną. Zmienił się w pochodnię, płonące gniazdo, znad którego uniósł się ptak. Olbrzymi, czerwony, pradawny stwór o imponującej rozpiętości skrzydeł. Karabin szturmowy wypalił z hukiem, wyrywając dziurę w pokładzie.

Łódź prześlizgnęła się na grzbiecie wysokiej fali. Allie chwyciła Nicka za kamizelkę, stanęła na wyścielanej ławeczce i skoczyła. Harper otoczyła ramionami Renee i próbowała przerzucić ją przez burtę, kiedy poczuła w brzuchu rozdzierający ból. Gdzieś za nią krzychał mężczyzna. Żółte światło wzbijało się do góry.

Uderzyła w czarną taflę wody tak zimnej, że zdawała się parzyć skórę. Czowała się, jakby umierała, jak gdyby nagle całe jej ciało stanęło w

ogniu. Setki tysięcy srebrzystych bąbelków wirowały wokół niej. Wynurzyła się, chciwie chwytając powietrze, zakrztusiła się jednak słoną wodą.

Oślepiający, ognisty ptak z błękitnymi oczami i skrzydłami o rozpiętości małego samolotu otworzył dziób i Harper miała wrażenie, że wrzasnął. Daleko w dole wił się mężczyzna spowity całunem ognia. Kabina kapitana płonęła. Kłęby szarego dymu ulatywały w niebo. Łódź wciąż płynęła; oddaliła się na odległość jakichś trzydziestu metrów, pozostawiając ich za sobą.

Kolejna fala uderzyła Harper w twarz, oślepiła ją i ogłuszyła. Kamizelka ratunkowa unosiła ją na niespokojnych wodach. Przetarłszy pięściami oczy, zobaczyła, jak *Maggie Atwood* wybucha, gdy płomienie dosięgły butli z gazem. Błysnęło oślepiające, białe światło i rozległ się huk, który uderzył Harper niczym cios, odrzucając jej głowę w tył. Dopiero po chwili zorientowała się, że z nosa leci jej krew.

Znad wraku łodzi wystrzelił w niebo słup ognia. Na jego szczycie przysiadł ptak, ogromny niczym sam Bóg. Stworzenie rozłożyło skrzydła i wzbiło się w górę, rysując na niebie ogromne, czerwone koło. W oczach Harper było to wspaniałe, a zarazem przerażające, miało w sobie triumf i barbarzyńskie piękno.

Ognisty ptak zatoczył nad ich głowami kolejne koło i choć był wysoko w górze, Harper czuła na twarzy bijące od niego ciepło. Chwilę później skręcił i zaczął się oddalać; po raz ostatni leniwie uderzył skrzydłami, zostawiając ich i tonący, z sykiem płonący wrak.

Gdy Harper odprowadzała ptaka wzrokiem, uświadomiła sobie, że jej uda nie są tak zmarznęte, jak powinny być. Rozlało się wokół nich lepkie, nienaturalne ciepło.

Odeszły jej wody.

Poród

Teraz, kiedy była w wodzie, morze nie wydawało się już tak wzburzone. Dzięki kamizelce ratunkowej unosiła się na grzbietach fal i delikatnie opadała. Nie czuła mdłości, tylko przyjemne, niemal uspokajające kołysanie. A może była zbyt zdrętwiała i zmarznięta, by się tym przejmować. Wiedziała tylko, że nie czuje już rąk ani nóg. Szczękała zębami.

Renee zamruwała, zacharczała i pokręciła głową. Powiodła dookoła przerażonym wzrokiem krótkowidza. Zgubiła okulary.

- Co jest? Łódź się przewróciła? Czy my... - Zachłysnęła się wodą i zaczęła kasłać, gdy fala uderzyła ją w bok głowy.

Harper podpłynęła w jej stronę i chwyciła ją za rękę.

- Allie! - krzyknęła. - Allie, gdzie jesteś?!

- Tutaj! - usłyszała gdzieś za plecami.

Machnęła rękami i nogami i odwróciła się. Allie płynęła niezdarnie w jej stronę, wlokąc za sobą Nicka. Chłopiec wciąż spał; jego okrągła, gładka twarz zwrócona była ku niebu.

- B-bosz-bosz-Boże - wyrzęziła Renee, kiedy w końcu odzyskała głos. - J-j-jaak ziiiiimno. Co... co..?

- Uś... uspili cię. Potrawka. Chcieli nas zabić. John... John... - Harper musiała urwać, żeby zaczerpnąć tchu.

Zamiast cokolwiek tłumaczyć, wskazała na wrak. Dziób łodzi był zanurzony w wodzie, rufa sterczała do góry. Owinięta wodorostami rdzewiejąca śruba silnika obracała się leniwie.

Płomienie trzaskały i buzowały, podczas gdy *Maggie Atwood* powoli szła na dno. Ogromna czarna chmura oleistego dymu wzbijała się w powietrze. Harper oderwała wzrok od płonącego wraku i wskazała palcem feniksa... który przypominał jasną smugę na nocnym niebie, niczym lecący w górze odrzutowiec.

Renee spojrzała na nią wyraźnie zdezorientowana. Harper pomyślała, że Murzynka, wciąż jeszcze odurzona, nie jest w stanie

skojarzyć faktów.

Allie podpłynęła do nich i chwyciła Harper za drugą rękę. Pływały teraz jedna za drugą, z ledwością poruszając nogami w czarnej, lodowatej wodzie. Harper widziała białe obłoczki ulatujące z ust, kiedy oddychała. A może to był dym.

- Umrzemy - wydyszała Allie. - Z... z... zamarzniemy tu na śmierć.

- Śpiewaj - zachęciła ją Harper.

Dziewczyna spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Harper podniosła głos i zawołała:

- *Ty... tylko łyż... łyż... e... e... eczka cu... cu...*

- Ale po co? - warknęła Allie. - Po co? To g... g... głupie! To koniec. Czy to ważne, czy umrzemy za dzie... dzie... dziesięć minut, czy za dzi... dzi... dziesięć godzin? I tak utoniemy.

Harper nie przestawała jednak śpiewać.

- *...cukru p... p... pomaga przelknąć p... p... piee... ŚPIEWAJCIE ZE MNĄ, DO CHOLERY! ...piee... pieprzone le-kaaa...*

Renee zamrugła, otarła twarz pulchnymi rękami i dołączyła do Harper.

Wspólnymi siłami utrzymywały się na wodzie, ich drżące głosy unosiły się i opadały, tak jak ich ciała unosiły się i opadały na falach.

Ozdobione smoczą łuską ręce Allie zaczęły lśnić, a żółtawe światło rozlewało się po jej ramionach aż po rękawy przesiąkniętej wodą koszuli. Ciepły blask wylewał się spod kaptura pomarańczowej kurtki przeciwdeszczowej. Oczy dziewczyny płonęły złotem.

Światło przeskoczyło z jej szczupłych, bladych palców na rękę Harper i ta poczuła przyjemne, głębokie ciepło, które ogarnęło ramię i klatkę piersiową, jak gdyby połową ciała weszła pod gorący prysznic.

Ich ciała, zanurzone w lodowatych wodach oceanu, zaczęły kopcić. Kiedy Harper zerknęła na Renee, oczy Murzynki lśniły. Podarty kołnierz jej bluzki odsłaniał misterną, świetlistą kolbę, którą smocza łuska tworzyła na szyi.

- Co z Nickiem?! - krzyknęła Allie, kiedy odśpiewały całą Łyżeczką cukru.

- Śpiewajmy dalej - odparła Harper. - Nie musi być przytomny. I tak nas nie usłyszy. Śpiewamy dla smoczej łuski, nie dla niego. Śpiewajcie, do cholery!

- To bez sensu!

- Żyjesz?

- Tak!

- Więc ma to jakiś sens - rzuciła Harper i chwilę później nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Chwyciły ją skurcze, gwałtowne i bolesne. Coś ścisnęło jej wnętrzności, puściło i znowu ścisnęło. Zawsze chciała rodzić w wodzie. Jeszcze nie tak dawno był to ostatni krzyk mody.

Śpiewały po raz drugi *Łyżeczką cukru*, kiedy *Maggie Atwood* z głośnym mlaśnięciem została wessana pod wodę, pozostawiając po sobie chmurę szarego dymu.

Zaśpiewały *Dym dymi tu*. Kiedy nie mogły sobie przypomnieć słów, wymyślały je na oczekaniu.

- *Dym dymi tu, dym dymi tam, taplanie się w wodzie nie wychodzi nam!* - krzyknęła Allie.

- *Prześlij mi buziaka albo będzie draka* - zaśpiewała Renee.

- Patrzcie - odezwała się Harper.

Nick lśnił. Niebieskie światło przeświecało przez sweter i wylewało się spod bluzy z kapturem. Woda parowała w zetknięciu z jego różową twarzą.

Znowu zaczęły śpiewać *Łyżeczkę cukru*, Harper była jednak zbyt obolała, żeby do nich dołączyć. Zaciśnęła zęby i zamknęła oczy, próbując przetrwać kolejną falą skurczów. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła swoją czarną torbę podróżną, która przepływała obok, unosząc się na wodzie. Zamek był rozpięty i torba napełniała się wodą. Harper patrzyła, jak wykonuje leniwy, senny obrót i idzie na dno, zabierając z sobą wszystko, co ona przygotowała dla swojego dziecka.

Żałowała, że feniks odleciał. Przez długi czas odcinał się blaskiem na ciemnym horyzoncie, ale w pewnej chwili - gdzieś przy trzecim śpiewaniu *Świecy na wodzie* - straciła go z oczu. W tym momencie poczuła, że traci wszelką nadzieję. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się stało. Dlaczego John odszedł. Ten ogromny, potworny ptak był poniekąd Johnem. W pewnym sensie był bardziej Johnem Rookwoodem niż mężczyzną, który poszedł na dno wraz z *Maggie Atwood*. To był prawdziwy John: cudowny, przejaskrawiony, nieco głupiutki i niezwyciężony.

Nie mogła powiedzieć Allie, że zamierza śpiewać tak długo, jak

będzie mogła, bo John kazał jej żyć. Choć tyle chciała dla niego zrobić.

Było tak wiele rzeczy, których pragnęła dla nich obojga, zwyczajnych, małych radości, które wyobrażała sobie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Marzyła o spędzonych w łóżku, leniwych niedzielnych przedpołudniach, z plamami słońca na pościeli. Chciała położyć dłonie na jego kościstych biodrach i zobaczyć, jakie to uczucie. Pragnęła oglądać z nim stare, smutne filmy. Marzyła o wspólnych spacerach jesienią i szeleszczących pod stopami kolorowych liściach. Chciała zobaczyć go z dzieckiem na ręku, choć bardziej rozsądna część jej umysłu zakładała przecież, że odda małenstwo. W głębi duszy wiedziała, że John Rookwood byłby cudownym ojcem. Chciała, żeby zaczerpnął świeżego powietrza, żeby był szczęśliwy, wolny od poczucia winy i smutku. Pragnęła budzić się u jego boku przez kolejne kilka tysięcy poranków. Teraz wszystkie jej marzenia legły w gruzach, ale John chciał, żeby żyła - kochał ich wszystkich i pragnął, by żyli dalej — a ona uważała, że coś mu się należy za cały jego trud.

Zaśpiewały razem *Romeo and Juliet* i *Over the Rainbow*. Kiedy Renee odpoczywała, Allie odśpiewała refren *Stayin' Alive*, a zaraz potem Renee zaśpiewała *Hey Jude*.

Kiedy skończyła, zerknęła na Allie przerażonym wzrokiem.

- Dlaczego Harper tak się krzywi?

- Myślę, że rodzi - odparła dziewczyna.

Harper już od dłuższej chwili nie była w stanie śpiewać. Chcąc przytaknąć, szarpnęła głową w górę i w dół. Czowała, jak dziecko - zbita, oślizgła i niewiarygodnie bolesna bryła - próbuje wydostać się na świat. Miała wrażenie, że ktoś kawałek po kawałku wyszarpuje jej wnętrzności.

- Chryste, nie - jęknęła Renee głosem, który przypominał przerażony szept.

Ból był tak ogromny, że Harper miała mroczki przed oczami. Gdziekolwiek spojrzała, widziała czarne punkciki i srebrzyste plamki. Najbardziej irytowało ją złociste migotanie w kąciku prawego oka. Potrząsnęła głową, żeby się go pozbyć, ale nic to nie dało.

- Patrz. - Allie chwyciła ją za ramię i ścisnęła. - Patrz!

Harper odwróciła głowę, żeby spojrzeć we wskazanym kierunku.

W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczyna się cieszy, bo Nick się

obudził. Chłopiec machał obrzmiałymi rękami, rozglądając się mętnym wzrokiem i raz za razem przecierając twarz. Ale Allie wskazywała gdzieś ponad jego ramieniem, na wschód.

Harper przyszło do głowy, że dziewczyna cieszy się, bo zaczyna świtać. Na horyzoncie pojawiła się cienka kreska migotliwego, miedzianego światła, a na wschodzie kłębiły się ciężkie chmury koloru żurawiny i cytryny.

Woda chlusnęła jej w twarz i Harper zamrugła, żeby pozbyć się nieprzyjemnego pieczenia w oczach. Przez chwilę widziała podwójnie i miała wrażenie, że dostrzega w oddali dwa jasne, złociste punkty. Kiedy jednak odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła między chmurami oślepiający blask, który z każdą chwilą przybierał na sile. Nie mogła się powstrzymać. Na widok powracającego feniksa jej serce zabiło jak oszalałe i poczuła ciepło, które nie miało nic wspólnego ze smoczą łuską. Na moment zapomniała nawet o bolesnych skurczach. Zamrugła, czując pod powiekami pieczenie, nie wiedziała jednak, czy to łzy, czy słona morska woda.

Allie nie wskazywała jednak na feniksa.

Pokazywała palcem żagiel.

Duży, biały, trójkątny żagiel z namalowanym na nim czerwonym krabem. Kiedy łódź przepływała na tle wschodzącego słońca, płótno zmieniło się w migoczący złoty welon.

Silne podmuchy wiatru smagały łódź od strony sterburty, na bakburcie gromadziła się piana. Żaglówka nachyliła się w ich stronę, jakby lada chwila miała położyć się na wodzie i zniknąć pod powierzchnią. Harper pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała łodzi, która z taką gracją prześlizgiwała się po grzbietach fal.

Feniks zanurkował i przeleciał niespełna trzy metry nad ich głowami. Był teraz znacznie mniejszy, skurczył się do rozmiarów kondora, ale z jego gardła wciąż dobywał się ten sam ogłuszający skrzek. Omiótł ich cuchnący siarką podmuch chemicznego ciepła. Przez krótką chwilę ptak był dosłownie na wyciągnięcie ręki. Ze swoim długim, zakrzywionym dziobem i grzebieniem czerwonego ognia wyglądał jak dumny, napuszony kogut, który odkrył nagle, że potrafi latać.

Don Lewiston ustawił żagiel pod wiatr i wydawało się, że ostatnie

trzydzieści metrów łódź pokonała siłą rozpędu: bom kołysał się leniwie, a żagiel pomarszczył się i zawisł smętnie. Don przerzucił przez rufę drabinkę łańcuchową i podał rękę Nickowi, który jako pierwszy zaczął się wspinać. Jego niebieskie oczy lśniły czymś, co nie było ani przerażeniem, ani zdumieniem, lecz mieszaniną obu tych doznań, a także czymś, co Harper wzięła za podziw.

Przemoczeni do suchej nitki, drżąc z zimna, kolejno wchodzili na pokład. Nikt już nie świecił. Przestali lśnić chwilą po tym, jak zauważyli łódź; zupełnie jak gdyby smocza łuska miała dość. Najgorsze było ostatnie dziesięć minut. Lodowata woda paliła ich skórę, jakby siedzieli zanurzeni po szyję w kwasie - i nagle uczucie pieczenia ustało, ale odrętwienie, które pojawiło się potem, było gorsze od bólu, pozbawiło Harper czucia w rękach i nogach. Kiedy Don wciągał ją na pokład - choć nadal nie mogła w to uwierzyć - nie czuła nawet skurczów.

Don zniknął na chwilę, po czym wrócił z ręcznikami, kocami, workowatymi bluzami i kubkami kawy dla Renee i Allie. Stracił na wadze, był blady i wymizierowany; jedynie jego nos pozostał niezmiennie czerwony.

Harper miała wodę w uszach i była tak skupiona na coraz gwałtowniejszych skurczach, że nie rozumiała, co mówią inni. Słyszała, że Renee zadaje pytania, na które Don odpowiada niskim, drżącym głosem, ale docierały do niej tylko fragmenty rozmowy. Murzynka pytała, jak to się stało, że znalazł się właśnie tu, że był wystarczająco blisko, żeby ich wyłowić, a on odparł, że od kilku dni czekał na nich niedaleko brzegu. Wiedział, że kierują się do Machias, bo słyszał o nich od hamów¹⁷. Harper wyobraziła sobie Dona, jak przykłada do ucha plaster szynki i nasłuchuje.

- Od hamów? - spytała Renee.

- Tak - odparł. Miał na pokładzie krótkofalówkę z CB-radiem. Mógł wychwytywać sygnały z całego wybrzeża i słyszał o kobiecie w zaawansowanej ciąży, która idzie na północ w towarzystwie Murzynki, nastolatki z ogoloną głową, chłopca i chorego faceta mówiącego z angielskim akcentem. Podobno zmierzali do centrum dowodzenia w Machias, skąd zostaną przewiezieni na wyspę Marthy Quinn.

Tyle że Don widział wyspę Marthy Quinn; opłynął ją kilka razy i chodził po niej, i nie widział tam niczego poza spaloną ziemią i zwęglonymi szkieletami. Słyszał, jak nadają przez radio, jak mówią o knajpce z pizzą, o szkole i bibliotece. Ale miejsce, które opisywali, od miesięcy nie istniało.

A skoro wyspa Marthy Quinn nie była azylem, to znaczy, że była pułapką. Don nie wiedział jednak, jak ich powstrzymać przed popłynięciem na nią. Postanowił więc odważnie trzymać się niedaleko zatoki i kiedy Harper i jej towarzysze zbliżą się do Machias, może - ale tylko może - uda mu się podpłynąć nieco bliżej pod osłoną nocy i ich przechwycić albo przynajmniej ostrzec. Lecz nagle - przed kilkoma dniami - komunikaty ustały, a Don nie wiedział, gdzie oni są ani co się z nimi dzieje. Stał na kotwicy nieopodal tego, co zostało z wyspy Marthy Quinn, kiedy zobaczył feniksa, który spadał z nieba jak pieprzony Lucyfer. Don nie był pewny, czy sprowadzono go tam, czy przegnano.

Harper słyszała ostatnią część opowieści jak przez mgłę. Miała wrażenie, że ktoś próbuje przewrócić jej ciało na drugą stronę.

- Co jest? - zapytał Don Lewiston. - Co się, kurwa, dzieje? Cholera. Jasna cholera, tylko mi nie mówcie...

- Oddychaj, Harper! - zawołała Renee. - Wdech, wydech. Dziecko wychodzi. Za chwilę będzie po wszystkim.

Allie klęczała między nogami Harper, a ta nie miała pojęcia, jak to się stało, ale była bez spodni, od pasa w dół była zupełnie naga.

- Widzę główkę! - krzyknęła dziewczyna. - O kurwa! Przyj! Świetnie ci idzie! A niech mnie, to się naprawdę dzieje.

Nick podbiegł do Dona Lewistona i wtulił twarz w jego brzuch. Harper zamknęła oczy i parła. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, i jej wnętrzności wypadną na pokład. Czuła ostry, słony zapach, który mógł być zapachem morza albo łożyska. Kiedy na chwilę otworzyła oczy, znowu zobaczyła feniksa, który złożony skrzydła, unosił się na wodzie nieopodal łodzi. Patrzył na nią spokojnym, rozbawionym wzrokiem - dryfująca na wodzie, płonąca plama ropy.

Zaczęła przeć i poczuła, że coś ustąpiło. Jej płonące bólem krocze przywodziło na myśl rozdarty szew, który wydarł z jej gardła szloch bólu i nagłej ulgi.

Niemowlę machnęło tłustymi rączkami i zaczęło płakać. Główka dziewczynki przypominała Harper mokry od krwi, zniekształcony kokos z przyklejoną do niego gęstą strzechą kasztanowych włosów. Z brzucha dziecka zwisał otłuszczony czerwony sznur, który łączył je z Harper.

Allie wzięła dziewczynkę na ręce. Drżała na całym ciele, ale nie z zimna.

Łódź zakołysała się i dziecko zakołysało się w ramionach Allie. Harper zaczęła śpiewać swojej córce - głosem tylko trochę wyższym od szeptu - pierwszą zwrotkę *Romeo and Juliet*. Maleństwo otworzyło oczy i spojrzało na nią; jego tęczy błyśzczały jak jasne kręgi złota. Smocza łuska zadomowiła się w nim już na dobre.

Słońce odbiło się od stalowoniebieskich fal. Kiedy Harper zerknęła na feniksa, zobaczyła na wodzie kilka przygasających języków ognia. Iskry i płatki popiołu unosiły się w nieruchomym, chłodnym powietrzu, spadały na jej włosy i ramiona. Drobinki popiołu spadły na jej córeczkę, tworząc na czole maleństwa rozmazaną smugę. Harper pochyliła się i pocałowała to miejsce.

- Jak jej dasz na imię? - zapytała Renee, szcękając zębami. Drżała, a jej roześmiane oczy były wilgotne od łez.

Harper nie zwracała na nią uwagi. Musnęła kciukiem czoło córki i roztarła na skórze płatek popiołu. Miała nadzieję, że jest w nim jakaś cząstka Johna. Miała nadzieję, że ma go na skórze, że obie mają go na skórze. Czowała, że tak właśnie jest.

- Ash¹⁸ - odparła łagodnie.

- Ashley? - zapytała Allie. - Dobre imię.

- Tak - zgodziła się Harper. - Rzeczywiście. Ashley. Ashley Rookwood.

Renee opowiadała Donowi o Machias, o podróży łodzią i ludziach, którzy zastrzelili Johna.

Don otarł usta wierzchem dłoni.

- Będą nas ścigać. Choć może nie od razu. Myślę, że mamy nad nimi jakieś dwanaście godzin przewagi. Powinniśmy wykorzystać ten czas i ulotnić się.

- Dokąd? - wtrąciła Allie.

Don przyklęknął na jedno kolano obok Harper. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i posłał Harper pytające spojrzenie. Kiedy skinęła głową, dwoma cięciami przeciął pępowninę. Po jego palcach pociekła strużka krwi.

- An Tra - rzucił po wszystkim.

- Tra ta ta ta - powiedziała Renee.

Kąciki ust Dona drgnęły w słabym uśmiechu.

- To na Inisheer. Słyszałem o niej na BBC World Service. Ściągają tam ludzie z trzydziestu krajów. Inisheer to wyspa u wybrzeży Irlandii, An Tra to nazwa miasta. Osiem tysięcy zainfekowanych. Pełne wsparcie rządu.

- Jeszcze jedna wyspa - warknęła Allie. - Skąd mamy wiedzieć, że to nie żadna ściema?

- Nie wiemy - odparł Don. - A ta łódź nie jest przystosowana do żeglugi transatlantyckiej. Będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli nam się uda. Ale na tę chwilę to najlepsza opcja.

Allie skinęła głową i zwróciła twarz w stronę wschodzącego słońca.

- Hm... wygląda na to, że dziś i tak nie mamy nic do roboty.

Harper nie miała nic przeciwko. Była obolała, lecz szczęśliwa. Chmury rozpiezchły się i niebo na wschodzie miało niemal idealny odcień błękitu. Pomyślała, że to wymarzony dzień na żeglowanie, i przypomniała sobie, że matka Johna była Irlandką. Zresztą zawsze chciała odwiedzić ten kraj.

Nick przykucnął obok niej. Spojrzał na niemowlę ze słodką, dziecięcą ciekawością i poruszył rękami. Harper uśmiechnęła się i skinęła głową, a zaraz potem pochyliła się i potarła nosem maleńki nosek Ashley.

- Hej. Twój starszy brat ma ci coś do powiedzenia - zwróciła się do córki. - Mówi: „Cześć. Miło cię poznać. Witaj na świecie i przygotuj się na niezłą zabawę, bo jest piękny, słoneczny poranek i właśnie tu zaczyna się nasza opowieść”.

*Rozpoczęto 30 grudnia 2010
Zakończono 9 października 2014*

Joe Hill, Exeter, New Hampshire

Napisy końcowe

Jungleland z repertuaru Bruce'a Springsteena, copyright © 1975 by Bruce Springsteen, renewed © 2003 by Bruce Springsteen (Global Music Rights). Przedrukowano za zgodą. International copyright secured. All rights reserved.

Chim Chim Cher-ee i *A Spoonful of Sugar* z *Mary Poppins* Walta Disneya. Tekst i muzyka: Richard M. Sherman i Robert B. Sherman © 1963. Wonderland Music Company Inc. Copyright renewed. All rights reserved. Wykorzystano za zgodą. Przedrukowano za zgodą Hal Leonard Corporation.

Romeo and Juliet. Tekst i muzyka: Mark Knopfler. Copyright © 1980 Straitjacket Songs Limited. International copyright secured. All rights reserved. Przedrukowano za zgodą Hal Leonard Corporation.

Candle on the Water z *Pete's Dragon* Walta Disneya. Tekst i muzyka: Al Kasha i Joel Hirschhorn © 1976 Walt Disney Music Company and Wonderland Music Company, Inc. Copyright renewed. All rights reserved. Wykorzystano za zgodą. Przedrukowano za zgodą Hal Leonard Corporation.

Fragment z *Fahrenheit 451* © 1953, renewed 1981 by Ray Bradbury, przedrukowano za zgodą Don Congdon Associates, Inc.

Fragment z *The Ministry of Fear* © 1943, renewed 1971 by Graham Greene, przedrukowano za zgodą Penguin Random House.

EPILOG

*What if There was Just a Bit More Story?*¹⁹ autorstwa Joego Hilla. Copyright © 2016 by Joe Hill. Bo tak właśnie jest. Chłopiec zobaczył to jako pierwszy. Poważny sześciolatek imieniem Caius, który wracał do domu ze swoją mamą. Pociągnął ją za rękę i powiedział: „Popatrz na tę spadającą gwiazdę, mamó” i wyciągnął rączkę. Kobieta, Elaina, zadarła głowę, ręką zasłoniła oczy od słońca, spojrzała na południowy zachód i zobaczyła białą łódź z wypełnionym wiatrem żaglem, na którym widniał wizerunek czerwonego kraba. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że za łodzią podąża czerwony jezor ognia, ogon komety, który unosił się i opadał. Jednak w miarę jak łódź się zbliżała, Elaina dostrzegła, że nie jest to kula ognia, lecz ogromny, utkany z płomieni ptak. Ognisty sokół napełniał żagiel gorącym powietrzem, przez co łódź pruć woda z zadziwiającą, niemal niebezpieczną prędkością. Mrużąc oczy, Elaina zauważyła stojącą na dziobie kobietą o jasnych włosach. Nieznajoma pozdrowiła ją machnięciem ręki, która lśniła, jakby przyodziano ją w świetlistą rękawiczkę. Caius odpowiedział tym samym, a jego dłoń rozjarzyła się niczym pochodnia. Z palców chłopca, jak zielone wstążki, uniosły się nitki dymu. „Pamiętaj, Caiusie, nikt nie lubi chwali się”, ostrzegła go Elaina, ale jej uśmiech mówił co innego.

Podziękowania

Jadąc do końca Little Harbor Road w Portsmouth, w stanie New Hampshire, dotrzecie nad ocean, ale nie znajdziecie tam piaszczystej dróżki do obozu Wyndham. Zmyśliłem to miejsce. Mimo to wiele okolicznych elementów krajobrazu wygląda tak jak w rzeczywistości: cmentarz przy South Street, staw South Mill, most Piscataqua. Gdzieś musiałem jednak zmienić scenerię, żeby pasowała do opowieści.

Jednym z niebezpieczeństw pisania podziękowań jest to, że pominie się kogoś, kto miał istotny wkład w tworzenie książki. Kiedy wyrażałem swoją wdzięczność na końcu ostatniej powieści *NOS4A2*, zapomniałem wspomnieć, jak bardzo jestem wdzięczny za rozmowy z doktorem Derekiem Sternem. Od jakiegoś czasu terapia rozmową jest już niemodna. Bo i po co rozmawiać, kiedy można połknąć pigułkę, prawda? Jednak psychofarmakologia ma swoje granice; nikt nie przepisze nam recepty na wyczucie perspektywy. Nie wiem nawet, czy ukończyłbym tę ostatnią powieść (a także tę), gdyby nie wsparcie doktora Sterna.

Kiedy człowiek cztery lata pracuje nad książką, zdobywa wiele przydatnych informacji. Pragnę podziękować doktorowi Marcowi Sopherowi, doktorowi Andy'emu Singhowi i doktorowi Brianowi Knabowi za odpowiedzi na liczne pytania z dziedziny medycyny. Nie wińcie ich, jeśli się pomyliłem - kiedy stoję przed wyborem: przysłużyć się opowieści, czy prezentować fakty medyczne, wybieram opowieść. Innymi słowy, nie da się nastawić kości księżycowatej, ściskając ją w palcach, choć musicie przyznać, że to przyjemna perspektywa. Dzieciaki, jeśli kiedykolwiek przydarzy się wam coś takiego, jedźcie do szpitala i szukajcie się na operację. Poza tym reszta medycznych wyczynów Harper mieści się w granicach prawdopodobieństwa... nawet to, że wykonała lobotomię przy użyciu wiertarki z Home Depot.

Uwagi przyjaciół, którzy we wczesnym stadium czytali tę książkę w całości lub we fragmentach, okazały się bezcenne: Chris Ryall, Jason

Ciaramella, C. Robert Cargill, Lauren Buekes, Shane Leonard i Liberty Hardy. Mój agent, Sean Daily, i jego żona Sarah, służyli wsparciem i radą, a na koniec Sean sprzedał prawa do ekranizacji wytwórni 21st Century Fox i Tempie Hill. Pragnę z całego serca podziękować Steve'owi Asbellowi, Isaacowi Klausnerowi i Wyckowi Godfreyowi za to, że postawili na Harper i Johna, oraz szefowej Seana, Jody Hotchkiss, za to, że postawiła na mnie.

Moje redaktorki: Jennifer Brehl z William Morrow i Gillian Redfeam z angielskiego Gollancz, uzupełniają się idealnie jak jin i jang. Każda strona tej książki jest lepsza dzięki ich sumiennej pracy. Kelly Rudolph i Sophie Calder organizowały kampanie reklamowe. HarperCollins/Morrow dysponuje zabójczym oddziałem specjalistów, którzy pracowali niestrudzenie, by każdy aspekt *Strażaka* lśnił. Są wśród nich Kelly O'Connor, Tavia Kowalchuk, Aryana Hendrawan, Andrea Molitor, Maureen Sugden, Amanda Kain, Leah Carlson-Stanisic, Mary Ann Petyak, Katie Ostrowska, Doug Jones, Carla Parker, Mary Beth Thomas, a także niewiarygodnie pracowici ludzie z działu sprzedaży i wydawca Liate Stehlik. Równie imponująco prezentuje się zespół z Anglii, w tym David Shelley, Kate Espiner, Jon Wood, Jen McMenemy, a także dział marketingu: Craig Leyenaar, Paul Hussey, mój kumpel Mark Stay i reszta działu sprzedaży Orion. Kate Mulgrew czytała fragmenty książki, które dzięki temu brzmiały dużo fajniej, niż gdybym zrobił to ja. Jestem jej za to winny butelkę najlepszego wina. Dziękuję Laurel Choate z Choate Agency, za to, że pilnowała interesów, kiedy ja skupiałem się na pisaniu (czyli na przyjemnościach).

Pozdrowienia i podziękowania dla Christiny Terry, która dbała o to, bym od czasu do czasu oderwał się od pracy i zabawił się. Wyrazy miłości dla duetu King-Braffet, dla Naomi i moich rodziców, którzy jako drużyna na tysiąc sposobów przyczynili się do powstania tej książki i każdego dnia wnoszą radość do mojego życia.

Przede wszystkim pragnę jednak podziękować moim trzem synom, którzy są dla mnie całym światem - kocham was, chłopcy. Jestem wdzięczny za nasze wspólne życie.

Niedługo po tym, jak powstała trzecia wersja robocza książki, w wieku pięćdziesięciu trzech lat zmarł na raka płuc mój agent i

serdeczny przyjaciel od dwudziestu lat, Mickey Choate, ukochany mąż Laurel. Nie wiedziałem, że chorował. Nikomu o tym nie mówił. Pierwszy raz dowiedziałem się o jego chorobie, gdy Laurel zadzwoniła, żeby poinformować mnie o jego śmierci. Mickey nigdy nie palił, biegał codziennie, tym bardziej jest to niesprawiedliwe. Kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, właśnie skończył czytać *Strażaka* i powiedział, że jego zdaniem to cholernie dobra książka. Jego opinia była dla mnie niezmiernie ważna; z drugiej strony żałuję, że tak wiele naszych rozmów kręciło się wokół mnie i mojego pisania. Żałuję, że nie rozmawialiśmy częściej o nim. Mickey uwielbiał smacznie zjeść i chciałbym jeszcze raz pójść z nim do restauracji, żeby powiedzieć mu, jak cudownym był przyjacielem. Może taki nieoczekiwany zwrot akcji jest jednak fair. Mickey reprezentował mnie przez prawie dziesięć lat, zanim powiedziałem mu, że tak naprawdę nie nazywam się Hill. Obu nam więc udało się zaskoczyć drugiego.

Kocham cię, Mickey. Dziękuję, że pozwoliłeś mi być częścią swojego życia.

O książce

APOKALIPTYCZNY THRILLER AUTORA „ROGÓW” I „NoS4A2”,
LAUREATA BRAM STOKER AWARD,
BRITISH FANTASY AWARD, INTERNATIONAL HORROR GUILD
KSIĄŻKA UZNANA PRZEZ CZYTELNIKÓW
PORTALU GOODREADS ZA NAJLEPSZY HORROR ROKU,
A PRZEZ AMAZON ZA JEDNĄ Z 20 NAJLEPSZYCH
POWIEŚCI 2016

„Przerażona, odarta z wiary dusza jest idealną podpałką...”

Nikt nie wie, kiedy i jak się to zaczęło. Przez kraj przetacza się nieznana dotąd plaga, połykając kolejne miasta: Boston, Detroit, Seattle... *Draco incendia trichophyton*, nazywane „smoczą łuską”, to śmiertelne, błyskawicznie rozprzestrzeniające się zarodniki.

Najpierw malują na ciałach ludzi przepiękne „tatuże”, a potem zamieniają swoje ofiary w żywe pochodnie.

Trudno sobie wyobrazić gorszy moment na ciążę, ale Harper Grayson, która spodziewa się dziecka, zamierza je urodzić. Jest pielęgniarką, widziała w szpitalu zarażone matki rodzące zdrowe dzieci i ma nadzieję, że i jej się to uda. Najpierw musi jednak przeżyć, umknąć przed Szwadronami Kremacyjnymi ścigającymi zainfekowanych. Jeśli ktoś może jej w tym pomóc, to tylko tajemniczy mężczyzna, który już raz uratował jej życie:

STRAŻAK

Notatki

[← 1]

Dire Straits, *Romeo and Juliet*.

[←2]

NRA (National Rifle Association) - Krajowy Związek Myślistwa Sportowego.

[←3]

National Public Radio - niekomercyjna sieć radiowa znana z wysokiej jakości programów informacyjnych i kulturalnych.

[←4]

Unbreakable (ang.) - niezniszczalny, niezłomny.

[←5]

Willow (ang.) - wierzba.

[←6]

Hej, ty,/ nie maż się./ Jak się usmażysz, /będzie do bani. /Szkoda, /żebyś zamienił się w kupkę popiołu, /bo dziś moja kolej, żeby zmiatać /i to ja będę musiał wymieść twoje prochy.

[← 7]

A Spoonful of Sugar (łyżeczka cukru) piosenka z musicalu *Mary Poppins*.

[← 8]

Chef Boyardee - znana marka produkująca gotowe dania z makaronu w puszkach.

[←9]

Piosenka zespołu rockowego The Hooters, *And We Danced*.

[←10]

American Civil Liberties Union - amerykańska organizacja non profit, której celem jest ochrona praw obywatelskich gwarantowanych przez konstytucję.

[← 11]

Przywódca sekty Świątynia Ludu, której członkowie popełnili zbiorowe samobójstwo.

[←12]

Wood (ang.) - drewno.

[←13]

Bowie - rodzaj amerykańskiego noża myśliwskiego.

[← 14]

Jedno z artystycznych wcieleń Davida Bowie.

[←15]

Nawiązanie do Ewangelii według św. Mateusza 10,34; Biblia Tysiąclecia.

[←16]

Odniesienie do wiersza *The Second Coming* (Drugie przyście)
Williama Butlera Yeatsa.

[←17]

Ham - (ang.) szynka. W slangu krótkofalarskim to krótkofalowiec, radioamator.

[←18]

Ash - (ang.) popiół.

[← 19]

A gdyby historia miała swój ciąg dalszy?